

III, I, 20, 28

15

6.

PRZEZ LADY I MORZA

STEFAN ŁAGANOWSKI

PRZEZ ŁĄDY I MORZA

CZĘŚĆ DRUGA

WYPISÓW GEOGRAFICZNYCH

P. T.

ZIEMIA W OPISACH I OBRAZACH

AMERYKA, AUSTRALJA, AZJA, AFRYKA

WYDANIE DRUGIE



1925

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

M. ARCT — ZAKŁADY WYDAWNICZE

Sp. Akc. w Warszawie.

WARSZAWA, KSIĘGARNIA, NOWY-ŚWIAT 35.

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

GDĄSK, Tow. „Ruch”, Rynek Kaszubski.

KATOWICE, Księgarnia Polska, Poprzeczna 2.

KRAKÓW, Księgarnia Jagiellońska, Wiślna 3.

LUBLIN, M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.

LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.

ŁÓDŹ, M. Arct i S-ka, Piotrkowska 105.

NEW-YORK, Polish Book Importing Co.

POZNĄ, M. Arct, Księgarnia, plac Wolność 7.

RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.

WILNO, Księg. Stow. Naucz. Polsk., Królewska 1.

P R Z E D M O W A

W części I-ej „Ziemi w opisach i obrazach“, wydanej w r. 1907, opracowana została geografia ogólna. W części II, która się obecnie ukazuje, zebrane są artykuły, ilustrujące treść geografji szczegółowej, mianowicie opisy, odnoszące się do czterech pozaeuropejskich części świata: Ameryki, Australji, Azji i Afryki. Europa opracowana zostanie w oddzielnej, III-ej części wypisów geograficznych.

W części II-ej daleko więcej uwzględniłem życie ludów i narodów i wogóle objawy działalności człowieka, aniżeli krajobrazy i zjawiska fizyczne. Uczyniłem to dlatego, że typowe krajobrazy i zjawiska opracowane już zostały w części I-ej, a jakkolwiek stosunki przyrodnicze i krajobrazy w szczegółach różnią się nieskończenie w rozmaitych okolicach ziemi, to jednak cechy główne, zasadnicze pozostają wszędzie bez zmiany, i opis np. stepu, gór, lodowca i t. p. wzięty z jednej miejscowości musi być do pewnego stopnia powtórzeniem takiegoż opisu z innej okolicy ziemi. Powtórne opisy życia ludów i działalności człowieka daleko więcej zajmują czytelnika, niż opisy krajobrazów, zapewne z tego powodu, że opis krajobrazu, dokładnie rzecz malujący, jest niezmiernie trudny; dobre opisy krajobrazów rzadko się spotykają, wymagają przytem od czytającego, nawet przy dodaniu rysunków, dużej pracy wyobraźni.

Pewne luki w tej książce, pominięcie niektórych nawet niekiedy dość ważnych okolic ziemi, tłumaczę warunkami wydawniczymi, mianowicie liczeniem się z tem, by wysokość ceny książki nie przeszkadzała jej rozpowszechnieniu. Zupełniejsze opracowanie czterech części świata w książce o formacie zgóry

określonym stałoby się możliwem tylko w tym razie, gdyby artykuły były bardzo krótkie. Sądzę jednak, że takie krótkie artykułiki nie robiłyby żadnego wrażenia, nie stanowiłyby pewnej całości. Zwracam zresztą uwagę czytelnika na to, że pewna ilość tych luk i braków usuwa się przez to, iż część I wypisów obejmuje niektóre artykuły, odnoszące się do 4 części świata. Uważając obiedwie części wypisów za jedną całość, nie poczytywałem za stosowne (co zresztą z braku miejsca byłoby niemożliwe) powtarzać w części II w innem opracowaniu opisów, zawartych już w części I.

A więc w części I do Ameryki znajdujemy artykuły następujące: Wyspy arktyczne str. 7. Klimat wysp Antylskich str. 47, Pierwotny las brazylijski str. 52, Wejście na Popocateketl str. 84, Amazonka str. 113, Wodospad Niagara i Yguassu str. 117 i 125, Odkrycie Ameryki str. 217; — do Afryki: Okręt pustyni str. 77, Samum str. 79, Palma daktylowa str. 81, Kanał Sueski str. 193; do Azji: Mrozy w Syberji wschodniej str. 18, Kirgizi str. 64, Przez pustynię Wschodniego Turkiestanu str. 70, Morze Martwe str. 126; — do Australji: Odkrycie Australji str. 223.

Przy wyborze artykułów zwracałem też uwagę na potrzeby chwili: opuściłem niektóre tematy, już opracowane bądź w książeczkach popularnych, bądź w innych wypisach geograficznych, natomiast starałem się umieścić takie opisy, których gdzie indziej nie znalazłem, lub które przedstawiają rzecz z innego punktu widzenia.

Przy opracowaniu niniejszego tomu znalazłem równie chętną i życzliwą pomoc, jak i przy pisaniu części I, ze strony wielu kolegów i znajomych, za co im tu składam serdeczne podziękowanie.

W drugiem wydaniu tej książki niektóre artykuły zmienione zostały na inne, bardziej odpowiednie, nastąpiły też zmiany w doborze rycin.

S. Łaganowski.

Przez Atlantyk do Ameryki

Dr. Emil Dunikowski
(„Od Atlantyku poza góry Skaliste”).

Zerwałem wszystkie więzy, łączące mnie ze Starym Światem... Całą mą europejską gotówkę zmieniłem na dolary,¹⁾ ostatnie pożegnalne listy do rodziny i przyjaciół powierzyłem pocztowej skrzynce w Hamburgu, więc spokojny, choć nieco markotny wyzieram z okna osobnego pociągu, wiozącego około pięciuset podróżnych pierwszej i drugiej kajuty do Cuxhaven na pokład parostatku Normanji, stojącej na kotwicy u ujścia Łaby.

Orzeźwiający zachodni wiatr zdradza bliskość morza; jakoż za chwilę ukazuje się schludne miasteczko Cuxhaven, a za niem... piękne, lśniące w promieniach porannego słońca... nieskończone, tajemnicze morze!

Lecz nagle wzrok wszystkich skierowuje się na jeden przedmiot; okrzyk podziwu i ciekawości wyrывa się z setek piersi; oto woddali stoi na kotwicy poważnie i majestatycznie potężna, strojna we flagi Normanja, której powierzymy nasze losy w podróży przez te nieskończone wodne pustynie.

Siadamy na mały statek, mający nas zawieźć na pokład naszego olbrzyma, więc stały ląd Europy usunął się z pod stóp naszych. Za chwilę przybywa nasz parowiec do Normanji, na której pokładzie wita nas okrętowa kapela wesołą muzyką, rozpraszającą wszelki niepokój. Teraz można dopiero poznać, co to za olbrzym ta nasza Normanja. Parowiec, który nas do niej przy-

Dolar = 5 złotych.

wiózł, na którego pokładzie pomieściło się wygodnie kilkuset podróżnych i mnóstwo pakunków, wygląda obok niej jak karzeł obok olbrzymia; wielkie łodzie rybackie, żaglowce kupieckie i parowce pocztowe, przepływające w sąsiedztwie, robią wrażenie kaczek, kręcących się koło łabędzia.

Wybiegam po schodach na pokład spacerowy Normanji i podziwiam ten ruchliwy obraz, jaki się przed memi oczyma rozciąga. Przez długi łańcuch silnych rąk marynarzy przebiegają



Wielki statek pasażerski.

nasze torby, kufry i inne pakunki, podróżni cisną się w nieładzie, pokrywając gorączkowem zajęciem swój niepokój; wychodzą do Ameryki, których już dzień naprzód przywieziono na statek, stoją w zbitych szeregach na dolnym pomoście i z bezmyślną miną gapią się na tak niezwykle i nowy dla nich widok.

Nareszcie nasz mały parowiec, oddawszy całą swą zawartość Normanji, cofa się i skłania swą flagę na znak pożegnania; przeraźliwy ryk, jakgdyby wychodzący z piersi zranionego ol-

brzyma, wstrząsa powietrzem, maszyna wyciąga kotwicę i wśród plusku śrub okrętowych i dźwięku muzyki skierowujemy się na zachód.

Wybrzeże znika nam szybko z oczu, za chwilę setki osób, które nas żegnały na grobli w Cuxhaven, wyglądają jak plamka szara, wreszcie tylko latarnia morska jest wszystkim, co pozostało z nadbrzeżnego miasteczka.

Widać, że morze, po którym płyniemy, jest płytkie, dookoła bowiem kołyszą się na falach boje,¹⁾ oznaczające mielizny, miejscami wynurza się cała ławica piasku, a dalej nawet większa napływowa wyspa. Wszędzie, gdzie się tylko zetkną dwa te żywioły, t. j. ląd i morze, następuje nieubłagana wieczna walka, kończąca się zawsze zupełną klęską jednej strony, gdyż każda pragnie się wedrzeć w królestwo drugiej.

U ujścia Łaby kończy się ta walka widocznie zwycięstwem lądu. Potężny strumień niesie w nurtach swych olbrzymie masy stałych cząstek w postaci piasku i namułu, składając je u ujścia swego, skutkiem czego powstają coraz to nowe mielizny, a nawet czasami może się utworzyć i delta.

Oczywista, że stan taki nie jest dla żeglugi bardzo przyjemny, osobliwie dla tak wielkich okrętów, jak Normanja, zanurzających się głęboko, więc oficer pełniący służbę na pomoście rozkazowym pilnie uważa na boje i żerdzie.

Przepędzamy elegancki parowiec kołowy, płynący do Helgolandu. Z uśmiechem wspominam sobie te czasy, kiedy wycieczkę do Helgolandu uważałem za wyprawę morską i opowiadałem o niej, jak Magellan o swej wielkiej podróży.

Za chwilę wyłania się z szafirowych fal i Helgoland. W walce wody z lądem wyspa ta ma z każdym dniem nową klęskę do zanotowania. Dzisiejszy Helgoland jest tylko resztką ze znacznie większej wyspy, która się tu wznosiła już w historycznych czasach. Każdy, chociażby nie geolog, może dzisiaj proces ten zniszczenia dokładnie śledzić. Wysepka jest zbudowana przeważnie z czerwono-brunatnego iłupku, który bardzo łatwo podlega zniszczeniu. Fale morskie, bijąc o prostopadłe ściany wysepki, podmywają ją ciągle; dość spojrzeć w sąsiedztwie wyspy na wodę morską, zabarwioną czerwono, którą humor gości kąpielowych przezwiał „zupą rakową“, aby zrozumieć, ile to ma-

¹⁾ Pływaki czyli przyrządy blaszane, uczepione do dna na kotwicach, a wskazujące płytkie lub niebezpieczne miejsca.

terjału z masy wysepki pochłania morze. Helgoland skazany jest na zagładę.

Niknie nam wreszcie z widoku czerwona ta wysepka i dookoła nas woda... i woda, ułożona w lekkie fale, a przepelniona fioletowemi meduzami. Osamotniony na wielkich przestrzeniach morskich, czuje człowiek mimowoli potrzebę gruntownego obeznania się z okrętem, któremu się powierzył. Więc i ja, ochłoniwszy nieco z pierwszego wrażenia, z niezwykle zajęciem rozglądam się po statku, który ma mi być całym światem w dobrych i złych godzinach przez osiem dni. I muszę przyznać, że jestem zachwycony zarówno wielkością, jako też elegancją i chyżością parowca.

Już sam spacer po pokładzie zdradza, że znajdujemy się na jednym z kolosów, których pojemność wynosi 12 — 14000 beczek, a o długości statku, wynoszącej 159 metrów, można tylko wtedy mieć dobre wyobrażenie, jeżeli się rozmiary te oznaczy na równej płaszczyźnie i kilkakrotnie przejdzie.

Odpowiednio do celu, t. j. do chyżości, szerokość statku jest stosunkowo niewielka, bo tylko około 18 metrów, więc mało co więcej, niż $\frac{1}{10}$ długości. Górny pokład wznosi się 12 metrów nad spodem okrętu, ale trzeba uwzględnić, że salony, pomost spacerowy, pomost rozkazowy, t. zw. budka nawigacyjna, leżą jeszcze wyżej. Dość powiedzieć, że pomost rozkazowy sterczy 21 metr. nad spodem okrętu, że wysokość masztów wynosi, licząc od górnego pokładu, 43 cm., wysokość zaś każdego z trzech potężnych kominów — 17 m., aby mieć pojęcie o rozmiarach takiego kolosa.

Nie będzie więc nas dziwić, że załoga Normanji liczy 255 ludzi. Ciekawe jest zestawienie, z jakich to fachowców składa się ta załoga. Minęły bowiem czasy, kiedy sami majtkowie pełnili służbę na pokładzie! Obecnie znajduje się na Normanji tylko 20 majtków z zawodu, ale zato 1 inżynier starszy, 2 młodszych, 20 maszynistów, 2 elektrotechników, 54 palaczy, 9 nadzorców palaczy, 54 rzemieślników, 6 smarowników, — a oprócz tego kilkunastu kucharzy, piekarzy i t. d. i 70 stewardów (kelnerów okrętowych), do tego kapitan, lekarz i kilku oficerów. Główną więc rzeczą nowożytnego okrętu jest maszyna. Cała armja pracowników przeznaczona jest do jej obsługi.

Oto właśnie grzeczny inżynier zaprasza nas do zwiedzenia maszyny, ofiarując się za przewodnika. Przyjmujemy zaproszenie z wdzięcznością i po schodach zbiegamy na dół.

Cóż to za cudowny widok musi być dla inżyniera, kiedy mnie niefachowego te olbrzymie lśniące maszyny, ważące 20000 centnarów i ścieśnione w maleńkiej przestrzeni, w niezwykle wprawiły zachwyt! Z jaką lekkością to serce okrętu porusza olbrzymie masy stali, jak posłuszne jest każdemu pociśnięciu palca inżyniera!

Trzeba wiedzieć, że na takich wielkich okrętach zaprowadzono dla bezpieczeństwa i chyżości system podwójnych maszyn i podwójnej śruby. Mamy tu więc 2 zupełnie od siebie niezawisłe maszyny, ustawione w jednym szeregu jedna za drugą, dwa tłoki i dwie śruby, wszystko podzielone silną ścianą, sięgającą aż do górnego pokładu. Każda z tych maszyn może sama przez się poruszać okręt, rzecz, co się tyczy bezpieczeństwa, nieoceniona, gdyż w razie jakiegos wypadku z jedną maszyną druga pracuje spokojnie w dalszym ciągu, przyczem tylko chyżość okrętu nieco się zmniejsza.

W 9 głównych kotłach, sporządzonych z najlepszej stali, wyrabia się para, potrzebna do poruszania maszyn. Ilość węgla, pożartego przez te kotły, przechodzi pojęcie zwykłego śmiertelnika. W przeciągu ośmiodniowej podróży z Hamburga do Nowego Yorku potrzebuje Normanja 270 wagonów węgla (wagon po 10000 kg.)! Można więc sobie wyobrazić, jak tam wygląda koło paleniska mimo wentylacji i mimo skrapiania wodą. Biedni palacze mają już za życia przedsmak piekła.

Olśnieni tą maszyną, jesteśmy ciekawi, jak wielką chyżość nadaje okrętowi. Wynosi ona 21 mil morskich, czyli, licząc milę morską po 1855 metrów, blisko 39 kilometrów na godzinę. Jest to podobno największa chyżość, osiągnięta przez okręty.¹⁾ Podróż takim statkiem przez ocean od wyspy Wight (czytaj



Podwójna śruba okrętowa.

¹⁾ Szybkość największych statków przenosi obecnie 25 mil morskich (około 45 km. na godzinę).

Uajt) w Anglii do Nowego Jorku trwa wszystkiego 6 dni i kilka lub co najwyżej kilkanaście godzin.

Podczas tego oglądania i podziwiania okrętu szybko czas upływa, — już i 5-ta po południu, — więc dźwięki tamtamu wołają nas na obiad. Pyszną klatką schodową udajemy się z pokładu spacerowego w dół na tak zwany górny pomost, w którego wysokości leży główny salon, służący za jadalnię I klasy. Jest on zachwycający, przestronny, bo zajmuje całą szerokość okrętu, oświetlony w dzień dwoma rzędami okien, a w nocy światłem elektrycznem, i robi ze swemi gustownemi freskami, elegancką sztukaturą, zielonemi aksamitnemi meblami, a przede-wszystkiem świetlną kopułą, nadzwyczaj miłe wrażenie.

Podczas znakomitego obiadu przygrywa nam kapela okrętowa, więc humor u wszystkich doskonały i wzajemne zaprzyjaźnienia się z łatwością dochodzą do skutku.

Po obiedzie śpieszę na pokład i oczekuję zachodu słońca. Czerwono-ognista kula, jakgdyby z rozpalonego metalu, zanurza się w morze; zdaje się, że woda zakipi w tem miejscu. Dziwne fioletowe światło rozlewa się nad wodami. Na zachodzie nie dojrzysz granicy między wodą a niebem, wszystko zlewa się w jeden jakgdyby fosforyzujący firmament. Za chwilę zmrok zalega wodne przestrzenie. Na okręcie zabłyśły we wszystkich salonach i kajutach tysiączne światła; elektryczne słońce oświetla pokład spacerowy. Na wieżach ogniowych, umieszczonych zewnątrz po obu bokach parowca, zapalono światła; przez kolorowe szkła rozlewa się po prawej stronie zielona, po lewej czerwona smuga, w połowie zaś masztu świeci elektryczna latarnia. Te trzy światła są bardzo ważne, stanowią one bowiem sygnały, zdradzające w ciemności okręt i kierunek jego.

Po wieczornej herbacie, odbywszy jeszcze małą przechadzkę po pokładzie, udaję się do swej kajuty na nocleg. Plusk wody, lekkie drżenia statku i głosy straży nocnych ukołysały mię prędko do spokojnego snu, jakkolwiek pierwszy nocleg na morzu sprawia zawsze jakieś niewyraźne uczucie w okolicy serca.

Brzask poranny zakończył mój spoczynek nocny; wyglądam przez okienko i widzę w niewielkiej odległości strome białe skały, wznoszące się wśród lekko falujących wód. To wybrzeże potężnej Anglii, jesteśmy więc już w kanale. Płyniemy wciąż wśród brzegów; wszędzie monotonna biała kreda, mało drzew, co chwila widać jakiś fort lub baterję. W Southampton (Sausamtn) zabieramy na pokład podróżnych z Anglii.

Dziś podróżni 2-ej kajuty przyjęli na siebie obowiązek bawienia towarzystwa, więc urządzają koncert, na który otrzymujemy zaproszenie.

W taki sposób i drugi dzień na wodzie upłynął mi spokojnie i przyjemnie. Przerażliwy świst a raczej ryk maszyny okrętowej, powtarzający się co kilka minut, zbudził mię trzeciego dnia około 6-ej godziny rano. Wyglądam przez okienko, lecz w jakimś dziwnem półświecie niczego dojrzeć nie mogę, więc szybko ubieram się i biegnę na pokład. Nieprzyjemne, wilgotne zimno przenika mię do kości; ze zdziwieniem spostrzegam, że statek nasz przedziera się przez kłęby mgły tak gęstej, że stojąc na przodzie, nie można dojrzeć tylnej części okrętu. Poruszamy się zaledwie połową pary, sam kapitan stoi na pomoście rozkazowym, co chwila rozlega się przeraźliwy ryk parowej trąby morskiej (syreny), — widocznie coś nie w porządku. Grzeczny oficer, widząc me zakłopotanie, uspokaja, że nic złego się nie stało, tylko z powodu mgły trzeba było zarządzić wszystkie środki ostrożności, które widzę. Niemasz bowiem dla okrętu na oceanie większego wroga nad mgłę. Z największej burzy olbrzym taki, jak Normanja, drwi sobie, lecz podczas mgły może się łatwo zetknąć z drugim statkiem. Mimo bowiem, że przestrzenie oceanu rozciągają się w nieskończoność, to tor, po którym pływają okręty, jest stosunkowo tak wąski, że zderzenia się dwóch statków nie należą wcale do rzadkości.

Na me nieśmiałe zapytanie, czy przewidziano, co czynić na wypadek rozbicia się okrętu, odpowiada oficer z uśmiechem, że taka ewentualność jest u Normanji prawie wykluczona. Przedewszystkiem posiada statek podwójne dno, powtórne jego zrab jest podzielony, począwszy od dolnego pokładu, na 10 części, odosobnionych od siebie zupełnie nieprzemakalnymi ścianami, więc jeden albo nawet i kilka otworów nie powodują jeszcze bynajmniej zatonięcia okrętu, gdyż ten płynie sobie spokojnie dalej, choćby kilka takich oddziałów nappełniło się wodą. Zresztą potężne pompy parowe robią swoje, — a wkońcu — „patrz pan“ — dodał, wskazując ręką na olbrzymie łodzie, zawieszone w górze nad pokładem w wysokości najwyższych pomostów, — „to są patentowane łodzie ratunkowe. Takich łodzi masz pan na Normanji 12, w każdej pomieści się do 100 osób, a wszystkie są zaopatrzone już teraz w wodę, w prowiant, żagle, Kompas, mapy i t. p. tak, że mogą bezpiecznie wytrzymać dłuższą podróż po oceanie. Załoga jest dobrze wyćwiczona, i każdy wie, do której łodzi należy i co ma czynić w razie wypadku, np. pożaru lub rozbicia.

„Oprócz tego mamy kilka składanych łodzi ze smołowego płótna żaglowego, a w swej kajucie znajdziesz pan i korkową przepaskę“.

Uspokaja mię nieco to wyjaśnienie oficera, choć wolałbym, żeby mgły nie było.

Jakoż na szczęście zaczyna ona znikać około godziny dziesiątej rano, i śliczny letni dzionek w pełnym zajaśniał blasku.

Spoglądam dookoła... ani śladu lądu, lecz sam tylko lazurowy falisty Atlantyk...

Bądź mi pozdrowion ty piękny, nieskończony Oceanie! Szczęśliwym, żem cię poznał i pokochał całym sercem swoim! Na twych szafirowych nurtach czułem się swobodnym, spokojnym, wolnym od trosk, bo twoje wody i powietrze są cudownym, orzeźwiającym nektarem dla nerwów śmiertelnika!...

Stado delfinów przemyka się tuż obok okrętu. Cóż to za pocieszne stworzenia te delfiny! Można godzinami bez uprzykrzenia przypatrywać się ich pływom. W gęsim szeregu płyną obok okrętu nadzwyczaj szybko, bo widocznie niewiele sobie robią z chyżości Normanji, przepędzając ją wedle upodobania. Prawie ciągle wyskakują nad powierzchnię morza i w komiczny sposób w wielkim łuku spadają napowrót — głową naprzód — do wody.

W całej podróży przez ocean są one wiernymi towarzyszami i przyjaciółmi okrętu. Spostrzegłszy, choćby bardzo zdaleka statek, pędzą, jakgdyby na wyścigi, dopóki go nie dogonią, bo wiedzą, że resztki z kuchni okrętowej nagrodzą ich sympatje.

Mimo że na dworze najpiękniejsza pogoda, zarówno barometr jak też i kapitan na jutro przepowiadają burzę. Jakoż rzeczywiście silne kołysanie okrętu, szum wiatru i bicie fal o ściany statku budzą mię przed świtem; niema wątpliwości, burza morska w całej swej potędze. Okienko kajuty zaciemnia się od czasu do czasu zupełnie, bo każda fala, która uderzy w okręt, odbiera nam światło. Z trudnością tylko potrafię się ubrać, o chodzeniu prawie mowy niema; każdy krok mimo trzymania się poręczy jest niezdolny; raz stąpa się za krótko, drugi raz za długo: wrażenie trzęsienia ziemi w najwyraźniejszej postaci. Uczucie, że grunt ucieka z pod nóg, odbiera energję, przywykliśmy bowiem do stałej podstawy, ale bądź-że tu odważny, gdy kilka desek, skleconych razem, chwieje się pod tobą, jakgdyby się chciały rozlatywać; nawet postawy bohaterskiej nie możesz przybrać, bo runiesz jak długi.

Z sąsiednich kajut dochodzą mnie jęki: to choroba morska panuje w całej pełni. Dziwna to słabość i trudna do pojęcia, — bo jeżeliby samo kołysanie się statku było jej powodem, to można by twierdzić, że otrząsienie błony brzusznej, wewnętrzności i mózgu sprawia pewne przypadłości, — ale ja widziałem wypadki choroby morskiej podczas najpiękniejszej pogody. Jest to równocześnie choroba nerwowa i żołądkowa, a musi być bardzo nieprzyjemna, sądząc z jęków i wyglądu pacjentów nią dotkniętych; ja sam nie dałem się jej opanować. Pierwsze jej objawy okazują się w postaci wstępu do salonu jadalnego, — widocznie cierpienie nerwowe, gdyż taka sama obawa pewnych miejsc objawia się także u neurasteników. Pacjent ma dobry apetyt i je chętnie na pokładzie, ale do salonu nie pójdzie za nic w świecie, bo jest pewny, że tam wybuchnie choroba w swej najnieprzyjemniejszej postaci. Poznajemy więc chorych bardzo łatwo po tem, że nie zjawiają się na dole podczas jedzenia; w dziwny sposób ludzie się wstydzą tej choroby, — i każdy stara się ile możliwości nie dać tego poznać po sobie, udaje zucha, a na wytłumaczenie swej nieobecności przy stole skomponuje zawsze jakąś bajkę, w którą, naturalnie, nikt nie wierzy.

Czas trwania choroby jest różny, od kilku godzin do kilku dni; są jednakże wybrańcy losu, którzy kładą się w Hamburgu, a wstają w Nowym Jorku. Środków przeciwko tej chorobie nie ma żadnych, jak też i nikt nie może być pewnym, że jej nigdy na morzu nie dostanie. Starzy bowiem majtkowie zapadają nieraz na nią podczas silnej burzy. Co do mnie, to ja uważałem, ażeby miernie jadać i pić koniak, i to mi świetnie służyło.

Staram się wszelkimi siłami wydostać nazewnątrz. Udaje mi się to, ale prawie na czworaku. Jestem już w salonie do palenia, bo na pokład wyjść nie można z powodu bicia fal. Trzymając się oburącz kanapki, przykutej do podłogi, spoglądam przez okna na ten majestatyczny widok, który się przede mną roztacza. Na miejscu szafirowych wspaniałych fal widzisz ciemnozielone góry wody, które spienione, jakgdyby przysypane na szczycie śniegiem, pędzą jedna za drugą i uderzają z wściekłością o Normannję, przelewając się przez pokład. Raz jesteśmy w dole, z którego nic więcej nie widać, prócz wału najbliższej góry wodnej, drugi raz na szczycie, z którego także, skutkiem wielkiego falowania, widok jest bardzo mały.

Mimo zakazu udaje się nas kilku na pokład i, przyczepiwszy się do poręczy, oddajemy się wrażeniom burzy morskiej, nie

troszcząc się o to, że już w pierwszej chwili przemakamy do nitki.

Obraz wspaniały, majestatyczny! Oto Normanja zapadła się w przepaść; przed nami potężny ciemnozielony wał ze spienionym grzbietem, który nas niechybnie wkrótce pochłonie; wiatr wyje i jęczy na morzu, a szumi, gwizdże w masztach i linach okrętu, góra wodna coraz bliżej... już, już... przy nas, wtem... gwałtowne pochylenie okrętu — zamykam oczy, — czuję uścisk chłodnej wody morskiej, fala przebiegła z nadzwyczajną chyżością przez cały pokład i... już po katastrofie. Zwycięska Normanja buja teraz wysoko, — otwieram oczy i z trudnością patrzę przed siebie. Ocean jakby znikł, — to nie woda, co widzę, — to jakieś potężne góry pasmowe poukładane w równoległe szeregi o szczytach pokrytych śniegiem.

Zarówno lunch (lencz — śniadanie), jako też i wieczorem obiad odbyły się z pewnemi przeszkodami. Mimo bowiem krątek, pozakładanych na stoły, zlatywały ciągle talerze i szklanki — a często i sam uczujący runął z krzesła na podłogę ku ogólnej wesołości. Pań nie widać wcale, a i między mężczyznami szeregi ogromnie przerzedzone. Ale i co się tyczy zdrowych, trzeba przyznać, że ucztowanie podczas rzucania i szarpania człowiekiem na wszystkie strony — nie należy do wielkich przyjemności.

W nocy nie mogę spać nie z powodu wycia wichrów i bicia fal, lecz dlatego, że raz rzuca mną o jedną, raz o drugą ścianę łóżka. Nad rankiem zmniejszyła się gwałtowność burzy, rano burza ustała i tylko silne fale przypominały jej wczorajszą gwałtowność, mimo to ten szósty dzień podróży nie należał do przyjemnych, bo zjawiła się mgła, połączona z dotkliwym wilgotnem zimnem. Więc znów ciągle rozzdzierające uszy sygnały syreny (trąby parowej), znów brak widoku i to dziwne jakieś półświatło, które sprawia, że morze i powietrze wydaje się jakby jedna masa.

Z nudów zbiegam do trzeciej klasy, t. zw. międzypokładu, napelniwszy przedtem wszystkie kieszenie owocami i łakociami z naszego stołu. Niedługo potrzebuję szukać; dźwięk polskiej mowy uderza mile o uszy, — widzę całe towarzystwo wychodźców z pod Tarnowa i Gorlic. Częstość dzieci i wdaję się ze starszymi w rozmowę. Jadą do kopalń węgla, zarabiają tam po 2 dolary dziennie. Czy nie żal im za krajem? „A ino“, właśnie dlatego, że żal, to jadą, — zarobią sobie dużo pieniędzy i oczyszczą

z długów swe grunty, lub kupią nowe. Ten i ów wylicza, ile już dolarów posłał z Ameryki do kraju.

Właśnie podają obiad dla podróżnych III-ej klasy: rosół, kawał chleba, wołowinę i soczewicę z wieprzowiną. Wszystko bardzo apetycznie wygląda, humory przytem doskonałe. Sypialnie są przestronne, dość wysokie, łózek jest przeszło tysiąc, jednakże bez pościeli.

Następny dzień podróży, t. j. siódmy, był pełen niespodzianek. Przedewszystkiem, zanurzwszy się rano w wannę kąpielową, jeszcze prędzej z niej wyskoczyłem, bo woda była straszliwie zimna, 7^o C. Steward (cz. stiuard) okrętowy miał ode mnie nakaz, aby mi wody nigdy nie ogrzewał, tylko nalewał do wanny świeżą wprost z morza, i dopóki byliśmy na środku Atlantyku w dziedzinie prądu zatokowego (Golfsztromu), a więc w temperaturze 17—19^o C, to uchodziło całkiem dobrze, ale dziś zawiodło, bo znajdujemy się obecnie pod ławicą nowofundlandzką w dziedzinie zimnego prądu biegunowego.

Wyjątkowo więc każę sobie ogrzać kąpiel parą i śpieszę czem prędzej na pokład, na którym panuje jakiś ruch niezwykły. Oto woddali ukazało się kilka wielorybów; spostrzega się wyraźnie dwa wodotryski, a raczej strumienie pary wodnej, którą kolosy te przez nozdrza wypuszczają. Niestety, nie przepłynęły od nas tak blisko, abym mógł strzelać do nich, nie będę więc mógł kiedyś opowiadać swym wnukom, że polowałem na wieloryby.

Zaledwie zniknęły te olbrzymie ssaki, gdy morze nam znów drugą przygotowało niespodziankę. Na horyzoncie ukazuje się coś białego, więc skierowaliśmy lunety w to miejsce. Żaglowiec, czy nie żaglowiec? Nie... to nie dzieło rąk ludzkich! To lśniący lodowiec (góra lodowa), daleki przybysz z któregoś fiordu lodowego Grenlandji. Obecnie (początek sierpnia) rzadziej je tu widać, lecz w maju i czerwcu spotyka się ich codziennie, dlatego w tym czasie okręty, nakładając nawet drogi, wybierają szlak bardziej południowy.

Następny dzień, t. j. ósmy naszej podróży, słoneczny jest i ciepły. Przyjemna kąpiel w ciepłej wodzie zdradza prąd zatokowy. Woda ma śliczną ciemno-szafirową barwę; mnóstwo w niej morskich, pni drzewnych, owoców i t. p. rzeczy z dalekiego południa.

Nareszcie nadchodzi tak upragniony dziewiąty dzień naszej podróży, w którym mamy wysiąść na lądzie amerykańskim. Z zakątków swoich powylazili chorzy; wystrojeni i odświeżeni

drwią sobie z morza i wypierają się choroby morskiej, twierdząc, że to było zupełnie co innego. Wszystko ma odświętny wygląd. Panie pochowały swe zgrabne marynarskie czapeczki i powkładały olbrzymie kapelusze, na których widać całe muzea zoologii i botaniki. Yankesi pozaciągali wysokie, jak wieże, popielate cylindry, nie zważając, że one tak mało chronią przed upałem.

Na morzu wesoło i rojno; ze wszystkich stron pędzą parowce i żaglowce ku jednemu punktowi, t. j. ku przystani Nowego Jorku. Łodzie rybackie pozdrawiają nas flagami i okrzykami załogi. Jednakże woda straciła już swą śliczną szafirową barwę, a przybrała brudno-zieloną; widać, że jesteśmy blisko lądu. Lecz gdzież ten ląd — napróżno wytężam oczy, niczego dojrzeć nie mogę.

Nareszcie na widnokręgu zaczyna coś szarzeć: ląd!... ląd!... jakoż rzeczywiście za chwilę wyłaniają się żółte piaszczyste wydmy, których całą ozdobę stanowi tu i owdzie latarnia morska lub słup sygnałowy.

Za chwilę trzeba się będzie pożegnać z naszym okrętem, i dziwna... ogarnia mię żal za nim, jakbym opuszczał dom rodzinny. Podczas takiej długiej podróży morskiej przywiązuje się człowiek do swego statku, jak do jakiej żywej istoty, gdyż czuje wdzięczność dla tych skleconych desek, których wytrzymałość ochroniła go od śmierci w bezdnach oceanu.

Żegnam więc każdy kącik statku, na którym tyle przyjemnych chwil spędziłem, i udaję się na przód okrętu na górny pokład, aby napawać się widokiem przystani, stanowiącej klucz do Północnej Ameryki.

Nowy York¹⁾

W. Witkowski (Wypisy Krubera).

W pół godziny po wpłynięciu do zatoki Niujorskiej widać już było ziemię naokoło, a otwarty ocean zajmował tylko nieznaczną część horyzontu na wschodzie. Ukazywały się budynki, wille zamiejskie, zaczęły się napotykać okręty i parowce. Oto — dawno oczekiwana latarnia morska! Oto i piaszczysty

¹⁾ New-York, czyt. Niu Jork.

przyładek Sandy, cały zabudowany drewnianymi barakami i fabrykami.

Nakoniec mineliśmy kilka wysepek i horyzont ze wszystkich stron zamknięty został brzegami. Parostatek zwolnił biegu; na przeciw nam płynie maleńki amerykański stateczek z przewodnikami i jakimiś urzędnikami. Zatrzymaliśmy się u samego wejścia do górnej przystani więcej niż pół godziny. Władze amerykańskie życzyły sobie wiedzieć, kto i po co przyjechał. Podchodziliśmy pokolei do urzędnika i wskazywali swoje nazwisko, zajęcie, cel przybycia, lub miejsce, dokąd zamierzamy jechać dalej. Zapisawszy te wiadomości, urzędnik wydawał każdemu karteczkę, którą należało przedstawić przy wyjściu na przystani. Pasażerowie 3-ej klasy podlegali prócz tego oglądzi-nom lekarskim, ale bardzo powierzchownym. Tymczasem z pokładu można było się już rozkoszować widokiem oddalonej panoramy Nowego Jorku. Najwyżej wznosiła się złocona kopuła, która, jak się okazało, nie była kościołem, jak sądziłem, lecz gmachem giełdy. Dalej zwracały ogólną uwagę: wiszący most Brukliński i kolosalna statua Wolności.

Gdy parowiec ruszył dalej, panorama Nowego Jorku stawała się coraz bardziej urozmaiconą; najbliższe brzegu gmachy zakryte były całym lasem masztów okrętowych. Podobno pod względem rozmiarów i piękności port Nowojorski zajmuje trzecie miejsce na świecie, mianowicie po Konstantynopolu i Rio Janeiro (czyt. Żaneiro). Oto mineliśmy już posąg Wolności i wpłynęliśmy do rzeki Hudson. Rzeka ta koło Nowego Jorku ma z półtóry wiorsty szerokości, a brzegi jej całkowicie są zabudowane przystaniami różnych towarzystw okrętowych. Minąwszy liczne przystanie, parostatek zupełnie się zatrzymał, choć trzeba mu było skręcić pod kątem prostym, aby wpłynąć do wąskiego przedziału pomiędzy dwiema przystaniami. Jednak, pomimo znacznej szerokości rzeki, nasz olbrzym nie miał dość miejsca do wykręcenia się, i zadanie to wzięły na siebie dwa maleńkie stateczki. Jeden z nich ciągnął tył parowca, drugi zaś z przeciwnej strony pchał go swoim dziobem. Czynność ta trwała całe 20 minut, i tylko tutaj, wśród innych blisko stojących lub przepływających statków, można sobie było wyrobić pojęcie o wielkości naszego parowca, który stał się teraz zupełnie bezsilnym.

Stojąc cały czas na pokładzie, przypatrywałem się pierwszemu miastu amerykańskiemu, jakie mi się dotąd zdarzyło widzieć. Gdy w miastach europejskich pierwsze, co się rzuca

w oczy w nowem mieście — to wieże kościołów, tu — nie widać ich prawie wcale. Wyróżniają się tylko wierzchołki najwyższych domów, t. zw. „drapaczów nieba“, i gęsta sieć drutów telegrafu i telefonu. Na przystaniach i na brzegu dużo ludzi i zwykły w mieście portowem zamęt.

Nakoniec statek przybił do przystani. Spuszczono pomost; można już wychodzić na stały ląd. Jakaż to przyjemna rzecz po nużącym sześciodniowym pobycie na statku! Ale niema czasu do rozmyślań. Żegnam się prędko z towarzyszami podróży i kieruję się ku przystani, aby jak najprędzej stanąć na ziemi amerykańskiej.

Przystań parowców w Nowym Yorku przedstawia się jako ogromna szopa drewniana, która służy za salę dla publiczności oraz skład bagażu do rewizji. Tam też zjawilo się zaraz kilku komisjonerów głównych hoteli i pewnego towarzystwa, zajmującego się przewozem bagażu. Oddawszy kartkę, otrzymaną od urzędnika celnego, jednemu z tych oficjalistów, zawiadomiłem go, że zamierzam stanąć w hotelu Centralnym i w ten sposób pozbawiłem się wszelkich kłopotów z bagażem. Wszystko to są zapewne drobne szczegóły, wspominam jednak o nich dlatego, że się później przekonałem, iż podobni funkcjonariusze spotykają podróżnych, przybywających do Ameryki, na wszystkich pociągach i parostatkach i wybawiają ich za umiarkowaną cenę od tysiącznych kłopotów, z odbiorem i przewozem rzeczy związanych. Jeszcze jedna rzecz charakterystyczna: gdyśmy chciał komisjonerowi dać coś na piwo, ten mi powiedział: „porzuć pan swoje europejskie przyzwyczajenia, jestem takim samym džentlmenem,¹⁾ jak i pan.“

Tak więc z przystani parostatków poszedłem wprost na miasto, zamierzając przybyć do hotelu nieco później, gdy już będą na miejscu moje rzeczy. Przeszedłszy kilka ulic, znalazłem się na głównej, przecinającej wzdłuż cały New-York — to znana ulica, Broodway. Tu kupiłem sobie plan i zacząłem się rozglądać po mieście.

Nowy York zbudowany jest na wyspie Manhattan, która ma około 20 kilometrów długości, a nie więcej, niż 3 kilometry szerokości. Leży ona przy samem ujściu rzeki Hudson, ograniczającej wyspę z zachodu, ze wschodu zaś wyspa objęta jest cieśniną morską East-River (cz. Ist Riwer). Południowa część miasta,

¹⁾ Gentleman, czyt. džentelmen — obywatel.



Posąg wolności w porcie Nowego Yorku.

najbliżej oceanu leżąca, jest najstarsza; zbudowana była jeszcze przez Holendrów, pierwszych osadników tutejszych. W części tej ulicy są po większej części krzywe i wąskie. Pozostała część miasta, która zabudowała się stopniowo później, przedstawia prawidłową sieć podłużnych i poprzecznych ulic. Ulice podłużne w liczbie 12-tu, tak zwane „avenues“ (cz. aweniu), poszczególnych nazw nie posiadają, tylko oznaczają się kolejnymi numerami od wschodu ku zachodowi. Również poprzeczne ulice, tak zwane streets (cz. strits), w liczbie 217, przecinające avenues pod kątem prostym, mają za nazwy numery porządkowe, idące z południa na północ. System taki nadzwyczaj ułatwia odszukanie adresów i orjentowanie się w planie miasta.¹⁾ Numer ulicy daje nam odrazu wyobrażenie o położeniu miejsca. Ulica Broadway przecina całe miasto po przekątnej i stanowi główną arterję Nowego Yorku. Dla udogodnienia komunikacji służy mnóstwo linii tramwajowych, tak iż na niektórych avenues przeprowadzono po cztery pary szyn, prócz tego urządzone są jeszcze napowietrzne parowe koleje żelazne, zapewniające dogodny i szybki



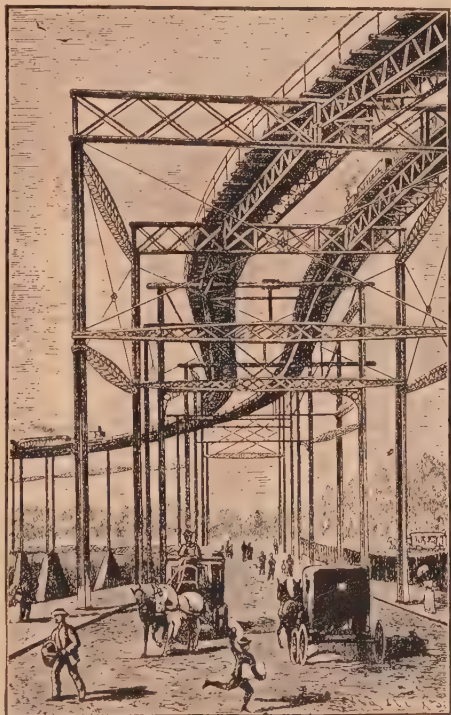
Ulica Broadway w Nowym Yorku.

przejazd na dalekie odległości. Te napowietrzne koleje urządzone na osobnych pomostach, podtrzymywanych rzędami słupów żelaznych na wysokości drugiego lub trzeciego piętra do-

¹⁾ Np. Adres: 120 E. str. 46 oznacza, że dany dom pod Nr. 120 leży po wschodniej stronie ulicy poprzecznej 46-ej z rzędu, licząc od południa.

mów. Pomosty te ułożone są albo pośrodku, albo zboku ulicy. Na niewielkich odległościach, mniej więcej co wiorsta drogi, na skrzyżowaniu ulic, urządzono stacje w postaci prostego rozszerzenia tych pomostów powietrznych, a od każdej stacji idą na dół schody, do schodzenia lub wchodzenia służące. Jakkolwiek takie drogi żelazne są bardzo dogodne w mieście, to jednak z drugiej strony szpecą one i zaciemniają ulice. Nieprzyszwyczajony przechodzień wzdyga się przy każdym przejściu pociągu ponad jego głową, a z góry sypie się masa kurzu.

Na głównych ulicach Nowego Yorku, pomimo niezmiernie szerokich tro-tuarów, panuje ścisk i tłok straszny. Przechodnie robią takie wrażenie, jakby się szalenie gdzieś śpieszyli. Wśród tłoku tu i owdzie kręcą się ustawicznie bose chłopaki, z ogromnemi pakami gazet, które się tu drukują w kilku codziennych wydaniach. Gazety bardzo są tanie; czytają się w przejściu lub w wagonach tramwaju, a po przeczytaniu rzucające się tuż na ulicę, wskutek tego ulice bardzo są zaśmiecone, tem bardziej, że prócz tego rzucają na nie skórki pomarańcz, bananów, arbuzów i t. p.¹⁾



Droga napowietrzna w Nowym Yorku.

¹⁾ Rano publiczność tramwajowa zachowuje się nadzwyczaj spokojnie. Każdy jest zagłębiany w lekturze swej rannej gazety, której treść musi znać, zanim przybędzie do biura, gdyż należy to do obowiązku każdego pracownika firm handlowych lub przemysłowych, żeby zapoznać się z wiadomościami dnia, na których w życiu ekonomicznem oczywiście dużo zależy; każdy więc przełożony firmy jest przekonany, gdy rano o 9 daje rozporządzenia, że podwładni jego dokładnie wiedzą, co się w nocy stało. Przypisek wdł. dr. Józ. Englicha (Kartki z podróży do Ameryki).

Przyjezdnym przedewszystkiem rzucają się w oczy uliczni czyszciciele obuwia. Trzeba nam zauważyć, że czyszczenie ubrania, a zwłaszcza obuwia nie wchodzi w zakres obowiązków służby w hotelach amerykańskich, kto więc nie ma czasu lub ochoty samemu się z tą czynnością załatwić, ten musi uciekać się do pomocy czyszcicieli ulicznych. Gdy w Europie zwracamy się do podobnych osobników tylko w razach wyjątkowych, tu mają oni bardzo dużą praktykę. W Europie czyszciciele nie posiadają żadnych szczególnych urządzeń, chyba marną jakąś ławeczkę. Tu, na skrzyżowaniu ulic, wznoszą się wysokie podstawy, na których stoi jedno lub dwa krzesła z aksamitnem obiciem; w ten sposób buty siedzącego znajdują się na wysokości piersi czyszciciela, który pracuje stojąc. Ponad krzesłami umocowane są niekiedy parasole, chroniące klientów od palących promieni słońca. Na krzesło siadamy z całym komfortem i w czasie czyszczenia czyta się zwykle gazetę, aby czasu nie tracić. Prócz takich wykwinnych czyszcicieli są też i inni, podrzędniejsi; są to zwykle chłopcy murzyńscy, naprzykrzający się przechodniom.

Wspomnieliśmy o Murzynach. W Nowym Yorku niewielu ich znajdziemy, bądź co bądź jednak zdarzają się na ulicy rozmaici tak zwani „kolorowi“. Wszyscy ubierają się tak samo, jak biali, i nie wywołują w nikim zdziwienia. Do kolorowych należą też i Chińczycy, zajmujący się w Nowym Yorku rzemiosłem praczek. Mówią, że Chińczycy są najlepszymi praczkami na świecie. Noszą swój kostjum narodowy i długie warkocze.

Za główną osobiwość Nowego Yorku uważam jego park Centralny, zajmujący środek miasta i przedstawiający prostokąt, który ma 5 kilometrów długości i blisko 1 kilometr szerokości. W południowej części parku ciągną się w różnych kierunkach wspaniałe drogi i ścieżki, asfaltem pokryte. Nachodziwszy się po kamiennych i asfaltowych trotuarach na mieście, nieprzyjemnie jest przechadzać się i tutaj po asfalcie. Ale to jest tylko w tej części parku; dalej idą doskonałe drożyny, piaskiem wysypane i wybornie ubite. Czego tam nie znajdziemy w tym parku! Zaczynając od dzikich skał pierwotnych do najwyszukańszych dzieł sztuki! Staw ogromny z mnóstwem mostów i przystani dla łodzi, zwierzyńiec, plac z altaną dla orkiestry. Dalej zaczynają się dziwaczne zwroty i wygięcia ścieżek, a miejscowość zaczyna się stawać falistą. Spotykają się skały i całe obszary, pierwotnym lasem pokryte.

Przezorni Yankesi,¹⁾ wyrównawszy wzgórze i wyciąwszy lasy na półwyspie Manhattan dla przeprowadzenia ulic, pozostawili jednak prawie w stanie dzikim miejscowość na park przeznaczoną. Przeprowadzili w niej tylko mnóstwo dróg i ścieżek. Ta mieszanina dzikiej przyrody z kulturą nadaje widokowi wielki powab i urozmaicenie. To też, zdaje się, można śmiało powiedzieć, że żadna stolica w Europie nie może się poszczycić podobnym parkiem, do tego w środku miasta położonym.

Mówiąc o parku, niepodobna nie wspomnieć o ogromnym sztucznym rezerwarze wodnym Krotona, zajmującym w pół-



Most Brukliński.

nocnej części parku obszar długości kilometra, a pół kilometra szerokości. Mieści on w sobie zapas wody dla całego New-Yorku, którą sprowadza się rurami z rzeki Kroton o 40 mil na północ od miasta, gdyż woda Hudsonu wskutek zanieczyszczenia oraz pewnej słoności, spowodowanej przyływami morskimi, niezdatna jest do picia.

Druga osobliwość miasta, uważana nawet za jeden z cudów

¹⁾ Taką nazwę daje się Amerykanom.

Nowego Świata — to most Brukliński¹⁾ pomiędzy Nowym Yorkiem a Bruklinem przez cieśninę morską East-River. Jest to most wiszący, umocowany na dwóch olbrzymich filarach. Żeby dać możność przepływania pod mostem największym okrętom z ich masztami, most jest tak wysoki, że trzeba się na niego wznosić po osobnych schodach. Widok z mostu jest zachwycający. Można się rozkoszować nie tylko panoramą okolicznych miast, ale też i widokiem morza na daleką odległość. Na moście urządzono: szeroką drogę pośrodku — dla pieszych, dwie boczne drogi dla ekwipaży, na koniec również dwie drogi sznurowej kolei żelaznej, poruszającej się zapomocą liny stalowej bez końca. Głównem zadaniem przy budowie tego mostu było wystawienie dwóch ogromnych wież, w bliskości brzegów, ale już w wodzie. Wieże te służą do podtrzymywania ogromnych lin drucianych, na których most jest zawieszony, a których końce umocowane są w osobnych podstawach kamiennych, znajdujących się już na brzegu.

Nakoniec trzecią osobliwością Nowego Yorku jest statua Wolności, rzucająca się przedewszystkiem w oczy każdemu, kto drogą morską przybywa do tego miasta.

W południowej części miasta na odległości $2\frac{1}{2}$ km. od brzegu leży wysepka, na której wznosi się ten posąg olbrzymi, który już widziałem z oddalenia, dopływając na okręcie do portu. Chcąc go obejrzeć zbliska, udałem się pociągiem napowietrznej kolei żelaznej do południowego krańca miasta, szczęśliwie trafiłem na sam odjazd małego statku i w towarzystwie kilkudziesięciu turystów popłynąłem ku wysepce.

Statua Wolności olbrzymiemi swemi rozmiarami istotnie silnie sprawia wrażenie. Na piedestale wysokości 47 metrów stoi figura kobieca z brązu 34 metry wysoka, z podniesioną do góry ręką, trzymającą pochodnię. Od stóp posągu do wierzchołka pochodni liczy się 45 metrów. Wejście do wnętrza statui jest bezpłatne, płaci się tylko za parostatek.

Wewnątrz piedestału urządzono wspaniałe schody kamienne, a dalej wewnątrz statui — lekkie kręcone schody żelazne, i to podwójne, aby wchodzący nie stykali się z idącymi na dół. Dolne schody kamienne mają 195 stopni, górne żelazne — 154. Wzniósłszy się po tych schodach, znaleźliśmy się w głowie sta-

¹⁾ Długość 1825 metrów. (Długość mostu pomiędzy Warszawą a Pra-
gą — 446 metrów). (Przyp. red.).

tui i przez otwory w koronie mogliśmy się rozkoszować cudnym widokiem okolic. Nowy York i Bruklin widać stąd jak na dłoni. Ale z górnego placyka pod szyją idą jeszcze drugie wąziutkie schodki wewnątrz podniesionej ręki aż do samej pochodni. Po tych schodach, których jest 54, wyszliśmy na okrągły balkonik niewielki, na którym jednak pomieścić się może dziesięć osób. Stąd rozpościera się widok jeszcze piękniejszy; szczególnie przyjemnie jest patrzeć na parowce, snujące się w wielkiej liczbie po zatoce i rzece Hudson. Niestety, silny wiatr na tym balkoniku nie pozwala na dłuższe tam zatrzymanie się, tak iż daleko lepiej i spokojniej można się rozglądać po okolicach przez otwory w głowie statui.

Statua Wolności jest dziełem Bartoldi'ego, znakomitego rzeźbiarza francuskiego. Chcąc nadać posagowi rozmiary kolosalne, rzeźbiarz ten doszedł do wniosku, że nie można odlać statui w postaci jednej masy, i umyślił zrobić posąg z mnóstwa oddzielnych blach miedzianych, umocowanych na żelaznym szkielecie. Statua była darem Francji dla Stanów Zjednoczonych. Odsłonięto ją uroczystie w roku 1886 i w jej pochodni umieszczono olbrzymią latarnię elektryczną, którą się co noc zapala.

D r a p a c z e n i e b a

Stefan Wł. Bryła („Ameryka”).

Pojęcie „Nowy York“ łączy się w umyśle Europejczyka w pierwszym rzędzie z tak zwanymi „drapaczami nieba“. Są to olbrzymie budynki o kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu piętrach; stanowią one szczególną osobliwość wielkich miast Stanów Zjednoczonych.

W Nowym Yorku mieszczą się właściwie w jednej tylko dzielnicy, w południowej części wyspy Manhattan. Tu jednak powstają wszelkie najśmielsze plany i przedsięwzięcia; tu wre najbardziej wytężona praca; tu kują się ogromne, niezinierzone nowojorskie bogactwa.

Opisywać drapacze nieba! — Który? — Jest ich tyle! — Największy? najświetniejszy? — „Największy“ jest jeszcze w budowie; miano „najświetniejszego“ każdy sobie przywłaszcza. Więc to, co powiem, dotyczyć będzie przeciętnego, typowego „drapacza“.

Skąd powstały? — Nagromadzenie się tylu interesów rozmaitych, podniesienie się ogromne cen gruntu spowodowało, że nie opłacały się budynki cztero, pięcio, dziesięcio nawet piętrowe. A że w Nowym Yorku i prawie we wszystkich miastach amerykańskich niema żadnych przepisów pod względem wysokości budowli, przeto inżynierowie, stosując coraz nowsze i coraz lepsze systemy budowania, szli coraz śmielej i wyżej. Najwyższy z wykonanych drapaczy „Metropolitan Life Building“ (Metropoliten-Lajf Bölden — Miejski gmach ubezpieczeń) ma pięter 50. Wysokość jego wynosi 225 metrów. Ale przewyższa go szkieletem swym żelaznym budujący się nowy drapacz nieba, który po wykończeniu będzie miał 240 metrów wysokości, przy 55 piętrach. A istnieją projekty, plany gotowe jeszcze wyższych drapaczy.

Taki drapacz żyje właściwie tylko od rana do piątej, szóstej godziny po południu; potem pustoszeje zupełnie, jak cała ta dzielnica miasta. Nikt tu nie mieszka, tu pracuje się tylko.

Wchodzimy przez wspaniałą często portal do korytarza, oświetlonego lampami elektrycznymi. W nim rząd sklepów; zwykle jakaś drogerja, dalej sklep z cygarami, sklep z maszynami do pisania, książkami i t. d. W środku, na widocznym miejscu spis „lokatorów“ oraz numery ich pokoiów. Zaznaczę tu, że każde piętro zaczyna się nową setką lokatorów, tak iż np. numer 1534 znajduje się na piętrze piętnastem. Nieco dalej cały rząd wind. Ilość ich jest zależna od wielkości budynku, czasem jest ich cztery, czasem dwadzieścia kilka; w nowobudującym się najwyższym drapaczu ma ich być około 40.

Nie zatrzymują się wszystkie na każdym piętrze. Parę z nich, t. zw. lokalnych, zwykle ponad dziesiąte, dwunaste piętro nie idzie. Kto chce udać się wyżej, bierze windę „express“ — na siedemnaste np., dwudzieste ósme piętro. A gdy nad wejściem ukaże się światło, niech wskakuje odrazu, gdy otworzą się kraty drzwiczek; nikt nań czekać nie będzie. Niekiedy tylko w hali wind stoi chłopiec, krzyczący, dokąd winda idzie: „na dół“, „do góry“, „express“, „piętnaste!“ i t. d. rozlega się wciąż. Niekiedy nawet winda nielokalna nie zatrzyma się, o ile dzwonkiem się jej nie uwiadomi, że chce się jechać w górę, czy też w dół.

Koło szeregu wind idzie na każdym piętrze korytarz, często wąski, gnący się raz i drugi, by miejsce jak najlepiej wykorzystać; wzdłuż niego — pokoiki ze szklanymi drzwiami, z nume-

rami na nich i nazwami firm. Ze wszystkich pokoiaków rozlega się terkotanie maszyn do pisania, pośpieszne, gorączkowe.

Drzwi czasem otwarte, czasem nie, ale w żadnym razie nie pukaj. Otwierasz sobie sam, mówisz piszącej pannie, z kim się chcesz zobaczyć. Jeśli zostaniesz przypuszczony, przechodzisz przez przedpokój do biura, ciągle w kapeluszu. Tu dopiero przy przedstawieniu zdejmujesz go. Jeśli masz nadzwyczajne wyjątkowe polecenia lub jeśli Amerykanin jest wyjątkowo grzeczny, wtedy wstanie, witając się z tobą, najczęściej jednak wskaże ci tylko krzesło obok. Siedzi na wygodnym, obracalnym krześle, w koszuli, z rękawami, często zawiniętymi (mowa, oczywiście, o cieplej porze roku); tylko kołnierzyka i krawatki zdjąć nie wolno; to nie uchodzi; na biurku ma telefon, czasem jeszcze i drugi, którego używa, gdy powstanie z krzesła na chwilę. Wszystkie obliczone jest na to, by czasu nie tracić. A przedstawiaj swój interes bez żadnych wstępów i załatwiwszy sprawę, odchodź natychmiast. W takim razie możesz na pewno spodziewać się dobrego przyjęcia. Biurko, półki — zawalone stosami papierów; co chwila wbiega chłopiec, oczywiście w czapce, czy w kapeluszu i składa nowe papiery. Tu się nie chodzi; tu się biega wciąż. Obok — szafka na kapelusz i marynarkę. Wreszcie butla z wodą, z lodem i parę szklanek przy niej. Na ścianach — kilka firmowych fotografii. To wszystko.

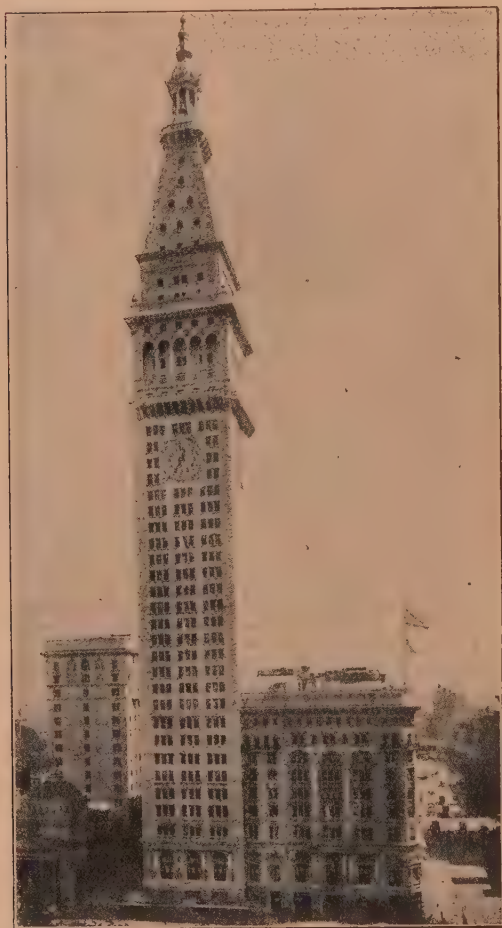
Zresztą więcej się nic nie zmieści; pokoje są niewielkie. Mało która firma może sobie pozwolić na luksus wynajmowania kilku czy kilkunastu pokoi, bo roczny czynsz za metr kwadratowy wynosi często 30, 50, 100 dolarów, nawet 500. Jeśli kto potrzebuje lokalu większego, łatwo to uczynić, bo ścianki działowe powstawiane są w ten sposób, że wyjęcie ich uskutecznia się bardzo szybko.

W takich to klatkach wre praca pośpieszna, szalona, o jakiej my prawie nie mamy pojęcia. Słychać tylko urywane trzaski maszyn do pisania, szum wind, przygłuszone dzwonki telefoniczne; czasem przez korytarz przemknie ktoś szybko, pośpiesznie; zaświeci się lub zgaśnie białe lub czerwone światło nad drzwiami windy, a za niem mignie i sama winda, przystając na krótką chwilę. Praca wre, pośpieszna, gorączkowa, robią się miliony, miljardy.

Pozwolę sobie podać parę liczb, świadczących o ogromie takiego drapacza nieba. Liczby te dotyczą najwyższego (nie naj-

większego) narazie drapacza. Jest nim, jak wyżej wspomniałem, Metropolitan Life Building (Metropolitan Lajf Bölden).

Budynek sam jeszcze drapaczem nie jest, ma bowiem tylko 11 pięter przy 54 metrach wysokości. Drapaczem jest dopiero



Metropolitan Life Building. Drapacz nieba w New-Yorku.

wieża, sięgająca 225 metrów. W budynku tym znajduje się 38 wind osobowych i 10 towarowych. Na szczyt wieży prowadzi jednak i schody o łącznej ilości 1053 stopni. (Niech kto próbuje!). Całkowita długość korytarzy wynosi prawie 7 kilometrów. Liczba lamp elektrycznych wynosi 30.000; długość drutów potrzebnych dla nich — 350 km.; długość drutów telefonicznych — 4.500 km.

Dodam jeszcze, że na wieży ponad pięciem dwudziestym piątem znajduje się ogromny zegar o prawie dziesięciometrowej średnicy, którego wskazówka minutowa ma 6 metrów długości. Zegar ten wygrywa co kwadrans parę taktów ze starego hymnu angielskiego. Wieczorem tarcza jego jest oświetlona

setkami lampek elektrycznych, a prócz tego każdy kwadrans i każdą godzinę zegar sygnalizuje daleko sięgającymi świetlnymi błyskami w odpowiedniej ilości, czerwonymi na kwadrans, białymi na godziny.

Czy drapacze nieba są ładne? Czy mogą być ładne? To kwestja, którą porusza się u nas najczęściej przez osoby, znające je tylko z widokówek lub opowiadań. Sąd, oczywiście, wypada przecząco.

A jednak, aby na pytanie to odpowiedzieć, trzeba drapacze nieba zobaczyć na miejscu; należy przybyć tu, do Nowego Yorku.

Dokoła drapaczów mnóstwo. Są między niemi zwykłe, prostackie, czworograniaste paczki, naszpikowane tysiącem regularnych otworów — okien; są inne urozmaicone nieco, ale w całości swej niezgrabne; są jeszcze inne w szczegółach bardzo ładne, w całości trochę przesadzone; ale ileż z nich jest harmonijnie, szlachetnie pięknych, w miarę ozdobnych!

Sądzę jednak, że nie jest to zupełne, racjonalne rozwiązanie sprawy. Drapaczy pojedynczo sądzić i rozpatrywać każdego z osobna nie należy. Aby o nich mówić, trzeba opuścić wyspę Manhattan, udać się czy to do przeciwległego Brooklinu, czy na jakieś przedmieście nowojorskie i stamtąd spojrzeć na tę dzielnicę Nowego Yorku, gdzie się zgromadziły drapacze.

Wtedy można ocenić estetyczną ich wartość i wydać o niej sąd słuszny. Stamtąd zdala patrzącemu ukażą się one jako jedna ogromna, wspaniała forteca, o wieżach olbrzymich, o basztach ogromnych; jako forteca, rysująca na niebie konturami swych drapaczów nierówną, skaczącą, nerwową linię.

Nierówną, jak nierówna jest kultura amerykańska, skaczącą, jak skaczący jest rozwój Ameryki, nerwową, jak nerwowem jest życie Amerykanina.

I dlatego linja drapaczów nieba tak doskonale charakteryzuje Amerykę, tak doskonałem jest jej godłem.

Wyspa Świętego Eljasza (Ellis Island)

Stefan Wł. Bryła („Ameryka”).

Wiadomo, że Stany Zjednoczone coraz nieprzychylniej patrzą na immigrantów z Europy. Już od szeregu lat nie przyjmuje się uboższych przybyszów z Europy ze zbyt otwartemi rękami. Muszą się wykazywać różnemi papierami, okazać 50-dolarową kwotę lub bilet na miejsce przeznaczenia, muszą się poddać oględzinom lekarskim i egzaminowi z umiejętności czytania,

i dopiero gdy te wszystkie badania i egzaminy wypadną dodatnio, wolno im dotknąć stopą amerykańskiej ziemi.

Miejszem tych smutnych badań i egzaminów jest w Nowym Yorku Ellis Island (cz. Ellis Ajland).

Jest to mała wysepka, oddalona o dwa mniej więcej kilometry od południowego krańca Nowego Yorku. Co godzina kursuje prom pomiędzy miastem a wyspą zupełnie bezpłatny; trzeba jednak wykazać się odpowiedniem pozwoleniem na przejazd.

O tem nie wiedziałem, musiałem się więc tłumaczyć, legitymować, i dopiero gdy poznano, że jadę tylko jako „visitor“ (zwiedzający), pozwolono mi wejść na prom.

Odrazu można poznać, że nie do spacerów prom ten służy. Brudny, zaśmiecony. Na ławkach, prócz kilkunastu zwiedzających, są jeszcze liczni krewni czy znajomi imigrantów, po nich przybywający. Z wolna drapacze nieba nowojorskie oddalają się, ukazując swe wspaniałe kontury; przed nami na prawo — wysepka (Liberty Island) z ogromną statua Wolności; z boku ukazują się czerwone mury budynków na Ellis Island. Wreszcie dobijamy do niej.

Nam zwiedzającym nie wolno wszędzie się kręcić. Dostaliśmy kartkę z wyszczególnieniem, gdzie i którędy iść mamy. Winda wiezie nas na drugie piętro, na galerję wielkiej sali inspekcyjnej. Środek sali zajmują ławki drewniane. Na nich widzimy dziesiątki, setki ludzi, świeżo przybyłych z okrętu. Czekają tu na badanie, na wyrok. Obok każdego kufry, paczki, tłumoki najrozmaitsze, powiązane sznurami — cały ich majątek. Mało kto siedzi spokojnie: kręcą się, powstają nerwowo co chwila, upewniają się wzajemnie, czy niepokoją wzajemnie. Małe dzieci płaczą, krzyczą. Co chwila jeden, drugi z pomiędzy siedzących usłyszy swoje nazwisko, wywołane przez urzędnika, chwyta swe paczki, przeciska się między szeregami ławek i idzie do stołu składać swoje zeznania.

W jednym końcu sali pod ogromnym amerykańskim sztandarem siedzą za stołem ci, od których zależy los imigranta. Jak biedaczysko drży, przystępując do nich! Jak bojaźliwie się tłumaczy! Jak z woreczka, gdzieś na piersi umieszczonego, wyciąga zatłuszczone, podarte, stare papierzyska, pokazując bilety, pieniądze! A gdy egzamin szczęśliwie wypadnie, jak cieszy się, że ma już wolny wstęp na ziemię amerykańską.

Ale egzamin nie zawsze wypada szczęśliwie. Niech imigrantowi brakuje paru dolarów do kwoty potrzebnej, niech po

nie mających pieniędzy nikt się nie zgłosi, niech lekarze jakąś chorobę znajdą, niech urzędnicy jakieś podejrzenie powezmą, wtedy badany immigrant musi pozostać na wyspie, aż do rozstrzygnięcia, do nadejścia np. pieniędzy, niekiedy musi powrócić do swej starej ziemi, którą chciał opuścić. Jeśli zostaje na wyspie, utrzymywać go musi kompanja okrętowa, która go przywiozła; jeśli mu powrócić każą, kompanja ta musi go odwieźć bezpłatnie.

Liczne sale i pokoje gmachu migracyjnego poprzedzielane są kratami z drutów żelaznych. Za kratami temi mieszczą się ci, którzy wybawienia, uwolnienia wyczekują. Jakże długo niekiedy! Niech list pisany nie dojdzie, niech co przeszkodzi mężowi, czy ojcu, czy bratu i nie przybędzie lub pieniędzy nie przyśle, a już czeka immigranta zamknięcie, więzienie tem straszniejsze, że się tu oczekiwało wolności, pracy, zarobku. Słyszy się tyle języków, widzi się tyle twarzy, tyle typów najróżniejszych, a i Polaków między nimi nie braknie. Wszyscy wyczekują znużeni, pomęczeni śmiertelnie na tej wysepce, której słuszenie można dać nazwę czyścica przedamerykańskiego. Zwiedzającemu mówić do nich nie wolno.

Rząd Stanów Zjednoczonych, dbający o odpowiednie kwalifikacje moralne immigrantów, rzadko stosunkowo i dopiero po długich badaniach pozwala kobietom bez towarzystwa męża, ojca lub brata opuścić zamknięcie w Ellis Island. To też najczęściej oni przybywają tutaj po nie.

Nietylko po kobiety zresztą przybyć muszą mężczyźni z rodziny; czasem po braci młodszych, nie znających angielskiego języka, nie wiedzących, gdzie, w którą stronę się obrócić.

Spotkanie odbywa się w osobnem, przeznaczonem na to miejscu.

Można się tam napatrzeć scen smutnych i wzruszających. Przechodziłem właśnie przez to miejsce. Nagle rozległ się płacz głośny, jakiś ryk poprostu. To jakiś człowiek wita się z żoną, która go tu już zdawna oczekuje. Sceny takie powtarzają się tutaj po kilka, kilkanaście razy codziennie.

Zwiedzałem i sypialnie immigrantów; mieszczą się tuż przy wielkiej sali na piętrze. Żelazne rusztowania; na nich po trzy łóżka jedno nad drugim; razem w niewielkim pokoju 30 do 40 łóżek. A z okien widok na „ziemię obiecaną“, na Nowy York.

Przechodzę do sal jadalnych. Tysiąc dwieście osób pomieścić się tu może. Wszystko jest przepisane: czas obiadowania,

wikt nawet codzienny, koszty, jakie kompanja okrętowa ma ponosić za utrzymanie immigrantów.

W tym samym budynku na dole są t. zw. pokoje kolejowe. Ci, co uzyskali pozwolenie na wylądowanie, co już tylko bilety kupić mają i Ellis Island opuścić, ci tylko mają tu wstęp. Obok poczekalni jest kasa biletowa i bufet. Tu za świeżo wymienione dolary zakupują immigranci zapasy żywności na drogę.

A kraty aż tu zachodzą; a za nimi jeszcze jakieś pokurczone, czekające postacie!

Królestwo samochodu

Zdzisław Dębicki („Za Atlantykiem”).

Patrząc na dzisiejsze rozpowszechnienie samochodów w Stanach Zjednoczonych, trudno uświadomić sobie, że to jeszcze tak niedawno po ulicach miast amerykańskich jeździły dorożki i wozy, zaprzężone w konie. Dzisiaj należy to już do rzadkości. Miasta przepełnione są samochodami.

W Europie, zwłaszcza po mniejszych miastach, mówi się jeszcze z dumą o tych, którzy posiadają samochody, w Ameryce niedługo będą wyśmiewali i pokazywali palcami tych, którzy samochodów nie mają.

Rozpowszechnienie ich jest nadzwyczajne. W Detroit (cz. Ditroit), które dzięki Fordowi stało się stolicą przemysłu automobilowego, przypada jeden samochód na czterech mieszkańców, to znaczy, że w przybliżeniu każda rodzina posiada swoje *auto*.

W innych miastach stosunek ten nie jest tak imponujący, w każdym jednak razie Paryż i Londyn nie mogą dorównać w tym względzie New-Yorkowi i Chicago (Czikago).

I nie tylko miasta wielkie są tak „usamochodowane”. „Ford”, który dzięki swej lekkości i wytrzymałości zdobył sobie największe rozpowszechnienie, posiada prawie każdy farmer (właściciel folwarku). Służy mu on nie tylko do wyjazdów w pole i do miasta, ale oddaje mu jednocześnie usługi jako siła pociągowa.

Równolegle zwycięski pochód przez całe Stany odbywa obecnie samochód ciężarowy. Współzawodniczy on zupełnie poważnie z kolejami żelaznymi i w handlu staje się nieodzownym.

Bo proszę sobie tylko wyobrazić. Kupiec hurtowy w mieście M. przyjmuje zamówienie na dostawę towarów do sklepu detalicznego w N. Normalnie musi te towary solidnie opakować, dostawić na kolej, zamówić i uzyskać podstawienie wagonu, załadować i wyprawić. Po przybyciu na miejsce odbiorcę czeka ta sama skomplikowana czynność. Trzeba wagon wyładować, towary przewieźć do magazynu, rozbić paki i t. d.

O ileż prościej odbywa się to wszystko przy zastosowaniu samochodu ciężarowego. Ten sam kupiec z miasta M. od razu ładuje towar na swoje samochody i wyprawia je do miasta N., dokąd przybywają one znacznie szybciej, niż pociągami towarowym, bo bez długich postojów na stacjach, z normalną prędkością 40 km. na godzinę. Nadto zajeżdżają te samochody nie na stację kolejową, ale wprost przed magazyn odbiorcy, który wyładowuje je i znosi bezpośrednio do swoich składów. Ile jest w tem oszczędności czasu i pracy ludzkiej, łatwo sobie uprzytomnić.

Samochód odgrywa też dzisiaj wybitną rolę w dziedzinie wszelkich dostaw. Jemu wielkie miasta amerykańskie zawdzięczają w znacznej mierze obfity i szybki dowóz produktów wiejskich, zwłaszcza nabiału.

Miasta europejskie stale cierpią na brak mleka i śmietanki. Zafałszowywanie odbywa się tu na wielką skalę. Warszawa jeszcze przed wojną płaciła 3000 rubli (8000 zł.) dziennie za wodę, dolewaną od mleka.

Dla Amerykanina są to rzeczy niezrozumiałe. Miasta amerykańskie posiadają nadmiar nabiału i to w gatunku wyborowym. I jest to z pewnością dziełem samochodu. Mleko bowiem nie przechodzi z rąk do rąk, ale bezpośrednio dostaje się od wytwórcy do sprzedawcy.

Jechałem pewnego razu nocą samochodem po wiejskich drogach stanu Miczigan, wśród farm (folwarków).

Księżyc świecił, pachniały koniczyzny, świerszcze grały w polu, zupełnie jak w Polsce. Nawet kiedyśmy zbłądzili, zapytany przez nas chłopiec, czekający na rozstajach z furą siana, odpowiedział nam tak złą angielszczyzną, że poznaliśmy w nim odrazu Polaka.

Otóż w tej polskiej okolicy, wśród polskich farm, zauważyłem na umyślnie do tego przygotowanych stołach bańki blaszane z mlekiem.

Powtarzam było to już w nocy, tuż przy drodze publicznej.

Wyjaśniono mi, że nad ranem będzie tędy przejeżdżał samochód ciężarowy, który zabierze bańki pełne, a wzamian zostawi puste.

Nie budząc farmera, woźnica samochodu zanotuje w książeczce ilość wziętych baniek, a po upływie umówionego czasu odbiorca zapomocą czeku ureguje rachunek. Odbywa się to stale i wszędzie, przyczem nieznane są wypadki kradzieży.

A u nas? Któż odważyłby się wystawić na noc bańkę z mlekiem przy drodze publicznej?

Praktyczny Amerykanin, widząc na każdym kroku dobrodziejstwa szybkiej komunikacji, ocenił odrazu znaczenie automobilu i rozmiłował się w nim.

Dzisiaj jest on dla niego koniecznem dopełnieniem życia — to jego „ruchomy dom“.

I tu dopiero odżyły i znalazły dla siebie pole instynkty koczownicze, drżemiące w społeczeństwie amerykańskiem.

Po ulicach miast krąży samochodów mnóstwo; część nieznaczną tylko stanowią automobile przedsiębiorstw lokomocyjnych ogromna zaś większość — to samochody prywatne. Każdy „gentleman“ (dżentlmen), każda „lady“ (ledi — pani) i każda „miss“ (panna) doskonale umie prowadzić swój ekwipaż. Kosztowny europejski szofer uważany jest za zbytek. Kto woli jeździć, niż chodzić piechotą musi sam dać sobie radę. I wszyscy radzą sobie sami: bankier i profesor uniwersytetu, ksiądz i robotnik. Jedynie bogatsze panie posługują się kosztowniejszemi samochodami o motorach elektrycznych. Zresztą cała Ameryka jeździ na benzynie. Zapach jej przesycą ulice miast i włóczy się po drogach miejskich, jest wszędzie, podobnie jak zapach smażonej oliwy po miastach włoskich. Płuca amerykańskie już przywykły do tego. Nikt na to nie narzeka w przekonaniu, że za przyjemność szybkiej lokomocji trzeba czemś zapłacić.

A przyjemność ta jest istotnie wielka. Można mieszkać za miastem w odległości 40—50 kilometrów i w każdej chwili, niezależnie od rozkładu pociągów, można być w mieście.

Widziałem raz dookoła jakiejś fabryki, stojącej wśród lasów, setki zgromadzonych na jednym miejscu samochodów. Byłem przekonany, że to fabryka automobilów.

— Nie — odpowiedziano mi na pytanie. — To fabryka narzędzi rolniczych. A te samochody należą do robotników, którzy przyjechali rano do roboty, a o 6 po południu odjadą do domów, odległych o kilkadziesiąt kilometrów.

Nietylko jednak w tym kierunku samochód oddaje usługi. W niedzielę staje się on dla każdej rodziny ruchomym domem.

O 6-ej, 7-ej rano wyruszają z wielkich miast całe sznury samochodów. Pełno ich na wszystkich drogach. Rozbiegają się, niby chrapaszczce, w rozmaitych kierunkach. Prowadzą je najczęściej ojcowie rodzin.

Gdzieś daleko za miastem, na łonie przyrody, wycieczkowiec rozbija swój obóz cygański. Na polanach śródleśnych, nad brzegami rzek rozkłada się na trawie przywiezione zapasy, spożywa śniadanie, poczem rozpoczynają się gry sportowe na świeżem powietrzu, zabawy i tańce. Po południu około 5, 6-ej godziny — odwrót. I znów drogi roją się od samochodów. O zmierzchu te niby chrapaszczce, migocąc tysiącami białych i czerwonych świateł, wracają do miasta.

Dzień minął przyjemnie. Płuca odetchnęły szerzej, biorąc w siebie zapach łąk i pól.

Warstwy zamożniejsze, które nie potrzebują oszczędzać na benzynie, jeżdżą dalej. Oddają w niedzielę wizyty krewnym i przyjaciółom w miastach odległych o kilkaset kilometrów.

Kto udaje się w taką podróż, bynajmniej nie potrzebuje obarczać się większym zapasem benzyny. Dostanie jej wszędzie, w każdym miasteczku, gdzie przy ulicach stoją automaty, z których za wrzuceniem odpowiedniej kwoty, można wytoczyć sobie litr czy dwa benzyny.

W każdym mieście samochód można zostawić na ulicy bez dozoru. Zamyka się tylko motor na kłódkę. Bywają podobno wypadki uprowadzania maszyn, ale zdarzają się rzadko, tem bardziej, że każdy samochód jest opatrzony numerem, przeto łatwe jest odszukanie skradzionego auta.

Za postój na ulicy ponad pół godziny pobierana jest drobna opłata. Dochód z tych opłat oraz z kar za zbyt szybką jazdę, najeżdżanie i t. p. obraca się na utrzymanie i ulepszenie dróg; ale dochód ten nawet w drobnej części nie wystarcza. Naprzód dlatego, że Amerykanin wogóle szanuje prawo. Poszanowanie tego prawa obserwowałem na ruchliwych ulicach, przy których znajdują się szkoły. Ze względu na bezpieczeństwo dzieci w pobliżu szkoły znajduje się zwykle tablica z napisem „danger“ (denżer — niebezpieczeństwo). Wystarcza to zupełnie. Każdy samochód zwalnia biegu, a puszcza motor z chwilą, gdy dojedzie do drugiej tablicy z napisem „thank you“ (tzenk ju — dzie-

kuje!). Powtórę dochód z kar jest bez znaczenia wobec ogromnych wydatków na utrzymanie dróg. Wyborne szosy cementowane i asfaltowane ciągną się dzisiaj setkami kilometrów.

Trzysta kilometrów pod ziemią w jaskini Mamutowej

G. de Canné (Czasop. „Niwa”).

Ze wszystkich osobliwości przyrody, w które tak obfitują Stany Zjednoczone Północno-Amerykańskie, bodaj pierwsze miejsce należy się słynnej jaskini Mamutowej.

Pomiędzy górami Allegańskimi na wschodniej granicy stanu Kentucky a rzeką Ohio (cz. Ohajo — dopływ Missisipi), stanowiącą północną granicę tegoż stanu, znajduje się dosyć wysokie, obszerne płaskowzgórze wapienne, obfitujące w podziemne pustkowia i zagłębienia, utworzone wskutek przesączania się wody w skały wapienne i rozmywania oraz rozpuszczania tych skał. Z jaskiń, które tu dotąd odkryto, pierwsze miejsce nie tylko w tej miejscowości, ale na całej ziemi, zajmuje jaskinia Mamutowa, tak z powodu swoich olbrzymich rozmiarów, jako też wskutek wspaniałości błyszczących ornamentów krystalicznych, upiększających ciemne, ponure sklepienia jej i ściany, wskutek fantastyczności kształtów tych upiększeń kamiennych, tajemniczości nieprzebytych korytarzy i galerij, podziemnych rzek i jezior.

Jaskinia Mamutowa leży w stanie Kentucky w hrabstwie (powiecie) Edmonson w odległości około 1500 km. na zachód od New-Yorku, około 700 km. na południe od Chicago, i tylko 12 km. od stacji węzłowej kolei żelaznej, od której oddziela się gałąź boczna, prowadząca nas po malowniczej górzystej miejscowości niemal do samej bramy hotelu, specjalnie zbudowanego ku wygodzie turystów, zwiedzających grotę.

Ogólna długość odkrytych dotąd i zbadanych przejść, korytarzy i galerij jaskini wynosi przeszło 300 kilometrów. Rzecz zrozumiała, że wobec tak kolosalnych rozmiarów jaskini niepodobniestwem jest, aby zwiedzający i turyści mogli obejrzeć wszystkie cuda tego świata podziemnego, bo na to trzebaby poświęcić całe tygodnie, jeśli nie miesiące czasu. A u Amerykanów, więcej niż u jakiegokolwiek innego narodu „czas — to pie-

niadz", więc przewodnicy, dostarczani przez hotel za bardzo umiarkowane wynagrodzenie, prowadzą was przez wszystkie główne ulice jaskini i zapoznają z najwybitniejszymi jej osobliwościami w ciągu pięciu godzin tak zwaną „drogą krótką“, w ciągu zaś 10 do 12 godzin „drogą długą“, zależnie od waszych chęci i czasu.

Przewodnicy są po większej części Murzyni, znający doskonale wszelkie przejścia i chodniki, pokoje i sklepienia, przepaści, wąwozy, rzeki i jeziora tego podziemnego królestwa.

Wycieczka przez jaskinię odbywa się przy oświetleniu osobliwych lamp, specjalnie do tego celu służących. Każdy turysta otrzymuje lampę w hotelu, a zwiedzanie odbywa się zwykle grupami, gdy się zbierze całe towarzystwo, pod wodzą dwóch, trzech przewodników. Z hotelu prowadzi ku jaskini malownicza droga po stoku wzgórza wapiennego. W przedsionku jaskini zapalają się lampy, zwiedzający w towarzystwie przewodników kierują się „gęsiego“ w głąb państwa wiecznego mroku i niezmaconej ciszy.

W odległości około stu sążni od wejścia znajduje się tak zwana „Rotunda“, olbrzymia, prawie okrągła sala, wysokości około 10 sążni. Znalazszy się tam, uczuwamy odrazu silnie pobudzające i wzmacniające działanie powietrza tej jaskini. O takim wzmacniającem działaniu powietrza w jaskini świadczy i ta okoliczność, że ludzie cierpiący na płuca (np. mający suchoty, astmę), a także słabe kobiety i dzieci, których mężczy nawet półgodzinny spacer na otwartem powietrzu, tu odbywają bez żadnych śladów zmęczenia ekskursje pięcio, dziesięcio-godzinne, drapiąc się po skałach i uciążliwych pochyłościach krętych korytarzy. Dopiero wtedy osoby takie uczuwają znużenie, gdy z powrotem dostają się do wyjścia i zaczynają oddychać otwartem powietrzem.

Ta czystość powietrza, wolnego od bakteryj i miazmatów, stała się powodem przed sześćdziesięciu laty niepomyślnych zresztą prób leczenia suchot przez umieszczanie chorych na czas dłuższy w jaskini. W jednej z większych sal pieczary zbudowano kilka kamiennych domków i umieszczono w nich kilkunastu chorych. Ale nic nie może zastąpić uzdrawiającego wpływu promieni słonecznych. Próba się nie udała. Po pięciu miesiącach pobytu w jaskini trzy osoby zaraz po wyjściu z groty ukończyły życie, nim się dostały do hotelu, reszta opuściła śpiesznie to ponure sanatorium.

Rotunda i wszystkie inne „sale“ jaskini odznaczają się niezwykle silnym, wprost czarodziejskim rezonansem, który szczególnie efektownie wzmacnia dźwięki głosu ludzkiego, do czego wielce się przyczyniają otaczające i przecinające się wysokie korytarze i ogromne galerje, po których rozchodzą się dźwięki wspaniałymi melodyjnymi falami. Gdym zwiedzał grote, w towarzystwie naszym znajdował się tenor; uproszony przez nas zaśpiewał arję torreadora z opery „Carmen“. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem przy słuchaniu tego śpiewu, którego dźwięki rozbrzmiewały wspaniale, tysiącrotnie spotęgowa-



Rzeka Styks w jaskini Mamutowej w Kentucky.

ne przez echo. Tym zapewne efektom dźwiękowym zawdzięcza swą nazwę rzeka „Echo“, płynąca w dolnych piętrach jaskini. Ma ona w stanie normalnym około 3 sążni głębokości, ale zato szerokość jej dochodzi w niektórych miejscach do 30 sążni. Dzieli się na odnogi, kryjące się w ciemnych przepaściach. Woda w tej rzece tak jest przezroczysta, że nawet przy słabem oświetleniu lamp można zobaczyć drobne kamyki na dnie. Przestrzeń, po której płynie rzeka, przedstawia olbrzymi rezonator: każdy najdrobniejszy dźwięk powraca stokrotnie wzmocniony, gdy się

odbije od sklepień i ścian tej części jaskini i od licznych alei i galerij, które przylegają i łączą się z korytem rzeki. Podobnym rezonansem odznacza się i druga rzeka jaskini, Styksem zwana. Gdy przechodzimy nad tą rzeką po kamiennej arkadzie, przedstawiającej most naturalny, wiszący na wysokości 60 sążni ponad powierzchnią wody, to każdy kamyk, rzucony do rzeki, wywołuje efekt rozszałałej burzy. Słyszymy niby grzmoty piorunu i łoskot wściekłych fal, których odgłosy, wzmacniając się nadzwyczajnie, rozchodzą się na wszystkie strony, zamierając powoli.

Rzeka Echo, po której przejechać się można na przygotowanych płaskich łodziach, ciekawa jest jeszcze z tego względu, że tu można napotkać osobliwe zwierzę jaskiniowe: proteusa. Jest to płaz ogoniasty bladej barwy, ślepy, oddychający zapomocą skrzelii, umieszczonych po bokach głowy. Wogóle zwierzęta w pieczarze powoli zatraciły organy wzroku. Spotykamy tu ślepe, bezbarwne skorupiaki, ślepe owady, pajaki, robaki. Zwierzęta, które żyją w takich miejscach jaskini, dokąd przenika jeszcze odrobina światła, zachowują narządy wzroku, jakkolwiek uproszczone. W głębi zaś jaskini widzimy u zwierząt te narządy tylko w stanie szczątkowym.

Największe stalaktyty w jaskini znajdujemy w „galerji goetyckiej“, która właśnie tym ornamentom kamiennym zawdzięcza swą nazwę. Dziwne podobieństwo do różnych przedstawicieli świata roślinnego lub zwierzęcego, a nawet do osobistości historycznych lub mitologicznych nadało odpowiednie nazwy największym z pomiędzy tych stalaktytów. Cezar, Pompeja, Słupy Herkulesa, Stary Dąb, Słoń — oto nazwy ważniejszych stalaktytów, nazwy wytworzone przez fantazję pierwszych turystów lub może przewodników.

Jeśli pomyślimy, że te wszystkie dziwaczne kształty kamienne i ornamentacje krystaliczne, te olbrzymie stalaktyty nad głową i stalagmity pod stopami to praca powolna, ale nieprzerwana, tysiące lat trwająca, kropel wody, nasyconej dwutlenkiem węgla, sączącej się przez szczeliny wapienia, to jaskinia przedstawi nam się jako olbrzymie chemiczne laboratorium przyrody, a jednocześnie jako wspaniała pracownia artystyczna, która stwarza efekty piękna, przewyższające najbogatszą fantazję rzeźbiarza.

Przez niwy pszenne Minnesoty i Dakoty ¹⁾

L. Krzywicki („Za Atlantykiem”).

Jedziemy dalej przez stan Minnesota. Pagórki z siecią jezior i jeziorek pozostały het daleko za nami. Powierzchnia gruntu staje się gładką, jak stół. Za wzgórzami zniknęły też lasy. Nawet drzewa są teraz rzadkością. Spotykamy je przy farmach,²⁾ wzrost zaś niski wymownie świadczy, że niedawny żywot prowadzą w tej okolicy, przybierającej pozory stepu. Tak wjechaliśmy w granice prerji — wyrażmy się ściślej: dawnej prerji, gdyż wszędzie tu już człowiek zorał glebę i zmusił ją do porzucenia dawnego dzikiego stroju, uwitego z traw i burzanów stepowych, a przyodział w szaty cywilizowane, z niw zbożowych.

Jesteśmy o 300 kilometrów zgorą od miasta Saint-Paul (cz. Sent-Pol), a więc od brzegów rzeki Missisipi. Stepu coraz mniej — naturalnego, porosłego dziką trawą, natomiast więcej i więcej łąnów zboża, właściwie pszenicy. Aż wreszcie prerje stanowczo zamieniły się w nieskończone pole orne, równiuchne jak stół, bez drzew i pagórków. Już od godziny podobny krajobraz ciągnie się przed okiem. Na gładkiej powierzchni, gdziekolwiek rzucę wzrokiem, leżą, niby trupy, powalone snopy pszenicy. Osobliwe wrażenie czyni ten widok na oko, które przywykło oglądać przed sobą szachownicę drobnych pól, mieniących się odmiennymi barwami: to zasiane czerwieniejącą koniczyną, tamto bielejące od kwitnącej gryki, owo żółte, a poprzedzielanych nawzajem zagrodami i parkanami.

Z lornetką przy oku poszukuję, czy gdzieś na widnokręgu nie dostrzegę końca tego ogromnego pobojuwiska. Nadaremne mozoły! Ciągnie się ono bez granic i nie zna przerwy. Step pszenny w całym znaczeniu, bez drzew, miedz oraz innego zboża — to samo bezustanne ściernisko z prawidłowo oddalonymi kopcami snopów pszenicy. Często w ciągu kwadransa jedziemy wśród pobojuwiska, które zaledwie na chwilę ustępuje miejsca czystemu ściernisku, potem znowu kilkanaście minut ściele się przestrzeń pokryta snopami. Jediną rozmaitość do tego ściernistego morza wnoszą farmy, sterczące w dość znacznych odległościach od siebie, a jaskrawo odbijające od żółtego tła swojemu

¹⁾ Północne Stany Ameryki Północnej, leżące na zachód od wielkich jezior Kanadyjskich pomiędzy 44 a 49° szer. półn.

²⁾ Folwark — osada rolnika.

brudno-ceglastymi budynkami. Zasadzony ręką ludzką gaik niekiedy osłania siedzibę swoim cieniem, ale coraz rzadziej się to zdarza. Człowiek nie zdążył jeszcze przyozdobić stepu sztuczną zielonością. Zwykle bez drzew, nawet bez ogródka, osada ludzka rozsiadła się na łanie pszenicy i żaden parkan nie stawia granic pomiędzy przestrzenią folwarczną a morzem zboża. Stepowe burzany owładnęły podwórzem. Wygnane przez pług z prerji schroniły się pod osłonę zabudowań.

Przerzynamy względnie ludną okolicę. Oko nie może odebrać się od widoku schludnych domków, bielejących wśród tłumu ceglastych zabudowań. Gdzie niegdzie zebrała się liczniejsza gromadka tych brudnych budynków. To folwark. Jeszcze rzadziej oglądamy miesciny. Są to stacje, mimo których nasz pociąg pogardliwie przejeżdża, nie zatrzymując się ani chwili. Drewniane lepianki, zamiast ulicy prosty chodnik z desek, tonący w chwastach, parkanu ani śladu, dookoła step pszenny. Obok toru kolejowego rząd jednakowej struktury i niezmiennie czerwonej barwy elewatorów; ¹⁾ w burzanach i zielsku, olśnione promieniami sierpniowego słońca, czerwienieją parowe młockarnie i żółtością swoją pyszną się żniwiarko-wiązałki oraz kilka innych narzędzi, świadczących, że wiek żelazny zapanaował na roli.

Pozostawiliśmy za sobą błonia „śpichlerza wszechświatowego“, pod jaką to nazwą słynie stan Minnesota. Niesłusznie! Została już bowiem zdegradowana przez sąsiadkę Dakotę. Jedziemy na pograniczu obu tych stanów równolegle do prądu rzeki Czerwonej. Wydajność gleby jest bajeczną. To też potok głów ludzkich rozlewa się po dawnej prerji, niby wezbrany strumień górski, kiedy zerwie tamy w dolinie. Stepy, które przed kilkunastu laty stały najzupełniejszą pustką i dawały schronienie jedynie bawołom, dzisiaj falują złocistą powierzchnią bez końca. Po bawołach pozostały jedynie zbielełe kości. Biały człowiek wtargnął tu z baterją żelaznych potworów, pług zorał nigdy dotąd nietknięte łono macierzy-ziemi, siewca rzucił ziarno. I dzikie prerje zaczęły wydawać plon sowity. Doprawdy, wątpię, ażali w dziejach globu ziemskiego można wskazać drugi podobny przykład, aby w tak krótkim przeciągu czasu równie olbrzymie

¹⁾ Budynki, zawierające maszynę do przewietrzania zboża, usuwania z niego kurzu oraz do zsypywania ziarna wprost do wagonów lub na statek. Zabezpieczają one zboże od stęchlizny i ładowanie go ułatwiają.

pustkowia zamieniły się na siedlisko takiej zamożności i takiej cywilizacji.

Siódma wieczorem. Od godzin pięciu ten sam widok ściele się niezmiennie przed nami! Pszenne ścierniska bez końca. Pszenne ściernisko z regularnie rozrzuconymi kopcami pszenicy. Prawidłowość ta jest dziełem żniwiarki-wiązałki, która wyrzuca z siebie snopy w jednostajnych odstępach. A wśród tego niezmiernego pobojuwiska nie dostrzegłem jeszcze człowieka — w polu! Widziałem mieszkańców dawnej prerji jedynie na stacjach kolei.



Elewatory w Minnesocie.

Drobni farmerzy dalekiego zachodu są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina europejskiego, krom jego chciwości. Są przybyszami z dalekich krajów i poza sobą pozostawili wszystkie nawyki, przesady, zwyczaje, niezaradność. Orze on pługiem, na którym siedzi, zbiera plony przy pomocy samowiązającej żniwiarki, parowa młockarnia, wynajęta na dzień, młóci mu plony. Zamiast trzymania ziarna na fermie w śpichlerzu, odstawia je do elewatorów. Na każdym kroku zależy od miasta: ubiera się w odzież, zrobioną w mieście,

nawet w piecu pali węgiem, przywiezionym stamtąd. I rozproszenie osad, jedna daleko od drugiej, pcha go w kierunku miasta. My, którzy posiadamy wioski, t. j. gromady leżących przy sobie osad włościańskich, ani przeczuwamy, ile takie skupienie chat sprzyja wyrobieniu samodzielnego ducha wiejskiego. Inaczej dzieje się tam, gdzie farma znajduje się od farmy w odległości kilometra i więcej, jak to oglądamy na tym nieskończonym lanie.

Wiosną, kiedy niwy zazielenią się na niezmierzonej przestrzeni, podczas lata, które złocistym połyskiem ubierze step pszeniczny, w takie pory roku człowiekowi bywa przyjemnie na łonie przyrody. Ale co za pustka rozpościera swoje skrzydła nad dawną prerją, kiedy zima śnieżnym całunem przyodzieje równinę i zamiecie zaczną pisać swobodnie po tych przestworach. Kobieta nie ma kumoszki pod bokiem, ani gospodarz nie znajduje współbiednika. Pobliskie miasteczko jest jedyną ucieczką. Rodziny włościańskie z inwentarzem przenoszą się wtedy do miasta, wielkie zaś folwarki wysyłają bydło do stepów o paręset mil angielskich.

Drobny farmer tutejszy nie zna tego piekielnego łaknienia gruntu, jakim jest opętany wieśniak europejski, nie ma też tego przywiązania do własnego kawałka ziemi. Stał się on rolnikiem nie po to, aby zlać się w jedno z macierzą-ziemią, lecz celem wydarcia jej majątku. Skoro pola bliskie są wyczerpania, porzuca je, podąża tam, gdzie odkryto nowe nieuprawiane jeszcze obszary. Przy sprzedaży gruntu nie będzie biadał, iż opuszcza cmentarz, na którym spoczywają jego pradziadowie, iż żegna na zawsze szmery wioskowego strumienia i blaski rodzimego księżycyca. Świadczy o tem sam wygląd jego farmy, która sterczy samotnie, bezdrzewna, nieogrodzona. Rolnik stargał nawyknięcia osiedleńca, stał się koczownikiem.

Wydajność pracy ludzkiej w Dakocie pochodzi nie tylko z urodzajności gleby, lecz niemniej zawdzięcza sporo zastosowaniu maszyn: tych żelaznych ramion, które chwytają kłosa, tych brzytw, które je ścinają i innych potworów z żelaza, zawezwanych przez rolnika do pomocy. Na równinach Dakoty wschodzi zorza nowej przyszłości w rolnictwie. Weźmy chociażby tamtejszą osadę włościańską, t. j. taką, której właściciel uprawia grunty własnoręcznie i nie wynajmuje robotników do pracy. Osada taka wynosi mniej więcej około 5 włók (150 morgów), co stanowi około 208 akrów. Żniwiarko-wiązałka w ciągu dnia zdoła sko-

sić zboże z 20 akrów i związać w snopy. A zatem farmer skoro ma syna wyrostka do pomocy, w ciągu kilku dni może uporać się ze zniwami, pracując osiem godzin dziennie. Robota, która tyle troski przysparza naszemu rolnikowi, nie sprawia tam kłopotu. Kiedy zboże spoczęło w kopcach, zjeżdża wtedy przedsiębiorca mechanik i, jeżeli urodzaj jest bardzo dobry, będzie potrzebował dwu dni czasu do wymłócenia plonu młockarnią parową. Najmudniejszą pracą jest orka. Pług uchodzi za najbardziej zachowawczy sprzęt w gospodarstwie rolnem. Postęp techniczny jakoś nie mógł z nim dać sobie rady. Ale też i dla niego wybiła godzina. Na dalekich farmach zastosowują pług parowy. Lokomotywa ciągnie za sobą sześć lemieszów i odrazu odwala spory zagon ziemi. Dla drobnej osady jest to narzędzie za kosztowne, farmer nie sprawi sobie takiej drogiej maszyny, ale znajdzie się obrotny przedsiębiorca, który, podobnie jak z młockarnią, będzie objeżdżał z pługiem parowym drobniejsze farmy. Wtedy na upartego nawet dziesięciowlókowy, lecz pobłogosławiony liczną rodziną farmer zdoła się obejść bez parobków.

Zatrzymaliśmy się dłużej na stacji S. Thomas. Już zdala, rzekłbyś przednie czaty, powitał nas rząd elewatorów. Korzystając z tego, że pociąg zatrzymał się dłużej, czynimy wycieczkę do jednego z nich. Wyobraźmy sobie budynek na budynku: z dachu jednego strzela ku górze inny tej samej długości, lecz mniejszej szerokości. Niby głowa, z boków obcięta, na krępych tulo-wiu. Wjechał do budynku wóz z ziarnem, pudło zielonej barwy z ruchomą tylną ścianą; pszenica leży w nim bez przykrycia. Część podłogi jest szalą wagi setnego systemu. Wóz zajeżdża na to miejsce, dozorca notuje ciężar. Szala obraca się około osi wraz ze stojącym na niej wozem, tylne jego koła idą na dół, przednie do góry; za wozem powstaje otwór; odsuwają tylną ściankę pudła, i ziarno naturalnym swoim ciężarem zsuwa się na dolne piętro. Pusty wóz zostaje znowu zważony. Dozorca z kwitariusza wydiera poświadczenie, że otrzymał tyle a tyle pudów pszenicy, wręcza je dostawcy ziarna i rzecz skończona. Może jeszcze dzisiaj winda parowa elewatora poniesie ziarno do góry na wierzchołek gmachu i oczyści je po drodze zapomocą wywołanego prądu powietrza od kurzu i domieszek; kurz zostaje odrzucony i zbiera się w głowie elewatora, czyste zaś zboże, kiedy winda pod sklepieniem dachu czyni zwrot na dół, spada rynną-

mi do olbrzymich kadzi, skąd jutro zsunie się do wagonu i pojedzie w świat daleki. Farmer pozostanie z kwitem w rękę, świadczącym, że taka to a taka kompanja posiada na składzie u siebie tyle to a tyle jego zboża. Jest on właścicielem ziarna, ale nie swego własnego, które może już będzie spożyte, gdy on sprzeda komuś swoje plony. Nie dba on jednak o losy swego dobytku, wie bowiem, że w każdej chwili otrzyma za okazaniem kwitu tyle ziarna, ile złożył, co większa, dostanie w dowolnem miejscu, za potrąceniem kosztów przewozu, gdyż spółki elewatorskie są połączone między sobą, jak u nas banki. Farmer trzyma gazetę z kursami i obrachowuje, gdzie i kiedy najkorzystniej sprzedać produkt. Elewator pobiera pewną opłatę za przechowywanie zboża i oczyszczanie. Zastąpił on sobą nasze śpichlerze, które uciekły z folwarków, stawszy się zbytecznemi.

Jedziemy znów koleją. Dość było dwóch dni, a już spostrzegamy widoczne zmiany w rozścielającym się przed nami krajobrazie. Uprzątnięto snopy ze ściernisk, zamiast nich ciągną się sterty słomy. Wszędzie na widnokręgu dymią młockarnie. Ilekroć rzucę okiem, naliczę jeden i drugi i piąty słup dymu! Maszyna parowa przy młócce przestała być rzadkością w naszej części świata, ale niema tam tak powszechnego zastosowania.

Słońce kryje się za widnokręgiem. Jego tarcza schowała się do połowy i pozostałą częścią oblewa ścierniska czerwonym światłem. Jeszcze nie zgasło słońce, a już w różnych punktach na ziemi zaczynają buchać olbrzymie stopy. Płomień zatlił się w jednym miejscu, przesmykami biegnie dalej, obejmuje tam nową stertę słomy, aż wreszcie rozległa podnosi się łuna. To malcy rozpoczynają igrzyska nocne na stepie pszennym i podpalają wymłóconą słomę. Popiół będzie jedyną mierzwą, którą człowiek odda stepowi wzamian za plony. A im mniejszy skrawek słońca czerwieni się nad widnokręgiem, tem więcej dymi się ognisk. Niebo jest czerwone łunami pożarów. To wszędzie palą się sterty. Przed paru jeszcze tygodniami rozpościerał się na dziesiątki kilometrów wszcz i setki wzdłuż zwarty łań pszenny; w ciągu paru dni żelazne automaty ścięły go i usłały ściernisko trupami bez liku, jeszcze później dymić się zaczęły na stepie tysiące parowych młockarni, aż wreszcie nadeszła godzina pożarów.

Park Narodowy nad Yellowstone

Dr. Emil Dunikowski („Od Atlantyku poza góry Skaliste”).

Nie tylko u nas w Europie, ale nawet i w Ameryce we Wschodnich Stanach opowiada się o parku nad Yellowstone (cz. Jellouston), jakgdyby o jakimś kraju na Marsie, do którego tylko wzdychać, ale dostać się nie można. Mało kto go widział, gdyż dotychczas roczna frekwencja wynosi zaledwie około 4000 osób, z której to liczby spora część przypada na Europejczyków. Prawda, że znaczne oddalenie — 3500 km. od Nowego Yorku, i wielkie koszty nie zachęcają bardzo do podróży, ale bogatych Yankesów, którychby stać na to, jest dość. Tym ostatnim jednak „business“ nie zostawia wiele czasu do nauki i rozrywki.

Czarowny ten zakątek, pełen ciekawych cudów przyrody, odkryto dopiero przed kilkudziesięciu laty.

Przedtem krążyły tylko fantastyczne opowieści między mieszkańcami na granicy dzikich jeszcze obszarów o zaczarowanym kraju, położonym w głębi gór Skalistych, ale oczywiście, nikt nie brał tego na serjo. Niejeden śmiały traper,¹⁾ zapędziwszy się z swym pochodzie w daleki zachód, oglądał zjawiska parku i opowiadał o nich później w zachwycie, — jednakże opowieści takie uważano za przesadę i nie zwracano na nie żadnej uwagi. Dopiero dokładne sprawozdanie Cooka i Folsona, przedłożone instytutowi geologicznemu w Waszyngtonie w r. 1869, zwróciło uwagę naukowego świata na tę okolicę. Pod wodzą Haydena udała się wielka wyprawa geologiczna na miejsce, sporządziła mapę terenu, zbadała zjawiska i zdjęła z nich fotogramy, skutkiem czego znajomość tego zakątka stała się udziałem całego uczonego i wykształconego świata.

Niezmordowanym usiłowaniom Haydena zawdzięczyć należy, że ten kraj cudów uchroniono raz na zawsze od wandalizmu i od wyzyskiwania przez przedsiębiorczych spekulantów.

Aktem z roku 1872 uznał kongres w Waszyngtonie obszar ten jako wspólną własność narodową wszystkich Stanów Zjednoczonych, odcinając w tym celu od Wyomingu, stanu, w którym właśnie leży ten park, kwadrat o powierzchni 9259 km. kw.

W roku 1890 przyłączono jeszcze do tego tak zwany „forest reservation“ — gdyż należy wiedzieć, że centralny rząd zaopiekował się w ostatnich czasach także i lasami gór Skalistych

¹⁾ Poszukiwacz nowych ziem do osiedlenia się.

i pourządzał rezerwacje lasowe, zapobiegając przez to kiepskiej gospodarce niejscowej. Rezerwacja ta powiększyła obszar parku o 5300 km. kw., tak że obecnie wynosi on 14559 km. kw.

Zbudowanie kolei Northern Pacific, a szczególnie odnogi Livingston-Cinnabar, umożliwiło łatwy przystęp do parku, do którego dawniej można się było dostać tylko przy pomocy wielkiej, we wszystko zaopatrzonej i kosztownej wyprawy. Obecnie jest w projekcie cały szereg kolei pomiędzy najciekawszymi punktami parku, tak że się oszczędzi wszędzie nawet dotychczasową jazdę konną lub wozami, i nie należy wątpić, że wobec przedsiębiorczości Amerykanów projekt ten wkrótce dojdzie do skutku.

W taki sposób dzięki zmysłowi i poszanowaniu wiedzy przez Yankesów, za które należy im się najwyższe uznanie, park narodowy nad Yellowstonem ma zapewnioną przyszłość. Zarząd tegoż podlega sekretarzowi spraw wewnętrznych i składa się z komisji, na której czele stoi intendent, wyższy oficer, mieszkający stale w parku, a mający pod swemi rozkazami siłę zbrojną. Przedsiębiorstwa hotelowe i komunikacyjne oddano jednemu towarzystwu, którego działalność podlega nieustannej surowej kontroli rządu. Zakazano osiedlać się i zakładać wszelkich przedsiębiorstw w obrębie parku, również zabroniono ostro polowania, chociażby nawet na drapieżne zwierzęta, niszczenia lasów lub mineralnych utworów przyrody. Według brzmienia ustawy, wszystko ma zostać zawsze w odwiecznym, dziewiczym stanie, a z wyjątkiem robót około dróg i mostów nie rozpoczyna nikt żadnych starań pod względem np. uporządkowania i wogóle kultury lasu, — niech kłoda leży na kłodzie, a niech szary niedźwiedź taką samą cieszy się opieką, jak bóbr i bawół. W tem więc miejscu obszar pierwotnej, dzikiej Ameryki przejdzie do potomności.

Cóż to jest ta „kraina cudów nad Yellowstone” (Wonderland of the Yellowstone)? Jakież to zjawiska nadają jej tyle uroku i wartości?

Pod względem geologicznym jest to zagłębienie pomiędzy górami, które się wypełniło czasem lawami, pochodzącymi z wielkich wybuchów wulkanicznych i przemieniło skutkiem tego w wyżynę, wznoszącą się na 2000 — 2400 metrów nad poziom morza.

Wyżyna ta uległa następnie działaniu lodowców, źródeł gorących, erozji wodnej i t. p. A co sprawiły te wszystkie czynniki i jaki wygląd nadały tej okolicy, zaraz opisywać będziemy.

Opuszczamy smutną i ponurą stację kolejową Cinnabar w wielkich, wygodnych wozach, zaprzężonych w cztery silne konie, lub też, jeśli kto woli, konno i udajemy się doliną Gardineru, pobocznej rzeki Yellowstone, na południe.

Okolica straszliwie dzika; wzdłuż drogi, którą jedziemy, całe morze głazów, brył i złomów skalnych. Niebrak jednak roślinności, i ta uroczą zielen przyczynia się niemało do złagodzenia ponurego obrazu okolicy.

W dziwnym kontraście do poważnego wejrzenia przyrody, na drodze, którą jedziemy, jest wesoło i gwarno; mijamy liczne wozy, pełne śpiewających i krzyczących wycieczkowiczów, gdyż obecnie mamy główny „sezon“ w parku Narodowym. Tu i owdzie spotykamy obok drogi rozbite namioty; brodate postacie mężczyzn, a nawet kobiet i dzieci leżą w grupach malowniczych obok ogniska w cieniu sosen u stóp czarnych skał wulkanicznych. Wszystko to — wycieczkowcy. Trzeba bowiem wiedzieć, że nawet prości farmerzy sąsiednich Stanów czują potrzebę po ukończeniu żniw przejechać się po parku, więc z żonami i dziećmi wybierają się w drogę kilkusetkilometrową, zaopatrzeni w żywność i namioty. Dla nich są hotele zbyt drogą i zresztą zupełnie zbędną rzeczą; przez cały czas wycieczki żyją rzeczywiście na łonie przyrody.

Po raz pierwszy w życiu oglądamy bobry w stanie przyrodniczym i podziwiamy ich gospodarkę. Wielkie groble, zbudowane przez nie wpoprzek doliny, zabagniły całą okolicę i spowodowały utworzenie się stawów, w których wznoszą się ich domki pokryte szuwarem i trawą, bardzo podobne do niezgrabnych chat naszych wieśniaków. Zwierzątka doznają tu ochrony i rozmnożyły się bardzo, — i zachowując pewną ostrożność, można się zbliżyć do ich osady i zobaczyć od czasu do czasu łebek z rożnkiem okiem, wyglądający ciekawie z wody.

Okolica coraz to ciekawsza. Ogarnia nas chłodny, szumiący pierwotny las. Głównym jego drzewem jest czarna sosna (*Pinus Murrayana*), cienkie i niezbyt okazałe drzewo, bo sięgające zaledwie 23 metrów wysokości, a obok niego „balsam“ (*Abies subalpina*), piękny świerk, udający się szczególnie dobrze na miejscach wilgotnych.

Najpiękniejszym drzewem parku jest Dougłazja, sięgająca 60—90 metrów wysokości. Wobec nikłych gatunków drzew, które ją otaczają, wygląda ona imponująco. Nierzadko można się tu spotkać i z czerwonym cedrem (*Juniperus virginiana*), któ-

rego drewno jest śliczne, czerwone i nadzwyczaj przyjemnego zapachu. Znane ono jest dobrze łaskawym czytelnikom, gdyż oprawy naszych ołówków są z tego materiału, jakkolwiek nie z par-



Wielki wodospad w parku Yellowstone.

ku nad Yellowstonem, tylko z Florydy. Wspinacze też należy o zwyczajnym jałowcu (*Juniperus communis*), który rośnie po bezleśnych stokach gór.

Zapuszczamy się coraz głębiej w dziką puszcę leśną. Olbrzymie łomy wskazują, że i tu wiatr wyrządza szkody; wpośród butwiejących pni wznoszą się młode drzewka. Szare wiewiórki i śliczne pręgowane koszatki bujają, jak ptaki, z drzewa na drzewo. Nierzadko napotyka się rogi z jelenia kanadyjskiego, tego olbrzyma w rodzie jelenim. Skutkiem ochrony zwierząt w parku jelen ten (tak zwany „elk”), tak się tu rozmnożył, że oceniają go na 25000 sztuk; tak samo antylopy, zwykłe jelenie i sarny są tu bardzo pospolite.

Woddali wśród głuchej puszczy leśnej wznosi się przed nami wielki gmach, a za nim lśnią w promieniach południowego słońca pomarańczowe skały. To cel naszej podróży dzisiejszej: wodospad i kenjon Yellowstoneu.

Jeszcze przed przybyciem do hotelu zsiadamy z wozu i udajemy się pieszo nad Yellowstone, skąd nas dochodzi głuchy huk wodospadu i ogarnia wśród mroków leśnych wilgotna atmosfera. Wkrótce jesteśmy u celu i zdumionem okiem patrzymy przed siebie, — albowiem przed nami roztacza się obraz jednego z najpiękniejszych i najciekawszych zjawisk nie tylko parku Narodowego, ale może i całej kuli ziemskiej: wodospad i kenjon Yellowstoneu.

Zielony Yellowstone, który płynął dotychczas wyżyną w płytkiem korycie, spada nagle ze stromej ściany w przepaści-stą szczelinę. Szmaragdowa woda zamienia się w białą pianę i niknie na dole w głębokości 350 stóp we mgle, która zasłania spód wodospadu. Lecz nie jest to jeszcze bynajmniej głębokość szczeliny, — gdyż poniżej spadu pędzi woda dalej w dzikich kaskadach w dół, aż wreszcie maleje do rozmiarów wąskiej, zielonej wstęgi, wijącej się w głębi przepaści, której ściany wznoszą się po obu stronach pionowo do 1200 stóp wysokości.

W oczach się mąci, człowiek odchodzi od zmysłów, gdy patrzy na to imponujące zjawisko geologiczne. Jest to tak coś niezwykłego, tak różnego od naszych zwykłych pojęć o zewnętrznych kształtach skorupy ziemskiej, że nie chce nam się wierzyć, aby to, co leży przed naszemi oczyma, było rzeczywistością, a nie wytworem marzenia sennego lub chorobliwej wyobraźni.

Jeżeli w Alpach lub Tatrach spoglądamy na doliny, leżące tysiące metrów u stóp naszych, to uważamy to za coś całkiem naturalnego; o ile wznieśliśmy się do góry, o tyle niżej musi leżeć opuszczona przez nas okolica, i nie mówimy o głębokości dolin, lecz o wysokości gór. Że zaś góra jest wysoka, to także nie

dziwnego dla nas; wszakże od tego góra jest górą, aby była wysoką.

Ale ze zwykłej powierzchni ziemi, po której chodzimy i na której żyjemy, patrzeć kilka tysięcy stóp, a nawet metrów w głąbie, w czeluść, sięgającą do wnętrza ziemi, — to się rzeczywiście nie może nam pomieścić w myśli.

I trzeba istotnie dłuższego czasu, żeby ochłonąć z pierwszego wrażenia, trzeba czasu, żeby przywyknąć do widoku, aby zrozumieć jego estetyczną stronę.

Można godzinami stać nad kenjonem i podziwiać tę różnorodność kształtów, wiszących nad przepaścią. Tu ruina i mur starożytny z wieżyczkami i strażnicami, tam obelisk i igły, owdzie przepaściste zerwy. Najpiękniejszą ozdobą kenjonu jest jego cudna harmonja kolorów. Od śnieżno-białej do czarnej, od czerwonej do liłjowej, napotkasz tu wszystkie możliwe barwy, mające swą przyczynę w zwietrzeniu lawy, wszystkie odcienia barw, ułożone w smugach, obłokach i wstęgach. Główny kolor jest czerwono-pomarańczowy, obok niego purpurowy, siarkowo-żółty i inne w nadzwyczajnym przepychu i okazałości.

Lecz cóż to jest za zjawisko, które Hiszpanie amerykańscy ochrzczili wdzięcznem słowem Kanjon, przemienionem przez Yankesów na Kenjon?



Wielki kenjon Yellowstonu.

Trudno opisywać rzecz, względem której ma się tylko liche przedmioty do porównania pod ręką. Jeżeli więc zaproszę łaskawego czytelnika na naszą wyżynę Podolską, a zaprowadziwszy go gdzieś nad głęboki jar Dniestru lub Smotrycza, powiem: oto nasz polski kenjon, to popelnię właściwie świętokradztwo, i niewątpliwie „Wielki Kenjon rzeki Colorado“ albo Yellowstoneu nie będą uważały tego porównania za pochlebstwo. A przecież tak jest rzeczywiście. Ściśle rzecz biorąc, taki jar Dniestru jest tem samem zjawiskiem geologicznem, co i amerykański kenjon, — jest to zjawisko erozji, czyli, mówiąc po polsku, wygryzienie przez wodę, a że woda płynąca ma rzeczywiście taką niszczącą, gryzącą siłę, tego, jak sądzę, nawet zwykłemu śmiertelnikowi, który o geologii nigdy nie słyszał, nie potrzebuję udowadniać.

Lecz czas nam się już pożegnać z kenjonem Yellowstoneu. Jeszcze jedno spojrzenie na spad, na kolorowe ściany kenjonu, na przepaść i zieloną wstęgę wody w jej wnętrzu, i dalej na południe.

Wśród drogi zatrzymujemy się, gdyż w parku na każdym kroku napotyka się na jakąś osobliwość. Oto przed nami wielkie źródło kipiącej wody — jak mały staw. Sąsiednia góra tak gorąca, że boso nie możnaby na niej ustać; z jej szczelin dobywa się para wodna i pary siarkowe, z których osadza się siarka warstewkami na zwietrzałej lawie.

Nieco dalej w miejscu, gdzie się znów zaczyna las, zwraca naszą uwagę huk podziemny, powtarzający się raz po raz. Zaciekawieni biegniemy na miejsce i widzimy wybuch gejzeru błotnego: Mud Geyser. Jest to otwór, pogłębiający się ukośnie na kilka metrów pod powierzchnię ziemi, — na spodzie kotłuje gorący namuł, powstały ze zwietrzenia skał wulkanicznych, a prześiąknięty parą wodną i gazem. Od czasu do czasu następuje wybuch, — wielka masa błota strzela, jak z olbrzymiej armaty, do góry, część spływa napowrót do jamy, część zaś tworzy stożek, który ciągle się powiększa.

Ale nie mamy czasu zatrzymywać się zbyt długo: czeka nas jeszcze dziedzina gejzerów, ta korona wszystkich osobliwości parku! Jedziemy więc na zachód.

Ogarnia nas wonna prerja (step), której jednostajność przerywają od czasu do czasu urocze lasy sosnowe, prawie niebieskie, gdyż szpilki tych drzew mają silny niebieski odcień.

Po raz pierwszy w życiu widzę woddali stado bawołów; to nieliczne resztki tego niegdyś tak pospolitego w Ameryce zwie-

rzęcia. Rząd otoczył resztki te troskliwą opieką; według ostatniego sprawozdania ministra spraw wewnętrznych, znajduje się w parku obecnie 300—400 sztuk bawołów. Dokładne obliczenie jest trudne, gdyż bawoły kryją się zdala od dróg i hoteli w odludnych miejscach.

Wśród puszczy zajeżdżamy przed namioty, nad którymi wznosi się tablica z napisem: „Hotel Elk“. Na wolnem powietrzu spożywamy śniadanie, składające się z szynki, rostbeefu, jaj, leguminy brzoskwiniowej i t. d. Jak to smakuje takie śniadanie w wesołym towarzystwie na wysokości 8000 stóp pod po-



Gorące źródła w parku Yellowstone.

godnem niebem, kiedy dokoła wonieje step (prerja), a w bliskości szumią lasy odwieczne, ma ten tylko pojęcie, kto brał w niem udział.

Ale oto nareszcie i Firehole (czyt. Fajrhol — fire — ogień, hole — jama), a z nim i najślawniejsze cuda parku Yellowstone. Jeszcze kilka kilometrów uroczym lasem, a znajdziemy się w Upper Geyser Basin. „Kraina cudów“ Yellowstone odśłania nam czarodziejską skrytkę, pełną lśniących kosztownych skarbów.

Czyż wrażenia te zdołałby kto oddać wiernie piórem? Opisu-
jąc je, bawimy się w porównania, dodajemy parę wykrzykni-
ków, parę przymiotników w trzecim stopniu, i na tem koniec.
Czujemy jednakże bardzo dobrze, że cały obraz wypadł mdło, że
najdzielniejsze pióro nie odda rzeczywistości, nie wywoła nawet
w przybliżeniu tego wrażenia, co rzeczywistość. A więc spokoj-
nie i bez przesady kreślimy naszą wędrówkę po Upper Geyser
Basin.

Przed nami odsłania się niewielka, bo zaledwie kilka km.
długa, a 1—1½ km. szeroka dolinka, zamknięta z obu stron lesi-
stemi wzgórzami. Po tych milczących, spokojnych puszczech
leśnych uderza nas tu życie, któregośmy się wcale nie spo-
dziewali. Jakgdyby w jakimś fabrycznem mieście wznosi się
pomiędzy drzewami tu i owdzie słup pary wodnej w powietrze,
do uszu naszych dochodzi szum i gwar, jakgdyby warczały lic-
zne koła, huczały maszyny. Niema wątpliwości, zapewne jakiś
przemysłowy Yankes zapędził się w te dzikie góry, ażeby z wne-
trza ziemi wydrzeć kosztowny kruszec, przerabia go więc w lic-
nych hutach i hamerniach.

Nie, łaskawy czytelniku! mylny wniosek... Jest to i ogień
i para,—jest szum i huk, ale niema człowieka, są pyszne budow-
le o śnieżnych murach, ale nie ręką ludzką wzniesione. To gej-
zery i gorące źródła tak pracują; niegdyś wybuchały tu wulka-
ny, wylewając lawy, dziś wybuchają tylko gejzery, wyrzucając
rozpaloną wodę, parę wodną i gazy. Każdy krok uczyniony na-
przód napełnia nas coraz to większym podziwem, — jakież to
pyszne budowle wzniesione przez gejzery. Tuż obok nas otwór
napełniony zieloną kipiącą wodą; dookoła niego na przestrzeni
kilkunastu metrów twarda pokrywa, jakgdyby ze szkła, spada
tarasami ku rzece Firehole, do której po każdym wybuchu spły-
wa gorąca woda. Tuż obok wznosi się stożek w postaci rozdar-
tego, kilka metrów wysokiego komina z krzemionki, z którego
głębi słychać raz po raz huk podziemny. Nie możemy się po-
wstrzymać, więc wdrapujemy się na lśniący stożek i zaglądamy
do środka. Tam kipi ukrop, podnosi się chwilami aż do miej-
sca, gdzie stożek jest rozdarty i wypływa przez otwór, a równo-
cześnie strzela z głębi z hukiem wielki kłęb pary wodnej. Gej-
zer staje się coraz niespokojniejszym, coraz silniej paruje, coraz
to wyżej faluje się, wreszcie wśród przygłuszonego szumu pod-
nosi się kipiąca woda na kilka metrów w powietrze, tak że tyl-
ko z trudnością możemy umknąć i uchronić się od gorącej ką-
pieli.



Gejzer Giant.

To zapowiedź wybuchu — bo zaledwie stanęliśmy w szalonej naszej ucieczce na bezpiecznem miejscu i zdziwionem okiem spojrzeliśmy na gejzer, gdy nagle...

Wśród ostrego szumu i syku strzela z krateru cała śnieżna chmura pod niebiosą, cały tuman biały w postaci mglistego słupa. Lecz chmura się rozstępuje, a z jej wnętrza wyłania się jakgdyby lśniący śnieżno-biały bukiet, który, falując w pionowym kierunku, coraz to wyżej się wznosi. Chwilami zdaje się, że już, już opada, że nie ma siły wzniesć się wyżej, kiedy znów cały pęk srebrnych rakiet i wężów strzela z głębi ziemi i idzie mu na pomoc.

Wybuch coraz to silniejszy; to już nie bukiet, to olbrzymia srebrna topola, a za chwilę potężna biała sosna o wysokim pionowym pniu, z której korony spływają śnieżne sploty jakiegoś czarodziejskiego porostu. Chwilami wszystko niknie w chmurze, widać tylko olbrzymi, pionowy, nieregularny, drgający słup, jak ów słup ewangeliczny, który prowadził Izraelitów na puszcze. Lecz tchnienie wiatru rozpędza tumany pary wodnej i czarodziejskie zjawisko lśni znów jak rozpalone srebro w całym swym blasku.

Tak się przedstawia jedno z najrzadszych i najciekawszych zjawisk geologicznych, wybuch gejzeru. W taki sposób potężny „Giant“ (czyt. Dżiant) składa przybyszowi z dalekiego wschodu z poza oceanu swoje pozdrowienie.

Lecz ze świata marzeń i zachwyty trzeba nam wrócić do rzeczywistości. Więc musimy dostać się do hotelu, otrzymać nasze mieszkanie, spożyć obiad, a dopiero potem oddać się w dalszym ciągu poszukiwaniom naukowym, a kto chce i może, i zachwytem. Z żalem więc opuszczamy Gianta, ale przez tę całą przestrzeń jednej angielskiej mili, która nas dzieli od hotelu, tylko z trudnością możemy usiedzieć na wozie. Jakżeż tu siedzieć, kiedy tuż obok dwa gejzery, tam dalej — pięć, a owdzie — kilkanaście, — tu szumi, tam huczy, owdzie grzmi, — tu budowlę krzemionkowe białe, tam różowe, owdzie liljowe i niebieskie.

Jesteśmy już w hotelu. Lecz jakżeż to iść na obiad, kiedy służący hotelowy oznajmia nam, że za trzy minuty nastąpi wybuch „Old Fajtfulla“ („Starego sługi“ — czyt. old fetful). Dalej więc z wozu i do gejzeru, który na szczęście znajduje się zaledwie o sto kilkadziesiąt kroków. Widzimy przed sobą szeroki, tarasowato zbudowany stożek krzemionkowy, mający u szczytu krater w kształcie podłużnej szczeliny.

Stoimy chwilę — nagle ogólny krzyk, ukrop podnosi się na kilka metrów do góry, poczem znów opada. Tak się to powtarza kilkakrotnie, nareszcie następuje wybuch, którego wygląd jest nieco inny, niż u sąsiednich gejzerów. Krater jest kształtu szczeliny, skutkiem tego i prąd wytryskujący jest wąski, nie szeroki; zdaje się, że w górę lecą rozpalone białe języki.

Wybuch „Starego sługi“ trwa tylko 4 minuty, lecz powtarza się nadzwyczaj regularnie co każde 65 minut. W dziwny sposób wybuch gejzerów przypomina wszystko inne raczej, aniżeli nasz zwykły wodotrysk. Zanadto potężne jest to zjawisko; bo rzeczywiście trudno myśleć o wodotrysku, kiedy się widzi wybuchającą masę wody o średnicy kilku, a nawet kilkudziesięciu metrów.

Komiczny jest mały gejzer w pobliżu, który wybucha w zagłębiu, jakgdyby w wielkiej miednicy krzemionkowej. Wyrzucona woda zbiera się w tej miednicy i spływa po wybuchu na powrót do krateru tak, że nie uroni się i jedna kropla. Zebrawszy wyrzuconą swą wodę napowrót, zaczyna gejzer na nowo wybuchać, i dla tej swej oszczędności w szafowaniu wodą otrzymał zasłużoną nazwę „Economical“ (czyt. ikononikal).

W dalszej już miejscowości widziałem wybuch pysznego gejzeru „Fountain“. Jest to dość spory stawek o ślicznej szmaragdowej wodzie, który w zwykłym stanie paruje i tylko tu i owdzie zakipi. Przed wybuchem wznoszą się wielkie kłęby pary wodnej, aż wreszcie ukrop w jednym zakątku stawu zaczyna się niepokoić. Jakoż za chwilę następuje w tem miejscu mały wybuch i cienki strumień strzela w powietrze. Wybuch ten jest niejako bodźcem do dalszej akcji, gdyż cały staw zaczyna wrzeć, tu i owdzie powstają wodotryski, aż wreszcie woda całego stawu leci w powietrze. Widok rzeczywiście zachwycający, bo taka masa wody rozbitej na pianę, lecąca do góry, jakby jakaś pofałdowana olbrzymia kotara, tysiączne kaskady, złączone w jedną całość, przechodzi ludzkie pojęcie i możliwość opisu. Wybuch taki trwa przeszło pół godziny.

Któż zdoła zwiedzić wszystkie te gejzery i źródła gorące parku? Dotychczas naliczono około 3000 gorących źródeł, a pomiędzy niemi około 300 wybitnych gejzerów. Jakiż tu zbytek tej gorącej wody wszędzie! Niema wątpliwości, że park Narodowy ma ogromną przyszłość pod względem leczniczym. Nasze Cieplice, Karlsbad, Trenčyn są prosto zabawką dzieciinną wobec parku nad Yellowstone.

O podróży mej po parku Narodowym wspominam dziś jak o czarodziejskiej jakiej powieści z tysiąca i jednej nocy, słyszanej w latach dzieciennych. Szczęśliwy naród, szczęśliwy kraj, co posiada taką perłę.

Jeżeli kiedy, łaskawy czytelniku, zapędzisz się na daleki zachód w ten czarowny zakątek, niech ci przewodniczą te słowa hołdu, które tu złożyłem dla potężnej i ślicznej przyrody nad Yellowstone.

Od gór Skalistych do San Francisco

H. Sienkiewicz („Listy z podróży”).

Step podnosi się ciągle. Jesteśmy już na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza, jakkolwiek prawie nigdzie nie można dostrzec, żeby pociąg szedł pod górę. Na stepie śnieg i mroź. W wagonach palą znowu nagwał w piecach; wszystko zdradza bliskość gór Skalistych.

Przybywamy na samą granicę Nebraski i Wyomingu. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie i z równinowego przechodzi w górzysty. Pociąg biegnie jeszcze równiną, ale po obu stronach widać góry z wierzchołkami pokrytymi śniegiem, lub skały, spiętrzone nieraz w nader fantastyczne kształty. Okolica dzika i ponura. Zbliżamy się do Cheyenne (cz. Czejen), stacji w Wyomingu, ale przed przybyciem do niej przejeżdżamy przez pierwszy „śnieżny dom“, ciągnący się na kilka wiorst długości. Owe „śnieżne domy“ są to niezmiernie długie galerje, pokryte dachem i strzegące linii kolejowych od zasp śniegowych. Tyle słyszałem o nich opowiadań i podziwiał, że doznaję zupełnego rozczarowania. Prawda, że galerje owe są bardzo długie, ale zato zbite w najprostszy sposób z desek i belek; belki pospajane bretnalami, w dachu mnóstwo dziur. Budowa taka może zresztą zupełnie odpowiadać swemu celowi, ale w żadnym razie nie zasługuje na to, ażeby ją za ósmy cud świata uważać.

W Cheyenne pociąg zatrzymuje się kwadrans. Stacja ta leży już bezpośrednio w systemie gór Skalistych; wysokość jej wynosi 6400 stóp nad poziom morza, czyli prawie tyleż, ile naszej Łomnicy. Dalej poza stacją śnieżne domy ciągną się prawie bez przerwy; śniegi wszędzie ogromne. Nakoniec dojeżdżamy do stacji Cherman (cz. Czermen), najwyższego wzniesienia na całej linii, leżącego na 9000 stóp nad poziomem morza.

Nic smutniejszego nad widok tej stacji. Na łysej niiewielkiej płaszczyźnie stoi dom z dachem grubo pokrytym zaspami; powietrze rzadkie i tak przenikające, że mimo futer drżymy od zimna. Śnieg pada prawie ciągle, wicher wyje i kręci tumanami płatków śniegowych; w niektórych miejscach sterczą nagie czarne skały, z których dziś wiatr zwał śniegi, a jutro nowe nanie sie. Nie rozumiem, jak ludzie mogą żyć i mieszkać stale w tych miejscach, gdzie pierśm poprostu braknie oddechu, w uszach dzwoni, a osobom słabszym krew pokazuje się ustami.

Dnia 11 marca poczynamy zwolna spuszczać się na dół, ale i z tej strony gór spadek jest nadzwyczaj nieznaczny. Jest to już koniec Wyomingu. Okolica wszędzie skalista, skały zaś przybierają tak fantastyczne kształty, że jest to najciekawsza niemal część drogi. Niektóre podobne są do obelisków, inne do piramid; tam znowu stoi niby zamek: przysięgłbyś, że wzniesiony ręką ludzką, bo nie brak mu ani wież, blanków strzelniczych, ani nawet obwodowego muru. Ale oto znów zmiana: skały zniżają się i, jak okiem dojrzysz, tworzą mury długie, proste, a tak regularne, jakgdyby budowane pod linję i cyrkiel.

Przybyliśmy na stację Ogden w stanie Utah. Niedaleko od Ogden, ale w bok od wielkiej linii, leży Słone jezioro i Salt-Lake-City (cz. Selt-Lek-Sity), stolica sekty Mormonów. Na nieszczęście na parę godzin przed nami przyszedł telegram, że droga jest zasypana śniegiem i że na drugi dzień dopiero będzie wolna. Niezrażony tem, chciałem doczekać się owego drugiego dnia, aby koniecznie zwiedzić to osobliwsze miasto, gdy tymczasem nadeszły nowe telegramy, grożące, że za parę dni i na wielkiej linii komunikacja może być na długo przecięta, ponieważ niepamiętne śniegi padają ciągle w górach. Nie było więc rady. Śpiesząc się do San-Francisco, musiałem się wyrzec odwiedzin u Mormonów.

Tymczasem pokazało się, że byłbym lepiej zrobił, zatrzymawszy się odrazu w Ogden, zaledwie bowiem posunęliśmy się o jeden dzień drogi, do małej i nędznej stacji Tuano, na której zwykle pociąg zatrzymuje się na trzy minuty, gdy przyszła wiadomość, że dalsza droga jest nie do przebycia, śniegi bowiem na przestrzeni kilku mil zasypały ją na kilkanaście łokci grubo.

— Co będziemy robili? — pytali mnie moi towarzysze.

— Krótka rada. Wróćmy do Ogden, a stamtąd do Salt-Lake-City.

Uradowani tym pomysłem idziemy do kasy i pytamy, kiedy pociąg odchodzi do Ogden.

— Stąd pociąg nie odchodzi. Do Ogden idzie tylko wielki pociąg, wychodzący z San Francisco do New-Yorku — odpowiada kasjer.

— A kiedyż przyjdzie pociąg z San Francisco?

— Gdy droga będzie wolna.

Pospuszczaliśmy głowy. Trzeba było zostać i czekać zmiłowania Bożego w Tuano. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego, niż owo Tuano. Jest to pięć czy sześć chałup, skleconych z desek i stojących na śniegu. Siedzieć tam, kiedy ma się przed sobą uroczą Kalifornję, równało się śmierci. A tymczasem nikt nam nie mógł powiedzieć, jak długo musimy pokutować. Może tydzień, może dwa dni, może dziesięć. Oto była odpowiedź.

Słyszeliśmy wprawdzie, że sześć lokomotyw przyszło od strony San Francisco; cztery przybyłe z Ogden sami widzieliśmy przechodzące przez Tuano. Wszystkie one, uzbrojone w ogromne pługi, poszły rozbijać zasy py śniegowe, ale mogło się i to także zdarzyć, że co maszyny oczyszczą, to śnieg zasypie na nowo.

Z nudów pierwszego dnia strzelaliśmy ze cztery godziny z rewolwerów; nad wieczorem, pożyczwszy strzelb od mieszkańców stacji, udaliśmy się na polowanie, powiedziano nam bowiem, że w pobliskich górach są niedźwiedzie. Z owego polowania wróciliśmy późną nocą, nie widziawszy ani śladu niedźwiedzia, zmęczeni natomiast i przeziębli, bo nieraz przyszło nam zapadać w śnieg po szyję.

Amerykanie poczęli się urządzać, jakgdybyśmy mieli już na zawsze tu pozostać. Jakoż zanosilo się na wcale nie krótką kwarantannę. Dzień upływał za dniem, a każdego wieczoru kładliśmy się z myślą: jutro może już obudzimy się w Newadzie...

I budziliśmy się... w Tuano.

Wkrótce wielka zażyłość zapanowała między mieszkańcami naszego wagonu. Razem chodziliśmy na obiad, wieczorem pijali herbatę w wagonie; we dnie program również był postanowiony. Rano strzelanie z rewolwerów; nagroda dam: pomarańcza. Po strzelaniu spacer koło wagonów i turniej damski, polegający na chodzeniu po szynach. Dama, która najdłużej utrzyma się na szynie, otrzymuje nagrodę dzentlmenów: pomarańczę.

Nakoniec czwartego dnia ktoś puścił wieczorem wieść, że w nocy pojedziemy. Pełni najlepszej nadziei położyliśmy się spać i nazajutrz rankiem rozbudzili się... w Tuano.

Tym razem upadliśmy już na duchu, bo groziło nam jeszcze

i inne niebezpieczeństwo. Oto w Tuano kończyły się zapasy żywności. Był jeszcze dostatek sucharów, cukru, kawy, herbaty i kalifornijskich jabłek, ale mięsa poczęło już brakować, przyjść zaś z Ogden nie mogło, bo i od Ogden droga była zasypana.

Na szczęście tegoż dnia wieczorem przyszła już pewna, bo telegraficzna wiadomość, że lokomotywy z pługami rozbiły na koniec śniegi i że za chwilę będą w Tuano.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy nadeszła. Był już wieczór, wieczór ciemny bardzo, tylko odbłask od śniegów rozpraszal ciemność. Nagle usłyszeliśmy zdala lokomotywy, a wkrótce ujrzeliśmy je w pomroce. Był to raczej cały pociąg, złożony tylko z machin. Pierwsza z nich, uzbrojona olbrzymim pługiem, cała obsypana śniegiem, nosiła na sobie wyraźne znamiona ciężkiej pracy. Zbliżały się, bijąc we dzwony, hucząc, gwiżdżąc, sypiąc snopami iskier z kominów i buchając kłębami dymu. Ten gwar, bicie we dzwony, szum pary i odgłosy gwizdania dziwnie majestatyczne sprawiały wrażenie. Zdawało się, że czarne te potwory święcą w ten sposób triumf, że są to głosy radości po trudnej walce i zwycięstwie; zdawało się, że lokomotywy są zmęczone i zziębnięte, wściekłe jeszcze po walce, ale pijane własną siłą i radosne. Sądziłbyś, że żyją i czują, a owe odgłosy triumfu powiększały jeszcze złudzenie. Jakaś nieopisana potęga biła od tego czarnego korowodu machin i kominów, który, przesunąwszy się koło nas, nikł i topniał zwolna w ciemnościach, jak nocne olbrzymie widziadło.

Gwar tylko, huk i bicie w dzwony dochodziły długo jeszcze naszych uszu z ciemnej oddali, potem wagony nasze zadrgały, potem uderzyły o siebie i posunęły się zwolna naprzód. Wkrótce byliśmy już w Newadzie, którą jechaliśmy cały dzień i noc następną.

Gdyby Gustaw Doré¹⁾ urodził się w Ameryce, powiedziałbym, że wzory do swych krajobrazów piekła brał z okolic, które przebywaliśmy teraz. Nic tak nie przygniata duszy ciężarem, nic tak nie przejmuje zwątpieniem i zniechęceniem, jak te szeregi nagich, czarnych skał, otaczających równinę, przez którą przechodzi pociąg. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać umarłe pola księżycy. Bo też istotnie wszystko tu jest umarłe. Roślinności ani znaku, ani jednego nigdzie żywego stworzenia, skały zdają się trupami skał, płaszczyna jednym wielkim cmentarzem. Chwilami nawet przychodzi na myśl, że cała ta kraina

¹⁾ Znakomity ilustrator „Boskiej komedji“ Dantego.

śpi jakimś martwym, letargicznym snem, że to kraina zaklęta i przeklęta przez złego ducha. Jedziesz i jedziesz cały dzień, a krajobraz nie zmienia się wcale; wiecznie ta płaszczyzna chłodna, zdrętwiała, otwiera się przed tobą w nieskończoność, a po bokach ciągle takie same martwe, albo uśpione góry. Do zniechęcenia przybywa jeszcze uczucie nudy i zdaje ci się, że i ciebie sen ogarnie także, że usnie wszystko i czekać będzie przebudzenia wieki całe w głębokiej i nieprzerwanej ciszy.

Zima widocznie tu także długa i ostra: miejscami śnieg leżał na płaszczyźnie; wierzchołki gór były całkowicie nim ubielone; ustawicznie przytem dał ostry i przenikliwy wicher, który wnikał nawet do wagonów, migocąc płomieniami lamp. Wyszedłszy na chwilę na platformę, wróciłem zziębły i zniechęcony do najwyższego stopnia. Jeżeli i Kalifornja podobna jest do Newady, myślałem sobie, pocóż do niej pędzę przez całe dni i noce?

Z tą myślą, strudzony na ciele i umyśle, udałem się na spoczynek. W nocy śniło mi się, że jeszcze siedzimy w Tuano, dlatego budziłem się co chwila; nakoniec, gdy pierwsze promienie słońca zajrzały przez zielone firanki wagonu sypialnego, ubrałem się i wyszedłem przed wagon.

Z początku zdawało mi się, że śnię jeszcze. Newada razem ze swemi dantejskimi widokami, z zimą i mroźnym wiatrem — znikła; byłem w lasach, w ślicznych, rozrostłych na górach so snowych lasach, wesółych, wonnych i jakgdyby uśmiechniętych w różowych promieniach poranku. Ciepły wiosenny powiew oblewał twarz moją. Nade mną rozpościerało się błękitne niebo; tysiące strumieni szemrały po górach; w lasach brzmiał świergot ptactwa; boki czerwonej skały, wśród której siedł pociąg, były pokryte kwieciami, połyskującym rosą nocną: słowem, wszędzie wiosna, i przebudzenie, i życie, i wesele.

Byliśmy w Kalifornji.

Pociąg spuszczał się szybko po zachodnich stromych stokach Sierra-Newada. Wkrótce, co żyło, wyległo na platformy wagonów; na wszystkich twarzach — radość i zachwyt. Ludzie uśmiechali się naturze, natura ludziom. Okolica stawała się coraz wdzięczniejszą, nigdzie nie widziałem dotąd takiego bogactwa barw i takiej zarazem ich harmonji. Niebo błękitne, jak we Włoszech, ciemno-zielone lasy, jaśniejsze doliny porośłe trawą, czerwone skały — wszystko to mieni się i gra w słonecznych blaskach jak tęcza. W głębokich przepaścistych wąwozach, nad których samym brzegiem przechodzi linja kolei, szumiały obfi-

te wody wiosenne. Tu i owdzie widać było długie drewniane rynny, ciągnące się całemi milami, w których przemywają złoto. Grupy Chińczyków o czarnych długich warkoczach uwiły się, sypiąc do rynien złotodajny piasek i ziemię. W dolinach na ciemnem tle lasów białaly białe domki farmerów; stada krów i owiec, malowniczo rozrzucone po pochyłościach gór, pasły się wśród trawy i kwiatów.

W miarę, jak spuszczałyśmy się na dół, kraj stawał się coraz piękniejszy i coraz widoczniej południowy; przed domkami, stojącemi tuż przy linji, widać było ogromne kaktusy i inne rozwinięte już i okryte powodzią kwiatów drzewa. Nakoniec góry znikły, a natomiast wjechaliśmy w łąki, porośłe tu i owdzie ogromnemi dębami; niektóre z tych łąk stały pod wodą, inne tak były okryte przez tulipany, że prawie nie widać było trawy. Nad wodami unosiły się tysiące dzikich kaczek i nurków.

O godzinie jedenastej w południe przybyliśmy do Sacramento, stolicy Kalifornji. Po kwadransie przestanku ruszyliśmy dalej. Droga szła parę minut tuż prawie nad brzegiem złotodajnej Sacramento-River. Po chwili jednak rzeka nam znikła z oczu, a natomiast po obu stronach drogi ukazały się niewielkie wzgórza, pokryte kwiatami i zielonością. Kraj stawał się coraz ludniejszy, farmy coraz częstsze, a kultura coraz staranniejsza. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Saksonji lub Belgji, ale gorące promienie słońca, widok roślin południowych wywodził mnie natychmiast z błędu.

Nakoniec po kilku godzinach drogi na krańcu widnokregu błysnęły błękitne fale morskie. Sądziłem, że to już ocean Spokojny, była to jednak tylko jedna jego odnoga, nad którą leży San Francisco i jego przedmieście Oklend, które minęliśmy, nie zatrzymując się wcale. Pociąg pędził dalej, jak szalony, i łatwo wystawić sobie moje zdziwienie, gdy, wyrzawszy oknem, ujrzałem po obu stronach wagonów fale morskie, gdy ujrzałem się razem z pociągiem poprostu na morzu, a raczej na długim z półtorej lub dwie mile drewnianym moście, którego końca nie mogłem nawet dojrzeć z platformy. Wyznaję, że ten sposób podróży wydał mi się cokolwiek zanadto amerykański, zwłaszcza, że nie wiedziałem, jak długo przyjdzie nam tak podróżować. Nakoniec jednak w połowie zatoki most skończył się, i pociąg stanął: podróż nasza była również skończona. Pozostało tylko wsiąść na parowiec i przebyć drugą połowę zatoki, na której przeciwnym brzegu we mgle morskiej szarzało widne już dla oka San Francisco.

Spółeczeństwo amerykańskie ¹⁾

H. Sienkiewicz (Listy z podróży).

W obecnym liście powiem słów kilka o społeczeństwie amerykańskim i o różnicach tego społeczeństwa od europejskiego. Różnice te są tak wielkie, że wskutek nich życie i obyczaje mieszkańców Stanów Zjednoczonych dla świeżo przybyłego Europejczyka są niezrozumiałe.

Przedewszystkiem ów podział ludzi, jaki się widzi w Europie, na ludzi prostych i nieprostych, na klasę niższą i wyższą — w Stanach Zjednoczonych wcale nie istnieje i istnieć nie może z wielu rozmaitych powodów, o których pokrótce nadmienię.

Najważniejszym z tych powodów jest wielkie poszanowanie pracy w tym kraju. Tam, gdzie każda praca jest jednakowo szanowana i jednakowo święta, tam niema racji dzielić przedstawicieli różnych prac na niższych i wyższych społecznie. My, Europejczycy, nie mamy i nie możemy mieć najmniejszego pojęcia do jakiego stopnia wszelka praca szanowana jest w Ameryce. Pod tym względem Amerykanie mają niezaprzeczoną wyższość nad każdym społeczeństwem europejskiem. U nas człowiek, należący do tak zwanej klasy wyższej, jeśli okoliczności narzucą mu jako jedyny sposób życia pracę ręczną, mimo wszystkiego, co się mówi i pisze, zniża się w opinii własnej i ludzkiej; zrywa wszelkie węzły, łączące go z warstwą, do której poprzednio należał, i przechodzi do tak zwanych niższych klas społeczeństwa. W Ameryce tego niema. Tu, prawdę rzekłszy, klasy społeczne czyli stany w znaczeniu europejskiem nie istnieją; istnieją tylko rozmaite zajęcia (business), ale gentleman (czyt. dżentlmen — obywatel), który zajmuje się wyrabianiem obuwia, jest równie szanowany, jak gentleman, trudniący się adwokaturą.

Owo niesłychane poszanowanie pracy da się wytłumaczyć i historycznie i ekonomicznie. Przyczyna historyczna leży w tem, że tutejsze społeczeństwo wytwarzało się z wychodźców, należących do niższych, po większej części rzemieślniczych klas narodu, które zawsze utrzymywały się z pracy ręcznej, przyzwyczajone więc były w niej widzieć główną wartość człowieka i najdzielniejszą swą broń i największą zasługę.

¹⁾ Mowa o mieszkańcach Stanów Zjednoczonych Am. Półn.

Co się tyczy przyczyny ekonomicznej, równie ona jasna i naturalna. Mała liczba ludzi w stosunku do niezmiernych obszarów kraju i wielka ilość potrzeb, których z powodu braku rąk zaspokoić było niepodobna, wyrobiły niesłychaną cenność każdej pracy, a stąd otoczyły ją wielkiem uznaniem, które przeszło i na ludzi, wykonywających ową pracę. Mówiąc językiem handlowym: popyt na pracę przewyższał tu dziesięćkrotnie jej podaż, a skutkiem tego była wysoka jej cena nie tylko materialna, ale i moralna. To objaśnia wszystko. Ten nierówny stosunek pomiędzy żądaniem pracy a zaofiarowaniem jej istnieje do dziś dnia w większości Stanów, a zatem do dziś dnia nie zmienia się jej uznanie, które nadto podtrzymywane jest przez opinię publiczną i wychowanie szkolne.

Co do szkół, to w Europie, chociaż zrozumiano oddawna potrzebę oświecenia klas niższych, główna uwaga jednak jest zwykle zwrócona nie na szkoły elementarne, mające na celu oświatę ludową, ale na zakłady naukowe wyższe. Ale nie potrzeba dowodzić, że owe wyższe zakłady nieprzystępne są prawie zupełnie dla większości klas społecznych, stanowiących tak zwany świat prosty, czyli że wychowanie państwowe przeważnie nie tyle cały naród ma na celu, ile świat wyższy, inteligentniejszy, pański. Wytwarza to takie różnice w wykształceniu ludzi, że wobec nich równość towarzyska i obyczajowa jest niemożliwa.

W Ameryce znowuż jest inaczej. Szkoły mają na celu głównie ogólną oświatę. Istnieją wprawdzie wyższe specjalne zakłady naukowe, ale uwaga społeczna jest zwrócona przeważnie na szkoły początkowe, w których uczy się cały naród. Dlatego też można powiedzieć, że wyższe wykształcenie stoi naogół niżej w Stanach Zjednoczonych, niż w Europie, oświata zaś bez porównania wyżej. Rozlewa się ona niezmiernie szeroko i obejmuje wszystkich bez żadnego wyjątku. Przytem dodać należy, że w szkołach elementarnych więcej tam ucza, niż w Europie. Szkoła taka nie tylko uczy czytać i pisać. Każdy Amerykanin wynosi z niej, prócz nauki czytania i pisania, pewne wiadomości z dziedziny matematyki, geografji, nauk przyrodniczych i wreszcie nauk państwowych. Dalszem kształceniem jego zajmują się gazety i praktyka społeczna.

Skutkiem tego, człowieka tak ciemnego, jak każdy „prosty człowiek“ w Europie, jak np. nasz chłop albo francuski, tutaj się nie znajdzie. Tu z pierwszym lepszym z brzegu farmerem (rolnikiem), rzemieślnikiem, furmanem lub majtkiem możesz pogadać choćby o rozmaitych formach rządu, o polityce zagra-

nicznej, słowem, o czem chcesz, byle nie o literaturze i sztukach pięknych. O wszystkim tem słyszał w szkołach, czytał w gazetach, nad wszystkim musiał się zastanawiać jako wyborca posłów; słyszał wreszcie tysiące mów politycznych, w których mu każdą rzecz kładziono jak łopatą w głowę. Każdy przeciętny Amerykanin jest człowiekiem nie uczonym, ale rozwiniętym i takiego odskoku pomiędzy umysłami, jaki co krok trafiamy w Europie, tu nie spotykamy nigdzie.

Krótko mówiąc, oświata rozlana tu szerzej i bardziej równomiernie. Ludzie tu są więc bliżsi siebie umysłowo, zatem porozumienie się między nimi jest łatwiejsze. Specjalność czyli zajęcie nie może już być powodem wynoszenia się jednych nad drugimi, bo jeżeli np. doktor ma rozmaite wiadomości, których nie posiada szewc, to zato doktor nie umie robić obuwia.

Przejdźmy teraz do trzeciego powodu, który umożliwia tu towarzyską i obyczajową równość między ludźmi.

W Europie świat „wyższy“ różni się od świata „niższego“ nie tylko zajmowaniem się pracą więcej umysłową, nie tylko zamobnością, nie tylko wykształceniem, ale także i uobyczajaniem, czyli odczuciem tego, co jest estetyczne, przyzwoite i wykwinne, a co grube i nieokrzesane. W Europie w świecie wyższym uobyczajanie towarzyskie doszło do tego stopnia wysokości, o jakiej Ameryka marzyć jeszcze nie może. Oto dlaczego świeżo przybyłemu Europejczykowi Amerykanie z swemi przyzwyczajeniami, ze swem żuciem tytoniu i zakładaniem nóg na stoły i okna, wydają się narodem barbarzyńskim.

Ale zato, jakaż przepaść oddziela w naszym Starym Świecie uobyczajanie wyższych klas narodu od niższych! Weźmy dwornego kawalera i postawmy go obok chłopą, a będzie się nam zdawało, że ci ludzie z dwóch różnych planet pochodzą. W Ameryce tak samo jak niema wielkich różnic w oświacie, tak niema ich i w obyczajach. Obyczaj nigdzie nie jest tak wykwinny, jak w wyższym świecie europejskim, ale też nigdzie nie jest tak pierwotny i nierozwinięty, jak w niższym. Jest to trzeci powód równości obyczajowej i towarzyskiej między ludźmi.

Rozumiejąc te trzy powody, to jest: 1) poszanowanie pracy, 2) brak zbyt wybitnych różnic w wykształceniu, 3) brak zbyt wielkich różnic w obyczajach, — można dopiero zrozumieć demokrację amerykańską i wogóle amerykańskie życie. Pamiętam, że kiedy przed kilku miesiącami wynajęty furman, który miał nas zawieźć do jednego z miljonowych farmerów, po przybyciu na miejsce zamiast zostać przy koniach, wszedł z nami

razem do salonu i, siadłszy na kanapie, począł bawić córkę gospodarza domu, w mojej europejskiej głowie fakt ten nie chciał się żadną miarą pomieścić. A jednak miejscowym wydało się to zupełnie naturalnem, bo dla nich furman, jako furman, był tylko gentlemanem, mającym swój „business“ (interes) w utrzymywaniu koni, zresztą równym zupełnie każdemu innemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych. Dziś już i mnie nie zdziwiłby fakt podobny; wiem bowiem, że jeżeli milioner amerykański stoi niżej w wykwinności obyczajów od milionera europejskiego, zato furman amerykański stoi dziesięćkrotnie wyżej od furmana europejskiego.

Tą zasadą równości umysłowej i obyczajowej tłumaczą się tu tysiączne inne fakty codziennego życia, na które świeżo przybyli podróżnicy europejscy wytrzeszczają zdziwione oczy. Służący zasiadają tu wszędzie do stołu razem ze swymi pracodawcami i nie tworzą bynajmniej innego towarzystwa; na balach publicznych wiejskich postrojone córki farmerów tańczą z parobkami swych ojców, jako z gentlemanami zupełnie równymi im towarzysko; konduktorowie na kolejach w chwilach wolnych od służby bawią wykwinne podróżujące damy; garsonowie w restauracjach gawędzą na stopie zupełnej równości z gośćmi; słowem, nigdzie prawie różnicy, wszędzie jeden ogół, jedno wielkie towarzystwo, do którego cały naród należy, i wszędzie stosunki tego rodzaju, iż początkowo zdaje się, że tu ludzie uwzięli się, aby we wszystkim postępować odwrotnie, jak w Europie.

Dalej, owo poszanowanie pracy, o którym wspomniałem, pozwala, aby ludzie zajmowali się wszelką pracą bez ubliżenia sobie, bez zníženia się w oczach ogółu. Bardzo wielu wysokich nawet urzędników, obok swych urzędów trudni się to handlem, to przemysłem, to rzemiosłem, o ile czas im na to pozwala. Po wyjściu z urzędu każdy chwyta się za jakiś „business“ (czyt. bysnes), w którego wyborze nie zważa na to, czem był poprzednio. Sam znam w San Francisco byłego generała i byłego wojennego gubernatora stanu Georgja, który obecnie ma wielki szynk piwa, wódek etc. i własnoręcznie podaje nieraz kufle i kieliszki swym gościom. Przypicie, że według europejskich pojęć jest to coś niepodobnego prawie do wiary. Takie jednak chwytywanie się wszelkich ludzi za wszelką pracę dzielnie przyczynia się także do podtrzymania równości w obywatelskim i prywatnem życiu.

Doprawdy, wobec tego wszystkiego, gdyby mnie kto zapytał, które społeczeństwo wyrobiło doskonalszą cywilizację? — wyższość bez wahania przyznałbym Amerykanom. W Europie

cywilizacja obejmuje tylko niektóre klasy społeczne, a raczej jedną, która zagarnia i chłonie w sobie wszystko. Cały świat istnieje tylko dla niej, nauka i wiedza jest wyłącznie jej udziałem; wszystko, co życie czyni prawdziwie pięknem i wzniosłem, dla niej tylko istnieje i spełnia się tylko przez nią. Ów świat wyższy pisze, sądzi, mówi, wytwarza opinię, wydaje dzienniki, napędza galerje obrazów, biblioteki, teatry, słowem, jest całą cywilizacją, poza którą istnieje ogromna mętna fala ludzi, żyjąca życiem mniej więcej fizycznym, nieokrzesa, ciemna, gruba.

Gdybyż, przynajmniej, do owego świata wyższego w każdym narodzie europejskim należały całe miliony ludzi: połowa, czwarta, choćby dziesiąta część ludności kraju! Niestety, owa klasa wyższa stanowi nieznaczną tylko część ludności.

Tu zaś w Ameryce i wiedza i uobyczajenie rozlewa się bezporównania szerzej i powszechniej i możliwość społecznego szczęścia o wiele jest większa, niż gdziekolwiek w Europie, czyli że demokracja amerykańska najbliżej jest owego społecznego ideału, za którym uganiamy się od wieków.

Na dziale wodnym oceanu Spokojnego i Arktycznego

Jahrbuch der Weltreisen 1908.

Kraniec północno-zachodni stałego lądu Ameryki przez długie lata był tylko areną dla myśliwych, polujących na coraz rzadsze obecnie zwierzęta, dostarczające futer. Teraz obszar ten zaczyna wstępować szybkimi krokami na drogę wyższego gospodarczego rozwoju i postępu. Świadczą o tem przedewszystkiem szybko mnożące się budowy kolei żelaznych na północ-zachodzie Stanów Zjednoczonych i w sąsiedniej Kanadzie. Główna linja kolei w Kanadzie, tak zwana „Kolej Kanadyjska oceanu Spokojnego“, przecinająca wpoprzek całą Kanadę od Atlantyku do Pacyfiku¹⁾, dąży obecnie do przeprowadzenia drugiego toru (drugiej pary szyn), co na wielkich oceanicznych linjach amerykańskich tylko wtedy następuje, gdy na pierwszym torze jest stałe przeładowanie towarami, grożące zatrzymaniem ruchu, Tak też jest w istocie, szczególnie gdy na północ od głównej linji kolei otwarły się ogromne obszary dla uprawy pszenicy. Budowa

¹⁾ Pacyfik = ocean Spokojny.

drugiego toru już się zaczęła na części kolei, najbardziej przeładowanej, mianowicie pomiędzy jeziorem Winnipeg a fortem William, punktem składowym zboża nad jeziorem Wyższym, gdzie znajdujemy olbrzymie elewatory zbożowe. Po tym liczącym 700 kilometrów oddziale drogi kursują kolosalne transporty zboża, wyprodukowane zwłaszcza w urodzajnej prowincji Manitoba. Transporty zbożowe dostają się na brzegi Atlantyku poczęści drogą lądową, poczęści wodną przez wielkie jeziora Kanaadyjskie i rzekę św. Wawrzyńca. Istnieje jednak zamiar nadania innego prostszego kierunku tym transportom zboża, stworzenia dla nich o wiele krótszej drogi wprost do morza, nie wymagającej przeładowywania towaru z kolei na statki rzeczne, a dopiero wkońcu na okręty morskie. Zamierzają mianowicie obfitujące w pszenicę obszary połączyć koleją żelazną z zatoką Hudsona. Wprawdzie żegluga przez tę zatokę do Atlantyku tylko 4 miesiące jest otwarta, przypuszcza się jednak, że zapomocą specjalnych statków, służących do łamania lodów, uda się przedłużyć żeglugę do 8 miesięcy. Zbudowanie tej kolei żelaznej skróciłoby drogę do Atlantyku o 1700 kilometrów i usunęłoby potrzebę jednego do dwóch przeładowywań. Zaczyna się również budowa nowej olbrzymiej międzyoceanicznej linii na północ od obecnie istniejącej; znaczna część tej nowej linii przetnie nieznane dotąd obszary, co najwyżej przez Indian lub awanturników odwiedzane.

Ale nie tylko urodzajność gruntu wywołuje coraz większe zasiedlanie się północno-zachodnich krain Ameryki. Jeżeli już tak namiętnie niegdyś poszukiwane zwierzęta, dostarczające futer, wskutek nieustannego tępienia, stały się bliskimi zupełnego wyginięcia, to natomiast bogactwa wód lądowych i morza wierznie jeszcze służyć tym krainom. Rok za rokiem flotylle wielorybników kierują się wzdłuż brzegów Kanady i Alaski daleko na ocean Lodowaty i wracają stamtąd z bogatą zdobyczą. Nie mniej pomyślny jest w rzekach północno-zachodu połów ryb, mimo bezlitosnego tępienia ich w ciągu dziesiątków lat. Dla przykładu przytoczymy tu pewne wiadomości z jednego tylko działu rybolarstwa, mianowicie z połowu łososi w wodach kanadyjskiej Kolumbji i innych sąsiednich rzekach.

Łosoś oceanu Spokojnego w okresie składania ikry podąża z taką energią w górę rzek, że przebywa nawet wodospady siedmiu stóp wysokości oraz prądowniny wszelkiego rodzaju. Wiele ryb, ulegając popędowi naturalnemu, ginie nawet w tej walce z siłą wody lub tak się wyczerpuje, że po złożeniu ikry

w spokojniejszych wodach rzeki umiera. Liczne potoki i rzeczki mają w tym okresie wprost zatrutą wodę wskutek gnicia mnóstwa trupów łososi. Ryby te w późniejszym wieku podążają zawsze do tych samych wód, z których w młodości dostały się do morza i składają ikrę w tych samych rzekach, w których po raz pierwszy ujrzały światło dzienne.

Wspaniale się też i niezwykle przedstawiają urządzenia do połowu łososi na rzece Kolumbji w okresie napływu ryb z morza. Nie używają do łowienia zwykłych sieci, ale stawiają w rzece specjalne przyrządy, podobne do bardzo wielkich kół młyńskich, wolno obracających się w wodzie w położeniu pionowym.



Przyrząd do łowienia łososi.

Schwytane łosose dostają się do rąk pracowitych robotników, którzy dwoma zręcznymi cięciami ucinają rybm głowy, następnie paproszą je, odpadki rzucają do rzeki, a mięso ryby albo w stanie świeżym pakują i wysyłają, albo też solą w sąsiednich fabrykach konserw. W czasie połowu praca zwykle trwa dzień i noc, aby nic nie utracić z tych przesuwających się obok darów fortuny. Więksi przemysłowcy, którzy wprowadzają w ruch tuzin lub więcej kół wodnych na rzece Kolumbji, utrzymują nawet zakłady do elektrycznego oświetlenia, aby przy każdym kole zapalać lampę łukową. Koszty te zwracają się

sowicie, gdyż przyrządy, na dobrych miejscach ustawione, łowią blisko 40 centnarów ryb na godzinę. Wygląda to wprost, jak bajka, a jednak tak jest w istocie. Mordercze te przyrządy, obracające się wolno w falach rzeki Kolumbji, lub bardzo słusznie „kołami szczęścia“ nazywa, gdyż jedno takie koło przynosi przemysłowcowi do 500 dolarów czystego zysku dziennie. Że podobna gospodarka jest rabunkowa i że niezmierzone zasoby ryb nie będą mogły wytrzymać długo podobnych mordów, to się samo przez się rozumie, zwłaszcza, jeśli zważymy, że łosose łowią się podczas wpływania w górę rzeki i że im się nie pozwala w ten sposób złożyć ikry. Dziwnem się wydaje, iż rząd Kanady patrzy

na ten rabunek z całym spokojem. Coprawda, wydano niedawno prawo, zabraniające zastawiania sieci na rzece od brzegów aż do środka, co się niekiedy zdarzało, ale za wiele już popsuto, aby teraz podobne półśrodki znacznie pomóc mogły. Starzy rybacy mówią, że obecne połowy są tylko cieniem tego, co było dawniej przed dziesięciu laty i że liczba ryb zmniejsza się z roku na rok nie tylko w rzece Kolumbji, ale we wszystkich wodach zachodniego wybrzeża. Największym wrogiem człowieka jest teraz i był po wszystkie czasy — sam człowiek!

Prócz wspomnianych bogactw przyrodzonych północno-zachodniego krańca Ameryki jeszcze jedno nie mniej ważne posiada znaczenie: to obfitość użytecznych i cennych minerałów i metali. Alaska, najbardziej na północ wysunięta część tego obszaru, prócz węgla kamiennego, prócz ogromnych zasobów miedzi, zasłynęła w ostatnich czasach z bogatych „pól złotodajnych“. Od czasu odkrycia złota w Alasce rzuciły się potokiem niepowstrzymanym na poszukiwanie szlachetnego metalu w tych niegościnnych okolicach całe tłumy różnorodnych robotników. Ale ten napływ nowych ludzi nie polepszył położenia pierwotnych gospodarzy i mieszkańców tego kraju. Krajowcy, w części Eskimowie, w części plemiona Indian, już przed wtargnięciem białych, marnie się odżywiali, bo tylko produktami róbołówstwa i myślistwa, ale obydwa te źródła żywności wyczerpywały się coraz bardziej, nareszcie wyschły prawie zupełnie. Ryby, a osobliwie foki i wieloryby odpłynęły na dalekie morza, chroniąc się przed napaścią cywilizowanych łowców, których liczba wciąż się powiększała. Polowanie na zwierzęta, dostarczające futer, przestało się opłacać, na koniec renifer amerykańskiej północy został prawie zupełnie wytępiony przez krajowców, odkąd handlarze biali zaopatrzyli ich w broń palną. Dziwnem się wydaje, że Eskimowie Ameryki Północnej i Grenlandji nie oswoiili renifera, który np. w Syberji w zupełnie podobnych warunkach odgrywa tak wielką rolę. Hodowla reniferów najwyżej stoi w Lapponji, gdzie te silne, wytrwałe a mało wymagające zwierzęta używane są nie tylko do jazdy i przewożenia ciężarów, ale nawet dostarczają mleka.

Na tem wszystkiem oparł swe plany humanitarny urzędnik państwowy Jackson (cz. Džeksn), który, sprawdziwszy na miejscu wciąż wzrastającą nędzę krajowców, chciał im przyjść z pomocą. Chodziło o to, czy 20000 krajowców, którzy w kraju tak bogatym w skarby mineralne nie nadawali się do robót kopalnianych, ma być oddane na pastwę głodu, jeśli rzeczy pójdą tak

dalej, jak obecnie, czy też prędzej czy później trzeba będzie ich utrzymywać na koszt państwa. Otóż w tych okolicznościach Jackson w roku 1891 rozpoczął próby wprowadzenia do Alaski reniferów syberyjskich, ale nie jako zwierzyny do polowania, lecz w charakterze zwierząt domowych. Od roku 1893 kongres uchwalał z początku małe, później większe sumy w celu dalszego prowadzenia tych prób i corocznie sprowadzano do Alaski setki sztuk tych zwierząt, kupowanych w Syberji od Tunguzów. Nabyte zwierzęta osadzano na stacjach rządowych. Obecnie liczba reniferów wzrosła w Alasce zapomocą urodzeń do 10000 sztuk w r. 1907, a na rok 1910, jeżeli tylko nie przeszkodzą epidemiczne choroby, liczba ta wzrośnie przypuszczalnie do 70000.



Jazda reniferami.

Pierwsza połowa zadania, mianowicie—wprowadzenie reniferów, została w przeciągu 15 lat szczęśliwie przeprowadzona. Pozostaje obecnie przyzwyczaić krajowców do korzystania z tych zwierząt i nauczyć ich obchodzenia się z nimi. Rząd w tym celu sprowadził do Alaski znaczną ilość rodzin lapońskich, ponieważ Laponcy słyną jako najlepsi hodowcy, i oddał stada pod ich opiekę. Część zwierząt była nadal utrzymywana na stacjach rządowych dla rozmnożenia, część zaś była oddana pod dozór Laponczyków na stacjach misyjnych, z którymi krajowcy utrzymywali ciągle ożywione stosunki i gdzie zawsze mogli mieć

przed oczami korzyść, jaką renifery przynoszą, oraz sposób obejścia się ze zwierzętami. Nakoniec urządzono jeszcze pewną liczbę stacyj ratunkowych, na których najbardziej mogła się wykazać wartość renifera, jako zwierzęcia pociągowego. Z tych stacyj mianowicie wysyłano pomoc ginącym górnikom lub zasypanym śniegiem, następnie wyprawom turystycznym i t. p. Otóż tu renifery okazały się nieocenione, czy to w zaprzęgu u sani, czy jako zwierzęta juczne. W zimie używanie reniferów do sani tem jeszcze jest dogodniejsze w porównaniu z użyciem psów, że renifer łatwiejszy jest do wyżywienia, ponieważ główny jego pokarm — to porost reniferowy, który zwierzęta mogą wydobywać nawet z pod śniegu; w lecie renifer przenosi na dalekie odległości ciężar, równający się 150 funtom, osobniki zaś męskie mogą dobrze unieść jeźdźcę. Poczta w Alasce obsługiwana jest przeważnie przez renifery, zwłaszcza w zimie nawet w niedostępnych punktach wybrzeża.

Na wszystkich stacjach, ku tym celom urządzonych, znajdujemy obecnie krajowców, uczących się obchodzenia z reniferami. Pozostają tam przez lat pięć pod dozorem Lapończyków, a następnie albo sami najmowani są przez rząd do nadzoru, albo też otrzymują małe stada, z którymi gospodarują samodzielnie w punktach wskazanych. W ten sposób hodowla renifera stopniowo rozszerza się po kraju i niezawodnie odegra w przyszłości ważną rolę, wybawiając znaczną część krajowców od grożącej im ostatecznej nędzy.

E s k i m o w i e

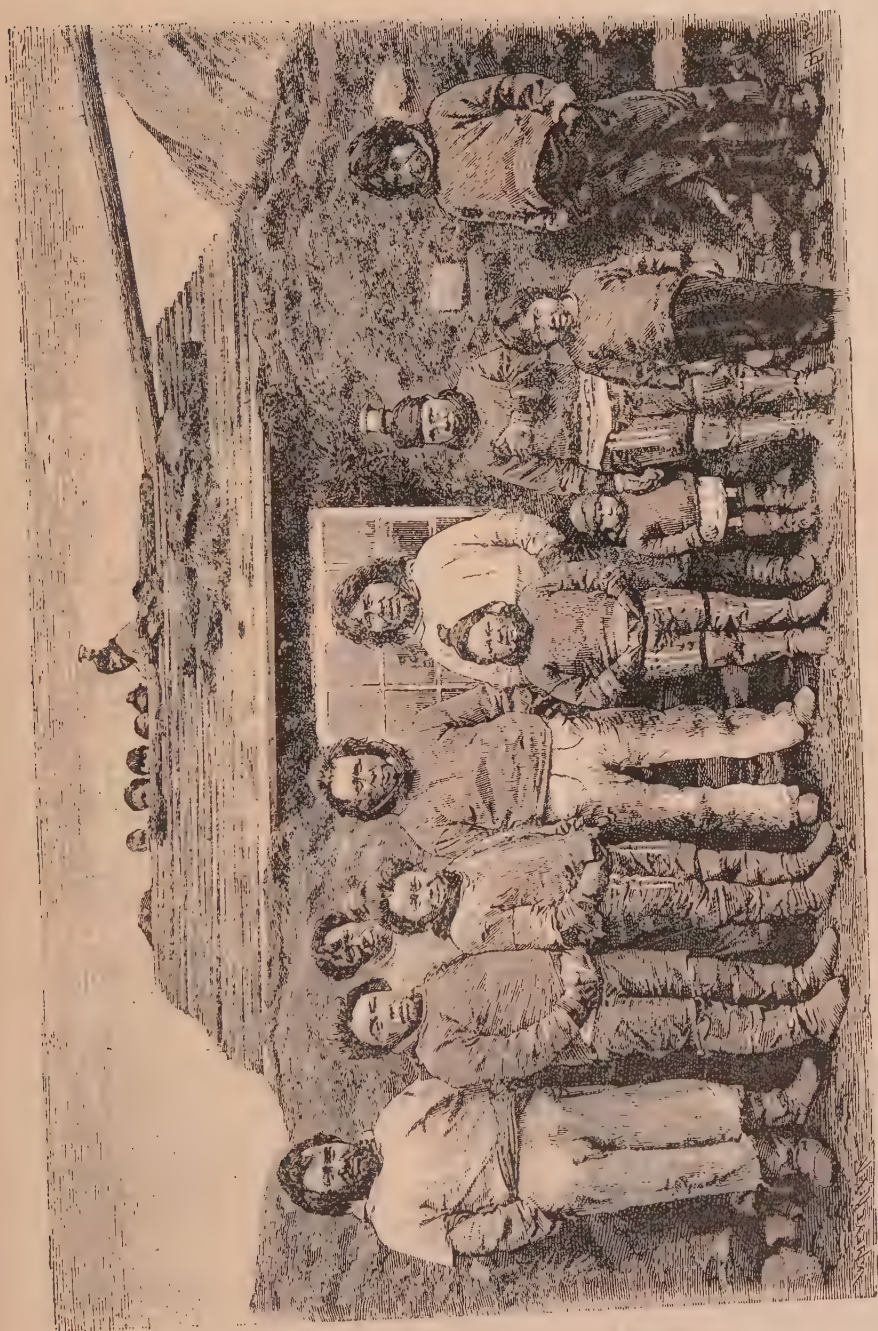
A. E. Nordenskiöld („Grenlandja”).

Każdy podróżnik, który zwiedził Grenlandję, spotkanie swe z krajowcami zachowuje w swoich wspomnieniach podróżniczych, jako chwilę ważną, często przyjemną. Opowiadania o sposobie życia i obyczajach teraźniejszych Grenlandczyków stanowią też w każdym opisie podróży po tym kraju rozdział traktowany przez autora ze szczególnem upodobaniem. Faktem jest, że dzikie plemię Eskimów zdobyło dla siebie większe zajęcie i sympatję u wszystkich, którzy się z niem zetknęli, niż jakikolwiek inny lud dziki na ziemi, nie wyłączając nawet pięknej i sympatycznej rasy krajowców Polinezji.

Obecnie Eskimowie zamieszkują najbardziej na północ wysuniętą część Ameryki Polarnej. Dawniej zajmowali większe obszary tak na południe, jako też na zachód, ale i obecnie obszar, należący do nich, stanowi jedną z największych części powierzchni kuli ziemskiej, wynoszącą z doliczeniem pustyń lodowych do 2 — 3 milionów kilometrów kwadratowych. Ale ten obszar olbrzymi zawiera zaledwie 20—30000 mieszkańców, z których 10000 zamieszkuje zachodnie wybrzeże Grenlandji i podobnie jak część Eskimów Labradoru wyznaje religję chrześcijańską, posiada też pewną cywilizację. Pozostali Eskimowie prowadzą żywot łowiecki na północnem wybrzeżu Ameryki, na wyspach archipelagu podbiegunowego i w okolicach cieśniny Berynga. Na tym olbrzymim obszarze Eskimowie mówią wszędzie jednym i tym samym językiem, okoliczność niezwykle godna uwagi, bo czyż znajdziemy gdziekolwiek indziej, na całej kuli ziemskiej drugi język, który, nie będąc rozszerzonym przez nowocześnie kulturę, rozpościerałby się na tak wielkie obszary, ulegając przytem tylko nieznacznym zmianom? Jedność mowy różni też w zupełności Eskimów od Indian tak Północnej Ameryki, jak i Południowej, którzy, jak to już zauważył Vespucci, rozpadają się na niezliczone drobne plemiona, mające języki zupełnie niepodobne, lub mówiące narzeczeniami tak różnemi, iż jedno plemię nie rozumie drugiego, zamieszkującego sąsiednią wioskę. Mówiąc wszędzie jednym językiem, posiadają również Eskimowie wszędzie jednakowe zwyczaje w życiu i zdobywaniu środków utrzymania, z wyjątkiem tych okolic, gdzie od dawnych czasów weszli w styczność z Europejczykami, oraz gdzie gorliwi misjonarze i handlowcy nawrócili ich na chrześcijaństwo, skłonili do zarzucenia własnych zwyczajów i lekceważenia własnych wróżbitów, oraz nauczyli ich pisania, czytania, picia kawy, palenia tytoniu, jedzenia chleba i t. p.

Grenlandczycy, równie jak i mieszkańcy archipelagu Franklina, nazywają się sami „Innuít“ (ludzie). Od Europejczyków krajowcy Labradoru otrzymali niegdyś nazwę „Eskimo“, właściwie „eskimantsik“, co w języku sąsiednich Indian znaczy: „jedzący surowe mięso“. Nazwa ta rozszerzyła się później na całe plemię.

Krajowców zachodniej Grenlandji, którzy mi się wydali typowymi Eskimami naczystszej rasy, mogę opisać pod względem wyglądu w sposób następujący: są niedużego wzrostu, krępi, często dość otyli, barczyści, ale kształtni i mają małe ręce i nogi. Kolor skóry jest oliwkowo-brunatny. Oczy są ciemno-



Typy Eskimów zamieszkujących Grenlandję.

piwne, małe, cokolwiek skośne, nos mały, głęboko pomiędzy policzkami osadzony, tak iż z profilu mało jest widzialny; usta — duże, wargi — grube; zęby zwykle średniej wielkości, u mężczyzn długi czas dobrze zachowane i białe, u kobiet psują się zczasem wskutek żucia skór przy wyprawianiu. Włosy są czarne i rozczochrane.

Mężczyźni noszą włosy długie i nieuporządkowane. Kobiety rozczesują włosy i przewiązują je kolorowemi wstążkami ponad czubkiem głowy w postaci mocno zwiniętego węzła. Wskutek silnego wyciągania się związanych włosów kobiety szybko łysieją. Ale miejscowa moda wiązania włosów zaczyna obecnie ustępować przed europejskim sposobem czesania.

Zanim Eskimowie zetknęli się z Europejczykami, ubranie ich składało się wyłącznie ze skór ssaków i skórek ptasich, nieobdartych z pierza, które z wielką zręcznością przerabiane są na miękkie i wspaniałe futra; skóry wyprawiają też w różny sposób, zależnie od celu, do którego mają służyć. Chętnie jednak Eskimowie biorą na wymianę od Europejczyków rozmaite tkaniny, których używają na ubrania, leżące bezpośrednio na ciele, jako to koszule, skarpetki i t. p., w części zaś na odzież strojną, nakładaną na właściwy ubiór skórzany. Przy wyborze skór kierują się tem, jaki materiał jest pod ręką. W Grenlandji duńskiej np., gdzie polowanie na reny nie jest zbyt wydajne, używają głównie skóry fok i psów. Czapki nie należą do właściwego ubioru Eskima, o ile zaś deszcz, śnieg lub zimno zmusza go do nakrycia głowy, służy do tego kaptur, do górnej części futra przymocowany.

W porze zimowej nosi się na powietrzu dwa ubrania, jedno na drugim, jedno zwrócone włosem do środka, drugie z włosem nazewnątrz. Zewnętrzna strona zwierchniego ubrania upięk-szona jest paskami różnobarwnych materyj i futer, a u kobiet — gustownym haftem pokryta. Kobiety, zarówno jak mężczyźni, noszą spodnie i na wiadomość, że u nas kobiety obchodzą się bez tej części ubrania, odzywają się: „Biedne dziewczęta, jak one tam marznąć muszą!” Pokrycie nogi składa się ze skarpetek ze skóry rena, foki lub psa, włosem nawewnątrz oraz z butów z foczey lub niedźwiedziej skóry z podeszwami z garbowanej skóry.

Eskimowie utrzymują się wyłącznie z połowu ryb i z polowania. Nie zajmują się ani rolnictwem, ani hodowlą zwierząt domowych, nie umieli też oswoić rena, tego zwierzęcia domowego ludów polarnych Starego Świata, pomimo to że obszar, który

zamieszkują, posiada rozległe pastwiska, nadające się dla tych zwierząt.

Gdy Grenlandczycy każde zwierzę możliwe do jedzenia uważają za jadalne, to natomiast wydaje im się wielkim nieporządkiem jedzenie roślin, które wyrosły na gruncie unawożonym, np. na odpadkach domowych w bliskości mieszkań. Mają też wstręt do wieprzowiny, ponieważ widzą, że świnie zjadają wszelkie nieczystości. Przeciwnie, jedzą z wielkim upodobaniem wnętrzności białych kuropatew i trzewia reniferów, przyprawione w odpowiedni sposób tranem, jagodami skalnymi i t. p.

W okolicach, w których Eskimowie dłuższy czas znajdowali się w zetknięciu z Europejczykami, nie mogą się już obejść bez niektórych europejskich środków pożywienia. Pomiedzy nimi kawa i cukier, obok chleba, pierwsze zajmują miejsce. Z przy smaków zagranicznych, przywożonych przez okręty, szczególnie owoce południowe, zwłaszcza figi i rodzyunki duże mają powodzenie.

W Grenlandji duńskiej, równie jak i nad cieśniną Berynga, Eskimowie chętnie dziś używają tytoniu, tak do palenia, jako też do żucia i zażywania w postaci tabaki, choć użycie tytoniu nie było znane w Grenlandji przed przybyciem Duńczyków. Obecnie tytoń i kawa to dwie główne używki Grenlandczyków. Jak wszystkie dzikie narody, tak i Eskimowie bardzo lubią wódkę. Szczęściem władze duńskie zabroniły wszelkiego handlu tym trunkiem.

Mięso tylko z konieczności jedzone jest na surowo. Zwykle gotują je lub co najmniej suszą na słońcu, niekiedy też poddają gniciu.

Na opał nazewnątrż domu używa się gałęzi, drzewa napływowego, kości, zmaczanych tranem, wogóle wszystkiego, co jest palne, przeciwnie, w domu używa się na opał prawie wyłącznie tranu, który się pali w lampach kamiennych.

Obok lamp, najważniejsze sprzęty domowe Eskimów składają się z przyrządów do polowania i łowienia ryb oraz przerabiania zdobyczy myśliwskiej. Twarde części tych przyrządów poprzednio wyrabiały się z kamienia, kości i kawałków drzewa, i były łączone ze sobą według potrzeby z wielką zręcznością za pomocą ściągien, pasków skóry lub fiszbinu. Narzędzia kamienne używane są jeszcze wszędzie w tych okolicach, gdzie Eskimowie nie weszli jeszcze w ściślejsze zetknięcie z Europejczykami. Ale gdzie możliwe jest otrzymanie od tych ostatnich wszelkie-

go żelaziwa wzamian za tłuszcz lub skóry fok, tam kamień został zupełnie usunięty przez metal.

Łódź Eskimów, tak zwany „kajak“, jest najzręczniejszym statkiem tak u dzikich, jak i cywilizowanych narodów i żaden inny rodzaj łodzi, przeznaczony dla jednego wioślarza, nie może się równać z kajakiem co do szybkości. W tej łodzi doświadczony wioślarz pokonywa burzę i wściekłość fal z zadziwiającą pewnością siebie. Wszelkie najmniejsze szczegóły w urządzeniu kajaku, jego forma, sposób budowy, rzemienie, zastosowane doń narzędzia połowu, jak lance, harpuny, liny, nieprzemakalne pokrycia kajaku i t. d. otrzymały nieprzerwanem staraniem całych



K a j a k.

pokoleń doskonałość istotnie zadziwiająca, tak że Europejczyk, przy całym swym zmyśle wynalazczym nicby tu nie mógł dodać lub zmienić. Kajak jest prawdziwym wynalazkiem Eskimów, gdyż różni się on znacznie tak sposobem, jak i materiałem budowy od małych statków innych dzikich ludów.

Kajak składa się ze skór naciągniętych na lekkie rusztowanie z drzewa lub kości, zestawione przy pomocy rzemieni. Ma postać wrzecionowatą. Górna część jego nie jest otwarta, lecz za pomocą pokrycia skórzanego zabezpieczona od wtargnięcia wody. Tego rodzaju „pokład“ skórzany posiada w środku okrągły otwór, otaczający w pasie wioślarza, siedzącego z wyciągniętymi

wewnątrz łodzi nogami. Do obręczy, otaczającej otwór w pokładzie, przymocowuje się ściśle szczególnie ubiór wioslarza, pokrywający górną część jego ciała z wyjątkiem twarzy. Ubiór ten zrobiony jest z foczej skóry, pozbawionej włosów. Wiosło jest drewniane z rozszerzeniem ze skóry na obydwu końcach.

Europejczycy rzadko stają się dobrymi wiosłarzami na kajaku. Trzeba mieć mianowicie wielką wprawę, aby umieć tak utrzymać równowagę, żeby się statek nie przewracał. Nieraz też zdarzają się nieszczęśliwe wypadki przy próbach wiosłowania, któremu prawie zawsze oddają się z zapałem europejscy żeglarze podczas pobytu w przystaniach grenlandzkich. Zwykle już po kilku uderzeniach wiosła niewprawni żeglarze przewracają się i giną, jeśli niema pod ręką jakiegoś większego statku, któryby ich ocalił. Przeciwnie, doświadczony wioslarz może się wraz z kajakiem przekreślić i robić w nim rozmaite inne ćwiczenia gimnastyczne. Kobiety nie wiosłują w kajakach; zdarza się tylko niekiedy, że Eskim przewozi na kajaku swoją ukochaną przez małe cieśniny w ten sposób, że kobieta klęczy poza wiosłarzem z rękami zarzuconemi na jego szyję. Jest to jednak jazda niebezpieczna, ponieważ przy najmniejszej nieostrożności lekki statek przewraca się. Gdy dwa kajaki są ze sobą bokami połączone, wycieczka taka staje się pewniejszą.

Kajak grenlandzki nie może zabierać zbyt dużego ciężaru. Dla większych transportów wzdłuż brzegów Eskimowie używają innego rodzaju łodzi skórzanej, tak zwanego *umiaku*, czyli łodzi kobiecej. Ma ona kształt koryta, niebardzo jest zgrabna, ale łatwa do wiosłowania, obszerna i przewozić może znaczne ładunki. Nazwę otrzymała od tego, że zwykle jest wiosłowana przez kobiety.

Nie wszyscy Eskimowie nabywają tej zręczności i równowagi ciała, jaka jest niezbędna do dobrego kierowania kajakiem. Ten wdzięczny statek nadomiar jakby pobudza myśliwca do nieostrożności. Wypadki nieszczęśliwe zdarzają się dość często, zwłaszcza pomiędzy młodymi ludźmi, którzy tu, jak wszędzie na świecie, nie są skłonni do zbytnej przezorności. To też niektóre matki nie mogą się nigdy zdecydować, aby pozwolić synowi rozpocząć to niebezpieczne zajęcie. Młodzieniec taki, gdy wyrośnie, niezdatnym się staje do połowu fok i ciężko przypłaca nierozsądek swej matki, ponieważ całe życie zmuszony jest liczyć na innych w zdobywaniu środków utrzymania.

Kajak odznacza się nadzwyczajną szybkością. Dobry wioslarz może w 24 godzin przepłynąć kajakiem 160 mil morskich,

czyli prawie 300 kilometrów! Jeszcze jedną zaletę tej eleganckiej łódki musimy tu przytoczyć: jest tak lekka, że wioślarz przenosi ją łatwo na głowie na wielkie odległości.

Przyrządy i naczynia domowe oraz namioty letnie Eskimów mało się różnią od siebie, natomiast mieszkania zimowe zachodnich Eskimów bardzo się różnią od mieszkań Grenlandczyków, przyczem mam tu na myśli Grenlandczyków takich, jakimi byli dawniej, nim handel duński rozpoczął ich zaopatrywać w europejskie towary.

Dom grenlandzki opisany został przez Cranz'a w sposób następujący:

„Domy mają dwa sążnie ¹⁾ szerokości, i zależnie od tego, czy dużo, lub mało ludzi w nich mieszka — cztery do dwunastu sążni długości i są takiej wysokości, że w nich można stanąć prosto. Nie są one, jak się zwykle mniema, wkopane w ziemię, ale stoją na miejscu dogodnem, szczególnie na jakiej spadzistej skale, aby woda z tającego śniegu łatwo odpływała. Kładzie się wielkie kamienie na szerokość sążnia, a pomiędzy nie ziemią i darninę. Na ten mur kładzie się w kierunku długości domu belkę (jeśli jedna nie wystarcza, to wiąże się ze sobą rzemieniami dwie, trzy, nawet cztery belki) i podpira się ją słupami. Na to nakłada się belki poprzeczne, a pomiędzy nie drobne kawałki drzewa, pokrywa się to wszystko trawą, następnie darniną, na którą się nasypuje drobna ziemia. Nigdy nie budują daleko od wody, ponieważ żyją z tego, czego dostarcza morze. Dom nie posiada ani komina, ani drzwi. Zamiast drzwi znajduje się pośrodku domu korytarz czyli chodnik, dwa lub trzy sążnie długi, zbudowany z kamieni i ziemi, sklepiony, lecz tak niski, że trzeba przez niego raczej na rękach i nogach pełznąć, niż zgiętym przechodzić. Ten długi chodnik doskonale wstrzymuje wiatr i zimno, przez niego też zepsute powietrze wychodzi nazewnątrz. Ściany chaty są wewnątrz obciągnięte wygładzonymi skórami z namiotów i łodzi; skóry te są przymocowane gwoździemi z żeber foczych. Pokrycie skórą zabezpiecza od wilgoci.

Wzdłuż całej długości domu ciągnie się przy jednej ścianie wysokości łokcia ponad ziemią tapczan z desek, pokryty skórą. Tapczan ten, zapomocą słupów, podpierających dach, oraz całą skór, przeciągniętych aż do ściany, dzieli się na części przedziały dla koni w stajni. Każda rodzina, których dom mieszka od czterech do dziesięciu, posiada swój

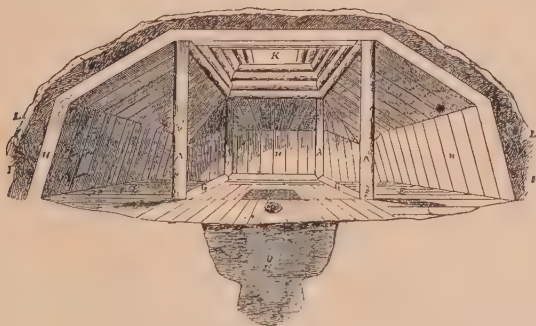
miejskie, równające się 6 stopom.

przedział. Na tapczanach śpią na futrach i siedzą w ciągu dnia, mężczyźni ze spuszczone nogami, kobiety zwykle po turecku z nogami podwiniętymi. Kobieta gotuje i szyje, mężczyzna pra-



Dom grenlandzki.

cuje zapomocą swych narzędzi. Z tej strony domu, gdzie jest wejście, znajduje się kilka czworobocznych okien wielkości prze-



Przekrój domu.

szło łokcia, pokrytych szybami z jelit foczych, lub pęcherzy, zeszytych tak szczelnie i porządnie, że wiatr ani śnieg nie przedostaje się przez nie, przeciwnie zaś światło dzienne dostatecznie

przenika ¹⁾. Pod oknami mieści się wewnątrz wzdłuż całej długości domu ławka, przeznaczona dla obcych do siedzenia i spania.

Koło każdego słupa jest miejsce na ognisko. Kładzie się na podłodze kłoc drzewa, płaskim kamieniem pokryty. Na nim stawia się niska trójnożna ławka, na niej lampa z miękkiego kamienia, długości trzewika, postaci prawie półksiężyca, pod nią zaś owalne naczynie drewniane do zbierania przelewającego się tranu. W tę lampę, napełnioną tłuszczem foczym lub tranem, kładą nieco przetartego mchu zamiast knota, który pali się tak jasno, że od wielu lamp dom nie tylko się dostatecznie oświetla, ale też i nagrzewa. Nadto, nad każdą taką lampą zwiesza się z dachu na czterech sznurach kociołek kamienny, długi na łokieć, na pół łokcia szeroki, kształtu podługowatego pudełka; w nim gotuje się wszelka strawa, a nad nim urządza się rusztowanie z pasków drewnianych, na którym suszą się przemokłe ubrania i obuwie.

Ponieważ w każdym domu jest tyle ognisk, ile rodzin, a w każdym często więcej, niż jedna lampa dzień i noc się pali, więc domy są stale ciepłe, nigdy jednak nie jest tak gorąco, jak w naszych pokojach. Przytem nie czuje się żadnego dymu. Jednak zapach z tyłu lamp z tranem, na których prócz tego jeszcze gotuje się tak dużo napół przegniętego mięsa, następnie stojące w domu naczynia z moczem, w którym mokną skóry dla garbowania, wszystko to jest wielce nieprzyjemne dla nieprzyzwyczajonego nosa“.

Twierdzenie Cranz'a, że w chatach Grenlandczyków nigdy nie jest tak gorąco, jak w naszych mieszkaniach, nie jest jednak słuszne. Gdy się wszystkie lampy palą i dużo ludzi zbierze się w jednym domu zimowym, to gorąco jest nie do wytrzymania, tak iż kobiety i dzieci zmuszone są do chodzenia prawie nago, a Grenlandczycy zarówno jak i Europejczycy wychodzą na dwór, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Europejczyków, prócz tego, zmusza do wychodzenia z domu przykry zapach brudu na podłodze i z naczyń napełnionych moczem. Jak wielka jest siła przyzwyczajenia, można sądzić z tego, że krajowcy zapach ten znoszą zupełnie dobrze, gdy natomiast perfumy europejskie z początku uważali za wstrętne. Jedna stara kobieta, której dano do powąchania perfumy, zaczęła tak kichać, jakby zażyła

¹⁾ Obecnie szyby w oknach są ze szkła. (Przyp. red.).

porządną szczyptę tabaki i twierdziła, że zapach jest bardzo nieprzyjemny.

Eskimowie na wyspie Zimowej i Igłoolik¹⁾ budują swoje domy z cegieł ze śniegu, a okna robią z lodu. Sprzęty domowe składają się tu z jednej ciągnącej się koło ściany domu ławy ze śniegu, która pokrywa się nasypem z gałęzi darniny, kości wielorybich, żerdzi od letnich namiotów i t. p., a następnie zaściela grubą warstwą skór reniferowych. Podobne domy wszędzie, gdzie się znajduje śnieg dość zbity, budują się w tak krótkim czasie i z tak małym kłopotem, że np. dom zimowy podróżnika Hall'a, mający 10 stóp średnicy, zbudowany był z wielką starannością przez trzech ludzi w ciągu dwóch godzin, a podróżnik



Domy ze śniegu.

Mac-Clintock zbudowanie takiego domu opłacał jedną igłą do szycia.

Możnaby sądzić, że pobyt w domu ze śniegu musi być bardzo nieprzyjemny i że się tam bardzo cierpi od zimna. Tymczasem wcale tak nie jest. Człowiek bardzo szybko przywyka do życia przy temperaturze 0°, i Europejczycy, którzy mieszkali w takich domach, chwalą zwykle panujący tam porządek i wygodę. Największe nieprzyjemności, które się ma do zniesienia w podobnych domach i które mieszkańców ich przy nadchodzącem lecie możliwie wcześniej wypędzają do namiotów let-

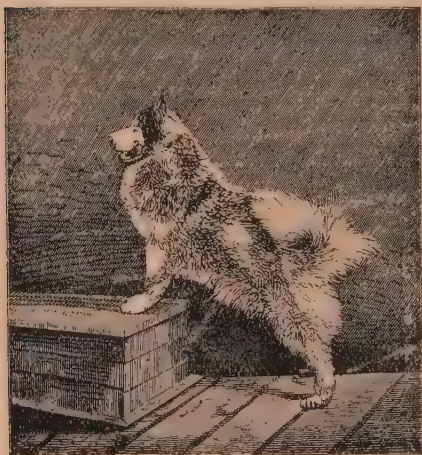
¹⁾ Wyspy polarne w Ameryce, leżące około półwyspu Melville.

nich, to właśnie nastanie za dużego ciepła i spowodowane przez nie spadanie kropli z dachu.

Jeżeli wyłączymy niewielką ilość kóz, owiec, świń, krów i kur, sprowadzonych przez Europejczyków do południowej Grenlandji, to krajowcy, prócz psów, nie mają żadnych innych zwierząt domowych. W północnych kolonjach tak krajowcy, jak i Europejczycy trzymają wielką ilość psów, które w zimie używane są do wypraw myśliwskich, w lecie zaś włóczą się swobodnie w sąsiedztwie domów swych gospodarzy często bez innego pożywienia prócz tego, które sobie wyszukają wśród odpadków zdobyczy myśliwskiej lub rybołówczej. Częstokroć gospodarz zawozi je wczesną wiosną na wyspę niezamieszkaną,

gdzie żyją bez żadnej opieki i żywią się czem mogą. W zimie przeciwnie, jeśli tylko głód nie panuje, otrzymują obfite pożywienie.

Psy grenlandzkie są zwykle tylko średniej wielkości, o sierści białej, czarnej albo czarnej z białymi plamami, często też biało-żółtej lub brunatnawej. Mają stojące uszy, bardzo gęste futro i puszysty ogon. Są wyłącznie do tego ułożone, aby w zimie w wyprawach wzdłuż brzegu ciągnąć sanie, przewozić myśliwca na miejsca polowania, często bardzo daleko od jego mieszkania położone, a stam-



Pies grenlandzki.

ąd ciągnąć sanie wraz ze zdobyczą z powrotem do domu. Przeciwnie, nie są nigdy używane do polowania w europejskim znaczeniu (z wyjątkiem obławy na niedźwiedzi) lub do pilnowania domów. Grenlandzkie psy mało szczekają. Pies podbiegunowy zwykle wydaje głos, wyjąc w sposób wysoce nieprzyjemny dla nieprzywykłego ucha.

Sześciu do ośmiu psów zaprzęga się, jeden obok drugiego, do krótkich sani zestawionych z kawałków drzewa napływowego zapomocą rzemieni i fiszbinu. Płozy u sani u tych krajowców, którzy nie mogli zaopatrzyć się w europejskie żelazo, mają oprawę z kości. Jeśli zimno na to pozwala, to płozy zao-

patrzone są w pokrycie z lodu, które się tworzy wskutek oblewania ich wodą. Zmniejsza to tarcie o śnieg w wysokim stopniu. Jeżeli śnieg jest zanadto zmarznięty i ostry, to nogi psów ochraniające są zapomocą specjalnych trzewików. Często pysk psa związany bywa mocno rzemieniami dla przeszkodzenia zwierzęciu żucia rzemiennego zaprzęgu w razie braku innego pożywienia; również przednia noga przywiązuje się do obroży na szyi, aby się psy nie wyrwały i nie gryzły pomiędzy sobą. Przy wszel-



Sanie.

kich wozach, zaprzężonych w psy, używa się bata niezmiernie długiego na krótkiej rękojeści, który w rękę zręcznego woźnicy stanowi straszne narzędzie kary. Batem tym powoźący może trafić w dowolną część ciała psa, którego chce ukarać. W każdej dobrze wytresowanej sforze psów znajduje się jeden pies, tak zwany „dozorca“, uznany kierownik wszystkich innych, który sam karze winnych i utrzymuje pomiędzy psami porządek.

Pierwsi Europejczycy, którzy się zetknęli z Eskimami, przedstawili ich jako skłonnych w najwyższym stopniu do kradzieży, i obwinienie to powtórzone było przez wielu podróżników naszego stulecia, gdy, przeciwnie, inni chwalą ich uczciwość. W rzeczywistości Eskimowie, z małemi wyjątkami, nigdy najmniejszego drobiazgu nie kradną u siebie, ani u tych Europejczyków, z którymi od dłuższego czasu znajdują się w stosunkach i którzy uznani są przez nich za „obywateli Grenlandji“. Nie posiadają żadnych zamków, ani kluczy, i wszelkie sprzęty, bez których się mogą obejść, przy opuszczeniu z nastaniem lata mieszkań zimowych, w mieszkaniach tych pozostawiają bez żadnej opieki z zupełną pewnością, że po powrocie zastaną wszystko nienaruszone. Jeżeli ktoś w Grenlandji znajdzie kawałek drzewa, które wyrzuciły fale, a nie może go zabrać ze sobą, to dość, aby go wyciągnął na wybrzeże ponad najwyższy poziom wody, a może już być pewny, że po latach całych odnajdzie go na tem samem miejscu.

Natomiast uczciwość względem Europejczyków nie należy widocznie do przykazań moralności tych Eskimów, którzy po raz pierwszy spotkali tych białych, niegrzecznych, kłótliwych i niemoralnych ludzi, z ich olbrzymiemi „umiakami“, napełnionemi bogactwami, które w oczach Eskimów były większe, niż owe skarby, wywołane czarodziejską siłą lampy Alladyna¹⁾. Konfiskatę czegoś z tych bogactw Eskimowie spełniają z tak czystym sumieniem, z jakim my rabujemy zapasy zimowe, mozolną pracą społeczeństwa pszczoł zebrane. Tam jednak, gdzie Eskim przez czas dłuższy miał styczność z uczciwymi, sumiennymi Europejczykami, tam już względem nich nie grzeszy, jak poprzednio, przeciwko siódmemu przykazaniu. W duńskiej Grenlandji, wskutek tego kradzieże zdarzają się niezmiernie rzadko, co mogłem stwierdzić też i na sobie w czasie mojej podróży (roku 1870).

Przeciwnie znów Eskimowie, których opisał podróżnik Parry, bynajmniej nie wydawali się skłonni w czasie jego pobytu u nich do pozbycia się w zupełności chęci przywłaszczania sobie drobiazgów europejskich. Gdy byli schwytani, wynajdywali wszelkie możliwe dziecinne wykręty i obwiniali się wzajemnie, aby uniknąć kary. Parry usprawiedliwia ich tem, że pokusa, na którą Eskim jest wystawiony, gdy się kręci koło europejskiego okrętu, jest podobna do tej, jaką musiałby odczuwać jakiś ubogi Europejczyk, gdyby mu się zdarzyło swobodnie przechadzać się pomiędzy stosami złota i srebra. Zresztą słuszniesze wyjaśnienie przeciwieństwa pomiędzy uczciwością Grenlandczyków względem siebie i nieuczciwością względem niektórych obcych, być może, znajdziemy w tem, że Eskimowie zupełnie tak samo zachowują się względem Europejczyków, jak ci względem krajowców.

Przeciwieństwa, z jakimi się pod tym względem spotykamy, zależą zresztą w znacznej mierze od swoistego komunizmu, panującego u Eskimów. Istotnie, niewiele znajdziemy u nich takich rzeczy, któreby każda osoba wyłącznie dla siebie posiadała; u mężczyzn są to ubrania, łodzie i przyrządy do polowania, u kobiet — ubranie, naczynia kuchenne i przyrządy do szycia. Te rzeczy nie pożyczają się, chyba, gdy są w podwójnej liczbie,

¹⁾ W opowieściach arabskich p. t. „Tysiąc nocy i jedna“ mówi się o cudownej lampie Alladyna, za której potarciem zjawiał się genjusz i przynosił wszelkie żądane skarby.

i w tym razie zbyteczne przedmioty uważają się prawie zawsze za wspólną własność. Umiak, namiot letni i zapasy żywności, zrobione w lecie, oraz zdobycze letniego połowu należą do rodziny. Dom należy do rodzin, które go zamieszkują. Większa część połowu zimowego należy do całej osady. Każda więc foka, złowiona na jakimś stanowisku zimowym, dzielona jest pomiędzy wszystkich jego mieszkańców. Łączne życie wielu rodzin we wspólnych domach zimowych odznacza się panowaniem zupełnej zgody, co znajduje swój wyraz w fakcie godnym uwagi, że język Eskimów prawie nie posiada słów, służących do wymyślenia lub złorzeczenia.

To samo można powiedzieć o zgodzie panującej w osadach; pod tym względem niewiele „cywilizowanych“ narodów dałoby się narówni z niemi postawić, a jednak niema tu policji, ani władzy publicznej dla utrzymywania porządku. Zasada „żadnego pana, żadnego sługi“ znajduje tu w zupełności swoje zastosowanie. Wprawdzie ojciec rodziny ma pewną łagodną władzę nad innymi, jednak stosunki służebne w europejskiem znaczeniu nie istnieją tu wcale, i dlatego służący europejscy mało są poważani. Eskimowie szczerzą się swoją niezależnością i mają wysokie o sobie mniemanie. Jeden z nich na pytanie czy gubernator duński jest znakomitszy od niego, odpowiedział: „trudno to rozstrzygnąć; wprawdzie gubernator ma więcej majątku, niż ja, i tutaj może więcej rozkazywać, jednak w Kopenhadze ma swego pana, którego słuchać musi. Ja zaś nie mam nad sobą nikogo, ktoby mi rozkazywał“.

W charakterze Eskimów jest coś dziecinnego. Są pogodnego usposobienia, skłonni do żartów i gawędy, do wyśmiewisk i satyry. Korzystają z radości, jakie dana chwila przynosi, nie troszcząc się o to, co przyniesie jutro. Wskutek tego przechodzą często ciężkie czasy, które znoszą z cierpliwością i o których szybko zapominają, gdy się zdarzy połów bogaty, któremu towarzyszą uczty, połączone z tańcem, gawędą i śpiewami.

Szczegółne ceremonje przy zawieraniu ślubów małżeńskich nie istnieją u Eskimów, chyba jeśli tu zaliczymy zwyczaj, że narzeczona podstępem lub zapomocą udanej przemocy zostaje uprowadzona przez swego przyszłego męża, lub jednego z jego przyjaciół, albo przy pomocy kilku starszych kobiet. Zwykle związek małżeński jest już wcześniej umówiony przez starszych, a często się zdarza, że młodzi ludzie już od dzieciństwa są dla siebie przeznaczeni. Panna młoda po scenie udanego porwania musi mieć porozrywane ubranie i kilka zadraśnięć, prócz tego

przyzwoitość wymaga, aby, jeśli się da, kilka razy uciekała od męża i czas pewien była smutna i przygnębiona, z rozrzuconemi włosami. Aby przeszkodzić próbom uciekania eskimoskich piękności, a być może, aby im dać pretekst do zaprzestania tych ucieczek, zdarzało się dawniej, że mąż robił kilka nacięć nożem na stopach nieposłusznej żony, poczem mógł być pewny, że jej już zupełnie przeszła ochota do ucieczek.

Zwykle Eskimowie mają tylko jedną żonę, czasem dwie, trzy lub cztery. Misjonarze mieli ciężkie kłopoty z uporządkowaniem poprzednich stosunków, gdy nawracali na wiarę chrześcijańską tych Eskimów, którzy mieli kilka żon.

Eskimowie bardzo lubią dzieci. Swoboda ich dzieci jest tak nieograniczona, jak nigdzie indziej. Dzieci nigdy nie są karane, a nawet nie są strofowane w ostrych słowach. Mimo tego sposobu wychowania, trzeba oddać sprawiedliwość dzieciom Eskimów, że po dojściu do 8 — 9 lat wieku możliwie dobrze są wychowane, ma się rozumieć, jeśli pominiemy nieznane dzikim subtelności europejskiej kultury, według których używanie palca zamiast widelca, lub noża zamiast łyżki uważane jest za istotny brak wychowania i przyzwoitości.

Eskimowie w Grenlandji grzebani są w najlepszych swoich ubraniach. W grobie koło ciała mężczyzny kładą procę, pikę, łuk i strzały, do grobu zaś kobiety — przyrządy do szycia, do garbowania skór i t. p., do grobu dziecka — zabawki dziecinne i głowę psa, który ma nierozumnej istocie wskazywać drogę na tamtym świecie. Groby składają się ze stosu kamieni średniej wielkości, w którego środku znajduje się podłużne wgłębienie długości człowieka, czyli grób właściwy, jednym lub kilkoma płaskimi kamieniami pokryty.

Sposób chowania zmarłych świadczy, że Eskimowie mają pewne nieokreślone pojęcie o życiu pozagrobowem, które dzielnemu myśliwcowi polarnemu mniej więcej w taki sam sposób się przedstawia, jak jego życie na ziemi, tylko tam nie czeka go tyle kłopotów, natomiast będzie miał obfitość mięsa fok i innych grenlandzkich przysmaków. Określonej jednak religji nie posiadają Eskimowie, chyba że tu włączymy wiarę w wielkiego ducha Tornarsuka, występującego w ich baśniach pod różnemi postaciami, następnie fantastyczne wierzenia w liczne mniej potężne twory, zamieszkujące powietrze, głębiny oceanu i wnętrza ziemi, wreszcie wiarę w czarodziejów, t. zw. angekoków. Świątyń, miejsc składania ofiar oraz bożków nie posiadają.

Eskimowie zręczni są w robocie ręcznej i pojętni oraz bar-

dziej nadający się do przyjęcia europejskiej cywilizacji, niż inne ludy dzikie Nowego Świata, co między innymi potwierdza się tem, że obecnie prawie wszyscy Eskimowie duńskiej Grenlandji nauczyli się czytać i pisać, pomimo braku prawa o obowiązkiem nauczaniu ¹⁾).

W Guajanie francuskiej

Konstanty Jelski.

(Opowiadanie z pobytu w Guajanie francuskiej od r. 1865 do 1871).

W lipcu roku 1865 pracowałem w Paryżu w zakładzie przyrodczym Deyrolle'a. Dowiedziawszy się z gazety, że wojenny okręt transportowy miał wkrótce odpłynąć z Tulonu do Kajenny ²⁾, napisałem do ministra marynarki, prosząc o pozwolenie udania się do Ameryki na tym okręcie. W parę dni potem, otrzymawszy żądane pozwolenie, wsiadłem na fregatę „Amazonkę”. Statek ten wioził do Guajany kilkuset złoczyńców na dolnem piętrze, kratą odgradzonych. Prócz załogi i skazanych była na okręcie pewna liczba urzędników, jadących na złuzowanie innych, których obowiązujący czas pobytu w kolonji skończył się, nadto kilku kupców, którzy po kilkuletnim pobycie w kolonji podupadli na zdrowiu, a przez półroczny pobyt w Europie wzmocnieni powracali do Guajany.

Nie doświadczywszy wcale morskiej choroby, po dniach trzydziestu kilku ujrzałem nareszcie stały ląd Guajany w kształcie ciemnego, długiego pasa. To był nieprzerwany las. Będąc jeszcze o wiele mił od lądu, zoczyliśmy jadącego ku nam

¹⁾ Zdaniem znakomitego podróżnika Nansena, który znacznie później, bo w r. 1888 zwiedził Grenlandję, Eskimowie wymierają. Jako przyczynę tego faktu Nansen podaje zetknięcie się tego ludu z kulturą europejską. Pomijając już choroby zaraźliwe, otrzymane od Europejczyków, jak ospa, to główną przyczyną jest coraz większy brak niezbędnych dla Eskimów zwierząt, mianowicie fok, które Europejczycy tępią nierozważnie w olbrzymich ilościach. Poznanie europejskich towarów takich, jak kawa, tytoń, stroje — także spowodowało fatalne skutki, gdyż Eskimowie wzamian za te zbyteczne towary, sprzedają Europejczykom tran, futra, skóry, narażając się na dotkliwy brak tych niezbędnych przedmiotów. Stan zdrowotny Eskimów popsuł się w znacznym stopniu i suchoty grasują wśród nich zastraszająco. — (Przyp. red.).

²⁾ Miasto główne Guajany francuskiej.

sternika na malutkim statku. Ten mieszka na małej wysepce i ma wiadomość o czasie przybycia różnych okrętów; wygląda ich, śpieszy na spotkanie, obejmuje na nich komendę i przeprowadza przez miejsca trudne, omijając mielizny. Po kilku godzinach przybyliśmy do trzech wysp, znanych razem pod nazwą „Iles du Salut“ (wyspy Ratunku); jedna z nich nazywa się „Ile du Diable“ (wyspa Djabelska). Na tych wyspach „Amazonka“ wysadziła skazańców, pozostali zaś podróżni, przesiadłszy się na inny parowiec, popłynęli do Kajenny.

Wylądowawszy w Kajennie, rozpakowałem się, przebrałem, i już miało się ku wieczorowi, kiedy wyszedłem przyjrzeć się miastu.

Kajenna, licząca kilka tysięcy mieszkańców, rozłożyła się nad morzem przy szerokim ujściu rzeki tej samej nazwy. Na brzegu morza stoją na skalistym gruncie koszary, pałac gubernatora i szpital. Reszta domów niskich, lub jednopiętrowych, drewnianych, od brzegów nieco odsuniętych. Schludne białe domki posiadają w oknach żaluzje zamiast szyb. Otoczone są pospolicie werandami.

Udałem się w głąb miasta i odkryłem plac bardzo piękny, „plac palmowy“, trawą porosły i szeregami palm „*Oreodoxa regia*“ wysadzony. Drzewa te są tak grube, że ich jeden człowiek objąć nie może. Posiadają koronę, złożoną z wielkich liści, dających cień. Na każdej prawie liść najstarszy wisi już zeschły, gotowy do opadnięcia. Spadając z wielkim łoskotem, zabiłby człowieka; szczęściem — oddziera się naprzód głośno i znajdującego się przypadkiem pod drzewem człowieka ostrzega o niebezpieczeństwie.

Na liściach niektórych palm obrały sobie miejsce wypoczynku sępy czarne, przez Indian „Urubu“ zwane. Nie boją się wcale człowieka. W miastach strefy gorącej ptaki to pożyteczne, pełnią bowiem funkcje czyszcicieli, karmiąc się przeważnie gnijącymi szczątkami zwierząt.

Zwiedzenie rynku dla nowoprzybyłego bardzo jest ciekawe, a chętny tłumacz zawsze się tam znajdzie. Kajeński rynek leży niedaleko portu. Pośrodku stoi długa szopa otwarta, gdzie siedzą murzynki, sprzedające owoce, żółwie, kraby i t. p. W innej szopie okrągłej, ogrodzonej sprzedają ryby i mięso.

Jeden z najważniejszych przedmiotów żywności, sprzedawanych na rynku Kajenny, to banany i bakowy czyli pizangi (*Musa Sapientium* i *Musa paradisiaca*). Obydwa te owoce bardzo do siebie podobne, mają prawie kształt ogórka, a tem głównie róż-

nią się między sobą, że banany są nieco większe, z nieco wydatnemi trzema podłużnemi żeberkami, zatem kańciaste i ze śpiczastym końcem. Bakowy są mniejsze; mają boki zaokrąglone i koniec tępy. Oba te gatunki owoców mają skórę na kilka milimetrów grubą, która oddziela się z łatwością. Banany jedzą się w Guajanie gotowane albo pieczone; bakowy, miększe od bananów, jedzą się zwykle surowe i stanowią ulubioną przekąskę. Jedne i drugie, pokrajane w długie płatki i usmażone, są jednym z najsmaczniejszych pokarmów.



B a n a n y.

Bananowe drzewo jest właściwie olbrzymiem zieleń, bo jego pień złożony jest jedynie z ogonkowych pochew tych liści, które stanowią też koronę; liście bez ogonka mogą być ze dwa metry długie i pół metra szerokie. W cieniu ich można schronić się od słońca, a nawet i od deszczu. Śliczne są bananowe liście, póki od wiatru nie podarte na strzępki. Każdy pień wydaje jedno olbrzymie grono owoców, które bywa tak duże, iż je trudno podnieść z ziemi. Największe mają do 100 owoców. Grona dorosłe tak ciężą roślinie, że ta pochyla się, a czasem i wywra-

ca. Kiedy owoce dorosną, wtedy ucinają się grona jeszcze zielone i zawieszają na werandach, gdzie w ciągu kilku dni wszystkie pożółkną. Pod odcięciu grona ścina się także i pień, zwykle porzucany na miejscu, żeby gnijąc, przyczyniał się do użyźnienia gruntu.

Inny, może jeszcze ważniejszy przedmiot pokarmowy w Guajanie francuskiej to *kuak* i *kassawa*. Oba wyrabiają się



Manjok.

z rośliny, manjokiem zwanej (*Iatropa Manihot* z rodziny wilczo-mleczowatych). Jest to piękne małe drzewko o węzłowej łodydze, grubości wielkiego palca. Mączne korzenie tej rośliny, grube jak cztery palce, a długie na 40 centymetrów, trą się na tarce, pozabawiają jadowitego soku przez wyciśnięcie go, i suszą na płycie glinianej, albo żelaznej, od spodu podegrzanej. Jeżeli się porusza grabiami tarty manjok podczas suszenia, wtedy otrzymuje się kasza manjokowa, t. zw. *kuak*. Jeżeli zaś wysycha nieporuszany, w postaci cienkiego placka, to się nazywa *kassawa*. Gdy się ustoi mętny sok, wyciśnięty z manjoku, to na dnie naczynia zbiera się mączka, zwana *tapjoką*. Do tych pokarmów łatwo się przywyka, choć są mniej posilne od chleba. *Kuak* macza się przed jedzeniem przez kilka minut w wodzie; *kassawa* rozmaka zaś przędziutko w zupie lub sosie.

Czyniąc częste wycieczki w okolice Kajenny i dalej w głąb kraju, zapoznałem się z bogatym światem roślinnym i zwierzęcym tego kraju.

Kraj Guajany otoczony jest od strony morza pasem ziemi niskiej, którą woda zalewa w czasie przypływu morza. Przypływ zatrzymuje i podnosi wodę w rzekach, tak iż bliżej morza woda rzeczna zalewa perjodycznie grunty przyległe dwa razy na dobę.

To są tak zwane ziemie niskie — „terres basses“. Ziemie, nie podlegające temu perjodycznemu nawodnieniu nazywane są wysokimi „terres hautes“. Niziny nadmorskie, słoną wodą zalewane, porastają lasem z drzewa mangrowego *Rhizophora mangle*, wypuszczającego korzenie z pnia, a nawet z gałęzi. Nasiona tego dziwnego drzewa wyrastają blisko na łokieć, zanim się jeszcze od drzewa oddzielą. Na drzewie wyglądają te wyrosłe nasiona, czyli młode roślinki, jak pałki albo świece, górnym końcem do gałązek przywieszzone. Ciężar roślinki odrywa ją nareszcie od gałązki, tak że spadając, wbija się na kilka cali głęboko w miękkie błoto i dalej zaczyna rosnąć.

Ten las *Rhizophorowy* na błocie słonem nadmorskiem, co 6 godzin wodą morską zalewany, to osobny świat, mieszczący



Zarośla mangrowe na wybrzeżach morza.

właściwe sobie zwierzęta. Chodzenie po tym lesie męczące, bo choć błoto korzeniami przeplecione, zawsze jednak noga grzęźnie do pewnej głębokości.

Kora *Rhizophorów* służy do garbowania skór; drzewo twarde, dobre na węgiel, liście owalne, opadające, nieco mięsiste służą za pokarm krabom, mieszkającym tu w niezmiernej ilości, a młode „świece“ tego drzewa karmią zwyczajną zieloną papugę. To też rano przelatują te ptaki ponad wodą niezliczonymi stadami, napędzając krzykiem powietrze. Kraby łowią się tylko podczas odpływu, stanowią przysmak tutejszej ludności, a z dodatkiem kuaku są nawet pożywne.

Założenie plantacji na ziemiach niskich wymaga otoczenia gruntu dookoła groblą i kanałem. Groble muszą być mocne, by nacisk zewnętrzny wytrzymały i muszą być z czystej gliny zrobione, by ani kropli wody nie przepuszczały. Kanały są niezbędne do lepszego osuszenia gruntu. Tym sposobem plantacja, choć otoczona błotami lub mokreymi gruntami, trzyma się sucho. Trzcina cukrowa, choć może ślicznie wyglądać na ziemiach wyższych, ale rzadko rośnie tam tak bujnie. Tu jest ona tak wysoka, że jeździec łatwo się w niej schowa.

Na ziemiach wyższych są plantacje kawy, kakao, goździków. Te ostatnie drzewa są tak duże jak mierne grusze; na znacznej odległości, rzędami zasadzone, piękny przedstawiają widok. Gdym zwiedzał plantację, drzewa te miały zakwitnąć i właśnie była pora zbierania pączków, które stanowią owe goździki, będące przedmiotem handlu. Że w tej porze przechodziły deszcze drobne, więc suszono goździki na słońcu w szufladach na kółkach. W razie deszczu murzyn w mgnieniu oka popychał szuflady pod dach. Gdy słońce zaświeciło, popychał je znowu nazwewnątrz.

W ogrodach z pomiędzy licznych drzew owocowych wyróżnia się drzewo mangowe. Odznacza się wielkim wzrostem, rozłożystymi gałęziami, dużymi podłużnymi liśćmi. Niepokażne kwiatki zielonawe, w grono zebrane, wydają owoc większy od kurzego jaja, pod którego gładką, dość mocną skórką znajduje się miękkisz soczysty, żółty. Wewnątrz jedno ziarno duże, spłaszczone, obrosłe włóknami. Skórka zewnętrzna ma smak aromatyczny, smółkowy.

Jest wiele odmian mangów. Już mangi proste, z nasienia wyrosłe, wydają bardzo smaczne owoce, ale mangi szczepione, mianowicie odmiany nazywane „manga złota“, są niezrównane i pewnie należą do najsmaczniejszych owoców na świecie. Mangi jedzą się dwojakim sposobem: albo odkrawają się dwie boczne połówki i wybiera się łyżeczką miękkisz ze skórzanych niby miseczek, albo robi się dziureczka zębami w wierzchołku owocu i pociskając go, wysysa się niby śmietankę.

Tu i owdzie spotykałem gaje palm oliwnych. Palma ta, zwana po łacinie *Elaeis guineensis*, mogłaby równem prawem nazywać się *Elaeis gujanensis*, bo dziwnym trafem rośnie zarówno w afrykańskiej Gwinei, jak i w amerykańskiej Guajanie. Ma duże grona owoców pomarańczowego koloru, nieco większych od orzechów włoskich. Pod włóknistym miękkiszem środkowym i nieco tłustym znajduje się twarde jądro, podobne

do małego kokosu. Choć to owoc nie deserowy, ma smak wcale nie przykry i pożywne własności. Murzyni wyrabiają dwojaki olej z tej palmy: z orzecha jeden gatunek, a z miękiszu zewnętrznego drugi. Używają go do jedzenia.

Lasy tutejsze inny mają wygląd, niż nasze. Natura lasu w naszym kraju bywa też sama na większej przestrzeni z powodu małej liczby gatunków drzew. Tu las posiada setki gatunków; lada nieznaczna różnica gruntu, wilgoci i światła stwarza przewagę pewnego gatunku roślinności i krajobraz odmienia się. W dole widzimy paprocie, młode drzewka i palmy, wyżej starsze drzewka i palmy, a nad nimi wznoszą się korony olbrzymich drzew, patriarchów lasu, oddalonych o kilkaset kroków jedno od drugiego. Wyglądają one niby pojedyncze szczyty w okolicy górzystej. Gałęzie drzew tak zaciemniają grunt, że trawiastej roślinności prawie tu nie ma; ziemia pokryta jest butwiejącą warstwą opadłych liści.

Rzadkie są drzewa, którymby nie towarzyszyły tak zwane liany. Są to rośliny trwałe, drzewiaste, ale mające łodygi niezmiernie długie względnie do ich grubości. Nie wiją się one prawidłowo, sięgają jednak korony najwyższych drzew, tam się rozgałęziają i przerzucają na sąsiednie drzewa. Bywają napięte jak struny, albo jak liny na maszcie okrętowym. Chcąc drzewo zrębać, koniecznem jest zrębać naprzód liany, które się czepiają jego gałęzi. W przeciwnym razie drzewo nie upadnie.

Niektóre liany mają wspaniałe kwiaty, inne dają przyjemne owoce. Wielka ich część dostarcza doskonałych wiązań do budowli, do płotów a także do plecenia koszów, w codziennem więc życiu wielkie mają znaczenie.

Nie tylko nadają one lasom charakterystyczny wygląd, ale są koniecznem ogniwnem wpośród istot tamtejszej natury; bo życie małp możeby było bardzo utrudnione, a nawet niemożliwe, gdyby nie było tych naturalnych mostów pomiędzy drzewami. Liany w ogólności utrudniają chodzenie po lesie, dlatego tam jest potrzebny kordelas (nóż), jak w górach kij.

Z pomiędzy osobliwszych ssących, które spotykałem w wędrowkach po lasach, wspomnę o dydelfach, zwierzętach, należących do workowatych. Zwierzątko te nieco mniejsze od domowego kota, mają wyraz oczu bojaźliwy i dziki; ogon nagi, łuskowaty, chwytny, t. j. zawijający się w dół, tak że na nim zwierzę może zawisnąć. U samicy skóra na brzuchu tworzy dużą fałdę, która przedstawia worek z przodu otwarty. Młode przychodzą na świat bardzo niedojrzałe, jak kulki białawe, wielkości orzecha

laskowego. Matka wkłada je do worka, gdzie pozostają, aż do póki nie podrosną znacznie.

Spotykałem też nieraz leni w c.e. Dają się one z łatwością hodować. Trzymałem je po kilka tygodni, przynosząc im codziennie zrabane drzewko rośliny *Cecropia*. Zawsze albo spały, zawieszone pazurami na gałęziach, albo jadły, a jadły często, jakby we śnie pogrążone, z zamkniętymi oczami; kiedy się do którego z nich podchodziło nieco prędzej, przestraszał się, pod-

nosił pomału jedną przednią łapę, a potem szybkim ruchem starał się wielkimi swemi pazurami udrapnąć. Ale, kiedy się przytrzymało za pazury tak podniesioną łapę, po małym wysiłku męczył się i zasypiał.

Zdarzają się dość często i pancerniki, zwierzęta pokryte kościaną tarczą, która przedstawia skostnienie skóry. Uchodzą one za zwierzęta nocne, choć pewnego razu w dzień pochmurny spotkałem pancernika około 3-ej po południu, jak stojąc na tylnych łapach przy zwalonem drzewie, silnymi pazurami przednich łap zapamiętałe obdzierał korę, szukając wijów i larw owadów, pod korą żyjących. Gdy dostrzegł moją obecność, przeskoczył drzewo



Leniwiec. Mrówkojad. Pancernik.

zwalone i uciekł szybkim pędem, dając mi do poznania, że nie jest zwierzęciem powolnem, jak to mniemałem.

W lesie zwrotnikowym można czasem chodzić kilka godzin i ani jednego ptaszka nie zobaczyć. Potem natrafia się nagle takie ich mnóstwo, że od wierzchołków drzew, aż do ziemi las jest najrozmaitszem ptactwem drobnem ożywiony. Owocożerne, ziarnojady i owadożerne łączą się w mieszane stada wędrowne.

Najprzyjemniejsze jest spotkanie z papugami; zawsze spoglądałem z ciekawością na ich zachowanie się szczególne, a osobliwie przechodzenie z gałęzi na gałąź. Gdy mają przejść na inną bliską gałąź, chwytają dziobem ową gałązkę, zawieszają na dziobie i wtedy przyciągają się do nowego miejsca. Nigdy nie robią inaczej. A więc dziób u papug służy nie tylko do jedzenia, ale i do zmiany miejsca.

Z owadów najliczniejsze są gatunki mrówek. Na samych wyspach Ratunku zebrałem około 90 gatunków tych owadów. Dla plantacyj manjoku i ogrodów szczególnie jest szkodliwa duża, ruda mrówka, t. zw. „fourmi manioc“. Robi ona gromadnie nocne wyprawy na pola manjokowe i do ogrodów, pustosząc je i robiąc wielkie szkody. Czasem w jedną noc nie tylko ogołaca z liści całe drzewa pomarańczowe i inne, ale nieraz, wkraczając w ogromnej ilości, niszczy pole manjoku. To też pola te dla zabezpieczenia od mrówek okopują głębokim rowem.

Ciekawe są mrówki rodzaju *Eciton*. Napotykałem nieraz te wielkie wędrowne mrówki w zaborczym pochodzie. Na błoniach tworzą szereg ściśniony. Kolumna ich zajmuje przestrzeń kilka cali szeroką. W lesie zaś rozpraszają się i postępują kolumną szeroką na kilkadziesiąt kroków. Mają one pożerać wszelkie napotymane żyjątka, nie tylko owady, ale myszy, żaby i t. p. Kiedy napotkają na swej drodze ludzkie mieszkanie, to wypełniają je, a po kilkogodzinnym rabunku zostawiają je zupełnie wolne od tarakanów, myszy i tym podobnych niepotrzebnych towarzyszy człowieka. Mała to rzecz przekroczyć ich kolumnę szybkim krokiem, ale, kiedy dla jakich spostrzeżeń człek zmuszony jest zatrzymać się w bliskości takiego pochodu mrówek, wtedy sprawa nader przykra, bo prędko okryją człowieka od stóp do głowy i gdzie tylko do ciała się dostaną, kęsają dotkliwie.

Od czasu, jak Francuzi osiedlili się nad rzekami Guajany i w celu dostarczenia drzewa dla kolei żelaznych zaczęli pracować w lesie, dowiedziano się o pewnej ciężkiej chorobie, spowodowanej przez muchę. Gdy człowiek zakatarzony zaśnie w lesie, przylatuje pewna mucha zielona i składa jaja w nosie. Zaraz potem wylęgają się larwy, które wędrują coraz głębiej, żyjąc wilgocią, wydzielaną przez jamę nosową. Wskutek tego twarz nabrzmiewa i ból staje się nieznośnym. Z początku nie wiedziało, co to jest, i były wypadki śmierci. Ale gdy dostrzeżono, że larwy muchy są powodem choroby, użyto wstrzykiwania benzyny, która zabija larwy i prędko zdrowie przywraca.

Klimat Guajany niebardzo gorący, bo w cieniu w ciągu lat pięciu nie widziałem na termometrze więcej nad 29° C., ale zato nie tylko w dzień, lecz i w nocy nie widziałem mniej nad 27°C. Ta duża ciepłota i wilgotne powietrze osłabia Europejczyków. Prędko, czasem w parę miesięcy tracą rumieńce na twarzy, a przytem nie opalając się, blado wyglądają. Zwykle używają parasoli od słońca, bo zimnica (febra) ma zawsze napadać Europejczyków od słońca uderzonych.

Zimnica tutejsza objawia się bólem głowy, ziębieniem i potami, a przytem brakiem apetytu. Paroksyzm powtarza się zwykle co trzeci dzień. Nie znam wypadku, żeby bez leczenia kogo porzuciła, ale najczęściej łatwa do wyleczenia zapomocą ipekakuany i chininy. Rzadziej napada Europejczyków gorsza od zimnicy biegunka. Po pewnym przeciągu lat, najczęściej wtedy, gdy przez nieregularne życie organizm stracił siłę odporną, siła trawienia słabnie, żołądek pokarmu nie znosi. Wtedy jedynym dla chorego ratunkiem jest powrót do Europy. Za mojego pobytu było prawidłem zmieniać urzędników wyższych co trzy lata, a żołnierzy co cztery, chociażby nawet byli zdrowi.

Z dotychczasowego doświadczenia nie widać prawdopodobieństwa, żeby Europejczyk mógł się zaaklimatyzować w Guajanie. Spędziwszy młodość w Europie, należy co lat kilka ją odwiedzać. Inaczej, albo mu się życie ukróci, albo staje się niedołęgą.

Jedną z bezpośrednich przyczyn osłabienia są też obfite poty, z powodu których przy pracy fizycznej potrzeba tu przebierać się kilka razy na dzień.

Wypada jeszcze wspomnieć o pewnym skutku klimatu Guajany na białych, który, choć nie jest chorobą, niemiłe sprawia uczucie. Skóra pokrywa się czasami na całym ciele drobnymi, czerwonymi pryszczkami, sprawiającymi swędzenie dokuczliwe.

Ludność Guajany składa się z Kreolów, Murzynów, Mulałów, Indjan, Chińczyków i Europejczyków.

Kreolami nazywają białych, urodzonych w kolonji. Wszyscy oni należą do wyższej klasy społeczeństwa i pobierali wychowanie we Francji. Piastują oni urzędy, albo trudnią się handlem, lub zarządzają plantacjami.

Murzyni w Guajanie są potomkami niewolników afrykańskich. Klimat Guajany służy im doskonale.

Indjanie mieszkali podczas odkrycia Guajany na całym jej obszarze. Ucisk ze strony Europejczyków, oспа i inne choroby

z Europy przybyłe, oraz wódka tyle dokazały, że dziś liczba ich nadzwyczaj zmniejszyła się, a nad niektórymi rzekami wcale już niema Indian.

Mieszkańcy Boliwji

Emil Barbier (Le Tour du Monde, 1907).

W chwili, gdy generał Sucre, zwyciężywszy vice-króla Limy¹⁾, ogłosił niepodległość Boliwji (1825 r.), kraj ten nazywał się Peru Górne; nazwa, o ile chodzi o zachodnią część kraju, zupełnie odpowiada rzeczywistości. Istotnie kraj ten to przedłużenie Peru ze względu na skład ludności (Kwiczuasi, potomkowie Inkasów i Ajmarosi), ale Peru „w orlem gnieździe“, że się tak wyrazimy. Dostajemy się tu bowiem na obszary, wznoszące się na wysokość 4000 metrów, przedarłszy się poprzednio przez niedostępne łańcuchy górskie o szczytach, należących do najwyższych na ziemi.

Skutkiem swej niedostępności Boliwja jest dotąd krajem bardzo pierwotnym w częściach swych więcej znanych, a zawiera też pewne obszary niezbadane dotychczas, lub w każdym razie mało znane. Nie powinno nas także dziwić, że wielu geografów, nawet boliwijskich, nie zgadza się ze sobą co do obliczenia powierzchni Boliwji, tego ogromnego kraju, który jest tak rozległy, jak trzy wielkie państwa Europy, mianowicie: Niemcy, Francja i Anglia razem wzięte.

To samo dotyczy i ludności. O jej liczbie można mówić tylko w przybliżeniu. Przypuszczalna liczba mieszkańców około 3 milionów może być podzielona w sposób następujący:

Białych — około 25⁰/₀ Indian w stanie oswojonym — około 40⁰/₀
Metysów — „ 30⁰/₀ „ „ dzikim — „ 8⁰/₀

Nie widzimy tu narodowości, któraby się, podobnie jak w Czyle, stopiła w jednolitą całość z rasą białą, cywilizowała i była rządzona na sposób europejski. Wiele jeszcze przejdzie pokoleń, zanim 2 milj. Indian i Metysów dojdzie do jakiej takiej cywilizacji. Białą jest tu potomkiem emigrantów hiszpańskich lub innych Europejczyków, przybyłych do tego kraju w celu eksploatacji jego bogactw mineralnych ²⁾).

¹⁾ Peru i Boliwja stanowiły poprzednio kolonie Hiszpanji.

²⁾ Bogactwa mineralne Boliwji są wprost bajeczne. Główne miejsce zajmują kopalnie złota, srebra, miedzi i cyny, dalej znajdują tu rękę, żelazo, antymon, bizmut, ołów, saletre, sól kuchenna; prócz tego drogie kamienie w obfitości: szmaragdy, ametysty, opale, turkusy, topazy i inne (Przyp. red.).

Metys, tak zwany „Cholo“ (cz. czolo), teoretycznie jest mieszaneńcem Indjanina z białym. Właściwie jednak jest Indjaninem nieco ogładzonym. Stanowi on w położeniu społecznym przejście od Indjanina oswojonego, którego biały traktuje prawie na równi ze swemi psami, do przedstawicieli właściwej klasy białej. Coprawda, gdy losy uczyniły czolosa bogatym, to przy spisie ludności zaliczą go na pewno do rasy białej, byle tylko przywdział strój europejski i wykazywał wielką pogardę dla swych współziomków, czolosów klasy niższej. Tym sposobem owa liczba białych, wynosząca 750.000 głów, zawiera znaczną ilość zamoznych Metysów. Zaliczają się oni do śmietanki towarzystwa boliwijskiego i nazwę „czolo“ uważają za śmiertelną dla siebie obrazę. Nazwa ta zachowuje się dla Metysów niższej klasy ludowej.

Ci ostatni noszą wyróżniający się kostjům ludowy. Szczególnie kobieta „czolo“ oryginalnie się przedstawia w swym pilśniowym kapeluszu miękkim, szarobiałym, zupełnie okrągłym kształtu przewróconego głębokiego talerza. Gęste jej czarne włosy, przedzielone rozdziałem środkowym, tworzącym białą brózdę na głowie, wyglądają niby dwa splecione ogony, przyprawione do czaszki i spuszczone się z każdej strony na ramiona. Suknia dochodzi tylko do połowy goleni. Pięć lub sześć spódnic nałożonych jedna na drugą pełnią rolę krynoliny, nadając sukni pozór bufiasty. Kamaszki zapinane na guziki, na śmiesznie wysokich obcasach, dopełniają stroju.

Indjanin „w stanie oswojonym“ zajmuje u białych stanowisko wygłodzonego bydlęcia folwarcznego lub pracującego w kopalniach. Mniej ceniony niż zwierzę juczne do celów transportu, pożądanym jest tam, gdzie są potrzebne ręce. Pozostając w niewolnictwie rzeczywistym, pomimo zniesienia niewolnictwa legalnego, nie dostaje nawet zapłaty za swą pracę. Należać do kogokolwiek, być żywionym przez kogoś, nie mieć potrzeby szukania sobie żywności, oto jego ideał. Szczęśliwsze są od niego muł, koń lub lama! Niemi się ludzie opiekują, choćby ze względu na kapitał, jaki te zwierzęta przedstawiają.

Indjanin oswojony, zawsze bosy, ledwie okryty jakimś lachmanem, któremu trudno dać określoną nazwę, w kraju, oziębionym przed nadmierne wzniesienie nad poziomem morza oraz wieczne śniegi lodowców, znajduje się zupełnie na łasce kaprysów białego, lub gorzej jeszcze — czolosa, który nie zna pobłażania. W miastach staje się bydlęciem jucznym: nosi wodę, oraz

wysuszony nawóz lamy, jedyny tani produkt opałowy wysokich
płaskowzgórzy; ramiona jego stają się środkiem transportowym.
Trzeba widzieć tych nieszczęśliwych w La Paz ¹⁾ po przyby-



Typy Indian oswojonych.

ciu ładownych wozów, dla których spadziste ulice stają się nie-
dostępne. Tu wydzierają sobie paki z towarami, ważące około

¹⁾ Największe miasto w Boliwji.

60 kilo (przeciętny ciężar nakładany na muła). Bez haka, jedynie przy pomocy pasa ze skóry lamy narzucają te ciężkie brzemiona na zgarbione grzbiety i bardzo często niosą je nawet kilometr drogi do hotelu lub do właściciela handlu, aby otrzymać kilka groszy więcej.

Użytku łóżek nie znają. Gdy noc nadejdzie, owijają się w swoje płaszcze wełniane i układają do snu pode drzwiami hoteli lub domów prywatnych swych gospodarzy, zupełnie jak wierne psy podwórzowe. Nie można drzwi otworzyć, nie prze-

szedłszy przez tych ludzi i nie budząc ich ze snu. Często, śpiąc przytulają się do siebie dla uniknięcia chłodu nocnego.

Z miasta do miasta prowadzą oni karawany złożone z lam, objuzonych workami mineralów lub drobnych przedmiotów handlu. Worki te opasują zwierzę pośrodku ciała w rodzaju gorsetu.

Po naładowaniu karawany, co się odbywa w samem mieście u drzwi domów handlowych, otrzymują spis towarów powierzonych ich pieczy. Wtedy z torbą koki¹⁾ u boku i sznurkiem do spędzania lam



Przewodnicy karawan.

¹⁾ Koka (Erythroxylon Coca) nieduży (1—2 metr.) krzak, rosnący głównie w Peru i Boliwji i uprawiany tam na plantacjach. Liście koki niewielkie, błyszczące, jednoroczne zawierają w sobie alkaloid — kokainę, która działa znieczulająco, stąd ma zastosowanie lecznicze. Mieszkańcy Peru i Boliwji żują liście koki, jako środek dający możność łatwego znoszenia głodu a także ciężkich wysiłków fizycznych. Prócz tego po użyciu liści zjawia się przyjemne uczucie błogości. Długoletnie jednak użycie koki odbija się bardzo ujemnie na układzie nerwowym. Do Europy wywożą głównie nie liście koki, lecz sam otrzymany z nich alkaloid kokainę. — (Przyp. red.).

na ramieniu porzucają łączność ze światem, pogrążają się samotni ze swemi lamami w pustynie wysokiego płaskowzgórza, kierując się w swej drodze instynktem, nie licząc czasu, nie wiedząc, jak i co jeść będą. Tak wędrują tygodniami i miesiącami, aż do dnia przybycia do celu.

Gdy noc zapada, lama zatrzymuje się sama, gdziekolwiekby ją mrok zaskoczył. Indjanin otacza sznurem karawanę, która od tej chwili nie ruszy się z miejsca aż do wschodu słońca. Sam wciska się pod ciało łagodnych zwierząt, które mu służą



L a m y.

jako żywe przykrycie na ziemi zmarzniętej w zimie, przemokłej w lecie od ulew zwrotnikowych.

O wschodzie słońca, gdy Indjanin zdejmie sznur, otaczający stado, lamy ruszają machinalnie w drogę, skubiąc to na prawo, to na lewo rzadkie trawy górnej wyżyny, lub pożerając mchy przydrożne. Nie śpiesząc się, krokiem jednostajnym idą tak lamy do wieczora, a za nimi postępuje ich towarzysz podróży, Indjanin. On żuje bezustanku kokę, która znieczula jego orga-

nizm, one znów przeżywają z błogością swój pokarm. Tym sposobem i ludzie, i zwierzęta razem poruszają szczękami. Na widok obcego przewodnik i jego lamy zatrzymują się, wyciągają szyję i przyglądają się z osłupieniem. Doprawdy ten człowiek łagodny i bezmyślny i to zwierzę, posiadające te same cechy charakteru, są jakby dla siebie stworzeni.

Na kopalniach wyzyskiwani są przez białych. Pył, wyziewy siarkowe i manipulacje przy przeróbce rud mineralnych na sztaby, wywożone do Europy — wszystko to zabija tych ludzi, jak muchy. Nikt się nawet nie troszczy o to, kim się tych pracowników czasem zastąpi. Są przecież tak liczni! Tak się przedstawia warstwa ludności, która dostarcza Boliwji blisko miliona głów.

Pomiędzy Indjaninem oswojonym a żyjącym jeszcze w stanie dzikim istnieje tylko pewien odcień różnicy. Dzikie Indjanin otrzymuje nazwę „chuncho“ (cz. czunczo). Jest bojaźliwy i łagodny, póki go się nie rozdrażni. O jego cierpliwości może nam dać wyobrażenie sposób połowu wigoni, tych bliskich krewniaków lamy, pierzchających na widok człowieka, opierających się wszelkiemu oswojeniu i szybkich, jak gazele. Jedynym środkiem polowania jest u Indjan podstęp, gdyż broń palna staraniem jest przez rząd od nich usuwana. Otóż dla złapania wigoni Indjanin wykopuje sobie na równinie wysokich płaskowzgórzy jamę, głęboką na jakie dziesięć centymetrów i kładzie się w tej jamie na grzbiecie. Następnie w ciągu całych dni pozostając w tem położeniu poziomem, wymachuje rękami i nogami z regularnością jakby jakiegoś mechanizmu. Wigon, zwierzę nadzwyczaj ciekawe, podchodzi nieraz dla zbadania zbliska, co to takiego porusza się ciągle ponad ziemią. Biada jej wtedy! Indjanin, który z niecierpliwością oczekuje tej chwili, chwytą zwierzę za nogi, opanowuje go, zabija, zjada jego mięso, a skórę sprzedaje.

Ten Indjanin, podobnie jak wigonie, ucieka nawet przed skromną cywilizacją wysokich równin, kryjąc się coraz dalej w ciepłych równinach wschodniej części kraju, pokrytych lasem pierwotnym, lub szukając schronienia w pustkowiach Grand Chaco, niedostępnych dla cywilizacji. To jest jego terytorjum; tam się czuje, jak u siebie, żyjąc w stanie natury. Tam spotkanie się z Indjaninem nie jest rzeczą bezpieczną dla badacza lub samotnego poszukiwacza kauczuku. Bojaźliwy czunczo, czując się silniejszym, nabiera odwagi, atakuje, zabija, a czasem nawet, dręczony głodem, staje się ludożercą.

Sądzimy powszechnie, że ludność Boliwji mówi językiem hiszpańskim. Istotnie, jest to język urzędowy kraju, język białych, ale używa się właściwie tylko po miastach. Czolosi, którzy go kaleczą, Indianie, którzy go wcale nie znają, posługują się w różnych częściach Boliwji rozmaitemi żargonami, dzielącemi się na dwa narzecza podstawowe, ściśle różniące się od siebie, mianowicie narzecze kwiczua i aimara. Są to dwa języki macierzyste obszernego państwa starożytnych Inkasów. Biali, urodzeni w Boliwji, uczą się w dzieciństwie miejscowego narzecza przez zetknięcie się ze służbą i dziećmi czolosów. Z drugiej strony czolosi i Indianie, mieszkający w miastach, kaleczą w różnym stopniu mowę Cervantesa.



Typy Indian dzikich.

Rząd boliwijski jest tak samo koczujący, jak ogromna większość Indian, którymi rządzi. Nie posiada mianowicie stałej siedziby. Zależnie od różnych względów, często od fantazji lub kaprysu prezydenta republiki, cały arsenał polityczny przenosi się to do Sucre, to znów do La Paz lub Oruro. Przedstawiciele obcych państw towarzyszą tym przenosinom rządu, które się odbywają w sposób dość malowniczy i oryginalny, gdyż prawie jedynym środkiem lokomocji w Boliwji jest muł. Wyobraźmy sobie zabawny widok karawany dygnitarzy państwowych, wędrujących na grzbietach mułów poprzez wysokie szczyty i wą-

wozy górskie dla wyszukania sobie na odległości dziesięcio lub dwunastodniowej podróży miejsca do wydawania praw, które nigdy nie wejdą w życie z braku administracji, uzdolnionej do ich wykonania.

Ciągłe spory, mające na celu skłonienie władz publicznych do osiedlenia się w tem, a nie innem mieście, są głównym powodem nieustannych rewolucyj w Boliwji.

Kolonje polskie w Paranie¹⁾

P. Denis (Brésil au XX siècle).

W końcu roku 1907-go spędziłem kilka tygodni w kolonjach Parany. Kolonizacja w tym stanie zaczęła się niedawno. Zwiększając osady szczegółowo, można tam znaleźć przedstawicieli dwudziestu narodowości; dwie jednak rasy przeważają: Włosi i Polacy. Osadnicy przeszli tu już trudny okres początkowy. Zwykle obok nędznej chaty, w której mieściła się rodzina w pierwszych latach, a która obecnie służy za stajnię, wznosi się nowy dom z cegieł tynkiem pokrytych, ze swym ogrodem, pełnym róż kwitnących. Domy nie są już, jak niegdyś, rozrzucone, każdy w środku swego działu; obecnie zgrupowane są razem. Chaty budowane są zwykle naokoło kościołów, które zachowały jeszcze architekturę rodzinnego kraju osadników. Polacy są dobrymi cieślami i lubią budować wielkie dzwonnice z tarcic z sosny parańskiej.

Różne narodowości zaczęły się już mieszać ze sobą. Są rodziny mieszane: włosko lub polsko-brazylijskie. Miasto, środowisko wspólne, gdzie się wszyscy spotykają, wywiera duży wpływ na mieszanie się ze sobą ras i pojęć. Polacy nauczyli się powoli od swych sąsiadów picia wina, uprawy latorośli winnej, rośliny świętej dla Włocha. W lecie winogrona dojrzewają w Paranie, i niejedyn dom polski posiada ogrody i własne szczepy winogronowe.

Polacy wydali mi się bardziej uzdolnionymi do kolonizacji, niż Włosi. Istotnie rodziny włoskie są w bardzo silnej ze sobą łączności, dzieci nie odłączają się od rodziców po zawarciu małżeństwa i jedno domostwo zawiera często trzy pokolenia. Jeśli

¹⁾ Parana — jeden z południowych stanów Brazylii. W całej Brazylii liczyć można co najmniej 150,000 osadników Polaków, z tej liczby przypuszczalnie 100,000 mieszka w stanie Parana.

jest rzeczą niezbędną dodanie czegoś do tych dochodów, które daje uprawa działu ziemi, mającego często niewielkie rozmiary, to synowie poszukują roboty, na przykład przy przeprowadzaniu toru kolei żelaznej i przysyłają zaoszczędzone z zapłaty pieniądze. Po pewnym czasie nieobecności wracają do domu. Polacy, przeciwnie, mają ten zwyczaj, że, gdy syn się ożeni, kupuje sobie nową działkę ziemi, a jeśli jego fundusze są niedostateczne, stara się przynajmniej wydzierżawić ziemię, płacąc dzierżawę pod postacią czwartej lub piątej części zbioru. Pierwszy dobry zbiór pozwala mu na koniec ustalić się u siebie, gdyż ziemię nie są sprzedawane za gotówkę, i sprzedawca zadowala się zaliczeniem. W ten sposób Polacy rozszerzyli się powoli w kierunku zachodnim i dziś znajdziemy ich na odległości 40 do 50 kilometrów od stolicy stanu Curitiby.

Zamierzyłem zwiedzić kolonie polskie na zachodzie. Powstały one przed 15 laty i zaledwie wyszły ze stanu niepewności, na jaką jest narażona ciężka praca rozpoczynającego osadnika. Zwiedziłem całą kolonję Rio Claro, obejmującą duży obszar szerokości 40 kilometrów. Wzdłuż wielkich dróg prostolinijnych rozłożone są działki ziemi, mające kształt prostokątów. Bok prostokątu, przylegający do drogi, ma 250 metrów szerokości, a boki idące w głąb po 1000 metrów. Każda więc działka obejmuje 25 hektarów (czyli 44,5 morga) powierzchni. Od frontu działki posiadają ogrodzenie drewniane. Domki drewniane otoczone są brzoskwiniami. Brzoskwinia przyswojona została przez Polaków, i w czasie kwitnięcia cały obszar kolonji pokryty jest różowymi plamami.

Każdy dom ma swe pole żyta. Uprawa żyta wprowadzona tu została przez Polaków; jest to jednak, sądzę, jedyna ojczysta roślina uprawna, jaką zachowali osadnicy polscy, którzy pod względem rolnictwa wogóle przyjęli zwyczaje tak zwanego „cabocle“, t. j. tutejszego robotnika brazylijskiego; „pozwolili się zepsuć“, jak mi mówił dyrektor kolonji.

Rolnik, krajowiec, którego właśnie nazywają „cabocle“ (cz. kabokl), przed przybyciem emigrantów jedyny posiadacz lasów brazylijskich, nie ma istotnie pojęcia o gospodarstwie wiejskiem i racjonalnej uprawie ziemi. Na miejscu, które sobie wybiera na urządzenie pola, poczyną od zrąbania lasu toporem. Grupa robotników łączy się razem, i po dniu pracy, który jest jednocześnie dniem uczty, obficie skrapianej wódką i urozmaiconej śpiewami, miejsce do uprawy jest przygotowane. Po ścięciu drzew pozostawiają je na miejscu, a wyczekawszy odpowiedniej

chwili, podkładają ogień. Drzewo nie spala się, ale pożar oczyszcza ziemię z krzaków i zamienia w popiół liście i liany, co daje gruntom niezbędne ulepszenie. Zaledwie popiół wystygnie, kroczy robotnik i dużą motyką wykopuje w ziemi dołki; za nim idzie dzieciak i wysypuje do każdego dołka po kilka ziarn kukurydzy, pokrywając je ziemią, którą nagarnia uderzeniem stopy. Pomiędzy pniami drzew kukurydza dojrzewa; kabokl odwiedza swe pola dopiero wtedy, gdy trzeba przystąpić do żniwa, niekiedy jednak oszczędza sobie tej pracy, puszczając pomiędzy dojrziałą kukurydzą trzodę wychudzonych wieprzy, które tu pozostają dotąd, dopóki znajdują pożywienie. Wtedy kabokl zabiera swą trzodę na sprzedaż do miasta. Dzika roślinność opanowuje napowrót obszar spalonego lasu; na wolno gnijących pniach drzewnych nowy las porasta. Kabokl powraca wówczas dopiero, gdy ziemia, wypocząwszy w ciągu całych pokoleń, będzie mogła dostarczyć znowu równie obfitych zbiorów. W ten sposób rolnik tutejszy marnuje lasy i ziemię. Motyka i topór to jedyne narzędzia jego pracy; pług nie zna wcale.

Koloniści polscy w Rio Claro naśladują kabokla. Wprawdzie są rolnikami mniej koczującymi, ponieważ zamknęci są w granicach swych działek, wracają też częściej do tych samych gruntów; następnie nie czekają z uprawą ziemi, aby się las na nowo rozwinął, lecz, gdy tylko krzaki osiągną kilku metrów wysokości, już zaczynają oczyszczanie gruntu zapomocą wypalania. Ale także nie używają nawozu, nie posiadają pługów. Czas zmieni zapewne te warunki. Użycie pługu obecnie jest niemożliwe wśród lasu, dopóki ziemia pokryta jest pniami zrąbanych drzew, których ogień zniszczyć nie mógł.

Gdy pnie przegniją i zostaną zniszczone, osadnicy powrócą zapewne do swych sposobów europejskich uprawy ziemi i przyzwyczają się do pracy. W starych kolonjach około Curitiby widzimy już obecnie prawidłową pracę rolną. Zresztą sami osadnicy postarają się o ulepszenie sposobów uprawy ziemi, gdy wytwory ich pól pozyskają cenę sprzedażną, gdy się skończy odosobnienie kolonij.

Odosobnienie było istotnie takie, że wywóz stawał się prawie niemożliwy. Nie istniało w bliskości żadne miasto znaczniejsze. Każdą rzecz na sprzedaż trzeba było wywieźć przynajmniej do Curitiby. A tymczasem brakowało dróg kołowych. Gdym tu przybył, osadnicy zaczęli właśnie pracę około przeprowadzenia do porządku przecinających las starych ścieżek dla mułów. Ścieżyny te starano się uczynić zdatnymi do jazdy

wozowej. Ale gdzie indziej zdarzyło mi się widzieć, czem to były owe stare drogi brazylijskie, rozmokłe od deszczów, przemienione w rozpadliny, z mostami spróchniałymi, które zawsze najrozsądniej jest omijać. Po takich drogach transportowano towary na grzbietach mułów od działu osadnika aż do rzeki. Szczęściem płynąca tu rzeka Iguassu zdalna jest do żeglugi na rozciągłości 200 kilometrów aż do kaskad przecinających jej bieg w górnej części. W okolicach tej drogi naturalnej założono kilka kolonij, które ta rzeka łączy ze sobą. Szalupy parowe, kursujące po Yguassu, napęlniają się kukurydzą w Rio Claro i płyną aż do prądów rzeki, gdzie zboże może być przeładowane na kolej żelazną; nareszcie towar przybywa do Curitiby, gdzie obciążony kosztami transportu współzawodniczy ze zbiorami osadników okolicy tego miasta. Czy można się dziwić, że w takich warunkach wywóz prawie nie istniał. Z drugiej strony te same trudności transportowe znacznie powiększały cenę artykułów przywozu. W ten sposób osadnicy byliby się znaleźli w położeniu prawie bez wyjścia, gdyby nie poszukali ratunku w zbieraniu i wywozie liści herbaty paragwajskiej, tak zwanej *mate* (*herva mate*).

Mate ocaliła kolonie Parany. Jest to drzewko, którego liście mięsiste i ciężkie obdarzone są własnościami aromatycznymi, występującymi przy naparzeniu. Zwyczaj picia odwaru *mate* jest bardzo dawny; panuje obecnie w całej połowie Ameryki Południowej, mianowicie w Chile, w Argentynie, w Paragwaju i Urugwaju oraz pogranicznych z temi krajami częściach Brazylii. Przygotowuje się *mate* w tykwie wydrążonej, skąd się napój wciąga do ust małemi łykami zapomocą słomki (lub rurki metalowej). Tykwa krąży wkoło, i każdy z niej pije pokolei; nie oszczędza się nawet cudzoziemca. Odmówienie picia *mate* byłoby uważane za wykroczenie przeciwko zasadom życia towarzyskiego.

Parana jest środowiskiem produkcji *mate*. Wywóz *mate* odgrywa tu tę samą rolę, co wywóz kawy w innych częściach Brazylii. Cała Parana pośrednio, czy bezpośrednio żyje z transportu, przyrządzania i handlu *mate*, a osadnicy osiągają z tej rośliny duże dochody.

Mate nie jest rośliną uprawną; rośnie dziko w lesie, w lesie też odbywa się zbieranie jej liści. Natychmiast po zebraniu liście poddają się pierwszej operacji, mającej na celu zmniejszenie ich ciężaru przy transporcie, a także uchronienie liści od gnicia i fermentacji. Suszą je mianowicie na ogniu. Następnie kładzie

się je do worków, które są wysyłane do Curitiby, gdzie udoskonalone młyny proszkują liście, rozdzielają na różne gatunki i wypuszczają produkt zdatny już do użytku. Niektórzy szczęśliwsi osadnicy znaleźli na swych działach znaczną liczbę drzewek mate; stały się one dla nich majątkiem, zdobytym bez pracy, ale tacy szczęśliwcy stanowią wyjątek między osadnikami.

Wielkie „hervale“, czyli okolice leśne w mate obfitujące, znajdują się prawie zawsze w głębi kraju, zdala od kolonij. Miejscowości te ożywiają się w porze zbioru. Osiedla się tam cała armja robotników; zaludniają się ścieżyny leśne; zebrane li-



Kurytyba. (Z albumu Ojców Misjonarzy).

ście muły przewożą do dróg prowadzących do Curitiby, stolicy herbaty paragwajskiej.

Na herwalach, tak prywatnych jak i publicznych, prawo zbierania mate wydzierżawia się przedsiębiorcom, którzy podejmują się urządzenia robót. Każdy z nich buduje specjalny piec do suszenia liści, i ognisko to przedstawia punkt środkowy małego czasowego stowarzyszenia, które żyje w ciągu kilku miesięcy w głębi lasu pracowicie i samotnie. Jedni robotnicy zajmują się cbcinaniem gałęzi drzew, inni suszeniem liści. -Ko-

lonje polskie od pierwszej chwili dostarczały znacznej liczby robotników do zbierania mate. Tylko mężczyźni udają się na robotę, kobiety pozostają do pilnowania działek. Mniej odważni stają się prostymi robotnikami; energiczniejsi zostają przedsiębiorcami. Wszyscy wracają do domów z zapasem pieniędzy, przedstawiających ich zarobek lub czysty dochód, i z tych pieniędzy żyją kolonje.

Dochody, otrzymywane z herbaty paragwajskiej, nie wystarczyły wprawdzie do stworzenia zamożności w kolonjach, nie mniej jednak uchroniły je od ogólnego kryzysu, opuszczenia,



Furmanki, wiozące herva mate. (Z albumu Ojców Misjonarzy).

być może, zarzucenia osadnictwa; pozwoliły istnieć kolonistom w czasie, gdy ci nie mieli żadnego miejsca zbytu dla swych wytworów rolnych.

Ale epoka zupełnego odosobnienia minęła już dla osadników z chwilą otwarcia linii kolejowej, przecinającej wyżynę; kolej ta ma połączyć w najbliższym czasie południowe stany Brazylii ze stanami środkowymi. W roku 1907 część tej kolei, przecinająca Paragę, była już prawie ukończona. Ku północy gałąź, łącząca z portem Santos, nie była jeszcze wykończona, ale na po-

łudniu droga przeniknęła już do stanu Św. Katarzyny. W miejscowości Ponta Grossa urządzono połączenie nowej linii z dawną, prowadzącą do stolicy stanu, a stamtąd — do morza.

W ciągu długich lat powolnej budowy drogi osadnicy przyjmowali udział w robotach na linii. Po otwarciu komunikacji położenie ich znacznie się polepszyło. Kolej żelazna stała się jakby ożywczą arterją. Ku niej zdążają nowe drogi kołowe; sąsiadujące z nią ziemie pozyskały wartość o wiele większą. Wytwory rolne: kukurydza, czarna fasola, manjok, nabyły ceny sprzedażnej; ubóstwo znikać zaczęło; życie kolonisty stało się bardziej urozmaicone; powstały zarodki podziału pracy: niektórzy osadnicy stali się rzemieślnikami. Życie moralne i umysłowe zaczęło się również rozwijać na kolonjach.

Takie wrażenia wyniosłem z mego pobytu wśród osadników Parany.

Okropna noc

Tadeusz Chrostowski („Parana” 1914).

W widłach rzecznych przy zbiegu rzek Rio Negro i Yguassu znajduje się zupełnie niezamieszкана miejscowość, zwana z powodu czerwonej gleby — Terra Vermelha (cz. Wermelja — czerwona ziemia). Obfitość stawów, porośniętych trzciną i osoką, bezpośrednie sąsiedztwo dziewiczego lasu i rzeki — zapewniały mej pracy kolekcjonowania ptaków Parany warunki tak korzystne, że postanowiłem osiąść tam na czas jakiś.

Zamierzyłem osiedlić się w namiocie i wystarczać sam sobie. Zabrałem przeto wszystkie niezbędne rzeczy: przedmioty kuchenne i dzbanek do wody, siekierę i łopatkę, przyrządy do preparowania ptaków, broń, amunicję i puszkę blaszaną z pewną ilością naftaliny do zabezpieczenia gotowych już preparatów od pasorzytów, wreszcie — dostateczną ilość produktów spożywczych na cały czas pobytu: czarnej fasoli, słoniny, cukru, soli, mąki kukurydzowej i herbaty paragwajskiej (mate).

Przystąpiłem do najbardziej uciążliwej pracy — rozbicia namiotu. Zacieniony pagórek na skraju lasu z widokiem na rzekę Yguassu nadawał się na ten cel znakomicie. Należało na równym lecz wzniesionym miejscu wkopać w ziemię dwa mocne, wysokie paliki, na nich przymocować żerdź, na której spoczywa całe sklepienie namiotu, poczem, przeciągnawszy płótno, przymocować kołkami ścianki; wreszcie, gdy już namiot stanie, oko-

pać go wkoło dosyć głębokim rowkiem i zrobić ściek dla wody. To ostatnie robi się na wypadek deszczu, by uchronić rzeczy i sprzęty od zalania. Gdy namiot był wreszcie gotów, przystąpiłem do sporządzenia sobie łóżka, gdyż po uprzednich przysgodach z ropuchami i skolopendrami postanowiłem nie sypiać na gołej ziemi.

Budowa łóżka nie trwa zbyt długo: w głębi namiotu wbija się w ziemię cztery niewysokie kołki, do nich przytwierdza się dwie długie żerdzie, na tych kładzie się wpoprzek drobne gałązki, zwierzchu nieco mchu i liści — i już gotowe wspaniałe, iście królewskie łoże.

Zaspokoiwszy te dwie najpilniejsze potrzeby, zdążyłem jeszcze przed nadejściem nocy pomyśleć o ognisku: tuż przy wejściu do namiotu ułożyłem kilka potężnych pni i kłód, zgromadziłem duży zapas suchych, łatwopalnych gałązek, i gdy ciemność zapadła — u mego namiotu buchał wesoły ogień, rozchodzi się wonny dym z płonących kawałków kaneli, a wraz z nim ulatywał niepokój, jaki zazwyczaj zakrada się do duszy na pierwszym samotnym noclegu w nieznanem pustkowiu.

Ognisko w Paranie odgrywa ogromną rolę w życiu mieszkańców puszczy. Nietylko służy do gotowania strawy. W porze zimowej, przypadającej podczas polskiego lata, noce są naogół zimne, zdarzają się nawet tęgie przymrozki. Dla mieszkańca puszczy, którego chata jest tak sklecona, iż do wnętrza można sięgnąć ręką przez wszystkie ściany — dobrze podsycane ognisko w braku ciepłego odzienia i pościeli jest jedynym środkiem, zapewniającym przepędzenie nocy względnie ciepło i wygodnie. Podczas takiej nocy krajowcy (kabokle) układają się wiankiem dokoła ogniska. W puszczy podtrzymywanie ognia w nocy jest też konieczne ze względu na bezpieczeństwo. Nie tylko jaguar i puma, lecz również jadowite żmije oraz inne złośliwe stworzenia, jak skolopendry i t. d. — unikają płonącego ogniska. Wreszcie ogień bywa środkiem leczniczym dla duszy: gdy dokuczy ci w puszczy samotność, ciężko ci i tęskno — rozpalasz ognisko. Wesoły, trzaskający ogień posiada wielki urok: masz wrażenie, że jest obok ciebie coś żywego, coś przemawiającego do ciebie żywym, acz niezrozumiałym językiem.

Dla przybysza z Europy rozpalanie i podtrzymywanie ogniska nie jest rzeczą łatwą. Pamiętam, jak na poprzednim mojem mieszkaniu pozostawiłem, wychodząc do pracy, gościa świeżo przybyłego z Europy z poleceniem, by rozpałił ognisko i zgotował fiżon (czarną fasolę); drewek, gałązek suchych było poddo-

statkiem. Gdym wrócił, ujrzałem, jak gość mój, klęcząc przy ognisku, z zaparciem i poświęceniem dmuchał w zarzewie, które za nic rozpałić się nie chce ku wielkiemu zgorszeniu obserwującego bezowocne te zabiegi kota. Nawiasem mówiąc, podtrzymywanie ognia, względnie zgotowanie fiżonu, wymagające długiego czasu, było największym utrapieniem mego pustelniczego żywota. Wychodząc do pracy, wlewałem dużo wody do garnka z fasolą, na ognisko kładłem wielkie kłody i wychodziłem, pozostawiając całe gospodarstwo na opiece kota. Nieraz, powróciwszy, znajdowałem garnek nie wiedzieć z jakiego powodu przewrócony, a kota spoglądającego z rezygnacją na katastrofę.

Już po pierwszych dniach pobytu mego w Terra Vermelha z prawdziwym zadowoleniem stwierdziłem, że miejsce wybrane zostało doskonale. Zbiory moje rosły i powiększały się szybko.

Pewnego dnia nerwy moje, reagujące bardzo czule na wszelkie nastroje puszczy, wyczuły wielki niepokój w przyrodzie. Praca dnia tego nie kleiła się wcale: w lesie, na jeziorkach i na rzece było jakoś dziwnie pusto; napotykanne ptaszki były szczególnie strwożone i niespokojne... W popołudniowych godzinach ozwały się liczne głosy ptaka sarakury, oznajmiające, według spostrzeżeń mieszkańców, nadejście deszczu lub burzy. Zaledwie przebrzmiały ostatnie echa śpiewu sarakury, z głębin leśnych połały się nowe kaskady dźwięków, tym razem potężnych i groźnych.

Las zahuczał... Zdawało się, że gromada potworów z zamierchłych epok geologicznych stacza tu w lesie rozpaczliwą śmiertelną walkę. Grzmiący ryk, chichot złowrogi, przeciągłe, przejmujące wycie, straszliwy wrzask konających — wszystko to zlało się w jedną potężną i dreszczem zgrozy przejmującą melodję: Głosy rosły i potęgniały, a potem zwolna cichły, zamierały, zlewając się z szumem puszczy.

— To mały wyjcie! — rzekłem do siebie.

Koncert wyjców trwał długo, zapowiadając nieomylnie nadejście burzy.

Zacząłem pośpiesznie czynić niezbędne przygotowania, by móc stawić czoło nadciągającej nawałnicy. Najwięcej troski przyczyniał mi namiot. Przedewszystkiem sprawdziłem wytrzymałość jego rusztowań — palików i żerdzi, umocniłem rozluźniane kołki, naciągnąłem do sztywności płótno ścianek i wziąłem się do oczyszczania i poszerzania ścieku dla wody. Następn-

nie wypadło zabezpieczyć ognisko od zalania, gdyż rozpalanie po deszczu jest uciążliwe i trudne. Ułożyłem tedy co najtęższe kłody w taki sposób, by woda ściekała, nie dostając się do paleńska. Wreszcie zająłem się zabezpieczeniem rzeczy od zmoczenia na wypadek, gdyby ścianki namiotu rozmiękły i przepuszczały deszcz, lub gdyby, co gorsza, woda przepelniła rowek i dostała się do namiotu. Poukładałem przeto cały mój inwentarz na grubych kawałkach drzewa i starannie otuliłem blaszankę z preparatami oraz broń i amunicję.

Wraz z nadejściem nocy nadciągnęła burza. Ogromne krople deszczu zabębniły ponuro w ścianki namiotu, silny powiew wiatru wstrząsnął wierzchołkami drzew przy odgłosie odległego grzmotu — i chwila ciszy złowrogiej, przygnębiającej... Wtem wśród świstu, chichotu i głuchego trzasku rozdarła ciemności oślepiająca błyskawica. Potężny huk grzmotu wstrząsnął powietrzem, zawrzały przerażone małpy.

— Piorun uderzył w pobliskie drzewo — pomyślałem wśród ogłuszającego łoskotu.

Na ten jakby sygnał rozdarły się upusty niebieskie. Deszczem tego nazwać nie można — istne potoki wody spływały z chmur na ziemię. Wicher dał już z siłą huraganu i z taką wściekłością wstrząsał borem, że wałyły się nietylko gałęzie sosen parańskich (pinjorów): w coraz rzadszych przerwach między grzmotami słychać było jęk i głuchy łoskot padających olbrzymów leśnych, wrywanych z korzeniami. Błyskawice zlały się w jedno złowrogo migające i oślepiające światło.

To burza tropikalna w całej swej majestatycznej grozie!

Krople deszczu z taką siłą uderzały w ścianki namiotu, że wewnątrz poczał mżyć drobniutki deszczyk; żerdzie i paliki gięły się, trzeszczały i groziły upadkiem. Jak ptak na gałęzi, smagany nawałnicą, trzyma się gałązki kurczowo i czuje, że w każdej chwili może być z nią strącony w ciemną przepaść, tak i ja w swym namiocie, który lada chwila mógł być porwany przez huragan i rzucony wraz ze mną gdzieś w nurty rzeki, — zadawałem sobie wciąż trwożliwe pytanie:

— Czy namiot oprze się, czy zdołam przetrzymać tę szaloną burzę?

Niebezpieczeństwo wzmogło się jeszcze: tuż obok usłyszałem szum pędzącej wody. Wprawdzie starannie okopałem namiot, lecz praca nie była obliczona na takie potoki wody, które rwały i znosiły wszelkie zapory.

— Czy potok nie zmyje namiotu i nie poniesie go wraz ze mną?

Długo chwiałem się między zwątpieniem i nadzieją — aż wreszcie burza powoli zaczęła ucichać, i wkrótce dobroczynny sen ukoił lęk i zgrozę.

Gdy po tej nocy okropnej wyjrzałem z namiotu, jaśniał przedudny poranek. Owionęło mię powietrze, pełne odżywczych woni. Słońce wstawało właśnie ze snu i zewsząd rozlegały się tak radosne głosy ptaków, jakie słyszeć można tylko po burzy. Puszczą weseliła się i radowała, i nastrój słoneczny opanował wszystkie stworzenia.

Gdy przesuszylem przemokłe i zwilgotniałe rzeczy i przywróciłem ład w swem „obejściu“, wybrałem się, jak zwykle, do lasu. Nie mogłem poznać tak dobrze mi znanych ścieżek i polanek: wszędzie piętrzyły się olbrzymie zwały — straszliwy obraz zniszczenia. Padające olbrzymy zgmiotły i zdruzgotały młode drzewka; gdzie niegdzie drzewo zawisło w powietrzu na lianach, które pod niezmiernym ciężarem usuwały się i rwały z wolna, poczem następował upadek ze straszliwym łoskotem. Nie było dziś bezpiecznie chodzić po lesie!

Gdym powrócił koło południa do namiotu, doleciał mię odgłos klaskania. To posłaniec z miasteczka Antonio oznajmiał swoje przybycie. Wybiegłem na spotkanie, przeprowadziłem go do namiotu i posadziłem u ogniska, by pokrzepił się herbatą paragwajską, poczem ze zrozumiałą niecierpliwością rozerwałem kopertę przyniesionego listu.

Dziwne wieści! Wprost nie do wiary. Wielka wojna wybuchnęła w Europie. Wojna wszechświatowa! Wzywano mię do śpiesznego powrotu.

Prędko wybrałem się w drogę. Gdym przyjechał do miasteczka Antonio, zauważyłem odrazu wielką różnicę w zachowaniu się i rozmowach kolonistów polskich: wzrosła i spotężniała świadomość narodowa. Na skutek odgłosów szalejącej burzy dziejowej, której dalekie echa dolatywały nawet tu, do zapadłego kąta Ameryki Południowej, myśl tych ludzi, zasklepiona w drobiazgach życia codziennego, jęła wyrывать się z borów brazylijskich i wędrować hen, za ocean — do krainy przodków. Nawet u tych kolonistów, którzy bardzo już popsuli sobie język ojczysty, a nawet wstydzili się polszczyzny, uważając ją za język pospółstwa, zauważyłem zupełną zmianę nastroju.

Zaden z kolonistów nie wątpił, że Polska powstanie.

Jeden z nich, ściskając me dłonie, zawołał radośnie:
Nie będzie już mówił Brazylijczyk: „Polacco sem bandeira
nao vale nada“¹⁾).

Poszukiwacze kauczuku w Brazylii

Pierre Denis (Le Brésil au XX siècle).

Nizina rzeki Amazonki²⁾ należy dziś jeszcze do krain najmniej zaludnionych na świecie. Szeroka równina, prawie zupełnie pozioma; pośrodku na osi niziny olbrzymia rzeka, błotnista, gwałtowna, szeroka, jak odnoga morska, kolejno budująca i niszcząca swe brzegi, otoczona stawami i jeziorami, które zapełnia w czasie wylewu; w dole rzeki — kraina napół morska; ujście usiane wielkimi wyspami, nieznanymi odnogami, wstrząsanymi bezustannie potężnym prądem przyprływu i odpływu morza, tak iż żegluga nie kieruje się wprost przez ujścia Amazonki, lecz je omija naokoło miasta Pary i przejść na południe ujściowej wyspy Marajo. Tak się przedstawia prowincja Brazylii, Amazonja. Panują tu lasy, pozostawiając miejsce dla łąk tylko ku północy na granicy Guajany, oraz w części wyspy Marajo.

Do r. 1870 prowincja ta była prawie niezamieszкана. Dopiero od tej daty zaczyna się zaludnianie i rozwój Amazonji, dzięki przesiedleńcom z sąsiedniego na wschód leżącego stanu Ceará. Stan ten przedstawia północno-wschodnią część wyżyny brazylijskiej. Mieszkańcy jego zajmują się prawie wyłącznie hodowlą bydła. Straszne posuchy, zdarzające się w tym kraju i niszczące stada bydła, są przyczyną wysiedlania się stopniowego mieszkańców. Po największej z takich klęsk w r. 1877—79 ogromna ilość przesiedleńców opuściła ojczystą ziemię. Poszukiwacze kauczuku rozrzucili się po całej Amazonji. Rozwój ekonomiczny tej prowincji posuwa się odtąd z zadziwiającą szybkością. Produkcja kauczuku z 16000 tonn w r. 1890 wzrasta do 33000 w r. 1905. Wielkie miasta rosną; Para, która w połowie zeszłego stulecia liczyła zaledwie 15000 mieszkańców, dochodzi do 100000, Manaos przy ujściu Rio Negro, niegdyś nędzna miejscina, która jeszcze w r. 1879 miała zaledwie 5000 mieszkań-

¹⁾ Cz. Polako señ bandeira na wale nada. — Polak bez flagi państwowej (bez własnego państwa) nie ma żadnego znaczenia.

²⁾ Patrz opis rzeki Amazonki, część I Wypisów, str. 113.

ców, — staje się znacznem miastem o ludności 50-tysięcznej. Amazonka staje się jedną z wielkich dróg wodnych wszechświatowego znaczenia, obsługującą nie tylko Amazonję brazylijską, ale także części Peru, przecięte przez jej górne dopływy, oraz Wenezuelę, której produkty dochodzą do Manaos zapomocą Rio Negro.

Wywóz kauczuku stwarza wszędzie dobrobyt i zamożność. Zbieranie gumy kauczukowej ruguje i usuwa na dalszy plan wszelkie inne zajęcia. Zaniebano hodowlę wołów na wyspie Marajo, zarzucono plantacje kakao wzdłuż rzeki. Kauczuk zastępuje wszystko. Kraina, która dotąd wystarczała sama sobie, staje się krajem wywozu, staje się rynkiem zbytu produktów z innych stanów Brazylii.

Właściciele lasów kauczukowych wysyłają do Céary agentów dla rekrutowania robotników. Zwykle agenci owi sami są byłymi przesiedleńcami z tego stanu. Wróciwszy do swych wiosek, z łatwością odnawiają stosunki ze swymi ziomkami, przerwane przed laty: ich opowiadania, obietnice, których nie skąpią, ich hojność pociągająco działa na tłumy i wytwarza wśród nich prawdziwe legendy o krainie Amazońskiej, cudownym kraju, gdzie złoto znajduje się w obfitości, gdzie potęga przyrody jest przedziwna. Agenci są wybornymi psychologami: szerząc propagandę wśród ludu, który cierpi od „posuchy“, opowiadają mu przede wszystkim o obfitości wód, o deszczach codziennych, o bezgranicznym ogromie rzeki „matki oceanów“. Zdarzyło mi się nieraz, gdy się rozpytywałem pomiędzy wieśniakami, że mnie brano za agenta przesiedleńczego.

Zebrawszy swą grupę przesiedleńców, agent prowadzi ją do portu Fortaleza, gdzie wyczekuje odejścia parostatku do miasta Para. W Fortaleza wychodźcy mieszczą się w nędznych, pierwotnie urządzonych oberżach i przejście na statek wydaje im się wybawieniem. Ale już nawet przed ujściem rzeki „paroaras“ — nazwa, którą dają w barze emigrantowi do Amazonji — mogą łatwo odgadnąć, co za fatalny klimat czeka ich w kraju, w którym się mają osiedlić. Powietrze wilgotne, widnokrąg zamglony, niebo pozbawione przezroczystości. Płyną następnie wolno w górę rzeki aż do Manaos, skąd małe parostatki rzeczne dowożą ich do tak zwanych „seringais“, czyli miejsc eksploatacji kauczuku, do których zostali przeznaczeni.

Dla urządzenia „seringalu“ wybiera się w lesie miejscowość, gdzie drzewa kauczukowe rosną szczególnie obficie. Seringal obejmuje magazyn centralny kauczuku i pewną ilość posterun-

ków dla robotników. W każdym posterunku mieszczą się dwaj pracownicy, z których każdy robi nacięcia dla puszczenia soku na tych samych drzewach. Od jednego drzewa do drugiego przeprowadzona jest prosta ścieżyna, po której krąży „paroara“ ze swym codziennym zbiorem. Na początku ścieżki, która prowadzi do drzew, w samym sercu lasu, buduje on sobie chatę, gdzie zawiesza swój hamak i chroni zapasy żywności. Żyje tam w zupełnem odosobnieniu, napastowany przez choroby, cierpiąc od ukąszeń moskitów! Jednak po kilku tygodniach zżywa się z lasem, przystosowując się do nowych warunków bytu z zadziwiającą zręcznością.

Zajęcie jego jest dwojakie: naprzód zbieranie soku mlecznego, następnie preparowanie tego soku. Aby sok stężał, nagrzewa go się na łopatkę z drzewa, trzymając w dymie nad ogniem. Ognisko zbudowane jest tuż obok chaty. W taki to sposób przyrządzane są owe bryły kauczuku, które połączone w rękach właściciela seringalu wyprawiane są w dół rzeki na wywóz do Ameryki i Europy.

Na drugim końcu Brazylii w lasach Parany urządzono podobne ogniska do suszenia trawy mate; ale tam ognisko jest zarazem punktem środkowym eksploatacji; jest ono sercem małego czasowego społeczeństwa, które się zgrupowało dla zbioru liści. Ogniska dla kauczuku są przeciwnie rozrzucone po całym seringalu, znajdują się na każdym posterunku robotniczym. Istnieje więcej jeszcze różnic pomiędzy zbieraczami mate, a poszukiwaczami kauczuku. Wśród wilgoci, która się unosi z gruntu, w niezdrowym cieniu lasu paroarasi cierpią od klimatu Amazonji: choroby czynią między niemi spustoszenia; beriberi (śpiączka chorobowa), żółta febra i najniebezpieczniejsza z nich wszystkich — malarja w najrozmaitszych formach, od której rzadko kto się uchroni, oto główne choroby, nękające zbieraczy kauczuku.

Gdy zimowe¹⁾ wylewy uczynią las niezdatnym do zamieszkania, pracownicy seringalu szukają schronienia koło głównego punktu eksploatacji, i korzystają tam, w oczekiwaniu opadnięcia wód, z jedyne go czasu wypoczynku wśród ciężkich warunków ich bytu. Wtedy najłatwiej jest poznać bliżej to szczególne zbiorowisko ludzkie, w którem ani chciwość, ani ambicja praw swych nie utraciły: kauczuk wywołuje tu tę samą gorącz-

¹⁾ Właściwie letnie, gdyż nasze zimowe miesiące odpowiadają porze letniej na półkuli południowej. (P r z y p. r e d.).

kę, co gdzieindziej—złoto. Wszystkie inne pragnienia, wszystkie inne uczucia znikają: ludzie ci pogardzają komfortem, gardzą nawet zdrowiem; a jednak to bogactwo, którego im dostarcza kauczuk jest natychmiast trwonione podczas uczt, skrapianych wódką, uczt, których odgłosy konają w głuszy leśnej.

Pomimo trudów i niebezpieczeństw mała tylko liczba paroarasów osiąga stałsze korzyści ze swej pracy: ich położenie jest prawie zawsze nędzne: koszty przesiedlenia się, opłacane przez właściciela seringalu, liczą się jako dług pracownika. Zaczyna on więc swoją służbę od dość ciężkiego zadłużenia się i dopiero po spłaceniu długu odzyskuje swobodę. Również obciąża się jego rachunek wszystkiem, co spotrzebowuje i czego mu dostarcza po dowolnych cenach administracja seringalu, od której nabywa pożywienie, produkty fabryczne, wszystko: od mąki manjokowej aż do narzędzi pracy. Dług zaciągnięty przemienia paroarasów w istnych niewolników; ucieczka jest trudna: pracownicy znajdują się w rękach swych gospodarzy, dobrych czy złych, w zupełnej od nich zależności.

Niewielu poszukiwaczy kauczuku wraca później do rodzinnej ziemi, do Céary. Często jednak przysyłają drobne sumy krewnym swoim pozostałym w kraju.

Sok mleczny drzewa **hevea**, czyli tak zwana **borracha** (cz. boracza) nie jest obecnie jedynym gatunkiem kauczuku, produkowanego w Amazonji. Od lat dwudziestu zbierają tu również gumę rośliny **castilloa elastica**; gumę tę Brazyljanie nazywają **caucho** (cz. kauczo). Gdy **hevea** rośnie w miejscowościach wilgotnych, podlegających regularnym zalewom, to przeciwnie, **castilloa** jest drzewem stałego lądu. Odkryto ją po raz pierwszy w okolicy peruwjańskich dopływów Amazonki; później znaleziono ją także na północy Amazonji nad rzeką Rio Branco, dopływem Rio Negro.

Okolice miasta Obidos, ostatni punkt przemysłu rolniczego, który dotychczas opierał się skutecznie gorączce kauczukowej, wyludnił się wtedy prawie zupełnie, gdyż mieszkańcy zajęli się zbieraniem **caucho**. Praca ta odbywa się w warunkach zupełnie innych, niż zbieranie soku **hevei**. Tu nie zadowalają się robieniem nacięć na drzewie; ścinają drzewo; w ten sposób posterunek wyczerpuje się w ciągu jednego sezonu. Poszukiwacze kauczuku muszą corocznie zmieniać miejsca pobytu w poszukiwaniu nowych drzew. W seringalach **hevei** znaczna liczba robotników pracuje pod dozorem gospodarza i na jego korzyść. Przeciwnie, zbieranie **caucho** przedstawia gałąź drobnego przemysłu.

Wykonywa się przez pionierów odosobnionych, niezależnych, którzy sami robią wyprawy i z własnej ochoty zwiedzają na łodziach rzeki, na których brzegach spodziewają się odkryć miejscowości nadające się do eksploatacji. Rzemiosło ich wymaga ogromnej znajomości lasu i całej przyrody brazylijskiej, to też poszukiwacze tacy rekrutują się prawie wyłącznie z pomiędzy dawnych mieszkańców kraju. Wobec nich paroarosi przybyli z Céary, pracujący w seringalach nad górnym biegiem rzek Purus i Inrua mogą być uważani za prostych rzemieślników.

Rolnictwo i hodowla bydła w Argentynie

*S. Łaganowski według dzieła: „L'Argentine au XX siècle”,
przez A. Martinez'a i Maurycego Lewandowskiego.*

Bardzo niedawno jeszcze, zaledwie przed 30-tu laty ogromna kraina Ameryki Południowej, Argentyna, zajmująca powierzchnię 6 razy większą, niż Francja, 7 razy większą, niż Polska, przedstawiała oczom podróżnika przeważnie bezgraniczne, jednostajne obszary stepowe, które w środkowej części kraju, najbardziej zdatnej do osadnictwa, noszą nazwę pampasów. Była to pustynia zieloności, na której zrzadka tylko spostrzegały się liczniejsze stada zwierząt domowych, a jeszcze rzadziej — tu i owdzie rozrzucone, folwarki hodowlane, tak zwane estancje.

I dziś jeszcze Argentyna jest głównym terenem hodowli zwierząt domowych, ale coraz więcej jednostajna zieloność pampasów zaczyna urozmaicać się różnobarwnymi łąkami zbóż i roślin uprawnych, pole zdobywa coraz więcej miejsca u stepu. Z pampasami zaczyna się stopniowo stawać to, co się staje ze stepami północnych Stanów Zjednoczonych, co spotkało już czarnoziemne stepowe obszary na południu Rosji, gdzie step pozostawił tylko wspomnienie po sobie, jego zaś miejsce zajęły pola.

W Argentynie daleko jest coprawda do tego. Pola zajmują tam zaledwie 4 $\frac{0}{10}$, czyli cztery setne całego obszaru kraju. Jeśli jednak zważymy, że przed 30-tu laty zaledwie osiem tysięcznych powierzchni zajęte było pod uprawę roli, że powierzchnia uprawnych gruntów w ciągu 30-tu lat powiększyła się sześciokrotnie, choć grunty te stanowią zaledwie małą część ($\frac{1}{10}$ część) powierzchni nadającej się pod uprawę, lecz czekającej jeszcze na pług rolnika, że wreszcie Argentyna zajmuje już teraz jedno z pierwszych miejsc wśród krajów, wywożących zboże — to doj-

dziemy do wniosku, że kraj ten staje się coraz bardziej rolniczym, że może niedalekim jest ten czas, gdy jego pustkowia i pampasy w takiej postaci, jak się obecnie jeszcze przedstawiają, należeć będą do przeszłości.

Bo też, co prawda, niema może kraju na świecie, któryby przedstawiał pomyślniejsze warunki przyrodzone dla pracy osadnika, w szczególności zaś rolnika, niż właśnie Argentyna. Klimat mimo raptownych zmian temperatury i zbytniej suchości powietrza może być uważany za bardzo zdrowy, nie sprzyjający rozwojowi różnych epidemij. Śmiertelność nie jest wyższą, niż w najzdrowszych krajach na ziemi. Sama nazwa stolicy kraju: Buenos Ajres (dobre zdrowie) zdaje się świadczyć o tych pomyślnych warunkach zdrowotnych. Będąc zdrowym dla człowieka, klimat Argentyny jest również pomyślny dla hodowli zwierząt domowych, a z wyjątkiem zbyt suchych zachodnich części kraju i zbyt chłodnych — południowych, sprzyja również rozwojowi większości roślin uprawnych, zwłaszcza w pasie brzegowym, któremu nigdy nie zbywa na deszczach, gdy okolice w głębi kraju dalej na zachód leżące cierpią często od długotrwałej posuchy, rzadko jednak w tym stopniu, aby to groziło zniszczeniem posiewów na zbyt znacznych obszarach. Łagodny klimat uwalnia osadnika od kosztów opalania mieszkań i budowy kosztownych schronień dla bydła; sam nawet mieszkaniec może się od biedy zadowalać skromnym dachem z gałęzi, który go chroni dostatecznie od palących promieni słońca i od chłodnych powiewów nocnych.

Jeśli przejdziemy do własności gruntu, to zobaczymy, że niema prawie takich ziem w Argentynie, któreby się nie nadawały do uprawy roślin lub hodowli bydła. Grunty, które długi czas uważane były za liche, prawie bezpłodne, obecnie, uprawione ręką osadnika, dają wspaniałe urodzaje, albo pokryte są pięknymi łąkami naturalnymi i sztucznymi, które karmią liczne stada i z biegiem czasu coraz bardziej uzdatniają się do uprawy roślin. To zadziwiające przeistaczanie się gruntów, jest przeważnie dziełem stad bydła, które depczą, więc spulchniają ziemię i dostarczają jej nawozu. Do ulepszenia gruntu przyczyniają się także trupy owadów i szczątki gnijących chwastów.

Te znakomite warunki urodzajności znajdujemy przede wszystkim na obszarze pampasów, zajmującym większą część strefy umiarkowanej kraju. Te bezgraniczne równiny zaledwie tu i owdzie urozmaicone lekkim zagięciem terenu, bardziej obszernym, niż głębokim, już same przez się żyzne, dzięki odwiecz-

nemu działaniu stad bydła posiadają urodzajność, która się wydaje niewyczerpaną. Ziemia zbudzona pracą rolnika ze snu odwiecznego tak jest płodna, że się zdarza niekiedy, iż jedno i to samo zboże, siane na tym samym gruncie w ciągu lat kilkunastu, daje wciąż jednakowo obfite plony.

Wszelkie uprawne rośliny europejskie dają tu doskonałe urodzaje. Pług na tych jednostajnych nizinach nie znajduje nigdzie przeszkody w postaci wzgórza, lasu, skały, nawet kamieni. Grunt jest wszędzie pulchny i nigdzie nie przedstawia szczególnych trudności przy zamianie na pola nieuprawnych dzikich obszarów.

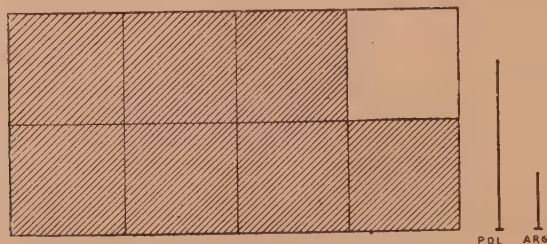
Ale żeby rolnictwo mogło się pomyślniej rozwijać, rolnik wytwórca prócz pewności obfitych plonów musi mieć jeszcze zapewnioną możliwość korzystnej sprzedaży swoich wytworów, a to znów wiąże się ściśle z łatwością komunikacji. Otóż i pod tym względem Argentyna znajduje się w warunkach pomyślnych. Na wschodzie na całej prawie swej długości styka się z oceanem, który ją łączy ze wszystkimi krajami świata. Jej porty oceaniczne wiążą się znów z wnętrzem kraju zapomocą wielkich żeglowych rzek, prowadzących do samego serca najurodzajniejszych obszarów, dla których te arterje wodne stanowią bezpośrednie połączenie z wybrzeżem.

I co jest jeszcze godnego uwagi we własnościach tych rzek: oto płyną one prawie wszędzie pomiędzy urwistymi brzegami, spadającymi ku łóżysku prawie prostopadle. Tym sposobem brzegi tworzą prawdziwe porty naturalne o nieskończenie długich bulwarach. Główne rzeki Argentyny, Paragwaj i Parana, należące do systematu La Platy, jednej z największych rzek w świecie, przedstawiają prawdziwe morze wewnętrzne, któremi wielkie statki morskie mogą się dostać na 1000 km. w głąb kraju, małe zaś, rzeczne, przenikają w głąb lądu nawet na odległość 2000 km. od morza.

Jeśli dodamy do tego i obfitość dróg sztucznych, mianowicie dość liczne kanały oraz zwiększającą się z każdym rokiem gęstą sieć kolei żelaznych, to możemy powiedzieć, że komunikacje w tym kraju są w stanie zadowalającym.

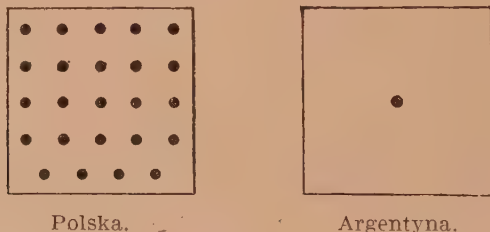
Wśród tych tak korzystnych warunków dla rolnika są jednak i pewne ciemne strony. Oprócz zdarzających się posuch zwłaszcza na zachodzie, równiny Argentyny nawiedza czasami groźna klęska — to najście szarańczy. Istne bataljony skrzydlate zaciemniają sobą światło słoneczne, wywołując półmrok w okolicy, ponad którą przelatują. Z gorących pustkowi obszarów

zwrotnikowych chmury szarańczy ciągną na południe kolumnami, mającemi niekiedy sto kilometrów szerokości. Gromady owadów następują jedne po drugich bez przerwy w ciągu kilku dni, nie pozostawiając poza sobą nawet śladów roślinności. Piesza szarańcza wypełnia studnie, które spotyka na swej drodze, zatrzymuje pociągi, tworząc przed nimi prawdziwe barjery, ta-



Porównanie obszaru i ludności Polski i Argentyny. Stupki oznaczają ludność, obszar Argentyny jest zakreskowany, Polski — kwadrat biały.

muje rzeki, pogrążając się w wodę, i tworzy niekiedy w ten sposób mosty, umożliwiające przejście nowym gromadom tych straszliwych szkodników. Szczęście plaga ta nie zdarza się zbyt często, i nieraz przechodzi kilka lat, nim się ta klęska powtórzy. Z drugiej strony rozpoczyna się już stosowanie pewnych środków dla pokonania groźnego zła, mianowicie dla przesko-



Porównanie gęstości zaludnienia Polski i Argentyny. Na jednakowej powierzchni w Polsce mieszka 24 ludzi, w Argent. — 1.

żenia mnożeniu się i rozwijaniu owadów, nim rozpoczną swoje poloty. Na drogach, które ciągną chmury szarańczy pieszej, ustawia się całe pułki wojska, które kierują owady, w gęste masy skupione, do rowów, napełnionych wapnem niegaszonym. Miljardy owadów giną w ten sposób, ale plaga, niestety, nie usuwa się w zupełności, a nawet nie zmniejsza w stopniu pożądanym.

Jednak nie posuchy i nie szarańcza tamują szybki rozwój rolnictwa w tym kraju, tak szczerze wyposażonym przez naturę. Tym czynnikiem tamującym jest niezmiernie słabe zaludnienie kraju, jest brak rąk do pracy nad ziemią, tak obficie wynagradzającą trudy rolnika. Kraj ten, który mógłby z łatwością wyżywić sto milionów ludności, którego powierzchnia jest 7 razy większa od powierzchni Polski, posiada zaledwie 9 milionów mieszkańców, czyli 3 razy mniej, niż w Polsce. U nas na 1-y kilometr kw. mieszka przeciętnie 71 ludzi (1921), w Argentynie zaś gęstość zaludnienia wynosi zaledwie 3 ludzi na 1 kilometr



Plac de „Mayo“ w Buenos Ajres.

kw. Aż do lat ostatnich, kiedy to napływ emigrantów znacznie się powiększył, ludność kraju wzrastała stosunkowo bardzo powoli. Jedyne stolica Buenos Ajres przedstawia pod tym względem wyjątek. Miasto to wzrastało i rośnie wciąż jeszcze w sposób zadziwiający. 50 lat temu liczyło 90 000 mieszkańców, w roku 1880 miało 250 000, a w roku 1900 już posiadało 750 000, w roku zaś 1920 doszło do 1 700 000. Ale, jeżeli odejmiemy mieszkańców stolicy od ogólnej sumy ludności kraju, to słabość zaludnienia Ar-

gentyny przedstawi się jeszcze dobitniej. Zaledwie $7\frac{1}{2}$ miliona ludzi zamieszkuje olbrzymie jej obszary.

Dlaczegoż to kraj, posiadający tak pomyślne warunki przyrodzone dla osadnictwa, przyciąga do siebie stosunkowo małą liczbę emigrantów? Dlaczego choćby wychodźcy z ziem polskich kierują się raczej do stanów południowych Brazylii, gdzie się muszą przyzwyczajać do tak odmiennego gorącego klimatu, gdzie ich czeka ciężka praca karczowania lasu, dla przygotowania gruntów pod zasiewy; czemuż ci wychodźcy omijają Argentynę? Główna przyczyna leży w tych trudnościach, jakie czekają osadnika, gdy chce nabyć na własność kawałek ziemi. Argentyna jest krajem wielkiej własności ziemskiej. Grunty uprawne



Wieśniak argentyński.

należą do drobnej liczby wielkich właścicieli ziemskich, posiadających często majątki tak obszerne, jak niejedno państewko w Europie. Majątek wynoszący 75.000 hektarów ¹⁾ wcale nie jest rzadkością, a zdarzają się dobra mające 175.000 hektarów powierzchni. Olbrzymie te obszary zużytkowane są przeważnie na hodowlę bydła na t. zw. „estancias“, w małej zaś tylko części na uprawę zbóż, jeżeli jeszcze właściciel nie uważa za korzystniejsze, pozostawienie ich w zupełności bez użytku, aby się doczekać czasu, gdy się podniosą ceny na ziemię, tak że ją będzie można z dobrym zyskiem sprzedać. Osadnikowi pozostaje więc tylko dzierża-

wa gruntów bądź za pewną umówioną dość wysoką cenę, bądź zapomocą dzielenia się z właścicielem produktami rolnymi. Stanie się posiadaczem własnego kawałka ziemi zostaje w ten sposób ogromnie utrudnionem.

Gdy w innych krajach nowych, choćby w Brazylii, rządy starały się różnemi sposobami przyciągnąć osadników dla powiększenia ludności kraju, ułatwić im nabycie gruntów i zaopatrzyć niezbędne ich potrzeby w pierwszych chwilach, w Argentynie, przeciwnie: obszerne ziemie publiczne rozprzedano

¹⁾ hektar — około 2 morgów (1,786 morga).

spekulantom, sprzyjano powstaniu wielkiej własności ziemskiej, zamiast podzielić ziemię na małe działki, dostępne do kupna dla ludzi mniej zamożnych. Obok tego stawiano drobnym kolonistom tyle trudności przy kupowaniu ziemi, narażano ich na tyle zwłok i formalności, że niejeden emigrant, który tu przybył z zamiarem nabycia kawałka ziemi, musiał porzucić to marzenie i albo stać się dzierżawcą, albo, zarobiwszy nieco grosza, jako robotnik przy żniwach, wracać do ojczyzny.

W ostatnich jednak latach rząd Argentyny, zrozumiawszy, iż kwestja powiększenia ludności kraju jest kwestją pierwszorzędnej wagi dla jego dobrobytu i rozwoju, zaczął wprowadzać pewne ułatwienia dla drobnych kolonistów; potworzyły się też towarzystwa kolonizacyjne, sprzedające grunty drobnymi działkami i emigracja zaczęła się ożywiać. W ciągu czterech lat od 1904—1907 napłynęło 532.000 wychodźców z innych krajów. Wychodźcy należą głównie do dwóch narodowości europejskich: są to mianowicie Włosi i Hiszpanie.

Mimo wspomnianych przeszkód: posuch, szarańczy, a przede wszystkim słabego zaludnienia, rolnictwo w Argentynie rozwija się szybkim krokiem; a od r. 1905, zatem w ciągu ostatnich czterech lat, wykazało postępy wprost zdumiewające, bezprzykładne. W r. 1904—1905 obszar uprawny wynosił 9 milionów hektarów, w r. 1910 sięgał już 14.000.000 hektarów, więc w ciągu lat czterech, powiększył się o 75%. Argentyna zajmowała przed wojną piąte miejsce na świecie co do produkcji pszenicy po Stanach Zjednoczonych, Rosji, Francji i Indostanie. Żaden kraj na świecie nie doszedł nigdy do tak wielkich rezultatów w rozwoju rolnictwa w ciągu tak nieznacznego czasu.

Niewielka ludność Argentyny spożywa zaledwie część tych produktów rolnych, które są wytwarzane corocznie na jej wielce urodzajnych gruntach. Reszta tych produktów, przede wszystkim pszenicy, stanowi przedmiot wywozu do tych krajów, które mają za mało zboża na potrzeby ludności. Tak niedawno, zaledwie przed ćwiercią wieku, Argentyna sprowadzała jeszcze z zagranicy mąkę na wypiek chleba, obecnie zajmuje już trzecie miejsce co do wywozu pszenicy, mianowicie po Stanach Zjednoczonych i Rosji.

Do okolic ziemi, którym nie wystarcza własnego zboża do wyżywienia mieszkańców, należą wszystkie kraje Europy zachodniej. Głównymi jednak nabywczyniami pszenicy są Anglja i Niemcy.

Natomiast niewiele jest stosunkowo krain, które mogą

sprzedawać pszenicę, zbywającą od potrzeb własnych. Takiemi dostarczycielkami pszenicy na rynki handlowe są: Rosja, (przed wojną), Stany Zjednoczone, Argentyna, Kanada i Indje. Posiada więc Argentyna niewiele współzawodniczek w handlu zbożowym. Rosja nie może być obecnie uważana za groźną współzawodniczkę dla Argentyny na rynku międzynarodowym.

Stany Zjednoczone zajmują bez zaprzeczenia pierwsze miejsce w świecie w produkcji pszenicy, ale ludność tego kraju dość szybko wzrasta, spożycie zboża w kraju powiększa się, wywóz wskutek tego ulega stopniowemu zmniejszeniu. Wprawdzie



Plantacje kukurydzy.

kraj ten posiada jeszcze pewien zapas ziem nieuprawnych a zdalnych do uprawy, lecz zapas ten jest ograniczony i zmniejsza się szybko, tak iż zbliża się chwila, gdy cała produkcja zboża zużywać się będzie na potrzeby kraju, a wtedy wywóz ustać musi.

To samo mniej więcej da się powiedzieć o Indjach. Jedynie Kanada przedstawia poważną współzawodniczkę dla Argentyny na polu wywozu pszenicy. Kanada z wielu względów ma szczególne podobieństwo do pampasów Argentyny.

Kanada, tak samo jak Argentyna, jest krajem prawie pustym. Jest jeszcze mniej zaludniona, niż Argentyna, jest również krajem nowym, kształtującym się dopiero. Główne przedmioty wywozu Kanady są te same co i Argentyny, mianowicie produkty rolnictwa i hodowli bydła. Ale w przeciwieństwie do tego, co się dzieje w Argentynie, gdzie ziemie publiczne posłużyły tylko do wytworzenia ogromnych majątków i z bogacenia niewielkiej liczby osób, w Kanadzie rządy dążą wszelkimi siłami do ułatwienia osadnikom nabycia drobnych działek ziemi i zmniejszenia im kłopotów i kosztów przy zagospodarowaniu się. Wskutek tego napływ emigrantów do Kanady jest większy, niż do Argentyny i ludność wzrasta tam szybciej nieco. Z drugiej strony Argentyna ma pewien przywilej nie tylko wobec Kanady, ale także wobec wszystkich innych współzawodniczek swoich. Przywilej ten stanowi położenie Argentyny w półkuli południowej, gdzie pory roku następują wprost odwrotnie, niż w półkuli północnej. Gdy u nas jest zima, tam mają lato.

Żniwa w Argentynie odbywają się w styczniu; tym sposobem pszenica argentyńska może być już w marcu dostarczona na rynki europejskie, to jest w tym czasie, gdy w Europie nastaje t. zw. przednówek, gdy zapasy dawnego zboża zaczynają się już wyczerpywać. Oczywiście więc zboże argentyńskie korzysta z podwyżki cen, spowodowanej nastającym brakiem ziarna i mąki przy większym jej zapotrzebowaniu.

Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, można wyprowadzić wniosek, że Argentyna może w przyszłości odegrać ważną rolę w gospodarce świata: rolę głównej dostarczycielki zboża, nie tylko dla całej Europy zachodniej, ale także dla niektórych krajów w innych częściach świata. Jeżeli kraj ten potrafi umiejętnie wykorzystać swoje wyjątkowo pomyślne warunki przyrodzone, a przede wszystkim powiększyć swoją ludność i przyciągnąć osadników przez ułatwienie im nabywania ziemi, to świetna przyszłość rolnictwa będzie w zupełności zapewniona.

Drugim wielkim źródłem bogactwa narodowego w Argentynie jest hodowla zwierząt domowych. Wskutek podrożeń ziemi, powiększenia się liczby stad, a zwłaszcza wskutek zwrócenia większej uwagi na jakość zwierząt, niż na ilość, na ulepszenie rasy, przemysł hodowlany uległ w ostatnich czasach głębokim zmianom. Dawne tradycyjne folwarki hodowlane, tak zwane estancje zmieniły się do niepoznania. Dawniej na estan-

cyjach zwierzęta wałęsały się na ogromnych pastwiskach, ogrodzonych drutem żelaznym, pozostawione samym sobie, wystawione na wszelkie zmiany pogody, na słońce i chłody, karmiąc się trawą, którą znajdowały na powierzchni gruntu. Właściciel estancji, t. zw. estanciero, zwykle człowiek bogaty, zazwyczaj mieszkał w mieście i zajmował się bardzo mało zarządaniem swej posiadłości, pozostawiając to zajęcie swym pełnomocnikom i dzierżawcom. Niedbalstwo i nieobecność właściciela odbijała się na wyglądzie budynku mieszkalnego estancji. Nie znalazło się tam nic podobnego do pałacu bogatego obywatela, ani nawet do farmy zamożnego hodowcy w Europie. Słomiana strzecha podparta czterema ścianami z gliny, niskie drzwi, zupełny brak okien, niecembrowana studnia, pal wbity w ziemię do przywiązania konia, ani śladu ogrodu lub parku — oto jak wyglą-



Estancja.

dało w większości wypadków nędzne rancho (czyt. ranczo) czyli mieszkanie zarządzającego estancją, który tu wraz z rodziną prowadził żywot w sposób pierwotny, zupełnie taki, jak i inni pracownicy estancji, półdzicy „gauczosi“, ludzie krwi mieszanej, pochodzący ze związków Indian z białymi. Gauczosi, wiecznie na koniach, dozorowali bydło, poskramiając dziczyznę zwierzętą zapomocą arkanu; inni pracowali na „soladerach“, gdzie zabijano zwierzęta i solono mięso, przeznaczone na wywóz. Pomimo obfitości krów, produkcja mleka zupełnie była zaniedbana, a masło sprowadzano z zagranicy.

Otóż dawna owa estancja przekształca się obecnie dość szybko na farmy starannie urządzone, gdzie się utrzymuje często stada rasy wyborowej, hodując je według wszelkich zasad przemysłu pasterskiego. Dzikie pastwiska zastępują się coraz

więcej sztucznymi łąkami, zwłaszcza posiewami lucerny, która na niejednym folwarku zajmuje 5, 10 do 20.000 hektarów powierzchni. Takich olbrzymich obszarów sztucznego pastwiska Europejczyk wyobrazić sobie nawet nie zdoła. Zamiast dawnego prostego ogrodzenia dla bydła, wystawiono na estancjach stajnie i chlewy. Nędzne dawniejsze ranczo ustąpiło miejsca prawdziwym willom wiejskim, niekiedy pałacom i zamkom, urządzone z całym komfortem, otoczone obszernymi parkami i ogrodami. Półdzicy gauczosi wyparci zostali przez hodowców europejskich: spotykają się już tylko na wielkich posiadłościach, położonych na pograniczu jeszcze niezaludnionych pustkowi. Dawne „soladery“, gdzie solono mięso na sprzedaż, ustąpiły miejsca zakładom zamrażającym, gdzie się zamraża mięso, przeznaczone na wywóz do innych krajów, zwłaszcza do Anglii.

Wreszcie tak dawniej zaniedbany przemysł nabiałowy zaczyna nie tylko zaopatrywać potrzeby kraju, ale już dostarcza produktów do handlu wywozowego, mianowicie Argentyna wywozi bardzo znaczne ilości masła do Anglii, Brazylii i Afryki południowej. Jedno tylko pozostało bez zmiany, to olbrzymie obszary estancji. Z liczby setek, nawet tysięcy pierwszorzędnych farm hodowlanych przytoczymy tu kilka dla przykładu.

Estancja „Huetel“, leżąca o 280 km. od Buenos Ajres, zajmuje obszar 62.500 hektarów (111.625 morgów = 3.721 włók) — istne państwko europejskie! Cały ten obszar jest ogrodzony drutem kolczastym. Estancja posiada zwierzęta tylko ras wyborowych, przeważnie angielskich, mianowicie 62.000 sztuk bydła rogatego, 87.000 owiec i 4.200 koni.

Taki sam obszar (62.500 hekt.) zajmuje także estancja „San Iacinto“, posiada ona 16.250 hektarów łąk sztucznych lucerny, na których się pasie 100.000 bydła rogatego, 100.000 owiec raso-owych i 10.000 koni.

Nietylko bliżej stolicy i w bardziej zaludnionych częściach kraju znajdujemy takie wielkie wzorowe zakłady hodowlane, zapewniające swym mieszkańcom wszelki komfort europejski. Znajdujemy je także na mało zaludnionych pustkowiach Patagonji, nawet na krańcu południowym kraju pod 50 stopniem szerokości południowej.

Estancja np. „Le Condor“, leżąca właśnie w tej najbardziej południowej części kraju, zajmuje obszar 175.000 hektarów, posiada 160.000 owiec, zaopatrzona jest w 40 maszyn parowych do strzyżenia wełny.

Jeżeli porównamy Argentynę z innymi krajami pod wzglę-

dem ilości zwierząt domowych, to zobaczymy, iż kraj ten co do ilości bydła rogatego zajmuje trzecie miejsce na świecie po Stanach Zjednoczonych i Indjach Wschodnich, trzecie również miej-



Nowoczesny gaucho.

sce co do ilości koni po Rosji i Stanach Zjednoczonych, drugie miejsce po Australji, co do ilości owiec. Jeżeli weźmiemy pod uwagę słabe zaludnienie kraju, to zrozumiemy, że mała tylko

częśćka produktów zwierzęcych idzie na potrzeby miejscowe, reszta zaś stanowi ważny przedmiot handlu wywozowego.

Porównywając stan hodowli bydła w ostatnich latach ze stanem w latach poprzednich, widzimy, że postęp idzie tu nie tyle w kierunku powiększenia ilości sztuk zwierząt, ile dotyczy powiększenia wartości tych zwierząt wskutek ulepszenia rasy. Wogóle zaś, jeśli zestawień postępy na polu rolnictwa z rozwojem hodowli zwierząt, to okazuje się, że postęp w rolnictwie jest bezporównania szybszy, czyli, że Argentyna z kraju niegdyś wyłącznie pasterskiego staje się krajem coraz bardziej rolniczym. Istotnie, jeszcze przed dziesięciu laty wywożono produktów zwierzęcych za sumę o wiele wyższą, niż produktów rolniczych, w roku zaś 1907 produktów rolnych wywieziono za 820 milionów franków, gdy zwierzęcych tylko za 620 milionów. Przemiana kraju pasterskiego na rolniczy znamionuje zawsze posunięcie się kraju za wyższy stopień cywilizacyjny. Istotnie, pasterstwo ustępuje przed rolnictwem tak pod względem gospodarczym, jak i kulturalnym. Rolnictwo wytwarza tym samym kosztem i na jednakowej powierzchni ziemi bezporównania więcej produktów użytecznych, niż pasterstwo, wymaga i może utrzymać o wiele więcej pracowników, wywołuje grupowanie się ludności we wsi i miasta, wpływa na zaludnianie się pustych dotąd obszarów; nawet oddziaływa na obyczaje mieszkańców, wymaga bowiem więcej pracy, więcej inteligencji, sprytu i przezorności.

Wyspy Hawai, czyli Sandwich

S. Łaganowski, wedł. Raymonda Bel'a (Czas. „Naokoło Świata”).

Z pomiędzy wysp Oceanji wyspy Sandwich, (cz. Sendwicz), jako leżące na wielkiej drodze morskiej, prowadzącej z Ameryki do Azji i Australji, najważniejsze mają znaczenie.

Znaczenie to wzrośnie jeszcze w przyszłości wskutek przekopania kanału Panamskiego. Amerykanie, rozumiejąc dobrze jakie korzyści przynieść może posiadanie tak ważnej stacji okrętowej, postarali się o przyłączenie tych wysp do terytorjum Stanów Zjednoczonych.

Wprawdzie rasa biała obdarzyła wyspy swoją cywilizacją, ale wraz z nią rzuciła zarodek śmierci w łono ludu, zamieszkałych tu oddawna Kanaków. Liczba Kanaków z każdym

dnem się zmniejsza, tak że jesteśmy, w przededniu zupełnego zniknięcia tego ludu.

Wyspy Hawai zaledwie przed 50-ma laty włączone zostały do „sfery interesów“ handlu wszechświatowego; jednak w tym krótkim przeciągu czasu liczba krajowców z 300.000 zmniejszyła się do 35.000. Ci, co przetrwali, utracili ową wesołość dziecięcą, która cechowała ich przodków. Snują się oni smutni i jakby znużeni, śmieszni w swem europejskiem ubraniu, bezsilni wobec walki z tajemniczą siłą, która ich ciągnie do grobu.

Archipelag hawajski był odkryty w XVI stuleciu przez żeglarzy hiszpańskich, ale pierwsze dokładniejsze wiadomości o wyspach podał kapitan Cook (cz. Kuk), który tu zawinął w roku 1778 i nadał archipelagowi nazwę wysp Sandwich.

W następnym roku w powrotnej podróży do wysp Hawajskich Cook zginął od strzały krajowców. Opowiadają, że Kanakowie uważali go za syna słońca i przypisywali mu przymioty bóstwa. Ale jeden z nich przez prostą ciekawość czy igraszkę puścił w niego strzałę, będąc pewnym, że ona synowi słońca żadnej szkody nie robi. Gdy Cook krzyknął i popłynęła krew, krajowcy zrozumieli, że byli w błędzie, rzucili się tedy na nieszczęśliwego żeglarza i zamordowali go.

Kiedy Cook wylądował na wyspach Hawai, były one pokryte olbrzymiemi lasami drzewa „algarobas“, pandanów i banianu. W głębi dolin rosły banany, drzewo chlebowe, palmy kokosowe; były obszerne pola rośliny taro. Mieszkańcy wysp używali jako odzieży jedynie zapaski z włókien roślinnych, stroili się w bransolety z drobnych muszli, w wieńce z kwiatów i piór. W dni weselne śpiewali, potrząsając dla akompanjamentu dyniami, napełnionemi drobnemi kamykami i wykonywali taniec „Ula-Ula“.

Pod łagodnem niebem, na glebie dostarczającej bez zachodu pożywienia, pędzili żywot beztroski. Ponad to, co ziemia dała, dostarczali sobie w obfitości reszty pożywienia zapomocą rybołówstwa i myślistwa. Zwierząt drapieżnych na wyspie wcale nie było.

Wsie Kanaków ciągnęły się brzegiem rzek i strumieni i tończyły w zieloności drzew.

Tylko wulkanów i trzęsienia ziemi obawiali się krajowcy, bo wybuchy wulkaniczne zdarzały się dość często, wywołując klęski niemałe. Wyobrażenia Kanaków zaludniała cała przyrodę bóstwami, których mowę kapłani umieli tłumaczyć ludowi.

Dzisiaj podróżnicy, zatrzymujący się na tych wyspach, odnajdują na nich wprawdzie wieczystą piękność błogosławionej

przyrody, oglądają, jak dawniej, strome szczyty gór, kaskady wody kryształowej, urocze doliny, spienione fale na wybrzeżach, lazurowe głębie oceanu, ale wielkie lasy zamieniono na pola trzciny cukrowej lub ryżu, nad palmami wznoszą się wysokie kominy fabryk, wsie mieszczą w sobie tyluż Chińczyków i Japończyków, co pierwotnych mieszkańców — Kanaków, szerokie drogi i linje kolejowe łączą miasta z fabrykami cukru, a Kanakowie, tak niegdyś weseli i szczęśliwi, nie stroją się już w kwiaty i nie tańczą swego „Ula-Ula“...

W sprawie zagłady ludów, które zetknęły się z rasą białą, najważniejszą bodaj rolę odgrywają zaraźliwe choroby. Na wyspach Sandwich przed kilkudziesięciu laty ospa zabrała mnóstwo ofiar, obecnie zaś najstraszniejszą klęską, pod którą upadają krajowcy, jest trąd. Przez jakiś czas po przybyciu tutaj Europejczyków, zdawało się, że tej zarazie ulegają tylko krajowcy. Ale, gdy choroba wskutek zmniejszającej się ciągle odporności krajowców, rozszerzyła się bardzo, nastąpił dzień, w którym uległ zarazie jeden z Europejczyków. Zniknęła wtedy wiara w nietykalność rasy białej i zaczęła się walka z chorobą. Walka ta pod wpływem przerażenia przybrała niemal dzikie formy. Rząd wydał drakońskie prawa przeciw trędowatym.

Każdy osobnik, dotknięty chorobą, wrywany był z łona społeczeństwa i wywożony, bez nadziei powrotu; na wyspę Molokaii, dotąd niezamieszkaną. Urządzono tam szpital dla trędowatych i pozostawiono ich samym sobie, powierzając mniej chorym opiekę nad bardziej dotkniętymi chorobą. 4000 chorych przebywa obecnie w tem przeklętym miejscu, do którego możnaby zastosować słowa: „gdy wchodzisz tutaj, rozstań się z nadzieją“.

Z ośmiu wysp archipelagu tylko pięć jest zamieszkanych,



Kobieta z wyspy Hawai.

a wyspa Hawai, od której otrzymał nazwę cały archipelag, jest największa i najlepiej uprawiona. Najważniejszą jest jednak wyspa Oahu, na której leży główny port archipelagu — miasto główne Honolulu.

Piękne to miasto tonie zupełnie w zieloności pandanów, drzew mangowych, bananów, kokosów, cytryn i pomarańcz. Otaczająca miasto równina pokryta jest plantacjami trzciny cukrowej, stanowiącej główne bogactwo tych wysp.

Na najniższych miejscach równiny znajdują się pola ryżu, który jest głównym pożywieniem Chińczyków, gdy krajowcy karmią się przeważnie rośliną taro. Prócz tego wyspy produkują jeszcze dużo ananasów, bananów, orzechów kokosowych, a na wyspie Kanai mieszkańcy hodują wiele bydła i koni.

Wyspy Sandwich zawsze ważne miały znaczenie, tak ze względu na wywóz swoich płodów naturalnych jako też jako miejsce zbytu amerykańskich towarów fabrycznych. Ale znaczenie handlowe tych wysp, jak powiedzieliśmy wyżej, wzrośnie ogromnie wskutek przekopania kanału Panamskiego. Wówczas każdy okręt, przepłynąwszy przez kanał, musi się bezwzględnie zatrzymać na wyspach Hawai dla nabrania węgla i świeżej żywności. Wtedy szczupły port Honolulu będzie niewystarczający i handel przeniesie się zapewne do znacznego naturalnego portu Pearle-Harbour, leżącego o kilka wiorst dalej ku północy. Pearle-Harbour stanie się wtedy wszechświatowem miejscem składowem dla towarów, leżeć bowiem będzie na przecięciu trzech wielkich dróg: Panama-Jokohama, San-Francisko-Sidney, Jokohama-Valparaiso.

Ale ta świetna przyszłość wysp mało zapewne obchodzi wymierających nieszczęsnych Kanaków.

Najpiękniejsza kolonia Anglii (Nowa Zelandja)

W. Berdrow wedł. J. Hundhasena.

(Jahrbuch der Weltreisen 1905).

Nowa Zelandja może być nazwana bez przesady najpiękniejszą kolonią Anglii. Zasługuje ona na tę nazwę przede wszystkim przez różnaitość swojej przyrody, która obejmuje tu wszystko, co się tylko da pomyśleć: od lodowców wysokich gór do najwspanialszych zjawisk wulkanizmu, od lasów pierwotnych do stepowego krajobrazu, od wspaniałości fiordów północnych do roślinności podzwrotnikowej. Jeżeli do tego dodamy

niezwykłą urodzajność gruntu, który mógłby wyżywić dziesięć razy większą ludność, niż obecnie, bez odjęcia jednego akra ziemi dwudziestu milionom owiec, dalej — klimat cudny, wyborny dla Europejczyków, brak wszelkich węzów jadowitych, wszelkich drapieżników, brak epidemji zwierząt domowych — to dojdziemy do wniosku, że Nowa Zelandja przedstawia pod każdym względem ideał kraju, nadającego się do kolonizacji europejskiej.

Należy przyznać, że Anglicy potrafili wyzyskać umiejętnie pomyślnie te warunki i wiele zrobili z tego kraju w czasie stosunkowo niedługim. Nie zapominajmy, że w r. 1835 w całej Nowej Zelandji było nie więcej, niż 500 Europejczyków, którzy w trzech piątych składali się z marynarzy i przestępców zbiegłych z Australji. Dopiero w roku 1840 utworzyło się w Anglii wielkie towarzystwo przesiedleńców do Nowej Zelandji, które wysłało do kolonji robotników i rolników pod kierownictwem pułkownika Wakefielda. Był to początek właściwej kolonizacji, ale, niestety, zarazem początek końca krajowców Maorów, którzy tu przez osadników angielskich oraz władze angielskie tak źle byli traktowani, tak systematycznie tępieni, że lud ten zaliczony do najłagodniejszych i najbardziej uzdolnionych wyspiarzy morza Południowego, wskutek wiekowego prześladowania, wiarołomstwa i okrucieństwa doznawanego od białych, stał się stopniowo wrogiem europejskiej kolonizacji. A że to był wróg krwiożerczy, mściwy, nieubłagany i mężny, świadczy o tem historia straszliwych walk i wojen, stoczonych w zeszłym stuleciu. Nakoniec po ostatniej niszczącej wojnie Anglików z Maorami w sześćdziesiątych latach zeszłego wieku obydwie strony stały się bardziej skłonne do zawarcia pokoju, i obecnie 880.000 białych żyje w jak najlepszych stosunkach z 48-ma tysiącami Maorów.

Krajowcy wszyscy bez wyjątku stali się chrześcijanami, mówią po angielsku, przyjęli naogół obyczaj i ubiór angielski, są pracowici, częściowo nawet stali się, jako farmerzy, ludźmi zamożnymi, korzystają ze wszystkich praw narówni z białymi, (np. z prawa wybierania z pośród siebie posłów do parlamentu) i wogóle mniej się różnią, niżby się wydawać mogło, od ogólnego wyglądu mieszkańców kraju.

Na wyspie południowej nie spotyka ich się wogóle prawie zupełnie. Tu, jeszcze przed osiedleniem się Europejczyków tak starannie się tępili w bratobójczych wojnach, że proch, alkohol i kultura białych, niewiele już miały do zrobienia. Przeciwnie

na wyspie północnej, gdzie przyroda w wielu jeszcze miejscach ukazuje się w pierwotnej dzikości, przedstawiając oczom podróżnika wulkany, czynne źródła, gorące gejzery, pustynie tufu i lawy, dzikie potoki i nieprzebyte lasy pierwotne — tam dawna ludność maorska silnie jeszcze występuje.

Najpiękniejsze krajobrazy na wyspie północnej znajdujemy tam, gdzie ocalały jeszcze przed niszczącą ręką osadnika wspaniałe lasy pierwotne, ciągnące się wzdłuż rzek, zwłaszcza nad rzeką Wanganui. Rzeka ta zrasza południowo-zachodnią część wyspy, płynąc pomiędzy najwyższymi wyniosłościami kraju: śnieżnym szczytem Ruap, dochodzącym do 2.800 metrów wysokości, i podobnym do Etny kopułowatym masywem górskim Taranaki, który panuje nad brzegiem zachodnim i pod nazwą góry



Wódz maorski.

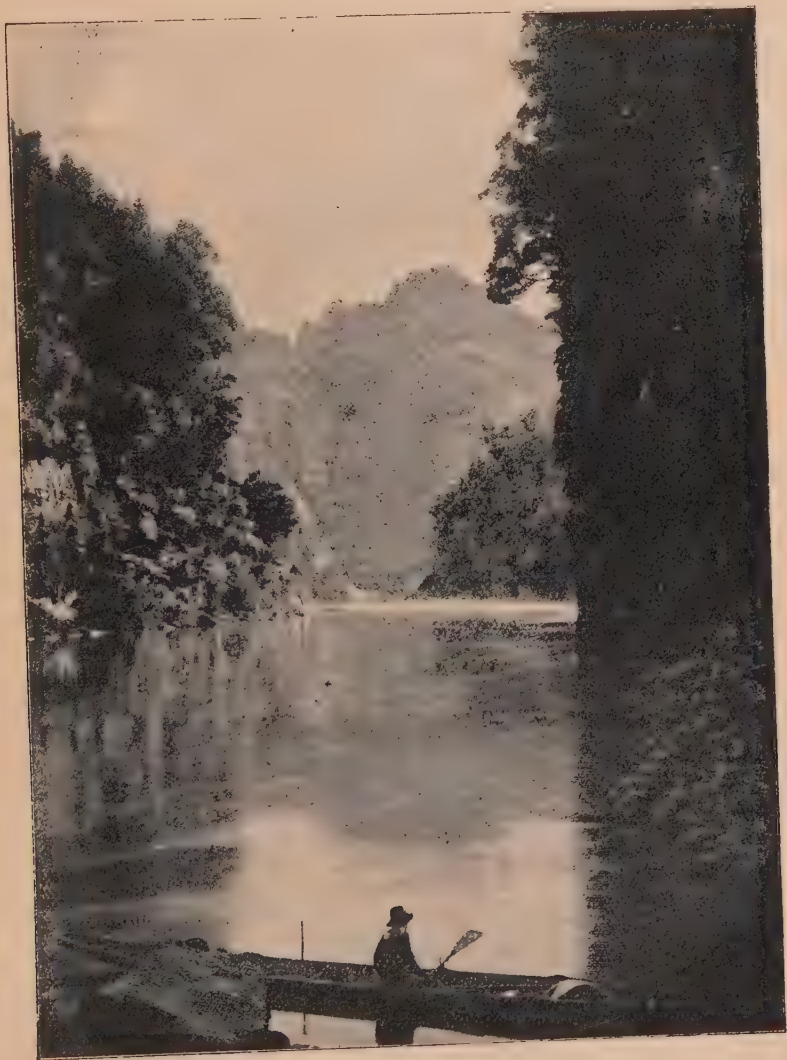


Piękność maorska.

Oboje w płaszczach ze lnu nowo-zelandzkiego.

Egmont bardziej jest znany. Roślinność, którą wywołać mogły tylko ulewne deszcze Nowej Zelandji, jest tak wspaniała, że kraj literalnie tonie w zieleności. Tu i owdzie tylko ponad te masy zieleni wznoszą się wysoko pojedyncze wspaniałe drzewa. Gdzie niegdzie w mroku leśnym płonie kwiatostan drzewa żelaznego (*Metrosideros*); a najwięcej powabu nadają tym lasom potężne korony paproci drzewiastych. Nigdzie indziej nie spotyka się tak potężnych gałęzi paproci. Korony o trzymetrowej średnicy nie są wcale rzadkością, a pnie często dochodzą do wysokości domu. Paprocie drzewiaste zastępują tu palmy.

Gdy na wyspie północnej kolonizacja i drogi komunikacyjne kierują się przeważnie ku okolicom zachodniego wybrzeża, to przeciwnie na wyspie południowej rzecz się ma zupełnie



Górny bieg rzeki Wanganui.

naodwrot. Wschodnia połowa wyspy, tylko miejscami górzysta, przecięta jest na całej swej długości koleją żelazną, i obydw

największe miasta Christchurch (Kristczercz) i Dunedin leżą właśnie na wschodnim wybrzeżu. Na zachodzie, przeciwnie, prawie nieprzerwany grzbiet górski, niby kość pacierzowa wyspy, ciągnie się prawie wszędzie blisko wybrzeża i tylko w niektórych miejscach przeprowadzono wpoprzek wyspy drogi kołowe, nigdzie zaś niema kolei żelaznej, prowadzącej z jednej strony gór na drugą. Parowiec, wychodzący co wieczór z Wellingtonu ¹⁾, przecina burzliwą cieśninę Cook'a (cz. Kuka) i płynie wzdłuż wschodniego brzegu wyspy południowej, wiążąc w ten sposób obie części kraju. Na rano przybywa do wspólnych portów: Christchurch i Lyttleton. Na zachód od tych



Milfordsund.

miast, jak okiem dojrzeć rozpościera się daleko obszerna urodzajna równina Canterbury (cz. Kenterberi), obfitująca w rzeki i ciesząca się najlepszym klimatem w świecie. Po wielogodzinnej podróży koleją przez urodzajną równinę rolną docieramy do pierwszych występów górskich, a zarazem do pastwisk niezliczonych stad owiec, których mięso, wywożone w stanie zamrożonym, stanowi jedno z głównych źródeł dochodu w Nowej Zelandji.

Równina Canterbury wywozi corocznie przeszło milion owiec. Naturalnie i wełna jest także głównym przedmiotem

¹⁾ Miasto główne Nowej Zelandji, leżące na wyspie północnej.

handlu. Krajobraz aż do samego wnętrza wysokich gór przedstawia się niezmiernie jednostajnie. Całemi godzinami, całemi milami w ciągu kilku dni, nie widać nic innego, tylko tak zwany „Tussoc“ — twardą, szarobrunatną, wysuszoną, kępkową trawę, której, gdy zupełnie wyrośnie, żadne zwierzę jeść nie chce, która jednak na wiosnę, po corocznem wypaleniu, puszcza delikatne pędy i wtedy służy owcom na paszę. Później zwierzęta muszą się licho odżywiać innemi liściastemi roślinami, występującemi tu bardzo nielicznie. Szerokie drogi, również



Queenstown (cz. Kinstaun).

chwastem porośłe, na prawo i lewo ogrodzenia druciane bez końca, oddzielające jedno stado od drugich, i ta bezbarwna jednostajna trawa kępkowata — oto wszystko, co się daje widzieć całemi godzinami na widnokręgu. Na tem szarem pustkowiu panuje cisza. Jedyne ślady kultury ludzkiej, prócz rzadko rozrzuconych farm i stacyj strzyżenia owiec, przedstawiają owe wspomniane drogi, oraz wszechwładny drut. Drut pełni tu rolę policji ziemskiej. Otacza on nie tylko granice okręgów i posiadłości prywatnych, ale również utrzymuje porządek ochron-

ny pomiędzy stadami. Gdzie droga przecina takie ogrodzenie z drutu, tam znajduje się napis, nakazujący zamykanie wrót pod karą 100 marek. Psy owczarskie spotyka się bardzo rzadko. Towarzyszą one konnym pastuchom, spełniającym rolę dozorców stad owiec.

Dalej w głąb gór prowadzi nas droga poprzez rozległy obszar zwietrzenia, złożony z osypisk i rumowisk skalnych. Obszar ten otacza ze wszech stron szerokim pasem najwyższe części Nowozelandzkich Alp i wywołuje wrażenie pustkowia, nie dające się opisać. Sama droga doznaje częstych przerw od płytkich, ale szerokich i często burzliwych potoków górskich, na których prawie zupełnie niema mostów. Wielkie wozy, szerokie na 9 stóp i zaprzężone w silne, dobrze tresowane konie umożliwiają przejazd przez takie rzeki, mimo że woda wznosi się często ponad wysokie koła i dochodzi aż do koźła. Przeprawy takie wydają się niebezpieczne, zazwyczaj jednak szczęśliwie się udają dzięki spokojowi woźnicy, ciężkości i szerokości wozu oraz zręczności koni. Wszędzie tu znajdujemy rumowisko skalne: na pochyłościach gór, w dolinach rzecznych, u stóp gór, tak że wydaje się, iż całe te olbrzymie łańcuchy górskie muszą się składać z samego gruzu; rzeczywiście, zbudowane są one ze skał luźnych, kruszących się łatwo.

Dopiero wysoko w samem sercu gór smutne te krajobrazy ustępują miejsca powabnym widokom wiecznie zielonych lasów bukowych, które poprzez wysoki grzbiet gór przechodzą na pochyłość zachodnią.

Dziwnie dogodne warunki znajduje dla siebie miłośnik przyrody w Nowej Zelandji, jakkolwiek piękności kraju nie zawsze są łatwo dostępne. Naprzykład Alpy południowej Zelandji z ich wspaniałym szczytem, górą Kuka (3770 metrów) słabo są odwiedzane, mimo że góry te pod względem malowniczości bynajmniej nie ustępują Alpom europejskim. Szczególniej góra Kuka ze swym śnieżnym wierzchołkiem i potężnym lodowcem Tasmana, wieńcem innych śnieżnych szczytów otoczona, przedstawia nieopisanie piękne widoki przyrody wysokich alpejskich gór, otoczonych pasem tak wspaniałej wiecznie zielonej roślinności i malowniczych lasów pierwotnych, jak się to rzadko gdzie spotyka na ziemi. Niegdyś prawie cały ten kraj musiał być pogrzebany pod lodowcami; ślady ich pozostały się pod postacią fiordów południowych oraz cudnych jezior o zarysach podobnych do fiordów.

Z Dunedin, miasta głównego południowej części większej

wyspy, urządzają się formalne podróże dla przyjemności do tych właśnie jezior południowych, podobnie jak u nas (w Europie) odbywają wycieczki do Norwegji lub po morzu Śródziemnem. Miejscowość Queenstown (cz. Kinstaun) nad jeziorem Wakatipu jest najulubieńszym celem podróży na całym południu. Również piękne widoki przedstawiają fiordy południowe, zwłaszcza Milfordsund. Przy wejściu do tego fiordu odsłania się przed nami widok tak wspaniały i pełen wdzięku, że tym jednym widokiem każdy zwiedzający może być dostatecznie wynagrodzony za trudy podróży do Nowej Zelandji. Żaden inny punkt wszystkich brzegów północnych nie wywołuje takiego wrażenia, któryby się z tym dał porównać. Cudnie piękna jest też droga do ogromnego jeziora Te-Anau.

Ciągle powtarzająca się, a coraz inna mnogość obrazów, które wytwarza czarujące połączenie lasów, wód i gór, powabnych małych jezior, grzmiących wodospadów, pni drzewnych, pokrytych gęstym kożuchem mechów i porostów, delikatnych paproci drzewiastych — wszystko to wywołuje niezatarte w pamięci wrażenie.

Góry „Kościszko”

R. v. Lendenfeld (Australische Reise. 1896).

W roku 1885, na początku stycznia, a więc w samej pełni lata południowej półkuli, dostałem się do puszczy leśnej, pokrywającej północny stok wyżyny „Kościszko“, która stanowi najpotężniejszy maszyn górski Australji. Miałem ze sobą dwóch towarzyszy, każdy na koniu i każdy prowadził za sobą drugiego konia, niosącego bagaże.

Podróż z Sidney do tego miejsca odbyliśmy w części koleją żelazną, w części karetką pocztową, wreszcie konno. Droga nasza prowadziła przez suche równiny, zapylone, pozbawione cienia, i przez szeregi wzgórz. Od Sidney jechaliśmy cztery dni. W południe słońce zaledwie na 8 stopni oddalone było od zenitu. Rzadko i skąpo padają deszcze w tym kraju, a temperatura podnosi się niekiedy do 50° C. Drzewa tu nie skupiają się w gęstwinie, lecz są rozrzucone; skórkowate ich liście, postaci sierpu, zwieszają się pionowo na dół i obracają się w ciągu dnia w kierunku przeciwnym obrotowi ziemi naokoło osi w ten sposób, że są zawsze zwrócone ku słońcu wąskimi swymi brzegami, a nie szeroką powierzchnią blaszki liściowej.

Zapomocą takich ruchów oraz przez zamykanie swych szparek oddechowych podczas najgorętszej pory dnia liście się chrońnią przed wysychaniem od upału. Łatwo jest zrozumieć, że w takim lesie niema mowy o cieniu. Grunt nagi, pozbawiony roślinności tak silnie się nagrzewa, że robi się twardym jak kamień i wygląda jak wypalony. Nic dziwnego, że po odbyciu podróży przez takie gorące i pęsepne okolice z całą rozkoszą wciągnąłem w siebie pierwszy łyk aromatycznego, wilgotnego powietrza gór.

Rozległe góry „Kościszko“, mające charakter wyżynowy, przedstawiają niby wielki kondensator. Wskutek mniejszej grubości warstwy powietrza, leżącej nad górami, promieniowanie ciepła w nocy jest tu o wiele znaczniejsze, niż u dołu na równinie. Co noc góry się oziębiają i wilgoć, zawarta w powietrzu, pada na nie w postaci śniegu i deszczu, a szczególnie w postaci rosy; tym sposobem góry o wiele więcej obfitują w wodę, niż równina.

W górskim lesie korony drzew ocieniają ziemię i przeszkadzają zbyt raptownemu parowaniu. Delikatny pył pustynnej równiny, jednakowo szkodliwy dla oka i dla gardła, znikł już tutaj i zastąpiony został leśnym aromatem gór. Powietrze tu wilgotniejsze i chłodne; wznoszące się opary leśne niosą ze sobą zapach kwiatów. Tu i owdzie z omszonego gruntu leśnego wystają zaokrąglone skały granitu. Pnie powalonych drzew opierają się o te skały. Ponad niemi wznoszą się w górę smukłe pnie starych drzew gumowych (gatunek eukaliptusa), a rozkoszny dywan zielony traw alpejskich i kwiatów pokrywa ziemię. Silnie wiatr wieje na wysokich szczytach, budząc wspomnienie o dalekiej ojczyźnie.

Jechaliśmy w kierunku południowym. Tu i owdzie błotniste polany przerywały las; w miejscach takich nie rosły drzewa wskutek zbytnej wilgoci gruntu. Wznosząc się bardzo powoli, dostaliśmy się pod wieczór na większą tego rodzaju polanę. Tu rozsiedliśmy konie, rozpaliliśmy ognisko i przyrządzili herbatę.

Najważniejszą cechą życia obozowego w Australji jest ciągle przyrządzanie herbaty. Pierwsza rzecz, do której się biorą, gdy się rozłoży obozowisko — to herbata; ostatnie zajęcie przed wyruszeniem w dalszą drogę — to również picie herbaty, wogóle gotowanie tego napoju stanowi główne zajęcie podróżnika, w czasie pobytu w obozie. Nie tylko podczas postoju, ale nawet w drodze, w każdej porze dnia, gdzie się tylko zdarzy sposobność, robi się herbata. Zapasy żywności są zwykle spakowane i niedostęp-

ne podczas dnia, tylko blaszanka do gotowania wody wraz z zapasami herbaty i cukru przywiązuje się do bagażu nazewnątrz, aby w każdym czasie można było z niej użytkować. Każdy nosi toporek oraz kubek cynowy za pasem, a w kieszeni zapalnik, tak że zawsze jest możliwość przyrządzenia herbaty, o ile się znajdzie woda w lesie. Ale nie tylko w puszczech leśnych, lecz również i po miastach spożycie herbaty jest nadzwyczajne, nie więc dziwnego, że również ilość cukru, przypadająca na każdego mieszkańca w kolonjach australijskich, znacznie jest wyższa, niż we wszystkich innych krajach. Australijczycy lubią nawet wskazywać na spożycie cukru, jako na miarę rozwoju cywilizacji.

Niema chyba rozkoszniejszego bytu, niż nasze życie obozowe w lesie pierwotnym! Wolny od przymusu, który nakłada cywilizacja i krańcowy podział pracy, czuje się człowiek tu, w górskim lesie australijskim, prawdziwym panem przyrody. Niema tu żadnych niebezpiecznych dzikich zwierząt, któreby zagrażały naszemu życiu, niema wrogich krajowców; powietrze i woda wolne są od malarycznych mikrobów. Woda jest tu w górach świeża i czysta, powietrze — czyste, balsamiczne, a przyroda wydaje się tak doskonałą, jaką tylko może być w okolicy niezamieszkałej przez ludzi.

Na drugi dzień 10-go stycznia, wstawszy dość wcześnie, zwinęliśmy obóz, schwytali konie, przyrządzili herbatę i koło 8-ej puściliśmy się w drogę. W nocy było bardzo zimno, tak że kałuże w bliskości namiotu były zamrożone. Jest to bardzo dziwne, jeśli zważymy, że ten punkt leży zaledwie na 1000 metrów nad poziomem morza i że na nizinie tej samej nocy temperatura wynosiła 26° C. Takie silne promieniowanie ciepła w nocy na wyniosłych miejscach warunkuje się w Australji niezwykłą czystością i suchością powietrza.

Jechaliśmy wciąż w kierunku południowym, przecinając błotnistą, bezleśną płaszczynę, na której północnym brzegu spędziliśmy noc dnia poprzedniego.

Przed nami wznosiła się spadzista pochyłość, po większej części, zwłaszcza niżej, lasem pokryta. Pochyłość ta stanowiła taras główny północnego stoku wielkiego płaskowzgórza „Kościeszko“.

Góry „Kościeszko“ to znaczna wyżyna, wznosząca się średnio na 1700 metrów, a przedstawiająca miejscowe rozszerzenie głównego grzbietu australijskich Alp. Leży ona pod szerokością południową 30¹/₂° i pod 148° 20' dł. wsch. Gr. Ma prawie 30 km. długości i 10 km. szerokości. Z szerokiej jej podstawy wznoszą

szą się najwyższe góry Australji. Główny grzbiet wyżyny ciągnie się z północy na południe i zbliża się do zachodniego krańca płaskowzgórza, a najwyższe szczyty znajdują się na południu.

Aby z miejsca, gdzieśmy się znajdowali, dotrzeć do tej najwyższej południowo-zachodniej części wyżyny, trzeba nam było przeciąć wpoprzek całą wyżynę.

Pomimo że pochyłość, leżąca przed nami, wydawała się bardzo stromą, udało nam się jednak przeprowadzić przez nią nasze konie bez szczególnych trudności. Znaleźliśmy tu, na wysokości 1.700 metrów, w strefie drzew karłowatych, które w tem miejscu, w przeciwieństwie do innych okolic Alp australijskich, nie przedstawiały się w postaci niskich eukaliptusów o grubych pniach i pokręconych gałęziach, lecz składały się z wysmukłych, prostych drzewek, grubości zaledwie pięciocentymetrowej. Drzewka te rosły tak blisko siebie, żeśmy często musieli używać toporka dla torowania sobie drogi. W krótkim jednak czasie wydostaliśmy się z obszaru niskiego lasu na wolną alpejską polanę.

Teraz znajdowaliśmy się na samym szczycie wyżyny „Kościeszko“. Powierzchnia wyżyny jest falista, wszelkie zaś zagłębienia — błotniste, stepową roślinnością pokryte, wyniosłości często są skałami uwieńczone, a z łagodnych nawet pochyłości, trawą pokrytych, ukazują się w wielu miejscach brunatne odłamy granitu. Wszystkie kamienie są tu wyłącznie odłamkami granitu. Jazda po tej wysokiej płaszczyźnie była niezwykle jednostajna. Ja oglądałem szczegółowo skały po drodze i nareszcie znalazłem, czegom szukał: ślad lodowca. Była to skała gładko oszlifowana przez potok lodowy, oczywiście przedhistorycznego lodowca. Na skale tej wyraźnie się odznaczały rysy i szramy, wyżłobione przez kamienie wmarzniete w lód spływającego lodowca. Później podobne wygładzone skały, tak zwane „baranie łby“, znajdowałem dość często po drodze.

Po kilku godzinach jazdy rozbiliśmy obóz na wschodniej krawędzi wyżyny „Kościeszko“.

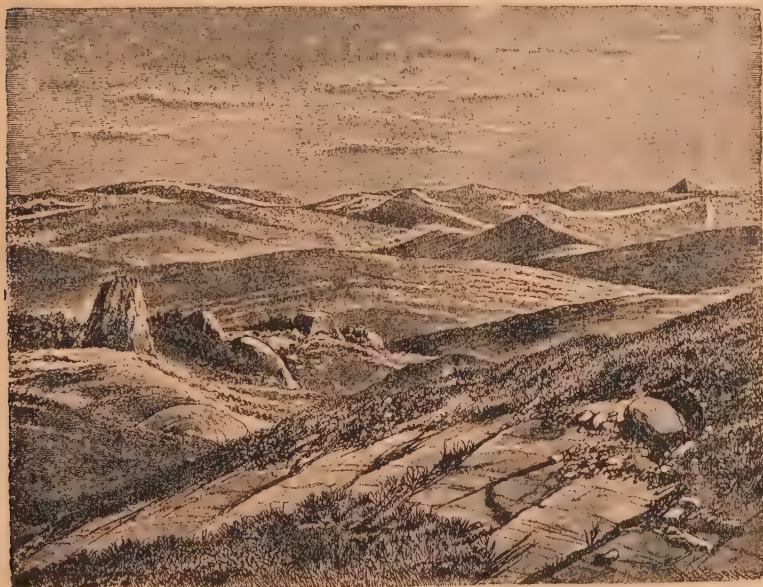
Następnego dnia zamierzałem dostać się na wierzchołek góry „Kościeszko“, którą uważano za najwyższy szczyt Australji.

Dnia 11 stycznia opuściliśmy obóz o godzinie 6-tej rano. Namiot, zapasy żywności i dwa konie pozostały na miejscu, my zaś wzięliśmy ze sobą tylko jednego konia, na którego naładowaliśmy nieco żywności i wina, przyrząd fotograficzny oraz inne instrumenty.

Było bardzo zimno. Wszystkie kałuże zamarzły. Kiedy cieńki lód łamał się z trzaskiem pod kopytami mego konia, przy-

pomniałem sobie o przyjaciółach moich w Sidney, którzy w tym samym czasie budzili się pewno ze snu, pokryci potem, próżno szukali ochłody w napół ciepłej kąpieli i z ciężkiem westchnieniem oczekiwali męczącego upału, który się z następującym dniem zapowiadał.

Jechaliśmy z początku po dość stromej pochyłości, karłowatymi drzewami gumowymi pokrytej. Po pewnym czasie, przekroczywszy dwa grzbiety górskie i przełęcz błotnistą, znaleźliśmy się na koniec u podnóża naszej góry. Nigdzie naokoło nie widać było ani śladu roślinności drzewnej. Większą część miejscowości



Góry „Kościuszko“.

pokrywały pastwiska alpejskie; tu i owdzie, szczególnie wyżej, występują skały, kamienie i płaty śniegu.

Przed nami wznosi się ostry, stożkowaty szczyt skalny, uwieńczony wyraźnie dostrzegalną piramidą z kamieni. Musi to być góra „Kościuszko“, najwyższy punkt Australji, na której wierzchołku inżynier Black, co mi było wiadome, wznosił sygnał w postaci kopca kamiennego.

Wznoszenie się na góry Australji przedstawia się zupełnie odmiennie, niż wchodzenie na szczyty gór w Alpach europejskich. Tu nie samo wejście na pojedynczy szczyt górski, ale dotarcie do stóp gór główną trudność stanowi.

Pierwszy, który zwiedził Alpy australijskie, był Polak, Strzelecki, który w roku 1840 odkrył najwyższą grupę gór i wznosił się na jeden z ich szczytów. Strzelecki nazwał te góry imieniem swego znakomitego rodaka, Kościuszki.

W latach 1847 i 1848 inżynier Townsend (cz. Taunzend) zwiedził Alpy na zlecenie rządu kolonjalnego i zjął mapę głównego grzbietu. Jakkolwiek mapa jego jest prawidłowa, mało jest jednak użyteczna, gdyż nie są na niej oznaczone ani doliny, ani grzbiety boczne.

W pięćdziesiątych latach, przyjaciel mój, baron von Müller, botanik, zwiedzał góry kilkakrotnie, badając ich florę. W roku 1854 dostał się na ten szczyt górski, na którym później Black (cz. Blek) ułożył sygnał z kamieni, i który na mapach oznaczony jest nazwą góry „Kościuszek”.

Towarzysz mój, Spencer, który był również przewodnikiem Müllera, oznajmił mi, że on i inni mieszkańcy gór, szczyt ten, na cześć mego przyjaciela nazywają „Müllers Peak” (cz. Pik) i że u nich góra „Kościuszek” jest nazwą zbiorową, oznaczającą całą tę krainę górzystą. Trzymam się więc i ja tej samej nomenklatury.

Co do mojej podróży, to nigdy nie byłaby doszła do skutku bez usilnej pomocy, którą otrzymałem od rządu kolonjalnego.

Czytelnik łatwo zrozumie moją radość, gdy się obecnie znalazł bliskim celu. Miałem przed sobą wschodnią pochyłość głównego grzbietu, na którym znajdowała się nasza góra. Pochyłość ta była dość spadzista i wzdłuż niej ciągnął się szeroki pas śniegu.

Oprócz tej wielkiej wstęgi śniegu znajdują się na stoku wschodnim liczne mniejsze pasy stałego śniegu. Na stokach zachodnich niema zupełnie takich pasów śnieżnych; bezwątpienia powstały one na pochyłości wschodniej, dzięki panującym tu wiatrom zachodnim. Wiatr przerzuca śnieg przez grzbiet gór i pozostawia go na drugiej stronie, osłoniętej od wiatru. Powiększające się wciąż masy śniegu tworzą na koniec potężne złoża, które się ciągną wzdłuż górnego brzegu pochyłości wschodniej.

W lecie śnieg na górach topnieje, tylko te złoża śniegowe

opierają się ciepłu słonecznemu, gdyż warstwy śniegu są tu zbyt grube, aby w zupełności stopnieć mogły. Dolna część pokładów śniegu i w lecie przedstawia się w postaci pasu śnieżnego, a gdy nastanie zima, tworzy fundament, na którym układają się nowe masy śniegu. Gdy lato jest ciepłe, wstęgi te i płyty białe zmniejszają się bardzo, ale, według twierdzenia mych przewodników, nigdy zupełnie nie znikają, można więc mówić z całą słusnością o wiecznym śniegu na Alpach Australji.

Przedostawszy się konno nie bez wielu trudności na wierzchołek głównego grzbietu, znalazłem się nakoniec u stóp samej góry. Ma ona formę stożkową i pochyla się na wszystkie strony pod kątem prawie jednakowym, od 25 do 30 stopni. Żadna roślinność nie upiększa jej stoków. Duże, ostrokanciaste dzikie odłamy granitu gromadzą się chaotycznie jedne na drugich. Tu i owdzie wznoszą się z tych rumowisk oddzielne potężne skały, a pojedyncze płyty śniegu przystrajają szarobrunatne stoki, przeglądające się w czystych falach małego jeziora, które leży u stóp góry po stronie wschodniej.

Przywiązawszy konia do dużego kamienia, zacząłem się wdrapywać na górę. Szedłem prędko i o godzinie 8³/₄ rano dotarłem do szczytu. Chociaż wierzchołek góry był dość szeroki, trudno się było poruszać wskutek nagromadzenia kamieni.

Oznaczywszy wysokość góry na 2.215 metrów, rozpocząłem natychmiast prace topograficzne, oraz badanie rozlegającego się stąd widoku. Widok stąd jest obszerny, ale jednostajny. Najbliższe szczyty wyżyny rzadko są skaliste i rzadko mają wyraźne zarysy, po większej części są zaokrąglone. Bliżej nas sama wyżyna pokryta jest alpejskimi pastwiskami, dalej widnieją lasy, pokrywające stoki wyżyny, jeszcze dalej wszystko jest wyschnięte, martwe, o kolorycie brunatnym.

Na południu jakiś szczyt wysoki zaokrąglony zasłania nam widok. Góra ta wydaje mi się wyższą, niż punkt, na którym stoję, musi to być jednak złudzenie, znajduję się bowiem na najwyższym szczycie tych gór.

Zająłem się fotografowaniem widoków. Ukończywszy tę pracę, rozpakowałem przyrządy niwelacyjne i skierowałem je na ową wysoką górę w stronie południowej. Ku wielkemu zdziwieniu przekonałem się, że góra ta istotnie znacznie przewyższała punkt, na którym się znajdowałem. A więc Pik Müllera, inaczej „Mount (góra) Kościuszko“, nie jest najwyższym punktem Australji, jak przypuszczano dotąd; jest nim zapewne ów szczyt

bardziej południowy. Trzeba wejść na niego i to dzisiaj jeszcze, gdyż pogoda może się zmienić.

Szybko spakowaliśmy nasze rzeczy i zaczęliśmy schodzić na dół, ku małemu jezioru po wschodniej stronie góry. Nazwałem je: jeziorem Strzeleckiego.

Odpocząwszy tu i posiliwszy się nieco, ruszyliśmy dalej i o godzinie 5-ej wieczorem stanęliśmy na najwyższym punkcie Australji.

Zapomocą aneroidu określiłem różnicę wysokości pomiędzy tą górą a szczytem Müllera i znalazłem, że różnica ta wynosi 26 metrów, że więc góra ma wysokości 2.241 metrów.

Nigdzie na górze nie znalazłem żadnego sygnału, a w literaturze — wzmianki, z której można byłoby przypuścić, że ktośkolwiek dostał się przede mną na ten wierzchołek, a w każdym razie rzeczą jest pewną, że przed moją podróżą nikt nie wiedział, iż ta góra jest najwyższym szczytem Australji.

Uważam więc moje wejście na ten szczyt jako pierwsze, i daję tej górze nazwę Mount Townsend (cz. Tauzend) na cześć inżyniera, który zrobił pierwsze zdjęcie kartograficzne tych gór.

Gdy robił obliczenia i spostrzeżenia, towarzysze moi ułożyli na szczycie piramidę z kamieni, w której ukryli kartę z napisem: „Pierwsze wejście na najwyższą górę Australji 11 stycznia 1886 r. Dr. R. v. Lendenfeld, Spencer, C. Cullen“.

Kwestja królików w Australji

P. Privat—Deschanel (Czasop. „La nature”).

Australja zaludniała się bardzo powoli aż do czasu, gdy odkrycie kopalni złota w roku 1851 spowodowało znaczny napływ emigrantów; pomiędzy rokiem 1850 a 1855 ludność z 265.000 podniosła się do 642.000. Wraz z bogactwem zjawiała się dążność do zbytku. Anglik nie rozumie życia zbytkownego bez polowania; do owego czasu polowano tylko na kangura oraz czarnego łabędzia; powstała chęć posiadania dziczyzny europejskiej. Oto dla czego miłośnicy polowania powzięli myśl sprowadzenia królików i wróbli, wybierając te właśnie zwierzęta z racji szybkiego ich mnożenia się. Utworzyło się kilka towarzystw aklimatyzacji. W roku 1862 M. Austin sprowadził parę królików. Obecnie liczy się te zwierzęta na miljardy.

Nikt wtedy nie przypuszczał nawet żadnego niebezpieczeństwa. Rzeczywiście, do roku 1876 wszystko szło jak najlepiej;

króliki były umiejscowione w pustych okręgach kraju. Ale postępy pasterstwa oraz jego pochód nieustanny ku zachodowi postawiły oko w oko przed sobą owcę i królika, zwierzę użyteczne i zwierzę-szkodnika. Królik utracił w Australji nieco ze swej pierwotnej postaci, ale żarłoczność jego powiększyła się tylko. Nadto przystosował on się do warunków miejscowych; przebycie rzeki wpływ nie stanowi dla niego kłopotu, nie waha się też wspinać na drzewa dla pożerania ich kory i liści. W niektórych okręgach stał się prawie nadrzewnem zwierzęciem.

Zrozumiałą jest rzeczą, jakie spustoszenia szerzy. Pięciu królików zjada tyle trawy, co jedna owca. Wszędzie, gdzie się króliki osiedliły, pastwiska огоłocone są i wyniszczone, a drzewa, pozbawione kory do wysokości 1-go metra, skazane na niechybną zagładę. Stada owiec giną z wygłodzenia.

Pomiędzy rokiem 1876 a 1885 Australja straciła przypuszczalnie z powodu królików około miljarda franków.

Od roku 1878 rozpoczęła się walka z królikami. Wydano prawo, uznające te zwierzęta jako szkodliwe i wyznaczające nagrodę za niszczenie królików. Nagroda ta w niektórych okręgach dochodziła do 1 $\frac{1}{4}$ franka za głowę. W ciągu 10 lat, t. j. od roku 1888 rząd wydał na ten cel ogromną sumę, mianowicie 29.440.000 franków. Ponieważ środek ten okazał się niedostatecznym, zastosowano jednocześnie i inne środki: pułapki stałe, pułapki ruchome, trucizny z fosforem, tresowane psy, palenie lasów i łąk. Powstała nawet nowa gałąź pracy, t. zw. przemysł „rabitterów“, wędrownych robotników, poświęcających się metodycznemu tępieniu królików za pewną opłatę ze strony właścicieli gruntów. Rozpoczęły się olbrzymie rzezie istotnie przerażające swoim rozmiarem; na niektórych „stacjach“ (farmach) zginęło do miliona królików. W kolonji Nowej Południowej Walji w ciągu jednego roku zabito 25 milionów tych zwierząt. Okrutne to tępienie nie zmieniło jednak położenia rzeczy w sposób zadowalający. Tylko bogate przedsiębiorstwa hodowli owiec mogły wytrzymać podobne wydatki; małe zaś „stacje“ upadały jedna za drugą pod brzemieniem walki nierównej.

Nowa Południowa Walja, stanowiąca główny obszar hodowli owiec w Australji, była, naturalnie, tą plagą przedewszystkiem dotknięta. Tu więc starano się udoskonalić środki walki. Parlament tej kolonji wydał w roku 1883 ważne prawo. Przy ministerjum górnictwa i rolnictwa ustanowiono osobny wydział specjalnie dla sprawy tępienia królików. Cały kraj podzielono na tak zwane „rabbit-districts“ — okręgi tępienia — każdy pod nad-

zorem specjalnego inspektora. Rząd zaprzestał płacić nagrody, ale zobowiązał się do zwrotu części wydatków na tępienie. W ciągu trzech lat (do r. 1886) rząd wydał w tym celu 11 milionów za pomoci dla 205 farm.

W tym samym czasie utworzyły się w kolonii Queensland syndykaty właścicieli, mające ustanawiać dla każdego okręgu specjalne taksy za niszczenie królików.

Mimo to wszystko stanowczych rezultatów nie osiągnięto, i trzeba było szukać jakiej innej metody. F. Abigail, minister górnictwa i rolnictwa, powziął tedy myśl wezwania Europy, a właściwie całego świata, do współdziałania w wynalezieniu środka istotnie skutecznego. W tym celu w r. 1886 ukazała się odezwa, która była powtórzona przez prasę obydwu półkul. Wyznaczono 25.000 funtów sterlingów (625.000 fr.) nagrody dla osoby, któraby mogła wybawić kraj od plagi królików; ale osoba ta obowiązana była swoim kosztem poczynić próby, wykazać wartość swego wynalazku i otrzymać aprobatę komisji kolonjalnej, po odbyciu rozstrzygających doświadczeń. Poza tem użyty sposób miał być nieszkodliwy dla zwierząt domowych.

Francuski uczony, Pasteur, postanowił wziąć udział w konkursie. Studja nad bakterjalnymi chorobami zwierząt domowych pozwalały mu na rozpatrzenie zagadnienia z nowego punktu widzenia i na rozstrzygnięcie kwestji w sposób oryginalny. Według niego, zwykłe trucizny nie mogły wystarczyć wobec olbrzymiej liczby zwierząt, które należało wytępić. W jakiż więc sposób wytrzebić wszystkie? Bo gdyby tego zaniedbano i pozostawiono choćby małą liczbę, to któż mógłby zaręczyć, czy niezadługo, dzięki ogromnym zdolnościom rozrodczym tych zwierząt, plaga nie powtórzyłaby się na nowo?

Należało podciąć istnienie rasy u samych źródlowisk jej bytu, zaszczepiając jej jakąś zaraźliwą chorobę, która, szerząc się od osobnika do osobnika, dokonałaby sama przez się dzieła zagłady. Otóż nadawała się po temu zaraza kurzej cholery, którą Pasteur badał przez czas długi, a która dawała się zaszczepić królikom bez niebezpieczeństwa dla innych domowych zwierząt. Zdawało się więc, że rozstrzygnięcie zadania wynalezione zostało: dość było zrosić płynem bakterjalnym liczne punkty w okolicach gruntów przeznaczonych na pastwiska, aby zaraza mogła się sama przez się rozszerzyć.

Pasteur, uczony sumienny aż do skrupułów, długo badał kwestję sposobem laboratoryjnym i dochodził zawsze do wyniku, że króliki, których jedzenie zarażone było trującym płynem,

umierały w ciągu 24 godzin, że prócz tego osobniki zdrowe przez zetknięcie z choremi podlegały same zarazie, nawet nic nie jedząc. Inne zaś zwierzęta, psy, owce, świnie i t. d. wprowadzone do klatek pozostawały zdrowymi; jedynie kury podlegały zarażeniu.

Bardziej jeszcze przekonywające były doświadczenia, czynione na gruncie, mianowicie w pewnej farmie koło miasta Reims, nawiedzonej przez króliki. W niedługim czasie w miejscowości tej nie zobaczono już więcej ani jednego królika, chociaż poprzednio liczono ich przeszło milion.

Na skutek tak rozstrzygających doświadczeń wysłano do Australji w r. 1888 wyprawę, złożoną z trzech uczonych, dla poczynienia prób na miejscu. Atoli, wbrew wszelkim oczekiwaniom, członkowie misji Pasteur'a przyjęci byli dosyć chłodno, wmieszała się bowiem w tę sprawę polityka, a z drugiej strony interesy prywatne stanęły do walki z interesem ogółu.

Skwatterzy czyli wielcy hodowcy owiec domagali się zniesienia prawa z r. 1883. Nie chcieli dłużej korzystać z pomocy pieniężnej rządu, która wydzielana była oszczędnie i nieregularnie, a żądali natomiast powrotu do systemu nagród, które pozwalały na rozmaite rodzaje spekulacji, w szczególności zaś zdążyły do zmniejszenia czynszu dzierżawnego, płaconego rządowi za ziemię „koronne“.

Tępienie królików nie było już dla nich celem, lecz tylko środkiem, a raczej pretekstem do nowych wymagań względem rządu. Króliki stały się dla niektórych hodowców cennymi nawet sprzymierzeńcami w stosunkach z rządem. Trudne to jest do uwierzenia, a jednak z całą pewnością stwierdzone, że niektórzy hodowcy sami wprowadzali króliki na pewne działki swych posiadłości, aby tylko móc się skarżyć i wskazując na niechybnie grożącą im ruinę, uzyskać od rządu odpowiednie zmniejszenie ceny dzierżawnej. Według ich poglądów pocóż było rozpoczynać zażartą walkę z królikami, skoro wytepienie tych zwierząt mogło znów podnieść cenę na ziemię?

Nic dziwnego, że wobec takiego poglądu skwatterzy starali się postawić przed wyprawą Pasteur'a wszelkiego rodzaju przeszkody. Wyprawa nie otrzymała pozwolenia na czynienie doświadczeń bezpośrednich we wnętrzu kraju. Rząd dla usprawiedliwienia tego zakazu wskazywał na niebezpieczeństwo zarażenia się ptactwa domowego. Komisja kolonialna wydała opinię niepomyślną dla wynalazku Pasteur'a. Posłannicy musieli wrócić do Europy.

W ciągu kilku lat po roku 1888 mało się zajmowano kwestją królików. Przyczyną było to, że pomiędzy rokiem 1891 a 1903 Australję nawiedziły w ciągu szeregu lat wielkie posuchy, podczas których króliki mało się rozmnażały, a nawet ginęły milionami. Z drugiej strony cofnęła się także i hodowla owiec. Masa tych zwierząt wskutek posuch zginęła. Stąd plaga królików mniej w tym okresie zwracała na siebie uwagi. Jednak Australijczycy skorzystali z tego okresu słabego mnożenia się królików, trwającego lat 12, aby obronić od wtargnięcia tych zwierząt te okręgi i posiadłości, które jeszcze wolne były od plagi. Środek powszechnie używany polegał na tem, aby obszary, które chciano zabezpieczyć, otoczyć ogrodzeniem z siatki żelaznej, głęboko (do 30 cm) wbitej w ziemię. Rząd Nowej Południowej Walji polecił urządzić ogrodzenie, tworzące linję nieprzerwaną długości 1130 kilometrów, kosztem 900 fr. na 1 kilometr. Osoby prywatne ze swej strony urządziły 22.000 kilometrów ogrodzenia. Kolonja Queensland pomiędzy sobą a kolonją Nowej Południowej Walji zbudowała „żelazną granicę“ długości 3.400 kilometrów. Tą drogą osiągnięto cenne rezultaty, niestety, dość kosztowne.

Nie zadowolono się w Australji tępieniem, a właściwie zabezpieczaniem się od wtargnięcia królików; pomyślano też o zużytkowaniu mięsa i skóry tych zwierząt. Zaczęto je zamrażać i wywozić do Anglji, sprzedając od 1 do 1¼ franka za sztukę. W r. 1905 wywóz mięsa i skór przyniósł 17 milionów franków dochodu. Coprawda, dochody z tej nowej gałęzi handlu stanowią tylko nędzną częśćkę wynagrodzenia za poniesione straty.

Kiedy powróciły obfitsze deszcze po r. 1904, kwestja królicza stanęła znowu na porządku dziennym. Rząd Nowej Walji zwrócił się znów do instytutu Pasteur'a w Paryżu i w roku 1906 Polak dr. Danysz wysłany został przez ten instytut do Australji. Dano mu do użytku laboratorium, gdzie poczynione zostały interesujące doświadczenia; o praktycznych rezultatach tych doświadczeń nie można jeszcze wypowiedzieć się stanowczo. Niestety i obecnie uczony ten prowadzić musi walkę z nieprzychylnem usposobieniem „partji pracy“ (Labour party), która usiłuje stawać w obronie kilku tysięcy rabbitów, utrzymujących się z nagród za tępienie królików na farmach.

W obecnym czasie plaga królicza jest jeszcze bądź co bądź główną przeszkodą do rozwinięcia się pasterstwa w ubogich okręgach wnętrza Australji.

Krajowcy Australji

Sygurd Wiśniowski.—Dziesięć lat w Australji.

Pożycie moje z Australijczykami w prowincji Queensland (cz. Kuinslend) objaśniło mi dopiero dokładniej o wielu szczegółach i zwyczajach tego dziwnego ludu. W Wiktorji i w Nowej Południowej Walji spotykałem ich bardzo rzadko, a szybkie ich wymieranie i uszczuplanie się nagle całych pokoleń nie pozwala poznać ich tam należycie. W tamtych prowincjach zapomnieli oni już prawie zupełnie sztuki dostawiania zwierzyny i kręcą się koło miasteczek oraz owczarni, żyjąc okrucami jadła naszego, a pomagając czasami Europejczykom w doglądaniu bydła, żebrząc przytem o tytuń i wódkę. W północnej atoli Australji krajowiec okazuje się jeszcze w całej pierwotnej swojej dzikości.

Kształt ciała Australijczyków okazuje niższość ich od innych znanych mi ras ludzkich. Czoła niskie, ukośne, ramiona długie, cienkie, nogi jak piszczałki, piersi płaskie, oto ich budowa. Włosy faliste, dość krótkie, tak u kobiet, jak i u mężczyzn. Ci ostatni mają zwykle obfity zarost na twarzy.

Kobiety i mężczyźni chodzą zupełnie nago. Kobieta pracuje, wykopując korzonki jadalne, robiąc sieci z łyka drzew (tak silne i piękne, że przewyższają nasze sieci robione z konopi) i zszywając skórki z zabitych zwierzątek na pokrycie męza wśród zimnych nocy. Sieci swe ustawia w ciasnych miejscach strumyków. Kobiety i diatwa wchodzą w rzeczkę i pędzą ryby ku sieciom. Obfity połów nagradza często ich pracę. Zona także dźwiga broń męza i rozmaite drobiazgi gospodarskie, korę, używaną do sławiania szałasów w porę dżdżystą; słowem, jest ona jego służącą.

Mężczyzna, jej pan, namalowałszy policzki i pierś białą lub czerwoną gliną, pali tytuń z brudnej fajki gipsowej, a uzbrojony w oszczep i „bumerang“ oraz tarczę z drzewa wałęsa się po lesie, upatrując śladów zwierzyny, dziur jaszczurki albo węża, lub gniazda pszczoł. Oko jego sokoło dojrzy pszczółkę australijską, nie większą od naszej muchy pokojowej, na samym szczycie wysokiego gumowego drzewa. Zobaczywszy ją, natychmiast wyciosuje rodzaj schodków w korze drzewa i w kilkunastu minutach jest już u jego wierzchołka. Włożenie to na drzewa, mające często cztery stopy średnicy, których objąć nie można, nader jest ciekawe.

Schodek, zrobiony w korze, mieści zaledwo wielki palec u nogi, nad nim wyciosuje drugi o stopę wyżej, wciska ostrze toporka w drzewo i podnosi się ku tej nowej podporze. Tak wycio-

sując schodzi, oddala się szybko od ziemi. Najlepszy gimnastyk europejski ze zdumieniem patrzy na jego śmiałość i zręczność. Nigdy jeszcze nie słyszałem, ażeby Australijczyk spadł kiedykolwiek z drzewa.

Oprócz miodu znajduje nieraz na wierzchołku drzewa i zwierzątko opossum, którego mięso jest jego ulubionym pokarmem. Mięso tych zwierząt ma niemiły zapach, żyje ono bowiem liśćmi eukaliptusów, lecz Australijczyk lubi je, a objadłszy się wonnego mięsiwa, sam nabiera podobnego zapachu.

Zdobyczą swą gotuje wojownik australijski na węglach żarzących, czasami zaś oblepia ją gliną i wsadza w gorący popiół. Przy pierwszym sposobie osmala się tylko sierść, a mięso, cho-



Australijczyk.

ciaż ciepłe, jest prawie surowe, przy drugim sposobie robi się niezłe pieczywo. Gлина, okruszywszy się, pokazuje w środku zwierzynę pięknie upieczoną. Kiszki i pośledniejsze części rzuca wojownik swojej żonie albo dziecku, opodal siedzącym i patrzącym tęsknem okiem na karmiącego się ojca rodziny. On sam je, dopóki może, potem zasypia, a gdy się obudzi, dojada resztki strawy i wtedy już zasypia na dobre. Spoczynek trwa bardzo długo, dopóki głód nie zmusi go znów do polowania.

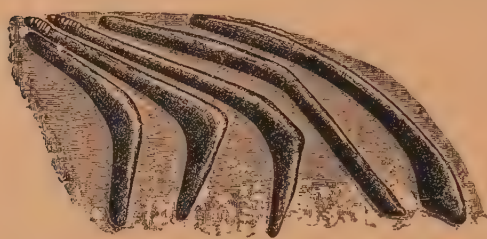
Polowanie na wielkie zwierzęta, jak np. na kangury, odbywają Australijczycy gromadami. Otaczają upatrzoną zwierzynę, spędzają ją w znane przesmyki i wytępiają, ciskając oszczepy, z drzewa twardego zrobione, 6 stóp długie, a nie grubsze od wielkiego palca u ręki. Oszczep taki zaostrzony na końcu ciskają o 40 kroków dość trafnie. Wół trafiony nim najczęściej kona.

Wódz pokolenia, zwykle najlepszy myśliwy i najzręczniejszy wojownik, dzierży władzę dopóki siła jego prawicy umie mu zjednać przewagę. Chłopców nie pozwalają szukać sobie żony, dopóki starszyzna nie uzna ich za dojrzałych mężczyzn. W obranym na ten cel dniu młodzieńcy wstępują w środek utworzonego przez mężczyzn koła. Jeden ze starszych próbuje siły i wytrzymałości przyszłych wojowników, bijąc ich i krając im różne

części ciała kawałkami szkła lub ostrego krzemienia. Narzekać nie wolno, wytrwałość bowiem w bólu jest dowodem dojrzałości. Blizny z tych ran zostają na ciele przez całe życie. Po takiej próbie wybijają im jeszcze parę zębów przednich i chłopcy uznani są już za dojrzałych, wódz daje im oszczep i tarczę, i wtedy wolno im szukać współniczki życia swego. Dzieci rodzi się im mało. Rzadki jest tu widok matki z dwojgiem dzieci, rzadszy jeszcze dziecka, które przeżyło pierwsze lata niemowlęctwa. Rasa widocznie wymiera; przyczyniają się do tego i zaraźliwe choroby nabyte od białych, które przechodzą na potomstwo i pozbawiają je przedwcześnie życia. Wojny ciągle pomiędzy pokoleniami dzikich, chociaż nie pozbawiają wielu z nich życia, przyczyniają się przecież do zmniejszenia ich liczby. Każda gromada posiada tylko pewny obszar kraju do koczowania. Ledwie przestąpi granicę tego obszaru, (najczęściej rzekę lub pasmo gór), już na nią napadają sąsiedzi i wpędzają napowrót do własnej okolicy. Prawda, że okolica taka jest wielka, jak połowa Galicji, a ich na tej przestrzeni koczuje może 500 ludzi. Gdy w takiej okolicy pokazał się dawniej Europejczyk i bydło, czarny już nie chciał polować na drobną zwierzynę, lecz zabijał woły i owce. Europejczyk odpłacał mu się za to, strzelając w niego. Australijczycy zrazu się bronili, czasem nawet napadali na domy kolonistów, wkrótce jednak przekonywali się o wyższości karabina nad oszczepem i tracili odwagę. Ustąpić jednak ze swej ziemi nie mogli, bo sąsiednie plemiona nie wpuszczały ich w głąb kraju. Europejczyk tymczasem zabierał im kobiety i dzieci, zaszczepiał wśród nich choroby, uczył palić tytoniu i pić zabijającą wódkę. Po latach trzydziestu takiego postępowania z całego pokolenia zostawało kilku starców, wałęsających się po miasteczkach lub pasących owce na owczarniach. Tu wspomnę nawiasem, że rządy Wiktorji i Nowej Południowej Walji dokładają obecnie bezowocnych, niestety, starań, ażeby uchronić szczątki licznych niegdyś pokoleń od zupełnej zagłady. Znaczne obszary lasów zachowano dla nich jako schronienie. Tam siekiera kolonisty nie rąbie drzewa gumowego, na którym kryje się oposum; główny pokarm krajowców.

Co się tyczy walk krajowców pomiędzy sobą, to wywołują je nie tylko spory o terytorjum; krwawe niekiedy boje toczą także o kobiety. Zdarzało się, że dwa sąsiednie pokolenia rozpoczynały formalną wojnę o kobietę, gdy obywatel jednego plemienia, znęcony wdziękami czarnej Heleny, porwał ją z pośród obcego plemienia i zawiódł pomiędzy swoich towarzyszy.

Wojnę taką widziałem w czasie mego pożycia w gronie jednego z pokoleń. Z obu stron walczących stanęło na polu bojem ze stu wojowników, rozsypanych w tyraljerkę, jak nasi strzelcy. Mężczyźni czołgali się w trawie, kryli za drzewami, ciskali na przeciwników oszczepy, maczugi, i bumerangi, kobiety zaś stojące opodal zachęcały ich swemi głosami do walki. Przeciwnicy starają się uniknąć pocisków, albo też nadstawiają lekkie tarcze, dwie stopy średnicy mające, w celu odbicia oszczepów. Bywa czasami, tak że gdy oszczep zbliża się, Australijczyk skacze w górę i przepuszcza śmiertelne narzędzie pomiędzy nogami, czasem znów pada na ziemię i pozwala złowroglej broni gwizdnąć napróżno ponad sobą. Przed dwoma, trzema puszczone w jednej chwili oszczepami obronić się nie może. Trudniejszą jest do uniknięcia broń zwana bumerang, również z drzewa zrobiona, w kształcie półksiężyca. Rzucona ręką Australijczyka pędzi z nadzwyczajną szybkością niezbyt wyso-



Bumerangi.

ko ponad ziemią, zakreślając ogromną elipsę; odleciawszy może o jakie sto kroków od ciskającego, wraca znów ku niemu i pada w trawie o stóp kilkanaście od niego, aby mu służyć do drugiego strzału. Gdy zakreślając łuk taki, spot-

ka ta broń na swej drodze człowieka, ciężko go rani.

Piękny jest widok, gdy kilku Australijczyków razem ciska bumerangi wysoko w górę. Wyglądają one jak ptaki, bujające ponad wierzchołkami drzew. Najwyżej zaś i najdalej ciśnięte zawsze wracają do swego właściciela.

Maczugi (nulla-nulla zwane w ich języku) używane są i w ręcznej bitwie, i do ciskania. Krótkie a grube u jednego końca nie kaleczą srogo, jak tamte bronie, lecz są niełatwe do uniknięcia, lecą bowiem zbyt szybko, aby je europejskie oko dopatrzyć mogło. Tak też i kamienie, chociaż z ręki rzucone, pędzą jakby z procy. Dziki bowiem od dziecka uczy się sztuki używania ich w celu zabijania ptaków i drobnych zwierzątek.

Pomimo iż bitwa trwa długo, niezbyt krwawe bywają jej skutki, pociski bowiem drewniane zaledwie kilku ludzi zranić są zdolne, do osobistego zaś spotkania rzadko przychodzi z powodu tchórzostwa wojowników.

Pokolenie, z którym się pobratałem, odbywszy swą kampanję przeciw sąsiadom, wyprawilo na moją cześć wielkie „korbori“ czyli biesiadę i bal.

Na ten cel wyżebrali wołu od europejskiego kolonisty, mego znajomego pana S. Dawał on im często podobne dary za przyrzeczenie niezabijania jego zwierząt. Wołu tego ja zastrzeliłem, oni zaś zdjęli z niego skórę nie po naszemu, lecz rozkroiwszy ją na grzbiecie. Po tej operacji zaczął się podział. Mężczyźni zabrali lepsze mięso, kobiety — kiszki i inne wnętrzności. Kiszki nawlekaly na rożny ustrugane z drewna i przygrzewszy trochę nad ogniem, zaczęły jeść je, jak Neapolitańczyk swoje „makaroni“. Mężczyźni niby to upiekli mięso. Nie mając jednak tyle cierpliwości, ażeby doczekać się zupełnego upieczenia, ciągle odrywali kawałami mięso z piekącego się kawałka i zjadali je surowo. Ja dla lepszego ich uczestowania zrobiłem herbatę, którą nadzwyczaj lubią, jeżeli jest słodka, zjadają nawet jej liście. Dałem im też dużo maki. Każdy zamiesił trochę tej maki na kawałku kory i rzucił ciasto na węgle. Zaledwie się trochę przygrzało, już je usunął z ognia zapomocą nogi i zjadł chciwie.

Murzyni, którzy się ocierają o Europejczyków, nie mogą się przyzwyczaić do noszenia odzieży, nienawidzą też obuwia. Europejczycy dużo rozdają pomiędzy nich starych sukni, myśląc, że tym sposobem skłonią ich przynajmniej do tego, że do miast i domów nie będą wchodzić nago. Ale cóż z tego, kiedy oni nienawidzą spodni i wchodząc do miast, ubierają się tylko w kamizelki i kapelusze. Wogóle każda rzecz dana im przez białych, choćby najpożyteczniejsza, bawi ich przez dni parę, później ją oddają innym. Jedyny sprzęt, ceniony przez nich i którego niełatwo się pozbywają, jest toporek stalowy. W celu uzyskania takiego toporka pasą owce całemi tygodniami, a nawet zdobywają się na ciężką fizyczną pracę dla Europejczyka. Ich kamienne toporki robione są z ostrych krzemieni, grubo obciosanych. Chociaż robią niemi zwolna i zdają się one nie nadawać do ścinania drzew lub zdejmowania kory z drzewa, przecież służą im do tego celu.

Zdejmowanie kory jest u nich ważnem zajęciem, z niej to bowiem robią szałas w razie wielkiej ulewy. Byleby osłonić głowę i plecy, o nogi nie dbają. Dom, postawiony w godzinę, nie większy od psiej budy, tylko pół ciała ich ochrania. Dla odpędzenia komarów, które im bardzo dokuczają, Australijczycy rozpalają małe ognie z dwóch lub trzech patyczków obok siebie. Europejczyków, rozpalających ogromne ognie, uważają za głup-

ców: „Biały robi duży ogień, a potem zbliżyć się do niego nie może, bo go piecze“, powiada przezorny, a leniwy syn tutejszej przyrody.

Ciężka praca białych służy im również za dowód naszej głupoty.

— Biały i wół pracują, bo niemądrzy, czarny i dingo (pies) mają rozum i nic nie robią.

Thumaczyłem im, że biały pracuje, aby jadł.

— Pełno jadła w lesie — odpowiedzieli mi na to.

— Ale gdy jadła w lesie nie możesz złapać, to zginiesz z głodu — ciągnąłem dalej rozmowę.

— Nie. Czarny wykopie węża z jamy, utnie mu głowę i zje go. Wąż bardzo dobry. Czarny tylko głodny, gdy „wala wala“ (deszcz pada). Gdy deszcz wielki, niema jadła.

W istocie w deszcz nie ruszają się z legowisk swoich po kilka dni. Wtedy narzekają na głód. Zato gdy zdobędą jedzenie, żarłoczność ich nie ma granic. Podczas opisaney przeze mnie biesiady, licząc, iż wół ważył tylko 8 do 9 centnarów, wypadło na każdego z tych żarłoków blisko 10 funtów mięsa. Nie dziw, że takie objedzenie się wystarcza im na dwa dni. U śpiących po uczcie krajowców zauważyłem rozmaite ozdoby, przewleczone przez uszy i nosy. Australijczycy bowiem, podobnie jak wielu mieszkańców wysp Oceanji, przekłuwają sobie uszy i nosy i umieszczają w nich jako ozdobę kawałki kości i pióra ptaków.

Nadmorskie pokolenia Australijczyków celują w rybołówstwie, w pływaniu i nurkowaniu. Pomimo rekinów wypływają daleko na morze do żaglowców i parostatków, włączają na pokład, gdzie najadają się sucharami i solonem mięsiwem, a potem znów skaczą w morze i wracają do brzegu.

Gdy żyją nad większą rzeką, połowę życia spędzają w wodzie, szukając rozmaitych muszli, raków i korzeni wodnej lilji australijskiej, podobnych z kształtu i smaku do naszych ziemniaków.

Prowadząc rozmowy z Australijczykami, wybierałem tych wojowników, którzy mówili trochę po angielsku. Ale tylko długie ćwiczenie pozwala zrozumieć angielszczyznę Australijczyka. Niewiele słów angielskich wystarcza im do ich potrzeby, przyczem jeden wyraz służy do oznaczenia wielu przedmiotów, mających jakąś wspólną cechę. Naprzykład „whellbarrow“ (czytaj uelbarrou) — taczka, oznacza wszystkie rodzaje powozów i narzędzia do przenoszenia rzeczy. A więc wóz u nich nazywa się wielką taczka, koszyk ręczny — to mała taczka i t. p. Pozna-

nym u Europejczyków przedmiotom niekiedy bardzo trafne nadają nazwy, np. „tikatik“ — to zegarek. Zwierzęta nazywają wyrazami, które są naśladowaniem ich głosów naturalnych. Kaczka australijska woła „cuku, cuku“, stąd i dziki tak ją nazywa. Wołu ochrzczili nazwą „mu“.

Narzecza rozmaitych pokoleń Australijczyków tak dalece różnią się od siebie, iż często sąsiednie plemiona zaledwie zrozumieć się mogą. Są jednak pewne wyrazy, wspólne na całym wybrzeżu wschodniem, a kilka z nich, jako też i nazwiska niektórych miejsc oraz okolic powtórzę tu dla zaspokojenia ciekawości filologów: „dingo“—pies, „kobora“—głowa, „wombat“—zwierzę duże, ryjące w ziemi (smak jego mięsa przypomina wieprzowinę) „kumu“ — woda, „wuru“ — ogień, „mingi“ — chory, „lubra“ — żona. Nazwy miejsc i gór brzmią tak: Burugunu, Warangarang, Wulumulu, Wontawang, Wonga i t. p.

Wszelkie prace nawracania Australijczyków do chrześcijaństwa oraz przyzwyczajania ich do życia osiadłego spełzły bezowocnie. Osady potworzone z licznych rodzin krajowców, zaopatrzone w europejskie narzędzia rolnicze i nauczono gospodarstwa, zjadały dane im krowy i owce, a potem rozbiegały się po puszczech. Podobnież dzieci Australijczyków, wzięte na wychowanie do domów europejskich, nigdy nie tracą chęci do ucieczki, nawet gdy obfitują we wszelki europejski dostatek. Doszedłszy do lat dojrzałych, uciekają na puszcze, starając się odszukać własne pokolenie, albo łączą się z innem przyjaznem pokoleniem.

N a S u m a t r z e

Karol Chun („Z głębin Oceanu“).

Szybko zmniejszająca się głębokość morza zwiastowała bliskość lądu, który nareszcie rano 21 stycznia ukazał się przed naszym wzrokiem. Niebo pokryte było chmurami i w nocy 22-go stycznia spadła tak silna ulewa, że woda przedostała się nawet do wnętrza naszego statku. Ku ranu wyjaśniło się niebo i wspañiały widok rozwinął się przed naszymi oczami. Wyżyna Sumatry wznosiła się trzema piętrami, uwieńczona stożkami wulkanów, majaczących we mgle fioletowej. Doliny zaciągnięte były płachtą chmur, kąpiących w ustawicznej wilgoci potężny las pierwotny. Przed lądem rozciągało się mnóstwo małych wysp i raf koralowych, czyniących żeglugę w pobliżu lądu istotnie niebezpieczną. Były one, równie jak ląd pobliski, gęsto zalesio-

ne, na brzegu opasane palmami, pochylającemi pnie swoje ku morzu. Widok tych rozkosznych wysepek, to niskich, to przeciwnie kopułowato wyniesionych, nie nużył wcale; były one podobne, według trafnego porównania jednego podróżnika, do pływających koszuw z kwiatami.

Po południu wpłynęliśmy do pociągającej przystani Emma. Odpocząwszy dni kilka w tej pięknej, malowniczej miejscowości, udaliśmy się koleją do odległego o 7 wiorst miasta Padang.

Padang przedstawia typ miasta zwrotnikowego, rozciągniętego na niezmiernym obszarze. Szerokie, doskonale utrzymane drogi jezdne przecinają go we wszystkich kierunkach i jeżeli czasami przedstawiają rozleglejszy widok, to jednak wszystko bardziej bezpośrednio ogląda. W każdym razie, nietrudno jest gubi się tu w szczegółach, które tem więcej zajmują, im się je w mieście, zamieszkanem przez różnorodną mieszaninę narodowości, odszukać dzielnice, mające swój specjalny charakter, który im nadaje bądź ruch handlowy, bądź właściwości narodowe ich mieszkańców.

Padang liczy do 33 000 mieszkańców. Według narodowości dzielą się oni w ten sposób: Europejczyków liczą do 2 000, 26 000 krajowców-Malajczyków, 4 000 Chińczyków, 1 000 Arabów i Indusów. Dzielnica handlowa leży na prawym brzegu rzeki Padang; tu znajdujemy kantory i składy handlowe, konsulaty, rozmaite biura rządowe. Tu po obydwu brzegach rzeki stoją na kotwicy malownicze statki krajowców, naładowane produktami wybrzeża i wysp okolicznych, a więc znajdziemy na nich drzewo, stołki zrobione z palmy rotang (t. zw. trzciny hiszpańskiej), dalej smoly różne, orzechy kokosowe, ryż, drób i owoce.

Do dzielnicy handlowej przylega dzielnica chińska. Tu kupcy chińscy rozkładają w malowniczym nieładzie krajowe i europejskie towary przed swemi kamiennymi domami, które z powodu częstych trzęsień ziemi są tylko jednopiętrowe. Mogę zaświadczyć, że wszędzie, gdzie robiliśmy zakupy w sklepach chińskich, obsługa była wyborna i uprzejmość Chińczyków nie pozostawiała nic do życzenia; nie uważają ich tu, jak mnie zapewniano, za uciążliwych przybyszów, i w rękach Chińczyków znajduje się znaczna ilość poważnych interesów handlowych. Jednak dzielnica chińska ma też swoje nieprzyjemne dla cudzoziemca strony: kurz i wyziewy, dochodzące z bazaru ryb i jarzyn, czynią dłuższy pobyt w tem miejscu niezbyt przyjemnym dla powonienia, a sklepy z opjum, obok których znajdują się palarnie, przedstawiają widok najwstrętniejszych jaskiń występku.

Z dzielnicy chińskiej prowadzi szeroka droga do europejskiej części miasta. Dzielnica ta ma charakter obszernego, starannie utrzymanego parku. Szerokie, porządne szosy przecinają go w różnych kierunkach; po obydwu stronach każdej drogi ciągną się rzędy palm kokosowych, grupy drzew zwrotnikowych i pojedyncze domy mieszkalne. Zmysł praktyczny Holendra wyraził się także w sposobie budowy domów, zastosowanym do warunków zwrotnikowych. Domy są prawie powszechnie zbudowane z drzewa, wznoszą się na jeden metr ponad grunt na palach, wbitych w ziemię i mają dach pokryty liśćmi pewnego gatunku palmy. Ponieważ powietrze swobodnie przewiewa pod temi budynkami na palach, więc pomimo wilgotnego klimatu wybrzeży i częstych deszczy zwrotnikowych mieszkanie pozostaje suchem, a z drugiej strony stosunkowo chłodnem. Szeroko wystające werandy ciągną się jedna wzdłuż przedniej, druga wzdłuż tylnej ściany domu; przednia weranda to miejsce przyjęć, gdzie po zachodzie słońca od 7 do 8 oddają się wizyty; tylna weranda służy za jadalnię. Poza domem, wśród obszernego cienistego ogrodu, znajduje się kilka budynków dla służby, kuchnia i niezbędne miejsce do kąpieli; jest to cysterna wypełniona zimną wodą, którą się oblewają rano i wieczór zapomocą wiader.

Kto się chce uraczyć widokiem różnorodnych typów ludowych, ten nie zaniecha zwiedzić bazar w Padangu w dzień handlowy. Jest to duży plac, pokryty licznemi straganami, stojącemi w rzędach prawidłowych. Naokoło nich usadowił się cech złotników, wykuwających zachwycające filigranowe przedmioty ze złota i srebra. Od wczesnego rana zjeżdżają na bazar ze wszech stron wozy, ciągnięte przez sumatrzańskie bawoły. Właściciele wozów nie żałują trudu, aby przywiezione skarby rozłożyć na ziemi lub na straganach w sposób jak najbardziej pociągający.

Leżą tam więc w długich rzędach różnorodne warzywa obok przewybornych owoców zwrotnikowych, wytwarzanych na po-brzeżnej nizinie. Banany, ananasy, cytryny, pomarańcze, żółte owoce drzewa mangowego (*Mangifera indica*), melonowce (*Carica papaya*) ułożone są w stosy obok mangustanów (*Garcinia mangostana*), owocu spotykanego jedynie na obszarze wschodnio-indyjskim, i należącego ze względu na swój smak, zapach i kolor (ciemno-czerwony) do najznakomitszych darów roślinności zwrotnikowej. Dalej leżą potężne stosy durjanów (*Durio zibethinus*), owoców wielkości głowy, zdradzających się zdaleka swym osobliwym zapachem. Żaden owoc nie wywołuje tak wręcz

odmiennych zdań o sobie, jak ten właśnie. Jedni uważają go za najcenniejszy produkt archipelagu Malajskiego, a miększy jego, podobny do gęstej śmietanki, przekładają nad wszelkie inne owoce, inni natomiast nie mogą przezwyciężyć swego wstrętu do zapachu tego owocu, zapachu zgniłych jajek. Przytem zapach ten trzyma się tak długo tego, kto jadł ten owoc, że odór durjanu panuje ogólnie na banhofach i w wagonach, zajętych przez Malajczyków.

Prócz wspomnianych owoców znajdziemy tu jeszcze pieprz hiszpański, bulwy batatów i orzechy palmy pinang (*Areca Catechu*), służące do żucia betelu. Kawalek orzecha zmieszany z wapnem palonem zawija się w liść betelu (gatunek pieprzu) i żuje się, nie uważając tego za wstrętne, że ślina zabarwia się na czerwono, a zęby na czarno. Żucie betelu stanowi namiętne przyzwyczajenie Malajczyków.

Handlarze soli usadowili się obok targu rybnego i mięsnego, które zdaleka rażą zmysł powonienia. Że obok targu mięsnego urządzone są kuchnie przenośne, w których krajowcy zajądają ryż rękami, to się samo przez się rozumie.

Leżą tu także wystawione na sprzedaż produkty dzikich drzew lasu pierwotnego, a więc kamfora, gutaperka¹⁾, otrzymywana z drzewa *Isonandra gutta*, dalej bryły smoły benzoosowej²⁾.

Szczególnie pociągające są te miejsca na bazarze, gdzie sprzedają za tanią cenę plecione towary, często bardzo gustowne. Nie mogłem się oprzeć pokusie obładowania się całą masą kapeluszy, wyrobów koszykarskich oraz przeslicznych małych klatek, w których Malajczyk amator ptaków, gołębie swe lub inne cenione ptaki nosi ze sobą po okolicy.

Wogóle, kto się nie obawia zwykłych nieprzyjemnych stron bazaru: gorąca, zapachu nagromadzonych wołów, durjanu, zgniłych ryb, oraz ścisku różnobarwnego tłumu, ten będzie tu miał sposobność lepszą, niż gdziekolwiek indziej, do studjowania ludu oraz wytworów kraju.

¹⁾ Główne użycie gutaperki jest na przygotowywanie rur nieprzemakalnych, w których umieszczają podwodne druty telegraficzne (kable).

²⁾ Na Sumatrze, Jawie i Borneo, także w Syjamie rośnie piękne, niewysokie drzewo „*Styrax Benzoin*“. Z nacięć kory tego drzewa otrzymują biały gęsty sok, który szybko bardzo krzepnie, tworząc białawe bryłki smoły benzoosowej, przyjemnie pachnącej, mającej wielkie zastosowanie przy wyrobie kadzideł, papierków pachnących przy spalaniu oraz do celów leczniczych: otrzymują mianowicie z tej smoły „*Natrium benzoicum*“ oraz kwas benzoosowy.

Radzono nam ze wszystkich stron, abyśmy skorzystali z naszego pobytu w Padangu dla zrobienia wycieczki do górzystej krainy tej samej nazwy. Przystań Emma jest punktem wyjścia całego systemu dróg żelaznych wąskotorowych, łączących wy-



Pola ryżowe na Sumatrze.

brzeże z kopalniami węgla, wprawdzie brunatnego, ale mogącego co do wartości prawie równać się z węglem kamiennym, gdyż zawiera do 77% materji palnej. Rząd holenderski w niezwyklej swej uprzejmości oddał do naszego rozporządzenia wagon salo-

nowy drogi górskiej. Trudno jest doprawdy podróżnikowi opatnować uwagą swoją i pamięcią cały nawał krajobrazów i nowych wrażeń, jakimi jest wprost zasypany podczas całej tej podróży górskiej. Krajobrazy, mimo wszelkich różnic, silnie nam przypominają Alpy Berneńskie (w Szwajcarii). Wprawdzie brakuje tu widoku szczytów, pokrytych śniegiem; zastępują je tu stożki wulkanów. Ale szumiące potoki górskie, otoczone bujną roślinnością, wodospady, płaszczyny uprawne, do zielonych kobierców podobne, polami ryżowymi pokryte, dalej wioski górskie, w gęstwinach bambusu ukryte z ich domami malowniczej budowy, na koniec orzeźwiające powietrze gór — wszystko to budzi nieustannie dawne wspomnienia, obrazy dawniej widziane w górach Szwajcarii.

Grunt, powstały ze zwiętrzenia lawy wulkanicznej, oraz stała wilgoć wskutek częstych deszczów przedstawiają wyborne warunki do rozwoju bogatej, wspaniałej roślinności, która co prawda, o ile chodzi o las pierwotny, ustępuje nieraz miejsca obszernym płaszczynom uprawnym. Przedewszystkiem ryż występuje wszędzie na pierwszy plan. Pola ryżowe stoją pod wodą dzięki zastosowaniu systemu sztucznego nawadniania. Można podziwiać prawidłowe rozsadzenie młodych roślinek ryżu w prostych, jak sznur, linjach. Krajowcy zbierają ryż dwa razy do roku. Zdarzają się też i pola trzciny cukrowej, pośród których stoją młyny do wyciskania soku, całkowicie kryjące się pomiędzy wysoką gęstwiną trzciny.

Tak samo jak na nizinie podgórskiej i tu licznie występują palmy. Powszechnie spotyka się palma cukrowa (*Arenga saccharifera*), której włókna lękowe dostarczają materiału do pokrycia domów, a pochwiaste kwiatostany, zwieszające się w długich gronach — cennego słodkiego soku. Rzadziej zdarza się palma Pinang (*Areca Catechu*), przedewszystkiem zaś panuje między palmami — palma kokosowa, dorastająca do niezwyklej wysokości i tworząca często całe lasy. Wogóle górski ten kraj robi wrażenie krajobrazu parkowego, przerwanego tu i ówdzie płaszczynami uprawnymi, na których występują gaje wioskowe z potężnych zarośli bambusu i drzew owocowych złożone. Drzewa te i zarośla tak w zupełności ukrywają domy, że siedziby ludzkie dopiero przy zbliżeniu się do nich rzucają się w oczy.

Człowiek, jakgdyby rywalizując z przyrodą w powiększaniu czarów tej górskiej krainy, nadał swym siedzibom kształty tak zachwycające i artystyczne, jakie się nigdzie indziej nie powtarzają na całym archipelagu Malajskim. Domy wiejskie po-

wszechnie stoją na palach bambusowych; w ten sposób właściwe pomieszczenie mieszkalne leży na wysokości przynajmniej pięciu stóp ponad ziemią. Dach spuszcza się nisko ku dołowi i uderza już zdala swym wdzięcznie wznoszącym się wklęsłym fron-tonem, który po bokach wystrzela w górę śpiczastemi zakończe-



Śpichrz ryżowy.

niami, pozłoceniem lub obitemi metalem. Werand wprawdzie brak przy domach, natomiast domy zamożniejszych Malajczyków upiększone są obfitemi arabeskami, wyciętymi w drzewie, które tem większe sprawiają wrażenie, że zwykle uwydatnione

są jeszcze pomalowaniem różnemi barwami lub wyłożeniem blaszkami metalu. Okna są stosunkowo niewielkie, wejście również; prowadzą do niego schody podobne do drabiny, u zamożnych kamienne, wiszące.

Pociągające są także meczety wiejskie, t. zw. missigit, ze swym piramidalnym dachem, wznoszącym się kilkoma piętrami. Bardzo też wdzięcznym dodatkiem do mieszkalnych domów są kształtne, oryginalne śpichlerze ryżowe, stojące na wysokich palach, ozdobione rzeźbionemi arabeskami i różnobarwną malaturą.



Meczet i dom mieszkalny.

Niechaj mi kto wskaże wioskę gdziekolwiek indziej na kuli ziemskiej, któraby się mogła równać swym artystycznym wyglądem z wioską wyżyny Padangu, któraby przedstawiała ze swemi domami, kościołem, budynkami gospodarskimi równie harmonijną całość!

O charakterze mieszkańców tej krainy, Malajczyków, trudno jest wydać zdanie temu, kto zbyt krótko między nimi przebywał. Przedewszystkiem uderza nas ich swoboda i pewność siebie w przeciwieństwie do mieszkańców Jawy, tak pokornych względem cudzoziemca.

Urzednicy holenderscy i znawcy ludu zarzucają im wrodzone lenistwo, które jest zresztą kardynalną wadą całego plemienia malajskiego. W obyczajach tego ludu najbardziej zadziwia Europejczyka panowanie t. zw. matrjarchatu, którego ślady znajdują się wprawdzie u różnych ludów, ale nigdzie nie są wyrażone tak silnie, jak u mieszkańców tej górskiej krainy. Matka a nie ojciec stanowi tu ośrodek rodziny. Najbliższą rodzinę stanowią osoby z linii żeńskiej. Najstarszy brat matki lub jego najstarszy syn wybierany jest na starostę wiejskiego, (t. zw. Pangulu) i inne urzędy. Dzieci matki przywiązane są bardzo do głowy rodziny, ale tą głową jest zwykle wuj, a nie ojciec; stosunki z ojcem są już mniej ściśle. Ojciec nie przyjmuje się właściwie do tego związku rodzinnego, z którego pojął żonę, pozostaje na zawsze członkiem tego plemienia, z którego pochodzi jego matka. To też mąż tylko czas jakiś po ślubie mieszka z żoną i pomaga jej w pracy, później oddaje swą siłę roboczą na usługi swej własnej rodziny, t. j. sióstr i ich dzieci, ograniczając się do krótkich odwiedzin własnej żony i dzieci. Nawet spadek po śmierci żony dostaje się rodzinie matki, a nie ojca. Może on przekazać część majątku, którą swoją pracą przysporzył, własnym swym dzieciom, ale resztę winien oddać swym siostrom i ich dzieciom.



Narzeczona.

Upodobania estetyczne i artystyczne plemienia wykazaliśmy, mówiąc o budowie ich domów, ale w wyższym jeszcze stopniu zadziwia nas poczucie piękna w ich różnorodnych tkaninach, haftach, robotach koszykarskich i filigranowych wyrobach jubilerskich, wykonanych przy pomocy najprostszych narzędzi. Podziwialiśmy na bazarach roboty te oraz pociągającą ruchliwość różnobarwnego tłumu, który nie omija żadnej sposobności do urządzenia uroczystości, który ciągnie z jarmarku na jarmark dla uczestniczenia w grach i zabawach:

Podczas wesel i świąt można się napatrzyć wspaniałym malowniczym strojom krajowców. Surowe oblicza starszych mężczyzn, w których uderza typ malajski: wystające kości policzkowe,



Bogaci Malajczycy.

we, krótki, szeroki nos, mniej lub więcej wydęte wargi i rzadka broda, stanowią kontrast z często prawdziwie pociągającymi

przystojnemi twarzami czarnowłosych dziewcząt z ich błyszczącymi oczami.

Z pomiędzy miejscowości górskiej krainy Padangu dwie szczególnie: Fort de Kock i Pajakombo używają największej sławy nie tyle z powodu malowniczości położenia, ile dzięki ich znakomitym warunkom zdrowotnym. Ze szczególnem zainteresowaniem oglądaliśmy szpital w Fort de Kock, w którym najwięcej znajdowało się rekonwalescentów z północnej prowincji Atjeh. Tu mieliśmy możność przyjrzeć się straszliwie wynędzniałym chorym na beriberi, z ich charakterystycznym zanikiem muskulatury. Niezbędnym warunkiem wyleczenia cięższych wypadków choroby jest opuszczenie przez chorego obszaru zarazy, Atjeh. To samo stosuje się i do ciężko chorych na malarję, którzy pomiędzy pacjentami szpitala nie mniejszą stanowią liczbę. Malarja jest plagą archipelagu Wschodnio-indyjskiego, tak iż zdrowotność danego miejsca określa się liczbą i natężeniem zapadnięć na tę chorobę.

Rząd holenderski nie szczędził starań, aby dać możność i krajowcom korzystania z dobroczynnych skutków chininy przy leczeniu malarji. Z rozporządzenia rządu w roku 1853 botanik Hasskarl udał się do Peru, ojczyzny drzewa chinowego; mimo surowego zakazu rządu peruańskiego zdołał wywieźć potajemnie kilkaset egzemplarzy młodych drzewek chinowych, które zostały posadzone w górzystych okolicach Jawy na wysokości 1500 do 2000 metrów. Po dziesięciu latach młode drzewka, które się doskonale przyjęły i rozmnożyły zapomocą ablegrów, dały produkt leczniczy czyli korę chinową w takiej obfitości, że chinina, kupowana dotąd niemal na wagę złota, znacznie spadła w cenie. Malajczycy mimo swego wstrętu do europejskich środków lekarskich przyzwyczaili się do używania bezpłatnie dostarczanej im chininy i przekonali się o dobroczynnem jej działaniu. W każdym jednak razie w cięższych wypadkach przeniesienie chorych na morze, albo do wysoko położonych uzdrowisk jest jedynym środkiem uzdrowienia.

Takiem uzdrowiskiem na Sumatrze jest właśnie w pierwszym rzędzie Fort de Kock. Chłodne powietrze górskie ma wpływ niemal cudowny na chorych. Apetyt się powiększa, sen staje się głębszym, sprężystość mięśni powraca i po niewielu miesiącach następuje najczęściej zupełne uzdrowienie, należy tylko strzec chorych przed zaziębieniami, na które łatwo się mogą narażić wskutek bardzo znacznej różnicy w temperaturze południa i wie-

czoru. Jeżeli jednak i tu chory Europejczyk nie dozna poprawy zdrowia, to daje się oficerom lub urzędnikom dwuletni urlop na wyjazd do Europy. Urlop taki przysługuje wogóle wszystkim urzędnikom po 10 latach służby w kolonii.

Fort de Kock leży na wysokości 922 metrów, druga miejscowość lecznicza Pajakombo leży znacznie niżej (514 m.), to też ma klimat daleko łagodniejszy. W czasie naszego dwudniowego pobytu w tej miejscowości nie omieszkaliśmy zrobić wycieczki do jednego z owych wąwozów, które stanowią rys charakterystyczny górskiej krainy Padangu. Był to wąwóz czyli t. zw. Kloof (cz. Kluf) Arau. Ogromne, sięgające 300 metrów wysokości ściany tego wąwozu padają prawie pionowo. Składają się z warstw poziomych, powyżłabianych licznymi rysami, ciągnącymi się prostopadle. Liczne wodospady z szumem staczają się na dół. Całość tej głębokiej erozyjnej doliny wywołuje mimowoli porównanie z krajobrazem doliny Lauterbrunnen w Alpach, tylko wspaniała roślinność zwrotnikowa, a zwłaszcza obficie tu występujące paprocie drzewiaste, przypomina nam, że się znajdujemy w krainie strefy gorącej.

Dzień na Cejlonie

S. Miecz („Szkice geograficzne”).

Nastaje wieczór zwrotnikowy. Olbrzymi nasz parostatek przybija do wyspy Cejlon i rzuca kotwicę w porcie Kolombo.

Zachód, zalany złotem, staje się nagle krwisto-czerwonym, i ta zorza wieczorna przedstawia dla nieprzywykłego oka ostry, niezwykle kontrast z lazurem niebios. Oto ognisty krąg słońca dotknął horyzontu dolnym swym brzegiem. Jasno jest jeszcze, jak w dzień. Ale przechodzi półtorej minuty, nie więcej, gdy oto odrazu, bez przejściowego osłabienia światła, oślepiający blask dzienny zamienia się na głęboką nieprzejrzaną ciemność nocy.

Wśród mroku tej ciepłej parnej nocy zeszliśmy na brzeg, gdzie leżą stopy beczek z korzeniami, przygotowanymi na wywóz do Europy. Zaledwieśmy stąpili na ląd, gdy tłum ludzi oddaje się nam już na usługi. Są to, można się wyrazić, „ludzie zaprzęgowi, ludzie-konie”. Żółto-brunatni Chińczycy w ogromnych stożkowych kapeluszach, obnażeni po pas, powiozą nas, gdy zechcemy, na sobie, w lekkich bryczkach, eleganckich, angielskiego wyrobu. Bryczki noszą nazwę „in-rik-sza”, t. j. człowiek-bryczka. Ale nam, nieprzyzwyczajonym do tego, niezręcznie jest jakoś je-

chać na swoim bliźnim; wolimy więc iść piechotą. Spacer pieszo po tak długim pobycie na statku jest tak przyjemny, zwłaszcza w taką noc, w takim kraju!

Od brzegu do miasta prowadzi wyborna szosa, wysadzona wysokimi drzewami zwrotnikowymi. Księżyc wzniosł się na niebo i oświetlił bladym swym blaskiem delikatne liście bananów i korony wysokich palm. Powietrze wypełnione jest silnym aromatem nieznanych roślin, a zapachy te działają odurzająco na nerwy nasze. Cicho kroczymy po alei, rozkoszując się nocą zwrotnikową. Ale oto zaczyna się ulica miasta. Niskie domy kamienne, werandy ukryte w zieleni i kwiatach, jaskrawo oświetlone okna, drzwi otwarte naosćcież, ogrody pełne zieloności zwrotnikowej, oryginalne postaci ludzkie, jakby z brązu wykute — wszystko to fosforycznem światłem księżyca oblane, podobniejsze jest do jakiejś dekoracji teatralnej, niż do rzeczywistości.

Chodzimy długo po ulicach, ciesząc się niezwykłym widokiem miasta zwrotnikowego. Wreszcie strudzone nerwy wymagają spoczynku. Oto hotel! Wielki dom kamienny, z oknami bez szyb, ale z okiennicami z ruchomych deseczek, które można rozsuwać i zsuwać, naokoło — wspaniałe drzewa i kwiaty — takie są wszystkie domy europejskie w Cejlonie.

Wchodzimy do hotelu. Wszędzie tu główne starania skierowane są ku temu, aby było jak najwięcej przewiewu powietrza, a jak najmniej słońca. Dlatego naokoło domu urządzono werandy, pokoje bardzo wysokie, zamiast okien — żaluzje, zamiast drzwi — przewiewne zasłony z pałeczek bambusowych, luźno połączonych, upiękuszonych malaturą japońskich artystów. Jednak powietrze na Cejlonie zwykle jest tak ciche i spokojne, że przez żaluzje najślabszy wietrzyk nie przenika. Aby zapobiec złemu, urządza się w pokoju wiatr sztuczny. Służy do tego tak zwana „panka“, wachlarz olbrzymi, składający się z kilku sztor płóciennych, zwieszających się z sufitu. Sznury od tych sztor połączone razem, znajdują się w ręku siedzącego w sąsiednim pokoju Chińczyka, który, pociągając za nie, wprowadza nieustannie w ruch cały ten przyrząd. Jednostajne i nieprzerwane kołysanie się panek daje orzeźwiający chłód, tak pożądanym na Cejlonie. Chińczyk kołysze pankę nader gorliwie, od rana do późnej nocy. Niema sług bardziej starannych, niż Chińczycy; jednak i oni są ludźmi. W czasie obiadu, na przykład, w hotelu, zdarza się, że prawidłowy ruch panek słabnie powoli i wreszcie ustaje. Wtedy wszyscy obecni odczuwają męczący, obezwładniający upał i oblewają się

potem. Lecz po chwili panka zaczyna się śpiesznie kołysać ze zdwojoną szybkością i wytwarza istną burzę w powietrzu salonu. To znaczy, że Chińczyk, znużony, zdrzemnął się trochę, ale wszechobecny gospodarz hotelu szturgnięciem obudził biedaka, który przestraszony, śpieszy naprawić swoje niedbalstwo, szarpiąc przeraźliwie za sznury.

Zjadamy kolację przy ogólnym stole i przechodzimy do naszych sypialni. Każdy z nas otrzymuje niewielki pokój z oknem bez szyb, ale z żaluzjami. Niestety, przez owe przewiewne okiennice nie przenika bynajmniej świeże powietrze z ulicy lub ogrodu, natomiast wpadają chmury moskitów, bliskich krewniaków naszego komara. Moskit mniejszy jest od komara i ukąszenia jego z początku nie odczuwa się wcale; ale później miejsce ukłucia puchnie, i swędzi nie do wytrzymania. Osoby ze skórą wrażliwą, pokąsane przez moskity otrzymują taki wygląd, jakby dopiero co przeszły najgorszą ospę. Wskutek tego spać na Cejlonie, tak jak u nas, niepodobna. Tam niezbędnym sprzętem każdej sypialni jest tak zwana moskitjera. Nad łóżkiem rozciąga się rama, pokryta białą tkaniną w rodzaju przejrzystego muslinu. Płaty tej samej tkaniny spuszcza się ze wszystkich czterech stron ramy do samej podłogi. W ten sposób otrzymujemy muslinowy pokój, prawie nieprzenikliwy dla moskitów. Na pewien czas przed zachodem słońca zjawia się w sypialni służący, Chińczyk z pękiem długich a giętkich pręcików bambusowych. Odsuwając zasłony muslinowe, wchodzi wewnątrz i pilnie wymachuje swoim orężem, aby wypędzić moskity, które się mogły jakimś sposobem zakraść do komórki muslinowej. Wszak jeden moskit aż nadto jest dostateczny, aby noc zwrotnikowa stała się niemożliwą; a prócz tego zważmy, jak duszne robi się powietrze wskutek zasłon otaczających pościel. Noce na Cejlonie nie takie są jak u nas: nie przynoszą ochłody, nie orzeźwiają. Temperatura podczas nocy prawie zupełnie się nie zniża; tak samo jest parne powietrze, jak w dzień, chociaż w pokoju otwarte jest wszystko, co tylko można otworzyć.

A więc pościel gotowa, moskity wypędzone, trzeba się spać położyć. Próżnobyśmy szukali na łóżku czegokolwiek w rodzaju kołdry. Nie tylko kołdrą, ale najlżejszem cienkiem prześcieradłem niepodobna się przykryć — prześcieradło wyda się ciężką i duszną pierzyną. Nie dość na tem; koniecznem jest zrzucić z siebie kompletnie wszystko, inaczej się nie zaśnie.

Kładziemy się do łóżek, gasimy świece, ale sen nie nadchodzi. Przewracamy się z boku na bok na ogromnem twardem ło-

zu, oblewając się potem i próżno usiłując zasnąć. Nagle zwraca naszą uwagę jakiś ruch w pokoju, jakiś szelest, jakieś słabe odgłosy a zarazem jakby padanie czegoś na podłogę, na stoły. Nakoniec coś szorstkiego upadło nam na twarz i szybko przebiegło po niej. Chwytny spieszenie pudełko zapalek, zapalamy świecę i ku naszemu zdziwieniu a nawet przerażeniu, przekonujemy się, że wszystkie ściany pokoju pokryte są mnóstwem maleńkich jaszczurek, długości małego palca, szybkich i zwinnych. Biegają one po ścianach, pod oknami, po drzwiach, po lustrze, po czym kto chce z taką łatwością jak po podłodze, ponieważ łapki ich opatrzone są poduszczeczkami, którymi lgnąć mogą do gładkiej powierzchni, jak muchy. Jaszczurek tych nikt na Cejlonie nie krzywdzi; żyją sobie swobodnie w domach i są bardzo użyteczne. Miliony moskitów, much, mrówek, a może nawet niedźwiadków niszczone są przez te zwinne, żywe stworzonka, stanowiące niezbędny inwentarz każdego domu na Cejlonie. Kryją się w dzień, ale gdy noc nastaje, zaraz na wszystkich ścianach pokazują się dziesiątkami i setkami, nie krępując się światłem lamp i obecnością ludzi. Od czasu do czasu wydają szczególny pisk, jak na tak małe stworzenia bardzo głośny. Gospodarze domu opiekują się nimi i pozwalają im się lęgnąć gdziekolwiek za obrazem lub komodą.

Jednak, choć duszno w pokoju, choć sąsiedztwo mnóstwa jaszczurek nieprzyjemne jest dla nieprzyzwyczajonego, znużenie zwycięża; zasypiamy nakoniec w naszej celi muślinowej. Lecz, gdy tylko słońce zaświeciło, a tu blisko równika słońce wschodzi i zachodzi o godz. 6-ej, jesteśmy już na nogach, ubieramy się spieszenie i wychodzimy na ulicę, ażeby spojrzeć przy świetle dziennem na to wszystko, cośmy oglądali niewyraźnie wśród nocy.

Przed hotelem czeka już na nas kilku Cejlończyków czyli „Syngalezów“, jak ich tu nazywają. Ci pokazują nam drogie kamienie, z których tak słynie Cejlon, pokazują drobiazgi, toczone z drzewa i kości słoniowej i t. p. Znakomici kuglarze indyjscy zwracają również naszą uwagę swym mistrzostwem, nie dającem się naśladować. Za kilka pensów możemy tu zobaczyć rzeczy zadziwiające, tak że literalnie nie wiesz, jak je objaśnić. Oto np. jeden z nich sadza w doniczkę z ziemią ziarno pszenicy. Przechodzi kilka minut, a ziarno kiełkuje, w kwadrans później rozwija się z niego łodyga z liśćmi, a po kwadransie już na niej kłos dojrzewa.

Zauważywszy, że się interesujemy kuglarzami indyjskimi,

podchodzi ku nam stary Indus, pięknie zbudowany, jakby odlany z brązu, zupełnie obnażony z wyjątkiem krótkiej spódnicy w pasie i zawoju pokrywającego siwe włosy. Oczy jego, czarne, głębokie, połyskują szczególnym blaskiem metalicznym. W ustach trzyma piszczałkę trzcinową, z której wydobywa przeciągłe, żałosne dźwięki. Tuż za nim postępuje chudy, kościsty Indus, niosący na grzbiecie wielki kosz z przykrywą. Zbiera się tłum koło nas; starzec po krótkim powitaniu w łamanym języku angielskim, siada na ziemię, a przed nim w odległości kilku kroków stawiają kosz zamknięty przykrywą. Indus, nie odrywając od tego kosza swego ognistego spojrzenia, wydobywa wciąż z piszczałki nieprzyjemne, dzikie i żałosne dźwięki. Wszyscy milkną i, tłumiąc oddech, patrzą na kosz, który jednak pozostaje nieruchomy. Jeszcze chwila, a piszczałka Indusa zaczyna wydawać dźwięki coraz głośniejsze, coraz bardziej żałosne. Indus wciąż nieruchomo spogląda na pokrywę kosza. Wtem kosz zadrżał i poruszył się. Piszczałka Indusa zabrzmiała jeszcze głośniej. Kosz znów się poruszył i zamarł. Piszczałka ciągnie dalej tę samą jednostajną i przeciągłą melodię. Nagle staje się coś nadzwyczajnego. Wieko kosza odrazu się podnosi i z głębi wyskakują dwa ogromne węże, okularniki, najstraszliwsze na świecie, których ukąszenie powoduje niechybną śmierć w ciągu kilku minut.

Dreszcz przerażenia przejmuje publiczność, wszyscy odskakują na stronę. Tylko stary Indus nie poruszył się wcale, ani drgnął, jakby skamieniał. Węże z sykiem popęzły wprost ku niemu, ale starzec wygrywa dalej swoją jednostajną melodię i patrzy, na węże przeszywającym, ognistym wzrokiem. Potem nagle chwyta węże rękami za szyję przy samej głowie i odrzuca je od siebie. Te gniewnie z otwartymi paszczami rzucają się na starego kuglarza, ale on, siedząc na ziemi, nie spuszcza z nich wzroku, z napięciem i uwagą ruchy ich obserwuje, korzysta z chwili dogodnej i umiejętnym ruchem rąk odrzuca od siebie to jednego węża, to drugiego, to obydwa razem. Jego piszczałka brzmi coraz donośniej, ruchy wężów stają się coraz powolniejsze; gady wydają się jakgdyby oczarowane tą żalosną, jednostajną muzyką. Oto jeden z nich, wyciągnąwszy szyję pionowo, zaczyna powoli kołysać głową w takt muzyki. Drugi jednak wciąż jeszcze walczy. Biedny zaklinacz oblewa się potem, broniąc się od jego gniewnych napaści i z całej siły dmie w swą piszczałkę. Nakoniec i drugi wąż wpływowi jej się poddaje, i teraz już obydwa, wyciągnąwszy szyje, kołyszą w takt muzyki szkaradne swe

trójkątne głowy. Wtedy Indus, schwyciwszy jednego z nich, okręca go sobie koło ciała i zawiązuje na węzeł, to samo czyni z drugim węzem i w takim przystrojeniu, błądy z wyczerpania, z drżącymi nogami, obłany potem, obchodzi widzów, zbierając skromne datki za swe przerażające przedstawienie. Rzuciwszy mu kilka srebrnych monet, porzucamy śpiesznie przykre to widowisko.

Aby prędko zwiedzić miasto, najmujemy karetkę zaprzężoną w parę małych miejscowych koników. Karetką otwarta jest ze wszystkich stron, ma tylko daszek oparty na kilku słupkach; przedziały pomiędzy słupkami na życzenie mogą się zamykać sztorami. Na koźle siedzi Malajczyk brązowej barwy. Jedziemy naprzód popatrzeć na europejską część miasta. Bardzo jest ładna. Domy tam są po większej części kamienne, jednopiętrowe, z szerokimi werandami, zupełnie pokrytymi zielenią i kwiatami. Ulice doskonale wybrukowane, pięknymi wysadzone drzewami Równie chodniki ciągną się po obydwu stronach obok magazynów i sklepów. Ceniąc każdą minutę, jedziemy do syngaleskiej części miasta.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to nawet nie jest miasto, a las zwrotnikowy, taka masa w nim roślinności, ogromnej, wspaniałej, różnorodnej. Wszystko, czem się zachwycamy w najlepszych cieplarniach, w cennych oranżeryjach, tu rośnie dziko, w rozmiarach olbrzymich, w niezwykle zadziwiającej obfitości. Wszystkie te tamaryndy, mangi, banany, durjany i palmy tworzą jakby jednolite zielone sklepienie i tak są wysokie, że ludzie



Zaklinacz węzów.

i domki ich w porównaniu z niemi wydają się zabawkami. I wszystko to opłatanie jest girlandami lian, pnących się róż i winogron; wszystko żyje i oddycha, pełne jaskrawych barw i całej muzyki najrozmaitszych dźwięków, szczebiotu i krzyków pięknie opierzonych, jaskrawych, strojnych ptaków. Cała zdumiewająca wspaniałość, wszystkie cuda świata roślinnego, jakie tylko mogliśmy sobie wyobrazić, jakie majaczyły nam się niekiedy w marzeniach sennych — tu stają w całej pełni na jawie przed nami.

Obok każdej chaty syngaleskiej rosną bezwarunkowo palmy kokosowe. Ich pień prosty i walcowaty, jak świeca, wznosi się na jakieś 50 łokci w górę i kończy się tam wysoko świetnym bukietem liści, mających po 3 sążnie długości; dolne z nich pochylają się wdzięcznie ku ziemi, a z pod tych liści zwieszają się olbrzymie kiście orzechów, w każdej po 30 sztuk. Tuż obok palmy kokosowej rośnie palma wachlarzowata, niższa od pierwszej, ale zato posiadająca koronę niezrównanej piękności. Wyobraźmy sobie olbrzymi liść zębaty, pod którym 12 ludzi może się schronić przed deszczem lub upałem. Z takich właśnie liści składa się korona tej palmy.

Kto był na Cejlonie lub na wyspach Zundzkich, ten się nie może nachwalić wybornego smaku pewnego owocu, który ma nazwę „mangustani“ i ma być najsmaczniejszym owocem na świecie. Mangustan rośnie tylko w równikowych okolicach Azji. Mimo wszelkich starań nie udało go się rozpowszechnić po innych miejscowościach ziemi.

Samo drzewo bardzo jest piękne. Wysokie, jasno-szarą korą pokryte, podtrzymuje u góry masę dużych, błyszczących liści, ciemno-zielonych, dających dużo cienia. Gałęzie drzewa uginają się pod ciężarem owoców czerwono-brunatnej barwy, wielkości jabłka. Owoce pokryte jest grubą ale miękką skórą, a wewnątrz dzieli się na kilka cząstek śnieżno-białych i tak delikatnych, że je wyjmują i jedzą łyżeczką, zrobiwszy otwór w skórce owocu. Kolor i smak mangustanu bardzo przypomina słodko-kwasowate lody, ale prócz tego posiada niezrównany aromat i wprost rozpyływa się w ustach. Podobieństwo do lodów powiększa się jeszcze od tego, że owoce te trzymają zawsze na lodzie, ale i w tych warunkach bardzo szybko się psują, tak że więcej, niż dwa dni nie mogą przeleżeć.

Chaty syngaleskie zwrócone są ku ulicy swemi maleńkimi werandami. Drzwi i okien nie mają, a światło dochodzi do środka przez duży otwór w przedniej ścianie, na noc matami przykrywany; w dzień przez ten otwór widać wszystko, co się dzieje

wewnątrz mieszkania. Chaty są zbudowane z bambusu i okrągłaków palmowych, kryte dachem trzcinowym. Główny powab tych domków polega na mnogości i różnorodności otaczających je roślin.

Syngalezki i Syngalezi bardzo są sympatyczni. Niedużego są wzrostu, zgrabni, ładnie zbudowani. Mają piękne, rozumne łagodne oczy, dość często szare lub niebieskie, co wywołuje dziwne wrażenie wobec czarnych, jak smoła, włosów i skóry ciemnobronzowej. Łagodny uśmiech, głos dźwięczny, chód lekki i zgrabny oraz niezwykła uprzejmość w obejściu — wszystko to bardzo dobrze ku nim usposabia.



Dziewczyna syngaleska.

O zachodzie słońca siadamy na łodzie i płyniemy na nasz parowiec, który jest już gotów do odpłynięcia. Na pokładzie statku zastajemy cały tłum Syngalezów, Arabów, Indusów, którzy pokazują podróżnym różne wyroby na sprzedaż z masy perłowej, szyldkretu, kości słoniowej. Proponują kupno papug, żuków olbrzymich, małp, cejlońskich drogich kamieni, indyjskich szali i dywanów, owoców miejscowych... Rozlega się ostatni gwizdek, podnoszą kotwicę, cały tłum kolorowy rzuca się śpiesznie do swych łodzi, statek powoli odpływa, a my wciąż nie możemy oderwać oczu od niknącej nam pięknej wyspy. Pobyt jednodniowy na niej pozostawił nam po sobie niezatarte wspomnienie, jak o jakimś niezmiernie miłym, niepowrotnem sennem widzeniu.

Kasty w Indiach

El. Réclus. (Nouvelle Géographie Universelle).

Kontrasty pierwiastkowe pomiędzy ludźmi, wywołane przez różnice bogactwa, urodzenia, zajęcia, słowem, przez wszelkie nierówności społeczne nie utrzymały się nigdzie w formie bardziej zaostrej, niż na półwyspie Przedgangesowym. Indusi, podzieleni na mnóstwo stowarzyszeń, nie będących w żadnej łączności ze sobą, mających różne, często wprost sprzeczne interesy, nie tworzą bynajmniej jednego narodu: w każdej prowincji, nawet tam, gdzie mówią jednym językiem, węzeł wspólnego patriotyzmu nie wiąże bogatych z biednymi, parjasów z braminami. Podzieleni, ułatwiają zadanie każdemu, kto nad nimi zechce panować. Nienawidząc zaborcy, czują jednocześnie wdzięczność dla niego, zato, iż gnębi innych ich współziomków.

Badacze tego kraju dowiedli z całą stanowczością, iż domniemany pierwotny podział ludności na cztery kasty czyli „cztery kolory“ jest pojęciem stosunkowo nowoczesnem, wytworzonym przez komentatorów ksiąg świętych. Owe cztery kasty — to mianowicie: kasta braminów czyli duchownych — białego koloru, kasta czerwonych Kszatrja czyli wojowników, Waisja, czyli kupców — żółtawych, wreszcie czarnych Sudra czyli robotników. Te prawidłowe warstwy społeczeństwa induskiego w rzeczywistości nie istniały nigdy. We wszystkich czasach tysiące różnic, powstałych w rozmaitych okolicach Indyj wskutek różnorodności zajęć, rzemiosł i sposobu życia, musiały w następstwie spowodować rozbitcie ludności na liczne kasty, nie dające się dokładnie rozklasyfikować. Już pisarze greccy i łacińscy mówią o siedmiu, a nie o czterech kastach, a przecież pisarze ci znali zaledwie część równin północnych.

Nawet główna kasta braminów, pochodząca, według podania, z głowy Brahmy, składa się w rzeczywistości z licznych kast, nie będących w żadnem pokrewieństwie pochodzenia, oddających się rozmaitym zajęciom i bardzo często unikających wszelkich stosunków pomiędzy sobą. Bramini, spełniający jako duchowni, obrzędy religijne, stanowią tylko maleńką część ludzi tej klasy. Bramini pewnej okolicy kraju odmawiają wydania zażamę swych córek swym współbraciom z innej miejscowości i nawet uważają za niemożliwe znaleźć się przy jednym z nimi stole. W miejscowości Tszamba pewna warstwa pasterzy przypisuje sobie prawo noszenia na ramieniu świętej wstęgi brami-

nów. Gdzie indziej, w górach w okolicy Simli znajdujemy braminów robotników, braminów posłańców do usługi rybaków i t. p.

Jeszcze większe różnice rasowe znajdujemy w innych klasach. Czystych Kszatrja nigdzie nie znajdziemy. To samo można powiedzieć o klasie kupców. Różne korporacje kupieckie uważają się za coś zupełnie odrębnego, nie uznając istnienia rzekomej klasy Waisja. Co do nazwy Sudra, to ma ona tylko znaczenie ogólne dla określenia niezliczonych kast i podkast, na które dzieli się lud, nie należący do klas uprzywilejowanych i do klasy kupców.

W prowincjach północno-zachodnich liczą nie mniej niż 507 rozmaitych kast, mających osobne nazwy. W Bengalu liczba kast dochodzi do tysiąca, a gdyby chcieć uwzględnić wszelkie ich podziały, to liczba ta wzrosłaby do kilku tysięcy. W Indjach południowych ułożenie dokładnej listy wszystkich kast byłoby również niemożliwe. Każde najmniejsze rzemiosło stało się kastą zupełnie odrębną; są kasty składające się z dwóch jedynie osobników.

Stowarzyszenia przestępców uznawane są także przez krajowców, jako kasty; każdy członek bandy, dumny ze swego zawodu, oddaje się kradzieży i rozbojowi, ulegając w ten tak tradycjom swej rasy, jak i przepisom religijnym. Rząd wybiera z ich środowiska większość swych policjantów, nie mogąc jednak zużytkować w ten sposób całych pokoleń, zmuszony był wyznaczyć im w pewnych wsiach miejsce zamieszkania i poddać ścisłemu nadzorowi; przestawszy kraść przymusowo, ludzie tej kasty niemniej są dumni ze swego tytułu „złodziei“.

Europejczycy, wprowadzając nowe gałęzie przemysłu, wytworzyli w ten sposób nowe kasty, noszące niekiedy nazwę pochodzenia angielskiego lub hiszpańskiego, na przykład masztalerze stanowią kastę zwaną „cavalere“. Każda religja, każda sekta, każda walka stronnictw powoduje tworzenie się odpowiednich stanów: wszelki rozwój życia społecznego ujawnia się zapomocą nowych ugrupowań, którym czas nadaje powoli charakter kasty. Względnie do zmian w przemyśle lub w handlu powiększa się lub zmniejsza znaczenie kasty, tak na przykład obdzieracze kory cynamonowej zyskali na godności i powadze razem z podniesieniem się wartości handlowej towaru. Niezwykła różnorodność zatrudnień, z których każde jest wyłącznie przywiązane do ludzi jednej klasy, zmusza bogatych, do trzymania nadzwyczaj licznej służby, jeśli chcą mieć należytą obsługę; każdy służący chce wykonywać tylko jedną jakąś pracę i pragnie ją robić spo-

sobem tradycyjnym według ustanowionego w swej kaście ceremonjału. Prawowierny Indus woli umrzeć, niż splamić się wykonaniem pracy, którą uważa za nieczystą.

Poza temi tysiącami stowarzyszeń bardzo wyodrębnionych i po większej części dla siebie wrogich, żyją jeszcze miliony osobników bez rasy i bez praw, których cień nawet jest plugawy. Europejczycy dają im niesłusznie nazwę Pariah, nazwa zaś ta oznacza w rzeczywistości jedną z kast, bynajmniej nie pogardzanych. Ludzi nie należących do żadnej kasty rozmaicie nazywają w różnych prowincjach, np. w prowincjach środkowych dają im nazwę Kandjar, gdzie indziej nazywają ich Paliyar i t. d. Święte księgi piętnują ich imieniem Czandala. Są to istoty nieczyste, „wyrzutki z wyrzutków“, zrodzeni z obmierzłego związku pomiędzy sudrą a kobietą bramińską. Im to wyłącznie przystoi oczyszczanie kanałów, grzebanie padliny i karmienie się nią w razie potrzeby. Można ich bić bez grzechu, a starodawne prawo nie skazuje na karę lub hańbę tego, kto uwalnia ziemię od tych nieczystych istot. Bramini i Czandala stoją na dwóch krańcach społecznych, pierwsi, do których cały świat należy, którzy przez swe urodzenie mają prawo do wszystkiego, co istnieje, którzy tylko przez wspaniałomyślność zezwalają żyć innym ludziom, drudzy — którym nie wolno opłakiwać swych przodków, wymawiać imienia Brahmy, czytać lub powtarzać tekstu ksiąg świętych, grupować się wioskami i marzyć o jakimkolwiek pokrewieństwie z ludźmi, którzy się połączyli w grupy społeczne. Jeżeli bramin pozwoli tym ludziom ukazać się przed jego wzrokiem, to jest to uważane za prostą pobłażliwość z jego strony.

Ta nieczysta istota nie może pokazać się braminowi na odległości mniejszej, niż sto króków. Odległości te jednej kasty od drugiej regularnie są wymierzone.

Przed wprowadzeniem angielskich rządów gwałciciele tych przepisanych odległości karani byli śmiercią lub niewolą; żołnierze, należący do kasty Nair, nie mogąc zbliżyć się do swych więźniów, o ile ci byli niższego urodzenia, okrażali ich szerokim półkolem z bronią w nich wymierzoną.

Pojęcie kasty stało się tak naturalnem w umyśle Indusa, że nawet zwierzęta zostały podzielone na grupy, podobnie jak ludzie: szczury, t. zw. palmowe, uważane są za zwierzęta dobrej kasty, kruki zaś są ohydnyimi parjasami.

Indus nie ma współziomków poza własną kastą; nie może się żenić po za obrębem tego zamkniętego świata; czuje się soli-

darnym tylko z tymi, którzy z nim jedzą i czyje imię nosi. Dla nich w interesie wspólnego honoru waży się na wszelkie niebezpieczeństwa, poświęca się nawet na śmierć, gdy tego potrzeba; każda wioska dzieli się na tyle grup republikańskich, ile kast zawiera, i każda z tych grup ma swój zarząd i swą policję. Indusi poczuwają się braćmi względem grup odpowiednich w innych wioskach, a nie względem własnych sąsiadów innej kasty. Kasta, ta wielka rodzina, tworzy związek, ustanawiający święta, określający wysokość płacy zarobkowej, a niekiedy urządzający strajki. Gdy ona wyda postanowienie, wszyscy są mu posłuszni, jak przeznaczeniu. Tysiące jednak okoliczności może pozbawić nieszczęsnego członka kasty wszelkich jego praw gromadzkich. Nawet choroby, na przykład trąd, przerzucają go do niższej kasty. Za najcięższy występki uważa się dopuszczenie do siebie zbyt blisko człowieka rasy nieczystej, przyjęcie z jego ręki naczynia z wodą lub jakiegos niedozwolonego pożywienia.

Lecz owa instytucja kast, ciężąca nad Indusami i nie pozwalająca im nigdy połączyć się razem przeciwko wtargnięciu obcych, zmienia się powoli i przepisy jej mniej surowymi się stają. W prowincjach północnych, najbogatszych i najbardziej zaludnionych, podbój muzułmański, znoszący kasty, wstrząsnął głęboko społeczeństwem induskim, i podziały społeczne są tam mniej wyraźnie zarysowane, niż na południu, które pozostaje pod niepodzielną władzą praw starodawnych. Wielka rewolucja obyczajowa, dokonana przez naukę Buddy, głoszącą braterstwo ludzi, pozostawiła ślady głębokie. W niektórych okręgach niema już wcale kast. W niektórych świątyniach, odwiedzanych przez tłumy pielgrzymów, pożywienie jest dzielone pomiędzy wszystkich, bez różnicy w pochodzeniu lub rzemiośle. Istnieją nawet tajemne stowarzyszenia, złożone z ludzi rozmaitych kast, którzy w ciągu dnia trzymają się na odległościach przepisanych przez opinię, którzy jednak łączą się ze sobą w nocy przy wspólnej biesiadzie: bramin obok sudry. Zacierają się tradycje; ludzie najwyższej kasty, najwięcej zainteresowani w utrzymaniu podziałów społecznych, kupują ciasta europejskie, jedzą ryż, zgotowany rękami muzułmanina, przyjmują krewnych lub przyjaciół, wychowanych w Europie. Masy ludowe przekształcają się też znacząco pod wpływem oświaty i zmian ekonomicznych.

Wpływ Anglików jest tu podwójny. Podobnie jak popierają oni rozwój wielkiej własności z uszczerbkiem mniejszej, tak również starają się utrwalić władzę braminów nad innymi kastami. Sposobem, przyjętym przez rządzących, dążą do systema-

tycznego podziału swych poddanych na grupy hierarchiczne. Przecież i oni sami tworzą kastę zamkniętą, stojącą ponad narodem. Z drugiej jednak strony zniesienie niewolnictwa oraz zniesienie prawa sprzedawania ludzi razem z gruntem wpłynęło na podniesienie najniezwyklejszych z pomiędzy Indusów i wzniecenie w nich poczucia prawa. Anglicy niszczą instytucję kast zapomocą nowych idei, które wprowadzane są w życie przez ich książki, ich gazety, wynalazki, tysiączne zmiany, stosowane w handlu i trybie życia codziennego. Parjasi ośmielają się już domagać zrównania w prawach z braminami, żądają, aby dopuszczono ich dzieci do zakładów oświaty publicznej oraz, by zaprzestano nadawania im obelżywych przezwisk. Wykształceni Indusi sami potępiają kastowość w swych dziełach i artykułach, przypominają dawne czasy, uświęcone przez twory poetyckie, czasy „kiedy wszyscy byli braminami“ i powtarzają wiersze swych poetów, protestujące w takich słowach przeciwko nierównościom społecznym: „Wyższość i niższość ujawnia się zapomocą obyczajów. Czy deszcz nie pada na wszystkich ludzi? Czy wiatr nie owiewa każdego z nas? Czy obszerna Ziemia mówi komukolwiek: „Nie chcę cię nosić? Czy samo urodzenie bez wielkości cnoty ma już być zasługą głupich?“

Tybet i wyprawa angielska do Lhasy

W. Berdrow. (Jahrbuch der Weltreisen, wdt. Wegener).

Wysokie płaskowzgórze Tybetu, ze wszech stron zamknięte w niegościnnych granicach niebotycznych łańcuchów górskich, na ogromnej powierzchni prawie dwu milionów kilometrów kwadratowych mieści zaledwie półtora do dwóch milionów mieszkańców. Już to mówi nam dostatecznie o właściwościach tych pustyń wysokich, które w trzech czwartych wogóle nie są zaludnione, stanowiąc tylko siedlisko jaków oraz dzikich osłów. Straszne rzeczy opowiadają wszyscy podróżnicy o tej krainie: o suchości powietrza, która wysusza na szkielety żywe ciało zwierząt karawanowych; o burzach śnieżnych, które tak się srożą niekiedy, jakgdyby miał się powtórzyć chaos tworzenia się świata, o wichrach pyłu lodowego, o zimnie podbiegunowym, szalonych nawałnicach deszczu, chłoszczących ziemię. Nawet w południowych i zachodnich częściach kraju, gdzie się udaje w stopniu zresztą ograniczonym uprawa roli, lub gdzie kopią złoto, człowiek ciężko cierpieć musi od nieposkromionych ży-

wiołów. W niektórych okolicach rolnicy pola swe na zimę zalewają wodą, aby się utworzyła lodowa skorupa, któraby broniła pulchną ziemię od unoszenia przez burze, kopacze zaś złota w zachodnim Tybecie bronią się od mroźnych wiatrów, rozbijając swoje namioty na dnie głębokich zapadlin¹⁾).

Z czego żyją Tybetańczycy? Przynajmniej podróżnikom, przybywającym od północy oraz zachodu, wydaje się, iż kraj ten nie może dostarczać żadnych środków utrzymania. Suche, żwirowate kotliny i stepy słone — pomiędzy lodowatemi łańcuchami gór. Temperatura dochodząca do — 40° w zimie, nawet w maju sięgająca 20 stopni mrozu, brak drzew, brak krzaków, suche, twarde trawy zdatne dla jaka lub niewybrednego dzikiego osła. Do tego wszystkiego dołącza się ta okoliczność już nie przyrodzonej lecz społecznej natury, że niezwykle wielka część narodu należy do stanu duchownego, i prawie siódma część całej ludności musi być z tej przyczyny utrzymywana przez resztę mieszkańców. W żadnym kraju na ziemi duchowieństwo nie doszło nigdy do tak nieograniczonej potęgi we wszelkich sprawach tak politycznych, jako też gospodarczych, nigdzie indziej życie klasztorne nie odgrywa takiej roli, jak w Tybecie. „Jedynie duchowieństwo, pisze Wegener (w swem dziełku p. t. „Tybet“), jest w posiadaniu wszelkiej wiedzy, z której udziela ludowi tylko tyle, ile uzna za stosowne. Tylko w klasztorach znajdują się drukarnie, i żadna książka nie może się ukazać, jeśli nie pozyskała przyzwolenia. Po całym kraju, nawet w najbliższych okolicach, rozrzucone są klasztory, których ludność liczy się na tysiące²⁾).

Klasztory często są podobne do potężnych zamków, u stóp których skupiają się skromnie grupy domów krajowców. W ręku duchowieństwa spoczywa także władza sądowa, tak cywilna, jak i duchowna. Ono zawiaduje również handlem i wymianą. Jest jedynym wielkim kapitalistą kraju i przez wyzyskanie swych przywilejów stało się, podobno, prawie jedynym posiadaczem gruntów i ziemi“.

Wobec takich stosunków, tem więcej uzasadnionem staje

¹⁾ Dotychczas wydobywanie złota w tym kraju jest nieznaczne i praca jest ciężka; pokazało się jednak, że złoto jest tu bardzo rozpowszechnione, i być może, Tybet stanie się kiedyś pierwszorzędnem miejscem wydobywania tego metalu.

²⁾ Np. w klasztorze Sęra (4 km. od Lhasy) mieszka 6.000 zakonników buddyjskich, w klasztorze Taszi-lumpo nad górną Brahmaputrą mieszka przeszło 3.000 mnichów, klasztor Braipung na północo-wschodzie od Lhasy jest największy; mieszka tam 10.000 zakonników. Wogóle liczba klasztorów dochodzi do 3.000. (Przyp. red. według Narzunowa, 1901).

się pytanie: z czego się ten lud utrzymuje? Znakomity podróżnik szwedzki Sven Hedin mniema, że Tybet przeważnie żyje z hodowli owiec. Dodajmy jeszcze do tego kozy kaszmirskie i oswojonego jaka, jako też hodowlę świń i krów w okolicach, mających warunki pomyślniejsze, a okaże się, że hodowla zwierząt stanowi rzeczywiste główne źródło przemysłu i wywozu, zapomocą którego Tybet opłaca sprowadzane z Chin produkty rękodzielnicze, a przede wszystkim herbatę. Są jednak części kraju, mianowicie południowa część Tybetu, okolice jezior oraz doliny rzek, gdzie grunt i klimat umożliwiają wszędzie nie tylko hodowlę bydła, ale nawet życie osiadłe i rolnictwo, mimo to że te



Jak.

miejsowości leżą wszystkie na wysokości 3 do 4 tysięcy metrów nad poziomem morza.

Dopiero na wysokości 5 000 metrów znajdujemy w Tybecie granicę traw; również i uprawa zboża nigdzie nie dosięga takich jak tam wysokości. Pola jęczmienia w Tybecie środkowym znajdują się jeszcze na takiej, sięgającej 4 600 metrów, wysokości, na jakiej w Szwajcarii wznoszą się lodowe pola szczytu Monte Rozy. W wielu okolicach uprawa ziemi prowadzi się do 4 400 metrów. W dolinach południowej części kraju, znajdujących się jeszcze pod wpływem indyjskich wilgotnych prądów powietrza, kwitnie nawet ogrodnictwo i tu się właśnie skupia nadmiar ludności. Dolina Sang-po (górny bieg Brahmaputry), ciągnąca

się na setki kilometrów na południu od Lhasy od zachodu ku wschodowi, obfituje w sady, w których rosną pomarańcze, śliwki i brzoskwinie. Koło Lhasy prócz jęczmienia i owsa sięgają również i pszenicę. W miejscach najdogodniejszych prowadzi się uprawa kartofli i grochu obok innych warzyw. Ale i w tych okolicach nierównie większa część obszaru nadaje się tylko do pasterstwa.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach ten kraj, który Anglja w ostatnich latach postanowiła poddać całkowicie swym wpływom. Na podbój tego kraju Anglja wybrała najpomyślniejszą chwilę, kiedy Rosja, jej dawna współzawodniczka polityczna w Azji, zajęta była wojną z Japonją. Wojenna ekspedycja angielska do Tybetu, licząca 3 000 żołnierzy, wyruszyła z Dardżilingu



Klasztor Galdan.

w Indjach, pod wodzą pułkownika Younghusbanda w grudniu 1903 r. Pierwsze kroki wyprawy nie napotkały żadnych szczególnych trudności. Dopiero poważne trudności nastąpiły się przy przekroczeniu głównego łańcucha gór przez wysoką przełęcz Tangla, leżącą na wysokości 4 800 metrów. Jeżeli przebycie tej głównej przełęczy w pomyślnej porze roku nie przedstawia czegoś szczególnie uciążliwego, to jednak w porze zimowej przejście z dużym oddziałem wojska przez łańcuch górski wysokości góry Mont Blanc może być uważane, jako rzecz dotychczas bezprzykładna. Oddział wojska łącznie z przysłanymi posiłkami liczył 4 600 żołnierzy rozmaitej broni z 12 działami polowemi oraz jedną armatą Maxima, dalej do wyprawy należało prócz tego 7 600 tragarzy, 7 500 zwierząt jucznych i pociągowych i 700 wozów,

i cały ten ogromny obóz wojenny doprowadzony został bez większych strat na olbrzymie wysokości. Coprawda, wszyscy cierpieli od niskiej temperatury. Na przełęczy Tangla termometr spadł do 32 stopni mrozu, a na północ od tego przejścia, co noc temperatura wynosiła 26 stopni niżej zera. Również i rozrzedzone powietrze wywoływało zwykle niedomagania: mdłości, osłabienie serca, chorobliwe bóle głowy, co jednak przy bardzo powolnem wznoszeniu się po tej drodze nie było nie do zniesienia. Najczęstsze choroby, występujące w czasie podróży, to były niedomagania żołądkowe wskutek żywienia się niedostatecznie przegotowanymi pokarmami. Rozrzedzenie powietrza już na wysokości 3 000 metrów uniemożliwia całkowite ugotowanie większej części pokarmów, a tymczasem po przejściu przełęczy Tangla ekspedycja znajdowała się nieprzerwanie wyżej 4 000 metrów¹⁾.

Po przejściu przełęczy Tangla Anglicy znaleźli się w prowincji Tang, jedynej części Tybetu, która posiada pewną kulturę rolną i stosunkowo gęste zaludnienie, ale i tu nawet w lecie uprawa ziemi i wzrost drzew ogranicza się do niewielu dolin, wśród których leżą wsie i miasta. Pomiędzy temi dolinami rozpościerają się nieskończone faliste wyżyny, szare i gołe, aż dopóki w czasie niewielu tygodni wiosennych nie zacznie się puszczać trawa, która natychmiast ulega zniszczeniu przez stada owiec. Podczas dnia słońce piecze nie do zniesienia, w nocy zaś nawet w lecie panuje dotkliwie zimno.

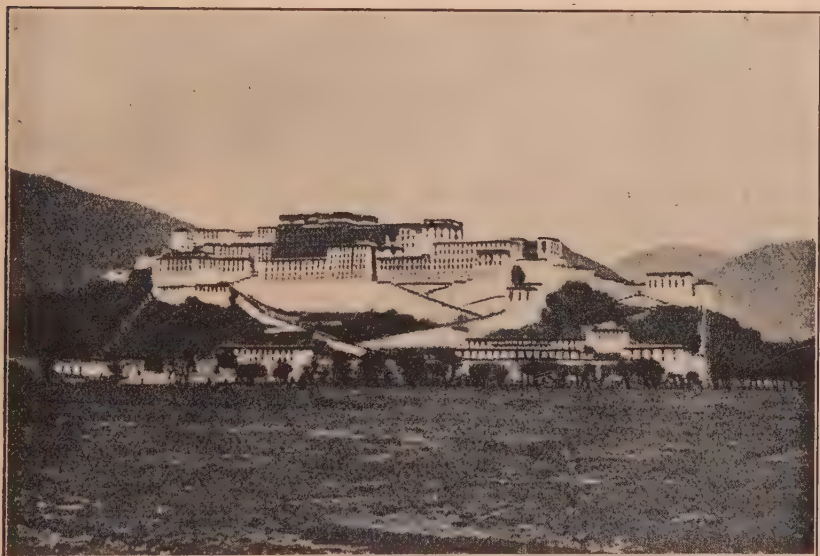
W miejscowości Tuna u stóp północnych przełęczy Tangla Anglicy rozbili swoje namioty na czas dłuższy, aby się uchronić od okropności zimy, a być może, doczekać posiłków i dowozu środków żywności.

Pełnomocnicy chińscy ani tybetańscy nie zjawiali się wcale, nie pozostawało więc nic innego, jak wyruszenie przy nastaniu cieplejszej pory dalej ku północy do Gyantse, pierwszego większego miasta na drodze do Lhasy. Kilkakrotne napady, które Tybetańczycy, podburzeni przez lamów²⁾, przedsięwzięli przeciw Anglikom na swój pierwotny nieregularny sposób, odparte były bez trudności. W kwietniu Anglicy, nie znajdując dalszego opo-

¹⁾ Im wyżej, tem ciśnienie powietrza jest mniejsze, im zaś ciśnienie powietrza jest słabsze, tem szybciej, t. j. przy mniejszej temperaturze wre woda, np. na wysokości 4.500 metrów woda wre zamiast przy 100° już przy 83° C. Otóż pokarmy, pogrążone w wodę wrzącą o zbyt niskiej temperaturze, nie mogą się dogotować. (Przyp. red.).

²⁾ Lamowie — kapłani buddyjscy.

ru, zajęli Gyantse. Dowództwo objął wtedy generał Macdonald i okopał się koło Gyantse na kilka miesięcy, gdyż wskutek częstych napadów Tybetańczyków i trudności w dowozie żywności czuł się za słabym do wyruszenia na Lhasę. W czasie tych miesięcy los ekspedycji byłby poważnie zagrożony, gdyby Tybetańczycy pomimo swej odwagi i pogardy śmierci nie okazali się byli wojownikami źle uzbrojonymi i niedoświadczonymi. Pomimo wielokrotnych nieudanych prób napadów; rząd Dalaj-Lamy ¹⁾ zbierał coraz to nowe bandy wojowników; wędrowni agitatorzy kręcili się wszędzie, podburzając cały kraj do powstania, tak iż nawet pewien czas droga odwrotu i dowozu była dla Anglików poważnie zagrożona. W czerwcu zaszło kilka ciężkich



Potala od strony południowej.

utarczek z Tybetańczykami, w których jednak straty były prawie całkowicie po stronie napadających krajowców. Dopiero 3 sierpnia 1904 r. ekspedycja dotarła do Lhasy i rozłożyła się obozem u stóp świętej góry Potala. Tu już nikt nie stawiał obcym wojskom oporu. Zjawił się w obozie angielskim pełnomoc-

¹⁾ Dalaj Lama — najwyższy kapłan buddyjski, uważany za wcielenie samego Buddy. W jego rękach spoczywa najwyższa władza nad Tybetem nie tylko duchowna, lecz i świecka.

nik chiński z zapewnieniem, że nikt nie myśli więcej o krokach zaczepnych, sam jednak Dalaj Lama mistyczny władca tajemniczego kraju — zdołał uciec.

Pomimo tej niespodzianki, która jednak nie miała następstw politycznych, gdyż układy w każdym razie musiały być prowadzone z Chinami, jako krajem, mającym zwierzchnią władzę nad Tybetem, oficerowie angielscy mogli się oddać bez przeszkody wrażeniom, jakie odczuwać muszą pierwsi Europejczycy, którzy mają wstąpić do miasta, do którego wstęp był dla nich dotąd wzbroniony.

Miasto zupełnie pogrążone w sadach i grupach drzew, leży w szerokiej, na 3 600 metrów wyniesionej, kotlinowatej dolinie, która od północy osłonięta jest wysokimi górami, od południa zaś otwiera się ku dolinie Sang-po, tak iż wilgotne wiatry południowe mają zapewniony dostęp bez przeszkód. Ował długości, być może, 3 kilometrów i szerokości o połowę mniejszej, obejmuje całe miasteczko z jego świątyniami i z górą Potala, najświętszem miejscem tego świętego miasta. Na szczycie tej góry wznosi się całe miasto świątyń, klasztorów i pałaców, między innemi i pałac, będący rezydencją Dalaj Lamy.

Ogólny widok tego tysiącletniego grodu, stolicy buddyzmu, wywołuje głębokie wrażenie u zwiedzających. Czy pielgrzym zbliża się od północy przez straszliwe pustkowia górnego Tybetu, czy też zdąża od południa od strony nizin Indyj i lodowców gór Himalajskich — wrażenie jest zawsze jednakowe. Ojciec (jezuita) Huc, który w r. 1846 przybył tu od północy z karawaną mongolską, daje taki opis: „ta mnogość stuletnich drzew, które otaczają miasto wałem zieleni, te wielkie białe domy, z płaskimi dachami, uwieńczone wieżyczkami, te liczne świątynie ze złożonemi dachami, to wzgórze Buddha-la (Potala), na którym wznosi się pałac Dalaj-Lamy — wszystko to przedstawia widok pełen majestatu i powagi“. Niemniej zachwycony badacz indyjski **Sarat Czandra-Das**, który zbliżał się do świętego miasta od południa po drodze ekspedycji angielskiej pisze: „Całe miasto rozpościerało się przed nami na końcu alei rozłożystych drzew; promienie zachodzącego słońca padały na złożone kopuły świątyń. Był to wspaniały widok, któremu podobnego nie widziałem nigdy. Po lewej ręce mieliśmy górę Potala z jej wyniosłemi gmachami o złożonych dachach. Przed nami na zielonej równinie leżało miasto z jego białemi domami podobnemi do wieżyc oraz budynkami chińskimi z niebieskimi dachami z cegieł emaljowanych“.

Co do wnętrza miasta, to chociaż panujące w niem straszne niechlujstwo niezupełnie odpowiada świetnemu wyglądowi zewnętrznemu, jednak Lhasa czyni wrażenie miasta zamożnego, ożywionego i, mimo świętości miejsca, wielce hałaśliwego. „Ciśną się ludzie, pisze Wegener, krzyczą i gestykują, kupują i sprzedają. Zwłaszcza zbierają się tu wielkie tłumy na coroczny jarmark w grudniu. Znajdziemy tu wtedy handlarzy z Chin, Sikkimu, Nepalu, Kaszmiru, Mongolji i innych krain. Mamy przed sobą różnorodną mieszaninę ubiorów, twarzy i języków¹⁾. Gdy jednak słońce kłoni się ku zachodowi, ustaje wszelka praca. Mieszkańcy zbierają się na płaskich dachach swych domów, na ulicach i wolnych placach, rzucają się na ziemię i odmawiają święte swoje formuły. Wtedy jedynie głuchy szept wspólnej modlitwy miasta wzbija się ku świętej górze Potala.

W K a n t o n i e

*Gordon Cumming. (Życie w Chinach)
przekł. Wiktora Wolskiego.*

Przez całe dwa dni wędrowałam po tem dziwnem mieście i trudno mi znaleźć słowa na opisanie wrażeń moich.

W Kantonie dla nowoprzybyłego świątynie (pagody) nie przedstawiają głównego zajęcia (choć jest ich tu zgórą 800, poświęconych niezliczonym bogom i boginiom); to co głównie bije w oczy i oszałamia, to zwyczajne życie na ulicach, od rana do nocy przedstawiające ciekawemu przechodniowi szereg nieprzerwany nowych a zajmujących obrazów. Wszystko tu tchnie życiem rzeczywistem, życiem wielkiego, skrzętnego narodu. Przeciwnie, w świątyniach uderza jakby jakiś martwy spokój. Złocenia i rzeźby pokryte kurzem i brudem; pobożnych bardzo niewielu, ponieważ mając takie mnóstwo bogów, nie mogą żadnemu z nich zbyt wiele czasu poświęcać.

Ale widok ulic jest nadzwyczaj zajmujący, chociaż są wąskie i po większej części brudne; niektóre mają tylko 6 do 8 stóp szerokości, a i ta szerokość zmniejsza się jeszcze przez oryginalny sposób umieszczania szyldów sklepowych pod prostym kątem do ulicy. Niektóre z nich są zawieszone w górze, inne przytwier-

¹⁾ W zwykłym czasie ludność Lhasy wynosi 31.000 głów, z tego 18.000 zakonników, w czasie zaś napływu pielgrzymów wzrasta do 50—80 tysięcy.

dzzone do rzeźbionych i wyzlaczanych słupów przy drzwiach sklepu. Szylidy te — są to wielkie deski, 10 do 15 stóp wysokości, czarne, czerwone, niebieskie, białe, niekiedy zielone, na których wyryte i wyzłocone dziwaczne znaki, oznaczające firmy sklepów, naszym nieświadomym oczom wydają się równie pięknie, jak tajemniczo.

Niektóre sklepy wywieszają modele z masy papierowej przedmiotów swego handlu; czapeczka atlasowa, lub śpiczasty kapelusz słomiany oznacza kapelusznika, trzewik — szewca;

gdzie indziej wachlarz, parasol, para ogromnych okularów i setki innych charakterystycznych znaków zapraszają przechodnia. Niektóre ulice zawierają tylko sklepy jednego gatunku: rzeźbiarzy słoniowej kości, sklepy z trumnami, z dziwnymi wotami dla zmarłych lub dla bogów i t. d.

Lecz główny urok tych ulic leży w tem, że z ulicy widzi się całe wnętrze sklepów, a każdy sklep, o 10 stopach frontu, przedstawia widok, godny rodzajowego obrazu.

Są one nie tylko składami artykułów na sprzedaż, ale zarazem pracowniami, gdzie, jeżeli czas na to pozwala, można się przyglądać każdemu procederowi od początku do końca roboty; a jeżeli różne przedmioty, jakich ten naród używa, wydają się nam dziwaczniemi, to o wiele dziwniejszemi są jeszcze sposoby ich wyrobu.

Nadto, mimo szczupłości miejsca, każdy sklep ma najmniej trzy ołtarze, przeznaczone do praktyk religijnych rodziny. Przy progu stoi tabliczka dla bożka ziemi, przed którą w pewne wieczory płoną świeczki i laseczki kadzidła. W głębi są tabliczki dla przodków i ołtarzyk bożka kuchennego z nieustannie płonącym światłem. Wiele sklepów ma prócz tego ołtarzyk dla bożka dostatków.

Nazwy ulic są rozczulająco alegoryczne. Są naprzykład ulice „wiecznie trwałej miłości“, „stutysięcznego spokoju“, „tysiąca szczęśliwości“, ulice poświęcone „pozdrawiającemu smokowi“,



Pagoda chińska w Kantonie.

„spoczywającemu smokowi“ i „wzlatującemu smokowi“. Bardzo niewonna uliczka w tem bardzo niewonnym mieście nosi nazwę ulicy „wonnych powiewów“. Znaczenie, jakie przywiązują do liczego męskiego potomstwa, okazuje się z nazwy ulicy „stu wnuków“, którą jednakże zaćmiewa ulica „tysiąca wnuków“.

Ulice brukowane są wąskimi, kamiennymi płytami, ale bez chodników, gdyż rzadko się zdarza, żeby ktoś konno jechał; lektyki natomiast zajmują często prawie całą szerokość drogi, tak



Ulica w Kantonie.

że cierpliwie tłumy muszą ustępować tuż pod sklepy, ażeby je przepuścić.

Z wyjątkiem bogatych kupców, pozwalających sobie na jedwabne materje w różnych kolorach, cały tłum ubrany jest niebiesko, a wszyscy mają wygolone głowy i długi warkocz połyskujących kruczonych włosów, który dla wygody przy robocie czasem zawijają wkoło głowy, lecz który musi być zawsze rozwinię-

ty w całej okazałości wobec osób wyższego stanu¹⁾. Szczelnie przylegająca czapeczka z czarnego atłasu jest uzupełniającą częścią ubrania. Niema tu po ulicach przystających próżniaków; wszystko śpieszy za interesem, a przechodnie z przeciwnych stron wymijają się zręcznie, nie poszturchując, a nawet nie dotykając wzajemnie.

Między przechodniami mnóstwo wędrownych przekupniów, z których każdy niesie na ramieniu tykę z wiszącymi na niej towarami. Cukiernik, lub piekarz dźwiga na niej dwa pudła z tacami smacznych rzeczy, handlarz ryb niesie dwie wanienki, napełnione żywymi rybami albo na dwóch wielkich tacach ryby, pokrajane na drobnutkie porcje, osmarowane krwią, ażeby wyglądały świeżo i apetycznie. Rzeźnik ma również dwie tace z surowym mięsem bardzo niepewnego pochodzenia, pokrajanym na małe kawałki. Ogrodnik niesie kwiaty i jarzyny w dwóch płaskich koszach, handlujący sztucznymi kwiatami ma je w dwóch pudłach z przegrodami i idąc, dzwoni małym dzwonkiem; balwierz dźwiga oryginalny czerwony stołek, czerwony również stolik, miednicę i inne przybory, i gotów każdej chwili obsługiwać swoich klientów na ulicy. Jakkolwiek każdy z tych przekupniów jest malowniczym w swoim rodzaju, to jednak balwierzowi w tym względzie należy się pierwszeństwo. Ubrany w ciemno-niebieską bluzę i także pantalony, w słomianym kapeluszu o szerokich rondach, odbija jaskrawo od szkarłatnego stołka i takiegoż stolika z mosiężną miednicą.

Rolę naszych przekupek spełniają przekupnie, sprzedające trzcinę cukrową, oraz obrane pomarańcze, tańsze od całych, ponieważ skórka, używana w wielkich ilościach do sporządzania lekarstw, większą ma wartość, niż sam owoc.

Wśród tłumów śpieszą ludzie z pełnymi konewkami wody, wiszącymi na drągach bambusowych. Zaopatrują oni w wodę większą część ludności. Inni bez ceremonji niosą niezakryte naczynia z obrzydliwie cuchnącą zawartością, z czego możnaby wnosić, że Chińczycy pozbawieni są zmysłu powonienia i że względy publicznej higieny poświęcają na korzyść ekonomicznej uprawy pól.

Co chwilę spotykaliśmy jaką wielką figurę, niesioną w ciężkiej lektyce; za nią na koniach jechali podwładni, gdy piesi służyli biegli przodem celem torowania drogi, używając swych dłu-

¹⁾ Po rewolucji w r. 1911 noszenie warkoczy przez mężczyzn, wprowadzone przez Mandżurów, zostaje coraz bardziej zarzucane. (Prz. red.).

gich warkoczy, jako biczyska, któremi uderzali pospólstwo, dając mu w ten delikatny sposób do poznania, że ma prędko na bok ustąpić.

Prócz Kantonu na lądzie jest jeszcze drugi: Kanton pływający. Mamy możność zwiedzenia tej dziwacznej części miasta podczas wycieczek po rzece, gdy płyniemy pomiędzy niezliczonymi czółnami. Ludność, żyjąca na łodziach, w samym Kantonie wynosi podobno do 300 000 osób. Życie tych ludzi od kolebki do grobu upływa wyłącznie na wodzie, przynajmniej życie kobiet, co do mężczyzn, wielu z nich pracuje przez dzień na lądzie, a wieczorem powraca do maleńkich, ale bardzo schludnych, pływających domków. Domy te, kształtu pantofla, mają nieprzemakalne dachy z plecionki bambusowej.

Wszystkie objawy życia na lądzie powtarzają się na wodzie, w formie mniej lub więcej odmiennej. Zamiast sklepów jest cała flotylla łodzi targowych, przesuwających się ciągle po rzece; każda z nich zaopatruje ludność wodną w jakiś towar. Są łodzie z oliwą, z drzewem opałowym, z ryżem, z trzcina cukrową; są łodzie z owocami, z ziarnkami melonowymi, z raczkami, z rybami; łodzie piekarzy, cukierników; łodzie z rozmaitymi gatunkami mięsiwa, przeważnie wieprzowiny. Niektóre ogłaszają swoje towary wywieszeniem jakiegoś znaku, jako to glinianego garnka, wiązki drzewa i t. d., tak, żeby klienci mogli je dostrzec zdaleka. Są także pływające kuchnie, gdzie się przyrządzają nie tylko skromne, ale często także i bardzo wykwintne obiady; te, zastawiają się na pokładzie wielkich pływających restauracji, zwanych „łodziemi kwiatowymi“, a urządzonych z największym zbytkiem. Łodzie te na noc są rzęsiście oświetlane. Bogaty Chińczyk, pragnący dać swym przyjaciółom biesiadę wesołą, a nieskrępowaną ściśle przepisami etykiety, najmuje w tym celu taką łódź kwiatową, a biesiady takie zwykle są uprzyjemnione obecnością bogato przybranych śpiewaczek.

Są także pływające hotele dla przyjezdnych, przybywających po zamknięciu bram miasta. Są również łodzie kościelne, bo chociaż każda łódź posiada własny ołtarz domowy, jednak i publiczne nabożeństwo nie jest zaniedbane.

Ale najdziwaczniejsze ze wszystkich tych łodzi są łodzie z kaczkami i gęsiami z których niejedna mieści po 2 000 ptaków. Drób ten wylęgany sztucznie w osobnych hodowlach po wsiach okolicznych, właściciele łodzi zakupują hurtownie i tuczą na targ. Widząc te łodzie, nie dziwiłam się już więcej mnogości tej

strawy po sklepach w Kantonie; zdaje się, że jest ona jednym z ważniejszych wiktuałów. Oprócz wydatku na zakupno młodych ptaków, właściciel nie ponosi żadnych kosztów na ich wytuczenie; poprostu wypędza je codziennie na błotniste brzegi i okoliczne pola, gdzie znajdują mnóstwo raczków; żab, robaków, owadów i ślimaków. Po upływie czasu na paszę przeznaczanego zapędza je do łodzi, i, muszę przyznać, że nigdy nie widziałam tak posłusznej czeredy; gęsi porzucają najsmaczniejsze kąski, żeby się nie spóźnić na komendę, a to z obawy przed pręcikiem bambusowym, który niechybnie czeka spóźnionych.

Dziwna rzecz, że mieszkańcy owych tysięcy łodzi, ustawionych przy brzegach w zwartych szeregach, czerpią wodę wyłącznie tuż przy łodzi, z ogromną ilością rozpuszczonych nieczystości. gdy tak łatwo, odpłynąwszy dalej, mogliby zaczerpnąć wody stosunkowo zdrowej w środku rzeki. A tego mętnego płynu używają bez filtrowania do wszelkich domowych potrzeb, i dzieje się to jednak bezkarnie; o chorobach epidemicznych nie słychać. Należy to, być może, przypisać temu, że tu ludność zwyczajem chińskim, pije tylko gotowaną wodę w formie herbaty.

Cześć przodków w Chinach

E. Bard.

Całe setki milionów Chińczyków żywych podlegają niewidzialnej władzy tysięcy milionów Chińczyków umarłych. Pokolenie teraźniejsze jest nierozzerwalnie związane z pokoleniami przeszłymi.

Chińczycy wierzą, że duchy zmarłych mogą sprzyjać lub szkodzić swoim potomkom stosownie do tego, czy się je czci lub zaniedbuje. To też zmarłym przodkom oddaje się cześć największą; tabliczki z wypisanymi imionami przodków znajdujemy w każdym domu ustawione w licznych szeregach w kapliczce domowej. Przed temi tabliczkami w pewne dni zastawiają pokarmy, które następnie spożywają domownicy. Wielokrotnie w ciągu roku udają się na grób krewnych, palą tam papierowe wyobrażenia rozmaitych przedmiotów i stawiają potrawy, które później zjadają.

Tylko dzieci płci męskiej zdolne są oddać rodzicom cześć pośmiertną. Wogóle w Chinach przywiązanie synowskie stawiają na pierwszym miejscu pomiędzy cnotami. Nie można wyrzucić komuś większej i krwawszej zniewagi, jak nazywając go bezboż-

nym synem. Jest to jedyna zniewaga, zdolna doprowadzić do gniewu nicponiów, wyśmiewających się ze wszystkiego. Niegodny syn nie jest człowiekiem.

Otóż cześć oddawana zmarłym przodkom jest właśnie największym aktem miłości synowskiej. Syn, który za życia pragnie się przypodobać rodzicom, darowuje im piękną trumnę, którą oni z wdzięcznością przyjmują i na honorowym stawiają miejscu. Wyobraźmy sobie minę ojców europejskich, którychby spotkał tak wesoły prezent!

Cześć dla umarłych przodków jest uczuciem najsilniejszym, najbardziej zakorzenionem w sercach ludzkich i obyczajach. Dzieci obowiązane są zachować szacunek dla zmarłych rodziców, czcić ich pamięć i składać ofiary, aby ich wspomagać w pozagrobowem życiu. W określonych porach roku przed ich tabliczkami i grobami stawiać powinny stoły zastawione potrawami, bić pokłony i spełniać inne zabobonne przepisy, aby ich uczcić należycie. Chińczycy dla tego właśnie najsilniej pragną pozostawić po sobie potomków płci męskiej, aby kiedyś w przyszłości nie być pozbawionymi tej czci pośmiertnej. Ci, którzy własnych synów nie mają, adoptują dzieci cudze.

Synowie nieboszczyka winni nosić żałobę przez trzy lata; czas ten jednak zmniejsza się w praktyce do 27 miesięcy, a u mniej gorliwych do jednego roku. W tym okresie wszelkie zajęcia ustać powinny; lecz tylko urzędnicy stosują się do tego przepisu i na czas żałoby zrzekają się urzędów.

Wydatki na pogrzeb rodziców są bardzo znaczne. Znałem w Chinach rodziców, którzy w miarę posuwania się w lata i zdziecinnienia stawiali coraz większe wymagania co do swego przyszłego pogrzebu. Często zdarza się widzieć Chińczyków, sprzedających swe grunty a nawet i domy dla dogodzenia woli zmarłych.

Miałem sposobność widzieć zbliża przygotowania do pogrzebu chińskiego i zdać sobie sprawę z ogromnych wydatków, jakie pogrzeb za sobą pociąga. Chowano dyrektora pewnej przedsiębiorni bawełny, a naszego najbliższego sąsiada. Skoro złożono ciało do trumny, zrobionej z drzewa grubego na 15 — 20 centymetrów, bogato ozdobnej laką i złoceniami, przeniesiono je do sali przyjąć, w której znajdują się tablice przodków. Codzień stawiano przed umarłym potrawy, które zresztą sumiennie sprząтали kapłani i krewni. Gromada kapłanów buddyjskich w bogatych strojach recytowała dzień cały jakieś litanje z odpowiedziami. Wieczorem inny zastęp kapłanów bożka Tao w niemniej

świetnych szatach, bogato haftowanych, warkoczach wysoko upiętych (w przeciwieństwie do kapłanów buddyjskich, którzy mają głowy ogolone) przychodził zastąpić duchowieństwo buddyjskie w ceremonjach i modłach. Trwało to sześć miesięcy. Tymczasem gromadzono wokoło trumny wyobrażenia papierowe różnych przedmiotów, używanych za życia przez zmarłego. Były to kufry papierowe, meble rozmaite, tekturowy powóz z koniem i stangretem, lektyka, ubrania, służba, wyrobione z masy papierowej. W dzień pogrzebu wszystkie te przedmioty niesiono w orszaku, długim prawie napół wiorsty; wszystko zaś wraz z mnóstwem rulonów pieniędzy z papieru złotego i srebrnego spalono na grobie. Dym z tych przedmiotów przypada do gustu i zaspokojenia potrzeb duchów czystych. Tak sądzą Chińczycy. Grobów swoich nie kopią; stawiają trumnę na ziemi i usypują na niej mogiłę lub obmurowują cegłą. Całe Chiny pokryte są tego rodzaju pagórkami.

W rozmaitych porach roku Chińczycy przychodzą oddawać hołd zmarłym. Wtedy znowu przynoszą ze sobą stosy owych papierowych pieniędzy, które palą na grobach dla zapobieżenia potrzebom pozaświatowym swych ojców. Nie zaniedbują też stawiać jedzenia, które, pozostawione tam czas jakiś, spożywane bywa przez ofiarodawców.

Chińczyk jest bardzo przywiązany do swego rodzinnego miejsca i dba o to, aby jego śmiertelna powłoka powróciła do rodzinnej ziemi, choćby go śmierć zaskoczyła w krainie bardzo odległej; mają oni to przekonanie, że skoro ich ciało spocznie gdzie indziej, duch błakać się będzie, pozbawiony wszystkiego, gdyż nikt nie przyjdzie odprawić na ich grobie uroczystości czci przodków przynależnej. W San Francisco istnieją specjalne stowarzyszenia chińskie, które się zajmują przewożeniem do Chin całemi partjami zwłok rodaków zmarłych na obczyźnie. Nawet w samych Chinach, w różnych prowincjach, mieszkańcy obcych okolic tworzą stowarzyszenia podobne. W Szanghaji, na przykład, jest jedna kompanja Kantonczyków, inna przesiedleńców z Ningpo, trudniąca się wyrobem trumien i przechowywaniem nieboszczyków na składzie, nim zostaną do rodzinnych miast przewiezieni.

Szkoły i oświata w Chinach

Hesse-Wartegg.

Jak w krajach muzułmańskich, tak samo i w Chinach nie trzeba długo szukać szkoły ludowej; poznać ją można zdaleka po gwałtownym wrzasku i hałasie. Wprost zadziwiająca jest rzeczą, co za gwar i hałas mogą wznieść te małe wygolone łobuzięta w wieku 6 do 8 lat! Zwykle w szkole niema ich więcej, niż 20 do 30, a tymczasem możnaby pomyśleć, że ich jest przynajmniej dziesięć razy więcej: takie zdrowe mają płuca! Od wczesnego poranku do zachodu słońca ćwiczą swoje gardła bezustanku, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem; — ani odpoczynku niedzielnego, ani wakacyj, tego złotego czasu europejskiej młodzieży szkolnej, w Chinach wcale nie znają. Zajęcia szkolne zaczynają się tuż po nowym roku, kurs zaś kończy się niezadługo przed nastaniem następnego nowego roku, a wznawia zaraz po ukończeniu uroczystości noworocznych. Tak się to ciągnie trzy, sześć, dziesięć lat, zależnie od stopnia uczoności, do jakiego rodzice chcą doprowadzić swoje dzieci. Uczą się wogóle tylko chłopcy; dziewczyna uważa się za własność domu, rodziny, do szkoły jej nie oddają; to też rzadko można znaleźć Chinkę, która umiała dobrze czytać i pisać.

W czasie mych wędrówek po Kantonie chciałem się zapoznać z początkowymi szkołami dla dzieci, ale ukazanie się cudzoziemca zmieszałoby przypuszczalnie tak nauczyciela, jak i uczniów. Zacząłem więc szukać okazji do przypatrzenia się szkole, będąc niepostrzeżonym. Naprzeciwko jednej z licznych kamiennych, wielopiętrowych wież — lombardów, wznoszących się tu i owdzie ponad morzem innych budowli olbrzymiego miasta, zauważyłem małego domek. Dolne piętro zajmował gospodarz domu — stolarz, górne zaś piętro odnajmował on prywatnemu nauczycielowi, u którego uczyło się do dwudziestu skośnokich dzieciaków. Otóż mój tłumacz wystarał się u właściciela lombardu o pozwolenie dla mnie spędzenia jednego rana na pierwszym piętrze jego wieży. Zamknąwszy ciężkie okiennice okna, znajdującego się akurat naprzeciwko szkoły, zacząłem obserwować przez szparkę. Pomieszczenie szkolne znajdowało się ode mnie na odległość jakiegoś metra, można więc było wszystko widzieć doskonale.

Nauczyciel, stary człowiek, miał na nosie okulary niezwy-

kłej wielkości, ale czytając, patrzył ponad nimi. Wszyscy nauczyciele, których widziałem w innych miastach, także nosili okulary, nie z powodu słabości wzroku, lecz jako oznakę swej uczoności i dla dodania sobie powagi. Obok nauczyciela stał stolik, na którym leżała długa cienka trzcina bambusowa. Przeznaczenie jej nie wymaga wyjaśnień. W jednym kącie przy tylnej ścianie stała tablica drewniana na wysokości jednego metra od podłogi; pokryta była chińskimi hieroglifami. Tłumacz objaśnił mi, że na tablicy napisana była pochwała dla Konfucjusza. W drugim kącie zauważyłem jakąś przerażającą fizjognomję, namalowaną na papierze — to wyobrażenie boga mądrości. Tak przed tablicą, jako też przed owem straszidłem stały doniczki z piaskiem, w której wetknięte były dymiące stoczki. Reszta urządzenia pokoju składała się z kilkunastu stolików i stołków dla uczniów. Sami uczniowie, uszykowawszy się długimi rzędami przed nauczycielem, wykrzykiwali głośno za nim zdania, które im odczytywał z maleńkiej książeczki. Przytem uczniowie machali rękami i przeskakiwali z nogi na nogę, tak że długie warkoczki kołysały im się na karkach, niby wahadła zegarowe. Każdy uczeń trzymał w jednej ręce mały czerwony pasek papieru, pismem pokryty, i spoglądał nań od czasu do czasu. W przerwach cała ta falanga wracała na swe miejsca, zapewne w tym celu, aby wyuczyć się na pamięć tego, co dopiero co posłyszeli od nauczyciela.

Siedząc, dzieci nie mogły już tak dogodnie podrygiwać nogami i machać rękami, wynagradzały sobie to jednak, potrząsając głowami, kiwając się tułowiem i wykrzykując na całe gardło wyuczane zdania. Wszystko to nie przeszkadzało do drzemki nauczycielowi w okularach. Początkowo niby całkowicie pogrążał się w książkę, leżącą na kolanach, później zaczynał kiwać głową, niby porcelanowa lalka chińska, nakoniec zasypiał twardo mimo wszelkie hałasy i krzyki. Ale oto wśród lekcji wszedł do klasy jakiś opóźniony uczeń. Towarzysze przyjęły go takim ogłuszającym krzykiem, że nauczyciel obudził się. Gniewnie spojrzał na opóźnionego, który zbliżył się bojaźliwie ku wyobrażeniu boga mądrości, pokłonił się przed nim do samej ziemi, to samo uczynił przed tablicą Konfucjusza i wreszcie przed samym nauczycielem. Ten jednak przyjął go niezbyt łaskawie: chwycił za kołnierz, położył na kolanach i niemilosłownie wykropił trzcina bambusową. Reszta uczniów nie śmiała podnieść oczu. Wyuczywszy się lekcji, każdy z nich podchodził do nauczyciela, podawał mu czerwony paperek i recytował

treść, przyczem obracał się do nauczyciela nie twarzą, lecz tyłem.

Ostatnia lekcja była piśmienna. Przed każdym uczniem na stoliku leżały kajeciki z papieru przezroczystego, włosiany pędzelek z obsadką bambusową i spodeczek z tuszem. Nauczyciel rozdał wzory, uczniowie podłożyli je pod ostatnią kartkę w kajeciku (Chińczycy nie tylko piszą pionowo z góry do dołu, ale i zaczynają od ostatniej stronicy, a nie od pierwszej) i wzięli się do oprowadzania tuszem konturów znaków czyli słów, przeświecających przez papier. Przytem bardzo zręcznie trzymali cały czas ręce w powietrzu, nie kładąc łokci na stole. Napisawszy jedną stronicę, dzieci brały się do drugiej, a nauczyciel cały czas przechodził od jednego stolika do drugiego, objaśniając porządek kreseczek i znaków. Każdy z pomiędzy niezliczonych znaków-słów języka chińskiego składa się z kilku oddzielnych kreseczek i znaków w liczbie do trzydziestu, a nawet więcej; nieprawidłowe nakreślenie choćby jednego z nich może zmienić sens całego znaku. Również nie wszystko jedno jest, skąd zacząć kreślić znak jakiś, z góry, z dołu, czy od środka. Zacząć tylko nieprawidłowo, a wykreślenie danego znaku utrudnia się znacznie, tak samo, jakby się dla nas utrudniło napisanie jakiegoś słowa, gdybyśmy go zaczęli pisać od litery, znajdującej się w środku lub na końcu. Koło godziny dziesiątej rano nauka została przerwana na godzinę. Malcy zebrali swoje rzeczy i rozeszli się do domów, w porządku, poważnie, a nie z wesołym hałasem i gwarem, jak nasi uczniowie.

Lokal szkolny opustoszał, i przewodnik zaprowadził mię tam. Stoły i stołki nie były zavalane, podrapane, porznięte, jak w naszych szkołach; przeciwnie, zadziwiały swoją czystością i porządkiem. Na stole nauczyciela leżała książka, skąd czerpał on swoją mądrość. Tę samą książkę widziałem później we wszystkich chińskich. W przeciągu tysiącleci książka ta przechodzi bez zmiany z pokolenia na pokolenie, jako pierwsze źródło wszelkiej mądrości chińskiej. W języku chińskim, jak wiadomo, niema liter, lecz każde słowo, każde pojęcie wyraża się oddzielnym znakiem. Trudno jest wyjść z podziwu, że tysiące milionów dzieci, uczących się z tej książki od dziesiątego stulecia, zaczynają wprost od filozoficznej nauki Konfucjusza zamiast od alfabetu. Pierwsze zdanie w tym podręczniku, który się nazywa „Sian-tsydzian“ czyta się tak:

Czen-czi-tsu, sin bu szań.
Sin-sian-tzin, si sian ieten.

To są obowiązki wszystkich ludzi“.

Oto jakie sentencje musi każdy chłopiec chiński wykuć na pamięć, nie rozumiejąc z nich ani słowa, ponieważ napisane są w języku staro-chińskim, który obecnie rozpadł się na liczne narzecza, różniące się pomiędzy sobą nie mniej, niż np. niemiecki język różni się od łaciny.

Tysiące znaków! A tu przecież nauka nie kończy się na jednej tylko księdze „Sian-tsy-tzian“. Po tym pierwszym podręczniku następuje drugi treści podobnej, z nowymi tysiącami znaków. Druga ta księga ułożona została w 502 roku po nar. Chrystusa. Gdy już dzieci pokonają i tę księgę, następuje z kolei „czteroksiąg“ i „pięcioksiąg“, zawierające największe skarby literatury chińskiej.

W tych, tak zwanych dziewięciu księgach świętych zawiera się 4601 rozmaitych znaczków-słów, z pomiędzy których, jednak, większa część należy do przestarzałych.

Dopiero, gdy młody Chińczyk nauczy się na pamięć jednej za drugą wszystkich tych ksiąg, wtedy nauczyciel zaczyna mu je objaśniać, korzystając przy tem z komentarzy Czu-fu-tsi, pochodzących z czasów wojen krzyżowych. Oto są podstawy wiedzy, podawane w szkole chińskiej podrastającemu pokoleniu. Matematyka, geografia, historia, religja, język potocznej mowy, oraz jakiegokolwiek nauki stosowane — wszystko to jest bezwarunkowo wyłączone z programu chińskiego nauczania. Nawet ludzie, uważający się u Chińczyków za największych uczonych, nie mają często najmniejszego wyobrażenia o lądach, nie mówiąc już o oddzielnych krajach. Wszystko, co się znajduje poza obrębem „Państwa Niebieskiego“ uważa się za ziemię barbarzyńców, i tylko ci z pomiędzy mandarynów, którzy mieszkają w portach handlowych, otwartych dla Europejczyków, mają niejakie pojęcie, jeżeli nie o położeniu, to choć o znaczeniu Niemiec, Anglii i Rosji. W stosunku do najzwyklejszych przedmiotów wiedzy, które nasi uczniowie znają doskonale nawet w najniższych klasach, w Chinach panuje zupełna ignorancja i ciemnota, taka sama, jaką się odznacza nasza młodzież w stosunku do mądrości Konfucjusza.

W Chinach nie znają kształcenia państwowego, nie znają żadnych szkół państwowych, ani miejskich, obowiązkowego nauczania, kursów, dyplomów, wakacyj. Ale w każdym mieście, w każdej wsi znajduje się pewna liczba szkół prywatnych; utrzymują je zwykle kandydaci na urzędników, którzy przepadli na egzaminach państwowych. Pobierają oni od 2 do 5 lan (około

3—8 rubli) od każdego ucznia, co przynosi przy obecności 20—40 uczniów od stu do 150 lan dochodu rocznego. W wielkich miastach często się zdarza, że zamożniejsi rodzice, mieszkający na jednej ulicy lub w jednej dzielnicy, składają się i najmują dla swych dzieci domowego nauczyciela; zdarza się, że to samo czyni jedna jakaś bogatsza rodzina, albo cech rzemieślniczy lub gildja kupiecka, które wyznaczają w swych domach lub klubach pomieszczenie dla szkoły.

Dobroczynność, rozpowszechniona w Chinach, podtrzymuje też niemało szkół, ale wszędzie nauka prowadzi się podług jednakowego programu. W szkołach wyższych, otwartych w ostatnich czasach w niektórych wielkich miastach, np. w Kantonie, Szang-hai, Tien-tsinie nie spotykamy też innych podręczników; za najważniejsze przedmioty uważają się tam: styl wykwintny, wierszowanie i korespondencja. Nauka ostatniej polega nie na umiejętności łatwego i jasnego wyrażania myśli, lecz na wyuczeniu się na pamięć możliwie największej liczby stereotypowych wyrażen i obrotów stylowych, którymi piszący jak najbardziej upokarza siebie i swą rodzinę, natomiast o ile można wywyższa osobę, do której pisze. Nowo utworzone wyższe szkoły i uniwersytety w Pekinie, Nankinie i Tien-tsinie nie można też uważać jako takie, w każdym jednak razie uczą tam czegośkolwiek więcej, niż w zwykłych szkołach chińskich, a więc matematyki, geografji, historii, a przede wszystkim języków obcych. Jeżeli sobie życzą, aby młodzieniec wydoskonalił się w matematyce, w rozmaitych rzemiosłach i sztukach, to po kilku latach nauki w jednej ze szkół, oddają go na naukę do kupca lub przemysłowca. Jedynym zaś nabytkiem umysłowym, z którym młodzieniec wychodzi w świat, opuszczając szkołę, jest umiejętność czytania i pisania i to w stopniu ograniczonym, zależnym od ilości lat nauki.

Niższe warstwy ludności zadowolają się tem, że posyłają swoich synów do szkoły w ciągu 2 do 3 lat. Robotnicy, ogrodnicy, łódkarze, kulisy, tragarze — tego nawet nie robią. Wogóle można powiedzieć, że około 30% ludności umie przynajmniej podpisać się i odczytać najprostsze napisy i szyldy, od 10 do 20% — jest w możności napisania prostego listu, a zaledwie około 5% ma pewne pojęcie o języku i literaturze. Zato ci nieliczni cieszą się najwyższem poważaniem swych współobywateli. Wielki szacunek dla wykształcenia, okazywany przez Chińczyków, uwidatnia się przez to, że nikt nie może się stać ani prostym urzędnikiem ani mandarynem, ani ministrem lub am-

basadorem, nie złożywszy egzaminów; przynajmniej takie jest prawo. Każdy zaś, który złożył egzamin, choćby nawet nie otrzymał miejsca urzędnika, staje się osobą poważaną w swej dzielnicy, zwolniony jest od kary cielesnej, od klękania i bicia czołem przed sądem oraz otrzymuje prawo wywieszenia u wejścia do swego domu tablicy z oznaczeniem otrzymanego stopnia naukowego.

Skoro Chińczyk ma pewność, iż opanował już wszelkie mądrości, rozrzucone po siedmiu księgach świętych, przed tysiącem lat napisanych, wtedy zawiadamia on o swem życzeniu poddania się publicznym egzaminom państwowym, które się odbywają dwa razy w ciągu trzech lat w miastach powiatowych. Do egzaminów dopuszczają się osoby każdego wieku, młodzi i starzy. Egzaminy są piśmienne; osobni urzędnicy; wyznaczani są przez władze prowincji na egzaminatorów, którzy sprawdzają i oceniają wypracowania kandydatów. Ci, których prace uznane zostały za najlepsze, zwykle dziesiąta część wszystkich, którzy przystąpili do egzaminu, otrzymują upragnioną gałkę na kapeluszu i tytuł „sin-tsaj“, co znaczy: „genjusz w zarodku“.

Jest to jednak dopiero pierwszy i najniższy stopień, prowadzący na Parnas chiński; jest to niezbędny warunek, otwierający drogę do egzaminu w głównem mieście prowincji, odbywającego się raz na trzy lata, zwykle we wrześniu. Tu już egzaminują członkowie Pekinśkiej Chan-lińskiej akademji, tej chińskiej akademji nauk, i wyznaczani są przez samego cesarza. W charakterze zaś asystentów obecni są wice-gubernator prowincji i wyżsi mandaryni.

Wszystkim Europejczykom, którzy zwiedzają główne miasta prowincyj, a szczególnie Kanton, Han-czou i Nankin, pokazują zwykle wielkie „świątynie egzaminacyjne“. Prawdę rzekłszy, gdym się znalazł w jednej z takich „świątyń“ w Kantonie, to mi się zdawało, żem się dostał na jakieś targowisko bydła. Był to obszerny plac, równy, porosły chwastami, ogrodzony wysokim starym murem. Szeroka droga, niedbale utrzymana, prowadzi od jednej bramy wejściowej do drugiej przez cały plac, przecinając go na dwie równe części. Z obydwu stron tej drogi ciągną się rzędy jakichś niziutkich jakby chlewików, mających nie więcej, niż trzy kroki szerokości i oddzielonych jeden od drugiego przejściami szerokości dwu kroków. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, do czego są przeznaczone te „chlewy“, a mój przewodnik zaproponował, bym wszedł do jednego z nich przez małeńki otwór wejściowy. Znalazłem się w komórcie z gołemi ścia-

nami z cegły. Nie było tam okien, ani żadnych sprzętów. Obok otworu wejściowego i w ścianie przeciwległej zauważyłem płytkie poziome wgłębienia, czyli nisze; podłoga pokryta była śmieciami, z których, przy naszym zjawieniu się, wyskoczyły jaszczurki. W szczelinach ścian roily się stonogi i inne stworzenia. Taki sam widok przedstawiały inne komórki, podobne do cel więziennych. Drzwiczki każdej celki oznaczone były numerem.

Zupełnie inaczej przedstawiają się „świątynie egzaminacyjne“ w czasie egzaminów wrześnieowych! Wewnątrz tych murów zbiera się wtedy od 15 do 20.000 ludzi; uwaga całej prowincji z trzydziesto-miljonową ludnością zwraca się ku tej arenie zapasów naukowych. Jeszcze na tydzień przed początkiem egzaminów zbierają się w Kantonie kandydaci ze wszystkich części



Świątynia egzaminacyjna w Kantonie.

prowincji ze swymi krewnymi i przyjaciółmi, wynajdują sobie schronienie w hotelach lub domach prywatnych i zgłaszają się następnie do komisji egzaminacyjnej, której przedstawiają poświadczenie tożsamości osoby. Komisja mieści się również w świątyni egzaminacyjnej w celach trochę obszerniejszych, zbudowanych na drugim placu, mniejszym, przylegającym do głównego. Członkowie komisji, mieszkają tam przez cały miesiąc trwania egzaminów. Egzaminatorzy cesarscy, wyżsi mandaryni, setki urzędników, pisarzy, sekretarzy, żołnierzy i stróży wypełniają pomieszczenia, które dotąd stały pustkami i czynią wszelkie przygotowania do egzaminów, w których zwykle bierze udział 8 do 12 tysięcy kandydatów, czasem więcej, tak że „świą-

tynia“ nie może ich pomieścić. Wielki plac przyprowadza się do porządku, małe, ciemne celki, których liczba dochodzi do 8.600, zamiatają się również, uprzątają i przygotowują do zajęć naukowych. Przygotowanie to polega zresztą jedynie na tem, że do zagłębień w ścianach wstawia się szerokie deski. Deska w niszy obok wejścia służy do siedzenia, druga zaś deska w niszy w ścianie przeciwległej zastępuje stół do pisania. Wczesnym rankiem w oznaczonym dniu kandydaci w towarzystwie krewnych, przyjaciół i sług zbierają się przed bramą wejściową „świątyni“. Wszyscy kandydaci obarczeni są ubraniem, kołdrami, zapasami żywności, kociołkami, blaszankami do herbaty i innemi sprzętami gospodarstwa domowego, zmuszeni są bowiem pozostawać w przeznaczonych dla siebie celkach w ciągu całych dziewięciu dni; dopiero trzecią i szóstą noc pozwala im się spędzić na wolności poza surowo strzeżoną „świątynią“. W obrębie jej nikt nie może towarzyszyć kandydatom, żegnają się oni u wejścia z odprowadzającymi i wchodzą w bramę, niosąc na sobie cały swój багаż. Tu poddają kandydatów surowej rewizji dla sprawdzenia, czy nie mają przy sobie kieszonkowego wydania klasyków lub innych przedmiotów zabronionych.

Po rewizji kandydaci zgłaszają się do mandarynów, którzy wręczają każdemu ostemplowany arkusz papieru, na którym oznaczone jest nazwisko kandydata oraz numer przeznaczonej dla niego celi. Potem kandydaci oczekują z natężeniem rozdania maleńkich czerwonych bilecików z tematami, które są drukowane w samej świątyni. Na owe tematy kandydaci powinni napisać w ciągu dwóch dni trzy wypracowania prozą i jedno wierszem. Wypracowanie nie może zawierać więcej, niż cztery-sta, a mniej, niż trzysta znaków-słów.

Oddawszy te wypracowania, kandydaci mogą na jedną noc opuścić bez przeszkody świątynię. Przy powrocie znów podlegają rewizji i otrzymują nowe cele, w których w ciągu dwóch dni piszą nową serję wypracowań, w liczbie pięciu, na tematy klasyczne. Trzecia serja zdań pisze się w ciągu następnych trzech dni; tym razem egzaminatorzy dają tematy dowolne, w ostatnich latach czasami nawet tegoczesne, jako to z prawa państwowego, geografii ojczystej, matematyki i t. p. Po oddaniu tej ostatniej serji wypracowań, kandydaci są już wolni i mogą opuścić swoje cele, ale mija jeszcze kilka tygodni, nim się mogą dowiedzieć o rezultacie egzaminów. Każde z przedstawionych wypracowań, a liczba ich dochodzi do trzydziestu tysięcy, podlega najstaranniejszemu rozpatrzeniu, które, dla uniknięcia wszel-

kich nadużyć, otoczone jest najsurowszymi formalnościami. Przedewszystkiem urzędnicy zakleją paseczkami papierów nazwiska autorów, wypisane na ich pracach, i oznaczają wypracowania numerami. W ten sposób egzaminujący nie mogą już wiedzieć, czyją pracę przeglądają.

Następnie całe te tysiące prac przepisuje się czerwonym atramentem, poczem mandaryni trzeciej klasy przystępują do oceny wszystkich rękopisów. Prace, które uznano za najlepsze, oddawane są do przejrzenia wyższym egzaminatorom, wyznaczonym przez samego cesarza, lecz i ci ostatni muszą mieć do czynienia przynajmniej z dziesięcioma procentami, t. j. z dwoma, trzema tysiącami wypracowań, napisanych przez 800 do 1000 kandydatów. Na każdą prowincję przeznacza się tylko określona liczba stopni literacko-naukowych, np. na prowincję Huan-dun wszystkiego 70 do 80, a więc egzaminatorzy cesarscy mają niełatwe zadanie wskazania 70 lub 80 najgodniejszych kandydatów z pomiędzy tysiąca.

Wyrok egzaminatorów cesarskich nie jest jeszcze ostateczny; prace wskazane przez nich, idą jeszcze na sąd prokuratora cesarskiego, czyli cenzora, który, przejrzawszy je, wydaje już stanowcze postanowienie.

A jednak, jak mi się przyznawali sami uczeni chińscy, mimo wszelkich obostrzeń, zdarzają się niekiedy nadużycia: podkupują stróżów, przynoszą książki zabronione, same wypracowania pisane są czasami przez osoby, podstawione. Co do samych egzaminatorów, to nie tak łatwo nakłonić ich do nadużyć, gdyż winni podlegają najsurowszym karom.

Przyjmując pod uwagę, z jakimi to kosztami, męczącymi podróżami, przygotowawczymi pracami i natężeniem umysłowym i fizycznym podczas samych egzaminów związane jest zdobywanie stopni naukowych, możnaby pomyśleć, że szczęśliwcy, którzy zostali odznaczeni, pozyskali coś niezwykle cennego, jakąś najwyższą nagrodę. Przebywanie w zamknięciu, w maleńkich, dusznych celkach, bywa rzeczywiście wprost nie do zniesienia.

Niektórzy kandydaci, starsi lub słabsi, nie mogą wytrzymać w tych warunkach. Zdarzają się nawet wypadki śmierci wskutek przepracowania. Niejeden niefortunny kandydat nie zniechęca się wcale pierwszym niepowodzeniem, lecz przystępuje do egzaminów po raz drugi, trzeci i więcej, nareszcie, choć już w podeszłym wieku, pozyskuje upragniony stopień „tsiużeń“, t. j. „skończonego człowieka“, coś w rodzaju tytułu naszego

„kandydata“ uniwersytetu. Szczęśliwiec, który dostał tego zaszczytu, wysłał gońców do swego miejsca rodzinnego, by zawiadomić krewnych, jakie szczęście spotkało rodzinne jego miasto lub osadę. Rodzina nowego tsiuj-żenia wydaje z radości ucztę i nakleja na rogach ulic wielkie czerwone plakaty, aby ogłosić ważną nowinę przyjaciółom i znajomym; ponad drzwiami mieszkania wybrańca zawiesza się tablica z oznaczeniem otrzymanego przezeń stopnia naukowego; bogaci krewni i ziomkowie wznoszą nawet często na jego cześć bramę triumfalną.

A jakież to rzeczywiste przywileje pozyskał ów szczęśliwy wybrańiec? Czy może korzystną posadę z dochodami, czy wysokie stanowisko lub odznaczenie? Bynajmniej, jedynie tylko prawo do zajęcia w przyszłości, być może, po wielu latach skromnego miejsca urzędniczego.

Jeżeli tsiuj-żeń pragnie się urządzić prędzej i pewniej, to musi się jeszcze poddać trzecim egzaminom, które się odbywają w samej stolicy, także raz na trzy lata, zwykle następnej wiosny po egzaminach prowincjonalnych. Pekińska „świątynia egzaminacyjna“ nie przedstawia się lepiej, niż prowincjonalne, ale kandydaci, biorący udział w egzaminach, są już uważani za gości cesarza i otrzymują przez cały czas siedzenia w celach obfite jedzenie, gotowane na miejscu w kuchniach obozowych. Ale koszty podróży do stolicy zmuszeni są już ponosić z własnej kieszeni. Niezamożni korzystają tu często z usług lichwiarzy, a gdy kandydat otrzyma stanowisko mandaryna, zwraca swój dług z nadwyżką. Egzaminy odbywają się w ten sam sposób, jak i na prowincji, ale są trudniejsze; wszystkie wypracowania na zadane tematy klasyczne lub filozoficzne muszą być świetnie wykonane, wiersze zaś powinny być bez zarzutu.

Kandydatów tych zbiera się ze wszystkich prowincyj do 14.000, ale tylko dziesiąta część tej liczby staje się godną stopnia „tsin-szi“, co znaczy: „zupełny uczony“, odpowiada to u nas tytułowi „magistra“. Liczba tych stopni ściśle jest określona dla każdej prowincji, i wszyscy, którzy ten stopień pozyskali, otrzymują godność mandaryna wraz z odpowiednim stanowiskiem urzędowym. Kto się nie zadowala nawet tym trzecim stopniem, może się ubiegać o czwarty. W tym celu musi się poddać jeszcze jednemu egzaminowi, najtrudniejszemu; po złożeniu tego egzaminu staje się członkiem Chan-lińskiej akademji i otrzymuje tytuł nadwornego poety i historjografa cesarskiego¹⁾.

¹⁾ Obecnie szkolnictwo w Chinach znajduje się na drodze poważnych reform. Tylko szkoły początkowe są jeszcze jedynym przybytkiem, gdzie

Lekarze i lecznictwo w Chinach

K. Stołychwo. (Czasop. „Przyroda”).

„Jeśli lekarstwo skutkuje — znaczy to, iż chorym opiekuje się niebo“ — tak mówi przysłowie chińskie.

Lecznictwo w Chinach stoi jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju. W Państwie Niebieskiem, gdzie obok despotyzmu sfer rządzących panuje pod wieloma względami nieograniczona swoboda — wolno praktykować każdemu, kto tylko czuje w sobie powołanie na lekarza. Najczęściej rekrutują się doktorzy z pomiędzy studentów, którzy dla jakiej bądź przyczyny nie zdali egzaminu państwowego. Taki młody eskulap nie od razu jednak rozpoczyna praktykę; czas jakiś pozostaje on, jako uczeń, przy starszym, praktykującym lekarzu, by jednocześnie zdobyć tajniki medycyny, oraz nauczyć się preparowania pigułek i mikstur; często bowiem lekarz chiński jest i aptekarzem. Najczęściej uczeń sztuki lekarskiej obiera sobie jedną z dziewięciu gałęzi, na które rozpada się medycyna chińska i studjuje ją według wskazówek swego mistrza przy pomocy licznych ksiąg, z których niejedna liczy nie mniej, jak parę tysięcy lat.

O anatomji ciała ludzkiego nie mają Chińczycy najmniejszego pojęcia; według ich przekonania, serce znajduje się, mniej więcej, tam gdzie i żołądek; bardzo rozpowszechniony wśród chińskich lekarzy podręcznik anatomji uczy, iż człowiek ma 365 kości, co odpowiada liczbie dni w roku; iż mężczyzna posiada 12, zaś kobieta 14 żeber i t. p.

Z tego możemy już wytworzyć sobie pojęcie o medycynie w państwie chińskim. Trafiają się i tu lekarze, przeprowadzający liczne i bardzo udatne kuracje — lecz to są wyjątki, które umiejętność swą i wiedzę zawdzięczają długoletniej praktyce i doświadczeniu, zdobytemu przez swych poprzedników.

małość czasów ubiegłych jest wykładana i rozpowszechniana. Ale i tu coraz natarczywiej rozlegają się żądania, by nauka trwała krócej, a książki klasyczne zostały zastąpione innemi dostępniejszymi i niema wątpliwości, iż wprowadzenie do chińskich szkół początkowych czytania w języku dla dzieci dostępnym z historii, geografji, nauk przyrodniczych, jest tylko kwestją niedługiego czasu. Co zaś do szkół średnich oraz wyższych specjalnych, to te mają już kursy nauk zupełnie nowożytne, o czym mogą świadczyć takie na przykład tematy, dawane kandydatom do służby państwowej: „Warunki traktatu berlińskiego“ — „Polityka Japonji“ — „Środki rozwinięcia bogactwa Chin“ — „Kopalnie i koleje żelazne“ i t. p. Dopisek wdł. art. Piłsudskiego w czas. „Nowe Tory“.

Zawezwanie lekarza w Chinach jest rzeczą kosztowną i sporo czasu wymagającą. Przedewszystkiem szanujący się lekarz nie idzie do chorego pieszo, lecz należy go przywieźć na wózku, lub na ośle. Przed udaniem się do pokoju chorego lekarz spożywa w pokoju bawialnym przygotowany dla niego posiłek: słodczy, herbatę, ciastka, mięsiwo, i choćby chory krzyczał z bólu wniebogłosy bynajmniej to lekarza nie wzrusza i nie nagli do pospiechu.

Dopiero, uraczywszy się dosyta, udaje się on do pokoju chorego, zapytuje go o apetyt, następnie bada puls w prawej i w lewej ręce w przeciągu kilku lub kilkunastu minut i wreszcie orzeka, że siedlisko choroby znajduje się tu lub owdzie. Przed wyjściem zapisuje receptę. Zapłaty za poradę nie bierze, lecz apteka płaci mu tak znaczny procent od każdej recepty, iż fach lekarski jest uważany w Chinach za jeden z najzyskowniejszych. Po ukończeniu pomyślnem kuracji lekarz otrzymuje od pacjenta upominek mniej lub więcej kosztowny.

Lekarstwa chińskie są bardzo szczególne. Przeważnie składają się one z mikstur bardzo gorzkich, które pacjent pije na gorąco w dozie nigdy nie mniejszej, jak po dużej filiżance. Lekarstwa w postaci pigułek rozpuszcza się również przed zażyciem i wypija w formie mikstury. W skład lekarstw wchodzi przeważnie substancje roślinne, ale niekiedy i zwierzęce. Kości tygrysie lub krew młodych jeleni jest uważana jako środek, powracający siły i zdrowie; proch strzelniczy używany bywa w przypadkach niestrawności.

Dentystyka chińska znajduje się również na bardzo niskim stopniu rozwoju; wrywanie zębów zapomocą narzędzi jest nieznane; natomiast jeżeli już mikstury i kompresy okazują się niedostateczne w celu uśmierzzenia bólu, natenczas lekarz wpycha szybko w otwór zepsutego zęba rozpalone w ogniu ziarnko rośliny rycynusa i w ten sposób wypala nerw zębowy.

Lecz medycyna chińska posiada nie same tylko pigułki, mikstury i kompresy, jako środki zwalczające chorobę; ważną rolę w leczeniu chińskim gra masaż, stosowany szczególnie w wypadkach chorób żołądka i głowy, oraz „akupunktura“, czyli nakłuwanie igłą bolącego miejsca. By móc się wprawić w owo nakłuwanie, młody studujący lekarz dokonywa pierwszych prób nie na żywym człowieku, lecz na drewnianej lalce; powypalane na niej dziurki oznaczają te miejsca na ciele ludzkim, które mogą być nakłuwane. Cała lalka oklejona jest papierem, i wówczas dopiero, gdy uczeń nabędzie takiej wprawy, iż trafia po-

przez papier w otwórki na powierzchni lalki — wolno mu rozpocząć akupunkturę na żywych ludziach.

Mój pierwszy obiad w domu chińskim (1897).

E. Hesse-Wartegg. (China und Japan).

Mój pierwszy obiad w domu chińskim (1897).

W pierwszych dniach mego pobytu w Kantonie zapoznałem się z jednym z najbogatszych i najznakomitszych kupców miljonowego miasta i złożyłem mu wizytę. Zaledwie powróciłem do swego hotelu, znalazł się tam już wysłannik z długim warkoczem i wręczył mi wielki czerwony bilet, na którym nakreślone były jakieś hieroglify chińskie. Odczytał je mój tłumacz: „Szóstego dnia maja skromna uczta oczekiwać będzie światła Twojej łaski. Ukłony od T. T.“ — a więc było to zaproszenie na obiad, jak sobie tego życzyłem. Tylko godzina nie była podana. Tłumacz wyjaśnił mi, że co do tego będę później zawiadomiony. W samej rzeczy rano 6-go maja zjawił się znów służący z drugim czerwonym biletem, na którym podana była godzina przyjęcia, mianowicie 7-ma wieczorem.

Kiedy na pół godziny przed oznaczonym czasem zamierzałem wsiąść do mojej lektyki, przybył wysłaniec mego amfitrjona, aby mi towarzyszyć do jego mieszkania. Przy wejściu do domu, otoczonego wysokim szarym ceglany murem, oczekiwał na mnie gospodarz we własnej osobie; przyjął mię głębokim pokłonem, wznosząc jednocześnie do czoła zaciśnięte pięście.

W salonie przyjąć, upiękaszonym wspaniałemi rzeźbami w drzewie hebanowem, lampjonami i wazonami ze sztucznym kwieciem, znalazłem już kilku gości chińskich, a również młodego Anglika, który przybył ze mną do Kantonu na tym samym okręcie. Byliśmy przedstawieni wszystkim gościom, a ci nie omieszkali zwrócić się do nas ze zwykłym pytaniem, dotyczącem „szanownego naszego wieku“. Mnie, jako czterdziestoletniemu, Chińczycy oddali niższe pokłony, niż o wiele młodszemu Anglikowi. Naturalnie, musieliśmy i my również zasięgnąć wiadomości co do szanownego wieku Chińczyków. Pan Clark, mój Anglik, wykazał zdziwienie, gdy mu nasz gospodarz określił swój wiek na lat sześćdziesiąt, a na pytanie, skąd pochodzi jego zdziwienie, odpowiedział, że gospodarz wygląda o wiele młodziej, że nie przypuszczał, aby już był w tym wieku. Ogólne zakłopotanie na twarzach! Ten europejski sposób wyrażania

uprzejmości nie trafia tu do przekonania. Anglik byłby lepiej uczynił, gdyby był powiedział, że gospodarz wygląda na lat osiemdziesiąt. W krajach, leżących bliżej Europy, przyjęte jest, zwłaszcza u dam, ujmowanie sobie paru latek wieku, Chińczycy, przeciwnie, doznają przyjemności, gdy im się dodaje kilka lat więcej.

Godzina 7-ma. Jużśmy zrezygnowali z towarzystwa dam, gdy nagle z sąsiedniego pokoju przydreptało sześć młodych, elegancko ubranych dam, z nóżkami prawie wielkości mojego wskazującego palca, ze sznurami pereł i motylami w gładko uczesanych, lśniąco upomadowanych włosach, z twarzami wyszminekowanymi na biały kolor, a wargami na jaskrawo-czerwony — zachwycające małe stworzenia, których zjawienie się od razu ożywiło wszystkie twarze. Za nimi kroczyły w tej samej liczbie młodsze dziewczęta w prostszej odzieży. Były to służące tych dam.

Właściwie wyraz „dama“ niezupełnie trafnie jest tu użyty, ponieważ kobiety Chińczyków nigdy nie uczestniczą w biesiadach, na których są obecni obcy mężczyźni, czy to Chińczycy, czy też Europejczycy. Ponieważ jednak mieszkańcy Środkowego Państwa przy podobnych uroczystościach lubią się rozerwać, więc zamiast swoich kobiet wzywają na ucztę śpiewaczki publiczne. Gdy gospodarz poprosił nas do stołowego pokoju, śpiewaczki podreptały wszystkie razem wślad za mężczyznami. W Chinach uważałoby się za warjactwo lub nieobyczajność, gdyby ktoś chciał podać rękę damie, aby ją poprowadzić do stołu.

Sala jadalna stanowiła obszerne, wysokie pomieszczenie z okrągłemi, szerokimi oknami w jednej ścianie, przez które można było zobaczyć piękny ogród gospodarza domu i staw lotosem pokryty. Stół znajdował się nieco bliżej przeciwniejszej ściany, ale siedzenia ustawione były tylko po zewnętrznej jego stronie, wzdłuż i na końcach, gdy strona zwrócona w głąb pokoju była wolna. Przy ucztach chińskich odbywają się przedstawienia śpiewaczek, sztukmistrzów i t. p., zupełnie więc zastawienie krzesłami stołu zakrywałoby widok. Wielkie, barwne latarnie zwieszały się z sufitu na sznurach jedwabnych; ściany były pokryte długimi pasami papieru z napisami i aforyzmami, a naokoło sali porozstawiano małe, hebanowe stoliki. Na jednym z nich stał piecyk z węglami, a nad nim kociołek do przygrzewania wina, drugi stół większy służył na serwis i pokryty był kubkami, półmiskami i filiżankami.

Warto było popatrzeć wśród jakich pokłonów i ceremonij

zajmowali goście swoje miejsca. Gospodarz wskazał mi miejsce honorowe przy sobie po lewej ręce. Przyzwoitość nakazuje czekać, aż gospodarz usiądzie, lecz ten wskazuje znów miejsca innym uczestnikom biesiady, przechodzi więc kilka minut nim nastanie koniec ukłonom. Po lewej stronie przy mnie zajęła miejsce jedna z małych śpiewaczek, chichocząc ustawicznie i dzieląc się ze swemi koleżankami uwagami, które zapewne dotyczyły nas, obcych. Ku memu przerażeniu zauważyłem, że obok mego talerzyka nie było noża ani widelca, leżały tylko pałeczki¹⁾.

Gospodarz opróżnił żwawo swój kubek z winem i, pochyliwszy się ku mnie, przewrócił go w ręce do góry dnem. W ten sam sposób i inni goście pokazali mi opróżnione czarki; musiałem ich oczywiście naśladować. Obok mego talerzyka leżała na szczęście łyżeczka porcelanowa. W miejsce serwetki każdy gość miał kilka zadrukowanych arkusików papieru, czyli serwetek papierowych, z którymi za pośrednictwem Japończyków zapoznała się i Europa; tylko te były mniejsze, bo nie służą one do obtarcia twarzy, lecz do oczyszczenia pałeczek do jedzenia, które się nie zmieniają podczas całej uczty. Zanieczyszczone arkusiki papieru rzucają się wprost pod stół. Przed każdym gościem stał prócz tego mały, srebrny kubek z korzeniami oraz drugi z pięknej niebieskiej porcelany na tak zwaną „soya“, rodzaj sosu korzennego, bez którego nie obchodzi się prawie żadna uczta.

Służący zaczęli stawiać przed każdym gościem małe porcelanowe miseczki, w których jedzenie, przychodzące w kuchni było już pokrajane na oddzielne kawałeczki. Co przedstawiały w rzeczywistości owe kawałeczki, trudno było domyśleć się, ponieważ pływały one w gęstych, różnobarwnych sosach. Próżno usiłowałem przy pomocy mej pałeczki wyłowić jakiś kawałek, ku wielkiej ucieście mojej towarzyszki, aż wreszcie gospodarz ulitował się nade mną, wyjął swą pałeczką z własnej miseczki kawałek jedzenia i do ust mi go podał; nie czynił tego, aby mi pomóc, ale że to uważa się też u Chińczyków jako szczególne wyróżnienie. Doprawdy, nie było to apetyczne. Smak był słodkawym, oleistym i wstrętnym, z chęcią byłbym się pozbył tego kawałka, ale jakżeż można było odpłacać się w ten sposób za gościnność. Głodny byłem jak wilk, spodziewałem się, że może

¹⁾ Pałeczki do jedzenia wyglądają niby grube druty do robienia pończoch. Zrobione są ze słoniowej kości ze srebrnymi końcami, albo z twardego politurowanego drzewa i trzymają się obie w prawej ręce.

następne danie będzie możliwe. I znów kawałeczki mięsiwa, znów sos, ale tak przejęty czosnkiem, że się zadowolił jednym tylko zręcznie złowionym kawałkiem. Spodziewałem się wykręcić od tego drugiego dania w ten sposób, że bawiłem się bardzo długo wyławianiem kawałków. Ba, gdyby tylko nie spostrzegła tego moja wesoła sąsiadka! Chichocząc, przypatrywała się moim usiłowaniom, wreszcie ulitowała się nade mną, wyjęła kawałeczek ze swej miseczki i włożyła mi go do ust.

Tak byłem karmiony to z prawej, to z lewej strony i podczas następnych dań; mój kubek z winem ryżowym za każdym razem, gdy był do połowy opróżniony, brano ze stołu i zastępowano go innym kubkiem napełnionym. Teraz dopiero zauważyłem, jak się to robi. Na jednym z bocznych stolików stały dwa naczynia z winem na rozżarzonych węglach. Kubki opróżnione do połowy, zabierano ze stołu przy każdym daniu i te resztki wina zlewano do jednego naczynia. Kubki zaś napełniano winem z drugiego naczynia. Gdy się tamto zupełnie opróżniło, wtedy służący nalewał kubki z drugiego naczynia, w którym zmieszane resztki ogrzewają się z wolna.

Godzina 9-ta. Ciągłe coraz to nowe potrawy, było to już dwunaste, czy piętnaste danie tej uczty, a tu żadnej nadziei na bliski koniec! Nie zabawna historia! Sąsiad z prawej strony wkładał mi do ust z uprzejmym gestem coraz to nowe kawałki, sąsiadka z lewej strony chichotała wesoło i przypijała do mnie. Gorąco, jakiś zapach, specjalnie chiński, panujący w pokoju, ciepłe wino, zapachy potraw, czyniły dalszy pobyt w tym miejscu dla nas dwu, przedstawicieli rasy kaukaskiej, prawie nie do zniesienia; zaczęliśmy się zachęcać wzajemnie zapomocą znaków do opuszczenia na chwilę stołu. Gospodarz zrozumiał, jak się zdaje, te znaki, ponieważ powstał z miejsca, przemówił do mnie z ukłonem słów kilka, na które całe towarzystwo podniosło się z krzesel. Nakoniec. Z prawdziwą ulgą wstaliśmy pod wrażeniem, że się to wszystko już skończyło. Ale tłumacz podszedł do mnie, aby mię zawiadomić, że gospodarz życzyłby sobie dać nam sposobność posłuchania młodych dam, wybitnych śpiewaczek Kantonu, i wypalenia paru fajek tytoniu; a więc trzeba było ciągnąć dalej obiad. To straszne! Miła perspektywa "nowych porcyj czosnku i cebuli, oliwy i tłuszczu! Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie służące dam podały nam szczególne chińskie fajki z wodą, czyli nargile. Każdy z nas otrzymał małą filiżankę bez uszka do herbaty, a ponieważ w Chinach wszystko się robi naodwrot, więc filiżanka nie stała na spodku, ale spodek leżał na

niej odwrócony i przykrywał ją zwierzchu. Służący podnosili tę pokrywkę, wrzucali do filiżanki kilka szarych liści herbaty, nalewali na to wrzącej wody i przykrywali znów filiżankę spodkiem. Gdy goście chcieli pić herbatę, to zesuwali cokolwiek palcami przykrywający spodek, jednocześnie przytrzymując go silnie. Przez utworzoną w ten sposób szparę wypija się płyn, a liście herbaty zatrzymuje pokrywką. Śmietanka i cukier nie używa się w Chinach; że liście herbaty są wyborowe, o tem niema co wspominać.

Gdy śpiewaczki wykonały swe produkcje monotonne przy akompaniamencie gitary, gospodarz zawezwał magika do pokazania rzeczywiście godnych widzenia sztuk. Z chęcią bylibyśmy się już pożegnali, aby uniknąć drugiej części obiadu, ale gospodarz zawiadomił nas przy pomocy tłumacza, że właśnie na tę drugą część obiadu przygotowano pewne delikatesy chińskie, mianowicie zupeł z gniazd jaskółczych i płetwy rekina, a więc trzeba było wrócić do sali jadalnej.

Była godzina 10-ta i w ciągu całej następnej godziny podano nam jakiś tuzin najróżnorodniejszych potraw: języki kaczek, główkę wieprzową, garnele (raczki morskie) czosnkiem i cukrem przyprawione, pieczone korzonki lilij morskich, mózg rybi z grzybami i inne. Nakoniec zjawiała się potrawa mdłego smaku, w której rozpoznaliśmy owe słynne gniazda jaskółcze. Jako następne danie otrzymaliśmy jakąś czarniawą galaretę, w której tkwiły ciemno-czerwone żółtka jaj. Galareta, której kawałeczek skosztowałem, wydawała tak silny zapach siarkowodoru, że musiałem się jej natychmiast pozbyć. Sąsiad mój podniósł na mnie oczy ze zdziwieniem, tłumacz zaś przybrał poważną minę i rzekł do mnie: „bardzo dobra rzecz, bardzo stare jaja!“ Dowiedziałem się sposobu przyrządzania tych jaj z chińskiej książki kucharskiej. Może się przepis przyda naszym kucharkom: z popiołu drzewnego, wapna, soli i wody oraz pewnych traw aromatycznych przyrządza się rozczyn gęsty, w który się kładzie świeże jaja; w rozczyne tym, w naczyniu hermetycznie zamkniętem jaja pozostają dni 40. Wtedy już mogą służyć do użycia, im dłużej jednak tam leżą, tem się stają lepsze, według pojęć Chińczyków, „zupełnie tak, jak nasze wina; jaja, mające kilka lat uważa się za największy delikates. Zapewne takimi właśnie jajami zostaliśmy poczęstowani!

A jednak wszystko to jest kwestją smaku. Zażądałem od tłumacza, aby mię obzajmiał z uwagami gospodarza w tym względzie. Otóż gospodarz twierdził, że słyszał, że Europejczycy

jedzą sery z mleka krów, osłów i owiec i pozwalają tym serom tak długo leżeć, aż spleśnieją i gorszy jeszcze wydają zapach, niż te jaja. Jakże to więc być może, by nam nie smakowały stare jaja? Musiałem to pytanie pozostawić bez odpowiedzi.

Zjawiała się potrawa, przyrządzona, jak się zdawało, z gęstych miękkich chrząstek, i nieźle jeszcze smakowała. Były to słynne płetwy rekina. Potrawy, które zwykle podają na wielkich bankietach w Chinach, mianowicie ryby smażonej na ry cynowym oleju, tym razem brakowało; że jednak ta potrawa istotnie bywa podawaną, wiem o tem z jednozgodnych relacyj podróżników oraz z własnego późniejszego doświadczenia.

I na tym obiedzie sprawdziło się przysłowie: „co ostatnie, to najlepsze“. Podano dymiący półmisek gotowanego ryżu, który nam wybornie smakował. Na tem się skończyła uczta. Była już godzina 11-ta, gdyśmy pożegnali towarzystwo. Wróciliśmy do hotelu, spożyliśmy ze smakiem butelkę piwa i kawałek sera rokfort, tego samego sera, którym tak pogardzają Chińczycy, gdy u nas uchodzi za delikates.

Inne kraje — inne obyczaje!

Z podróży do Japonji

Wacław Sieroszewski. (Tyg. II.).

Wystawa powszechna w m. Osaka, kwiecień 1903 r.

Osaka, gdzie urządzono piątą z kolei powszechną wystawę japońską, jest jednym z najbardziej przemysłowych miast Japonji. Ma doskonałą komunikację wodną i lądową, nie tylko z różnemi częściami kraju, lecz i z całym światem, gdyż leży nad śródziemnem Japońskim morzem, przy ujściu rzeki Sdogawy, wypływającej ze słynnego górskiego jeziora Biwa. Miasto, zbudowane na wyspach, przecinają liczne kanały z pięknymi żelaznemi i murowanemi mostami. Ulice dość wąskie, niebrukowane, lecz szosy, jak wszędzie w Japonji. Mimo to dzięki staranemu utrzymaniu i ciągłemu polewaniu, niema prawie kurzu. Wozów Japończycy używają rzadko; ciężary i ludzi wożą zwykle na ręcznych wózkach, a tam, gdzie dowóz ciężarów jest większy i stały, budują natychmiast kolej. Z gór dowożą ciężary na jucznych koniach i bawołach.

Według spisu ludności w 1898 r. Osaka posiada 921.000 mieszkańców i dokonywa obrotów handlowych na 500 milionów

jen¹⁾). Miasto składa się z parterowych lub jednopiętrowych zwykłych japońskich domów i, choć ściśle zbudowane, zajmuje ogromną przestrzeń. Gdy z murów starożytnej twierdzy Osziro spojrział na miasto, przedstawiło mi się ono, jako morze szarych dachów z tysiącami powiewających nad nimi barwnych chorągwi i setkami kominów fabrycznych.

Aby dostać się z małego, drugorzędnego hotelu „Nipon Ri-



Dama japońska.

takama“ na wystawę, musiałem przebyć prawie całe miasto. Porównanie tego drugorzędnego hotelu z naszymi pierwszorzędnymi tak dalece wypadłoby na niekorzyść tych ostatnich, że wolę się w nie nie wdawać. Zaznaczę jedynie, że w Japonii wszyscy codzień się kąpią i dlatego nawet usmoleni i zabrukani przy pracy ludzie nie robią wrażenia brudasów; czystość panuje wszędzie wzorowa; nawet w ubogich zaułkach, gdzie ciasnota i zajęcie bardzo utrudniają ludności schludność, nie widziałem nigdzie tego obrzydliwego europejskiego brudu, który narasta bez przeszkody w ciągu całych lat. Tu miotła i woda wciąż są w robocie, nie zaś sakramental-

nie raz na dzień. Gdy tylko kobieta, mężczyzna lub dziecko mają chwilę wolnego czasu, biorą miotłę i przede wszystkim zmiotają śmiecie, jeżeli je pozostawili. Japończycy organicznie nie znoszą śmieci. Następnie nie znalazłem dotychczas ani jednego Japończyka lub Japonki, którzyby nie umieli czytać i pisać (a umyślnie ich o to pytałem). Nawet ten ubogi „dziurikisza“ (dorożkarz), który ciężko pracuje na chleb literalnie dzień cały,

¹⁾ Jen — 2¹/₂ złotego.

gdy ma chwilę wolną, wyciąga z ukrycia gazetę lub książkę i czyta.

Lud prosty, nie mówię już o sferach inteligentnych, jest w obejściu nadzwyczaj grzeczny i miły; tłumy zachowują się wzorowo. Policja jest grzeczna, usługna i uważna. Spytany przeze mnie o drogę lub wskazówkę policjant nie tylko starał się odpowiadać, jak umiał najdokładniej, lecz często przeszedł całą dzielnicę, aby mię należycie skierować. Urzędnicy na kolejach, konduktorowie, kontrolerzy, kasjerzy nie udają wielkich panów; uprzejmie odpowiadają na zapytania, dają krótkie, ścisłe, rozumne informacje i, skoro widzą bezradność pasażera, pomagają mu chętnie. Widziałem, jak robili to nie tylko dla cudzoziemców, lecz i dla swoich nieraz ubogich podróżnych z trzeciej klasy.

Przechodzień japoński spytany o coś, nigdy nie burknie, choćby się bardzo śpieszył: da najgrzeczniejszą, najściślejszą odpowiedź, na jaką go stać, często napisze na kartce adres lub narysuje plan.

Pociągi nie spóźniają się tu, choć ich jest dużo i ruch na kolejach poprostu zawrotny. Listy nie giną, rzeczy zafrachtowane w całości dochodzą na miejsce. Nikt nie żąda napiwków, a tam, gdzie nie bywają cudzoziemcy, nie z n a j ą ich zupełnie. Zwracano mi nieraz naddatki i pytano, co one znaczą? W miastach portowych oraz w miejscowościach odwiedzanych przez turystów już jest inaczej, lecz wszędzie są taksy i odpowiedzialność za zepsucie obyczajów, całkowicie pada na cudzoziemców. W takich miejscowościach „dziurikisza“, w skróceniu „ryksza“, stał się już podobny trochę do naszego dorożkarza, nie klnie jednak i nie bije batem pasażera, który mało dał, lecz grzecznie dowodzi, że mu się więcej należy.

Nie widziałem dotąd na ulicach bójki i choć słyszałem sprzeczki, nie słyszałem przekleństw i wymyślania. Zato często dostrzec można miły uśmiech, którym Japończyk stara się siebie i innych wyprowadzić z kłopotu. Zarzucają im, że są przebiegli, chciwi, samolubni... Oni są bardzo rozsądni, oszczędni i wyrachowani... Ale we wszystkim znają miarę, gdyż cecha ta jest jedną z zasadniczych cech nie tylko sztuki japońskiej, lecz i ich życia. Pojęcie o prawach człowieka i sprawiedliwości stoi tu (ile zdołałem zauważyć) o wiele wyżej, niż w Europie. Co zaś do zarzutu samolubstwa, to powiem, że widziałem ofiarne jednostki, lecz nie widziałem ofiarnych ludów. Oby zjawily się ludy, choć... sprawiedliwe!

Wracam do wystawy w Osace.

Wziąłem hotelowego „rykszę“ i za 25 sen. (80 groszy) pojechałem na drugi koniec miasta o pół mili prawie. Dzień był słoneczny i długa wąska ulica, przez którą jechałem, czarowny przedstawiała widok: tysiące barwnych latarni i chorągwi, przeważnie czerwonych, trzepotało się niewysoko nad nią, zwieszając z dachów i balkoników.

Pod tem świetlanem, tęczowem sklepieniem snuł się tłum ludzi, pędziły lekkie ryksze, migały wielkie, jasne parasole, jaskrawe sukienki dzieci i dziewcząt, wesołe, uśmiechnięte twarze, ciekawie spoglądające na przejezdnych cudzoziemców. Wystawy sklepowe otwarte, podobne do naszych kramów, świetne sprawiają wrażenie, gdyż wystawione są w nich prawie wszystkie sprzedawane towary; wszystko to w kolorach jaskrawych, słonecznych w malowniczych stosach odrzuca barwne odbłaski na słoneczną, śmiejącą się, ogromnie kolorową ulicę. Niebo, dzięki niskości dachów, sklepia się w górze swobodną, obszerną kopułą; niema się wrażenia, jakoby się kończyło tuż za krawędzią posępnej kamienicy.

W miarę, jak zbliżamy się do wystawy, tłum wzrasta. Plac przed wystawą czerni się od ludzi. Na placu tym od strony stacji kolejowej stoi wielka brama triumfalna, utkana zwierzczu, jak sukniem, jodłowemi gałązkami; na tem tle zielonem pysznie odbija żółty deseń japoński i cyfry Mikada. Tłum wciąż przepływa przez kołowrotki, gdzie kontrolerzy odbierają bilety. Policja stoi gdzieś niegdzie, prawie niedostrzegalna, ale porządek mimo to wzorowy: nikt się nie śpieszy, nie szturcha, nie tłoczy, i ta atmosfera spokoju i pewności przyjemnie działa na przybysza, nie znającego języka i obyczajów. Wmieszałem się w ten tłum i poszedłem z nim.

Wystawa nieduża, ale bardzo miła. Podłużny plac ozdobiony pośrodku trawnikiem i kwiatami. Z białego pawilonu, oświetlonego wieczorem elektrycznością, lały się wodospady. Wdali, na górze, wśród klombów zieleni białął pałac sztuki, a przed nim olbrzymia postać Kwannon — bogini miłosierdzia, z dziećmi, bawiącemi się u jej stóp. Był to piękny wodotrysk, szczególnie efektownie wyglądający w nocy przy świetle elektrycznym.

Wszystkie budynki wystawowe, białe, z gęsto powiewającymi nad nimi białymi japońskimi chorągwiami z czerwonym „wschodzącym słońcem“. W pierwszym gmachu na prawo od wejścia mieścił się dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa, po drugiej stronie naprzeciw — pałac przemysłu.



Inriksza japoński.

Udałem się tam przedewszystkiem. Chciałem sprawdzić to, co mi mówiły o przemyśle japońskim nieprzychylne usta. Nie będę opisywał poszczególnych działów; byłoby to długo, i nudnie, i nadaremnie. Powiem jedynie, że najświetniej przedstawiał się dział tkanin. Tkaniny były wogóle piękne, nadzwyczaj tanie, a jedwabie niektóre wprost zadziwiającej piękności. Nie jestem kobietą, a jednak czułem, że mógłbym się zrujnować na te śliczne, wzorzyste, zda się z powietrza i barwy utkane, zasłony. Jedwabie japońskie pod względem koloru, rysunku i taniości stanowczo na całym świecie stoją poza konkurencją. Powiadają, że chińskie są lepsze i trwalsze. Być może, ale nie widziałem jeszcze chińskich tak ładnych.



Wnętrze domu japońskiego.

Drugi dział wystawy, bardzo poważny, był garncarski: porcelany, fajansu, zwykłych glinianych wyrobów, majoliki i emalii. Już to jednej rzeczy długo starczy im na wywóz, mianowicie artystycznego smaku. Słusznie zwą Japonię „Włochami i Grecją Wschodu“. Mam nadzieję, że Japończycy będą umieli ten skarb swój ustrzec od zepsucia, choć widziałem na wystawie rzeczy o barwach i kształtach już skażonych, trącących tandetą europejską. Zdaje się, że ma ona popyt właśnie pośród Japończyków.

Oglądałem pilnie słynne laki japońskie, lecz wyznaję, że piękności ich nie odczuwam, na trwałości się nie znam — sądzić więc o nich nie mogę.

Najslabiej reprezentowane jest górnictwo. Wprawdzie dość dużo było okazów węgla kamiennego, koksu, ciosowych kamieni — granitów, marmurów, lecz znać było, że metali, a więc podstawy współczesnego przemysłu, Japonja ma mało. Żelaza posiada, zdaje się, jedną tylko kopalnię; ruda jest w dobrym gatunku i daje dobry materiał, ale go jest mało.

Bardzo ładne były i w dobrym gatunku wyroby papierowe i skórzanе, które zadziwiały swą taniością. Sławne są wyroby z wyciskanej skóry.

Z działu przemysłu poszedłem do działu szkolnictwa. Dział jest wybornie ułożony i bardzo bogaty. Dziwił mię ogromny tłok, jaki tu panował. Przypomniałem sobie, jakimi pustkami świeci ten dział zwykle na innych wystawach i jak bywa po



Łóżko japońskie.

macoszemu traktowany. Wszędzie na ścianach mapy, tablice, diagramy, na ważniejszych i angielskie napisy. Wszędzie objaśnienia. A Japończycy nie omieszkali z tego korzystać: wszędzie widziałem dużo osób, szczególnie młodzieńców, skrzętnie zapisujących spostrzeżenia w notesach.

Dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa przedstawiał się wspaniale. Tłum był też w tym gmachu, przeważnie ludzie prości, kobiety z dziećmi na plecach, wyrostki, uczniowie szkół. Ile tu gatunków zboża! Jaka moc odmian grochów! Jaki piękny ryż — słuszną chluba Japonji, gdyż jest najlepszym na świecie.

W dziale rybołówstwa — modele statków, sieci, konserwy z ryb. Japończycy mało używają mięsa, stąd płynie drożyzna ryb i ciągly ich brak pomimo obfitości łowów na morzu i w rzekach.

Bardzo szczegółowo było przedstawione jedwabnictwo. Dział machin najmniej imponująco wyglądał. Dział zwierząt domowych, których w Japonii wogóle mało, jeszcze słabiej.

Na wypoczynek poszedłem obejrzeć „Pałac sztuki“. Widziałem tam płaskie hafty, wyszyte kolorowym jedwabiem tak pięknie, iż myślałem, że ceny poprostu nie mają. Tymczasem najdroższe, jakie pamiętam, kosztowały 5.000 jen. Pyszna była głowa lwa, gdzie układ nitek naśladował doskonale układ włosów i grzyw.

Japończycy, wyborni akwareliści, subtelni znawcy linii i koloru, tracą te przymioty z chwilą, gdy biorą do ręki paletę i farby olejne. Te ich olejne obrazy, które widziałem na wystawie, to szereg brudnych, nieudolnych płócien, jakich powstydziliby się każdy uczeń malarstwa. Jakże rażąco odbijają one od pięknych akwarel i haftów, przedstawiających śliczne ryby, zwierzęta, kwiaty, wdzięczne „muś-mi“, zabawne dzieci! Na co ludziom, którzy umieją tworzyć takie rzeczy i wydobywać wodnemi farbami tak silne efekty, babrać się w oleju i terpentynie!

Kilkakrotnie zwiedzałem Pałac sztuki i zawsze wypraszano mię z niego ostatniego; posługacz, który salę obchodził, już mię znał i, potrząsając swym dzwonkiem, uśmiechał się życzliwie, jakgdyby przepraszając, że nie pozwala mi się dłużej cieszyć arcydzielami swoich rodaków.

Po pięciu dniach musiałem opuścić Osakę i wystawę. Zbyt krótko byłem, abym mógł opowiedzieć o niej jakiś sąd poważniejszy. Wyniosłem z tego pobytu wrażenie, że Japonja posiada ogromny rynek wewnętrzny, który słusznie bardzo jest głównym przedmiotem troskliwości rządu i społeczeństwa. Wszystko tu rozumnie jest skierowane ku potrzebie, wygodzie, zdrowiu i oświeceniu szerokich mas ludowych. Nie są one dodatkiem i podnóżkiem dla innych sfer, lecz są celem ich istnienia i ich pracy. Japonja dąży rozsądnie do zadowolenia własnemi siłami wszystkich swych potrzeb; stara się więc wszystkie przedmioty, dostarczane przez Europę, wyrabiać na miejscu, co z mniej lub więcej dobrym skutkiem jej się dotychczas udaje. Stąd szybki rozwój jej przemysłu. Ale Japonja ma mało metali, brak jej żelaza i nafty. Dlatego to sfery rządzące dążą do zabrania Korei.

Przykre robi wrażenie w Japonji gwałtem wszczepiana ludowi wojowniczość. Dzieci w szkołach mustrują się już i marszerują, śpiewając hymny wojenne. To wpłynie bezwarunkowo ujemnie na charakter narodowy, lecz Japończycy są pod tym

względem tylko pilnymi uczniami Europy. Patrząc na małych bębnow, maszerujących z karabinami na ramionach, żał mi było tych duszyczek wesołych, dobrych, łagodnych, zaprawianych gwałtem do mordów, lecz jednocześnie pomyślałem, że rośnie z nich potęga.

Przy wielkiem uświadomieniu, patryotyzmie i bitności Japończyków, walka z nimi nie byłaby łatwa nawet dla najpotężniejszego mocarstwa. Stanęliby wszyscy, jak jeden mąż...

Trzęsienie ziemi w Japonji w r. 1923 ¹⁾.

Było: około wpół do 11-ej, pogoda była zwykła, nic nie znamięnowało nadchodzącej katastrofy. Nie było ani za zimno, ani za ciepło, ani za wietrzno, ani za zacinśnie. Czas najzwyczajniejszy. Wracałem na stację tramwaju elektrycznego. Po drodze wstąpiłem do polskiego hotelu Gierczaka. Wychodząc, znalazłem się w długim korytarzu, prowadzącym na ulicę. Janek szedł za mną. Naraz ziemia tak się zatrzęsła, że uderzyło mnie o ścianę korytarza z jednej, a potem z drugiej strony, nie jak żywym człowiekiem, ale jak przedmiotem. Całym wysiłkiem mięśni rzuciłem się naprzód i wyskoczyłem na ulicę. Jednocześnie runęły dwa domy ze strony przeciwległej. Padający gruz powalił mnie na ziemię i pokrył tynkiem. Janek pozostał w korytarzu hotelu, bo gruz z domów przeciwległych zawalił chwilowo wyjście. Ja, otrzymując uderzenia gruzu, instynktownie broniłem tylko głowy. Gdy wstałem, zobaczyłem w pobliżu auto i chciałem skryć się do niego. Nim do niego doszedłem, zostałem zwalony z nóg po raz wtóry. Tym razem leżałem nieco dłużej. Z początku widziałem lecące w powietrzu odłamy górnych części domów, potem zapanowała taka ciemność, że nic nie widziałem. Domy wyginały się, pękały i waliły, jakgdyby były z żelatyny, z marmolady, która odwała się dużym kawałem. Przechodziłem już przez dwa lata ubiegłe wiele trzęsień, tym razem jednak ziemia rzucała się nie tylko konwulsyjnie i silnie, ale niebywale długo. Kiedy się rozjaśniło i kiedy ponownie mogłem porwać się na nogi, spostrzegłem między innymi przebiegającego koło mnie Janka. Stałem się krzyknąć. Huk zagłuszał moje wołanie. Popatrzył na mnie. Stałem bez binokli, bez kapelusza, w podartem ubraniu, cały zasypyany cegłą i tyn-

¹⁾ List naocznego świadka katastrofy.

kiem. Nie poznał mnie, przeleciał i wpadł do wielkiego gmachu Banku rosyjsko-azjatyckiego. Korzystając ze spokojniejszej chwili, i ja skoczyłem za nim. Na drodze mej leżało auto zupełnie rozbite. Wielki, paropiętrowy Bank kołysał się i trzeszczał przeraźliwie. Zebrawszy myśli, postanowiłem nie pozostawać w Banku, lecz iść dalej. Miałem zamiar dojść do pierwszej poprzecznej ulicy i skierować się do morza. Tylko jeden Janek postanowił iść za mną, reszta uważała, że bezpieczniej pozostać. Wyszedszy, wdrapaliśmy się na rumowiska gruzów, sięgające do półpiętra (może wyżej). W chwili, gdy, doszedłszy do przecznicy, mieliśmy skręcić ku morzu, w wąskiej uliczce, do morza prowadzącej, upadły dwa domy i zabarykadowały drogę. Rzuciliśmy się na lewo, w stronę parku. Przy wysokich domach staraliśmy się przedostać prędzej, przy niższych odpoczywaliśmy trochę. W parku, wskutek wstrząsów, pękł czy zatkał się kanał, woda zalała niższe uliczki. Ponieważ już dookoła zaczęły się pożary, a na park wiatr niósł iskry i spiekotę, położyliśmy się tak, że nogi i tułów leżały w wodzie, a głowa koło krzaków, krzaki bowiem trochę chroniły od dymu i dawały nieco świeżości. Liczba ludzi w parku zwiększała się stale. Robiło się ciemno. Szczęśliwie dla nas, że nigdy pożar nas nie otaczał dookoła naraz. Jak się skończyła jedna strona, to zaczynała się palić druga. W ten sposób zawsze było miejsce, wolniejsze od dymu i spiekoty, gdzie można było zaczerpnąć powietrza. Pod wieczór pożar odsunął się od nas, ku górnej części miasta. W mroku zapadającej nocy wspaniale wyglądały łuny dookoła. Co chwila rozlegał się huk walących się domów albo wybuchu składów nafty, terpentyny, spirytualij etc. Upadaliśmy z wyczerpania. Głowy pękały z bólu i zaczerwienienia. Pić się chciało szalenie. Ale żadnego z cierpień fizycznych nie można było porównać z bólem oczu. Oczy bolały, tak że zdawało się, iż je ktoś drażni ostrzem stalowem. Wytrzymać było trudno. Gdy była chwila spokojniejsza, każdy szukał czystszej części ubrania lub bielizny, ażeby przetrzeć sobie krwią zaszeź żrenice. Ręce i chusteczki mieliśmy tak brudne, że raczej zaszkodzić, niż pomócby mogły. Bielizna była mokra i brudna od leżenia w wodzie z kanałów. O wydostaniu się z parku nie mogło być mowy. Położyliśmy się na ziemi i tak doleżeliśmy do rana. Ziemia ciskała się ciągle. W kilku miejscach pękła. Ogień zataczał coraz szersze kręgi.

O poszczególnych chwilach, które się tam przeżyło i rzeczach, które się widziało, pisać niepodobna. Powoli ucichało

wszystko. Rozlegały się tylko głosy przybywających z miasta do parku i poszukujących wśród tłumu swoich bliskich.

Gdy zaczynało świtać, obudziłem Janka i zaczęliśmy szukać drogi wyjścia. Ruszyli się i inni. Poszliśmy brzegiem kanału, ale żar tak bił od zgliszczy, że musieliśmy się cofnąć. Wybraliśmy szerszą drogę wśród zgliszczy bardziej już wystygłych. Szliśmy po relsach tramwajowych, potykając się co chwila o trupy. Pierwszy tramwaj, który spostrzegliśmy, był pełen zupełnie zwęglonych postaci. Siedzieli, jak rzeźby, wykute z czarnego materiału, z węgla. Widocznie zostali zabici przez prąd elektryczny, a potem zwolna spaleni. Ci, którzy leżeli obok tramwaju, mieli od żaru powykręcane nogi i ręce. Robiło to tak okrutne wrażenie, że do końca życia z niego się nie otrząsnę.

Pieszko przeszedłem około 30 kilometrów. Miałem w drodze parę niemiłych wypadków. Pomiędzy innymi o mało nie zwałem się z bardzo wysokiego mostu kolejowego, który był tak powykręcany i tak wysłizgany, że zbolełe moje nogi nie mogły się na powierzchni jego wąskich szyn utrzymać. Największą przyjemność zrobiła mi pierwsza szklanka gorącej herbaty i pierwsze kubły zimnej wody do mycia, które dostałem w małej wiosce koło Kanagawy. Z kwadrans trzymałem mokry ręcznik na czerwonych i strasznie bolących oczach. Szliśmy wyczerpani, zmęczeni, brudni, jak na drewnianych nogach po szynach kolei. Dopiero na stacji Kawasaki usiedliśmy na dłuższy wypoczynek. Otoczyli nas ludzie, wypytujac. Ja niewiele mogłem mówić, siedziałem, ledwie dysząc, ale Janek, który mówi wcale biegle po japońsku, jadł, ile mógł, i opowiadał, ile miał tchu w piersi.

2-go września znalazłem się w Tokio. Posłałem po auto, a sam czekałem na placu przed dworcem. Na placu tym prze-
czekałem nowe trzęsienie ziemi, ale w porównaniu z jokohamskim, wydało mi się ono nic nie znaczące. Wogóle Tokio w porównaniu z Jokohamą robiło zupełnie inne wrażenie. Jokohama zginęła, Jokohamy nie ma, z tysięcy domów na całej jej przestrzeni pozostało kilkanaście, a i te niezdatne do użytku. Znikły w niej nawet ślady niektórych nadbrzeżnych ulic, bo pagórki obsunęły się i doszły do samego morza lub do samych wybrzeży kanałów. Nawet ruiny były zmiażdżone. Ciągłe wznawiające się wstrząśnienia gięły je, rozbijały, rozłukiwały na drobniejsze części i pokrywały nimi całą powierzchnię. Miasto z półmilionową prawie ludnością starte na miazgę prawie. W Tokio były też zrujnowane dzielnice, części, ale miasto stało, ulice istniały, ludzie chodzili spokojnie. Na plac mego oczekiwania

wkrótce przybyło auto, a w niem dwaj moi znajomi. Myśleli wi-
dać, że już mnie nie zobaczą, bo witali mnie, jak nowonarodzo-
nego, dotykali mnie, uśmiechali się, a oczy im się lśniły ze
wzruszenia.

Od nich dowiedziałem się, co się przez ten czas działo w po-
selstwie. Trzęsienie miało miejsce o kilka minut później w To-
kjo. Dom poselstwa został poważnie uszkodzony, piece wszyst-
kie runęły, podłoga pouginała się i popękała; wszystko, co było
pozawieszane na ścianach — spadło, szkło i porcelana uległa zni-
szczeniu, a spadający komin o mało nie przygniótł p. Z. w chwili,
gdy wybiegł, nie chcąc być przywalonym przez walący się piec
w kancelarji. Po upadku pieców wytworzyły się otwory takie,
że z gabinetu mego widać było niebo, a deszcz padał do środka
mieszkania; uważali, że bezpieczniej jest nie wychodzić, lecz
stać pod osłoną drewnianych drzwi, które zazwyczaj najdłużej
opierają się naporowi ścian. Dopiero, gdy uśmierzył się nieco
pierwszy paroksyzm trzęsienia, wyskoczyli z domu. Oprzytom-
niawszy, skorzystali z chwili spokojniejszej, weszli z powrotem
i zabrali całą zawartość kasy: gotówkę, szyfry, ważniejsze doku-
menty i umieścili to w stojącym już na środku podwórza aucie,
aby można było to wszystko ocalić i wywieźć w razie potrzeby.
Potem w miarę słabnięcia wstrząśnień wydostawano cenniejsze
przedmioty, srebro etc., stanowiące własność poselstwa i umie-
szczono w tem samem aucie. Na szczęście dzielnica nasza uległa
tylko wstrząśnieniom. Pożar, który w Tokjo, jak i w Jokohamie,
był bezpośredniem następstwem trzęsienia, zupełnie nas ominął.

Od chwili mojego powrotu rozpoczęło się życie obozowe na
podwórzu i w ogrodzie poselstwa. Spaliśmy na siennikach, rzu-
conych na ziemię, pod „kajami“, t. j. siatkami, chroniącemi od
moskitów. Żyliśmy tem, co zdołaliśmy w pierwszej chwili za-
kupić, oraz tem, co nam przysyłało Ministerjum spraw zagra-
nicznych. Pod tym względem braku nie zazналиśmy wcale. Na-
wet wino przysłano nam z Ministerjum Dworu.

Całe przejście głównej katastrofy, życie masy osób rozdraż-
nionych, stłoczonych w jednym podwórzu, po parę razy w dzień
i w nocy powtarzające się ponowne wtrząśnienia, wywoływały
zdenerwowanie wprost chorobliwe. Takie wstrząsy, które po-
przednio znosiliśmy, jako rzecz zwykłą, powodowały to, że na-
wet Japończycy, nietylko my, zrywali się wszyscy z posłań, że
dzieci krzyczały i płakały i że każdy spodziewał się, iż może się
znowu powtórzyć katastrofa.

W istocie nawet do tej chwili wszyscy żyją z tą myślą, że

to może powtórzyć się znowu. Nie było dotąd żadnej doby bez mniejszych lub większych wstrząśnięć. Niektóre z nich były bardzo silne. Domy zachwiały się jak łań zboża, zgrzytnęły łańcuchy, podtrzymujące ganki, wyskoczyli ludzie z mieszkań, ale wszystko powoli ścichło, bo trzęsienie falowało z boku na bok. Najniebezpieczniejsze dla budowli i najgorsze dla nerwów ludzkich są podrzuty z dołu w górę i z powrotem. Wzburzenie nerwowe ogólne może nie mija i dlatego, że jeszcze dotąd gdziekolwiek się sunąć — ruiny i ruiny. W ostatnią niedzielę, po kilku tygodniach, pojechałem po raz pierwszy zobaczyć Jokohamę i te miejsca, w których byłem podczas katastrofy. Stoi się tu wśród gruzów, na zgłiszczach. Tylko gdzie niedzie sterczy ruina, ale taka ruina, którą trzeba będzie zniszczyć, bo już nie zda się na nic, nawet odreparować jej niepodobna, bo wszystko przepalone i sypie się przy dotknięciu prawie. Wrażenie katastrofy będzie trwało długo, bo wszędzie pustki i braki, a złych przepowiedni — chmara! Począwszy od uczonych, a skończywszy na wrózkach, masa osób twierdzi, że to początek tragedji, że jeszcze te nieszczęścia powtarzać się będą. Europejczyków dużo wyjechało. Ci, którzy pozostali, także są nadczeni, nie lubią wyższych pięter, kładąc się spać, przygotowują sobie obok łóżka rzeczy „do wyjścia“, na wszelki wypadek układają sobie różne teorie i plany ucieczki, gdyby się zaczęło walić i t. p.

Psychologicznie, dla mnie, to najgorzej się stało, że nic nie przepowiadało zbliżającej się katastrofy, bo teraz można jej oczekiwać każdej chwili. Tylko, że machnąłem ręką na rzeczy, na które nic poradzić nie mogę i trzymam się dosyć mocno.

Tokjo, 29 października 1923 r.

K o r e a ń c z y c y

*S. Łaganowski, wdł. A. Hagen.
(Czasop. „Przyroda“, 1904 r.).*

Koreańczyk przedstawia fizycznie typ mongolski, że się tak wyrazimy, „złagodzony“. Kolor ciała jest jaśniejszy, niż u innych przedstawicieli tej rasy, nos mniej spłaszczony, niekiedy orli, uwłosienie obfitsze, broda dosyć gęsta. Pomimo wąskiej klatki piersiowej wydają się silnie zbudowanymi, a znacznie wyższy wzrost wyróżnia ich odrazu od sąsiadów, Japończyków. Cała postać ciała i rysy twarzy w połączeniu z niezmiernie powolnymi ruchami znamionują łagodność charakteru, a zarazem

powagę, spokój i niewzruszoną jakąś obojętność, wrodzoną ociężałość, która, zda się, nie dopuszcza żadnych żywszych porывów i pragnień.

To wrażenie, które na nas sprawia postać Koreańczyka, potęguje się jeszcze przez bardzo oryginalne ubranie. Jest to długa, sięgająca do połowy kolan, białego koloru szata, z szerokimi rękawami, nieco dłuższa u kobiet, ale cokolwiek odsłaniająca białe również pończochy. Ten jednolity biały ubiór usprawiedliwia nazwę jaką nadają Koreańczykom niektórzy podróżnicy: nazwę „narodu widm lub upiorów“, bo istotnie szeregi osób w bieli, snujące się po drogach, zwłaszcza wśród nocy księżycowych, mogą wywołać wrażenie procesji duchów. Czarne włosy uczesane są gładko na czole, rozdzielone brózdą, idącą przez środek głowy, ztyłu zaś splecione w postaci zwiniętego warkocza, ochronionego małą czapeczką z włosia. Nakrycie głowy jest niezmiernie ciekawe i oryginalne i pozwala cudzoziemcowi na pierwszy rzut oka rozpoznać stanowisko społeczne Koreańczyka. Młodzi kawalerowie chodzą z gołymi głowami. Młodzieniec żonaty, ale nie mający jeszcze dzieci, nosi kapelusz okrągły w kształcie cylindra z wąskimi brzegami, ze słomy białej.

Ojciec rodziny ma prawo nosić prawdziwy kapelusz koreański, który stanowi oznakę dojrzałości. Jest to cylinder czarny w postaci niby podwójnej korony, spleciony z włókien kokosowych. Cena takiego kapelusza jest stosunkowo dość wysoka: od 5 do 30 franków, zależnie od delikatności wyrobu. Niższy urzędnik nakrywa głowę czapką czarną, podobną do biretu diakonów, wyżsi urzędnicy, a nawet sam cesarz noszą kapelusze czarne o bardzo szerokich skrzydłach. Wreszcie żołnierze noszą kepi formy europejskiej, które pokrywa mała krymka z włókien kokosowych, mająca jakoby na celu utrzymanie tradycji narodowej.

Nieodłączny dodatek do ubrania stanowi długa bambusowa fajka i kapciuch z tytuniem uprawy miejscowej. Koreańczycy, nie wyłączając kobiet, są namiętными palaczami. Można się wyrazić, że pospolity Koreańczyk na to właściwie pracuje, aby mieć za co kupić sobie tytuniu, w którego błękitnych kłębach zapomina o wszelkich dolegliwościach marnego swego istnienia.

Nie może być nic smutniejszego nad widok wsi koreańskiej. Jest to płatanina ciasnych, błotnistych uliczek, otoczonych nędznymi lepiankami, krytymi strzechą. Chata składa się zwykle z dwóch izb, w których mieści się często bardzo liczna rodzina. Niejeden ojciec rodziny ma 15 do 20 dzieci. Przy ciasnocie, niedbalstwie, w zachowaniu czystości, warunki higieniczne są na-



Koreańczycy.

turalnie opłakane i śmiertelność przechodzi zwykłą normę. Bardzo oryginalny jest system podziemnego ogrzewania mieszkania podczas zimy. Ognisko mieści się nazewnątrz chaty, a ciepło

rozprowadza się pod podłogą, urządzoną z ubitej ziemi, wyłożonej kamieniami.

W mieszkaniu niema żadnych mebli. Koreańczyk siedzi w kućki na podłodze, pokrytej słomianką. Łóżek niema, wskutek czego nocleg spędzony w chacie koreańskiej na silnie ogrzanej podłodze niejednemu podróżnikowi dał się silnie we znaki. Trochę niezbędnych naczyń, kilka kufrów z ubraniem i żywnością — oto cała zawartość wnętrza mieszkania. Idealista Koreańczyk mało ma potrzeb, co się także uwidocznia w sposobie odżywiania: ryż, kawałek ryby, kwaszona kapusta, trochę innych jarzyn — stanowi zwykłe jego pożywienie.



Ulica w Seulu.

Miasta koreańskie różnią się tem właściwie od wsi, że mają więcej domów i ulic. Te same nieprzebrane masy błota, ten sam brud, niedbalstwo, widniejące na każdym kroku. W miastach portowych, jak Czemulpo, Fuzan, Genzan, a również w stolicy kraju Seulu uderza nas olbrzymi kontrast, jaki istnieje pomiędzy dzielnicą koreańską a japońską. Japońska odznacza się czystością, wre w niej życie handlowe, przemysłowe, stoją porządne gmachy instytucyj publicznych. Wogóle z sennej dzielnicy koreańskiej przechodzimy tu jakby do zupełnie innego świata.

Japończycy zawładnęli już ekonomicznie tym krajem. Licz-

bę ich w Korei podają na 50.000. Do nich należy przeważna ilość zakładów i instytucyj handlowych i przemysłowych. Oni budują drogi, koleje żelazne i urządzenia portowe, w ich rękach spoczywa handel morski. Senny zaś Koreańczyk nie bierze jakoś przykładu od swych potężnych sąsiadów, nie przejmuje się ani ruchliwością i pracowitością Chińczyka, ani energją swego wyspiarskiego sąsiada. Ten brak wszelkiej inicjatywy, ta powszechna apatja u narodu dość liczego¹⁾ i fizycznie silnego wzbudza w nas podziw prawdziwy. Jakby jakaś potężna choroba woli zapanowała nad narodem, który przecież nie jest pozba-



Szkoła prywatna.

wiony ani rzeczywistych zalet moralnych, ani uzdolnień umysłowych!

I mimowoli narzuca nam się pytanie, jakie są przyczyny tej ogólnej apatji? Wina, jak się zdaje, tkwi w wadliwych urządzeniach społecznych, które, działając przez długie szeregi wieków, odbiły się także ujemnie na pewnych cechach charakteru ludności. Przedewszystkiem głównym winowajcą był prawdziwie drapieżny system podatkowy. Każdy mieszkaniec kraju obłożony był podatkiem względnie do swej zamożności w takim stopniu,

¹⁾ 9¹/₂ milionów.

że po przejściu przez ręce poborcy podatkowego wszyscy mieszkańcy bogaci i biedni, pracowici i próżniacy zrównani byli zupełnie ze sobą pod względem majątkowym, t. j. pogrążeni w jedną nędzę, albowiem tyle się tylko każdemu pozostawiało, ile było potrzebne do uchronienia go od śmierci głodowej. Wobec tego Koreańczyk czuł się zadowolony, gdy zdobył kilka monet, aby sobie kupić tytoniu i trochę ryby wędzonej, wszelkie zaś sprawy finansowe i zabiegi handlowe pozostawiał innym, t. j. cudzoziemcom.

Nieliczne zapobiegliwsze jednostki ukrywały zaoszczędzone grosiwo w specjalnych szkatułkach w ziemi, prowadząc pomimo względnej zamożności życie ubogie, jak inni, ażeby nie dać powodu do podejrzeń licznyim agentom podatkowym.

Historja jednego kupca koreańskiego w Czemulpo doskonale ilustruje stosunki krajowe. Handlowiec ten, wszedłszy w spółkę z jednym Amerykaninem, zdobył znaczny majątek, dochodzący do 600 000 fr. Otóż zdarzyło się, że dnia pewnego cesarz koreański miał do zapłacenia dużą sumę za broń, dostarczoną z Europy. Ponieważ skarb państwa był pusty, zwrócono się więc do kupca z prośbą o pożyczkę 150 000 fr. Pomimo licznych reklamacyj kupiec ani grosza z tej sumy nie odebrał i uważał za dogodniejsze dla całości swej głowy zapisać wypożyczoną sumę na rachunek strat, niezbędnych zresztą w każdym interesie.

A oto drugi pouczający przykład, który pewien wieśniak z Fuzanu podał jednemu z podróżników: Miejscowy mandaryn, uważając wieśniaka tego za człowieka dość zamożnego, zaproponował mu przyjęcie pewnego stanowiska urzędowego; za godność tę atoli trzeba było zapłacić tak znaczną sumę pieniędzy, że to doprowadziło go do zupełnej ruiny. Wymówić się zaś od przyjęcia urzędu niepodobna, uważałoby się to za szykanę dla władz i pociągnęłoby za sobą wygnanie i konfiskatę majątku.

Po wojnie rosyjsko-japońskiej położenie polityczne Korei uległo zmianie. Korea utraciła swą niezależność, dostała się pod opiekę a właściwie pod ścisły nadzór i kierownictwo Japonji. Czy wygra co na tem ludność miejscowa, wątpić należy. Japończycy dbać będą niezawodnie o rozwój w kraju zabranym przemysłu i handlu, o wprowadzenie ładu i porządku, jednak zaborcy, jak to zwykle bywa, mają przedewszystkiem własne interesy na widoku. Dla Koreańczyków więc zmiana politycznych stosunków ich kraju będzie przypuszczalnie zamianą własnego

jarzma na obce, które bezporównania trudniejsze jest do zrzu-
cenia ¹⁾).

Powitanie wiosny w Jakucku ²⁾.

Adam Szymański (Szkie)

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin zaledwie, przypieka nawet dobrze. Dopóki jednak wielka Lena nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki tu nie stopnieją śniegi w tajgach ³⁾ dziewiczych leżące, wiosny tu niema jeszcze. Śniegi nie podgrzewane ciepłem wewnętrznem ziemi na kilkaset stóp przemarzłej, lód grubości sążniowej, uparczywie walczą z potęgą promieni życiodajnych, i po długiej dopiero, nie-słabnącej pracy, słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej i królowę wód tutejszych, babcię Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek, po raz pierwszy będący w Jakucku, zauważy tu dość ciekawe, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk, jakoś dziwnie działa na ludzi, znajdujących się na ulicy; i dzieci, i starzy, i kobiety, i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie, i zwracając się ku wschodowi, w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętymi, w skupieniu głębokiem, przysłuchują się czemuś chwilę.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywemi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie, ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarzać się zaczyna, i wzmacnia się, i rośnie, napęniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci przed chwilą tak spokojni, ożywiają się niezwykle, krzyki radosne: „lód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie?“ rozlegają się ze-wsząd i hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom w domach pozostałym zwiasto-

¹⁾ Obecnie Korea zupełnie już przyłączona do Japonji, stanowi tylko prowincję tego państwa.

²⁾ Jakuck — miasto w Syberji wschodniej w ziemi Jakutów pod 60°22' szerokości północnej.

³⁾ Tajga — las pierwotny w Syberji.

wać nowinę pożądaną. Ale i do znajomych, a nawet mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązkowo jednak zastuka, rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: „Lena ruszyła!“. Po chwili słowa te powtarzane i modulowane najrozmaiciej, brzmią po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich, i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynącej w siedmiowiorstwowym korycie, piętrzą się w domy, góry całe, łamią się, trzeszczą, huczą i osypując się milionami igieł lodowych, grają na słońcu cudownymi blaski.

Ale dłużej trochę побыć tu potrzeba, przynajmniej jedną zimę przemieszkając należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałem i mrozami niehumanitarnymi wyczerpali już swe siły¹⁾, którzy z utęsknieniem i niecierpliwością oddawna już oczekują ciepła błęgiego; biegną tu teraz, aby ujrzeć ostateczny triumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznośnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna błyszczy na żółtych twarzach jakuckich, usta szerokie, śmiejąc się dobroduszenie, jeszcze szerszemi się wydają, oczki czarne świecą, jak węgle. Tłum cały jak pijany zatacza się z radości: „Chwała Bogu, chwała Bogu!“ krzyczą ludzie do siebie i zwracając się ku ogromnym góróm lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają klęską wroga nieubłaganego, który teraz, naciskany falami rozhukanemi, kruszy się, miazdży i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie, ziemia już prędko odmarza, i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

¹⁾ Mróz w zimie w Jakucku dochodzi do 61,5° C., przeciętna temperatura w zimie wynosi przeszło 40° C. mrozu (32° R.). Opis mrozów w ziemi jakuckiej znajduje się w części I Wypisów, str. 18.

Wierzenia Jakutów i ich czarodzieje (szamani).

W. Sieroszewski (12 lat w kraju Jakutów, 1900 r.).

Jakuci bardzo niedawno przyjęli chrześcijaństwo. Nawrócenie ich odbywało się zwolna i częściowo. Znałem starców, których ojcowie byli jeszcze poganami, a oni sami zostali ochrzczeni w wieku dojrzałym. Choć pozornie dość nawet gorliwie spełniają obrządki chrześcijańskie i wszyscy umieją robić znak krzyża — stara wiara szamańska panuje jednak z poprzednią potęgą w umysłach krajowców i tajemnie odbywają się wciąż wzbronione praktyki szamańskie¹⁾.

Pojęcie o tem, co się dzieje z człowiekiem po śmierci, dokąd uchodzi to, co w nim myślało, ruszało się, czuło, bardzo jest u Jakutów mgliste. Większość Jakutów wcale sobie nie wyobraża życia zagrobowego, nie myśli o niem. Niektórzy mówili, że to jest wieczna podróż przez pustynię niezmierzoną. Inni, że jest, zdaje się, pod ziemią świat zupełnie podobny do naszego z łąkami, bydłem i ludźmi, gdzie życie płynie podobnie jak na ziemi; stąd też dotąd w niektórych miejscowościach do trumny nieboszczyka kładą pewne narzędzia i naczynia, jak kociołek, nożyczki, siekierę i t. p., a niegdyś było to w powszechnym zwyczaju.

Według pojęć Jakutów wszystko, co żyje, ma ducha i może umierać. Umierają więc trawy, drzewa, gwiazdy... nawet kamienie. Przedmioty, osoby, zjawiska różnią się według nich tylko stopniem życia. Każda rzecz: skała, drzewo, krzew, góra, potok, trawka, kwiatek, a szczególnie przedmioty zrobione przez człowieka posiadają swą treść, swą istotę, swego ducha, którego mocą istnieją i działają. „Duch drzewa obraził się, gdy przywiązano doń wielbłąda, uleciał i drzewo uschło“, mówi jakuckie podanie.

Jak z pojedynczych osób tworzą się rody ludzkie, z których każdy ma naczelnika (tojona) i przedstawiciela, tak tworzą się we wszechświecie rody duchów, zamieszkujących pewne miejsca, a ich naczelnicy stają się władcami i panami tych miejsc z gromadą popleczników i sług. Są więc duchy gór, gajów, lasów, rzek, jezior, wreszcie całych miejscowości.

¹⁾ Szamanizm ma dotychczas miliony wyznawców w Azji, Afryce i Ameryce. Był też przypuszczalnie pierwotną religią Słowian, czego ślady widzimy w zaklęciach znachorów, gusłach i zabobonach.

W pewnych punktach i na górskich przełęczach, u brodów i przepraw, w okolicach strasznych, gdzie posepnie nawisają skały, u wejścia do grot i jaskiń, u źródeł, w miejscach dzwiecznych, gdzie gada echo, gdzie łopocą wodospady, w miejscach bogatych, gdzie nagle u nóg rozściełają się łąki obszerne, gdzie ryby łowią się obficie, w miejscach nieszczęśliwych, gdzie może koń w błocie utonąć, gdzie lubi piorun uderzać — trzeba składać ofiary, duchom — właścicielom tych miejsc rzucać okup, choć drobny, choć szmatkę obdartą z ubrania, kilka włosów z grzywy konia, trochę jedzenia lub drobną monetę, zależnie od grozy miejsca i potęgi jego władzyki.

Lecz duchy przedmiotów nieżyjących i duchy miejscowości, tak zwane iczeci, choć mogą być to istoty potężne, są to zawsze duchy niższe, przejawy marniejszego życia. Życie wyższe zaczyna się od tchnienia; żywa istota nazywa się istotą z „oddechem“. Prócz „iczeci“ posiada ona drugą duszę „sür“. Tę drugą duszę „sür“ posiadają wszystkie twory żyjące, t. j. zwierzęta.

Niektórym zwierzętom Jakuci przypisują własności nadprzyrodzone, czarodziejskie. Jaszczurka, wąż, choć małe, są to jednak twory tajemnicze, niebezpieczne. Z ptaków: kulik i kuro-patwa o głosach przenikliwych i nagłych wzlotach, kukułka, powtarzająca bezliku niezrozumiałe wołania, czajki z żalosnym krzykiem krążące wiankiem nad wodą, kruk-samotnik, złowróżbny ptak orzeł — wszystko to są ptaki szamańskie o własnościach czarodziejskich.

Z pomiędzy zwierząt czworonożnych najwięcej szanowany jest bury, czarny niedźwiedź, którego Jakuci uważają za „pana lasów i puszczy“. Istnieje tysiące opowiadań o zmyślności, rozumie, nadprzyrodzonych własnościach tego zwierza.

„Niedźwiedź, mówią Jakuci, jest rozumny, jak człowiek, nawet rozumniejszy. On wszystko umie, wszystko może i wszystko rozumie. A nie mówi tylko dlatego, że nie chce płacić podatków. O niedźwiedziu nie trzeba źle mówić, on wszystko słyszy, choć go blisko niema, wszystko pamięta i nic nie daruje. Po zabiciu niedźwiedzia, trzeba go przeproszać; śpiewać mu hymny.

Duch zwierzęcy (sür) różni się jeszcze ogromnie od ducha ludzkiego. Człowiek ma duszę potrójną: prócz „iczeci“ i „sür“ posiada jeszcze „kut“. Gdy straci jedną duszę — nieomaga, gdy straci drugą — choruje obłożnie, gdy straci trzecią — umiera.

Jakuci wierzą, że po śmierci dusza człowieka krąży czas jakiś w pobliżu ciała, błądzi po miejscach, gdzie człowiek bywał za życia, próbuje spełniać porzucone roboty. Kiedy cicho w no-

cy; duchy mężczyzn podrzucają siano bydłu, ruszają uprząż, rzemienie, porządkują gospodarstwo; duchy kobiet myją statki, podmiatają izbę, w kufrach przekładają rzeczy... Jęczą, wzdychają, szepczą. Dusze ciche, pokorne, dobre odchodzą w kraj nieznan, zamieszkują w północy okolice puste, ale wiele jest dusz, które nigdy uspokoić się nie mogą: „wiecznie chodzą po ziemi”. Upiory takie niepokoją przede wszystkim krewnych, dokuczają im, żądają od nich ofiar lub zjawieniem się we śnie uprzedzają o nieszczęściu. Nawiedzany przez upiora tęskni, cierpi lub dostaje krzykliwych napadów hysterji. Trzeba wtedy wezwać czarodzieja — szamana, aby rozpoznał jaki upiór nawiedza chorego i jakiej żąda ofiary. Opowiadał mi pewien Jakut o swym sąsiedzie Konstantym, który bardzo się rozchorował. Wzywano szamana. Za pierwszym razem nic odkryć nie mógł. Duchy uciekały, nie ich zwabić nie zdołało. Za drugim razem powiedział, że dużo upiorów odwiedza chorego, ale najzacieklejsza jest żona nieboszczka, która go bardzo kochała za życia. Upiory żądały od chorego wódki i bydłęcia — miało być rude z białą głową, z białą piersią i podbrzuszem i z białym końcem ogona. Konstanty, człowiek skąpy, wolał chorować, niż dać żądane przedmioty i przyrzucać w ten sposób upiory do brania łapówek.

Wszyscy, co młodo umarli, wszyscy zabici, co nagłą śmiercią umarli, topielcy, samobójcy, co skonali i pochowani zostali bez obrządków kościelnych — wszyscy tacy stają się upiorami. Prócz ludzi niezwykłych, strasznych, umarłych nagłą śmiercią, każdy szaman, szamanka, czarownik staje się po śmierci upiorem, duchem niebezpiecznym i niespokojnym, zależnie od swej potęgi i zasług za życia. W ten sposób każdy ród jakucki, prócz tłumu zwykłych upiorów, posiada potężnych duchów — duchów „tojonów”. Duchy te niepokoją swoich, żądają od nich należnej daniny, ale chętniej jeszcze napadają na obcych. Nie wszystkie jednak mogą to robić, jak nie wszystkie rody są w stanie walczyć z sąsiadami. Są jednak duchy uznanej potęgi, których władza sięga tak daleko, jak daleko mieszkają Jakuci. Pamięć o wielu potężnych duchach rodowych lub też pamięć o ich pochodzeniu zatarła się zupełnie, ocalały grupy duchów bardzo stare; grupy te podzieliły pomiędzy sobą zjawiska i części świata; stały się panami ziemi, powietrza i nieba. W następstwie nastąpił podział duchów na złe i dobre. Prastare duchy rozpadają się na dwie potężne grupy: grupa duchów górnych czyli niebieskich i grupa duchów dolnych (podziemnych). Na czele duchów niebieskich stoi Pan-ojciec, władca świata, Art-Tojon Aga, zamieszkujący dziewiąte niebo.

Według pojęć Jakutów przyczyna każdego zjawiska tkwi w woli, w namiętnościach, w pragnieniach jakiegokolwiek ducha z potężnych niewidzialnych rodów. Każde więc zjawisko może być zmienione przez okup, prośbę lub groźbę, przez walkę z duchem, który to zjawisko wywołał. Dlatego potrzeba przede wszystkim dociec, dla którego z tysiąca upiorów lub duchów był dogodny i możebny szkodliwy postępek. Na to istnieją szamani. Jak pasterz idzie po śladach złodzieja swych koni wnioskując często o kierunku jego drogi z otrząśniętej z traw rosy, tak szaman zapomocą subtelnych dociekań i rozumowań, odgaduje, który duch jest winowajcą nieszczęścia. Pomagają mu duchy tegoż, co i on, rodu i pochodzenia.

Szamanem nie można „zostać“, szamanem człowiek się rodzi. Aby innych zniewolić i porwać, trzeba samemu wierzyć i mieć zdolności do mistycznych uniesień. Miałem jednego przyjaciela szamana. Człowiek ten, gdy dobiegł lat 20-tu, zaczął bardzo chorować, zaczął, jak mówią Jakuci, „widzieć oczami, słyszeć uszami“, to, czego inni nie widzą i nie słyszą. Dziewięć lat krył się z tem, zmagął, nie mówił nikomu, aby ludzie nie śmieli się zeń; wreszcie rozchorował się do tego stopnia, że życiu jego groziło niebezpieczeństwo. Wtedy zaczął szamanic (czarować): ulżyło mu, ale i dziś, gdy długo nie szamani, czuje się niedobrze.

Wogóle w postaciach szamanów jest coś, co po kilku spotkaniach pozwala ich niechybnie w tłumie Jakutów rozróżnić: pewna nerwowość ruchów i większa zmienność rysów — sennych u większości krajowców. Szamana Jakuci wzywają często w rozmaitych potrzebach życia. On jest jedynym pocieszycielem ich i doradcą, jedyną nadzieją w bolesnych i ciężkich przygodach.

W posępnych, dzikich ostępach, oderwanych od świata, oni tylko ku niemu mogą zwracać pełne udręczenia oczy. Wzywają go, by wróżył, by błogosławił, by błagał powodzenia, odnalazł zgubę. Na każdym większym weselu i uroczystości musi być szaman. Ale głównie wzywany jest do chorych. Z przyjęciem chrześcijaństwa zwolna rola jego ogranicza się wyłącznie do czynności lekarskich. Wielkość wynagrodzenia za czary bywa rozmaita, ale zawsze wypłaca się tylko w razie dobrego skutku. Wtedy dochodzi niekiedy do 65 złotych, zależnie od zamożności chorego. Zwykle ogranicza się na złotym i „przyjęciu“. W niektórych miejscowościach szaman zabiera część mięsa ofiarnego bydłęcia. Ale nie wszyscy biorą, lękając się zarzutu, że każą zabijać dużo przez chciwość. Szaman nigdy nie stawia warunków; bierze co

dają, co dać mogą, często bardzo nic nie bierze. Szamani wogóle nie są bogaci, gdyż rzadko w życiu codziennem posiadają ten spryt, co w krainie duchów. Owszem, chwilami sprawiają wrażenie ograniczonych, narwanych, dziecinnych.

Wszystkie choroby, według wierzeń Jakutów, pochodzą od duchów i sposoby leczenia ich są jednakie: okup lub wypędzanie ducha. Najtrudniej dowiedzieć się powodu choroby, znaleźć ducha dręczyciela, następnie określić jego położenie rodowe, stopień i siłę. Stąd obrządek szamański rozpada się zawsze na dwie części: wyprawy na niebo do duchów, opiekunów szamana, prośba o ich pomoc, wywiadywanie się o powód nieszczęścia i następnie pokonanie przyczyny, t. j. wrogiego ducha lub upioru. Duchy są zwykle w zmowie, kryją swych towarzyszy; duchy potężne lekceważą próby słabego człowieka, nieraz trzeba ich długo błagać i niepokoić, nim pozwolą wypędzić swego podwładnego.

Zewnętrzny porządek obrządków szamańskich zawsze jest jednakowy. Wezwany do chorego, szaman przychodzi zwykle pod wieczór i siada odrazu na przednim miejscu; wyciąga się na ławie, na białej skórze, gawędzi z otaczającymi i czeka chwili odpowiedniej do czarów. Wreszcie słońce zaszło, zmierzch gęstnieje, w jurcie ¹⁾ robią pośpieszne przygotowania do czarów, łupią łuczywa, znoszą drwa, zamiatają izbę, gotują pożywniejszą i smaczniejszą kolację. Zwolna schodzą się sąsiedzi, obsiadają ławy wzdłuż ścian, mężczyźni na prawo, kobiety na lewo. Wszyscy rozmawiają przyciszonymi głosami, ruszają się ostrożnie. Gospodarz robi z mocnych rzemieni dwie pętlice, które szaman zakłada sobie na ramiona, a obecni przytrzymują zwieszające się końce, aby go duchy nie porwały. Wreszcie wszyscy usiedli poważnie na miejscu. Szaman przykucnął w kącie, gdzie zwykle stoi wyniesiony na ten czas stół; zwolna rozplata swe warkocze, mruczy coś, wydaje pomocnikowi rozkazy, czka i ziewa nerwowo, ciało jego przebiegają dreszcze, z początku sztuczne. Oczy, spuszczone na dół, nie patrzą wcale, lub są utkwione w jeden punkt, zwykle w ogień. Ogień dogasa. Błyski jego coraz słabiej rozświecają ciemności; ruch w izbie ustaje, gdyż za chwilę drzwi zostaną zaparte i nieprędko się otworzą. Szaman zwolna zwleka koszulę i nakłada czarodziejski kaftan. Podają mu fajeczkę. Pali i dym łyka. Czkawka jego i dreszcze nerwowe wzmagają się; twarz mu pobladła, zwiłgła, głowa nisko opadła

¹⁾ Jurta — dom jakucki.

na piersi, oczy nawpół zamknęły. Tymczasem na środku jurty już rozpostarto jego białą skórę kobyłą. Szaman każe sobie podać zimnej wody i pije ją wolno dużemi łykami; następnie sennym ruchem bierze zawczasu przygotowany bęben, wychodzi na środek i cztery razy przyklęka na cztery świata strony. Jednocześnie bryzga wodą z ust wkoło. Wszystko zamiera. Pomocnik rzuca garść włosów końskich na ogień i zasypuje go zupełnie popiołem. W mętным zmroku niewyraźnie majaczy zgarbiona postać szamana, z ogromnym, jak tarcza, bębmem przed sobą. Siedzi on na skórze kobyłej, zwrócony twarzą na południe. Nareszcie nastaje nieprzenikniona ciemność. Obecni wstrzymują oddech i ruchy. Słychać tylko mamrotanie i czkawkę szamana. Milknie i to. Chwilę panuje głucha, przejmująca cisza. Aż nagle, niewiadomo skąd, rozlega się urywany, ostry, przenikliwy, jak zgrzyt żelaza, krzyk i... milknie. Później znów, gdzieś w ciemnościach, to niżej, to wyżej od szamana, to przed nim, to za nim odzywa się nerwowe przykre ziewanie, czkawka histeryczna, to czajka zapłaczę żałości, zakracze sokół, kulik zaświszcze. To krzyczał szaman, modulując głos swój. I znowu cisza. I tylko leciuchne jak brzęczenie komara dźwięki bębna wskazują, że czarownik zaczął swą muzykę. Bicie w bęben, z początku do muśnięć podobne, wzmaga się, krzepnie, ustaje i znów zrywa, jak szum napływającej burzy. Po jej kapryśnym łoskocie przelatują zygzaki najdzikszych dźwięków: kraczą orły, skarżą się czajki, chichoczą mury czarne, piszczą kuliki, kukają kukulki. Muzyka rośnie i dosięga zenitu, uderzenia po bębnie tak szybkie, że zdają się zlewać, zmuszają instrument do wycia i ryku. Dzwonki i metalowe brzękadła, umieszczone wewnątrz bębna i na pałeczce do uderzania jęczą bez przerwy. Wtem jedno potężne uderzenie — i bęben podniesiony w górę spada, jak błyskawica na miękką włochatą skórę kobyłą. Dźwięki urywają się, jakby kto ciął siekierą. Znowu po chwili te same głosy wystraszonego ptactwa i rosnący werbel bębna. I tak kilkakroć, aż muzyka niespodzianie zmienia tempo i w takt jej płyną w ciemności strofy hymnu, zaklęcia wzywające bogów i duchów.

Dalej szaman uprasza swego ducha opiekuńczego i przyjaznych mu duchów o przybycie i pomoc. Niekiedy wzywani długo opierają się, nie przychodzą; czasami zjawiają się z takim impetem, oblicza mają tak groźne, iż czarownik pada rażony na ziemię.

Gdy „duch opiekuńczy“ zstąpi na szamana, ten wstaje, z początku podskakuje, a potem ruchy jego stają się coraz żwawsze,

zamaszystsze. Na ogień rzucają łuczywa i drwa. Jasne światło zalewa jurte, która nagle napęlnia się ruchem i wrzawą. Czarownik tańczy, gra i śpiewa nieustannie, skacze jak opętany. Ci, co go trzymają za sznur, niemało mają pracy. Kaftan jego obwieszony brzękadłami huczy jak burza, jak oddział cwałującej kawalerji. Głowa szamana, wciąż opuszczona na dół, trzęsie się chorobliwie, włosy bezwładnie rozrzucone przylepiają się do spotniałej twarzy, powieki przymknięte i z pod nich świeci się spojrzenie mętne, a u niektórych piana z ust płynie i błyskają mocno ściśnięte zęby. On ryczy, ochryply, prawie bezprzytomny i bije w bęben. Fala jego wściekłości i uniesienie to wznosi się, to opada; często zdaje się, że sił mu nie stanie, że padnie, a on tymczasem po chwilowym odpoczynku jeszcze żywsze zaczyna wykonywać skoki... Aż utnie... i cichy, poważny zanuci hymn uroczysty. Wreszcie dowiedział się już wszystkiego, zabezpieczył się opieką znękanych jego uporem gniewnych bogów, przełamał przeszkody i wybiegi... W lekkim tańcu, nucąc pieśni to figlarne, to straszne, to pełne ironji lub przekleństw, zależnie od tego, czyje naśladuje głosy, zbliża się do chorego i całym szeregiem zaklęć, grózb, obietnic zmusza przyczynę choroby do ustąpienia lub wysysa ją z chorego miejsca; unosi na środek izby i nie przestając zaklinać i gadać, wyrzuca, wypłuwa, wygania, odpędza kopnięciem nogi, zdmuchuje z dłoni w przestworze. Równocześnie obecni dowiadują się, za jaką cenę duchy rodowe pozwoliły odebrać zdobycz poddanemu swemu. Szaman przykrywa oczy dłonią, jak daszkiem i ogląda uważnie wszystkie kąty, czy gdzie nie ukrył się jaki gość nieproszony, jaki duch z roju wezwanych, lub wyganianych. Skoro tylko zauważy coś podejrzanego, mgłę jakąś, znowu tańczy, bije w bęben, zaklina i straszy... I tak do skutku.

Obrzęd skończony, modlitwa dziękczynna zmówiona. Wszyscy oddychają rażniej. Czas jakiś szaman, obdarzony duchem wieszczym, przepowiada przyszłość, tłumaczy ciemne wypadki bieżącego życia, opowiada, co widział na niebie. Jest to zwykle bardzo wesoła część wieczoru; żarty, śmiechy sypią się, jak z worka... obecni siłą się na dowcipy... a duchy odpłacają im sumiennie. Wreszcie obecni biorą skórę za rogi i niosą na miejsce poprzednie, a szamana odprowadzają na przednie miejsce w jurcie.

Niektórzy mistrze w sztuce szamańskiej tak niezwykle podczas obrzędku rozkładają ciemność i światło, ciszę i dźwięki, w głosie ich drżą takie wzruszające nuty błagalne, groźne,

śpiewne lub okropne; łoskot ich bębna tak odpowiada nastrojowi chwili; hymny, pieśni, opowieści są pełne tak pięknych, malowniczych słów, zwrotów nieoczekiwanych, pysznych porównań, że nawet Europejczyk będzie się czuł pokonanym przez niewysłowiony urok dzikiej twórczości tej duszy pierwotnej i wolnej.

Mongołowie.

Jak się odżywiają i czem się zajmują?

(Przewalski).

W życiu codziennem Mongołów przedewszystkiem uderza podróżnika ich bezgraniczne niechlujstwo. W przeciągu całego życia koczownik ani razu nie obmywa swego ciała. Bardzo rzadko i to w razach wyjątkowych myje sobie twarz i ręce. Wskutek stałego brudu ubranie Nomadów roi się od pasorzytów.

Nieczystość i brud, w którym koczownik żyje, pochodzi po części z jego obawy przed wodą i wszelaką wilgocią. Nie dość, że Mongoł za żadną cenę nie przejdzie przez wodę, w której mógłby sobie zaledwie nogi zamoczyć, ale unika trwożnie nawet tego, aby nie postawić swej jurty w miejscu wilgotnem, np. w bliskości źródła, strumienia lub błota. Wilgoć wywiera nań wpływ podobnie szkodliwy, jak i na wielbłąda, co można tylko wytłumaczyć przyzwyczajeniem organizmu do suchego klimatu. Nie pije też Mongoł nigdy zimnej wody nieprzegotowanej; zastępuje ją napojem zgotowanym z herbaty cegiełkowej¹⁾. Towar ten Mongołowie otrzymują przez Chińczyków i tak namiętnie przyzwyczaili się do tej herbaty, że bez niej żaden koczownik, tak mężczyzna, jak i kobieta, nie może się obejść nawet kilka dni. Przez dzień cały, od wczesnego rana aż do późnego wieczora kociołek z napojem stoi na ognisku; cała rodzina pije herbatę bez przestanku i nią przedewszystkiem częstuje każdego gościa.

Herbata przyrządza się sposobem wstrętnym. Naczynie, kociołek z lanego żelaza, w którym się ten nektar gotuje, nigdy się nie oczyszcza, zrzadka wyciera, jedynie „argalem“, to jest wysuszonym nawozem krowim lub końskim. Do gotowania bierze się zwykle woda słona, a gdy jej brak, soli się zwyczajna woda pod-

¹⁾ Najgorsze liście herbaty z ostatniego zbioru wysuszone i roztarte oblewa się krwią wołową i piecze na ogniu aż do utworzenia czarnej masy, którą się kraje na kawałki, mające kształt cegiełek. (Przyp. red.).

czas gotowania. Następnie herbatę cegielkową kruszą nożem lub w moździerzu i garść tego proszku rzucają do gotującej się wody, dodając do niej jeszcze kilka filiżanek mleka. By rozmiękczyć herbatę cegielkową, twardą, jak kamień, kładą ją przed użyciem na kilka minut na gorący argal, co jej, oczywiście, nie dodaje ani smaku, ani aromatu. Herbata w ten sposób przyrządzona służy tylko jako napój orzeźwiający, prawie tak, jak u nas kawa, czekolada lub chłodzące napoje. By ją uczynić pokarmem posilniejszym, Mongoł wrzuca do swej miseczki z herbatą garść prażonego prosa, aby zaś uczynić napój zupełnym przysmakiem, kładzie kawałek masła albo surowego tłuszczu



Mongołowie.

z kurdjuka (tak się nazywa gruczoł tłuszczowy silnie rozwinięty u mongolskiej owcy przy nasadzie ogona). To wszystko może dać czytelnikowi pojęcie, jak wstrętnym jest ten pokarm, który Mongołowie zużywają w ilościach nie do uwierzenia. W ciągu dnia każdy z nich wypija dziesięć do piętnastu miseczek o wartości naszej szklanki. Nawet dla młodej damy mongolskiej jest to liczba zwykła. Dorośli zaś mężczyźni zużywają dwa razy tyle.

Zresztą jedzą tu i piją cały dzień, kiedy się komu podoba, ponieważ u Mongołów niema określonego czasu na obiad. Tu

należy jeszcze dodać, że miseczka, z której koczownicy piją herbatę lub jedzą, uważa się za własność osobistą tego, komu służy. I to naczynie nigdy się nie myje; po użyciu wylizują je i wtykają za pazuchę. Miseczki stanowią też często przedmiot dumy dla właścicieli i u bogatszych znaleźć można srebrne miseczki chińskiego wyrobu.

Obok herbaty mleko w różnych postaciach jest stałym pożywieniem Mongołów. Robią z niego masło, twaróg, przekształcany na małe wysuszone kawałki sera, kumys. Ostatni, po mongolsku „Tarazunn“ przyrządza się z mleka kobył i owiec. W ciągu całego lata jest to główny przedmiot poczęstunku, tak że Mongołowie nieustannie odwiedzają się wzajemnie, aby popробować „Tarazunn“, którym się zwykle podchmielają. Zresztą wszyscy koczownicy mają wielkie upodobanie do napojów spirytusowych, chociaż pociąg do trunków nie stanowi u nich tak powszechnego nałogu, jak w krajach cywilizowanych. Wódkę otrzymują od Chińczyków, z Chin, dokąd przybywają ich karawany, albo od kramarzy chińskich, którzy się snują po całej Mongolji, zamieniając różne towary na wełnę, skóry i bydło.

Handel ten przynosi Chińczykom wielkie zyski, ponieważ dają zwykle towary na kredyt, ściągając przy tej sposobności ogromne procenty lub, co na jedno wychodzi, obliczając zbyt nisko przedmioty zamiany.

Chociaż herbata i mleko stanowią przez rok cały główne pożywienie Mongołów, to jednak mają oni, szczególnie w zimie, jeszcze jeden ważny pokarm dodatkowy. Jest nim baranina, ulubiony przysmak każdego koczownika, tak że gdy który z nich chce określić jakąś potrawę, jako szczególnie smaczną, to odzywa się o niej: „smaczna, jak baranina!“

Za najsmaczniejszą część owcy uchodzi „kurdjuk“ (gruczoł tłuszczowy ogona). Owce mongolskie tłustcieją, podobno nawet na lichym stepie, do tego stopnia, że całe ich ciało obłożone jest powłoką tłuszczu grubości około cala. Im tłustsze jest zwierzę, tem bardziej odpowiada upodobaniom smakowym Mongoła.

Żarłoczność Mongoła przechodzi wszelkie pojęcie. Może on na jednym posiedzeniu pochłonąć 5 kilogramów baraniny. Zdarzają się żarłocy, którzy w ciągu jednego dnia potrafią zjeść całego barana średniej wielkości! W czasie podróży ćwiartka baraniny stanowi zwykłą porcję dzienną dla jednego człowieka. Zato Mongoł może się obejść przez kilka dni bez wszelkiego pożywienia. Ale gdy się już rzuci do jada to je, jak się to mówi, za siedmiu.

Baranina używa się zwykle gotowana, rosół z niej wypija się; niekiedy wrzucają do niego nieco prosa albo ciasta w postaci klusek. Lamowie i ludzie pobożni wyższego stanu rzucają przed jedzeniem małe kawałeczki strawy, jako ofiarę, na ogień, w braku zaś ognia — na ziemię. Gdy trzeba zrobić ofiarę z płynnego pokarmu, maczają w nim palec i otrząsają, bez względu na to, gdzie kropelki upadną.

Mongołowie wszystkie swe potrawy biorą rękami, pomimo że te są zwykle bardzo brudne. Mięso podają sobie do ust wielkimi kawałkami, kładą go tyle, ile się tam może zmieścić, resztę zaś, odcinają od ust zapomocą noża. Kości obgryzają tak starannie, że się na nich ani jedno włókienko nie zostaje, niektóre kości nawet rozbijają dla wydobycia szpiku. Łopatka owcy zawsze się rozbija po zjedzeniu mięsa. Pozostawienie jej w całości za grzech ciężki jest uważane.

Prócz baraniny, która stanowi przedniejszą potrawę, Mongołowie używają mięsa kóz i koni, rzadziej wołowiny, a najrzadziej mięsa wielbłądów. Chleba Mongołowie nie znają, choć nie gardzą bułkami chińskimi. Niekiedy nawet pieką sobie w domu placki i robią z mąki pszenicznej. W bliskości granicy Syberji jedzą już chleb żytni, ale dalej we wnętrzu Mongolji chleb ten nie jest znany.

Ryby i ptactwo z małemi wyjątkami nie jest używane przez Mongołów. Uważają oni taki pokarm jako nieczysty. Widok podróznika, jedzącego np. kaczkę, wstręt w nich wywołuje.

Wyłącznem zajęciem Mongołów i jedynym środkiem utrzymania jest pasterstwo. Zamożność Mongoła określa się liczbą zwierząt w jego stadach. Najwięcej trzymają owiec, dalej następują konie i wielbłądy; bydło zaś rogate i kozy znajdują się tylko w liczbie nieznacznej. Zresztą zależy to od okoliczności, jaki gatunek zwierząt przeważa w stadach Mongoła.

Koczownik całe swe utrzymanie: pożywienie, ubranie i mieszkanie, zawdzięcza swoim stadom, i zarabia prócz tego sporo grosza w części ze sprzedaży bydła, w części za przewóz towarów przez pustynię; to też poświęca on całą swoją uwagę swym zwierzętom domowym, gdy troska o własną osobę i o swą rodzinę odgrywa podrzędną rolę. Przesiedlanie się na inne obszary stepu ma na widoku wyłącznie tylko korzyści, jakie stąd mogą osiągnąć stada zwierząt.

Gdzie dla zwierząt będzie lepiej, to jest gdzie się znajdzie obfitsza pasza i woda, tam się Mongoł osiedla bez względu na wszelkie inne okoliczności. Cała wiedza Mongołów ogranicza się

tem, co jest w związku z ich zwierzętami, a cierpliwość ich w obchodzeniu się ze zwierzęciem godna jest podziwu. Uparty wielbłąd staje się w ich ręku posłusznym zwierzęciem jucznym, a półdziki koń stepowy — powolnym i spokojnym wierzchowcem. Koczownik lubi swoje zwierzęta i ma dla nich współczucie. Za żadną cenę nie osiodła konia lub wielbłąda przed określonym wiekiem, za żadną cenę nie sprzedaje jagnięcia lub cielęcia, bo uważa za grzech zabijać zwierzęta w młodym ich wieku.

Przemysł u Mongołów zajmuje miejsce podrzędne i ogranicza się do produkcji niektórych przedmiotów niezbędnych do użytku domowego. A więc garbują skóry, robią derki wojłokowe, siodła, uździenice, hołoble. Wszelkie inne przedmioty Mongoł kupuje u Chińczyków, a w ilości bardzo nieznacznej i od



Przewóz herbaty.

kupców rosyjskich w Kiachcie i w Urdze. O górnictwie niema mowy. Handel wewnętrzny jest wyłącznie wymienny. Handel zewnętrzny prowadzi się tylko z Pekinem i sąsiednimi miastami Chin. Mongołowie dostarczają tam bydła, soli, skór i wełny wzamian za towary fabryczne.

Bezgraniczne lenistwo stanowi główną cechę charakteru koczownika. Całe życie jego przechodzi na próżniactwie czemu sprzyjają warunki bytu wędrownego pasterza. Opieka nad stadem przedstawia jedyną troskę Mongoła, a ta wcale mu nie zajmuje całego czasu. Konie i wielbłądy wałęsają się po stepie bez wszelkiego nadzoru i w lecie tylko raz na dzień przychodzą pić do studni. Dogłądanie krów i owiec należy do kobiet i dorastających dzieci. U bogatych Mongołów, których stada liczą się na

tysiące głów, znajdujemy wynajętych pastuchów, którzy sami są biedni i nie mają rodziny.

Dojenie zwierząt, zbieranie śmietany, robienie masła, i gotowanie należą wyłącznie do obowiązków gospodyni domu. Mężczyźni zwykle nic nie robią i jeżdżą od rana do wieczora od jednej jurty do drugiej dla wypicia herbaty lub kumysu i pogawędzenia z sąsiadami. Polowanie, które koczownicy namiętnie lubią, służy w pewnym stopniu do zabicia czasu. Mongołowie jednak, z małemi wyjątkami, nie są dobrymi strzelcami i nie posiadają dobrych strzelb. Często też używają strzał i łuku.

Na początku jesieni próżniaczy żywot Mongołów ulega zmianie. Wtedy zbierają oni swoje wielbłądy i ciągną z niemi do Kałganu albo Kuku-Choto, by się tam wynajmować do przewozu towarów. W Kałganie zabierają herbatę, aby ją dostarczyć do Kiachty; część wielbłądów używa się do przewozu soli, znajdującej się w słonych jeziorach Mongolji, do pogranicznych miast chińskich. W ten sposób w czasie jesieni i zimy wszystkie wielbłądy są zajęte i przynoszą wielkie zyski właścicielom. Na początku kwietnia kończy się zajęcie przewozem. Wychudłe wielbłądy wracają znów na stepy, a ich właściciele oddają się spoczynkowi wśród zupełnej beczynności.

Owo próżniactwo skłania Mongoła do ciągłej jazdy i do starannego unikania wszelkiego ruchu piechotą. Nawet kilkaset kroków Mongoł nie pofatyguje się pieszo, lecz dosiędzie na pewno swego konia, który z tej przyczyny ciągle stoi przywiązany w pogotowiu przed jurtą. Stada też swoje koczownik dogląda konno, a w czasie podróży z karawaną wtedy tylko zesiada z wielbłąda, gdy go do tego bardzo silny mróz zmusi, ale i wtedy idzie piechotą nie więcej, niż jeden, najwyżej dwa kilometry. Od ciągłej jazdy nogi koczownika wykrzywają się łukowato, co mu ułatwia tak silne objęcie siodła kolanami, jakby do niego był przyrośnięty. Najdzikszy koń stepowy musi się poddać takiemu jeźdźcowi, jakim jest Mongoł. Gdy koczownik siedzi na swym rumaku, znajduje się prawdziwie w swoim żywiole. Nie jeździ stępą, rzadko klusem; mknie zawsze jak wiatr po stepie. Ale Mongoł zna i lubi swego konia. Dobry wierzchowiec stanowi dumę właściciela, który go nie sprzeda w największej potrzebie. Chodzenie piechotą, choćby nawet do jurty najbliższego sąsiada, uważa się za wstyd u Mongołów.

Obdarzony przez naturę silną budową ciała i przywykły od młodości do niewygód cieszy się koczownik nadzwyczaj silnem zdrowiem. Bez odpoczynku ciągnie przez pustynię z wielbłędami

naładowanemi herbatą, chociaż dzień po dniu panuje mróz 30^o stopniowy i ustawicznie wieje wiatr północno-zachodni, czyniący mróz bardziej jeszcze dotkliwym. W podróży z Kałganu do Kiachty koczownik ma ciągle ten wiatr przeciwko sobie, a jednak siedzi do 15 godzin na dobę na wielbłądzie, nie schodząc z niego wcale. Trzeba rzeczywiście być jak z żelaza, aby znieść taką podróż. Mongoł jednak w czasie zimy odbywa taką drogę kilka razy tam i z powrotem, co w całości czyni często 5000 kilometrów. Mimo to wszystko ten człowiek o żelaznem zdrowiu zupełnie się zmienia, gdy jest zmuszony do innego zajęcia. Nie może np. przejść 20 lub 30 kilometrów bez śmiertelnego znużenia. Gdy spędzi noc na wilgotnym gruncie, przeziębiam się, niby mieszcuch wydelikacyony, a przeklina swą dolę, gdy jest zmuszony w ciągu 2 do 3 dni obejść się bez swej ulubionej herbaty cegiełkowej.

W Kaszgarji (Turkiestanie Chińskim)

Gen. Br. Grąbczewski („Kaszgarja”).

Jechaliśmy drogą na miasto Jangi-Gisar, odległe o 66 km. od Kaszgaru, rezydencji naczelnika okręgu.

W kraju tym, jak wogóle w całej Azji środkowej, gdzie jest woda — tam jest życie; prace irygacyjne, sztucznie nawodniające pola, stoją na wysokim poziomie, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę zupełny brak wszelkich przyrządów niwelacyjnych. Często ogarnia zdumienie, gdy się widzi kanały, wyprowadzone z górskich rzek o 100 i więcej kilometrów dla nawodnienia stepów. Wszystkie te prace prowadzą się zawsze „na oko“, bez użycia jakichkolwiek przyrządów, które są zupełnie w tamtejszych krajach nieznane. Metody przeprowadzania wody wyrobiła wiekowa praktyka, która zmusiła do pomysłowości w tym kierunku narody, zamieszkujące kraje, gdzie od marca do października nie spada ani kropelka deszczu, słońce zaś praży tak, że za dotknięciem np. klamki żelaznej, wystawionej na działanie promieni słonecznych, na palcach występują pęcherze, jakby się dotknęło rozpalonego żelaza. Sprowadzanie wody czasami z wielkiej odległości jest tam niezbędne nie tylko do nawodniania pól, ale i do picia.

Droga biegnie prawie ciągle między wioskami; niektóre z nich liczą po kilkaset domów; ciągną się na parę kilometrów i toną w zieleni ogrodów. Była już jesień. Wszędzie w wioskach na małych bazarach piętrzyły się góry arbuzów, melonów, wino-

gron i moreli oraz brzoskwiń. Uprawa pól wspaniała. Ludność uprawia pszenicę, jęczmień, kukurydzę, sorgo, proso różnych gatunków, bawełnę, marenę (z której robi się farba). Owies i len są tu nieznane. Ryż sieją wszędzie, gdzie jest woda w ilości dostatecznej. Uprawa pól ryżowych odznacza się szczególną starannością. Pola te, podługowatej formy, otoczone są wałami, wysokości 30 do 40 centymetrów i wznoszą się tarasami — jedno nad drugim. Nawodnienie poczyną się od tarasu najwyższe-



Mapa Kaszgarji zachodniej. Czarna gruba linja oznacza część drogi, przebytej przez gen. Grąbczewskiego.

go. Skoro woda pokryje cały taras aż do brzegu wału, zbytńia jej ilość spływa na następny taras, leżący o 30 do 40 cm. niżej i t. d. aż do poziomu kanału. Pole stoi pod wodą 1—2 dni, póki woda nie wsiąknie w ziemię; wtedy tworzy się błoto, które pod palącemi promieniami słońca wywołuje bujny rozrost wszelakich chwastów. Oczywiście, przytłumiają one normalny rozwój

ryżu. Natenczas na polach zjawiają się mężczyźni i kobiety. w ogromnych kapeluszach i, brnąc po błocie powyżej kolan, ostrożnie pielęgnają, wyrывая rozmaite trawy błotne, tamujące rozrost ryżu. Pola przestaje się zalewać wodą, odkąd ryż zaczyna kwitnąć. Po zbiorze ryż otlukuje się w prymitywnie urządzonych tłocznjach, czyli obdziera się żółtą skórkę z białego ziarna ryżowego.

Przy każdym gospodarstwie oprócz ogrodu owocowego są obowiązkowo ogrody warzywne, gdzie sadzą cebulę, marchew, rzepę, ogórki, kapustę chińską (nie główkową, jak u nas, ale z liśćmi rozstrzępionymi), pomidory, tykwy najrozmaitszych form i wielkości: olbrzymie, z których wyrabia się kasza, to znów puste w środku, służące, jako dzbany i wiadra do noszenia wody oraz do nargilów, do fajek. Warzywa, owoce, chleb i ryż są głównymi produktami spożywczymi. Mięsa Kaszgarzycy używają bardzo mało i to przeważnie po miastach kupcy i klasa zamożniejsza. Z powodu braku pastwisk bydła trzymają niewiele; głównie hodują konie, które są im niezbędne nie tylko do robót polnych, ale i do przewożenia towarów. W międzywioskowej komunikacji i w dostawie produktów na rynki miejskie ogromną rolę odgrywają osły, które się byle czem karmią.

Mała ilość bydła powoduje małą ilość nawozu, którego wystarcza zaledwie na ogrody warzywne. Pola użyźnia się lesem, który ludność przywozi często zdaleka, z gór, i rozsypuje cienką warstwą po polach.

W mieście okręgowem Jangi-Gisarze zatrzymaliśmy się w zajezdzie chińskim, zbudowanym na rynku miejskim. Zaraz staliśmy się przedmiotem ciekawości gawiedzi miejskiej i chińskiego żołdactwa; wszystko to bez ceremonji włąziło do zajętego przez nas pomieszczenia, zakazając powietrzu zapachem miejscowego czosnku (sarymsak), którego obrzydliwym odorem prześiąka ciało i ubranie.

Gawiedź chińska i żołnierze brutalnie włązili do zajętego przez nas mieszkania, ciekawie oglądali nasze rzeczy, starając się wszystko wziąć do rąk, długo przypatrywali się, jak piszę i rysuję zdjęcia topograficzne i chwyтали do ręki nabitą broń. Wszelkie prośby o opuszczenie mego mieszkania nie skutkowały, zamknąć zaś drzwi nie mogłem, gdyż pokój pozbawiony był okien, i światło wpadało przez wielkie i szerokie drzwi.

Koniec tym udrękom położyło przybycie do mnie naczelnika okręgu, którego prosiłem o ochronę. Przyjechał niespodzianie dla mych nieproszonych gości, kazał schwytać tych, któ-

rych zastał u mnie w mieszkaniu, wyprowadzić ich z zajazdu i na ulicy przed wrotami wsypać każdemu po sto kijów. Operację wykonano momentalnie. Takiej rozprawy się nie spodziewałem i nie mogłem jej zapobiec, choć była ona dla mnie bardzo niemiła.

Tegoż dnia z rana poszedłem na rynek, żeby obejść miejscowe sklepy, obejrzeć w nich towary i wynotować ceny. Za mną ze sklepu do sklepu tłumem wtłaczali się Chińczycy, dotykając palcami mego ubrania i uzbrojenia.

Starałem się tego nie widzieć i skrzętnie zapisywałem w notesie potrzebne mi wiadomości. Notując oparłem nogę na krzesło; nie wiedząc, że jeden z Chińczyków ogląda moje ostrogi i trzymając je palcami, ruszyłem do drugiego sklepu — i niespodzianie, przytrzymany za ostrogę, runąłem jak długi, uderzając się boleśnie o ladę sklepową.

Wróciwszy z rynku do zajazdu, znalazłem w podwórzu mnóstwo chorych, oczekujących na pomoc lekarską. Nie pomagały zapewnienia, że nie jestem doktorem i nie mam lekarstw. Krajowcy przyzwyczaili się w każdym cudzoziemcu widzieć lekarza, więc mi nie wierzono. Do pokoju mego wszedł np. major miejscowej lanzy (pułku), chory na oczy, prosząc o pomoc. Na nic się nie zdały zapewnienia, że nie znam się na tych chorobach i nie mam lekarstwa. Major usiadł na mojem łóżku polowem, mówiąc, że jest dostatecznie bogaty, żeby nawet drogo opłacić moje lekarstwa, ale bez nich nie odejdzie, bo go oczy strasznie bołą.

Miałem w apteczce polowej wodę gulardową (Liq. plumbi acet.). Nie mogąc pozbyć się natręta, odlałem część płynu do flaszki i poleciłem mu, aby, rozpuściwszy 5—6 kropli w salaterce wody, robił z tego parę razy dziennie okłady na czystej wacie.

Po powrocie do Kaszgaru znalazłem w konsulacie list dziękczynny z prośbą, by wysłać jeszcze trochę tego znakomitego „eliksiru“.

Nie mając z sobą żadnych lekarstw, innych natarczywych chorych musiałem leczyć proszkami sody, których miałem trochę. Widok zimnej wody, która burzyła się, jak wrzątek, wywierał na chorych ogromne wrażenie, że zaś każdy po wypiciu czuł się nieco odświeżony więc powodzenie tego środka „od wszystkich chorób“ było zapewnione.

Wspominam o tem wszystkim dlatego, żeby ci, co wybierają się w podróż po krajach mało kulturalnych, nie zapominali o konieczności zabierania ze sobą pewnego zapasu lekarstw.

Z Jangi-Gisaru wyjechaliśmy dalej w stronę Jarkendu 13-go października i w trzy dni przebyliśmy 126 km., dzielących oba te miasta.

Jeszcze przed Jangi-Gisarem dawała się odczuwać bliskość pustyni Gobi, która miejscami przecinała drogę „barchanami“, t. j. krótkimi wydrami lotnych piasków w kształcie półksiężyca. Za Jangi-Gisarem, objawy te stale się zwiększały. Brak opadów i suche, gorące wiatry z pustyni spowodowały zmniejszenie się ilości śniegów na zboczach gór okrążających Kaszgarję z zachodu. Mniejsze rzeczki powysychały, a brak wody do sztucznego nawodniania obrócił olbrzymie tereny, nadające się do wszelkiej uprawy w zupełną pustynię. Barchany lotnych piasków, posuwające się od strony pustyni, dopełniają dzieła zniszczenia. Odbywa się to naturalnie bardzo powoli, ale nieustannie, i nie ulega wątpliwości, że południowo-zachodnią Kaszgarję pustynia czasem pochłonie. Dopiero na przestrzeni 10 — 12 km. przed Jarkendem droga wbiega do kraju kulturalnego i gęsto zaludnionego, dzięki obfitym zapasom wody z rzeki Jarkend-Darji.

Miasto Jarkend leży na jedynej drodze karawan między Indjami a Chinami i prowadzi ożywiony handel z temi krajami oraz z Tybetem. Mury dokoła miasta krępują jego rozwój. Domy budowane są nadzwyczaj ciasno; tylko po 2—3 ulicach można przejechać w powozie; reszta ich jest tak wąska, że trudno przecisnąć się konno przez tłumy ludzi i zwierząt jucznych. Miasto liczy 12.000 domów i 120.000 mieszkańców.

Zatrzymałem się w domu prywatnym pewnego Sarta, uchodźcy z Margelanu i miałem sposobność rozmawiania z ludźmi dobrze znającymi miejscowe stosunki. To też dwa dni, spędzone tam pozwoliły mi dopełnić zebrany przeze mnie bogaty materiał, dotyczący stanu gospodarczego Kaszgarji oraz wzajemnych stosunków rządu z krajowcami.

Zawojowawszy chaństwo, Chińczycy rozdzielili Kaszgarję na dwa dao-tajstwa: północne i południowe, które dzieli się na trzy okręgi kaszgarski, jarkendski i chotański.

Jedną z wielkich anomalij administracyjnych w Chinach jest zwyczaj sprzedawania posad, przytem na wysokie urzędy, jak gubernatorów w rozmaitych prowincjach, wielkorządców prowincyj kresowych wyznacza się ludzi, którzy mogą wypłacić pewne sumy tym, od których nominacja zależy. Ponieważ łapówki te często są tak olbrzymie, że jeden człowiek nawet bardzo bogaty zapłacić ich nie może, więc po otrzymaniu zapewne-

nia, że urząd taki a taki będzie mu przyznany, kandydat rozprzedaje podwładne mu urzędy mniejszym urzędnikom, którzy z kolei biorą pieniądze od jeszcze mniejszych i t. d.

Urzędy sprzedaje się na trzy lata, przyczem często wskutek skarg obywateli winny zwalnia się z urzędu wcześniej, a wraz z nim ulega usunięciu ogromna większość jego urzędników, nowy bowiem naczelnik wprowadza na urzędy mnóstwo swoich ludzi. System taki jest nadzwyczaj krzywdzący bo przecie każdy, kto zapłacił za urząd musi w ciągu trzech lat nie tylko wpłaconą sumę wydusić z ludności, ale coś zarobić, no i przeżyć trzy lata.

Przy każdym naczelniku są urzędnicy do szczególnych zleceń i kancelarja. Wynagrodzenie tych pracowników nie jest przewidziane przez etat, lecz zależy od uznania ich bezpośredniej władzy. Tak np. Dao-taj w Kaszgarze dostaje 15.000 sar srebra (40.000 złotych), lecz jest to suma wyznaczona nie tylko jako pensja osobista: mieści się w niej wynagrodzenie dla urzędników i kancelarji.

Urzędnicy owi pobierają bardzo skromne wynagrodzenie, które przyciąga z wewnętrznych prowincyj Chin na te oddalone kresy, tylko elementy najgorsze, które nie mogą znaleźć miejsca w swych stronach rodzinnych. Ludzie ci wysługują się jak mogą Dao-tajowi, żeby otrzymać posadę a potem ciągną z ludności, ile się da. Skądinąd znów władze wyższe zainteresowane są osobicie, żeby urzędnikom płacić jak najmniej, bo im mniej zapłacą, tem więcej zostanie dla nich. To też łapownictwo w administracji chińskiej jest przysłowiowe. Łapówki biorą wszyscy od najwyższych do najniższych.

Ogólną cechą rządów chińskich jest pełen pogardy stosunek do krajowców. Nie spotkałem ani jednego Chińczyka w administracji lub w wojsku, znającego język tiurkowski, którym mówi cała Kaszgarja.

Administracja i sąd w sprawach najważniejszych porozumiewa się z krajowcami przez tłumaczy. Z cztero-miesięcznego pobytu w Kaszgarji wyniosłem przekonanie, że administracja chińska posiada zbyt wiele prerogatyw, które stosuje do podwładnej sobie ludności z surowością bezwzględną. Prawo karania śmiercią ma nie tylko Dao-taj, lecz i naczelnicy okręgów; tortury zaś stosuje się przy każdym dochodzeniu nawet przez drobnych przedstawicieli administracji, naczelników oddziału i policmajstrów, przyczem urzędnik nie jest odpowiedzialny za śmierć torturowanych. O karze cielesnej już nawet nie mó-

wię; stosuje ją każdy urzędnik w dowolnej ilości, tak iż wymierzenie winowajcy 2 — 3 tysięcy kijów jest na porządku dziennym.

System opodatkowania Kaszgarczyków jest dosyć pierwotny i sprowadza się do trzech głównych kategorii: a) podatku rolnego, b) cła od sprzedanych produktów i c) świadczeń rzeczowych i osobistych.

Jako podatek rolny pobierano wyłącznie pszenicę i kukurydzę, niezależnie od tego, co uprawiano w rzeczywistości na danym obszarze. Więc np. wioski, leżące w miejscowości błotnej, lub obfitującej w wodę, siały tylko ryż, bawełnę lub sorgo, lecz dla opłaty podatku musiały kupować pszenicę i kukurydzę i dostawiać do składów. Prócz podatku w ziarnie musiały dostarczać pewną ilość słomy, drzewa i jednego robotnika. Ziarno w naturze przyjmowano tylko w ilości niezbędnej do rocznego wykarmienia wojsk i urzędników państwowych. Resztę ludność powinna była wnieść nie w ziarnie lecz w pieniądzech, według cen, wyznaczonych przez naczelników okręgów. Najuciążliwsza jest dostawa drzewa, gdyż w Kaszgarji lasów niema i celem dostawy trzeba było wyrąbywać sady owocowe. Obliczyłem, że podatek ziarnem dochodził do 37% od dochodu brutto. Wynikało to stąd, iż rząd nie liczył się z tem, że wskutek nieszczerłnej gleby i braku nawozu nikt z ziemian nie mógł zasiewać z roku na rok całego obszaru, podatek jednak płacił od całkowitej ilości swego gruntu. Cło od sprzedanego żywego inwentarza (bydła, owiec) wynosiło 10%, od wszystkiego zaś co wytwórca przywoził na rynek, a więc od ziarna, mąki, bawełny, kokonów, obuwia, dywanów, kozuchów i t. d. pobierano podatku 5%.

Najwięcej jednak narzekań wywoływały świadczenia osobiste. Przy budowie mostów, przeprowadzaniu dróg, irygacyjnych kanałów, przy budowie fortec i przy innych robotach spędzano tysiące robotników, często z wiosek, położonych o dziesiątki kilometrów od miejsca robót, którzy musieli pracować darmo i być na własnem utrzymaniu. Oprócz robotnika ludność obowiązana była dostarczać potrzebnego materiału i dowieźć go do miejsca robót.

Jeżeli do tego dodać fakt, że ta część administracji, która jest złożona z krajowców, nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia, lecz żyje na koszt ludności, to trudno nie przyznać, że powszechne skargi na przeciążenie podatkami są zupełnie uzasadnione.

Jeśli teraz przyjmiemy pod uwagę okropną samowolę urzędników chińskich i ucisk wszelkiego rodzaju, który administracja stosuje do podwładnej sobie ludności, to zrozumiemy, dlaczego Kaszgarczycy czują szaloną nienawiść do swej władzy. Oczy wszystkich zwracały się w stronę Rosji, gdzie znaleźli schronienie potomkowie ubóstwianych przez lud Chodźów, oraz ostatni władca Kaszgarji Bek-Kuli-Bek. Lud wierzył, że Rosja pomoże komuś z dawnych władców, i ci wypędzą Chińczyków.

Również z sympatją patrzyła ludność na Anglików, o których praworządności wiedziała dobrze od licznych Kaszgarczyków i mieszkańców Małego Tybetu, mieszkających w rozmaitych miastach Kaszgarji.

Miasta i bazy w Persji

I. Bleibtreu („Persien“, 1894).

Widok miast Wschodu wywołuje zwykle w podróżniku europejskim uczucie rozczarowania. Jakże często wpadały nam do ucha nazwy znakomitych miast Persji, Isfahanu, Szirazu i t. d., miast sławionych przez baśnie i historję! Przedstawiamy sobie te miasta mniej więcej jak europejskie, upiększamy je tylko we własnej fantazji minaretami, kopułami i kolumnami, owemi właściwościami Wschodu. Jakiż więc zawód spotyka fantazję podróżnika na widok masy ruin, które przedstawiają jego oczom nawet najznakomitsze z tych miast. Próżno podróżnik, zbliżający się do wielkiego miasta, stara się odszukać wzrokiem oznak bliskości ludnego grodu. Zamiast dobrze utrzymanej szosy, ożywionej podróżnymi i pojazdami wszelkiego rodzaju, otoczonej żywopłotem i alejami, rzędami i grupami miłych domków podmiejskich, a kończącej się szeregiem wysokich, dobrze zbudowanych domów, cudzoziemiec, zbliżający się do jakiegoś miasta wschodniego, posuwa się z obawą po wąskiej drodze; droga ta jest pełna wyboi, całkowicie zaniedbana; po bokach jej nie widać nic innego, prócz rozwalonych ogrodzeń glinianych i płotów, które ukrywają przed wzrokiem wszelką zieloność, jaką się może pochwalić okolica. Tak idziemy to pod górę, to z góry, pomiędzy zwałiskami zrujnowanych budynków i glinianymi dołami, dostarczającymi cegieł na nowe domy, aż wreszcie zniszczone ogrodzenie gliniane doprowadza nas do samego miasta.

Gdy przejdziemy przez bramę, strzeżoną przez kilku żołnie-

rzy, znajdziemy się czasami w nędznym bazarze, często jednak napotykamy znowu masę zwalisk, przedstawiającą taki sam ponury widok, jak w okolicach przedmiejskich. Napróżno szukamy ulic; zaledwie jakiś dom da się zauważyć. Z masy gliny, która nas wszędzie otacza, zbudowane są jaskinie, bardziej podobne do nor dla wielkich królików, niż do mieszkań ludzkich. Są to siedziby biedaków. Mieszkania zamożnych, jakkolwiek mogą



Roznosiciel wody.

być bogato wewnątrz urządzone, kryją się przed wzrokiem, gdyż otacza je wysoki mur z gliny i lichych cegieł oraz chaty biednych rozrzucone wokół w nieładzie. Wąskie uliczki, przez które naładowany osieł ledwie się przecisnąć może, wiją się pomiędzy chatami i prowadzą do mieszkań ludzi wszelkiego stanu. Nikt się nie stara wyrównać tych dróg, na których przebywa się przeszkody wszelkiego rodzaju, nawet głębokie doły; cudzoziemiec zmuszony jest torować sobie drogę przez ruiny i kamienie grobowe (często bowiem w miasteczkach i po wsiach drogi pieszce prowadzą

przez cmentarze, leżące wprost na drodze), wśród których łatwo można kark skrócić. Czasami napotyka się bardzo głębokie doły, a o oświetleniu nocnem miast na całym Wschodzie z małemi wyjątkami niema mowy.

Bazary są jedynymi częściami miast, zasługującymi na nazwę ulic; niektóre z nich słusznie są wychwalane przez podróżników-autorów, np. długie na kilka kilometrów, łączące się je-



Bazar-e-Vukil w Szyrasie.

den z drugim bazary Isfahanu, bazary Tebryzu, Kazwinu i Re-sztu—wszystkie stosunkowo obszerne, wysokie, zbudowane z materiałów trwałych. Szczególnie imponująco przedstawia się bazar-c-Vukil w Szyrasie. Tu się zbierają w ciągu prawie całego roku i spotykają ze sobą tłumy kupców perskich, arabskich i indyjskich. Tłok nieznośny dla Europejczyka panuje w tych nąpółciemnych pomieszczeniach, wypełnionych wszelkimi możliwymi zapachami. Żadne kupno nie obchodzi się bez długiego omawiania i targowania się; dołącza się do tego brzęk monet, którym wymieniać (wekslarz) stara się zwabić do siebie interesantów, okrzyki przekupni, sprzedających herbatę, nawoływania roznosicieli wody, kołyszących naczynia swe na ramionach i często niechcący oblewających swym towarem nieostrożnych przechodniów, dalej nieustanne okrzyki „kheber dar“ (uwaga!) poganiaczy osłów i wielbłądów, które, jak się zdaje, nie uznają potrzeby usuwania się z drogi. A oto kroczy jakaś zadziwiająco rozczochna figura bez nakrycia głowy: to derwisz.

Derwisz przedstawia rodzaj mnicha, utrzymującego się z jałmużny; nie posiada on żadnego stopnia duchownego, ma tylko swoje reguły cechowe i zakonne, które nań jego bractwo nakłada. Postać derwisza jest odstrasająca, gdy odziany w obszerną koszulę z grubego płótna, z tygrysią skórą, zarzuconą na ramiona, bosy, zwykle z gołą głową, z długimi włosami i brodą, kroczy milcząco i tajemniczo po ulicach, wymachując sękatym kijem, i domaga się jałmużny okrzykiem: „Ja hakk!“ (O, Boże!). Przyjmuje wszystko: pieniądze i pożywienie, zatrzymuje dla siebie tylko tyle, ile mu jest konieczne do życia, resztę zaś oddaje sumiennie swemu zwierzchnikowi, majstrowi cechowemu. Żąda jałmużny w imię Boga i spokojnie idzie dalej, gdy nie może nic dostać na ulicy; jednak nie kołacze próżno do domów, gdyż ludzie boją się „złego wzroku“ derwisza. Przestaje tylko z podobnymi sobie, nie posiada żadnej własności, mieszka wszędzie i nigdzie, nie przyjmuje udziału w radościach i dobrobycie innych ludzi i prowadzi żywot tajemniczy. Praktyk religijnych i modlitw nie uznaje i lekceważy wszelkie formalności. Cera oliwkowa i czarne oczy wskazują na pochodzenie indyjskie derwiszów, wielu też z nich uprawia jako środek zarobkowania sztuki magiczne lub zaklinanie węży; inni opowiadają ludowi bajki i zabawne anegdoty. Po większej części derwisze są namiętnymi palaczami opjumu i haszyszu, skąd pochodzi nieruchomy, błędny wzrok i pewność w obchodzeniu się z jadowitymi gadami, gdyż ciało derwisza całkowicie prze-

siągnięte jadem opjumu w zetknięciu z węzami usypia je i czyni nieszkodliwemi.

W przeciwieństwie do znakomitszych bazarów większość urzędzeń tego rodzaju przedstawia się niezmiernie nędźnie. Zwykle urządzone są w sposób następujący: droga szeroka na 2½ do 5 metrów przedziela dwa szeregi chałup, przed którymi zbudowane są na wzniesieniu kramy. W kramach tych siedzą kupcy, otoczeni towarami, których zapasy mieszczą się wewnątrz chat. Całość, t. j. chaty i kramy, pokryta jest sklepieniem albo przyzwoitym z cegieł, albo w lichych bazarach, z gliny i gałęzi, chroniących od promieni słońca.

W Persji, podobnie jak na całym Wschodzie, i jak to było w wiekach średnich i na Zachodzie, panuje zwyczaj, iż kupcy i rzemieślnicy tego samego rodzaju trzymają się razem. Kowali, rękawiczników, siodlarzy, sukienników i t. d. znajdujemy połączonych razem w poszczególnych oddziałach bazaru; tylko cukiernicy, kucharze, aptekarze, kupcy owoców i piekarze znajdują się w rozmaitych miejscach i umieją niekiedy dość korzystnie rozłożyć swoje towary, choć daleko im do strojnych wystaw europejskich sklepów.

W wielkich miastach łączy się z bazarami zwykle kilka „karawanseraï“, służących do przyjęcia towarów tylko dla obcych kupców. Ich pomieszczenia służą w części do zawierania umów handlowych, w części są zużytkowane na sklepy i stosunkowo ożywiony widok, który przedstawiają, obok gwaru, który się ciągle z nich rozlega, do tego w większych bazarach rozliczne ubiory, obyczaje i języki tak różne od europejskich — wszystko to połączone razem przedstawia widowisko, którego sobie nikt wyraźnie wyobrazić nie zdoła, jeśli go sam nie zobaczył.

Z lotu płaka miasto perskie przedstawia się zupełnie niekorzystnie. Chaty zbudowane z gliny mają barwę ziemi i wskutek swej nieprawidłowości podobniejsze są raczej do nierówności powierzchni gruntu, niż do mieszkań ludzkich.

Prawie wszystkie domy, nawet zamożniejszych właścicieli, są tylko jednopiętrowe, a wysokie ich mury bez okien lub innych otworów nazewnątrz — sprawiają niezwykle jednostajne wrażenie. Widać tylko nieliczne kopuły lub minarety, a z pomiędzy nich tylko niektóre odznaczają się wspaniałością lub pięknnością. Oprócz meczetów i „medressów“ (gimnazja) niema tu innych gmachów publicznych a i te często są zupełnie ukryte przed wzrokiem przez zwaliska i ruiny. Ogólny rzut oka na mia-

sto przedstawia szeregi płaskich dachów, długich ścian glinianych i zwykłych ruin, a jedyną ulgę w tej nużącej jednostajności znajduje oko w widoku platanów, topoli i cyprysów, upiększających ogrody, któremi miasta i wsie często są otoczone.

W Gruzji.

Artur Leist (Szkice z Gruzji).

Okolo ósmej rano wyruszyliśmy wreszcie w drogę z Batumu do Tyflisu. Zaraz za Batumem zaczynają się góry i gęste lasy, pomiędzy górami zaś ciągną się rozległe bagna, zarośnięte roślinnością. Pociąg pędzi długo nad samem morzem. Z drugiej strony mamy dziewicze gęstwiny, przez które zdaje się, iż promień słońca nie przechodzi, tak bujnie rośnie tu wszystko, tak potężnie pną się tu każda roślina w górę.

Okolo pół godziny jedziemy brzegiem. Wciąż uśmiecha się do nas lazurowe zwierciadło morza, błyszczące spokojnie w blasku porannego słońca, znika wreszcie — i oto jesteśmy w wielkim lesie, w którego gęstwinach tysiące śpiewa słowików. Śpiew ich jest tak donośny, że pomimo huku pociągu, najwyraźniej słyszymy jego dźwięki.

W lesie tym olbrzymim nie widać śladu ludzkiego mieszkania. Ręka ludzka, zdaje się, nie dotknęła jeszcze nigdy tej nieprzebytej gęstwiny, gdyż obok drzew, zwalonych wiekiem, rosną nowe i znowu nowe, silnie pną się w górę, pomimo leżących obok napół zgniłych pni i konarów. Przedziału pomiędzy drzewami prawie niema; każdy cal ziemi zarośnięty jest gęstmi krzakami, po których wiją się rozmaite rośliny, jak bluszcz, albo też stoją rododendrony i olbrzymie paprocie.

Po dwóch godzinach jazdy kończy się las. Mamy teraz z obu stron cudowne góry, świeżą zielonością pokryte. Krajobraz zmienia się bezustannie, ciągle wyłaniają się nowe góry, coraz nowe otwierają się doliny. Od czasu do czasu widzimy jakąś wiošczynę, pola orne zasadzone kukurydzą, pastwiska, na których liczne pasą się stada owiec i bawołów, albo małą rzeczulkę, opasaną szeregiem zielonych wierzb, przypominających mi daleką Polskę i jej kwieciste niwy.

Po lewej stronie kolei płynie teraz Rion, jedna z najbystrzejszych rzek Kaukazu. Odtąd już długo będzie on naszym towarzyszem, gdyż kolej trzyma się jego biegu, bo innego tu przejścia niema przez góry.

Z każdą wiorstą krajobraz staje się cudowniejszym, rozmaitszym i bardziej malowniczym. Można powiedzieć, że kolej ta należy do najpiękniejszych dróg krain górskich. Trudno znaleźć gdzie indziej tak cudnie zielone góry, tak piękne doliny i tak bujną jak tu roślinność.

Wjeżdżamy do pięknej romantycznej Gruzji, do kraju słońca, laurów, rycerzy i starych zamków. Serce nam się raduje, gdy patrzymy na te majestatyczne góry, na te gęste lasy, na te strome skały i pieniące się u stóp ich wody Rionu. Na całym tym krajobrazie leży jeden uśmiech, jeden wspaniały blask słońca, i zdaje się, że pieśni słowików, które do nas dochodzą, głoszą w swych przeróżnych trelach jeden wyraz: raj! raj!

Dzika i wspaniała przyroda gór Kaukaskich, życie romantyczne, pulsujące kiedyś w tej krainie, i tysiące uroczych podań i legend nie mogły być bez wpływu na tak poetyczne umysły, jak Puszkina i Lermontowa i dlatego też utwory ich, pisane na Kaukazie, tchną tą orlą siłą, jaką widok tej wspaniałej przyrody, w każdym nieco wrażliwym rozbudza człowieka. I Leon Tołstoj przeżył część swej młodości na Kaukazie i wrażenia z tego kraju wyniesione odbiły się w jego pierwszych utworach. Kto wie, jaki cudny wianek pieśni uplótłby jeszcze nasz Mickiewicz, gdyby z Krymu, którego piękność już tak go natchnęła, udał się był na Kaukaz!

Chcąc poznać prawdziwe życie Gruzji, jej staroświeckich ziemian i mało dotychczas zmienione ich stosunki towarzyskie, udać się trzeba na wieś, gdzie życie, obyczaje i mieszkania ludzi noszą jeszcze na sobie rodzinną cechę i wszystko tchnie patryarchalnością.

W tym celu opuściłem Tyflis, kiedy już upały w mieście przykremi się stawały i pobyt wśród zieloności gór podwójną obiecywał przyjemność.

Pożegnałem więc stolicę Gruzji to miasto pałaców i pieśni, i w miłym towarzystwie kilku literatów gruzińskich udałem się do uroczej letniej siedziby jednego z mych towarzyszków. Już w oddaleniu kilkunastu wiorst od miasta zmienia się zupełnie krajobraz, gdyż zaczynają się lesiste góry i bujnie zielone doliny. Droga nasza wiedzie nad brzegiem Kury, aż do miejsca, gdzie do niej wpada Aragwa. Nad samem ujściem Aragwy do Kury leży Mcchet, najdawniejsza stolica Gruzji, z drugiej zaś strony, na prawie pionowo wznoszącej się górze, sterczy starożytny klasztor.

W całej Europie zachodniej znaleźć można na trudno dostępnych górach i skałach zamki średniowiecznych rycerzy, lecz w żadnym kraju niema tyle kościołów i klasztorów, zbudowanych na tak wysokich miejscach jak w Gruzji. Europejski rycerz bronił tylko swego mienia, gdyż jego wierze zwykle nie groziło niebezpieczeństwo z powodu jedności wiary walczących. Rycerstwo gruzińskie musiało walczyć nie tylko w obronie mienia, lecz i wiary, broniąc jej przed zamachami Mahometan, Persów, Turków i Arabów.

Długowiekowy ten perjod bezustannych walk i zapasów stał mi żywo przed oczami, kiedym spoglądał na zwaliska murów, otaczających niegdyś klasztor. Tu prędzej, niż gdziekolwiek mogły się nasunąć myśli o próżności świata i zmienności wszystkiego; ale widok cudnego krajobrazu, rozpościerającego się wokoło, rozwiął wszelkie posępne myśli. Słońce świeciło prawdziwie złotemi promieniami i blask jego światła podnosił niezmiernie całego obrazu pogodę. Dalsza nasza droga wiodła wzdłuż Aragwy, lecz oddalając się coraz bardziej od jej brzegu i podnosząc w góry. Zaczynają się tu te prawdziwie kaukaskie krajobrazy, piękne przez rozmaitość swych dekoracyj, i imponujące dzikością gór i skał swoich. Jedziemy naprzemian to nad głęboką przepaścią, na której dnie toczy się jakiś rozrukany strumyk, to znów przez wąwóz zarośnięty gęsto drzewami, to pod ścianą olbrzymich skał, grożących zwaleniem się na nas. Od czasu do czasu spotykamy długie karawany arb (wozów), ciągnionych przez bawoły i naładowanych drzewem, węglami i wełną. Na każdej arbie, przypominającej dwukołowe wozy włoskie, siedzi Gruzin, wlepiający w nas swe ogniste spojrzenie i znoszący cierpliwe żar słońca i powolność swej podróży. Bawół więcej, niż trzy albo cztery wiorsty nie odbywa w godzinę i w razie zmęczenia staje bez ceremonji, a żadna siła ludzka nie popędzi go dalej. Lubi się też tarzać w wodzie i nigdy nie omieszkta tego uczynić, jeżeli mu się do tej przyjemności zdarza sposobność. Na ostatniej arbie siedzi zwykle Ormianin — kupiec, który arb tych nie ładuje, ani bawołów do drogi nie napędza, gdyż ta praca rąk nie jest dla niego; on pracuje myślą i daje pieniądze na przedsiębiorstwa.

Dalej spotykamy kilku jeźdźców, opalonych i uzbrojonych chłopów gruzińskich, jadących powoli i spokojnie, jakgdyby tę drogę odbywali dla przyjemności. Ukłon ich, jakim nas witają, jest grzeczny, zgrabny i nie bez pewnej dumy rycerskiej. Dla odpoczynku stajemy przed duchanem, karczmą gruzińską; na-

tychmiast zjawia się gospodarz i grzecznie nas zaprasza, abyśmy się pokrzepili jego winem. Przynosi nam wino i kwiaty i po ugoszczeniu nas wszystkich wychyla sam szklanke wina za nasze zdrowie, życząc nam przytem dobrej pogody i szczęśliwej podróży.

Jesteśmy już dość wysoko w górach i wdali otwiera się coraz piękniejszy, obszerniejszy krajobraz, którego tło stanowi już grzbiet Kaukazu. Chwilami tracimy wszelki widok, gdyż otacza nas gęsty las dębowy, albo nieprzebyta gęstwina innych drzew i krzaków. Wszędzie, dokąd oko sięga, panuje zieloność i panuje tu samowładnie, obejmując skały i pnie bujnemi girlandami i wystrzelając całą siłą życia w górę.

Wyjechawszy z lasu, mamy przed sobą jeden z piękniejszych krajobrazów Gruzji. Widzimy wstęgę Aragwy na obszarze kilkunastu wiorst, a na kilkadziesiąt wiorst dalej widzialna jest dolina jej biegu, skierowanego od najbliższych gór Kazbeku ku południowi. Okazały lodowiec tej góry zasłonięty jest teraz chmurami, lecz na wschód i zachód od niego ciągną się inne, wiecznym śniegiem pokryte szczyty, których pola śniegowe, daleko ponad chmury wzniesione, wspaniale błyszczą w jasnym blasku słońca. Pod temi wybitnemi wierzchołkami występują bliżej ku nam niższe góry, i pod temi znowu niższe, wszystkie zarosłe gęstym lasem.

Pomiędzy zaś górami otwierają się oczom naszym doliny, których piękność opisać się nie daje, gdyż najdokładniejszy opis dałby tylko obraz ich kształtu i powierzchowności, ale nigdy piękności. W tych rajskich dolinach panuje, jak wszędzie, bujna roślinność, lecz ma ona najrozmaitsze odcienia. Jakby w złocie mieniały się lasy, ciągnące się na stronach gór zwróconych ku słońcu, gdy w jakimś czarodziejskiem świetle zdają się spoczywać inne, rosnące na przeciwległej stronie. Często wśród tego raju zieloności błyszczą srebrne strumyki, toczące swe wody po skalistych gór stokach. Gdzie niegdzie złoci się łąn dojrzewającej pszenicy; niżej ciągną się bujne sady, a pomiędzy niemi liczne wioski, których dwory i kościoły daleko są widzialne.

Widzimy też i dom naszego przyjaciela, stojący wśród zielonych sadów na dość wyniosłym miejscu.

Dwory wiejskie w Gruzji otoczone są galerjami, które zwykle bywają nieco wzniesione, z powodu czego z ogrodu lub z podwórza prowadzą do nich schody. Wogóle dwory nie są bardzo obszerne i wewnętrzne ich urządzenia więcej jest skromne, ani-

żeli wykwintne. Panuje jednak w nich czystość, i skrzętna ręka gospodyni wszędzie w nich czuć się daje. Kto raz przestąpił te gościnne progi, z żalem je opuszcza, gdyż znajduje tu gość nie tylko sute przyjęcie, ale otoczony bywa największą ze strony gospodarzy troskliwością i uwagą. Gruzini całkiem stosuje się do swego gościa, odstępuje mu najdogodniejszy w swym domu pokój, poświęca mu swój czas i stara się uprzyjemnić mu pobyt, o ile to jest w jego możliwości. Polowanie, jazda konna, przechadzki, uczty i wizyty po sąsiedztwie stanowią tu wszystko, co do rzędu rozrywek wliczyć można. Kto jednak jest miłośnikiem przyrody, znajduje tu niezliczone przyjemności, których, dzięki łagodności klimatu i krótkiej zimie, prawie we wszystkich porach roku używać może.

Z każdej góry i skały otwiera się tu cudowny widok, każdy las posiada rozmaitość bez końca, każdy strumyk wabi do siebie pięknnością swych brzegów i grą wód szumiących. Dniami całymi można chodzić po tych zielonych dolinach, spinać się po urwiskach skał, nie nudząc się, gdyż bogata gruzińska przyroda wciąż nowe daje widowiska, wciąż świeże odsłania skarby i barw odcienie. Wiosną kiedy lasy i niwy pokryte są gęstymi kwiatów kobiercami, kiedy wielkie zarośla zdają się być jednym olbrzymim bukietem i w tych gęstwinach tysiące śpiewa ptaków, — wtedy nic nie wyrówna tej rozkoszy, którą przechadzka sprawia człowiekowi. Lato ma wprawdzie swoje przykrości, gdyż upały dzienne bywają dość dokuczliwe; ale zato urocze są wieczory i noce. Najpiękniejszą porą w Gruzji bywa jesień. Wtedy całymi tygodniami nie pokazuje się chmurka na niebie i dnie bywają piękne, jasne i ciepłe. Pogodzie tej towarzyszą wesołe chwile winobrania i zbioru owoców, w które Gruzja tak obfituje, że mogłaby niemi obdzielić jeszcze trzy, cztery inne kraje tegoż, co ona obszaru. Wtedy trzeba widzieć sady gruzińskie i ich dary, z morel, brzoskwin, śliwek, gruszek i orzechów złożone. O tej porze ożywiają się wszystkie dwory wiejskie, pieśni rozlegają się po sadach i wesołe zabawy następują po wesołej pracy. Niebo bywa wciąż jasne, a słońce wschodzi i zachodzi na tym samym nie zmieniającym się lazurze. Mija październik i listopad, a ciepła pogoda trwa bez przerwy i nic nie zapowiada zimy, która jednak już dawno zawitała w górach i coraz niżej ściela na nich białą swą całun. Po długich tygodniach tej cudnej pogody zawiął nocą mroźny wiatr z gór, liście drzew i kwiaty zaczynają więdnąć. Lasy przywdziewają złote i ponsowe szaty, sady w ciągu paru dni tracą swój strój

zielony. Nadeszła zima. Nie! przysłała tylko zwiastuny swoje, a sama czeka jeszcze w górach; następują znowu ciepłe, pogodne dni, rozkwitają na nowo róże, zieleni się trawa i wiecznie zielone laury, mirt i cyprysy każą zapomnieć o tem, że dąbrowy i sady już śpią i nowej czekają wiosny. W podobnych przemianach przechodzi też zima gruzińska i tylko w niektórych wyżej położonych okolicach jest nieco surowszą.

Podczas pięknej pory roku żyje się zwyczajem Wschodu więcej na dworze, aniżeli w domu; galerja lub balkon zastępuje wtedy w ciągu dnia miejsce pokoju. Każde zajęcie, odbyte tak na świeżem powietrzu, ma jakiś powab, zwłaszcza, gdy dom na wyniosłem stoi miejscu i wdali malowniczy roztacza się widok... Śniadanie, obiad i kolacja spożywa się również na galerji, a czynność ta należy w Gruzji do prawdziwych przyjemności, gdyż i kuchnia gruzińska jest wyborna i doskonałego wina nigdy nie brak na stole. Dzięki wielkiej obfitości drobiu, zwierzyny, ryb, jarzyn i owoców kuchnia jest tu nader urozmaicona. Ryby podają prawie zawsze na półmisku, obłożonym różami, jak wogóle kwiaty i liście często do upiększenia podanych potraw bywają użyte.

Najwięcej materialna strona życia ma więc w sobie szczyptę poezji, a inne mają jej znacznie więcej, gdyż Gruzini są wrażliwi na to wszystko, co poetyczne, przytem weseli i uprzejmi. W towarzyskich stosunkach z nimi uwydatniają się, nie tylko ich duch rycerski, ale również piękne strony ich życia rodzinnego, które jeszcze wiele zachowało cech patryarchalnych. Przyjemnie też porusza delikatność i szacunek, jaki mężczyźni okazują kobietom, bez względu na wiek i stan, albowiem i chłopka gruzińska bywa traktowana inaczej, aniżeli wieśniaczki w Europie.

Gospodarstwo rolne prowadzi się tu jeszcze sposobem pierwotnym, bez zastosowania niezbędnych ulepszeń, choć coprawda klimat gruziński tak sprzyja wzrostowi wszelkiej roślinności, że zboże i bez starannej uprawy roli obfite wydaje plony. Wyżej stoi sadownictwo, które stanowi główną podstawę bogactwa Gruzina i dlatego z prawdziwą starannością jest prowadzone.

Sady gruzińskie są rzeczywiście piękne i prawie zawsze dobrze utrzymywane. Nieraz zajmują one obszar paruset morgów, tak że pojedyncze oddziały podobne są do małych lasów. Równie dobrze utrzymywane są winnice, choć sposób przygotowania wina wiele jeszcze zostawia do życzenia. Mimo to co do smaku nic kachetyńskiemu winu zarzucić nie można. Przy-

gotowują je tu wszędzie na miejscu, i każdy właściciel większych winnic ma swą własną prasownię, w której grona wytłacza. W prasowni znajduje się też skład wina; są to olbrzymie gliniane dzbany, zakopane w ziemi i zawierające do 5.000 i więcej butelek wina. Dzbany te po napełnieniu zupełnie pokrywają ziemią, tak iż złodziejom niełatwo je znaleźć.

Sady i winnice należą po większej części do dworskich posiadłości, gdy włościanie prawie tylko chowem bydła i rolnictwem się zajmują. Wieś gruzińska nie ma ulic, a chaty i bu-



Gruzinki.

dynki gospodarskie rozrzucone są bezładnie. Stodoły i chlewy składają się z nędznych plecionek, chaty zaś czyli sakle podobne są do piwnic, gdyż do połowy swej wysokości stoją w ziemi, a płaski ich dach także pokryty jest ziemią. Pomimo tej nędznej powierzchowności są one wewnątrz wcale dobrze urządzone. Chata zamożnego włościanina gruzińskiego składa się zawsze z trzech izb. Pierwsza jest izbą mieszkalną i jadalną zarazem, i najczęściej, prócz długiej sofy i kilku półek z naczyniami kuchennymi, nic więcej nie zawiera. Izba gościnna ma zato urzą-

dzenie lepsze. Są tu sofy wygodne, kobierce, poduszki i rozmaite dzbany, kielichy i misy, przeznaczone do podejmowania gości; wisi tu też zwykle broń cenniejsza. W sypialni również znajdują się sofy pozawieszane kołdrami i skrzynie, zawierające odzież świąteczną. Sądząc po tem urządzeniu mieszkań, chłop gruziński wcale nie jest tak mało cywilizowany, jakby to przypuścić można po zewnętrznym wyglądzie jego domu. Stoi on rzeczywiście pod wielu względami wyżej, aniżeli włościanin wielu krajów wschodniej Europy, i to przedewszystkiem przez poczucie własnej godności, delikatność w obojętności i odwagę. Pomimo pewnej dla właściciela wsi uległości, nie kłania się nigdy przed nim aż do ziemi, lecz wita go, zdejmując tylko czapkę. W każdym jego ruchu jest odcień rycerskości; grzeczność, na jaką się nie zdobywa chłop francuski ani niemiecki, jest wrodzonym przymiotem chłopca gruzińskiego, który umie też grzecznością nastroić swoją mowę, tak że nieraz prawi godne człowieka wykształconego komplementy. W każdym wypadku ma odpowiedź gotową i to najczęściej odpowiedź pełną frazesów kwiecistych, albo nawet okraszona cytatai z jakiegoś ulubionego poety.

Kobiety zajmują się robotami domowemi, lecz tylko najlżejszemi, nigdy też nie widziałem Gruzinki pracującej w polu. Położenie włościanki gruzińskiej różni się znacznie od położenia jej siostr w krajach Europy, gdyż prócz oszczędzania jej sił fizycznych, otaczają ją jeszcze mężczyźni szacunkiem.

O piękności Gruzinek pisano już bardzo wiele. Coprawda wszystkie ładne kobiety są tu do siebie podobne. Mają zawsze te same czarne, duże oczy, pełne łagodności i słodyczy, te same regularne rysy twarzy i dość ociężałe ruchy. Brak im też życia. Kiedy się Gruzinka w tańcu, wesołej rozmowie lub przy zabawie nieco ożywi, staje się rzeczywiście zachwycającą, ale zato robi wrażenie martwego posągu, gdy milcząca i nieruchoma siedzi na krześle ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

Powaby Gruzinek niedługo trwają. Istnieje dla nich tylko wiosna życia, lato już jest jesienią. Doszedłszy do lat dwudziestu kilku, więdną już Gruzinka, i więdną szybko, jak wszystkie piękne kwiaty pod palącym słońcem Gruzji.

W gościnie u Beduinów

Ks. Władysław Szczepański (W Arabji Skalistej, 1905)

Noc już nastała, gdy na pochyłości góry zobaczyłem obóz arabski. Całość tworzyła wielką elipsę, w której rzędami amfiteatralnie stał namiot przy namiocie. Ich czarne sukno z wielbłądziej wełny ładnie odbijało przy łagodnem świetle księżyca. Zbliżamy się. Ogromna ilość wielkich owczarskich psów poczęła ujadać i w podskokach rzucać się ku nam. Siedzieliśmy na koniach, więc skończyło się na ujadaniu. Niezwykła wrzawa o spóźnionej porze zwróciła uwagę Beduinów.

Spostrzeżono nas. Szech¹⁾ wychodzi naprzeciw, kłania się i wita nas słowy: *ma r h a b a a h l a n w a s a h l a n* (witajcie; znajdziecie tu rodzinę i swobodę), następnie każdemu podtrzymuje strzemię. Zsiadamy z koni, prowadzą nas do wnętrza namiotu szechy. — Namioty, wogóle dość obszerne, składają się z czarnego sukna, rozpiętego sznurami na drągach. Sukno zakrywa tylko cztery strony namiotu (boki i wierzch); czoło namiotu jest odkryte na całej długości i zwykle skierowane ku wschodowi. Płat sukna przedziela wnętrze namiotu na dwie połowy. Jedną część po lewej stronie zajmuje rodzina szechy, w drugiej miejsce dla gości lub na zebranie ojców familij.

Natychmiast krewni szechy rozścielają na ziemi plecionki i kobierce, a szech sadza nas w głębi. Tuż przed namiotem rozgrywa się zajmująca scena. Beduini różnych familij przynoszą, jeden po drugim, wielkie worki z owsem dla koni; tyle worków ile zwierząt. Każdy worek wnosi się naprzód przed gości, stawia na chwilę na ziemi, jakby dla przekonania gościa, że owies wyśmienity; następnie wynosi się go do koni. Nasza straż przywiązuje wory do szyi swych rumaków. Pierwsza to czynność Beduina wieczorem, po przybyciu, bo jak ludzie, tak i konie raz tylko wieczorem otrzymują swoją strawę, którą przez wolną część nocy powoli spożywają.

Tuż przed namiot znoszą suchą trawę i rozniecają ogień. Aby go podtrzymać aż do północy, dorzuca się odpadki wielbłądzie. Utrzymywanie ognia do północy jest obowiązkiem szechy,

¹⁾ Każde plemię ma swego naczelnika, zwanego szechem („szech“ znaczy starzec, starszy). Zwykle bywa nim potomek znamienitej familji, starego rodu, albo człowiek bogaty, który w imieniu całego plemienia lub obozu może pokrywać ze swej kieszeni obowiązki gościnności. Oprócz tego pełni on czynność sędziego rozjemczego, rozstrzyga nieporozumienia.

a ma być oznaką, że namiot jego zaprasza każdego, kto zechce przybyć.

Po kilka razy powtórzonych zapytaniach o nasze zdrowie, powodzenie, podróż i po zapewnieniach, że największą im przyjemność zrobiliśmy naszym przybyciem, szech powstał, by wydać rozkazy przygotowania uczty. Prosiłszy go usilnie, aby dla spóźnionej pory odstąpiono od zwyczaju i nie zabijano koźlęcia; mięsa sobie nie życzymy. Zmartwiło to trochę szecha, ale zastosował się do życzenia.

Tymczasem przed namiotem szecha coraz ludniej. To głowy rodzin zebrały się u swego naczelnika, aby powitać jego gości i wziąć udział w ich przyjęciu. Po powitaniu siadają w kuczki długim szeregiem po naszej prawej i lewej ręce.

Blask ogniska oświecał ich twarze i ubiór. Co za ładne typy męskie! W Europie takich się nie spotyka. Tylko pustynia takich rodzi; tylko wichry stepu takich kołyszą! Średniego wzrostu, chudzi, ale bardzo żywi. Muskuly zdradzają w nich wielką siłę, twarz ich owalna, mocno spalona od słońca i wiatrów pustyni, jest wyrazem energii, śmiałości, ale i dziwnej jakiejś słodyczy. Czoło wysokie, szlachetne. Broda krótka, często już siwa, a wąs średni, w nieładzie, każą się domyślać, że tualecie nie poświęca się tu wiele czasu. Tylko ich oczy czarne, z brwiami zmarszczonemi, zdają się być wyrazem surowości i dzikości. Pochodzi to stąd, że od dzieciństwa fałdują czoło, marszczą brwi i przymrużają oczy, by przy oślepiającym blasku pustyni móc się wpatrywać w daleki horyzont i śledzić, co się dzieje wokoło.

Ubiór ich nad wyraz prosty, ale nie pozbawiony pewnego rodzaju elegancji i poezji. Przypomina mocno opisy biblijne. Składa się z koszuli i długiej sukni, najczęściej wełnianej i przepasanej w biodrach. Czasem tylko u bogatszych lub dzieci suknia jest różnokolorowa „wzorzysta“, ale uchodzi to już za zbytek lub za dowód wielkiego ojcowskiego afektu. Niektórzy z Beduinów noszą także zarzutki, które przywdziewają, gdy wychodzą w drogę, w czasie pory deszczowej, lub zimnej rosistej nocy. Są to obszerne płaszcze, przecięte zboku, podobne do średniowiecznych pancerzy lub do ornatu kościelnego, a narzuca się je przez głowę na ramiona.

Gdy tak ciekawie oglądam ich stroje, zaczyna się przy ognisku scena ciekawa i nawskroś wschodnia. Sam szech przynosi woreczek z ziarnkami mokki¹⁾, które naprzód płócze, następnie

¹⁾ Najlepszy gatunek kawy arabskiej.

na patelni przypala. Trzeba było widzieć, z jaką zręcznością i powagą to czynił! Milczenie ogólne towarzyszyło czynności. Rozpoczyna się teraz tłuczenie kawy. Wonne ziarna wysypuje szech do drewnianego moździerza i oddaje jednemu z członków rodziny. Ten wśród dźwięków melodji, smutnej jak pustynia, co ich otacza, wybija w takt tłuczkiem, którym wykonywa jednocześnie niezmiernie szybkie, a zgrabne ruchy.

Tak przygotowaną kawę bierze szech znowu w swe ręce i po odrobinie wysypuje do mosiężnego imbryka z wodą, a gdy ten pocznie się na ogniu burzyć i miłą woń dokoła rozsylać, szech dosypuje jeszcze potrzykroć tłuczonej kawy. Tymczasem przyniesiono porcelanowe filiżanki. Choć są czyste, zlewa je szech jeszcze raz wodą i stawia na tacy.

Teraz rozpoczyna się rozdzielanie gotowej już mokki. Szech według ceremonjału próbuje przed wszystkimi jej dobroci, a przekonawszy się, że jest godną jego szechowskiego stołu, nalewa w każdą filiżankę do połowy trunek,

„Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,

Zapach moki i gęstość miodowego płynu“,

który jest samą mokką, przyrządzoną na sposób arabski.

Opowiadano mi, że Arabowie mają sekret przyrządzania ka-



Beduin.

wy. Może to przesada, ale przyznać muszę, że takiej kawy dotychczas nigdzie nie piłem.

Pierwszą filiżaneczkę sam szech roznosi. Wszyscy ojcowie rodzin, zebrani wokoło ogniska, otrzymują po filiżance. Drugie obowiązujące danie tej mokki roznosi już jego synek, ślicznej urody chłopczyzna. Teraz już jesteśmy gośćmi w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Imbryczek odstawia się na ognisko i rozpoczyna się gotowanie jajecznicy na patelni i pieczenie chleba. Ale tę czynność szech już innym zostawia, bo to zajęcie mniej honorowe. Sam

zaś poczyną goście bawić rozmową. Wkrótce jednak zaczęto wnosić potrawy, a podczas, gdy goście jedzą, według ceremonjału arabskiego panuje głębokie milczenie. Służba usługuje, a szech stoi jakby gotów na każde skinienie gościa.

Zastawiają stół i talerze, to znaczy: położono przed każdym po kilka płatów świeżo upieczonego chleba (podpłomyka), który kształtem swym przypomina mocno mace żydowskie, ale jest miękki, tak że go zwijać można i ciepły, bo świeżo wyszedł z pieca (czytaj: z kamienia na ogniu). Ten chleb jest naszym stołem i nakryciem, zastępuje europejskie widelce, noże, łyżki, a nawet serwetę. W jaki sposób? — zapyta kto. W bardzo prosty. Oto jajecznicę umieszczono na wielkiej patelni w środku przed nami tak, aby każdy mógł jej ręką dosięgnąć. Bliżej nas w osobnych blaszanych głębokich miseczkach rozdzielono laban (rodzaj kwaśnego mleka). Otóż rozłożywszy jeden płat chleba na kolanach, jako serwetę, drugim sięga się i nabiera potrosze jajecznicy, albo pije się laban, jak niektórzy u nas kawę z bułką. Apetyt mieliśmy wielki, a trzeba przyznać, że jajecznica z masłem była wyborna, laban zaś wprost niezrównany. To też szech z dumą spoglądał po swych towarzyszach, zadowolony, że jego stół smakuje. Pod koniec uczyty, zwyczajem starożytnych bohaterów, który i w Arabji ma swe zastosowanie, zjedliśmy nasze stoły, serwety, talerze, łyżki, widelce i noże. W podobny sposób uraczono po nas naszą eskortę. Finał uczyty równy początkowi: podwójna porcja wybornej mokki.

Teraz dopiero rozwiązały się Beduinom języki. Gość po uczcie i po kawie jest członkiem rodziny. Palenie tytoniu w fajkach kończy ceremonjał. Każdy Beduin przystępuje kolejno do ogniska, by z węgla nabrać nieco ognia i wraca na swe miejsce.

Znużenie poczęło nam kleić oczy. Natychmiast szech podniósł się z tapczanu, a z nim oddalili się wszyscy Beduini, życząc nam szczęśliwej nocy.

Mimo twardego łoża (na ziemi), a jeszcze twardszej poduszki (siodła), posnęliśmy wkrótce. Ale zjawił się gość pod namiotem w postaci kóz, które, zwabione ciepłem, pokładły się obok nas, u naszych nóg; a nawet zaczynały być niegrzeczne i w poszukiwaniu lepszego miejsca skakać nam po piersiach. Zbyt ożywiona rozmowa psów z księżycem, beczenie owiec, wreszcie płacz niemowlęcia w drugim przedziale obok nas, często przerywały mi niespokojny sen. Nielepiej się czuli moi towarzysze. Względny koniec utrapieniu położyła złocista jutrzienka,

która ze wschodu zaczęła nam zaglądać pod namiot i spędzać resztki snu z powiek. Był to znak, by wstawać.

Poczynamy być już nawpół Beduinami, bo jak oni, dla braku wody nie myjemy się już piąty dzień. Wąsy i brody nasze przedstawiają teraz stan takiego zdziczenia, w którym nie przyjętoby nas bezwarunkowo w żadnym towarzystwie europejskiem. W Arabji o to nikt się nie troszczy.

Na posiłek jakikolwiek jeszcze za wcześniej; zresztą Arabowie tylko pod wieczór biorą pokarm, a tę samą zasadę stosują do gości.

Gdy cała karawana była do drogi gotowa, wsiadamy na koni. Szech znowu podtrzymuje każdemu strzemię, w najgrzeczniejszej formie życząc szczęśliwej podróży. O jakiegokolwiek zapłacie za nocleg, za przyjęcie nas, naszych ludzi i koni nawet mowy niema. Znając nawskroś Arabów, nie chcemy obrażać szecha ofiarowaniem zapłaty. To też jako jedyną zapłatę powtórzyliśmy szczerze ono wielemówiące arabskie podziękowanie: *kattir chairak* — (oby Allah zwiększył twe szczęście). Na co nam szech odpowiada: *wachairkom* (i wasze szczęście). Podnosząc rękę do piersi, czoła i ust, rzucamy ostatnie: *chatirkom* (żyjcie szczęśliwie), a zebrani Beduini odpowiadają chórem: *mahassalam* (podrózujcie w pokoju).

Życie Damaszku

Ks. Wł. Szczepański. (W Arabji Skalistej, 1905).

Życie Wschodu! Kto go na własne nie oglądał oczy, temu żadne opisy nie nakreślą choćby zbliżonego obrazu. Pod względem barwności i oryginalności nie ustępuje Damaszek Kairowi; przewyższa go nawet charakterem rodzimym, swojskością. Aby się nieco przypatrzeć tutejszym chrześcijanom, wyszedłem w niedzielę po południu do ich dzielnicy, zajmującej północną część miasta. Z całości odniosłem wrażenie dodatnie. Ulice zaległe prześlicznymi dziećmi. W bramach domostw siedzą ich właściciele z żonami i przyglądają się przechodniom. Uprzejmość i grzeczność jest cechą wogóle mieszkańców Damaszku, która objawia się często w życiu codziennem. Zwrócisz się naprzykład do kogokolwiek z zapytaniem lub prośbą, wtedy kupiec opuszcza swój sklep, przechodzi swój interes, rzemieślnik swe zajęcie i prowadzą cię — nieraz daleko — na żądane miejsce. Nawet cudzoziemiec usłyszy nierzadko zaproszenie „tafad-

dal“ (proszę wejść). Jeśli się przyjmie zaproszenie, prowadzą gościa do wnętrza, do sali przyjęć, zwanej tutaj dywanem, bardzo gustownie przybranej. Tu raczą go likierem, papierosami, cukrami i prawdziwą moką, na sposób wschodni przyrządzoną.

Z bardzo rzadkim wyjątkiem domy, nawet najbogatsze, wyglądają z zewnątrz niepokaznie, żeby nie powiedzieć: wstrętne; zbudowane są z drzewa i z olbrzymich cegieł niewypalonych. Dach najczęściej płaski, pokryty gliną, tworzy terasę, na którą prowadzą z zewnątrz schody kamienne. Na tej to terasie mieszkaneć Wschodu spędza wszystkie wieczory. Skoro tylko senna i znużona całodziennym marszem słońce zacznie się chylić ku spoczynkowi, roje ludzi wypełniają terasy. Tu dzieci urządzają swe zabawy, starsi krzepią się posiłkiem i rozmową, znajomi składają sobie wizyty i palą nieodstępne nargile. Najwięcej uderza, że terasy nie mają żadnych poręczy. Mimo to nie słychać prawie nigdy, aby biegające i bawiące się dzieci spadły kiedykolwiek z dachu!

W przeciwieństwie do niepokaznej i zaniedbanej zewnętrznej strony domów, wewnątrz jest wprost olśniewające. Na wstępie w każdym domu — obszerne podwórze czworokątne, wykładane płytami z marmuru lub bazaltu. Na środku tego przedśionka szeleści wodotrysk sadzawki ośmio- lub szesnasto-bocznej, do której zimną wodę doprowadzają ciągle wodociągi z rzeki Barady. Sadzawka umajona prawdziwym lasem prześlicznych kwiatów. Pod ścianami podwórza można często oglądać całe grupy drzew pomarańczowych, cytryn, jaśminów; głębiej nieco rozstawiono sofy lub krzesła, wykładane bogatą, a ładną inkrustacją. W dywanie (sali przyjęć) pełno luster, marmurów, obrazów, czasem wodotrysk wśród kwiecia. Ściany pokryte sztukaturą, mozaikami lub arabeskami. Przepych bogatszych domów wprost nie do opisania. To wymarzone pałace wschodnie z tysiąca i jednej nocy. Przepych ten tem bardziej uderza i zadziwia, że jak wspomniałem, zewnętrzna postać domów, bardzo niepokazna, nie pozwala żadną miarą domyślać się wnętrza.

Atoli, jak wszędzie na Wschodzie, życie Damaszkum skupia się i objawia przedewszystkiem na ulicach i po bazarach, a jego oryginalność więcej nęci i zaciekawia, niż wszystkie budowle lub starożytności Damaszkum.

Jestem już przeszło rok w Syrii; rozmaite niezwykle stroje Wschodu nie robią już na mnie wielkiego wrażenia. Mimo to, widząc tutaj ich barwność i różnorodność, przystawałem niekiedy, aby bliżej im się przypatrzeć. A ciekawy to widok oglądać je

zebrane razem w tłoku i w walce o miejsce! Do Europejczyków różnych narodowości najwięcej zbliża się postawą i ubiorem Lewantyjczyk, ich potomek w prostej linii i Grek-Syryjczyk, mieszaniec Hellenów i tubylców. Ich stroje mocno przypominają Europę, choć nie bez dodatków wschodnich. Takim jest np. nieodzowny i nieodstępny towarzysz dnia: czerwony lub brunatny fez, z którym krajowiec nie rozstaje się nigdy.

Chrześcijanie - krajowcy zarzucają powoli strój narodowy i noszą się po europejsku. Między muzułmanami największa jest różnaitość ubrania. Za wierzchnie okrycie służy dość ogólnie szeroka jedwabna suknia, sięgająca aż po kostki (coś w rodzaju sutanny). Przepasuje się ją pasem jedwabnym różnokolorowym (podobnie jak i suknią). Barwy jasne: żółta, biała, różowa, brunatna — przeważają. Najczęściej składa się kilka barw na jedną suknię. Beduini noszą zwykle różnokolorową jedwabną chustę, zwaną keffije, którą składają w trójkąt, przepasują nią głowę, a jej końce zarzucają na plecy. Keffije przywiązuje się do głowy grubym, czarnym sznurem, który okręca się kilkakrotnie naokoło keffije. Ubodzy Beduini, przybyli wprost z pustyni, chodzą nędznie, obdarci często świecą nagością. Kurdyjskim pasterzom spływa z ramion czterokończasta filcowa zarzutka gruba i nieprzemakalna. Prócz tego prawie wszyscy Beduini noszą zawsze strzelbę, a czasem długi dziryt czy lancę; Druzowie nadto sztylet za pasem, pistolety i ładne szable. Żydzi nakrywają głowy czarnym turbanem¹⁾, albo czarnym filcowym kapeluszem o szerokim brzegu.

Muzułmanki chodzą zawsze czarno: jedwab lub perkal, stosownie do zamożności. Suknie spływają aż do kostek. Czarna lub biała chusta zakrywa głowę, a gęsta czarno-brunatna woalka — twarz. Chrześcijanki nie noszą woalek, chyba wyjątkowo, gdy wychodzą same, lub aby się ochronić przed szyderstwami motłochu.

Więcej niż różnaitość strojów przykuwa uwagę cudzoziemca ruch i życie ulicy. Ulice na Wschodzie zwykle są wąskie, kręte, ciemne i brudne. Przez te lochy, czy tunele, przebiegają w całym pędzie powozy, tłoczą się ludzie pieszo i konno, na osłach lub mułach, a psy w ogromnej ilości śpią w najlepsze na samym środku ulic. Nie uznają one nad sobą żadnego właściciela; żywią się jedynie odpadkami różnych pokarmów. Od

¹⁾ Przepaska na głowę, różna od samego nakrycia.

czasu do czasu pobożny muslim, zakupiwszy dużo płatów chleba, rzuca i psom obfity kasek.

Nie kto inny, ale psy są tu panami ulic. To też gdy przed powozem muszą się czasem usunąć, czynią to z wyraźną niechęcią, a oburzenie swoje wyrażają srogiem mručeniem. W większy jeszcze stan podrażnienia wpadają, gdy przypadkiem pies z innej ulicy lub zakątka zabłądzi w ich posiadłości. Wtedy psia wściekłość nie zna granic, a zęby wszystkich czworonogów w kilku chwilach zmuszają natręta do sromotnego odwrotu.

W pobliżu bazarów ulice tak są przepełnione ludźmi, wozami, końmi, osłami, wielbłędami, mułami i t. p., że trudno się uwolnić z uścisku tłumów. Ze wszech stron nawoływania i krzyki. Najgłośniej zawodzą roznosiciele pokarmów, owoców czy napojów. Niepodobna wszystkich ich nawoływań przytaczać choć prawie każde jest mocno oryginalne i ciekawe. Niektóre nic pozbawione dowcipu. Tak np. roznosiciel kwiatów woła bezustanku: „załagodź teściową“ (kupując jej bukiet). Inny, chcąc uszczęśliwić przechodnia nieznanemu mu owocami, zachęca go do kupna słowy: „jeśli stara baba skosztuje, nazajutrz odmłodnieje“. Ogórki spotyka się na każdym kroku. Obok osła naładowanego tym żywicielem biednego ludu kroczy właściciel, krzycząc wniebogłosy: „ojcze rodziny, zaopatrz się dobrze; za 60 para (20 groszy) 10 funtów ogórków“. Młody obszarpaniec roznosi na głowie różne ciasta i słodczyce, które Wschód spożywa w zastraszającej ilości.

Świeże napoje znajdują wielu nabywców. Nic dziwnego: upał ogromny każe co godzinę odświeżać gardło. To też najczęściej spotyka się tragarzy limonjady, wody słodzonej lub przyprawianej w najrozmaitszy sposób. Na skórzanym pasie nosi tragarz ogromną szklaną butlę, koloru białego lub zielonego, którą wkłada pod pachę, a jej długą i cienką szyjkę wspiera o pierś. W prawej ręce trzyma szklanki, palcami lewej wybijają w takt o dwie tacki mosiężne i przy dźwiękach tej osobliwej muzyki wywołuje (stosownie do jakości napoju): „zagaś pragnienie“, „odśwież swe serce“ lub „uważaj na zęby“ (chcąc zwrócić uwagę, że napój bardzo zimny).

Biednemu pospólstwu wystarcza woda z Barady; tę roznoszą w baranach, t. j. w skórach baranich, w których kopytka i głowę zapchano korkiem lub zawiązano szpagatem. Zdarza się, że muzułmanin, chcąc sobie zapewnić błogosławieństwo niebios, zakupuje od roznosiciela cały worek wody, aby darmo rozdzielić ją spragnionym. Natenczas tłum zwabiony okrzykiem:

„spragnieni! bywajcie“, wypróżnia w kilku chwilach nieapetyczny i cuchnący worek.

Na tem nie koniec. W zaułkach ulic lub na progach domostw siedzą publiczni pisarkowie, obłożeni tłumem Beduinów, chłopów, czasem i kobiet. Oni to sporządzają akta kupna i sprzedaży, piszą i odczytują listy. Przy wielkiej ilości analfabetów tego rodzaju rzemiosło jest zajęciem bardzo korzystnem.

W bliskości pisarza zajął miejsce pieczętarz i szybko zapatruje interesowanych w pieczętki, niezbędne w Syrii, gdzie nie podpis, ale jedynie pieczęć cieszy się uznaniem i posiada walor prawny.

W samych bazarach ruch jeszcze większy. Nie należy sobie wyobrażać, że bazarem zwą tu sklep, gdzie prawie wszystkiego można tanio nabyć. Bynajmniej. Bazar czyli tak zwany suk, to sklep przeznaczony dla jednego zwykle przedmiotu lub towarów jednego rodzaju. Drugą właściwością bazarów na Wschodzie jest to, że sklepy z jednakowym towarem mieszczą się gęsto obok siebie, zwykle na tej samej ulicy.

Bazary Damaszku zajmują sam środek miasta. Są to szerokie i wysokie ulice, kryte u góry półkulistym drewnianym dachem. Szklane okna, umieszczone z boku dachu, przepuszczają tylko skąpe światło, ale powstrzymują upał słoneczny. Z obu stron ulicy wysokie piętrowe kramy z bogatą wystawą. Nie myślę oprowadzać czytelnika po wszystkich bazarach. Byłoby to nader zajmujące w rzeczywistości, ale nie w opisie. Prócz tego odczuwam wprost szalony brak wyrazów na widok tylu tak różnorodnych, często tak ślicznych przedmiotów. Aby choć część ich nazwać po imieniu, trzebaby specjalisty. Czyż zresztą prosty wyraz da choć słabe wyobrażenie o piękności i artyzmie z jakim wykończono każdy szczegół?

Bazary są ogniskiem i targowicą tego wszystkiego, co z zadziwiającym nakładem cierpliwości wyrabia Wschód cały. Ale coraz częściej podobno spotyka się w nich wyroby europejskie, zwłaszcza jedwabne. Francja, Niemcy i Belgja wysyłają do Syrii ogromną ilość swych produktów, które zapaleni Amerykanie lub Angielki biorą czasem za wyrób wschodni i oczywiście drogo opłacają.

Rzemieślnicy dość ogólnie sporządzają swoje wyroby na ulicy z wielkim hałasem; trzeba jednak przyznać, że robota idzie im gładko, pięknie i zręcznie. Mosiężnicy np. z dwumetrowych miedzianych blach wyrabiają szybko i zgrabnie wielkie misy,

zdobią je arabeskami lub napisami Koranu, w które wtłaczają srebrne lub złote nitki metalu.

Cechą charakterystyczną kupców muzułmańskich w Damaszku jest spokój i powaga, pozbawiona gorączkowej konkurencji i wolna od zazdrości względem sąsiada-kupca. „Allah karim“ (Allah szczodry), powtarza często mieszkaniec Wschodu, to też i kupiec oczekuje, ze spokojem, aż Ar-Rezzak (Żywiciel-Bóg), który jego sąsiadowi nasłał klienta i jemu przysła odbiorcę.

Ale porzućmy bazyry z ich życiem, towarami i ludźmi, popieszczy odetchnąć nieco świeżem powietrzem. Damaszek nie nadarmo nosi nazwę „miasta ogrodów“. Jak wszystko w Damaszku — żebraków nie wyjąwszy — związało się w cechy i usadowiło nierozdzielnie grupami obok siebie, tak i jego ogrody, uciekając od zgiełku ćwierćmiljonowej stolicy, skupiły się gęsto przy sobie naokoło miasta, przeważnie na jego północy. Ogrody te, napozór ciche, uśpione, kryją w swym cieniu życie inne, niż w bazarach, niemniej jednak ruchliwe. Poważną samotność dębów i topoli, jaworów, morw, palm, winnic i drzew owocowych zakłóca jednostajny szmer tysiącznych ramion Barady, rozprowadzających wodę po całej przestrzeni. Pod rozłożyste konary drzew, jakby kryjąc się przed zbyt ciekawem okiem widza, schroniły się dziesiątki małych stolików, otoczone niziutkiemi krzeselkami lub ławeczkami. Tutaj to Damascenńczyk, stęskniony za wypoczynkiem, lub uciekając przed żarem niełitościwego słońca, kieruje swe kroki, tu rozkłada się wygodnie obok nieodstępnego nargile; tu oddaje się z zapalem grze w domino lub warcaby. Każdy stoliczek szczelnie zapełniony gośćmi; ścieżki roją się od spacerujących, a służba roznosi odświeżające napoje i prawdziwą moke, której zapach wokoło się rozchodzi. Kawiarnie Damaszku, najsłynniejsze na Wschodzie, wybrały sobie jego ogrody za swe główne ulubione siedlisko.

Kto chce się przyjrzeć zachwycającej panoramie miasta, powinien się udać na zbocza wysokiej góry Kassjun (1200 m.), która broni Damaszek przed wiatrami północy. U stóp widza rozkłada się całe miasto. Gęsty wieniec ogrodów i zieleni obejmuje w uścisku to mrowisko białych płaskich domów, które blask słońca złoci i zdoła wszystkimi barwami tęczy. Całe tłu-

my minaretów strzelają wysoko w niebo i głoszą ustami muezzinów pięć razy dziennie chwałę Allacha. Na zachodzie rozsiadł się wspaniały i poważny Antyliban i wyrzuca z jednej czeluści srebrne strugi płodnej Barady. Ku wschodowi, jak oko sięgnie, roztacza swe wdzięki zielony niż, pełny życia i uroku, zroszony obficie Baradą i jej dopływami.

Stojąc u stóp góry, można kwadransami obejmować wzrokiem tę bogato urozmaiconą całość, przebiegać ciągle z jednego szczegółu na drugi i nie odczuwać pragnienia powrotu do miasta. Jakże się tu dziwić dzieciom pustyni, że, przybywszy ze spalonych żarem słońca stepów, gdzie słaba roślinność tylko wiosną się rozwija i więdnie, a gdzie w pogoni za drzewem, strumykiem lub źródłem dziesiątki kilometrów zjechać trzeba — jakże się tu, mówię, dziwić Beduinom, że nazwali Damaszek rajem ziemskim, odbłaskiem nieba? Wszakżeż raj niebieski przedstawia im Koran, jako ogród, skropiony rzekami płynącej wody, gdzie w cieniu drzew zażywać będą rozkoszy, a gdzie owoce same do ust schylać się im będą!

Dla Europejczyków, którzy mają inne pojęcie o raju i niebie, Damaszek, uważany w swej całości, jest tylko miastem pięknem i zajmującym, gdzie życie Wschodu silnem bije tętnem.

Podróż do Mekki

G. Courtellemont (przekł. z fr. K. Króla) ¹⁾.

W trzy dni po opuszczeniu Suezu stanęliśmy u portu Dżid-dy. Czekaliśmy długo na sternika portowego. Przybywa nareszcie i wstępuje na kładkę człowieczyna w długiej szacie, w prostym zawoju na głowie, z oczyma ciemnymi, jakby spalonymi. Byстрыm wzrokiem bada widnokrąg i komenderuje po angielsku, jak trzeba płynąć. Zarzucamy kotwicę o parę mil morskich od brzegu, bo nasz kapitan jest bardzo ostrożny i zapewne nie chce powiększyć znacznej liczby statków, które rozbijały się o wybrzeże i teraz garnirują je, że tak powiem, swemi smutnymi szczątkami: tu parowiec przecięty na dwoje, tam maszt wystający z wody, dalej maszt przedni i wierzchołek komina. Ławice koralowe, sterczące skamieniałemi gałęzmi równo z powierzchnią

¹⁾ Gervais Courtellemont, Francuz rodem z Algeru, autor kilku dzieł podróżniczych, udał się w podróż do Mekki ze znajomym swoim kupcem z Algeru w charakterze nawróconego na mahometanizm chrześcijanina.

nią wody, ciągną się tu równolegle do brzegu i ustawicznie grożą żeglarzom.

Łódź nasza, stara, uszkodzona, przy mocnym wietrze lawiruje między ławicami; czasami lekko ociera się o nie, ku wielkiemu przerażeniu szejków beduińskich. Potem trzeba spuścić żagiel i ostatnich kilka sążni przebyć przy pomocy żerdzi, popychając z trudnością łódź napół ugrzęzłą w piasku i mule, gdyż morze jest bardzo płytkie. Potem następują zwykle na Wschodzie sceny przy wylądowaniu: krzyki, wrzaski, popychania, wzywianie paszportów, kłopoty z cłem i przy oględzinach sanitarnych i t. d.

Miasto zbudowane jest na brzegu morza na niskiej piaszczystej równinie; nie widać najmniejszej wyniosłości, najmniejszej zmarszczki gruntu; prawdziwie płaskie wybrzeże, spalone, suche. Przystań jest niegościnna, położenie nędzne. Pobyt tutaj jest, jak tylko sobie wystawić można, nieznośny. Chmury mustyków obsiadają was w dzień i w nocy; woda jest niedobra, upał parny, przygnębiający; a najmniejsza kępka zieloności nie rozwesela smutnego i posepnego krajobrazu.

Robimy przechadzkę po mieście i składamy wizyty przyjaciołom mego towarzysza Hadzi-Akli. Zna on wszystkich w Dżiddzie. Jego przyjmują przyjaźnie, ale na mnie spoglądają okiem podejrzliwym. Wszystko, co im o mnie opowiada Hadzi, nie wystarcza, żeby się pozbyli pewnej grzecznej, ale zimnej względem mnie powściągliwości; zwłaszcza to dziwi i martwi mego towarzysza, że nikt nas nie zaprasza na śniadanie albo na obiad, a to zły znak w Arabji. Ostatecznie — jestem podejrzaną osobą.

Wreszcie zapraszają nas do jednego z najlepszych znajomych Hadżego. Jestem przedmiotem uważnej obserwacji. Nieobeznany z tamtejszemi zwyczajami, zachowuję się widocznie bardzo nieszczególnie przy stole.

Muszę jeść palcami ryż smażony w maśle, ale stanowczo za dużo rozrzucam go po ubraniu i po dywanie. Ryba jest przyprawiona jakiemiś dziwnymi sosami: pomimo szczerzej chęci nie mogę przełknąć ani kawałka bez częstego popijania wodą. Tymczasem zwyczaj nakazuje jeść cały obiad bez picia. Krótko mówiąc, zachowuję się, jak bardzo źle wychowany człowiek.

Powracam tedy mocno znużony, widząc coraz lepiej trudność mego położenia. Kładę się spać zmartwiony. Koło jedenastej budzi mnie pukaniem do drzwi mój gospodarz i bez żadnego wstępu mówi do mnie:

— Przychodzę ci powiedzieć, co mi leży na sercu. Nie jedź do Mekki! Nie powrócisz stamtąd. Piaski pustyni ubieliły kości tych, co chcieli, jak ty, dostać się do naszego świętego miasta.

Odpowiadam mu na to:

— Tylko Allach (Bóg) jest wielki; oprócz niego nie boję się nikogo. On czyta w sercu mojem i wie, że moje zamiary są czyste.

Gospodarz oddalił się z trwogą w sercu. O świcie zjawił się znów; cierpliwie po bratersku wtajemniczał mnie w obrzędy, uczył ablucji (polewania wodą ciała), specjalnych modlitw i wkrótce, z większą ufnością zapatrując się na mój projekt, przestał go widocznie uważać za szaleństwo.

Mieliśmy do wyboru dwa sposoby podróżowania na przestrzeni 87 kilometrów, oddzielających Mekkę od Dżiddy: jazdę wielbładami i na osłach. Co do mnie, byłbym wolał wielbłąda, bo lubię jego chód kołyszący i usypiający, wielbłąda, tego prawdziwego rumaka owych pustych i suchych krajów, śmiesznego, upartego, z dziwaczными minami, ale z dobrem sercem, skarżącego się ciągle, gdy go objuczają, lub zdejmują z niego pakunki, kiedy wstaje albo kładzie się do spania, ale umiającego iść długo bez jedzenia i bez napoju, to zwierzę opatrnościowe, stworzone dla pustyni. Biorąc jednak wielbłądów, musieliśmy stracić dwa dni na podróż, a śpieszyliśmy się, bo droga nie jest bezpieczna z powodu napaści Beduinów rozbójników. Tymczasem, dzięki cudownym osłom hedżaskim, można było przebyć drogę bez popasu i co większa, bez zmiany rumaków. Najmujemy przeto osły.

Przed samym wyjazdem odbywam wielkie ablucje i przywdziewam „irham“. Irham, jedyna odzież pielgrzyma, składa się z jednej sztuki białej tkaniny bez szwu, którą opasujemy się w biodrach. Ten prosty strój przepisany jest najściślej dla wiernych, udających się po raz pierwszy do Mekki.

O drugiej po południu jestem tedy już w drodze na osle, z obnażoną piersią i plecami, z głową zgołoną i odkrytą, na słońcu palącym, jak żar. Doznaję żywego uczucia obawy, żebym nie uległ porażeniu słonecznemu. Kiedy mówię o tem do mego towarzysza Hadzi-Aklego, tenże odpowiada zwięźle:

— Alboż nie jesteś w rękach Boga? Czegóż się masz obawiać?

Na przestrzeni przeszło 16 kilometrów jedziemy po piaszczystej równinie; potem droga podnosi się nieznacznie i wije się

po między nagiemi górami, których kotliny („cyrki“), podobne do kraterów wygasłych wulkanów, ciągną się rzędem, niby paciorki długiego różańca.

Odwieczne pochody karawan przytarły niejedną skałę, zrównały niejedną przeszkodę, więc wyrównana droga podobna jest bardzo do wyschłego i zasypanego piaskiem łożyska strumienia.

Noc pod tą szerokością geograficzną zapada dość nagle, bez długiego znuierchu. Za to w kraju tym gwiazdozbiory błyszczą niezrównanym blaskiem a niezliczone pojedyncze gwiazdy migocą, rozbudzając łagodną, bladą i smutną jasność, która pozwala nieco odróżniać ciemne przedmioty w naszym otoczeniu. Są to zwały ciemnych skał wapiennych, rzucone chaotycznie na drodze, jakby ją chciały zagrozić. Zbliżamy się i oto ukazuje się szczelina, przez którą droga, jakby się prześlizguje; przebywamy ją i znów jesteśmy w czarnym zupełnie okrągłym cyрку (kotlinie). Od czasu do czasu odrzyna się na tle nieba nędzna sylwetka posterunku tureckiego, osadzonego na szczycie wzgórza; nad nią błyszczy czerwone oko — latarnia.

Mijamy ciągle karawany, nieskończone szeregi wielbłądów, przesuających się cicho po gęstym piasku i prowadzone przez czarne widma, z którymi wbrew zwyczajowi muzułmańskiemu nie wymieniamy ani słowa pozdrowienia, oddalając się jak najspieszniej w ustawicznej obawie napadu lub zasadzki.

Przebywamy wyniosłe płaszczyzny piaszczyste. Pokazuje się księżyc w pierwszej kwadrze, blade, świecący trochę tylko mocniej, niż gwiazdy, ale fantastyczniej oświetlający przedmioty. Długie i dziwaczne ich cienie ścielą się po ziemi.

Potem jesteśmy znowu w ciemnych lejkowatych, zewsząd zamkniętych cyrkach. Opanowuje mnie półsen, zaczynam marzyć.

Mam przeświadczenie, że zbliża się ważna chwila w mem życiu. Co będzie ze mną jutro. O świcie przekrocze straszliwą granicę; ale czy ją przebędę z powrotem? Całe życie przesuwa się przed oczami wyobraźni w szybkim przebiegu. Przypomina mi się Francja, potem osobiste moje sprawy, stara matka, co tam często wieczorem modli się, myśląc o mnie, przyjaciele, którzy mnie odjeżdżającego żegnali z takim smutkiem i uważali za zgubionego.

Lecz oto budzą mię z rozmyślań lekkie odgłosy dzwoneczków na szyjach osiołków, dzwiczące niezmordowanie wśród ciżmy nocnej. Rumaki nasze biegą bezustanku drobnym truchtem. Zatrzymujemy się na koniec w jakimś zapadłym kącie, któ-

ry nie wiem nawet, jak się nazywa, bo zapomniałem o to zapytać. Nic nie mówiąc, towarzysze moi zawijają się w wełnianą odzież i zasypiają, jak martwe bryły. Leżąc prawie nagi na macie, dzwoniłem zębami z zimna, właściwego nocom wschodnim, kiedy ziemia promieniuje mocno. Budzimy się nareszcie, a po krótkiej modlitwie jesteśmy znów na siodłach. Z brzaskiem dnia przekraczamy bramę ziemi świętej, utworzoną symbolicznie z dwóch rodzajów kolumn murowanych, podobnych do słupów ganku wiejskiego i odległych od siebie o kilka metrów. Jest to zarazem, jak mnie objaśniają, granica polowania, wewnątrz której zabrania się zabijać jakiekolwiek dzikie zwierzę lub ptaka.

W istocie, o wschodzie słońca spotykamy niezliczone stada kuropatw skalnych, całe osady skowronków pustynnych; uciekają przed nami truchcikiem, nie racząc wznosić się z ziemi, tak są przyzwyczajone do przejazdów ludzi, zupełnie im nieszkodliwych. Otaczają nas także prawdziwe chmary gołębi-grzywaczy. Niektóre niemądre synogarliczki zrywały się za późno ze ścieżki, jakby chciały, żeby je strącić; więc też drżałem ze strachu, żeby mimowoli nie popełnić takiego morderstwa.

W istocie, gołębie te są przedmiotem największej czci mieszkańców Mekki, są prawie świętymi ptakami; w wielkim meczecie dostają obfite daniny w prosie i sezamie. Zabicie którego z nich byłoby prawdziwym świętokradztwem i byłoby sprawiło okropne wrażenie w umyśle moich towarzyszków.

Skręciwszy nagle, wjeżdżamy do miasta świętego. Nic nam nie zapowiedziało jego bliskości; jest ono bowiem ukryte w wąskiej dolinie między górami. Dopiero, wjechawszy w pierwsze ulice, dowiadujemy się, że jesteśmy już w mieście. Wzrok nie ogarnia większej całości; ulice, zupełnie do siebie podobne, następują jedna po drugiej, aż do wielkiego meczetu, zakopanego, że tak powiem, w najniższej części miasta, tajemniczo ukrytego przed naszym wzrokiem, niby jajko na dnie gniazda.

Powitani przez swego „metuafa“¹⁾, udajemy się natychmiast

¹⁾ „Metuaf“ jest to nazwa dawana w Hedżasie pewnego rodzaju urzędnikom duchownym, zarazem przewodnikom w modłach, którzy oprowadzają naokoło Kaaby, są tłumaczami i podejmują się opieki nad ziomkami, dając im u siebie mieszkanie i utrzymanie stosowne do wynagrodzenia. Są metuafowie dla wszystkich krajów muzułmańskich: dla Marokańczyków, dla Syryjczyków, Turków, Egipcjan i t. d.

do dzielnicy świętej „Haramu“, wielkiego i jedyne go meczetu w Mekce.

Przed nami wznosi się Kaaba¹⁾ w majestatycznej, bogatej obłonie czarnej. Dla muzułmanów jest to dom Boga (Bit Allah), środek świata. Mój metuał zaraz na wstępie nieomieszkał mi powiedzieć:

— Bracie, nie myśl, że masz ubóstwiać ten kamień, albo jedwab, lub złoto, które go przykrywają. Jesteś tu w środku świata. Wszystkie modlitwy świata muzułmańskiego zmierzają ku temu miejscu i stąd prosto wznoszą się ku niebu.

Jest dopiero godzina szósta zrana. Różowy blask powleka przedmioty świeżą poranną barwą. Siadamy nabożnie na posadze świątyni i po chwili skupienia zaczynamy pierwszą mo-

¹⁾ Wielki meczet, obejmujący Kaabę, przedstawia się, jako obszerny plac w postaci równoległoboku, mający 180 m. długości i 130 szerokości, otoczony dookoła potrójnym lub poczwórnym szeregiem kolumn, połączonych u góry wspólnym sklepieniem, które jest uwieńczone niewielkimi białymi kopułami; niektóre kolumny są zbudowane z granitu, marmuru lub porfiru, większość jednak ze zwykłego kamienia. Liczba kolumn dochodzi do 600, kopuł zaś liczą 150. Dziewiętnaście bram w nierównych odstępach tworzą przerwy w kolumnadzie, dając dostęp do świątyni. Naokoło meczetu wznosi się siedem minaretów (wież, skąd muezzini wzywają do modlitw).

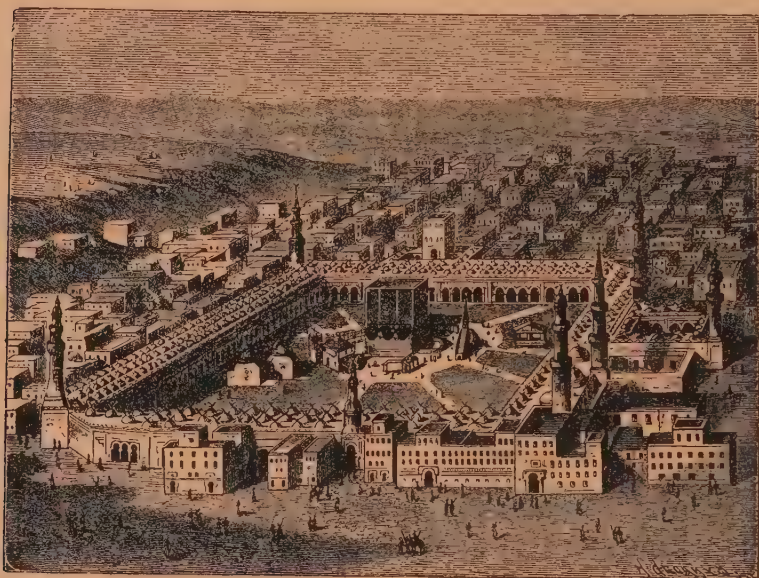
Od kolumnady 7 chodników brukowanych prowadzi do Kaaby, zajmującej prawie środek placu. Kaaba to wielki czworoboczny budynek kamienny (12 metr. długości, 10 metr. szer. i 15 wysok.), płaski u góry, bez okien, z jedyne mi drzwiami na wysokości 2 metrów od ziemi, tak że do nich wchodzi się po schodkach. Nazewnątrż ściany Kaaby pokryte są czarną jedwabną materją, odnawianą corocznie kosztem sułtana tureckiego. Naokoło Kaaby leży chodnik marmurowy, owalny, otoczony słupkami z brązu złoczonego, połączonemi zapomocą łańcuchów, na których wiszą lampki szklane, na noc zapalane.

Wnętrze Kaaby przedstawia prostą salę, której sufit podtrzymują dwie kolumny. Sufit i ściany zaciągnięte są bogatemi materjami z jedwabiu i upiększone pięknemi srebrnemi napisami. Podmurowanie pokryte jest płytami marmuru, na których mieszczą się wspaniałe napisy złoczone. Podłoga wyłożona marmurem rozmaitych kolorów. Z sufitu zwieszają się na złotych łańcuchach wielka liczba lamp, podobno szczerczłotych.

Kaaba, według wierzeń i podań muzułmańskich, zbudowana była przez Adama. Zniszczona podczas potopu, odbudowana została przez Abrahama i Izmaela, z cudowną pomocą archanioła Gabriela, który im przyniósł kamień z nieba na fundamet budowli. Kamień ten wmurowany jest w północnym kącie Kaaby. Według podań, pierwotnie kamień ten był oślepiającej białości, ale dotknięcia rąk i ust grzeszników zrobiły go czarnym. Zbzczeszczona przez bałwochwalskie obrzędy pogan, Kaaba odzyskała świętość swoją po zjawieniu się proroka Mahometa, który przywrócił prawdziwą wiarę (Prz. red.).

dlitwę. Meczet jest już pełen ludzi. Tłum wiernych obchodzi Kaabę dokoła, posuwając gołemi nogami po gładkich taflach marmurowych, bez najmniejszego hałasu, niby białe widma.

Krewny naszego metuafa bierze mnie za rękę i każe siedem razy okrążyć Kaabę, a jednocześnie śpiewać za nim głośno modlitwy przepisane. Jest to ceremonia „tuaf“. Potem prowadzi mnie do jednego węgła Kaaby i poleca ucałować słynny, czarny kamień, osadzony na wysokości wzrostu człowieka w masywnej obrączce srebrnej, nieco owalnej i mającej około 80 centymetrów w średnicy. Powiadają, że kamień — to aerolit, ja sędzę, że to



M e k k a.

krzemień. Jak każe zwyczaj, objąłem całemi rękami kółko srebrne i ucałowałem kamień; następnie wyszliśmy z meczetu, ja przepasany naukos irhamem i rozpoczęliśmy razem obrzęd „sai“.

Rzecz polega na tem, żeby przestrzeń między świętym portykiem zwanym „Safa“ i drugim, odpowiadającym tamtemu, a zwanym „Merowa“, oddalonemi od siebie blisko 500 metrów, przebyć siedem razy krokiem przyspieszonym, czyli razem przebiec około siedmiu kilometrów, śpiewając przytem za swoim metuafem modlitwy i litanje. Za każdym zbliżeniem się do Sa-

fy albo do Merowy trzeba się zatrzymać na chwilę i wyrecytować modlitwę. Pozwala to nabrać nieco tchu przed dalszym biegiem.

Jestem w stanie jakiejś hipnozy, która mnie czyni nieczułym na zmęczenie, zarówno, jak na głód i pragnienie. Jednakże po skończeniu wszystkiego, kiedy po ostatnim biegu do Merowy weszliśmy do wnętrza meczetu, piję z wielką chciwością czarkę świeżej wody, podaną mi przez służącego meczetowego. Wypróżniam jednym łykiem pierwszą czarkę, po niej z równą łapczywością połykam zaraz drugą.

Twarz mego przewodnika jaśniej wesele, albowiem, nie domyślając się tego, przeszedłem właśnie zwycięsko stanowczą próbę, rozstrzygającą w ich oczach o czystości mego serca. Piłem z przyjemnością wodę ze świętego źródła „Zem-Zem”¹⁾, potem zażądałem jej więcej; otóż według ich przekonania, przez gardło chrześcijanina nie może przejść ani jedna jej kropelka; prędzejby się udusił, niż wypił. Prócz tego człowiek z nieczystym sercem czuje w niej smak nieprzyjemny, słonawy.

Bezwiednie więc zdałem doskonale ostatni egzamin i teraz już, jako prawdziwego brata, przyjmuje mnie gościnnie w swym domu metuaf muzułmanów z Algeru.

Godzina dziesiąta rano. Podają mi różne mięsa siekane i smażone, trochę ryb i owoców, ładne winogrona i melon z cukrem; ale mnie nic nie chce przejść przez gardło, więc gospodarze moi radzą mi udać się na spoczynek i wypocząć do modłów o godzinie trzeciej.

1) Święte źródło Zem-Zem znajduje się w obrębie wielkiego meczetu. Jest to budynek szczelnie zamknięty i kryty, obszerna izba kwadratowa, mająca ściany i posadzkę wyłożone marmurem, a w jej środku znajduje się słynna studnia, również w marmurowem ocembrowaniu. Krańców jej otoczona jest żelazną kratą. Poprzez nią służba meczetowa czerpie cudowny płyn wiadrami skórzanymi i rozlewa go w małe zbiorniki marmurowe, skąd pielgrzymi nabierają go kubkami do picia.

Woda z tej studni jest nieco słonawa, ale nie ma przykrego smaku, o jakim mi mówiono w Europie.

„Jak ty będziesz mógł pić tę wodę, zanieczyszczoną przez ablucje i przez bydłota, to czarniawe i smrodliwe błoto?”—zadawano mi zewsząd pytanie.

Trzeba było dopiero doświadczenia osobistego, żeby się dowiedzieć istotnej prawdy. Dość było, żeby jakiś podróżnik pomieszał studnię Zem-Zem ze źródłem Zobeidy, znajdującem się w okolicy Mekki, w którym istotnie kąpią się pielgrzymi w bardzo nieczystej wodzie, a już odtąd, przez powtarzania i kompilacje błęd się rozpowszechnił i stał się artykułem wiary.

Pozostawiony sam na sam, myślę o tej nieprawdopodobnej wyprawie, o tajemniczem mieście, w którem się znajduję. Sen ucieka mi z powiek. Uciekał tak przez trzy dni i trzy noce, którem przeżył w stanie niedającego się opisać natężenia wrażeń.

W godzinach, kiedy dokuczliwy upał ustępował, w porze błogiego spokoju i orzeźwiającej świeżości, w porze pięknego zachodu słońca, lubiłem chodzić do świętego meczetu i marzyć.

Siedząc na marmurowych taflach posadzki, słucham, bywało, melodyjnego śpiewu muezzinów, którzy z czterech minaretów, na rogach świątyni zwołują wiernych na modlitwę. Śpiewają oni, krążąc po kamiennych balkonach, wieńczących misterne wieżyczki; a śpiew to się wznosi, to cichnie, zależnie od kierunku, w którym się rozchodzi. Razem wzięte ich głosy płaczą, rzec można, wśród ciszy wieczornej. Trudno wyobrazić sobie słodsza melodję, potężniejszą i miłszą harmonję.

A jaka czarodziejska do tego dekoracja!

Widnokrąg zamykają szczelnie wyniosłe góry, ściskające miasto; ich boczne gałęzie, oblane złotem zachodzącego słońca, spuszczają się prawie prostopadle do miasta. Delikatne żabki kopuł i arkady meczetu dzierzgają posadzkę złotem, odbijającem się od ich marmuru i fajansu; błyszczą budowle święte, a pośród tego blasku Kaaba w czarnym całunі jeszcze majestatyczniej wygląda.

W obwodzie świętym wszyscy są na nogach. Iman zaczyna modlitwy wieczorne.

Tłoczy się dwadzieścia tysięcy wiernych, ustawionych szeregi, nieruchomych, jak posągi.

— Bismillah! — intonuje iman.

Uroczyste milczenie. Wszystkie serca pogrążają się w niemej adoracji.

— Alla Ukbar! (Bóg jest wielki) — czoła pochylają się.

— Alla Ukbar! — odpowiada cicho chórem tłum wiernych. A jest ich tylu, że te słowa, wymówione cichym głosem, łączą się w olbrzymie tchnienie, długo wstrząsające powietrzem, zięjącą żarem wiary i pochylające gromadę ku modlitwie.

Modły trwają dalej; wszystkie czoła po dwakroć dotykają ziemi na znak posłuszeństwa i uwielbienia.

Nabożeństwo kończy się, ale wierni pod wpływem uroku siedzą jeszcze w milczeniu na ziemi i przebierają palcami paciorki długich różańców z kości słoniowej.

Miejsce płomienistego słońca, oblewającego wszystko, zajął nadzwyczaj miły blask różowy i otulił przedmioty ciepłemi pro-

mieniami, z różowego stał się potem jasno-fioletowym, jeszcze później — stalowym. Noc spuszcza się powoli, przysłania wszystko na ziemi, niby krepą. Ciemność gęstnieje; białe widma ślizgają się, jak cienie, po gładkich płytach, zaczynają znowu w milczeniu krążyć dokoła Kaaby; a jej ciemne osłony zlewają się wkrótce z pomroką nocną.

Teraz w świętym meczecie migocą tysiące światełek, błyszczą na tle ciemnej nocy, niby iskierki. Słychać rozmowy, wszczynają się ruch, rośnie. Czar tajemniczy pierzcha. Rozchodzą się tłumy.

Morze Czerwone.

St. Bobelak (Czasop. „Naokół Świata“, 1904 r.).

Opuściwszy wczesnym rankiem dnia 2 sierpnia Suez, znaleźliśmy się dnia następnego na morzu Czerwonym u wejścia do cieśniny Djobal (cz. Džobal), skąd skierowaliśmy się ku najbliższemu celowi naszej podróży — posiadłości angielskiej — Aden, położonej na południowym cyklu półwyspu Arabskiego.

Kolor morza Czerwonego jest przeważnie ciemno-błękitny, czasami wpadający w zielony, podczas zmroku zaś nabiera ono prześlicznej barwy stalowej. Przebyłem je sześć razy, a nie zauważyłem nic takiego, coby mogło usprawiedliwić jego nazwę. Jest ono wszyskiem innem, tylko nie czerwonym. Właściwie należałoby je nazwać „morzem gorącym“, gdyż od Suezu aż do Adenu przedstawia ono, że się tak wyrażę, piec pełen żaru. Zdaje się, jakoby sąsiednie lądy: Azja i Afryka całe swe gorąco w ten właśnie miejscu wydzielaly. Narzekamy u nas w lecie na ciepło dwudziesto-kilkostopniowe. Ciepło takie na morzu Czerwonym uchodzi za temperaturę prawie zimową.

Drugiego dnia po wyjeździe z Suezu temperatura w cieniu wynosiła 34°, na słońcu zaś 51° C., a pomimo to pilot Achmed Rafaj zapewniał nas, że to jeszcze nic w porównaniu z tem, co, nastąpi. Pomimo ograniczenia wszelkich manewrów do najniezbędniejszych i zarządzenia dwukrotnej kąpeli prawie cała załoga cierpiała na wysypkę z gorąca. Duszny skwar, nasycony wilgocią atmosfery, był nie do wytrzymania. Wkrótce też i tusze (prysznic) nie sprawiała żadnej ulgi, gdyż temperatura wody

była niewiele niższą od temperatury powietrza, dochodziła bowiem czasami do 37° C. ¹⁾).

W miarę posuwania się okrętu ku południowi upał wzma- gał się bezustannie. Przepowiednia Achmed Rafaja ziściła się. Minąwszy bowiem zwrotnik Raka, obserwowaliśmy w cieniu 38 do 42° C., a na słońcu do 57°. W tym czasie gorąco w pomiesz- czeniu maszyny parowej dochodziło do 70° C., łatwo więc sobie wyobrazić, co wycierpieli biedni palacze, pomimo iż się w służ- bie zmieniali co półtorej godziny.

Co głównie upał ten czyni trudnym do zniesienia, to — jed- nostajność temperatury. Powietrze nie ochładza się wcale, dzień i noc są prawie jednakowo upalne. Każdego wieczoru ma się nadzieję, że noc przyniesie pewną ulgę przez spadek tempera- tury; niestety, nadzieja ta okazuje się płonną, gdyż termometr zniża się zaledwie o kilka stopni. Leży człowiek w swej kajucie cały potem obłany, a przewracając się z boku na bok, wycze- kuje snu. Niestety, nadaremnie! Zapada się tylko w jakiś pół- sen, podczas którego nie wie się nawet, czy się śpi, czy czuwa i z którego szybko się budzi. Wobec tego o spędzeniu całej nocy w kajucie niema mowy; wszyscy wychodzą na pokład, gdzie przynajmniej od czasu do czasu daje się odczuwać przyjemny chłodnawy prąd powietrza, wywołany poruszaniem się okrętu naprzód.

Do tych wszystkich dolegliwości dołącza się jeszcze ciągle pragnienie, którego niczem ugasić nie można. Nadaremnie wle- wamy w siebie całe masy chłodzących napojów, wodę sodową

¹⁾ Upał przy suchem powietrzu, np. w podróży lądowej przez Sa- harę nie jest tak nieznosny, gdyż suchość powietrza powoduje szybkie ulatnianie się potu, wskutek czego ciało się oziębia. Tymczasem nad mo- rzem Czerwonem powietrze przesiąknięte jest wilgocią, gdyż parowanie wody jest nadzwyczaj silne. Wilgoć powietrza utrudnia ulatnianie się potu, który ciągle oblewa ciało, a nie mając możliwości szybkiego ulotnie- nia się, ulgi nie przynosi. Olbrzymie parowanie na morzu Czerwonem jest przyczyną wielkiej słoności wody tego morza. Zawartość soli równa się 3,98‰, a w niektórych miejscach przekracza 4‰, gdy przeciętna za- wartość soli w wodzie morskiej wynosi 3,5‰. Wielka zawartość soli oraz wysoką ciepłota czyni wodę tego morza niezwykle przezroczystą (w cie- płej i słonej wodzie mety szybko opadają na dno); na głębokości kilku sążni można zobaczyć najmniejszy kamyczek, najdrobniejszy przedmiot, każdą nierówność dna. Ta właśnie wielka przezroczystość jest powodem owej przepysznej, lazururowej barwy, jaką się szczycą wody morza Czerwo- nego. Niektóre okolice tego morza przybierają istotnie barwę czerwona- wą, wskutek obfitości pewnego gatunku czerwonych wodorostów mor- skich, stąd, być może, pochodzi nazwa. (Przyp. red.).

z whisky, whisky z wodą i sokiem cytrynowym, nic to nie pomaga, pewną ulgę czuje się tylko podczas picia. Aż wreszcie człowiek skutkiem tego zwrotnikowego gorąca, ciągłego pocenia się i bezsenności zapada w dziwną apatię i obojętnieje na wszystko.

I to trwa podczas całej przeprawy przez morze Czerwone¹⁾.

Chociaż morze Czerwone nie jest bardzo szerokie, mimo to, płynąc przez nie, nie często się widzi brzegi lądu. Jeśli się coś na horyzoncie spostrzega, jest to zwykle naga, przez słońce wypalona skała, na której niema ani śladu roślinności. Wieczorem zato dają się spostrzegać liczne światła latarni morskich. Gdy się patrzy na te światełka, migające wśród cieniów nocy, odbiera się mimowoli dziwne wrażenie na myśl, że są ludzie, którzy istnieć mogą wśród tego iście piekielnego skwaru, sami, zdala od osad ludzkich, aby utrzymywać to światło dla bezpieczeństwa drugich. Morze Czerwone należy bowiem pod względem żeglugi do najniebezpieczniejszych mórz. Pełno w niem mielizn, raf koralowych i skał podwodnych, a nie rzadko spotyka się maszty, sterczące z wody, jako znak, iż jakiś statek znalazł grób w tych zdradzieckich falach.

Wieczorami widać na cudnem, gwiazdami zasianem niebie gwiazdozbiór, t. zw. „Krzyż Południowy“. Cztery większe, oddalone od siebie gwiazdy stanowią końce krzyża. Gdy się na gwiazdy te spogląda, to w pierwszych dniach trzeba przywołać na pomoc sporą dozę fantazji, aby ujrzeć w nich wizerunek krzyża, tem bardziej, że z początku konstelacja ta znajduje się na nieboskłonie w postawie napół leżącej. Wkrótce atoli zmienia swe położenie, stoi na niebie i wówczas to przedstawia prawdziwy krzyż... Jakaś niewidzialna ręka zdaje się go trzymać wśród cieniów nocy.

Z Aleksandrji do Kairu

E. Markow. (Wyp. geogr. Krubera).

Aleksandrja nie jest zbyt zajmującą dla turysty; to też już na trzeci dzień postanowiliśmy wyruszyć do Kairu. Nieprędko można się było wydostać z labiryntu wód, wśród których spoczywa afrykańska Wenecja. Jezioro Mareotis przez cały czas to-

¹⁾ Podróż przez morze Czerwone na wielkich parostatkach trwa dni 4—5, małe zaś parostatki brzegowe spędzają na wodach tego morza całe tygodnie.

warzyszy nam z prawej strony, kanał Machmudie — z lewej. Mareotis ogromne jest, jak morze, czasami nie widać wcale drugiego brzegu. Ta podróż po szynach żelaznych, na żelaznym koniu ognistym przez niezmierzone obszary wody stojącej sprawia dziwne, szczególne wrażenie i jest charakterystyczną dla dolnego Egiptu. Mnóstwo białych czapli tkwi nieruchomo wśród równie nieruchomej niebieskiej powłoki wodnej, gdzie niegdzie tylko ożywionej zieloną pożółkłą trzcina.

Ten nieco ponury obszar wód niski jest, płaski i bezludny.

Kraina starożytnych Egipcjan rozpościera się powoli dookoła nas ze swemi niezliczonymi kanałami, grobelkami, nawadniającymi wodociągami i wioskami. I tu na stałym gruncie płasko jest, nisko i jednostajnie, tak samo, jak i na stojących wodach Mareotisu. Ale ta jednostajność wielkie bogactwa ukrywa. Ta prozaiczna, płaska gleba brunatna — to prawdziwe złoto; to niewyczerpany muł Nilu, dający plon trzy razy do roku, a każde żniwo trzykroć obfitsze jest, niż u nas. I tu, gdzie stąpisz, napotkasz wszędzie wodę. Pola pokrajane popłataną siecią brózd, kanałów i rowów, a każda bródza i rowek wypełniony jest wodą, chociaż suchy pył unosi się gęstą chmurą w powietrzu. Wzdłuż kanałów usypane są groble wysokie, rozgałęziające się i przecinające jedna drugą. Groble te nie zalewają się w czasie przyboru Nilu i przedstawiają niekiedy jedyne drogi komunikacyjne.

Nad ziemią, gdzie spojrzysz, sterczą ogromne czarne koła na połowę w studniach ukryte. Czerpią one ze studni wodę w puste swoje wnętrza i wylewają ją potem, wzniosłszy się w górę, w podstawione rynny, które rozprowadzają płyn po brózdach i kanałach całego pola.

Para bawołów lub szarych wołów obraca skrzypiący, niezdarne sklecony kołowrót, drepcząc prawie na jednym miejscu. Gdyby zamiast tych patryarchalnych wodociągów z czasów Mojżesza urządzono coś lżejszego i dogodniejszego, bardziej odpowiadającego tegoczesnej technice, to niewątpliwie, jeden maleńki osiołek mógłby sam wyciągać tę drobną ilość wody, nad którą obecnie męczą się nazabój dwie porządne sztuki bydła. Wodociągi polne, niby nasze wiatraki, ukazują się często, po kilka na najmniejszej polaci gruntu i ciągle są w ruchu. Skrzypienie ich i łoskot, oraz plusk wylewającej się wody dolatuje nas nawet zdaleka, mimo stuku pociągu.

Pola tu są starannie uprawione i zasiane, niby ogrody, Jęczmień i pszenica złotą barwę zmieniły już na białą, choć to

jeszcze był dopiero kwiecień. Pierwsze żniwo — w całej pełni. Na tej miękkiej namulistej glebie nie kosi się, ani nie żnie zboża, ale „wybiera“ z ziemi wprost rękami, jak u nas len i konopie. Wybrany jęczmień układa się w płaskie kupy, nie wiążąc w snopy i wydeptuje się z ziarn na tem samem miejscu zapomocą wołów i wielbłądów. Jest to właśnie młócenie egipskie. Sieją tu jednak nie tylko zboże, ale sporo konieczyny i innych traw oraz dużo jarzyn. Wogóle nie jest to pole, ale raczej olbrzymi ogród, polewany i uprawiany bezpośrednią pracą rąk. Orzą tu bawołami ciężkim niezgrabnym pługiem, który na pewno był używany jeszcze za czasów Sezostrysa.



Młocka w Egipcie.

Na polach roi się od ludzi; mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy przy pracy. Tłum ten zajął mię swoją malowniczością. Prawie wszyscy w niebieskich chałatach; niebieski kolor — to barwa robotnika egipskiego, barwa biedaka fellaha. Nawet osielki jego są barwy niebieskawej. Szaro-niebieska sierść tutejszych osielków nie ma w sobie nic sztucznego: sama przyroda jakgdyby przystosowała ich kolor do barwy odzieży ludowej. Osielki te bardzo są miłe: czyściutkie, jakby je dopiero co wymyte, okrągłutkie i zgrabne, niby zabawki z kości wytoczone.

A ile jest ich tutaj! Nie do wiary! Jak much w lecie w naszej wiosce. Pocięsznie jest patrzyć, jak niemal na same ogony tych małutkich stworzeń wielkości cielaka siadają ogromni siwobrodzi starcy, z poważnem i surowem wejrzaniem, w swych płaszczach szerokich, omal nie dosięgając ziemi bosemi nogami.

Niekiedy całe kawalkady tych patryarchów wiejskich, spokojnie gawędzących ze sobą, przesuwają się obok nas drobnym klusem na tych zgrabnych konikach z długimi uszami; wydaje nam się, że lada chwila rumaki wysuną im się z pod nóg.

Cywilizacja europejska przenika potrochu i do tego biblijnego otoczenia, gdyż niejeden z bosonogich Egipcjan, siedzących na osiekach, nakrywa się od słońca parasolem, pochodzącym z jakiejś francuskiej lub angielskiej fabryki.

Kobiety fellahów chociaż mahometanki, nie zasłaniają na wsi swych twarzy. Moda ta praktykuje się tylko po miastach, gdzie jest więcej wolnego czasu na wszelkie głupstwa. Na wsi zaś jest tyle pracy, że nie może być mowy o zasłanianiu się. Gdy się młóci lub żnie, nie można myśleć o zasłonie.

Nakoniec przejechaliśmy zachodnią odnogę Nilu, odnogę Rozetta.

Mleczno-brunatna gęsta masa wód przecina niską równinę potężną wstęgą na całej, widocznej dla oka, przestrzeni i pędzi niepowstrzymanie w dół, ku bezdennym głębinom morza. Cała flotylla żaglowców przybiła do brzegu, oczekując rozsunięcia mostu. Po olbrzymim moście żelaznym przeprawia się nasz pociąg na drugą stronę odnogi rzecznej.

Most ten, zbudowany przez inżynierów angielskich nakładem 400.000 f. szt., rozsuwa się po środku, wykręcając się na swym środkowym filarze i daje przejście z obydwu stron największym statkom rzeczny.

Wjechaliśmy teraz na właściwą deltę Nilu, na ten trójkąt klasyczny, przypominający swoim kształtem grecką literę Δ (delta), a leżący pomiędzy odnogą Rozetta z zachodu a odnogą Damietta od strony wschodniej.

Delta sprawia niezmiernie przyjemne wrażenie swoim niewyczerpanem bogactwem, swoim zielonym przestworem. Wszędzie widzimy bukiety palm, łąki, pola, wioski, O ile jednak godna jest podziwu urodzajność pól egipskich i wspaniałość świata roślinnego, o tyle znów marne wioszczyny egipskie budzą prawdziwe politowanie. Spotykają się często, niby mrowiska, ale też ciasne są tak samo, jak siedliska mrówek. Nieprzywykłe oko przyjąć je może nie za siedziby ludzkie, a raczej za

nory kretów lub bobrów, skupione razem na jakimś obnażonym wzgórzu. Ciemno-szare lepianki z cegieł ziemnych ułożone, albo wprost ulepione z gliny, na połowę ukryte w ziemi, obłożone czerniawym nawozem i zeszlęmi łodygami chwastów, pozbawione podwórka i gospodarczych budynków oraz narzędzi rolniczych, ciemne, pełne brudu — wyglądają ponuro wśród wesołych pól. Dobrze jeszcze, gdy nad tą gromadą marnych lepianek wznosi się wysoko ku niebu grupa palm daktylowych, nadająca krajobrazowi nieco piękna i wyrazistości.

Po większej części jednak naokoło tych osad nie zobaczysz ani jednej trawki, niczego, prócz gliny i nawozu. Domki te z ziemi mają jednak ogólny wygląd domów południa: jest to sześciąt z płaskim dachem, prawie bez okien i drzwi, niekiedy urozmaicony małemi półkulistemi kopułami z gliny, którymi odznaczają się budynki afrykańskiego i azjatyckiego Wschodu.

Wioski nieszczęsnych fellahów tak nisko się wznoszą ponad ziemią, że dopiero, przejeżdżając obok, dostrzec je można. Robią takie wrażenie, jakby się obawiały pokazać na światło dzienne, i starały się ukryć, jak bojaźliwe owady w ciemnych szczelinach ziemi. Doprawdy, legowiska zwierząt niewiele ustępują swem urządzeniem tym glinianym szałasom i lepiankom.

A jednak mieszkają tam te niestrudzone dłonie, które przeprowadziły wszystkie owe kanały niezliczone, wykopały wszystkie te studnie, zorały i zasiały wszystkie te pola; mieszkają tam ludzie, którzy nawodnili i użyźnili Egipt, karmiciele tych wszystkich baszów i beków, których złożone pałace wypełniają ulice Aleksandrji i Kairu.

Jeżeli wszędzie przykro jest patrzeć na oburzącą różnicę w życiu klas zamożnych i klas roboczych, to w Egipcie różnica ta jest wprost nie do zniesienia. Nigdzie nie spotkamy takiego bezgranicznego zbytku, takiego bezmyślnego próżniactwa, jakie się daje widzieć wśród bogaczy Egiptu, którzy zagarnęli w swoje ręce władzę i ziemię, i nigdzie znów niema takiego bydlęcego poniżenia nieszczęśliwych pracowników, takiej całkowitej przemiany ich w juczne zwierzęta. Z jednej strony pałace marmurowe kedywa, z ich zwierciadlanemi ścianami i mozaikową podłogą, z drugiej strony brudna nora fellaha bez pieca i okien — oto zmienny emblemat dobrobytu społecznego i sprawiedliwości społecznej w tym kraju goryczy, który od niepamiętnych czasów stał się krainą „egipskiej pracy“, „niewoli egipskiej“ i „egipskich kaźni“.

Zagospodarowana ciepła izba naszego wieśniaka — to pa-

łać w porównaniu z kopcem nawozu Egipcjanina, dokąd trzeba wchodzić prawie na czworakach, aby się ukryć od deszczu i słońca.

Upał staje się coraz nieznosienszy. Gryzący pył tak zatrutwa powietrze, że trudno oddychać. W kanałach polnych wciąż ukazują się golone głowy i ciemno-brązowe nagie ciała kąpiących się. W takich właśnie chwilach i w takiej miejscowości ocenić dopiero można ogromne znaczenie wody i cienia drzew. Gdzie tylko koło drogi grupa palm lub fig zielenieje, tam się też znajdzie i fontanna, i bydło i ludzie, odpoczywający i pijący z chciwością. Osły i bawoły śpieszą do tego zbawczego cienia z taką samą radością, jak i człowiek.

A tymczasem praca na polach nie przerywa się, pomimo upału, pomimo pyłu — ta okrutna „praca egipska“, wybierająca zboże po cienkim kłosku małą ręką człowieka z całego niezmiernego pola.

Im bliżej Kairu, tem bardziej się posunął sprzęt zboża. Tu już połowa pól ogołociła się od zbóż, złote snopy zwożą z pola na garbach wielbłądów i młocka jest w całej pełni. Młocka cudaczna z którejby się naśmiali nasi wieśniacy. Zaprzęgają woły do sań drewnianych z ciężką poręczą, na saniach rozwała się Arab i jeździ sobie tam i z powrotem po rozłożonych snopach.

Wyprawa na Piramidy

Henryk Bartsch.

(Wspomnienia z podróży do Kairu i Jerozolimy).

Już dniało, kiedy Said (murzyn hotelowy) obudził mnie mocnem pukaniem do drzwi. Na dole w podwórzu mulnik Hassan z żywością syna południa, który nie może powstrzymać się od głośnego szwargotania, choćby przy najmniejszej wagi zajęciu, przyjmował od gospodarza hotelu zapasy żywności oraz butelkę wina czerwonego i przyczepiał to wszystko, jak mógł, sznurkami do siodła. O świecy stearynowej, mającej służyć do rozjaśnienia wnętrza piramidy, małom nie zapomniał zupełnie, jak również o rannej kawie, stojącej już od kwadransa na stoliku obok papugi, usiłującej nas wszystkich przekrzyczeć; gdy już wszystko było w porządku, puściliśmy się kłusem w kierunku południowo-zachodnim. Kair spał jeszcze. Tętent kopyt mego bieguna oraz odbicie bosych nóg śpieszącego po gładkiej, jak klepisko, ziemi przewodnika, jego nawoływania i klaskanie z bicza,

głuchem echem rozlegały się po ciasnych, krętych, często u góry płótnami i matami zasłoniętych ulicach.

Gdzie niegdzie z domów wychylały się białe postaci Arabów dla popatrzenia na rannych podróżnych; każdy witał i pozdrowiał nas swoim: „salam“ (pokój tobie), na co ja gestem, Hassan zaś swym młodzieńczo-dźwięcznym głosem, napół krzycząc, odpowiadać nie zaniebaliśmy. Gdyśmy wyjechali poza bramę, droga poprowadziła nas wśród rozkosznej roślinności dobrze utrzymanych ogrodów, aleją wysadzoną palmami, akacjami i kaktusami do brzegu Nilu. Wielki wał oddziela go od przedmieść i broni od wylewu. W przystani przewozowej wiele stało czółen wielkich i małych. Bezustanku przybywający z tamtej strony rzeki fellahowie i ich żony mieli z sobą kosze z jarzynami, owocami, drobiem, rybami i trzymali na sznurkach owce i kozy; widać śpieszyli na rynek targowy. Przeprawa nasza odbyła się w niewielkiej łodzi. Nil w tem miejscu o tej porze roku (w lipcu) nie był szerszym od $\frac{3}{4}$ części Wisły pod Warszawą; prąd umiarkowany, woda mętna, szarawa; głębokość musi być dość znaczna, kiedy przewoźnicy, odbiwszy od brzegu na kilka sążni, już drągiem dna nie dostawali, lecz musieli się wziąć do wiosłowania. Widząc na lewym brzegu kąpiących się, rzuciłem się do wody; jednak niewiele doznałem odświeżenia i przyjemności, gdyż woda była zbyt ciepła, a z powodu błotnistego brzegu nieprzyjemne było wchodzenie i wychodzenie.

W lasku palmowym, który teraz przebywać nam wypadało, przyjrzeć się mogłem zbliższy do tych pięknych palm daktylowych, stanowiącym znaczną część bogactwa krajowców, z powodu obfitych owoców, co rok zbieranych.

Milem dla oka jest ptactwo rojące się na drzewach; dzikich gołębi pełno; spostrzegłem też na jednym drzewie parę synogarlic; uwagę moją zwrócił energicznie gruchający samiec swem wołaniem cukru! cukru! bez końca.

Poza laskiem pokazały się piramidy i wydawały mi się mniejszemi w porównaniu z rozmiarami, widzianemi z pociągu. Przystanąłem, by chwilę im się przypatrzeć zdaleka. Wyszły tylko górne części dwóch większych; jedna z zupełnie zaostrzonym szpicem, druga większa jakby trochę ścięta nadkruszona. Wydawały się zupełnie gładkimi, tak jakby scho-dów wcale na nich nie było, a jednak wszystkie ich boki stanowią same stopnie, utworzone z wielkich kamiennych bloków. Dolne ich części jeszcze zasłonięte były przed moim wzrokiem

polem wysokiej kukurydzy i lekkimi wzgórzami. Bitego gościńca lub nawet drogi tu ani śladu; jest tylko ścieżka, mniej lub więcej szeroko wydeptana, z wybojami, nierówna, z licznymi zagłębieniami od licznych kanałów i bródz. Grunt barwy popielatej, spiekły, popękany, tak że w ziemne szpary wygodnie można nogę wsadzić, z powodu czego osielek często się potykał, a nawet raz zupełnie upadł, powaliwszy i mnie także na ziemię.

Po lewej stronie, w oddaleniu, na żółtym piasku zaczynająca się tu pustyni, rozsypane są domki w El-Kom, El-Aswed, przed nami morze piasku, w którym Hassan grzęźnie po kostki. Wszelka wegetacja ustaje; ani śladu jakiej łądygi, trawki; rozpaczliwa okolica! W tem miejscu dopiero, choć byłem jeszcze dobrą wiorstę od piramid, powziąłem wyobrażenie o ich wielkości i olbrzymich formach; wszelkie moje oczekiwania zostały znacznie przewyższone. Była już godzina 7-a. Jazda po piaszczystej równinie szła wolno i stępa; osielek mój pocił się i sapał; z powodu słońca, zaczynającego dopiekać, musiałem rozpiąć parasol. Wtem, od owej wsi arabskiej zdąża ku nam zastęp, złożony może z dwunastu fellahów. Szaty ich były zupełnie białe, jak świeżo umyte perkalowe koszule; w rękę każdy z nich miał długą pałkę. Na zapytanie, co by to znaczyć mogło, Hassan objaśnił mnie, że to są przewodnicy, których obowiązkiem jest towarzyszyć i pomagać podróżnym przy zwiedzaniu piramid. Bez asystencji przynajmniej jednego z nich wchodzić tam i wdrapywać się nie wolno, lecz na ich natręctwo niema lekarstwa; „nie można nastarczyć im bakeczyszów (datków), mówił Hassan, i wszyscy, jak ich tu pan widzisz, chcieliby panu towarzyszyć. Jest pomiędzy nimi szeik, t. j. starszy: z nim trzeba ułożyć się o cenę, a resztę natrętów poprostu odpędzić“.

Jeszcze Hassan nie skończył swych opowiadań, kiedy biali fellahowie podeszli blisko, wywijając pałkami, gestykulując żywo i w najdziwniejszych wykrzyknikach ofiarowując mi swe usługi oraz wyliczając swe zalety. Każdy z nich silił się mówić to po włosku, to po angielsku, to po francusku, przyczem popychał jeden drugiego, jak dzieci.

Ah! Inglese, Lord, Sir, i know all well. I... Signore! per me quattro fiorini... e buono... Monsieur, je parle bien français... Otoczyli mnie wkoło, tworząc hałaśliwą eskortę aż do stóp piramidy Cheopsa. Gdyśmy przechodzili obok sfinksa, stojącego tuż przy piramidach, na szczycie głowy tegoż dostrzegliśmy siedzącego małego ja-

strzębia. Natychmiast jeden z Arabów podbiegł i ostrym kamieniem rzucił z całej siły. Jastrząb spokojnie odleciał, lecz



Wdrapywanie się na piramidę.

kamień, który trafił w samo czoło sfinksa, mocno je uszkodził, tak że, po odlupaniu się małej części, pozostała jakby biała blizna. Gdym Araba lajał za jego wandalizm, rozesmiał się glu-

powato, machnął ręką i rzekł: „fa niente“¹⁾. Troskliwość moja o całość dzieła sztuki jednak była trochę zbyt duża, gdyż małe obrażenie tej ogromnej masy kamiennej jest drobnostką w porównaniu z dokonaniem już przez ząb czasu i ludzką rękę zniszczeniem.

Chcąc mieć pojęcie o wielkości tego pomnika historycznego, dość powiedzieć, że sama twarz sfinksa długa jest na 28 stóp (8½ metra). Wyraźnie jeszcze znać brunatno-czerwonawy kolor, którym był pociągnięty. Brak jednak nosa i całe części powyrywane. Kamienne okrycie głowy, zwieszające się po obu stronach aż na ramiona, również jest mocno powyszczerbiane i poorane. Szyja także jest powyżłabiana, dalej zaś ku ziemi już kompletna ruina, w której ani związku, ani myśli dopatrzyć się niepodobna; wszystko wokoło zasypane jest piaskiem i kupami gruzu bez formy i ładu. Sfinks miał być obrazem bogasłońca. Cała jego długość, t. j. lwa, stanowiącego dolną część, razem z wyciągniętymi łapami wynosiła dawniej 172½ stopy. Arabowie zwali sfinksa „Saba el Lejl“, co znaczy lew nocy.

Tu wobec sfinksa zrobiłem nie bez małego sporu układ z szeikiem, wybrałem dwóch Arabów na przewodników, i po piaszczystych pagórkach dobraliśmy się do największej piramidy (Cheopsa). Objechawszy ją w części dokoła, od strony północnej, jako najdogodniejszej, zaczęliśmy się na nią wdrapywać. Stopnie zaczynają się zaraz od samej ziemi; otaczają one wszystkie boki piramidy na całej ich powierzchni aż do szczytu. Stopnie te powstały z ułożenia bloków prostokątnych, tak że zawsze jeden pokład wystaje, potem drugi wsunięty o niecały łokieć, następny, znowu na poprzednim opierając się, dalej wsunięty i tak idzie wciąż w górę. W dawnych czasach stopnie te wcale nie były widzialne, bo piramida miała swoją okrywą z gładzonych brył kamiennych. Obok niej stojąca mniejsza piramida (Chafra) ma wierzchołek zupełnie ostry i wierzchnią część na kilka sążni wdół obłożoną białą, w niektórych miejscach żółtawą pokrywą, wydającą się zdaleka, jakby była z alabastru, co bardzo pięknie wygląda. Chcąc tam się dostać, trzeba zakładać liny, co z wielkimi połączone jest trudnościami i kosztami, a do niczego nowego nie prowadzi.

Zwykle podróżni poprzestają na wejściu na piramidę Cheopsa, która, chociaż ścięta u góry, wszystkie inne znacznie przewyższa. Wszystkie piramidy (większych jest tu trzy) stoją zwró-

¹⁾ nie nie szkodzi.

cone do siebie ostreimi końcami. Przestrzeń kilkudziesięciu sążni oddziela jedną od drugiej.

Materiał do ich budowy (kamień wapienny numulitowy) wzięty był w części z łomów okolicznych, w części zaś sprowadzony został z tamtej strony Nilu na tratwach. Bloki tworzące stopnie nie są wcale spojne; ciężar ich jest tak wielki, że trzymają się same przez się, w raz ułożonym porządku. Długość ich jest rozmaita od 3 do 4 łokci. Lecz wejdźmy na piramidę Cheopsa. Pomimo że jestem dość wysokiego wzrostu, jednak dobrze musiałem wyciągnąć nogę dla osiągnięcia zaraz pierwszego stopnia. Arabowie przychodzą w pomoc. Ze zwinnością małpy wskoczywszy o jeden stopień wyżej, chwytają bez ceremonji za ręce i windują w górę. Tak to idzie aż do samego szczytu. Kto chce, może wziąć jeszcze jednego Araba, który dopomaga, popychając ztyłu. Przy tej manipulacji wciągania, w połowie drogi zakomenderowałem do spoczynku i wytchnąwszy cokolwiek, w niespełna 8 minut potem byłem u szczytu, możnaby powiedzieć na platformie, gdyby panujący tu nieład w rozrzuceniu bloków na użycie tego wyrażenia pozwolił. Z uwagą i ostrożnością stąpać trzeba, chcąc uniknąć upadku i stłuczenia się. Całe godziny możnaby spędzić na czytaniu nazwisk, dat i napisów w najrozmaitszych językach i z najrozmaitszych czasów. Niektóre są dłutem powykuwane w literach ćwierćłokciowych. Pomiędzy niemi znalazłem wiele nazwisk polskich.

Usiadłszy na sterczącym ponad innemi bloku, zwracałem we wszystkich kierunkach badawcze oko, często uzbrajając je lornetą. Kair spoczywał jakby w gniazdku, wśród ogrodów i palm, tuż pod nogami; za nim i z prawej strony sterczą żółte ściany gór Mokkatamu. Nilu wcale nie widać, tak zrecznie skrył się wśród zieloności, którą sam wywołał. Życiodajna rzeka tylko podczas wylewu dostrzec się stąd daje.

Ku południowi zielone pola, laski palmowe, inne piramidy (Sakkara, Daszur), osady arabskie, porozrzucane jak mrowiska, równina i wieś Mitraheuny, gdzie niegdyś stało słynne Memfis o 150 bramach; ku zachodowi pustynia w całym znaczeniu tego wyrazu, zlewająca się u horyzontu z błękitnem przestworzem zawsze pogodnego i bez śladu chmurki nieba, — słowem, widok wspaniały! Prawie całą godzinę tu przepędziłem. Sama piramida bez fundamentów, które zresztą mało co nad ziemię wystają, ma około 130 metrów, linja podstawowa 227¹/₂ m., w jej wnętrzu wygodnieby się pomieścił rzymski kościół Ś-go Piotra razem z krzyżem, a wieża Strasburska (150 metrów), gdyby ją

postawiono na jednej linii z fundamentem piramidy, małocoby wystawała. Rzucałem ze szczytu kamienie i kazałem rzucać Arabom, celem przekonania się, czy rzeczywiście nie można dorzucić do ziemi; pociski nasze jednak, choć całej użyliśmy siły, spadały na środkowe stopnie, daleko od dołu. O tem, że ludzie w okolicy, z tej wysokości widziani, wydają się jak mrówki, zaledwie wspomnieć potrzeba.

Przy schodzeniu na dół przewodnicy znów są pomocni, przedstawiają swe ramiona i łokcie dla wygodnego oparcia. Wypadki poślizgnięcia się lub upadku są bardzo rzadkie i mogą wydarzyć się jedynie przy wielkiem roztargnieniu lub zbytnej skłonności do zawrotu głowy. Nawet odważne damy podrózne, przy pomocy Arabów, często już wchodziły na sam szczyt. Schodzenie zajęło mi również około 12 minut czasu.

Stanąwszy znów na ziemi, nie powiem, abym się czuł bardziej zmęczonym; ranna przejażdżka, kąpiel i spinanie się na piramidę wzbudziły apetyt, który gwałtem począł się domagać praw swoich. Arabowie okazali się wielce usłużnymi przy odwiązywaniu paczek, przyczepionych do siodła, a zawierających w sobie kilka kurcząt pieczonych, salami, ser, bułki i wino czerwone. Pokrzepieni na siłach, weszliśmy do wnętrza piramidy, przez otwór, znajdujący się przy samej ziemi, w połowie północnego jej boku. Z zapaloną świecą, poprzedzany przez Arabów, którzy mieli łuczywa, wstąpiłem do ciemnego lochu. Trzeba było spuszczać się na dół po równi pochyłej po gładkich, ale nierówno ułożonych płytach. Coraz zaczyna się robić ciasniej, wkońcu nawet trzeba przykucnąć i na czworakach sunąć się naprzód. Tak dowiekliśmy się mozolnie do obszernej jaskini, skąd jedna droga prowadzi jeszcze dalej na dół do zagłębienia, w którym ryto się za skarbami; my zaś, omijając rozrzucone wielkie bloki i bryły kamienne, kierowaliśmy się coraz więcej nawewnątrz, lecz już w górę. Wąskim otworem nakoniec dostaliśmy się do tak zwanej „komnaty królewskiej“, długiej na 10 metrów, szerokiej — 5, a wysokiej na 6 metrów, gdzie przy ścianie z prawej strony stoi granitowy, pusty w środku, bez pokrywy, grobowiec króla Cheopsa, zmarłego na 2.000 lat przed narodzeniem Chrystusa.

Wydostawszy się z dusznego lochu piramidy na świeże powietrze, poszedłem z rzędu do drugiej i trzeciej większej piramidy, lecz te już mniej są ciekawe. Trzy zaś inne mniejsze piramidki, znajdujące się w bliskości w południowej stronie, są tylko rdzeniem, a raczej zaczątkami piramid.

Śpiączka chorobowa

Dr. Henri Bouquet.

Plagą Afryki środkowej jest t. zw. mucha tse-tse. Nazwa ta, nadana jej przez krajowców, przypomina szczególnie brzęk, jaki wydaje ten owad przy lataniu. Nazwa naukowa, łacińska „*glossina*“ obejmuje kilka gatunków. Gatunek tej muchy *glossina morsitans* sprowadza zabójczą zarazę na zwierzęta domowe i uniemożliwia ich hodowlę. Gatunek *glossina palpalis* szerzy wśród ludzi, straszliwy zarazek śpiączki chorobowej.

Mucha tse-tse jest nieco większa od naszej muchy pospolitej, nieco mniejsza od bąka. Posiada straszliwe uzbrojenie, złożone z całego aparatu sztylecików ostrych, poruszających się swobodnie w pochwie; całość przedstawia trąbkę, czyli smoczek, który zwierzę niesie poziomo przed sobą. Owad ten zamieszkuje tylko tereny ciepłe i wilgotne, trzymając się z upodobaniem jedynie w okolicach zalesionych, w sąsiedztwie wód biejących. Karmi się krwią ofiar, które sobie wybiera, ludzi lub zwierząt, jak się zdarzy. I właśnie w czasie tych uczt następuje przeszczepienie istotom zdrowym pańszczytniczej istoty, która jest właściwą przyczyną choroby, maleńkiego organizmu zwierzęcego trypanosoma.

Trypanosoma jest to pasorzyt mikroskopijny długości powyżej 20-tysięcznych milimetra. Wydłużone jego ciało przedstawia jedną tylko komórkę, zakończoną długim biczkiem czyli wicią. Całość podobna jest do świderka. Ten to właśnie pasorzyt powoduje objawy śpiączki chorobowej. Gdzież go znajduje mucha tse-tse? Przedewszystkiem u człowieka, który już zachorował, następnie u niektórych zwierząt: antylop, małp i in. Jedne z tych zwierząt, które przyjęły do siebie tych niebezpiecznych gości, nie cierpią od nich wcale, inne, jak właśnie ludzie, narażone są na straszne cierpienia.

Mucha tse-tse, ssąc krew z tych roznosicieli zarazków, przeżyje od nich trypanosomy. Te, dostawszy się do kiszek muchy, mnożą się tam; i gdy mucha tse-tse w czasie swych wędrówek ukąsi osobnika jeszcze niezarażonego, zaszczepia mu od razu młode pasorzyty, które nie omieszkają dać znać o swej obecności. I oto jeden więcej człowiek dotknięty śpiączką chorobową.

Choroba ta w rzeczywistości zasługuje na nazwę śpiączki tylko w ostatnim swym okresie. Pierwszy okres charakteryzuje się głównie stanem gorączkowym, dopiero w drugim okre-

się występuje tak uderzający stan letargiczny. Trzeba było długich drobiazgowych poszukiwań i doświadczeń, by stwierdzić fakt, że te dwa okresy ściśle są ze sobą związane i stanowią dwie fazy, następujące po sobie, jednej i tej samej choroby. Pierwszy okres odpowiada obecności pasorzyta we krwi chorego, drugi — opanowanie przez zarazki jego układu nerwowego.

Po ukąszeniu przez muchę tse-tse i zaszczepieniu przez nią zarazków przechodzi pewien czas, zanim nastąpią objawy chorobowe: u białych jakieś dziesięć dni, u murzynów miesiąc lub dwa miesiące. Pierwsze objawy nie są zbyt wyraźne. Człowiek czuje się zmęczony, osłabiony, wpada w stan gorączki, która występuje głównie wieczorem i którą łatwo byłoby zmieszać z gorączką malaryczną, gdyby nie to, że chory nie uczuwa dreszczów i pocenia się oraz że chinina nie skutkuje. Gorączka ro-



Mucha tse-tse.

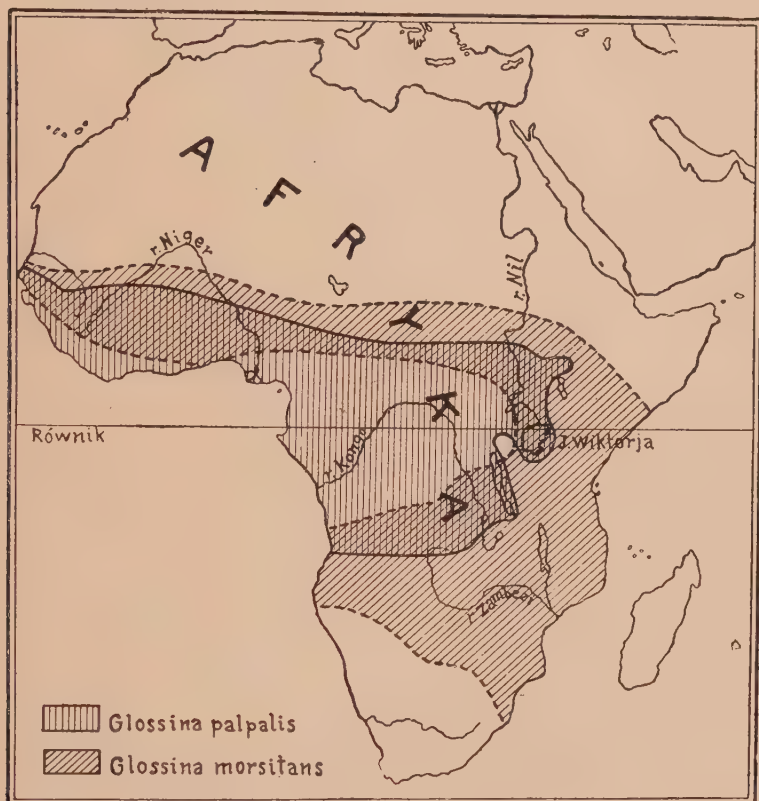
śnie w ciągu kilku dni i dochodzi prawie do 40° , później zmniejsza się, ale tylko na czas pewien. Jednocześnie puls jest szybki, oddech przyspieszony. Tu i owdzie, głównie jednak na szyi i pod obojczykami zjawiają się gruzelki średniej wielkości. Twarz jest wzdęta od bąbli, skóra pokrywa się wyrzutami wyglądu rozmaitego: fioletowoczerwonymi u białych, w postaci bladych plam — u mur-

zynów. Mięśnie są tak wrażliwe, że przy słabem naciśnięciu chory krzyczy z bólu. I w ciągu miesięcy, niekiedy całych lat rzeczy pozostają w tym stanie. Zdarzają się okresy, kiedy wszystkie te objawy nikną i przypuszcza się zupełne wyleczenie, w krótkim jednak czasie napady choroby wracają i wszystko rozpoczyna się na nowo aż do najbliższego okresu odpoczynku lub też aż do dnia pogorszenia, oznaczającego drugi i ostatni okres choroby.

W okresie tym gorączka nie przestaje stanowić głównego tła obrazu, ale dołączają się i inne przypadłości. Zaraza podkopyuje coraz bardziej nieszczęsny organizm. Z dnia na dzień chory coraz bardziej chudnie, pojawiają się bóle głowy, coraz większe osłabienie, drżenie członków, sparaliżowanie ruchów, nabrzmienia, zniekształcające ręce i nogi. Nakoniec zjawia się

senność, która powiększa się stale aż do ostatniego dnia skazanego.

Teraz oto właśnie nastaje prawdziwa śpiączka chorobowa. Ten człowiek bezsilny zasypia na każdym miejscu, zamykając oczy, opuszczając głowę na piersi. Z początku może jeszcze stawiać jakiś opór senności, gdy pracuje lub czemś się zajmuje;



Mapka rozpowszechnienia much tse-tse.

później nie może już snu przewyciężyć. Nawet głód nie wyrwa go z tego stanu odrętwienia; trzeba go karmić, jak dziecko. Napady senności stają się coraz częstsze i dłuższe aż do czasu, gdy chory wpadnie w stan pewnego rodzaju letargu, który zmienia się ostatecznie w sen twardy i ciągły; i w tym stanie chory umiera zwykle po kilku miesiącach takiego żałostnego istnienia.

Być może, śpiączka chorobowa zdarza się i w niektórych miejscowościach Brazylii; w każdym razie obserwowano ją u murzynów, którzy już dotknięci byli chorobą, gdy wylądowali w Ameryce. Prawdziwą jednak a może jedyną ojczyzną zarazy jest Afryka. Panuje ta zaraza we wszystkich okolicach, gdzie żyje mucha tse-tse. Przybliżone granice rozpowszechnienia tej muchy, a mianowicie gatunku jej: *glossina palpalis* są: na północy — wielki łuk rzeki Nigru, na wschodzie — jeziora Victoria i Tanganika, na południu — rzeka Zambezi, na zachodzie — ocean, na którego brzegach owad szczególnie pomyślnie się rozwija.

W jaki sposób człowiek bronić się może przeciwko tej strasznej zarazie? Musi stawiać wedle możliwości przeszkody do jej rozszerzania, a z drugiej strony roztoczyć w miarę sił opiekę nad dotkniętymi tą chorobą. Najważniejsze są środki zapobiegawcze, jest to w istocie najskuteczniejszy sposób walki. Tu należą najpierw ostrożności osobiste, które wskazują, aby podróżować po okolicach zalesionych tylko nocą, gdyż mucha tse-tse kąsa tylko w dzień, aby wycinać las w sąsiedztwie osiedli ludzkich, nosić zasłonę przy kasku (okryciu głowy) i rękawiczki na rękach. Następują dalej środki zapobiegawcze społeczne, a więc internowanie (zatrzymywanie) w punktach izolacyjnych osobników dotkniętych chorobą, aby im przeszkodzić wysiedlić się do miejscowości jeszcze nie zarażonych. O wyniszczeniu samych much tse-tse marzyć niepodobna. Wiemy dobrze, jak trudną jest rzeczą u nas, uwolnienie się w zupełności od zwykłych naszych much, gromadzących się w sąsiedztwie mieszkań i w ich wnętrzu. Cóż dopiero mówić o krajach pierwotnych, o szerokich horyzontach, gdzie mucha tse-tse żyje w warunkach naturalnych, na obszarach pokrytych najbujniejszą roślinnością.

Co się tyczy pomocy lekarskiej dla chorych, skutecznym się okazał środek medyczny atoxyl, który sam lub w połączeniu z emetykiem i auripigmentem przynosi znaczną ulgę, a często i wyleczenie. Zależy to jednak po większej części od tego, w jakim okresie choroby lekarstwa te są stosowane. Gdy pasorzyty zaczynają opanowywać układ nerwowy, leczenie pomyślne jest bardzo rzadkie. Lekarstwa wtedy nie skutkują: organizm jest dotknięty w swych ośrodkach życiowych, pasorzyt kryje się w miejscach, dokąd lekarstwo nie dochodzi, i śpiączka chorobowa pochłania jedną więcej ofiarę.

Przez stepy Afryki środkowej

*Dr. Ant. Jakubski („W krainach słońca” —
Kartki z podróży r. 1910).*

Kilkudniowy odpoczynek w Nowej Iryndze¹⁾, podczas którego dwie tylko wycieczki wzdłuż rzeki Ruahy mogłem zrobić, przywraca mi dostatecznie siły, by móc puścić się w dalszą drogę. Celem moim było dotarcie do brzegów jeziora Nyassa.

Narazie werbuję po kilku tragarzy z różnych plemion murzyńskich. Każdy tragarz musi się zgodzić zgóry na okres co najmniej dwumiesięczny, a że murzyn nie lubi zostawać długo w zależności u jednego Europejczyka i wynajduje różne trudności, trzeba się więc długo targować i przekonywać. Murzyn lubi dopytywać się szczegółowo o cel podróży, o drogę, o żywność, a płaca jest, oczywiście, głównym przedmiotem narad. Takie „szauri” — narady — mają dla niego niesłychany urok. Nie raz o drobnostkę trzeba się długie kwadransy naradzać, bo murzyn chce wiedzieć o wszystkim. A Europejczykowi brakuje wreszcie cierpliwości, chciałby czarną bandę do djabła odesłać; lecz trzeba się z konieczności zwyczajowi poddać. Bez „szauri” nie można ściągnąć ludzi do karawany; musisz schować zniechęcenie i znużenie gdzieś głęboko i z uśmiechniętą twarzą słuchać naiwnych uwag, odpowiadać na pytania; ostatecznie, chcąc położyć kres wylewowi słów, dajesz zaliczkę tym, którzy zgodzili się towarzyszyć. Niema obawy posądzać ich o zbiegostwo, takie wypadki dzieją się tylko w tym razie, gdy murzyna siłą się niewoli do wzięcia udziału w karawanie. Z chwilą pobrania zaliczki uważają się za niewolników swego „bana” i nieraz w czasie ostrych starć z krajowcami mężnie stają po jego stronie.

Nadchodzi chwila wymarszu. Przy wydzielaniu pak powstaje hałas przeraźliwy; dwu chce nieść łóżko polowe, inny narzeka na swój ciężar, a każdy szuka najmniejszej i najlżejszej skrzynki, ów w ostatniej chwili przypomina sobie, że jeszcze tabaki na podróż nie kupił, wszyscy zaś wrzeszczą, śmieją się, krzyczą, jakgdyby uważali hałas za rzecz nieodzowną przy wymarszu. Wszystkie ciężary zostały wreszcie szczęśliwie rozdzielone. Ostatecznie każdy tragarz obwiązuje sznurem kokosowym swą pakę, przyczepia do niej swój rondel, czy miednicę, worek ryżu i tykwę na wodę, wogóle całe swoje mienie, skręca z płach-

¹⁾ W kolonji niemieckiej wschodnio-afrykańskiej. Kolonja ta po wojnie stała się posiadłością Anglii.

ty wysoki turban, na głowę i na hasło, dane z rogu antylopy szablrogiej — ruszamy.

Przodem kroczy z powagą przewodnik karawany „mniapara“, ztyłu jego zastępca i pomocnik. „Mniapara“ nie dźwiga żadnego ciężaru, bo uważałby to za ujmę dla siebie i dla swego urzędu. Zato pomocny jest w inny sposób. Znając drogę, wie, gdzie najlepiej zanoćować, troszczy się o żywność dla swych ludzi, krzykiem nakłania do pośpiechu pozostających wtyle, a w razie potrzeby pomaga słabym dźwigać; przytem jest urzędowym pośrednikiem między panem a całą karawaną.

Pograżamy się w step. Pojęcie stepu w Afryce jest nader szerokie: prawdziwy step t. j. obszar bez drzew i krzewów nie zajmuje w tych stronach większych przestrzeni; zazwyczaj panują tu trawiska z rzadko rozrzuconemi drzewami, nie należy jednak sądzić, by trawy stepowe tworzyły jak na naszych łąkach jednolicie zwarty, gęsty kobierzec; trawa rośnie tu kępami. Na jałowem podłożu rozwijają się tylko niepozorne kępki, niekiedy w metrowych odstępach od siebie, zostawiając resztę kamiennego gruntu nietkniętą. Pojedynczo rozrzucona akacja parasolowa urozmaica krajobraz. Step przechodzi bez wyraźnych granic w tak zwany „busz“. W czystej swej formie busz taki nie zawiera wcale drzew, jest to gąszcz kolczastych krzaków, prawie nieprzerwanie ciągnący się wdał, gdzie niegdzie tylko odsłaniając nagi kamień lub niewielkie pólka stepowe. W mieszanej formie buszu występują już baobaby, akacje parasolowe i euforbie.

Przedewszystkiem piekącą na stepie jest kwestja wody, oczywiście, mamy tu na myśli podróż w porze suchej. W porze tej nieopatrzne zapuszczenie się w odległy step bez odpowiednich zapasów wody może doprowadzić do zguby całej karawany. Na stepie chyba wyjątkowo spotyka się wodę w jakimś zagłębieniu, a we wsiach pilnują jej murzyni, bo ich życie z jej obecnością naprawdę jest związane. Za wodę — i to tylko w skąpych ilościach udzielaną — trzeba płacić naczelnikowi wioski, sułtanowi, a rano przypilnować nieogłędnych tragarzy, by każdy do swej tytkwyabrał cennego napoju i w drodze znużony nie upadał z przagnienia.

Niekiedy po siedmiogodzinnym marszu napotyka się tylko wysychające bagno z resztkami wody. W całej podróży aż do stepu Usangu nie przypuszczałem, by mógł człowiek o pewnych wymogach higienicznych, jakim jest Europejczyk, pić herbatę,

zgotowaną na obrzydłej, gęstej zupie, jaką przedstawiają te kałuże. Wprawdzie na każdym postoju, każę co prędzej przegotować wodę, ale kucharz niecnota, wychodząc zapewne z założenia, że na spragnione gardło każda woda dobra, niezbyt ochotnie garnie się do rad i poleceń, jakich pouczony już poprzednio przejściem dyzenterji, bynajmniej mu nie szczędzę. Również i czyszczenie wody ałunem nie odbywa się tak, jakby należało, bo kucharzowi nie w głowie czekać przepisany kwadrans po wrzuceniu łyżki ałunu do wiadra wody i odpowiedniem zamieszaniu na sklarowanie się płynu i opadnięcie zanieczyszczeń na dno. Przeważnie więc zadowalam się drobnemi porcjami wody, którą otrzymuję z niewielkiego, podróznego filtra węglowego. Mimo wszystko nieraz wobec kilkugodzinnych opóźnień się tragarzy, jak to bywa, właśnie z najpotrzebniejszymi skrzynkami muszę gniewnie łykać naprędce zgotowaną herbatę, podobną do żuru, albo rosół à la zupa grochowa.

Rzecz to dla nas, nienawykłych do upałów prawdziwego lata zwrotnikowego, wprost niezrozumiała, jak natura instynktownie domaga się ciepłego płynu, po którym błogie poty chłodzą ciało, znękanę prażeniem, zda się, bez końca, w suchem rozżarzonem powietrzu. Żołądek nie znosi wprost płynów chłodzonych i przykreimi przypadłościami odpowiada nawet na picie chłodnego piwa, które tylko ostrożnie, jak lekarstwo, można zażywać.

W takich warunkach, w ustawicznym marszu, trudzie i znoju schodzi dzień za dniem. Rozciąga się teraz przed nami bezkresny, otwarty step trawiasty. Tylko miejscami, gdzie widocznie porą deszczową toczą się czasowe strumienie, ciągną się wąskie, długie parcele lasu „galerjowego“, jakby ręką ludzką sadzone, dzielące step na równoległe do siebie, regularne płyty. Lecz step teraz nagi, gdzie nigdzie tylko porosły kępami zeschłych traw. Drobne, białe chmurki nie osłabiają żaru słońca; napróżno ucho łowi chciwie odległe, przeciągłe grzmoty — niestety, są one zapowiedzią nie deszczu, ale długotrwałej suszy. Prócz wielkich stad antylop i innej zwierzyny, mogącej przebiegać dalekie przestrzenie, brak życia na stepie. Świat owadów jakby tu nigdy nie istniał. Jaszczurki nawet, w górach tak pospolite, zrzadka tylko się przemykają. Dopiero wieczorem aż do późnej nocy budzi się tu życie, wyległe z głębokich nor i szczelin. Poluję tu wtedy na drobne istoty — różne pająki, niekiedy znacznej wielkości, podobne kształtem do stepowych tarantul z Ukrainy, ale znacznie większe. Uwija się wtedy w towarzystwie wielkich i niebezpiecznych skolopender mniej od nich nie-

bezpieczny, bo niezbyt szybki, olbrzym skorpion (niedźwiadek)—*scorpio africanus* — długi do 12 cm.

Wśród głuchej pustki mży i drga step od żaru powietrza, obolałe oko bezskutecznie szuka cienia. W południowych godzinach, gdy żar słońca zatyka dech w piersi, gdy zwierz się nie pokazuje, lecz gdzieś w krzakach przypada i w drzemce przepędza najgorętszy czas, tylko ludzie, ostatka sił dobywając, snują się przez step długim korowodem w gnębiącym milczeniu, by dojść do zbawczej wody. Najslabsi, ledwo widoczni na kraju horyzontu, padają widocznie ze zmęczenia; tych podtrzymuje i zastępuje niekiedy opiekuńczy „mniapara“. Już od kilku dni, południową porą, zdają się zlewać z otwartego nieba strugi żaru słonecznego; zda się, że kawałki roztopionej masy słonecznej odrywają się od niej i, spadając kroplami, oblewają ramiona i głowę, wdzierają się do mózgu; tuman krwawy zalewa oczy, step cały z nagiemi, pokoszlawionemi zaroślami płacze się z widziadłami fantazji straszną płomienną czerwienią. Do widziadeł wzrokowych dołączają się halucynacje słuchowe. Oto zdaleka dolatują potężne dudnienia, zdające się pochodzić gdzieś z wysokości, z chmur. A atmosfera czysta, zalana pełnem światłem, aż mży drgającym, bezbarwnym płomieniem, tylko gdzieś wysoko na bladym błękiecie, goni się kilka delikatnych, pierzastych chmurek.

Przechodziłem przez ten sam step Usangu i w porze deszczowej, podczas tak zwanej „massika“. Gdy w porze suchej milami całemi trzeba tu było szukać wody, a dostawszy się do wstrętnego bagna, uważało się je nieraz za ocalenie — obecnie trzeba przed wodą uciekać. Tu i owdzie trzeba przechodzić spienione, rwące rzeki, sięgające nieraz do szyi i wyżej. Muszę uciekać się do żywego mostu utworzonego z pleców tragarzy; tragarze niżsi wzrostem chowają się zupełnie pod wodą i tylko podziwiać można ich zimną krew, gdy nagłym podskokiem, jak hipopotam, nabrawszy w usta powietrza znowu z oczu znikają — i tylko poruszający się na powierzchni wody pakunek znaczy ślad drogi.

Deszcz w Afryce — to cudotwórca! W kilka dni potrafi zmienić krajobraz nie do poznania. Dziki, przerażający, suchy i bezlistny busz kolczasty przeistacza się z nastaniem mokrej pory w czarowny, silną i aromatyczną wonią przepełniony, kwiecisty ogród. Roje motyli i chrząszczy uwijają się w powietrzu, wnosząc bujne życie tam, gdzie przed niedawnym czasem wszech-

władnie śmierć żniwo zbierała. Białe kości antylop i bawołów, padłych na zarazę, a może w suszy z pragnienia, rozsiane na spalonym stepie, pokrywa teraz bujna, młodziutka zieleń. Mieczyki i lilje masowo zaścielają rozłogi stepowe, o ile jednostajnie rozlana szyba wód nie zajmuje ich miejsca.

Step właściwy jest prawie cały zalany wodą, obieramy więc ścieżki, wiodące przez pogranicze górskie, południowym krańcem stepu; droga wprawdzie znacznie dłuższa i uciążliwsza, ale przynajmniej możliwa do przebycia. Na oślizgłym terenie taragarze jak dzieci ze swemi ciężarami przewracają się, podnoszą i znowu upadają; kleisty grunt grubemi płatami przylega do stóp, nogi toną w błocie i wodzie, ale przecież się poruszamy. W miejscach bardziej zapadłych, ostrożnie posuwa się karawana po kilometrowych stawiskach, brnąc niekiedy po kostki lub po łydki w wodzie. Nawet trudno znaleźć odpowiednie miejsce na obóz.

Szkła, w których mieszczą się moje zbiory ze świata zwierzęcego, wskutek upadków ciągle pękają, szczególnie większe naczynia szklane narażone są na zniszczenie. Skóry, a nawet rogi, owinięte w maty, moknąc dzień i noc, po pewnym czasie zaczynają rozkładać się, owady gniją i zbiory zamiast się powiększać — maleją. Namiot-łóżko z pościelą ustawicznie wilgotną powoduje bóle reumatyczne; czarnym zaczyna skóra na stopach zlaść kawałkami, a kamienie i kolczaste gałęzie podwodne ranią ich nogi. Karawana z trudem się porusza, karność się rozluźnia; zmęczeni ludzie nie chcą w obozie rozbijać namiotu, ni drew do kuchni przynieść, niektórzy nawet o kilka godzin spóźniają się do obozu.

Deszcz pada tu tylko po południu. Z zachodem słońca trzeba się chronić do łóżka, nawet kolację trzeba zjeść, leżąc, osłoniwszy się siecią moskitową. Wieczorem i w nocy pojawiają się całe roje moskitów, które z głośnym brzękiem uwijają się z drugiej strony siatki. Wprawdzie, pouczony doświadczeniem, zażywam codziennie zapobiegawczo chininę, by uchronić się od pewnej malarji, roznoszonej przez moskity, ale obawa przed ukąszeniem staje się wprost instynktową. Na wąskim łóżku polowym trudno się we śnie odwrócić, by się siatki nie dotknąć, a z takiej gratki momentalnie korzystają chciwe moskity; to też łokcie, dłonie i kolana są nad ranem mimo sieci popuchnięte, a na każdym z nich co najmniej po kilkanaście czerwonych punkcików. Roje skorpionów, tarantul i skolopendr wszędzie się uwi-

jają. Ubranie i buty należy na noc wieszać, bo nuż jakaś jadowita istota wlezie do rękawa czy buta.

Dostajemy się znowu na główną drogę. Jak tu się wszystko zmieniło!... Drogi nawet poznać nie można. Wszędzie panoszy się bujna roślinność, zmieszana ze szkarłatem kwiatów i bogatą barwą motyli.

K a f r o w i e.

Dr. A. Rehman („Ludy pierwotne południowej Afryki“).

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Kafrowie przybyli do Afryki południowej z północy, a wyparłszy pierwotnych mieszkańców, przywłaszczyli sobie ich ziemie i najpierwsze obecnie pomiędzy nimi zajmują miejsce, bo kiedy plemiona Buszmenów i Hotentotów upadły pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności i są zagrożone zupełnem wyginięciem, Kafrowie wyszli zwycięsko z walki z pierwotnymi krajowcami i z napływem cywilizacji europejskiej i tworzą dziś lud bardzo liczny, prawie zupełnie niezawisły, cieszący się dobrobytem materialnym i poczuciem własnej potęgi. Należą oni do wielkiej rodziny ludów murzyńskich na południe od równika mieszkających, a które ze względu na podobieństwa językowe otrzymały nazwę Bantu-negrów.

Na południe od rzeki Zambezi Kafrowie zajmują pas kraju po 28 stopień południowej szerokości geograficznej, ale spuszczają się znacznie dalej na wschodnich brzegach Afryki. W tej części lądu dzielą się na kilka narodów. Na zachodnich brzegach, w kraju Damara mieszkają Herero i Owampo, na wschód od jeziora Ngami — Beczuanie, dalej ku wschodowi — Matabili, w Natalu — Zulusi, a na zachód od gór Smocznych — Basuto, Baman-gwato i inni. Najliczniejszym i najpotężniejszym rodem są Zulu i szczegóły podane poniżej odnoszą się głównie do nich i do sąsiednich Basutów, ponieważ pomiędzy tymi najdłużej przebywałem.

Co do budowy twarzy i składu ciała ludy afrykańskie były przesadnie uważane przez długi przeciąg czasu za wzór brzydoty. Co do Kafrów z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że budowa ich ciała jest zupełnie kształtna i proporcjonalna. Odnaczają się dobrym wzrostem i mało pod tym względem ustępują Europejczykom. Mięśnie ich, prócz mieszkańców okolic niezdrowych lub nieurodzajnych, silnie są rozwinięte. Można na-

potkać nieraz pomiędzy nimi twarze o rysach zupełnie regularnych, a nawet odpowiadające poniekąd naszym pojęciom estetycznym. Czoło bywa niekiedy zwężone i nisko zarosnięte, ale zdarza się dość często wysokie i wypukłe; nos rzadko zakłknięty, zazwyczaj dobrze rozwinięty. Kości policzkowe słabo wystające. Wargi pełne, ale nabrzmienie, charakteryzujące murzynów sudańskich, jest u Kafrów zjawiskiem wyjątkowym; również i wystające szczęki są rzadkością, a zęby zazwyczaj proste, równe i białe. Twarz rzadko okrągła, zwykle owalna lub podłużna, oczy ciemno-brunatne znamionują bystrość umysłu i rozsądek. Włosy kędzierzawe, porost wogóle bujny. Zazwyczaj włosy pokrywają jednostajnie całą głowę i wytwarzają gęste zbite runo. Bujny porost głowy bywa uważany wogóle między Kafraami za największą ozdobę. Barwa ciała jest brunatna.

Strój mężczyzny w porze letniej składa się z połączonych w jedną wiązkę kilku ogonów drobnych zwierząt. Wiazka ta przymocowuje się do sznurka albo rzemienia przepasanego koło bioder. Zulu używają dwóch takich wiązek i przywiązują jedną z przodu drugą z tyłu. Basuto ograniczają się do jednej, którą noszą z przodu. Odpowiedni strój u kobiet składa się zazwyczaj z kawałka skóry trójkątnej postaci szerokiego najwyżej na 20 centymetrów, przymocowanego do sznurka, przypasanego przez biodra. W miejsce trójkąta używają niekiedy szerokiego paska skórzanego, który nacinają w wąskie rzemyki, ozdobione paciorkami.

Młode dziewczyny zaopatrzone w takie ubranie, uważają toaletę swoją za najzupełniej wykończoną, a wszelkie inne dodatki za ciężar zbyteczny. W ich rodzinnych kraalach (wioskach) w tym tylko napotykałem je stroju. W Natalu i starej kolonii nie wolno Kafrom przychodzić bez ubrania do miasta i dlatego ukazują się zwykle odziani w lekką kołdrę bawełnianą, albo w skóry zwierząt; ale w porze letniej spotykałem nieraz już pod miastem gromady dziewcząt, niosących swoje kołderki na ramionach i używające miłej swobody. Inaczej zachowują się starsze kobiety; zakrywają one ciało w lecie i w zimie bardzo starannie i nie ukazują się bez odzieży nawet między swojemi.

W porze zimowej Kafrowie ubierają się nieco staranniej, bo poranki i wieczory bywają tu dosyć chłodne. Obecnie rozpowszechnił się gdzieś niedzie użytek bawełnianych kołder, które kupują w mieście od przejeżdżających handlarzy, ale w odległych kraalach zastępują je skórą kóz, owiec i antylop, a na-

wet skór wołowych, które tak znakomicie wyprawiają, że nadają im miękkość sukna.

Użytku obuwia wcale nie znają, nie nakrywają również głowy. Zbite runo ich włosów chroni głowę dostatecznie przed szkodliwym działaniem promieni słonecznych.

Kafrowie kochają się bardzo w ozdobach. Mężczyźni dziu-



Zulusi.

rawią uszy i w jednym z nich umieszczają długą trzcinkę, służącą do przechowania tabaki, a w drugim kołec jeżozwierza albo kołeczek. Czasami znajduje się w muszli usznej kilka otworów, w których umieszczają kołczyki własnego wyrobu z żelaza albo mosiądzu, ozdobione niekiedy paciorkami albo muszelkami. Na rękach noszą bransoletki z drutu mosiężnego, który dostają od

nandlarzy; za największą zaś ozdobę u mężczyzn bywa uważany sznurek zębów lwa, pantery, tygrysa lub szponów ptaków drapieżnych.

Kobiety noszą w uszach kolczyki, bransoletki na ramionach, a czasami i na nogach. W ostatnich czasach rozpowszechnił się między nimi użytek szklanych pereł i paciorków, noszą także na szyi szerokie brązowe obręcze. Do wszystkich tych ozdób przywiązują bardzo wielką wagę i niechętnie je odступują. Udało mi się kilka razy nabyć nieco takich drobiazgów od mężczyzn wzamian za fajkę, albo pieniądze, ale nigdy od kobiet, bo żądania tych były zawsze wygórowane.



Kraal Kafrów.

Zwyczaj nacinania skóry dla ozdoby (tatuowania) nie jest bardzo rozpowszechniony. Spotkałem kilka przykładów tatuowania między Kaframi, plemienia Basuto. Nacinanie ograniczało się do twarzy i przedstawiało linje krzywe, rozchodzące się promienisto od uszu po policzkach. U jednego z plemion Kafrów, żyjącego na północ rzeki Limpopo, tylko kobiety bywają nacinane dla ozdoby, bezpośrednio przez zamążpójście. Operacja ta jest nadzwyczaj bolesna. „Proszę wyobrazić sobie, powiada jeden podróżnik, okropny ból, gdy cała przednia część tułowia otrzyma, z wyjątkiem średniej linji, szerokiej na cal, 4000 nacięć ustawionych w 30 równoległych linjach. Ból ten zostaje zwiększony przez nacieranie ran płynem, zaczernionym rozartym węglem, w celu uzyskania blizn wypukłych; ale nie na tem koniec cierpienia, bo zdarza się czasami, że nacięcia nie zadowalają estetycznego zmysłu rodziny, albo nie podobają się narze-

czonemu, a wówczas okropna operacja, trwająca dni kilka, musi być powtórzona“.

Ale wysoka wartość, jaką przywiązują do ozdób zewnętrznych, najlepiej objawia się w pracy około włosów; odnosi się to głównie do mężczyzn, szczególnie do Kafrów z rodu Zulu. Są oni zakochani w swoich włosach, i każdy z nich jest od urodzenia perukarzem swej własnej czupryny. Młodzi układają swe włosy w różny sposób; przedewszystkiem rozczesują je starannie i wymuszają na nich większą długość przez zmniejszenie ich kędzierzowatości. Układają je niekiedy w wydłużone stojące kudełki, albo rozczesują w bardzo regularne podłużne zagony, przebiegające od przodu głowy ku tyłowi, a rzadziej wpoprzek od ucha do ucha. Starsi podgalają głowę dokoła i pozostawiają tylko na jej wierzchołku wysoki walec z włosów. Wierzchołek tego walca ścinają oni płasko, a brzeg smarują rozpuszczoną gumą tak długo, dopóki nie wytworzy się na nim pierścień grubości palca; jest on barwy czarnej, odznacza się silnym połyskiem i sprawia wrażenie, jakgdyby był wyrobiony z rogu. Gdy fryzura jest wykończona, zatykają w nią kość jeżozwierza, czasami półksiężyc metalowy albo pióra ptaków drapieżnych, a głowa Kafra, tak ozdobiona, przedstawia czasem widok, mogący przerazić niedoświadczonego przybysza.

Mieszkaniem Kafrów południowych są chaty postaci półkulistej, szerokie na 10 do 12 stóp, a tak niskie, że mężczyzna średniego wzrostu w środku chaty głową jej powały dotyka. Plotą te chaty z trawy, a wykonanie ich jest nadzwyczaj staranne. U Zulów wbijają przedewszystkiem w ziemię obręcze, które łączą zapomocą rzemieni tak, ażeby tworzyły rusztowanie przyszłej chaty i oznaczały najdokładniej jej postać. Potem oplatają rusztowanie trawą, zwaną „tambuki“. Cała chata ma postać olbrzymiego koszyka półkulistej postaci, przewróconego dnem do góry. Ażeby zabezpieczyć chatę przed wiatrem, pokrywają ją jeszcze wielką siecią, splecioną starannie ze sznurka łykowego. Jeden tylko otwór prowadzi do chaty, wysokiej najwyżej na 2 do 3 stóp. Można go przebyć tylko na czworaku, a wchodzi się i wychodzi przodem; jeżeli cudzoziemiec, nie znający zwyczajów krajowych, opuszcza chatę z głową odwróconą do jej wnętrza, naraża się na śmiech jej mieszkańców; twierdzą oni, że w ten sposób tylko wrogowie chatę opuszczają. Kafrowie Basuto nadają chacie podstawę kamienną.

Odmienną jest budowa chaty u Beczuanów; robią oni przedewszystkiem mur z gliny, wysoki na trzy stopy; na nim ukła-

dają rusztowanie z prostych drągów i pokrywają je dachem ostrokątnym, którego brzeg wystaje na dwie stopy ponad podmurowaniem, pomalowanem na żółto lub biał.

Podłoga wewnątrz chaty wylepiona jest gliną, zawsze czysto zamieciona, a porządek wewnątrz wzorowy. Sprzęt domowy u Kafrów jest bardzo prosty. Wyrabiają oni z gliny miski, talerze, garnki i dzbanki z wąskimi szyjkami i wypalają je starannie, ale ponieważ nie znają sposobu polewania, a wyrób wskutek wypalenia staje się niekiedy porowatym, przeto gotują w nowych naczyniach przez kilkanaście godzin papkę z mąki, która otwory zapycha.

Kafrowie są ludem towarzyskim i, gdy nadzwyczajne okoliczności nie staną na zawadzie, łączą się w gromady mniej albo więcej liczne. W Natalu, gdzie obecnie 360.000 Kafrów z rodu Zulu cieszy się pod opieką rządu angielskiego zupełnym spokojem i bezpieczeństwem, żyją w małych gromadkach z kilku zaledwie rodzin złożonych. Wioski ich, znane pod nazwą kraalów, składają się przedewszystkiem z obszernego, przeznaczonego dla przechowania bydła ogrodzenia, dookoła którego skupione są mieszkania pojedynczych rodzin. Każda chata otoczona jest wysoką ścianą z trawy tambuki albo z innego szuwaru w ten sposób, że około chaty pozostaje jeszcze małeńki dziedziniec, wylepiony zazwyczaj gliną i starannie wymieciony. W jednym zakątku tego dziedzińca znajduje się ognisko ułożone z kamieni, około którego gospodyni domu większą część dnia przepędza. Pojedyncze domostwa stykają się zazwyczaj ze sobą, ale bywają także pooddzielane wąskimi uliczkami, które w większych wioskach tworzą labirynt niemiły dla oka przybysza lekkiego i nieoswojonego z tym widokiem. Cała wioska jest od zewnątrz otoczona żywym płotem z kolczastych roślin, wzmocnionych niekiedy grubemi palami, albo suchym chróstem z kolczastych akacyj. Wioski takie leżą zwykle nad brzegiem potoków, a w sąsiedztwie ich można napotkać starannie utrzymane ogródki.

Inaczej urządzają się w kraju Basuto, gdzie przed niedawnym jeszcze czasem srogie wrzały walki, a mieszkańcy kraala nie byli pewni wieczorem, czy wschodzące słońce na tem samem zastanie ich miejscu. Ciągła obawa przed napadem zmuszała ich do łączenia się w większe gromady i szukania pozycji obronnych. Prawie wszystkie wioski znajdują się tu w miejscach nieprzystępnych pod zasłoną skał, niekiedy tak zakryte, że trudno domyśleć się ich istnienia. Są one wogóle

znacznie większe, liczba chat dochodzi do 200. Wewnętrzne urządzenie wioski jest zupełnie takie samo, jak u Zulu, ale od zewnątrz są one zwykle otoczone wałem kamiennym, uzbrojonym jeszcze pękami kolczastych gałęzi, a wejście do wioski bywa starannie zamykane poprzecznymi drągami, podpartymi kamieniami. Ludy zaś, mieszkające w głębi kraju, jak Beczuanie, otaczają wioski swe palisadami.

Kafrowie są w zasadzie ludami rolniczymi; pożywienie ich składa się głównie z utworów świata roślinnego, a w mniejszej części z mleka lub mięsa. Znajdują się, coprawda, w południowej Afryce na granicach pustyni Kalahari ludy kaferskie, nie uprawiające ziemi, lecz zjawisko to jest wyjątkowem i zdarza się tylko tam, gdzie ziemia pod uprawę zupełnie się nie nadaje. Główną rośliną uprawianą przez Kafrów jest durra, nazywana także kaferskiem zbożem (*Sorghum vulgare*), zbliżona najwięcej do naszego prosa i nadzwyczaj plenna, bo wydaje 200 do 400 ziarn za jedno; od Europejczyków przyswoili sobie kukurydzę. Oprócz tego sadzą fasolę, tykwy i melony, a z korzeni jadalnych bataty czyli słodkie kartofle (*Convolvulus Batatas*), tarro (*Arum esculentum*) i orzeszki ziemne (*Arachis hypogea*). Drzew nie sadzą wcale. Na uprawie znają się doskonale i wiedzą dobrze, czego która roślina wymaga. Uprawą zajmują się wyłącznie kobiety; kopią one ziemię zapomocą kopaczek własnego wyrobu, które postacią zbliżają się do naszych motyk, ale zamiast otworu do zatknięcia drążka, są wydłużone w ostry kolec, który wbija się w grubszy koniec pałkowatego drążka.

U Kafrów niema własności ziemi; jest ona wspólną własnością całej wioski; każdy jej mieszkaniiec może siać tam, gdzie zechce i przenosić się z miejsca na miejsce według upodobania, byle nie naruszył zajmowanego przez swego sąsiada. Jedyłą ich własnością jest bydło rogate. Znajdują się oni od niepamiętnych czasów w posiadaniu wołów, kóz i owiec.

Są jednak okolice, gdzie hodowla bydła natrafiła na szczególną przeszkodę; po niskich i wilgotnych miejscowościach wzdłuż rzeki Limpopo i Zambezi, żyje mucha, nazywana „cece“, której ukąszenie jest dla bydła rogatego zabójczem. Postacią i rozmiarami odpowiada ona w zupełności naszej musze domowej, a różni się od niej długim kolcem u pyszczka, zapomocą którego zapuszcza jad. Jest ona przedewszystkiem niebezpieczna dla wołów i koni. Ukąszone bydło żyje jeszcze przez cztery do sześciu tygodni, ale słabnie powoli, chudnie i niknie widocznie,

a po śmierci znajdują się pod skórą ciemne plamy, prawdopodobnie w miejscach, gdzie jad został zapuszczony.

Opieka nad bydłem jest wyłącznym udziałem mężczyzn; oni je pędzą na paszę, strzegą i doją, a kobietom nie wolno nawet zbliżyć się do zasięku, gdzie się bydło znajduje. Krowy tutejsze dają wogóle mało mleka; przeznaczają je prawie wyłącznie dla dzieci i tylko gdy pasza jest bujniejszą, używają go wszyscy. Wydojone mleko wlewają w worki i zawieszają w cieniu, ażeby skwaśniało, gdyż słodkiego nie używają wcale; wyrabiają i masło, ale nie jedzą go; służy ono do smarowania włosów i ciała. Każdy wół dostaje nazwę; podobno zwyczaj ten przejęty został od Boerów, którzy nadają wołom zaprzęgowym imiona, bo to ułatwia utrzymanie porządku przy zakładaniu zwierząt w jarzmo. U Becuanów używają pasterze małej piszczałki, do której głosu zwierzęta tak się przyzwyczajają, że dają się nią najzupełniej powodować, a wprowadzone przez nieprzyjaciół wyrzucają się one na jej odgłos i powracają do swych prawych właścicieli.

Mięsa Kafrowie używają bardzo rzadko, a woły biją tylko przy wielkich uroczystościach, albo na ofiary i jedzą je opieczonę na węglach. Nierogaciznę, ryby, ptaki, jaja i mięso zwierząt drapieżnych uważają za nieczyste i nie tykają ich, nawet przyciśnięci głodem. Ale dzieciom wolno jeść wszystko; łapią nawet myszy, pieką na ogniu i ze smakiem spożywają. Szarańcza, chrabąszcze i ich poczwarki bywają uważane za łakocie i dostają się zazwyczaj dzieciom. Pod względem porządku Kafrowie stoją bodaj wyżej od naszego polskiego wieśniaka, jedzą, coprawda, rękami, ale przed i po jedzeniu myją sobie ręce, a po skończonej biesiadzie płócą usta.

Ze zboża wyrabiają pewien rodzaj kwaśnego piwa, które posiada smak przyjemny i zlekka odurza. W cukrowniach natalskich zakupują także pewien najgorszy rodzaj melasu, z którego przez fermentację otrzymują pewien rodzaj wódki o nie miłym smaku i zapachu. Pomimo tego pijaństwo prawie całkiem pomiędzy nimi nie istnieje: nie kupują nigdy wódki od handlarzy europejskich, a w ciągu całego mego pobytu w Natalu nie spotkałem ani jednego Kafra pijanego.

Zwyczaj palenia liści konopnych jest rozpowszechniony na całym obszarze środkowej i południowej Afryki. Hodują w tym celu ziele w ogródkach swoich i nazywają je dacha. Zwyczaj palenia tytoniu przejęli od Europejczyków i bardzo polubili. Zaży-

wanie tabaki jest również u nich rozpowszechnione i przyjemność tę przenoszą nawet nad samo palenie.

Gdy Kafr nie jest głodny, posiada w woreczku odrobinę dachy albo tytoniu i ma towarzystwo, to jest najszczęśliwszą istotą na ziemi. Ich życie w kraalach przedstawia obraz szczęścia i swobody, jakiego napróżno szukalibyśmy pomiędzy ludami cywilizowanymi, a zwiedzanie kraalów należy do najmilszych rozrywek podróżnika. W Natalu kraale są zazwyczaj położone bardzo malowniczo w dolinach, albo pod zasłoną pagórków, prawie zawsze w bliskości potoku, gdzie zagłębienia pomiędzy górami są wypełnione żywo zielonym zarośnięciem akacji, ponad który wznoszą się wysmukłe wierzchołki dzikiej palmy albo olbrzymie liście strelicji. Po stokach gór, okrytych najbujniejszą trawą, pasie się bydło, należące do kraalu, pod opieką starszych mężczyzn, a kozy i owce pod opieką wyrostków. Jeżeli jest godzina południowa, to nad potokiem spotyka podróżnik zazwyczaj gromadę dziewcząt, czerpiących wodę, zajętychżywioną i wesołą rozmową; ujrawszy cudzoziemca, stawiają naczynia na ziemi, przyglądają mu się w milczeniu i odpowiadają nieśmiało na pozdrowienie. Z niedalekiego kraalu słychać ludzi, ksztuszących się dymem „dachy“; odgłos ten jest zbyt miły dla ucha przewodników, i dlatego, nie pytając o pozwolenie, pędzą co tchu starczy do kraalu, pozostawiając podróżnika nad potokiem.

Zanim zdąży za nimi, już czeka przed kraalem na przyjęcie jego kilku mężczyzn, witają go uprzejmym „saku bona, saku bona“, wyciągają rękę do uścisku, wprowadzają do kraalu i zatrzymują przy wspólnym ognisku, gdzie leżą porzucane fajki i liście konopi. Około starszych kupi się zaraz gromadka dzieci; wesołe, uśmiechnięte, zdrowe i grzeczne stworzonka przyglądają się przybyszowi z ciekawością, ale bez obawy. Ciekawość jest wrodzonym Kafrów przymiotem; wypytują się natychmiast przewodników o przybysza, co za jeden, skąd idzie, dokąd dąży i w jakim celu; przyglądają mu się z zajęciem, proszą o pozwolenie obejrzenia broni lub parasola, mówią mu grzeczności, proszą, ażeby usiadł i odpoczął, podają ogień do fajki i zabierają się na nowo do palenia dachy.

Dziewczęta z nad potoku wracają z pośpiechem, stawiają naczynia na ziemi, otaczają przybysza półkołem, przyglądają mu się z uśmiechem i milczenie przerywają od czasu do czasu krótkimi uwagami. Uwagi muszą być dowcipne lub złośliwe, bo wywołują głośny śmiech w towarzystwie; nie zważa na nie

podróżnik, bo nie przypuszcza, ażeby o nim źle mówiono i nadrabia miną, ile może.

Nadchodzi druga, daleko gwarniejsza partja, są to starsze kobiety, powracające od roli; prawie każda z nich niesie na plecach niemowlę, a na ramionach kopaczkę; rozmawiają głośno i śmieją się; spostrzegłszy cudzoziemca, przyglądają mu się przez chwilę z ciekawością, wypytują o powód jego przybycia i oddalają się śpiesznie do zajęć gospodarskich

Ukazuje się na koniec trzecia i ostatnia partja w postaci bydła z pasterzami. Mężczyźni zapędzają krowy i kozy do kraala, przywiązują każdą do drąga i doją. Na ukończenie tej czynności oczekuje z największą niecierpliwością gromada drobnych bębnow obojga płci; zaledwie mężczyźni dojący powstaną z miejsc swoich, drobiazg ten rzuca się na wymiona krów, chwytając je w usta, odpędzając kułakami cieleta, które z równą niecierpliwością na tę chwilę oczekiwały.

Nadeszła chwila obiadu; rozchodzą się wszyscy do chat swoich, a naczelnik wioski zaprasza przybysza do swego stołu. Cała rodzina siada na ziemi i gospodarz obdziela wszystkich, podając najpierw gościowi w miseczce z tykwy sporą porcję papki z mąki kukurydzanej, a w drugim naczyniu kwaśne mleko; jedzą wszyscy palcami, ale gościowi podają kopystkę drewnianą. Na dokończenie biesiady ukazuje się naczynie pełne piwa, a zapach jego zwabia najbliższych sąsiadów. Weselość po obiedzie jeszcze większa, ale niezadługo kobiety oddalają się do ogrodów, pasterze z trzodami na łąki, a podróżnemu także czas w drogę. Obdarza gościnnego naczelnika małym podarkiem, np. nożem kieszonkowym, albo krzesiwem, jego żonę lub córkę uszczęśliwia tombakowym pierścionkiem albo innem jakimś świecidełkiem i zabiera się do odejścia. Wyprowadzają go wszyscy przed kraal, proszą, by ich w powrocie odwiedził i żegnają uprzejmie. Podróżnik opuszcza kraal z błogiem zadowoleniem i cieszy się szczęściem tego ludu. A jednakowoż szczęście to jest tylko pozorne, a częstokroć nietrwałe, bo ci ludzie, napozór tak swobodni, upadają pod ciężarem najniedorzeczniejszych przesądów i zabobonów, a w głębi kraju ciągle ze sobą toczą walki i w najszczęśliwszej chwili nie są pewni, czy za najbliższym pagórkem nie czyha na nich wróg ukryty. Uderza on zwykle zniecka w nocy, morduje mężczyzn, uprowadza w niewolę kobiety i dzieci, zapala chaty — i nieraz wschodzące słońce oświeca jaskrawem swem światłem dymiące zgliszcza i wybladłe zwłoki

ludzkie tam, gdzie przed kilku godzinami cieszyło się wszystko szczęściem i swobodą!

O charakterze Kafrów można napotkać u różnych podróżników najsprzeczniesze twierdzenia. Według moich spostrzeżeń odznaczają się wogóle łagodnem usposobieniem, co się głównie objawia w ich stosunkach rodzinnych, np. wielkiem przywiązaniu do dzieci. Nie zdarzyło mi się widzieć między Kaframi tych objawów gburowatości i srogości, jakie u nas w kraju pomiędzy mniej oświeconą ludnością tak często się spotyka. Zdarzają się coprawda przypadki surowego, a nawet nieludzkiego obchodzenia się z kobietami, ale to stoi w ścisłym związku ze stanowiskiem kobiety, przyjętem przez obyczaje. Mężczyźni żyją w wielożeństwie, a kobiety kupują, płacąc za nie od trzech do do trzydziestu wołów. Biorą zazwyczaj żony z sąsiednich kraalów. Żony uważają się za niewolnice, a wskutek tego narażone są wogóle na dość surowe obchodzenie się ze strony mężów.

Poszanowanie cudzej własności jest u Kafrów w Natalu głęboko zakorzenione. Kradzieże są tu prawie całkiem nieznane. Mieszkańcy po wioskach i miastach nie zamykają nigdy mieszkań swoich. O religijnych wyobrażeniach Kafrów dużo już napisano, ale podania różnych autorów tak są sprzeczne ze sobą, że trudno się w nich doszukać prawdy. Głównym rysem w ich religji jest wiara w życie po śmierci i we wpływ umarłych na losy żyjących. Upiory umarłych są wyłącznym przedmiotem ich czci albo bojaźni, im zawdzięczają wszystko dobre lub złe; nie modlą się do nich, ale składają im ofiary z mięsa, które potem sami zjadają. Zulu nazywają upiora — Itongo. Gdy ktoś w rodzinie zachoruje, chorobę sprowadził Itongo, gdy umrze zabił go Itongo. W każdym razie wzywają czarownika, kapłana i ten tłumaczy, kim jest ten Itongo, o co się gniewa i jakiej żąda ofiary, wołu, cielęcia, czy kozy. Zabijają to zwierzę, mięso zamykają na noc do opróżnionej chaty, dokąd przybywa Itongo na ucztę, a na drugi dzień czarodziej spożywa część ofiary, resztę zaś spożywa cała ludność. U Basuto i Beczuanów, gdy naczelnik umrze, zabijają na grobie jego czarnego wołu, a gdy umrze król, ofiary ze zwierząt odbywają się w każdym kraalu.

Kafr, swobodny i niezależny napozór, jest niewolnikiem zabobonów i przesądów od kolebki do grobu. Wierzy ślepo w potęgę swoich czarowników-kapłanów i lęka się ich. Ci zaś nadużywają zwykle swojej władzy, a niekiedy bywają niebezpiecznymi narzędziami w rękach naczelników i stają się powodem upadku i zagłady całych rodzin, których naczelnicy chcą się

z jakiegoś powodu pozbyć, albo pozbawić majątku. Każda większa wioska posiada swego czarodzieja. Oni sprawują ofiary, leczą choroby, przepowiadają przyszłość i sprowadzają deszcze; godność czarodzieja nie jest dziedziczną; nie tworzą oni osobnej kasty, lecz jeden czarodziej przysposabia sobie drugiego, niekiedy za wynagrodzeniem. Wybierają w tym celu indywidua, odznaczające się nadzwyczajną brzydotą, albo podpadające epilepsji. Młody czarownik musi unikać ludzi, przepędzać większą część życia po miejscach dzikich i niedostępnych, gdzie nauczyciel go odwiedza i obznajmia powoli z tajemnicami jego przyszłego zawodu.

Murzyni dorzecza rzeki Kongo

Herbert Ward.

W r. 1877 Stanley w swej zadziwiającej podróży przez czarny ląd, na odległości 1500 km. od Atlantyku napadnięty został przez wojownicze plemię Bangala, liczące przeszło 30.000 ludożerców, których wioski ciągną się wzdłuż północnego brzegu Kongo, otoczone wspaniałymi gajami palm i długimi szeregami pizangów i bananów.

Murzyni wypełnili wielkie swe łodzie wojenne (t. zw. „kanu“) i zaatakowali niewielką flotyllę Stanley’a, który ze swą wierną załogą tylko po uporczywym boju i dzięki lepszej broni zdołał odeprzeć napad rozjuszonych przeciwników. Na przesłrzeni setek kilometrów Stanley był wystawiony na podobne napady, a okrzyki „Niama, Niama“ (mięso, mięso!), które go witali dzicy prześladowcy, wskazywały wyraźnie, co za los oczekiwał jego samego i towarzyszy, gdyby się dostali w ręce napaśtników.

Pod wpływem sprawozdań wielkiego badacza Leopold II, król Belgji, polecił Stanleyowi stanąć na czele dobrze zaopatrzonej wyprawy, powrócić do miejsc, które zwiedził i zająć się urządzeniem stacji wzdłuż biegu rzeki Kongo. Stacje owe miały się stać środkiem do otwarcia dla handlu tej wielkiej drogi, jaką stanowi rzeka Kongo, wciągnięcia nadbrzeżnych plemion do pracy spokojnej; rozbudzenia w tych plemionach chęci zdobywania tą drogą tych korzyści, jakie się stały udziałem ukazujących się wśród nich ludzi białych.

Stanley rozpoczął to dzieło z niezwykłą zręcznością i niewzruszoną wytrwałością i nim opuścił w r. 1884 arenę swoich

działań, urządził stacje nad Kongo na przestrzeni 2250 km., zawarł z dzikimi wodzami plemion murzyńskich niezliczoną liczbę układów, któremi ci zobowiązywali się uznawać powagę stacji i współdziałać sprawie pokoju i postępu. Wreszcie Stanley osiągnął to zadowolenie jako koronę swych prac, że jego staniem powstało wolne państwo Kongo, które w r. 1885 przez wszystkie cywilizowane kraje uznane zostało.

W r. 1886 mianowany zostałem naczelnikiem jednej z tych stacyj, mianowicie stacji Bangala, leżącej w samym sercu ludnego okręgu, przez plemię tej samej nazwy zamieszkanego.



Wódz plemienia Bangala.

Najważniejszym wodzem plemienia Bangala był wtedy Mata Mwiki, mąż w wieku lat 60, wzrostem sięgający 1,8 metra, barczysty, dobrze zbudowany, z wyrazem okrucieństwa na twarzy. Brak jednego oka potęgował jeszcze bardziej przykre wrażenie, jakie ten człowiek sprawiał.

Nazwa plemienia — Bangala, czyli ludzie Mongalla, oznacza plemię, które poprzednio mieszkło nad rzeką Mongalla (północnym dopływem rzeki Kongo). Jest to prawdziwie afrykański

sposób wyrażania się. Tak np. ludzie z nad rzeki Sanga nazywają się „Wasanga“, z nad rzeki Ubangi — „Babangi“ i t. d. Pierwsza zgłoska „Wa“ (lub Ba) — znaczy — „ludzie“. We wszystkich tych językach znaczenie słowa zależy od pierwszej sylaby. A więc: jest na południu kraj U-rua, mieszkańcy jego zowią się Warua, mowa ich — Kirua; inny znów kraj — Uluba, mieszkańcy — Baluba, język Kiluba i t. d.

Do pierwszych ważniejszych wydarzeń po objęciu przeze



Wódz plemienia Bolobo.

mnie naczelnictwa stacji zaliczam to, że zmuszony byłem poddać się ceremonii braterstwa krwi z wodzem Mata Mwiki, ceremonii, która u wszystkich plemion nad górnem Kongo stanowi zwykłą formę zapieczętowania przyjaźni i zaświadczenia wierności.

W obecności około 100 dzikich, uznających władzę Mata Mwiki, siedliśmy, on i ja, naprzeciwko siebie na niskich krzesłkach drewnianych; uderzono w duże bębny z drzewa maho-

niowego, których głuchy odgłos daje się słyszeć na milę naokoło. Był to nakaz uciszenia się. Wtedy stanął przed nami czarodziej z całym swym tajemniczym przyborem, zrobił obydwu nam cięcie nożem na prawem ramieniu, na zewnętrznym grubym nabrzmieniu mięśni, poniżej zgięcia łokciowego i, gdy krew płynąć zaczęła ciekłym strumieniem, sypał na ranę sproszkowaną kredę i potaż. Przez cały ten czas w pompatycznej przemowie wzywał nas, abyśmy niezłomnie a szczerze zachowywali świętość zawartego przymierza. Nakoniec ramiona nasze zostały skrzyżowane w ten sposób, by się zmieszała krew z nich wypływająca.

Wtedy czarodziej ogłosił nas braćmi krwi, których interesy w przyszłości tak związane być mają, jak się ich krew ze sobą połączyła. Świadkowie tego szczególnego obrzędu wyrazili swoją zgodę na oświadczenie czarodzieja, przyjmując je grzmiącymi oklaskami, poczem wniesiono olbrzymie gliniane dzbany ze sfermentowanym sokiem cukrowym, przygotowanym już na-przód dla należytego uczczenia uroczystości.

Jako naczelnik stacji, a także wskutek tego, iż wykazywałem dążność jak najprzejrzystego pojęcia z krajowcami, byłem w możności zauważenia wielu rzeczy z ich sposobu życia i stosunków wewnętrznych.

Prawie co tydzień dochodził do mej wiadomości przykład ich dzikiego ludożerstwa. Jakkolwiek mieszkańcy wiosek bezpośrednio graniczących ze stacją stali się zczasem ostrożnymi i nie przyznawali się już przed białym do swej pożądlivosti ludzkiego mięsa i upodobania do orgij ludożerczych, niemniej jednak nie miałbym wielkich trudności, gdybym chciał znaleźć mych przyjaciół ze starym Mata Mwiki na czele przy skromnej biesiadzie, złożonej z poćwiartowanych części ciała nieszczęsnego niewolnika, zamordowanego za nieposłuszeństwo, lub przy uczcie z ciał wrogów, w ostatniej bitwie poległych.

Wszystko jest mięsem, co wpadnie w ich sieci; i jeżeli jakiś niewolnik, czy wzięty na polu bitwy, czy kupiony u sąsiedniego plemienia, okaże się kłopotliwym lub niezadowolonym ze swego bytu, to sposób na niego jest bardzo prosty: w kotle kuchennym kończy się marne jego istnienie. Mogłoby się to wydawać nieprawdopodobnem, gdyby nie to, że sam byłem świadkiem podobnego wypadku.

Jeden chłopiec niewolnik otrzymał pozwolenie wynajęcia się do pracy na stacji agenta belgijskiego towarzystwa handlowego w Bangala. Po jakimś czasie chłopiec ten oddalił się, pod-

czas godzin zajęcia, bez pozwolenia agenta. Ten żalił się nań przed jego właścicielem, naczelnikiem sąsiedniej wioski, oskarżając zarazem chłopca, że jest leniwy i niewiele wart.

W parę dni później naczelnik opowiadał kupcowi z zadowoleniem, że z chłopcem nie będzie już żadnego kłopotu, ponieważ został przez niego zabity zapomocą pchnięcia dzidą. Ale o ileż większe było przerażenie białego, gdy syn naczelnika, 16-letni wyrostek, odwiedzwszy niedługo potem stację, z całą obojętnością zauważył: „Chłopiec, niewolnik bardzo nam smakował, był miękki i tłusty“.

Pomimo ludożerczych skłonności krajowców, stosunki nasze z mieszkańcami rozmaitych wsi, tworzących okręg Bangala, naogół były przyjazne. Winienem zauważyć, że nie należy sądzić, by plemiona ludożercze wnętrza lądu wykazywały brutalność i okrucieństwo w każdym zdarzeniu swego życia. Przeciwnie, takie rysy charakteru, jak miłość żony i dzieci, częściej spostrzegałem u nich, niż u plemion nad dolnem Kongo, lub w kraju Bakongo, chociaż plemiona te nie są wcale ludożercze i niechętnie krew przelewają, wyłącznie mianowicie podczas obrzędów religijnych. Krajowiec górnej rzeki żegna uściskiem żonę, udając się na wyprawę wojenną, pieści swoje dziecko, a nawet kąpie niemowlę w rzece, gdy matka zrobić tego nie może.



Dziewczyna z Bakongo.

Biali, którzy kolejno zajmowali miejsce naczelnika stacji Bangala, starali się nie bez pewnego powodzenia wytepić w okęgach sąsiednich zwyczaj jedzenia mięsa ludzkiego, jednak w wioskach bardziej oddalonych od kolonji zwyczaj ten wciąż jeszcze otwarcie jest uprawiany. Ludzie szczycą się nawet liczbą wrogów, których pożarli i zbielałe ich czaszki wieszają na drzewie przede drzwiami domu, albo ustawiają szeregi czaszek na belkach dachu chaty, jako milczącą oznakę swego męstwa i znaczenia.

Prawie na odległości 900 km. od ujścia Kongo ku wnętrzu
lądu leży piękny, urodzajny kraj, dobrze zalesiony i obfitujący



Domy krajowców Bolobo.

w rzeki i strumienie, gdzie znaleźć można wszelkiego rodzaju
dziczyznę, właściwą tym okolicom Afryki zachodniej. Są tu więc
słonie, bawoły, hipopotamy, dziki; z pomiędzy ptaków perliczki,

czerwononogie kuropatwy i przepiórki kryją się w wielkiej liczbie na obszarach porośniętych trawą i w porośniętych lasem górach tego okręgu, który nosi nazwę Bolobo i zaludniony jest przez



Taniec czarodzieja.

ważne plemię chytrych handlarzy. Ludzie ci nie są wprawdzie rzeczywistymi kanibalami (ludożercami), jednak przedstawiają mimo to jedną z najokrutniejszych ras środkowej Afryki. Lud ten, jak się zdaje, znajduje wielkie zadowolenie w ofiarach

z ludzi i zabijanie niewolników uważa jako oznakę swej zamożności, a ponieważ Bolobo jest krajem gęsto zaludnionym, to podobne ponure czyny barbarzyństwa, z nieludzkiemi obrzędami związane, zdarzają się niemal codziennie. Niekiedy ścinają niewolników z powodu śmierci wodza, by dusze ich towarzyszyły zmarłemu księciu na tamten świat i stanowiły dlań, niby rodzaj swity duchowej. Innym razem niewolnicy mordowani są przez swych rozgniewanych panów za jakieś drobne nieposłuszeństwo. W tym wypadku właściciel niewolnika rzuca się na winowajcę, obala go na ziemię i odcina mu głowę.

Niektóre z tych okrutnych czynów znajdują się w związku z rozstrzyganiem długoletnich sporów. Mianowicie, często się zdarza, że dwa szczepy jednego plemienia z jakichś powodów rodzinnych pałają ku sobie nienawiścią i to rozgoryczenie trwa zwykle dotąd, dopóki jeden lub kilku bardziej wpływowych członków rodziny nie umrze, poczem reszta, znużona sporem, postanawia rozpocząć kroki do porozumienia się wzajemnego. Zwołuje się wtedy sąd śledczy, wzywa się na ten sąd najpoważniejszych wodzów okolicznych, przedstawiciele zaś obydwu stron, spierających się ze sobą, mają możność sprawę swoją przedstawić. Zebrani wodzowie wydają wyrok, rozstrzygają, która strona jest winna i ustanawiają kary, zastosowane do ważności sporu.

Gdy w ten sposób sprawa doprowadzona została do pomyślnego rozwiązania, obydwie strony starają się upamiętnić to zdarzenie jakimś niezwykłym czynem. Często w tym celu kupują niewolnika, któremu naprzód łamią kości rąk i nóg, a następnie niosą go na jakieś miejsce otwarte, ogólnie znane, zwykle na rozstajne drogi i wrzucają tam do wykopanego dołu, który zasypują, ubijając ziemię w ten sposób, że tylko głowa niewolnika sterczy ponad ziemią. Każdy, komuby dowiedziono, że podał nieszczęśliwemu trochę wody lub jedzenia, może być pewnym tego samego losu, a więc ofiara skazana jest na śmierć po wolną w męczarniach.

Największym wrogiem niewolników jest tak zwany Nganga-Nkissi, czyli czarodziej. U plemienia Bakongo w okolicy katarakt nad dolnem Kongo śmierć jakiejkolwiek osobistości, mającej pewne znaczenie, przypisuje się rzuceniu na nią złego uroku. Zadanie wyszukania winowajcy wkłada się na czarodzieja. Zwykle za owego winowajcę uznawany bywa jeden z nieszczęśliwych niewolników. W większości wypadków skazują go na śmierć.

Czarodzieja łatwo odrazu poznać. Nosi on pewną liczbę pierścieni na rękach i nogach i sprzączki mosiężne, miedziane lub żelazne; zawiesza sobie naokoło ciała masę dzwoneczków i przystraja się prócz tego w liczne przybrane piórami małe paczki środków czarodziejskich, które nosi pod pachą. Dalej, zawsze jest upiękaszony różnobarwnymi pasami na ciele i mówi głębokim, ochryplym głosem.

Gdy Nganga nie jest zajęty obowiązkami swego zawodu, rzadko odzywa się do kogokolwiek. Dobrobyt całej wioski znajduje się do pewnego stopnia w ręku tego człowieka, do którego pomocy uciekają się ciągle, przypisując mu posiadanie siły nadprzyrodzonej. Gdy dwie wioski mają zamiar rozpocząć walkę ze sobą, wtedy wszyscy czarodzieje szczególnie dużo mają zajęcia, polegającego na dostarczaniu środków czarodziejskich oraz przepowiadaniu przypuszczalnego wyniku walki. Jedni wojownicy życzą sobie koniecznie otrzymać środek, chroniący od uderzenia dzidy, inni od wystrzału broni, jeszcze inni żądają cudownego napoju, któryby im ocalił życie przy otrzymaniu rany od strzały. Wyszukują czarodzieja, przekładają mu swoje żądania i otrzymują za pewną opłatą małeńki talizman oraz rozliczne wskazówki, dotyczące ich przyszłości.

Środki czarodziejskie i talizmany składają się zwykle z małych kawałków kamienia, pereł szklanych, muszelek, suszonych fig, orzechów, ziarn grochu i innych przedmiotów bez wartości przez fetyszystę zebranych¹⁾. Jedne z tych przedmiotów są zawinięte w szmatę, do której przymocowane są trzy albo cztery pióra, dla nadania przedmiotowi wyglądu bardziej tajemniczego; przedmiot taki zawiesza się na sznurku, na plecach wojownika. To jeszcze nie wystarcza, należy jeszcze poddać się pewnym umartwieniom oraz wypełniać łatwe nabożne obrzędy. Na przykład fetyszysta poleca swemu klientowi, aby co rano przed jedzeniem zrobił sobie na twarzy kresę czerwoną kredą, a przed piciem obwiązał sznurkiem duży palec u nogi. Albo też poleca się klientowi, aby wetknął ziarno bobu pomiędzy drugi a trzeci palec u nogi i t. p.

Naczelnicy murzyńscy, którzy szczególnie o siebie się obawiają i wiedzą jak niepewna jest ich popularność i jak łatwo mogą być usunięci, najlepszymi są klientami czarodziejów i naj-

1) Fetyszami nazywają się przedmioty, którym się przypisuje własności nadprzyrodzone; fetysyzmem nazywa się wiara w moc czarodziejską takich przedmiotów.

więcej obrzędów mają do wypełnienia. Na przykład, wielki wódz w Busindi, gdy chce ugasić swoje pragnienie, musi się poddać następującym ceremonjom: musi trzymać w ustach liść, następnie włożyć trzy kamienie do naczynia, z którego pić zamierza. Podczas picia ma zamknąć oczy i nie odrywać od ust naczynia, póki go zupełnie nie opróżni. Jeden człowiek powinien trzymać dzban z winem palmowem, drugi naczynie do picia, trzeci zaś nalewa to naczynie do pełna i podaje wodzowi. W czasie całej tej ceremonji dwóch ludzi dzwoni na prostych dzwoneczkach krajowych, jedna kobieta ma obowiązek stać poza wodzem i obejmować go wpół rękami, inne muszą przed nim klęczeć i z zamkniętymi oczami klaskać w ręce. Tym sposobem przygotowania do napicia się wymagają tyle czasu i kłopotu, że wódz, gdy nareszcie dotknie wargami płynu, pije tak dużo, że mu to już na dłuższy czas wystarczy.



Zerdz z czaszkami.

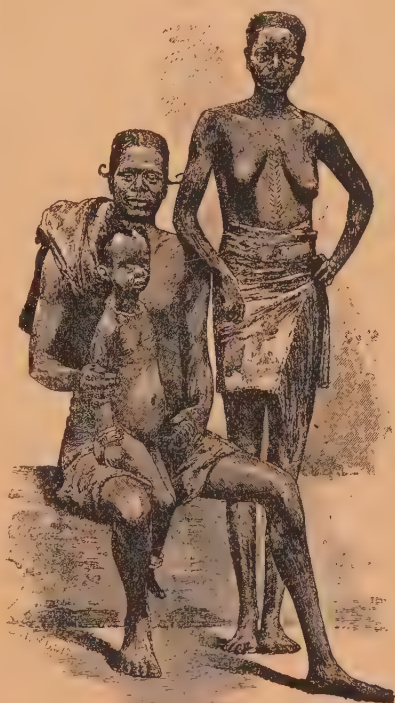
Oprócz wielu małych rzeczek Kongo w bliskości równika przyjmuje trzy duże dopływy: Ruki, Lulongo i Ubangi. Ostatni łączy się z rzeką Kongo na północnym jej brzegu i jest żeglowny na długości około 600 km., aż do katarakt Songo. Nad rzeką Ubangi w dolnym jej biegu mieszka plemię Balui, gałąź straszliwego ludożerczego plemienia Bangala. Balui również są ludożercami i słyną ze swych rozbójniczych krwawych napadów na słabsze plemiona. Zajmują się z zapałem łowiectwem i wykazują nadzwyczajną zręczność w polowaniu na wszelką dziczyznę leśną. Przy ujściu rzeki spotykają się liczne stada hipopotamów, na które Balui polują w swych łodziach.

Powyżej nad tą samą rzeką mieszka plemię Bundju. Powaga wodza tego plemienia zależy od ilości zabijanych przez niego niewolników. Czaszki ofiar ludożerstwa ustawiane są zawsze na miejscu widocznym we wsi, aby świadczyły o znakomitości wodza. Niekiedy też i domy przystrajane są czaszkami ludz-

kiemi, które się ustawiają szeregiem po czterech stronach na gzymsach umyślnie w tym celu urządzonych. W innych znów miejscach wieszają czaszki na palach całemi wiązkami.

Każda wioska wzdłuż biegu rzeki wydaje się być w ciągłej walce ze swymi sąsiadami; wskutek tego konieczne się stały wielkie środki ostrożności dla uniknięcia niespodziewanych napadów. Prawie każda wieś otoczona jest palisadą, złożoną ze słupów ostrokończastych, nazewnątrz zaś tej przeszkody wykopany jest rów głęboki, i jedyne wejście do wioski stanowi mały most zwodzony w postaci pnia drzewa przerzuconego przez rów oszańcowany. Most ten usuwa się na noc lub w chwilach niebezpieczeństwa. Tego rodzaju twierdza, broniona przez zastęp nieustraszonych wojowników, ma być nie do wzięcia w razie napadu miejscowych plemionłowców. Krajowcy poszukują sobie ofiar zwykle na rzece. Ciągłe są w podróży na swych wielkich łodziach wojennych i czynią wyprawy do okolic, zamieszkałych tylko przez niewielkie oddziały łowców i rybaków, których łatwo zwyciężyć, uprowadzić w niewolę, a następnie w razie potrzeby zabić i pożreć.

Ujście Ubangi tworzy delte, składającą się z niewielkich wysp, błotnistym lasem lub trawami pokrytych. Jest to wyborne miejsce do polowania dla rozbójniczych Balui, którzy, uzbrojeni od stóp do głowy, ukryci na swych łodziach wśród gęstej roślinności, czatują na zdobycz. Gdy tylko dostrzegą łódź, która ma słabszą załogę, zaczynają na nią polowanie, przyczem część napadniętych ginie pod uderzeniami dzid, resztę chwytają żywcem i uprowadzają w niewolę, aby ich po należytem odkarmieniu zamordować przy najbliższej orgji ludożerczej.



Rodzina plemienia Bakundu.

Powyżej stacji, pod równikiem wpada również do Kongo, ale już z południa, dopływ Ruki.

Dotychczas byt i obyczaje ludów, zamieszkujących brzegi tej rzeki, bardzo mało są znane, gdyż biały kupiec w żadnej innej części dorzecza Kongo nie znalazł tyłu, co tu właśnie trudności, aby przekonać krajowców o swych dobrych zamiarach. Zwykle przyjęcie, jakie czeka obcych od tych ludzi — to chmura strzał. Gdy nawet nastąpiła zamiana kuropatew i rozmaitych środków żywności na paciorki i inne przedmioty upiększenia, krajowcy żegnają statek, odbijający od ich brzegu, salwą strzał i obrażających okrzyków. Łuk i strzały są jedyną ich bronią, ale umieją z niej bardzo zręcznie korzystać. Jedne ich strzały mają końce opatrzone haczykowatym żelaznem ostrzem, inne, bardziej niebezpieczne, przedstawiają proste paski rozszczepionej trzciny bambusowej, długości 30 cm., na końcu zaostrome i zabójczą trucizną napojone. Mieszkańcy brzegów tej rzeki nazywają się Bakundu. Są to nienasyceń ludożercy, z czem się bynajmniej nie ukrywają.

Po obydwu stronach rzeki znajdują się wielkie stada słoń i bawołów, na które polują szczepy mieszkające dalej wewnątrz kraju. Łowcy, sprzedający kość słoniową nadbrzeżnym mieszkańcom, urządzają, polując na słońce, platformy na drzewach tak wysoko, że się znajdują poza obrębem niebezpieczeństwa, grożącego ze strony rozwścieczonych zwierząt.

Setki takich platform urząda się w rozmaitych częściach lasu, przyczem wybiera się, oczywiście, takie miejsca, do których słońce dążą dla zdobycia paszy lub wody. Gdy nadejdzie wiadomość, że słońce znajdują się w przygotowanej w ten sposób części lasu, śpieszą tam krajowcy uzbrojeni w swe zabójcze dzidy i zajmują posterunki. Najczęściej starają się ugodzić zwierzę dzidą pomiędzy łopatki i zwykle udaje im się położyć trupem dwa lub trzy słońce ze stada, przechodzącego w bliskości platformy.

Z podróży po Marokko

Edmund de Amicis (Marokko).

Ze wszystkich cieśnin na ziemi cieśnina Gibraltarska jest może tą, która najbardziej wyraźnie dzieli dwa kraje najbardziej do siebie niepodobne. Różnica, zachodząca pomiędzy temi krajami, uwydatnia się najsilniej wówczas, gdy do Tangeru

przybywamy z Gibraltaru. Tam wre jeszcze życie przyspieszone, gwarne, wspaniałe miast europejskich; tam podróżnik urodzony w jakiegokolwiek części Europy, spostrzega na każdym kroku w twarzach i zwyczajach coś, co mu żywo przypomina jego ojczyznę. Tu, niedalej jak o trzy godziny drogi od Gibraltaru sama już nazwa naszego lądu brzmi, jakby jakaś nazwa bajeczna; Europejczyk — znaczy wróg, nasza cywilizacja nieznaną i wzgardzoną śmiech wzbudza lub strachem przejmując; tu wszystko do najdrobniejszych szczegółów życia domowego jest inne, niż u nas. Jesteśmy w kraju całkiem obcym dla nas, w kraju, z którym nic nas nie wiąże, w którym trzeba wszystko poznawać, wszystkiego się uczyć na nowo. Z wybrzeża widać



Tanger.

jeszcze ląd europejski, ale serce nam mówi, że znajdujemy się już od niego bardzo daleko, jakgdyby to wąskie pasemko morza było oceanem, a te góry niebieskie złudzeniem. W ciągu trzech godzin zaszła dokoła nas jedna ze zmian najdziwniejszych, jakie się mogą zdarzać na świecie.

Jednak wrażenie, którego się doznaje, stawiając po raz pierwszy stopę na tym lądzie olbrzymim i pełnym tajemnic, psuje w znacznym stopniu niezwykle sposób, w jaki się nań wysiada. Kiedy z pokładu przyglądałem się białym domom Tangeru, występującym coraz wyraźniej, jakaś pani, Hiszpanka, stojąca obok mnie, zawołała z przestrawą:

— Co to jest? czego chcą ci ludzie? Spojrzałem w stronę,

w którą ona patrzyła i spostrzegłem tuż za łodziami, które zbliżały się, aby zabrać podróżnych, tłum napół nagich, obdartych Arabów, brnących po pas w wodzie. Ruchami opętańców pokazywali sobie nasz statek, i zdawało się, że, jak zbóje na widok zdobyczy, muszą mówić: „O! już nie ujdzie rąk naszych!” Wyznaje, iż nie wiedząc, co to są za jedni, ani czegoby chcieli, wszedłem do łodzi z uczuciem pewnego niepokoju. Kiedy już byliśmy o jakie dwadzieścia kroków od brzegu, cała ta hałastra barwy wypalanej gliny rzuciła się na łodzie, owładnęła niemi i zaczęła coś krzyczeć po hiszpańsku i arabsku. Trwało to dopóty, dopóki wreszcie nie zdołaliśmy zrozumieć z ich ruchu i mowy, że ponieważ woda tak niska, iż do brzegu przybić niepodobna, zatem musimy przeprawić się na ich karkach. Panie na krzesłach, jakby w triumfie zaniesiono na brzeg, ja zaś odbyłem mój wjazd do Afryki konno na starym mulacie z brodą opartą na jego ciemieniu, z końcami nóg w wodzie. To, co najpierwej i silniej, niżbym wyrazić potrafił, uderzyło mię w Tangerze, był widok jego mieszkańców.

Wszyscy noszą tu rodzaj długiego białego płaszcza z płótna lub wełnianej tkaniny, z wielkim kapturem, który zawsze niemal głowę przykrywa, tak iż miasto wygląda jak klasztor dominikanów. Cała ta ludność zakapturzona częścią przesuwa się zwolna, poważnie i cicho po ulicach miasta, częścią siedzi skulona wzdłuż murów przed sklepami i na rogach ulic, nieruchomie, z oczami utkwionemi gdzieś w przestrzeń, jakby skamieniała ludność jej podać. Chód, ruchy, postawy, sposób patrzenia, wszystko tu nowem jest dla nas; wszystko wskazuje na ustrój zwyczajów i pojęć od naszego odmienny, na całkiem inne zapatrywanie się na czas i życie. Tych ludzi nie zdają się bynajmniej obchodzić żadne ich sprawy, ani miejsce, w którym się znajdują, ani to, co się dokoła nich dzieje. Każdy w wyrazie twarzy ma coś niezwykłego i głębokiego, jak człowiek pochłonięty jakąś jedną nieodstępną myślą lub sięgający pamięcią w czasy i miejsca bardzo odległe. Po chwili spostrzegłem, że ów tłum, który zdaleka tak jednostajnym się zdawał, widziany zbliżoną dziwną rozmaitość przedstawia. Przede mną przesuwały się twarze czarne, białe, żółte i śpiżowe; głowy o gęstych długich włosach — i czaszki nagie, błyszczące jakby z kruszcu odkute. Były tu oblicza sułtanów, dzikich bojowników, czarno-księżników, pustelników, zbójów, ludzi złamanych smutkiem olbrzymim czy nudą śmiertelną, a pośród nich niewielu, albo raczej nikogo z uśmiechem na ustach. Wszyscy przechodzili

w milczeniu, sunąc jeden za drugim, jak procesja duchów po alejach cmentarza. Nie wiem sam dlaczego, lecz na ten widok uczułem potrzebę zwrócenia oczu na siebie i powiedzenia sobie w duchu: Jestem ten a ten; kraj, w którym się znajduję nazywa się Afryką, a ci ludzie — Arabami. Musiałem przez dość długą chwilę zatrzymać się na tej myśli, by ją z całą świadomością mógł przyjąć mój umysł.

Miasto pod każdym względem najzupełniej odpowiada ludności. Jest to niedający się opisać labirynt krętych uliczek, albo raczej kurytarzy, opasanych małemi, białemi, czworobocznemi domkami bez okien, o drzwiach tak wąskich, iż przez nie ledwie jeden człowiek przecisnąć się może; domkami, które zdają się być stawiane raczej po to, aby służyć za jakieś kryjówki, niż za zwyczajne mieszkania i które wyglądają jak więzienie lub klasztor. Na wielu ulicach oprócz białości domów i lazuru nieba nic innego nie widać; tylko od czasu do czasu oko nasze natrafia na jakiś łuk maurytański, na wzorzyste okienko, na pas czerwony u spodu na murze lub na czarną rękę namalowaną obok jakichś drzwi, a namalowaną po to, by bronić mieszkańców domu od mocy i wpływu złych duchów.

Prawie wszystkie ulice usłane są gałganami, kośćmi, pierzem, resztkami gnijących jarzyn i wielu jeszcze innemi niemniej pięknemi i wonnemi rzeczami; w niektórych miejscach spotykamy nawet zdechłe psy i koty, które w okropny sposób zarażają powietrze. Nieraz przebywamy dość znaczne przestrzenie, na których jedynie od czasu do czasu spotkać nam się zdarza jakąś gromadkę zakapturzonych dzieci arabskich, bawiących się na ulicy lub nucących głosem nosowym modlitwy z Koranu; jakiego skulonego na ziemi żebraka; jakiegoś Maura, jadącego na mule; jakiegoś obładowanego osiełka z poranionym grzbietem, którego poganiana napół nagi Arab; jakiegoś psa bez ogona lub całkiem niemal bez sierści, kota bajecznej chudości. Tu i owdzie dolatuje nas zapach czosnku, palonego aloesu, kifu (chaszysz), ryby, benzoesu, a wszędzie w każdej uliczce, w całym mieście mamy zawsze dokoła olśniewającą białość tych murów, od których wieje jakąś tajemniczością i smutkiem, i nudą.

Gdym się już dostatecznie przyjrzał miastu i jego mieszkańcom, zacząłem szperać w książkach, znajdujących się w przeznaczonym dla mnie pokoju, a to w celu znalezienia w nich czegoś, coby mię mogło zapoznać lepiej z krajem, do którego przy-

byłem i który wzbudzał we mnie tak silną ciekawość. Na podstawie tego, com w tych książkach wyczytał i com dawniej już wiedział o tym kraju, powiem o nim słów kilka. Państwo marokańskie, położone między morzem Śródziemnem, Algerem, pustynią Saharą i Atlantykiem, zroszone szerokimi rzekami, obfitujące w niezmiernie skarby roślinnego, zwierzęcego i mineralnego królestwa, przeznaczone w przyszłości, z powodu swego położenia i klimatu, na wielką drogę handlową pomiędzy Afryką środkową a Europą, jest dziś zamieszkałe przez osiem milionów ludności, składającej się z Berberów, Maurów, Arabów, Żydów, Murzynów i Europejczyków, rozsianych na obszarze ziemi większym, niż Francja. Plemię najstarszytniejsze, Berberowie, stanowiący tło krajowej ludności, dzicy, burzliwi, nieposkromieni, żyją w niedostępnych górach Atlasu, nie uznając nad sobą żadnej niemal władzy cesarza. Arabowie, zaborcy tego kraju, zajmują równiny: lud przeważnie pasterski i koczowniczy, w którym dotychczas przechowały się dość silnie dzikie i surowe obyczaje jego przodków. Maurowie czyli Arabowie mieszanej krwi, to jest rasy nieczystej; potomkowie w znacznej części Maurów hiszpańskich, zamieszkują miasta i mają w swych rękach bogactwa, urzędy i handel; murzyni, których tu liczą do trzechset tysięcy, pochodzący z Sudanu, są przeważnie wyrobnikami, sługami i żołnierzami. Żydzi, których jest nieco mniej, niż murzynów, potomkowie po większej części Żydów wygnanych z Europy w wiekach średnich, uciemiężani, poniżani, prześladowani tak srodze, jak może w żadnym innym kraju, trudnią się rzemiosłami i drobnym handelkiem. Europejczycy, których nietolerancja muzułmańska powoli wycisnęła z wnętrza kraju ku brzegom, po większej części zamieszkują Tanger i inne miasta nadmorskie i żyją tu spokojnie i swobodnie pod opieką rozmaitych poselstw.

Cała ta ludność, tak różnorodna, rozpierzchnięta, niezgodna jest rządzona, a raczej gnębiona przez rząd żołnierski, że go tak nazwę, który jak polip olbrzymi wysysa wszystkie soki pożywne całego państwa. Plemiona koczownicze i wsie podległe są władzy szejków, miasta i mniejsze prowincje władzy kaidów, większe prowincje władzy baszów. Zwierzchnikiem baszów jest już sam sułtan, najwyższy kapłan, najwyższy sędzia, najwyższy prawodawca, który może zmieniać podług swojej woli prawa, monetę, podatki, wagi i miary, który jest panem wszechwładnym mienia i życia poddanych. Wszystko to, co w innych krajach przoduje i dąży za postępem, tu, pod jarzmem takiego

rządu, stoi nieruchomie lub chyli się do upadku. Handel krępują, a raczej duszą monopole, zakazy przywozu i wywozu, zmienność praw i postanowień.

Przemysł, skrępowany również więzami nałożonemi na handel, pozostał takim, jakim był jeszcze przed wypędzeniem Maurów z Hiszpanji, rolnictwo obciążone nadzwyczajnemi podatkami, tudzież zakazem wywozu produktów, wpadło w opłakany stan upadku, i dziś o tyle tylko jest uprawiane, o ile tego wymagają najpierwsze sposoby życia. Nauka zgnębiona przez Koran, skażona i zwichnięta przez zabobony, ogranicza się w wyższych nawet szkołach do tych niewielu początkowych zasad, których uczono w wiekach średnich. Niema tu pism perjodycznych, ani książek, ani kart geograficznych; sam język, który jest skażonym językiem arabskim z pisownią niedokładną i zmienną, coraz gorszemu ulega zepsuciu; charakter narodowy psuje się również wśród ogólnego upadku, cała starodawna cywilizacja muzułmańska niszczeje i ginie.

Marokko, to najbardziej wysunięte na zachód przedmurze islamizmu, to przed laty serce olbrzymiego państwa, rozciągającego się od Ebru do Sudanu, to ognisko oświaty słynne ze swych wszechnic kwitnących, z bibliotek olbrzymich, z zastępu uczonych, z potężnej floty na morzu i armji na lądzie, dziś jest tylko niewielkiem państwkiem, prawie całkiem nieznanem, pełnem nędzy i gruzów, które, dobywając ostatnich sił, odpiera jeszcze usiłujące je zalać fale cywilizacji i stoi na swych zachwianych podstawach jedynie dzięki tej wzajemnej zawiści, którą żywią ku sobie państwa europejskie, pragnące je pochłoniąć.

Gnębjący system rządu, który kraj ten doprowadził do takiego upadku, najbardziej się odbija na ludności rolniczej i pasterskiej. Ludność ta żyje przeważnie na równinach w tak zwanych duarach. Duar to obóz namiotów, jakby wioska z namiotów złożona. Ludność duaru składa się zazwyczaj z dziesięciu do dwudziestu rodzin, które najczęściej są złączone z sobą jakimiś węzłami pokrewieństwa. Każda rodzina ma swój namiot. Namioty ustawione są we dwa równoległe szeregi oddalone od siebie na trzydzieści kroków. Namioty zrobione są z wielkiego kawałka czarnej albo orzechowej tkaniny, sporządzonej z włókien karłowatych palm i koziej lub wielbłądziej wełny. Mężczyźni pracują w polu, kobiety gotują jedzenie, mielą zboże, tkają grube tkaniny na ubrania. Nędza tu panuje wielka. Ży-

ją ze szczupłych plonów ziemi źle uprawnej, których znaczna część idzie jeszcze na uciążliwe zmienne podatki, ściągane albo przez szeika, albo przez naczelnika duaru, którego sami wybierają i który znajduje się pod bezpośrednią zwierzchnością gubernatora prowincji. Składają gubernatorowi czy to w pieniądzach, czy w naturze dziesiątą część plonów; oprócz tego od każdej sztuki bydła i od konia płacą osobny podatek. Wnoszą sto franków na rok za każdy obszar gruntu tej wielkości, iż go można z pomocą dwu wołów uprawić.

Składają sułtanowi w ważniejsze święta doroczne obowiązkowy podarunek. Dają pieniądze lub żywność, kiedy przez prowincję przejeżdża sułtan, basza, poseł, albo kiedy przez nią wojsko przeciąga. Oprócz tego każdy, kto ma choć trochę pieniędzy, wzbudza chciwość w gubernatorach, których zdzierstwo jest po prostu bezczelnym gwałtem, dokonywanym na bezbronnych i słabych. Słynąc za człowieka zamożnego jest tu wielkiem nie-szczęściem. Kto nieco grosza uciulał, zakupuje go w ziemi, wydaje ostrożnie w tajemnicy, udając głód i nędzę. Kiedy jakiś zamożny człowiek umiera, krewni jego, chcąc uniknąć rabunku, ślą podarunek gubernatorowi. Podarunki składają również, prosząc o jakąś łaskę, o wymiar sprawiedliwości, aby ustrzec się prześladowania, albo dlatego jedynie, by z głodu nie umrzeć. A kiedy wreszcie głód i rozpacz doprowadzi ich do wściekłości, zwijają namioty, porywają strzelby i... wybucha powstanie. Wówczas cóż się dzieje? Oto sułtan wypuszcza na nich trzy tysiące szatanów na koniach, aby śmierć szerzyli w zbuntowanej ziemi. Szatani ci ścinają głowy, wyrzynają trzody, porywają kobiety, palą pola, przyprowadzają ziemię do stanu pustyni, pokrytej krwią i popiołem i wracają do stolicy z oznajmieniem, iż bunt poskromiony. Jeżeli zaś, co również czasem się zdarza, powstanie rozszerzy się nadspodziewanie, rozprasza wojsko i zwycięstwo odnosi, jakąż stąd korzyść dla ludu wynika, oprócz tej krótkotrwałej swobody, którą okupuje tylu ofiarami? Obierze on nowego sułtana i wywoła wojnę dynastyczną pomiędzy prowincjami, po której ustaniu nastąpi gorszy jeszcze despotyzm. Tak się też tu i dzieje od wieków dziesięciu ¹⁾.

¹⁾ Obecnie Marokko dostao się pod protektorat Francji, a tem samem poddane zostało wpływom cywilizacji europejskiej; życie tej krainy ulegnie więc niewątpliwie w niedalekiej przyszłości poważnym zmianom.

(Przyp. red.).

T R E Ś Ć.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
Przez Atlantyk do Ameryki. — Dr Emil Dunikowski	7
Nowy Jork. — W. Witkowski	18
Drapacze nieba. — Stefan Wł. Bryła	27
Wyspa Św. Eljasza (Ellis Island). — Stefan Wł. Bryła	31
Królestwo samochodu. — Zdzisław Dębicki	34
Trzysta kilometrów pod ziemią w jaskini Mamutowej — G. de Canné	38
Park Narodowy nad Yellowstonem. — Dr Emil Dunikowski	48
Od gór Skalistych do San Francisco. — H. Sienkiewicz	60
Spółceństwo amerykańskie — H. Sienkiewicz	66
Na dziale wodnym oceanu Spokojnego i Arktycznego	70
Eskimowie — A. E. Nordenskiöld	75
W Guajanie francuskiej. — Konstanty Jelski	91
Mieszkańcy Boliwji. — Emil Barbier	101
Kolonje polskie w Paranie. — P. Denis	108
Okropna noc. — Tadeusz Chrostowski	114
Poszukiwacze kauczuku w Brazylii. — P. Denis	119
Rolnictwo i hodowla bydła w Argentynie. — S. Łaganowski	123
Wyspy Hawaj, czyli Sandwich. — S. Łaganowski	135
Najpiękniejsza kolonja Angli (Nowa Zelandja). — W. Berdrow	138
Góry «Koścuzko». — R. v. Lendenfeld	145
Kwestja królików w Australji. — P. Privat-Deschanel	152
Krajowcy Australji. — Sygurd Wiśniowski	157
Na Sumatrze. — Karol Chun	163
Dzień na Cejlonie. — S. Miecz	174
Kasty w Indjach. — El. Réclus	182
Tybet i wyprawa angielska do Lhasy — W. Berdrow	186
W Kantonie. — Gordon Cumming	193
Cześć przodków w Chinach. — E. Bard	198
Szkoły i oświata w Chinach. — E. Hesse-Wartegg	201
Lekarze i lecznictwo w Chinach. — K. Stołychwo	212
Mój pierwszy obiad w domu chińskim. — E. Hesse-Wartegg	214
Z podróży do Japonji. — Wacław Sieroszewski	219
Trzęsienie ziemi w Japonji w r. 1923	227
Koreańczycy. — S. Łaganowski, wedł. A. Hagen	231
Powitanie wiosny w Jakucku — Adam Szymański	237
Wierzenia Jakutów w ich czarodzieje (szamani). — W. Sieroszewski	239
Mongołowie, jak się odżywiają i czem się zajmują. — Przewalski	246
W Kaszgarji. — Gen. Br. Grąbczewski	252
Miasta i bazy w Persji. — I. Bleibtreu	259
W Gruzji. — Artur Leist	264
W gościnie u Beduinów. — ks. Władysław Szczepański	272
Życie Damaszk. — tegoż	276
Podróż do Mekki. — G. Courtellemont	282
Morze Czerwone — St. Bobelak	291
Z Aleksandrji do Kairu. — E. Markow	293
Wyprawa na Piramidy. — Henryk Bartsch	298
Śpiączka chorobowa. — Dr Henri Bouquet	305
Przez stepy Afryki środkowej. — Dr Antoni Jakubski	309
Kafrowie. — Dr A. Rehman	314
Murzyni dorzecza rzeki Kongo. — Herbert Ward	325
Z podróży po Marokko. — Edmund de Amicis	336

SPIS RYCIN.

Wielki statek pasażerski	8	Milfordsund	142
Podwójna śruba okrętowa	11	Queenstown	143
Posąg wolności w porcie N.-Jorku	21	Góry «Kościszko»	149
Ulica Broadway w Nowym Jorku	22	Australijczyk	158
Droga napowietrzna w N.-Jorku	23	Bumerangi	160
Most Brukliński	25	Pola ryżowe na Sumatrze	167
Metropolitan Life Building. — Dra- pacz nieba w Nowym Jorku	30	Śpichrz ryżowy	169
Rzeka Styks w jaskini Mamutowej w Kentucky	40	Meczet i dom mieszkalny	170
Elewatory w Minnesocie	44	Narzeczona	171
Wielki wodospad w parku Yellow- stone	51	Bogaci Malajczycy	172
Wielki kenjon Yellowstoneu	53	Zaklinacze węzów	179
Gorące źródła w parku Yellowstone	55	Dziewczyna syngaleska	181
Gejzer Giant	57	Jak	188
Przyrząd do łowienia łososi	72	Klasztor Galdan	189
Jazda reniferami	74	Potala od strony południowej	191
Typy Eskimów	77	Pagoda chińska w Kantonie	194
Kajak	80	Ulica w Kantonie	195
Dom grenlandzki	83	Pismo chińskie	204
Przekrój domu	83	Świątynia egzamin. w Kantonie	208
Domy ze śniegu	85	Dama japońska	220
Pies grenlandzki	86	Inriksza japoński	223
Sanie	87	Wnętrze domu japońskiego	224
Banany	93	Łóżko japońskie	225
Manjok	94	Koreańczycy	233
Zarośla mangrowe	95	Ulica w Seulu	234
Leniwiec. Mrówkojad Pancernik	98	Szkoła prywatna	235
Typy Indian oswojonych	103	Mongołowie	247
Przewodnicy karawan	104	Przewóz herbaty	250
Lamy	105	Mapa Kaszgarji zachodniej	253
Typy Indian dzikich	107	Roznosiciele wody	260
Kurytyba (z albumu OO. Misjonarzy)	112	Bazar-e-Vukil w Szyrasie	261
Furmanki, wiozące herva mate (z albumu Ojców Misjonarzy)	113	Gruzinki	270
Porównanie obszaru i ludności Polski i Argentyny	126	Beduin	274
Porównanie gęstości zaludnienia Polski i Argentyny	126	Mekka	288
Plac de «Mayo» w Buenos Ajres	127	Młocka w Egipcie	295
Wieśniak argentyński	128	Wdrapywanie się na piramidę	301
Plantacje kukurydzy	130	Mucha tse-tse	306
Estancja	132	Mapka rozpowszechnienia much tse-tse	307
Nowoczesny gaucho	134	Zulusi	316
Kobieta z wyspy Hawai	137	Kraal Kafrów	317
Wódz maorski	140	Wódz plemienia Bangala	326
Piękność maorska	140	Wódz plemienia Bolobo	327
Górny bieg rzeki Wanganui	141	Dziewczyna z Bakongo	329
		Domy krajowców Bolobo	330
		Taniec czarodzieja	331
		Żerdź z czaszkami	334
		Rodzina plemienia Bakundu	335
		Tanger	337

SPROSTOWANIE.

Str. 10 wiersz 25 zamiast 43 cm powinno być 43 m.

